

ŚWIATOWY BESTSELLER

AUDREY NIFFENEGGER

NOWA KSIĄŻKA AUTORKI

„ZAKŁĘTYCH W CZASIE”

# LUSTRZANE ODBICIE



Po oszałamiającym sukcesie bestsellerowych „Zaklętych w czasie”, Audrey Niffenegger powraca z „Lustrzanym odbiciem”, niepokojącą opowieścią o skomplikowanej miłości, tożsamości i rywalizacji pomiędzy bliźniętami. Powieść rozpoczyna się śmiercią Elspeth Noblin, która zapisuje swoje londyńskie mieszkanie swym siostrzenicom – bliźniaczkom. Te dwudziestoletnie, niedoświadczone dziewczyny chętnie przeprowadzają się do Anglii, by przymierzyć się do nowego życia, tak samo jak przymierzają swoje identyczne stroje. Zabytkowy cmentarz Highgate – obok którego stoi dom Elspeth – służy za znakomite tło, na którym siostry wplątują się w losy swych sąsiadów: dawnego partnera Elspeth, Roberta, a także Martina, chorego na agorafobię specjalisty od krzyżówek, i wreszcie ducha Elspeth, która rozpaczliwie próbuje się odnaleźć w swoim nowym „życiu po życiu”. Niffenegger nadaje swym nękanym licznymi problemami postaciom cudowną głębię, a historia zmierza do nieoczekiwanego zakończenia.

— BRAD THOMAS PARSONS, AMAZON.COM

Nieśmiertelność miłości stanowi główny temat tej gotyckiej opowieści rozgrywającej się przede wszystkim wokół londyńskiego cmentarza Highgate. Niffenegger ma prawdziwy talent do umieszczania romantycznych historii w niepokojącym, pełnym niebezpiecznych tajemnic świecie. Jej niemałym osiągnięciem jest także fakt, że zwroty akcji są naraz zupełnie nieoczekiwane i nierozzerwalnie zróżnione z fabułą książki.

— NEW YORKER.

Przeźraliwie wprost inteligentna... Miliony czytelników, którzy pokochali „Zaklętych w czasie”, odnajdą w „Lustrzanym odbiciu” podobny temat: miłość przekraczającą najtrwalsze naturalne ograniczenia. Wspaniale niepokojąca.

— RON CHARLES, WASHINGTON POST.

Wciągająca, współczesna opowieść o duchach, rozgrywająca się na tle nastrojowego londyńskiego cmentarza Highgate. Napisana z rozmachem historia miłości, która trwa nawet „po drugiej stronie”. „Lustrzane odbicie” to także intrygujące studium rywalizacji w rodzeństwie, kształtowania swej tożsamości i radzenia sobie z własną śmiercią.

— PEOPLE.

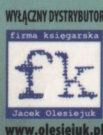
Niffenegger to niebywale wrażliwa i utalentowana pisarka. „Lustrzane odbicie” to niesłychanie subtelna i delikatna powieść.

— LEV GROSSMAN, TIME.



**cena: 39,99 zł**

Więcej informacji  
o publikacjach  
Wydawnictwa Nowa Proza  
w internecie na stronie:  
[www.nowaproza.eu](http://www.nowaproza.eu)



ISBN 978-83-7534-025-9



9 788375 340259

**Audrey Niffenegger**

# **Lustrzane odbicie**

**Przełożył Grzegorz Komerski**



**Warszawa 2010**

# CZEŚĆ PIERWSZA

## KONIEC

Elspeth umarła w chwili, gdy Robert stał przed automatem i przyglądał się strumieniowi herbaty spływającemu do małego plastikowego kubka. Potem wiele razy wspomni moment, kiedy szedł szpitalnym korytarzem, z tą okropną lurą w ręku, samotny w świetle jarzeniówek, gdy wracał po własnych śladach do sali, w której Elspeth leżała otoczona maszynami. Głowę miała zwróconą ku drzwiom, nie zamknęła oczu. W pierwszym odruchu Robert pomyślał, że odzyskała przytomność.

Na kilka sekund przed śmiercią Elspeth przypomniała sobie pewien dzień z zeszłej wiosny. Spacerowali wtedy błotnistą ścieżką nad Tamizą, potem poszli do ogrodu botanicznego Kew Gardens. Pachniało butwiejącymi liśćmi; jeszcze niedawno padał deszcz.

- Powinniśmy mieć dzieci - powiedział Robert.

- Nie bądź niemądry, kochanie - odparła Elspeth. Potwórzyła to na głos teraz, w szpitalnej sali, ale nie było go przy niej i nie usłyszał ni słowa.

Elspeth obróciła się do wejścia. Chciała głośno zawołać go po imieniu, ale coś nagle wypełniło jej gardło. Miała wrażenie, że jej dusza chce wydostać się z ciała przez przełyk. Spróbowała odkaszlnąć, wypuścić ją, ale udało się jej jedynie niewyraźnie zabełkotać. Tonę. Topię się we własnym

łóżku... - pomyślała. Poczowała mocny, silny nacisk i nagle się uniosła; ból zniknął i spojrzała spod sufitu na swoje drobne, zniszczone ciało.

Robert stanął na progu. Herbata parzyła go w dłoń, więc odstawił kubek na szafkę. Świt zaczął już barwić wypełniające pomieszczenie cienie — ciemny grafit zastąpiła nieokreślona szarość; poza tym, wszystko wyglądało jak zawsze. Zamknął drzwi.

Zdjął okulary w okrągłych drucianych oprawkach, ściągnął buty. Położył się na łóżku i ostrożnie - tak by jej nie urazić - objął drobne ciało ramieniem. Od wielu tygodni trawiła ją gorączka, ale teraz temperaturę miała prawie normalną. Czuł pod palcami jak stygnie. Odeszła do krajiny przedmiotów nieożywionych, gasła. Robert przycisnął twarz do jej karku i głęboko wciągnął powietrze.

Elsbeth patrzyła na niego z góry. Znała go tak dobrze, a jednak w tej chwili był taki dziwny. Widziała - choć nie czuła - jego długie dłonie przyciśnięte do własnej talii. Wydał się jej zanadto podłużny. Twarz, szczeka, wydatna górna warga; nos Roberta przypominał nieco ptasi dziób, oczy miał osadzone głęboko; kasztanowe włosy rozsypały się na poduszce. Jego cera pobladła od zbyt długiego przebywania w sztucznym, szpitalnym świetle. Wyglądał na bardzo samotnego, był tak chudy i wielki jednocześnie, owinięty wokół jej wychudłego, bezwładnego kształtu; Elspeth pomyślała o zdjęciu, które oglądała kiedyś w „National Geographic”: matka ściskająca w ramionach zmarłe z głodu dziecko. Biała koszula Roberta była pognieciona, w jego skarpetkach ziały dziury. Ogarnęły ją naraz wszystkie żale, winy i tęsknoty życia. Nie, przemknęło jej przez myśl. Nie odejdę. Ale już odeszła i po chwili znalazła się gdzie indziej, wśród rozproszonej nicości.

Pielęgniarka znalazła ich pół godziny później. Stała w milczeniu, spoglądając na wysokiego młodego mężczyznę, oplatającego ramionami drobną, martwą kobietę w średnim wieku. Odwróciła się i poszła, by sprowadzić sanitariuszy.

Na zewnątrz Londyn budził się ze snu. Robert leżał, nie rozchylając powiek, wsłuchany w dobiegające z ulicy odgłosy i kroki z korytarza. Wiedział, że niedługo będzie musiał otworzyć oczy, wypuścić z objęć ciało Elspeth, usiąść, wstać, mówić. Wkrótce zacznie się przyszłość bez niej. Na razie jednak leżał w bezruchu, wdychał jej ulatujący zapach i czekał.

## OSTATNI LIST

Listy przychodziły co dwa tygodnie. Nie trafiały jednak do jej skrzynki przed domem. Co drugi czwartek Edwina Noblin-Poole pokonywała samochodem sześć mil do urzędu pocztowego w Highland Park, oddalonego o dwa osiedla od Lake Forest, w którym mieszkała. Wynajmowała tam skrytkę pocztową, najmniejszą z dostępnych. Na jedną kopertę wystarczała w zupełności.

Zazwyczaj Edie zabierała przesyłkę do Starbucksa i czytała, popijając przy tym bezkofeinową kawę z mlekiem sojowym. Siadywała w rogu sali, plecami do ściany. Czasami, kiedy się śpieszyła, otwierała list w samochodzie. Potem wjeżdżała na parking za budką z hot dogami na Drugiej Ulicy, zatrzymywała się przy śmietniku i paliła kopertę wraz z zawartością.

- Po co wozisz w samochodzie zapalniczkę? - zapytał pewnego razu Jack, jej mąż.

- Takie hobby - ucięła. - Szydełkowanie już mi się przejadło. Teraz amatorsko zajmuję się podpalaniem - dodała.

Jack nie kontynuował rozmowy.

O listach wiedział, ponieważ wynajął prywatnego detektywa, któremu kazał śledzić żonę. Detektyw nie wykrył niczego, żadnych schadzek, telefonów, e-maili - nic podejrzanego, poza tymi listami. Nie przyznał się Jackowi,



że ilekroć Edie paliła kolejną przesyłkę i wcierała popiół obcasem w chodnik, spoglądała mu przy tym prosto w oczy. Raz nawet pozdrowiła go faszystowskim gestem uniesionego ramienia. Zlecenie zaczynało mu ciążyć.

W Edwinie Poole wyczuwał coś mocno niepokojącego; ani trochę nie przypominała innych osób, które dotąd rozpracowywał. Jack tymczasem kilka razy wyraźnie podkreślił, że nie chodzi mu o zbieranie materiałów do sprawy rozwodowej.

- Chcę się po prostu dowiedzieć, co żona robi - tłumaczył. - Widzi pan, jakiś czas temu coś się w niej... zmieniło.

Edie zwykle ignorowała obecność detektywa. Nie rozmawiała o nim z Jackiem. Było jej to obojętne. Dobrze wiedziała, że ten tłustawy mężczyzna o wiecznie spoconej twarzy nie dowie się niczego.

Ostatni list przyszedł na początku grudnia. Edie odebrała go z poczty i pojechała na plażę w Lake Forest. Zaparkowała tak daleko od drogi, jak tylko mogła. Dzień był wietrzny. Panował przenikliwy ziąb. Na piasku nie było śniegu. Jezioro Michigan toczyło po kamieniach swoje brązowe niewielkie fale. Wszystkie większe skały, podobnie jak sam żwir, zostały starannie rozmieszczone, by zapobiec niszczeniu brzegu; plaża przypominała sztuczny plan filmowy. Poza jej hondą accord na parkingu nie było ani jednego samochodu. Edie nie wyłączyła silnika. Detektyw został nieco z tyłu; westchnął i zaparkował po drugiej stronie placu.

Kobieta rzuciła mu spojrzenie. Czy ja zawsze muszę mieć widownię? — pomyślała, przyglądając się jezioru. Mogłabym spalić ten list bez czytania. Zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałoby teraz jej życie, gdyby została w Londynie; gdyby udało jej się sprawić, że Jack wróciłby do Ameryki

sam. Ogarnęła ją silna tęsknota za bliźniaczką. Wyjęła kopertę z torebki, wsunęła palec w szczelinę i otworzyła szarpnięciem.

*Najdroższa e,  
obiecałam, że dam Ci znać- nadeszła już pora — żegnaj.*

*Starałam się sobie wyobrazić, co bym czuła, gdyby to chodziło o Ciebie — ale mimo że przez tak długo byliśmy rozdzielone, o świecie bez Ciebie nie umiem nawet pomyśleć.*

*Nie zostawiłam Ci niczego. Żyjesz moim życiem — to wystarczy. Postanowiłam za to przeprowadzić mały eksperyment — całość spadku zapisałam bliźniaczkom. Mam nadzieję, że się ucieszą.*

*Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.*

*Pożegnaj ode mnie Jacka.*

*Kocham Cię, mimo wszystko.*

*e*

Edie siedziała ze spuszczoną głową, czekała, aż popłyną łzy. Nie pojawiła się ani jedna. Ucieszyła się; nie chciała płakać na oczach detektywa. Spojrzała na pieczętkę. Widniała na niej data sprzed czterech dni. Ciekawe, kto to nadał? Być może pielęgniarka.

Wsunęła kopertę do torebki. Teraz już nie musiała jej palić. Ten list postanowiła na jakiś czas zachować. Może nawet na zawsze. Wyjechała z parkingu. Mijając samochód detektywa, pokazała mu uniesiony środkowy palec.

Kiedy skręcała z plaży w kierunku domu i myślała o swoich córkach, umysł Edie wypełniły najczarniejsze scenariusze. Zanim dotarła na miejsce, zdecydowała, że nie dopuści, by majątek jej siostry trafił w ręce Julii i Valentyny.

Jack wrócił z pracy i zastał żonę skuloną na łóżku. Leżała w ciemnym pokoju.

- Co się stało? — spytał.
- Elspeth nie żyje - odpowiedziała.
- Skąd wiesz?

Podawała mu kopertę. Przeczytał, czując jedynie ulgę. A więc to o to chodziło, pomyślał. Listy pisała Elspeth. Położył się obok niej, po swojej stronie. Edie obróciła się i przytuliła do męża.

- Przepraszam, skarbie - powiedział, a potem milczeli.

Przez wiele nadchodzących tygodni i miesięcy Jack miał tego żałować. Edie przestała z nim rozmawiać o swojej bliźniaczce, nie odpowiadała na pytania, nie rozważała kwestii spadku ich córek, nie przyznawała się do własnych uczuć. O zmarłej siostrze nie pozwalała mu nawet wspominać. Później Jack często się zastanawiał, czy gdyby żona z nim tego popołudnia pomówiła, czy gdyby to on ją zapytał, gdyby powiedział jej, że o wszystkim wie - czy także by go odsunęła? Zawisło między nimi milczenie.

Teraz jednak leżeli razem na łóżku. Edie złożyła głowę na piersi męża i słuchała, jak bije jego serce. „Nie martw się, wszystko będzie dobrze” - słyszała w głowie. „Nie wiem, czy sobie z tym poradzę. Myślałam, że się jeszcze zobaczymy. Dlaczego do ciebie nie pojechałam? Dlaczego zabroniłaś mi przyjeżdżać? Jak mogliśmy do tego dopuścić?”.

Jack objął ją ramieniem. Czy było warto? - spytała siebie, niezdolna wypowiedzieć choć słowa.

Otworzyły się drzwi wejściowe. Bliźniaczki wróciły do domu. Edie wyplątała się z łóżka i wstała. Nie płakała, ale i tak poszła przemyć twarz.

- Ani słowa - rzuciła, czesząc włosy.
- Dlaczego nie?

- Bo tak.

- Dobrze. - Ich spojrzenia spotkały się przelotnie w lust-  
rze. Edie zamknęła łazienkę, wyszła i Jack usłyszał po chwili  
jej głos.

- Jak tam w szkole? - zapytała zwykłym tonem.

- Bez sensu - rzuciła Valentina. - Nie jedliście jeszcze?

- Wymyśliłam, że pojedziemy do Southgate na pizzę -  
zapropozowała Edie.

Jack siedział na łóżku. Czuł się ociężały, zmęczony. Jak  
zwykle, nie miał pojęcia co się wokół niego dzieje, ale wie-  
dział już przynajmniej, co zje na kolację.

## KWIAT POLNY

Elsbeth Noblin umarła i poza złożeniem jej ciała do grobu nikt już nie mógł niczego dla niej zrobić. Kondukt pogrzebowy przejechał cicho przez bramę cmentarza Highgate. Za karawanem sunęło dziesięć samochodów wypełnionych antykwariuszami i innymi przyjaciółmi zmarłej. Trasa była bardzo krótka. Kościół św. Michała znajdował się nieopodal, na wzgórzu. Robert Fanshaw przyszedł piechotą z Vau-travers - jak nazywał się jego dom - ze swoimi przyjaciółmi i sąsiadami z góry - Marijke i Martinem Wellsami. Stali na przestronnym dziedzińcu po zachodniej stronie cmentarza. Patrzyli w ślad za karawanem, zmierzającym powoli wąską ścieżką ku rodzinnemu grobowcowi Noblinów.

Robert czuł się wyczerpany i otępiały. Nie docierały do niego niemal żadne dźwięki, zupełnie jakby oglądał film, z którego ktoś usunął ścieżkę dźwiękową. Martin i Marijke trzymali się razem, nieco z boku. Martin był szczupłym, schludnym mężczyzną o siwiejących, krótko przyciętych włosach i spiczastym nosie. W jego żyłach płynęła walijska krew i niezbyt dobrze tolerował cmentarze. Wydawało mu się, że Marijke - jego żona - nad nim góruje. Miała asymetryczną fryzurę, ufarbowaną na kolor jaskrawej fukcji. Usta pomalowała szminką tej samej barwy. Była osobą grubościstą, wybuchową i niecierpliwą. Zmarszczki na

jej twarzy kontrastowały z modnym strojem. Co chwila spoglądała z niepokojem na męża.

Martin zamknął oczy. Poruszył wargami. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że się modli, ale Robert i Marijke wiedzieli, że mężczyzna liczy. Z nieba spadały grube płatki śniegu, znikwały zaraz, gdy tylko dotknęły ziemi. Cmentarz Highgate składał się dziś z ociekających wodą drzew i rozmiękłych żwirowych ścieżek. Stado wron zerwało się z nagrobków, ptaki przeleciały między niższymi gałęziami, zakreśliły w powietrzu koło i wylądowały na dachu Kaplicy Odstępców, w której znajdowały się teraz biura cmentarza.

Marijke walczyła z ochotą na papierosa. Dawniej nie-specjalnie przepadała za Elspeth, ale teraz boleśnie czuła jej brak. Elspeth na pewno powiedziała by coś zjadliwie ironicznego i zabawnego, obróciła by to wszystko w żart. Marijke otworzyła usta i wypuściła powietrze. Jej oddech wisiał przez chwilę wokół twarzy niczym kłęb dymu.

Karawan przepłynął przez Aleję Cuttingsów i zniknął im z oczu. Grobowiec Noblinów znajdował się zaraz za Comfort's Corners, niemal w samym centrum Highgate; żałobnicy mieli przejść wąską, pociętą korzeniami drzew Aleją Kolumn i spotkać się z karawanem na miejscu. Przybywający na pogrzeb goście parkowali samochody przed półkolistą Kolumnadą, która oddzielała dziedziniec od właściwej części cmentarza. Wyplątali się z siedzeń i stawali niepewnie, rozglądając się wśród kaplic (szumnie niegdyś opisywanych jako wzniesione w stylu „grabarskiego gotyku”), przypatrywali się żelaznej bramie, Mauzoleum Ofiar Wojny i posągowi Fortuny, wbijającej pusty wzrok gdzieś pod cynowe niebo. Marijke pomyślała o wszystkich pogrzebach, jakie kiedykolwiek przeszły przez bramy Highgate. Wiktoriańskie powozy, ciągnięte przez konie przystrojone strusimi

piórami, otoczone wynajętymi żałobnikami i pozbawionymi wyrazu milczącymi tłumami, ustąpiły teraz miejsca bezładnej zbieraniu samochodów, parasoli i zachowujących się nienagannie, opanowanych przyjaciół. Cmentarz wydał jej się nagle starym teatrem: grano w nim bez przerwy jedną i tę samą sztukę, od czasu do czasu zmieniano jedynie kostiumy i fryzury aktorów.

Robert dotknął ramienia Martina, który otworzył oczy z miną człowieka gwałtownie wyrwanego ze snu. Przeszli przez dziedziniec i pod Kolumnadą. Wspięli się na porośnięte mchem schody i znaleźli wśród nagrobków. Marijke trzymała się z tyłu. Za jej plecami ciągnęła reszta gości. Alejki były śliskie, strome i kamieniste. Wszyscy patrzyli pod nogi. Nikt się nie odzywał.

Nigel, zarządca cmentarza, stał już przy karawanie. Wyglądał bardzo wytwornie. Był skupiony. Powitał Roberta stonowanym uśmiechem i spojrzeniem, które mówiło „Kiedy chodzi o kogoś bliskiego, to zupełnie inne doświadczenie, nieprawdaż?”. Obok Nigela stał przyjaciel Roberta - Sebastian Morrow. Sebastian zajmował się organizacją pogrzebów. Nigel widywał go już przy pracy, ale dzisiaj Sebastian osiągnął nowy, jeszcze głębszy wymiar współczucia i wewnętrznej rezerwy. Kierował uroczystością bez jednego ruchu, w milczeniu; co jakiś czas rzucał tylko okiem na konkretną osobę, przedmiot, na cokolwiek, co wymagało interwencji. Miał na sobie grafitowo-szary garnitur i ciemnozielony krawat. Urodził się w Londynie jako dziecko imigrantów z Nigerii; czarna skóra i ciemny ubiór sprawiały, że był na tle gęsto zarośniętego cmentarza jednocześnie obecny i niemal całkowicie niewidoczny.

Wokół karawanu zebrali się mężczyźni, którzy mieli nieść trumnę.

Wszyscy czekali, ale Robert poszedł alejką ku wapiennemu grobowcowi Noblinów. Nad wrotami z zaśnieżonej miedzi widniało tylko jedno słowo — nazwisko. Na drzwiach wyryto płaskorzeźbę przedstawiającą pelikanicę karmiącą swe pisklę własną krwią - symbol zmartwychwstania. Robert włączał niekiedy ten grobowiec do programu wycieczek, które oprowadzał po cmentarzu. Teraz jednak ciężkie drzwi stały otworem. Thomas i Matthew, grabarze, zatrzymali się jakieś dziesięć stóp dalej, obok granitowego pomnika. Spojrzał im w oczy. Skinęli głowami i podeszli.

Robert zawahał się, po czym zajrzał do środka. W grobowcu spoczywały już cztery trumny - dziadkowie i rodzice Elspeth. W narożnikach skromnego pomieszczenia zgromadziło się nieco kurzu. Pod wnęką, w której miała się znaleźć trumna Elspeth, stały dwa kozły. To wszystko. Emanujący z wnętrza chłód skojarzył się Robertowi z chłodnią. Odniósł wrażenie, że za chwilę dojdzie do pewnego rodzaju wymiany: on odda cmentarzowi Elspeth, a cmentarz da mu w zamian... nie, nie miał pojęcia co. Ale przecież coś musi dostać?

Wrócił z Thomasem i Matthew do karawanu. Trumna Elspeth została wyłożona ołowiem, przystosowana do nadziemnego pochówku, wskutek czego była niebywale ciężka. Mężczyźni chwycili ją i wnieśli do grobowca; kiedy opuszczali skrzynię na kozły, nastąpił niezręczny moment. Pomieszczenie było zbyt małe dla wszystkich, a sama trumna jakby rosła. Wreszcie jednak umieścili ją na właściwym miejscu. Ciemny dąb lekko połyskiwał w słabym świetle dnia. Wyszli na zewnątrz. W środku został tylko Robert. Stał lekko przygarbiony, z dłońmi przyciśniętymi do wieka, zupełnie jakby lakierowane drewno było skórą Elspeth, jakby mógł w tym pudle, w którym spoczęło jej wysuszone



ciało, wyczuć bicie serca. Myślał o jej bladej twarzy, o błękitnych oczach, które szeroko otwierała, gdy ją zaskakiwał, i które zmieniały się w wąskie szparki, kiedy coś jej się nie podobało; myślał o jej małych piersiach, o dziwnym ciepłe gorączkującego ciała, o sposobie, w jaki jej żebra wystawały z boków w ostatnich miesiącach choroby, o pooperacyjnych bliznach. Ogarnęły go pożądanie i odraza. Przypomniawszy sobie delikatną fakturę jej włosów, to, jak płakała, gdy zaczęły wypadać całymi garściami, to, jak gładził jej nagą głowę. Zobaczył w myślach łagodny łuk jej ud i opuchliznę, która się pojawiła, gdy ciało Elspeth, jeszcze za życia, zaczęło gnić komórka po komórce. Miała czterdzieści cztery lata.

- Robert... - Obok niego stanęła Jessica Bates. Przyglądała się mu spod runda jednego ze swoich niebywale eleganckich, wykwintnych kapeluszy, współczucie łagodziło jej surowe rysy. - Chodźmy już. - Złożyła swoje miękkie, stare palce na jego rękach.

Dłonie Roberta były wilgotne od potu i kiedy je podniósł, zauważył, że zostawiły wyraźne odciski na doskonale czystym wieku. W pierwszej chwili chciał te ślady zetrzeć, ale zmienił zdanie i postanowił je zostawić - ostatnie świadectwo jego dotyku na tym przedłużeniu ciała Elspeth. Pozwolił Jessice wyprowadzić się z grobowca i stanął wraz z nią i pozostałymi gośćmi. Rozpoczęła się druga część uroczystości.

— Dni człowiecze są jako trawa, a jako kwiat polny, tak kwitnie; gdy nań wiatr powieje, aliści go nie masz, ani go więcej pozna miejsce jego - mówił pastor.

Martin trzymał się na uboczu grupy. Miał znów zamknięte oczy i opuszczoną głowę, zaciśnięte z całych sił dłonie wsunął do kieszeni płaszcza. Marijke przywarła do męża i wzięła go pod rękę; chyba tego nie zauważył. Kiwał się

miarowo na piętach, w przód i w tył. Puściła go i pozwoliła mu się kołysać.

- Ponieważ upodobało się Bogu odwołać siostrę naszą z tej ziemi, polecamy ją łasce Boga i składamy jej ciało do ziemi Bożej, ziemia ziemi - prochy prochom - popioły popiołom, w nadziei zmartwychwstania do życia wiecznego przez Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Jezus Chrystus wskrzesi cię z martwych w dzień ostateczny - dokończył duchowny.

Wzrok Roberta błądził dokoła. Drzewa były ogołoczone z liści - do świąt zostały ledwie trzy tygodnie - ale cmentarz wciąż zieleniał. Na Highgate rosło wiele ostrokrzewów, przynieśli je tu Wiktorianie w wieńcach pogrzebowych i od tamtej pory pieniały się swobodnie. Wyglądało to iście świątecznie, o ile ktoś był w stanie dokonać umysłowego wysiłku, pozwalającego na wyobrażenie sobie Bożego Narodzenia na cmentarzu. Starając się skupić na słowach pastora, słyszał nawołujące się w pobliżu lisy.

Obok Roberta stała Jessica Bates. Plecy miała wyprostowane, brodę uniosła wysoko, lecz Robert czuł jej znużenie. Była przewodniczącą Towarzystwa Przyjaciół Cmentarza Highgate - organizacji charytatywnej, która opiekowała się tym miejscem i organizowała wycieczki dla turystów. Robert był co prawda jej pracownikiem, ale wiedział, że na pogrzeb Elspeth przyszłaby i tak. Lubiły się. Gdy Elspeth pojawiała się w ich biurze, by zjeść z Robertem lunch, zawsze przynosiła staruszce kanapkę.

Poczuł ukłucie paniki: jak ja to wszystko zapamiętam? W jaki sposób mam nie zapomnieć Elspeth? W tej chwili wciąż jeszcze przepełniały go jej zapachy, głos, wyraźne w słuchawce telefonu wahanie, zanim się z nim przywitała, sposób, w jaki poruszało się jej ciało, kiedy się kochali,

jej uwielbienie dla niewiarygodnie wysokich obcasów, zmysłowy stosunek do starych książek i dziwna, chłodna obojętność, kiedy je sprzedawała. Teraz wiedział wszystko, co można było o Elspeth wiedzieć, i rozpaczliwie pragnął zatrzymać czas, by nic z tego nigdy mu nie uciekło. Ale już było za późno; powinien był się zatrzymać wtedy, kiedy zatrzymała się ona. Teraz ją wyprzedzał, zostawiał za sobą, tracił. Już zaczęła blednąć. Powiniennem to wszystko gdzieś zapisać... Czuł jednak, że żadne słowa nie będą odpowiednie. Nic, co mógłbym napisać, nie będzie w stanie mi jej zwrócić.

Nigel zamknął drzwi grobowca. Robert wiedział, że klucz spocznie w opatrzonej numerem przegródce w szufladzie w biurze, aż do czasu, gdy będzie znów potrzebny. Zapadło niezręczne milczenie. Obrządek dobiegł już końca i nikt nie wiedział, jak należy się zachować. Jessica ścisnęła lekko Roberta za ramię i skinęła pastorowi głową. Robert podziękował duchownemu i wręczył mu kopertę.

Żałobnicy ruszyli alejką. Wkrótce Robert znów znalazł się na dziedzińcu przed Kolumnadą. Śnieg tymczasem przeobraził się w deszcz. Stado czarnych parasoli niemal natychmiast rozpostarło skrzydła. Ludzie wsiadali do samochodów, opuszczali cmentarz. Ktoś coś do niego mówił, poklepywały go cudze dłonie, pojawiały się zaproszenia na herbatę lub coś mocniejszego. Nie bardzo wiedział, co ma im odpowiadać, na szczęście, wszyscy taktownie się wycofywali. Znajomi antykwariusze udali się do „The Angel” na drinka. Robert zauważył Jessicę. Stała w oknie biura i przyglądała się mu. Podeszli do niego Marijke i Martin. Kobieta prowadziła męża pod ramię. Wciąż miał pochyloną głowę i wydawał się pochłonięty każdą dziurą w podłożu. Robert był wzruszony samym pojawieniem się sąsiada. Marijke

wzięła Roberta za rękę i we trójkę wyszli na Swains Lane. Gdy dotarli na szczyt Highgate Hill, skierowali się w lewo. Po kilku minutach spaceru znów skręcili w tę samą stronę. Marijke musiała puścić dłoń Roberta i zajęła się ponaganiem Martina. Przeszli wąską asfaltową ścieżką. Robert otworzył bramę i znaleźli się w domu. We wszystkich trzech mieszkaniach w Vautravers było ciemno. Dzień ustępował wieczorowi i w tym świetle budynek wydał się Marijke jeszcze bardziej masywny i przytłaczający niż zwykle. Stanęli w korytarzu. Kobieta uściśnięła Roberta. Nie wiedziała, co powiedzieć - padły już wszystkie możliwe słowa, więc nie odezwała się wcale. Robert odwrócił się, by samotnie wejść do mieszkania.

- Przykro mi - niespodziewanie rozległ się szorstki, gardłowy głos Martina.

Na ten dźwięk wszyscy drgnęli. Robert zatrzymał się i kiwnął głową. Zaczekał, niepewny, czy przyjaciel zechce cokolwiek dodać. Wszyscy troje stali w niezręcznym milczeniu, aż Robert skinął raz jeszcze i zniknął za drzwiami. Martin wciąż się zastanawiał, czy ma prawo mówić cokolwiek. Ruszyli z Marijke po schodach. Zatrzymali się na drugim piętrze, przed wejściem do mieszkania Elspeth. Na drzwiach wisiała wypisana na maszynie karteczka z nazwiskiem „Noblin”. Marijke uniosła dłoń i musnęła ją. Wizytówka przypomniała jej napis na grobowcu. Pomyślała, że teraz to skojarzenie będzie do niej wracać, ilekroć tędy przejdzie.

Robert znalazł się w swojej urządzonej po spartańsku, niemal zupełnie ciemnej sypialni. Zzuł buty i położył się na łóżku. Wełnianego płaszcza nie zdjął. Patrzył w sufit i wyobraził sobie mieszkanie Elspeth, piętro wyżej - jej kuchnię, pełną jedzenia, którego ona już nie zje; jej ubrania,

książki i krzesła - już ich nie włoży, nie przeczyta i na nich nie usiądzie. Biurko z dokumentami, które będzie musiał przejrzeć. Musi się jeszcze zająć bardzo wieloma rzeczami. Ale nie teraz.

Nie był gotów na jej nieobecność. Aż do śmierci Elspeth nie umarł nikt, kogo kochał. Inni znikali, ale nie umierali. Elspeth? Nawet samo imię brzmiało pustką, jakby oddzieliło się od niej i szybowało swobodnie w jego umyśle. Jak ja mam bez ciebie żyć? Nie martwił się o własne ciało: wiedział, że ono będzie działać jak dotąd. Problem zawierał się w słowie „jak”; przeżyje, ale bez Elspeth cały smak, sposób, dotychczasowa metoda życia zostały mu odebrane. Będzie musiał na nowo uczyć się samotności.

Była dopiero czwarta po południu. Słońce zachodziło; sypialnia traciła kształty w ciemności. Zamknął oczy i czekał na sen. Po jakimś czasie zrozumiał, że nie zaśnie. Wstał, włożył buty, poszedł na górę, do Elspeth, i otworzył drzwi. Ruszył przez jej mieszkanie, nie zapalając światła. W sypialni znów zdjął buty, zrzucił z ramion płaszcz. Zawahał się na moment, po czym rozebrał się do naga. Wsunął się do łóżka, na tę samą stronę, na której zazwyczaj sypiał. Okulary odłożył na to samo miejsce na szafce, na którym kładł je do tej pory. Skulił się i, czując, jak chłód pościeli znika, zaczął się odprężać. Zasnął, czekając, by Elspeth położyła się obok.

# WYPROWADZKA

Marijke Wells de Graaf stała w drzwiach sypialni, którą przez ostatnie dwadzieścia trzy lata dzieliła ze swym mężem, Martinem. W dłoni trzymała trzy koperty i prowadziła ze sobą wewnętrzną dyskusję, gdzie powinna umieścić ostatnią z nich. Jej walizki stały na piętrze przy schodach, wraz z przewieszonym przez nie żółtym płaszczem. Teraz wystarczyło już tylko zostawić ten jeden list i będzie mogła wyjść.

Martin brał prysznic. Kapał się już około dwudziestu minut i miało to trwać jeszcze jakąś godzinę, nawet jeśli wcześniej skończy się ciepła woda. Marijke rozmyślnie nie próbowała się nawet dowiedzieć, co on tam robi. Słyszała, jak mąż mówi coś do siebie - cichy, pogodny ton; równie dobrze mogłoby to być radio. Witamy, tu Radio Schizol, pomyślała. Jest czwartek, właśnie minęła ósma. Za chwilę kolejna porcja waszych ulubionych, obsesyjno-kompulsyjnych hitów.

Kopertę chciała zostawić gdzieś, gdzie znalazłby ją szybko, ale nie za szybko. Musiała też wybrać miejsce, które nie sprawi Martinowi problemów, takie z którego będzie w stanie ją wziąć. Równocześnie nie chciała niczego na zawsze skazać. Wiedziała jednak, że gdziekolwiek zostawi list, samo miejsce może się mężowi już zawsze kojarzyć z jego treścią, stając się tym samym zakazane.

Zastanawiała się nad tym od kilku tygodni i wciąż nie była w stanie dokonać wyboru. Myślała o tym, by nie zostawiać koperty w mieszkaniu i wysłać przesyłkę pocztą. Nie chciała też jednak, by Martin zbyt długo się niepokoił jej przedłużającą się nieobecnością. Szkoda, że nie mogę go zawiesić w powietrzu. Po chwili uśmiechnęła się i poszła po przybory do szycia.

Marijke stała w gabinecie Martina obok biurka i próbowała opanować drżenie rąk na tyle, by nawlec nitkę w płomień żółtego światła małej lampki. W ich mieszkaniu było bardzo ciemno; Martin zakleił okna gazetami i o tym, że wstał już dzień, świadczył tylko lekki blask, przesączający się gdzieś przez taśmę klejącą na skrajach papierowych płacht. Wreszcie trafiła w igielne ucho. Marijke przeszyła kopertę kilka razy i stanęła na krześle Martina, by przykleić nić taśmą do sufitu. Była wysoką kobietą, ale i tak musiała się wyciągnąć. Zakręciło jej się w głowie, zachwiała się w mroku. To byłby raczej kiepski dowcip losu, gdybym teraz spadła i się połamała, pomyślała. Wyobraziła sobie siebie na podłodze, z roztrzaskaną głową i kołyszającym się nad nią listem. Mgnienie oka potem odzyskała jednak równowagę i zeszła z siedzenia. List jakby lewitował nad biurkiem. Doskonale. Zebrała z blatu nici i igły i wsunęła krzesło na miejsce.

Nagle zawołał ją Martin. Marijke zamarła.

- Co?! - odchrzyknęła po chwili. Przybory do szycia odstawiła na biurko. Weszła do sypialni i zatrzymała się przy zamkniętych drzwiach łazienki. - Co?! - Wstrzymała oddech; pozostałe dwa listy schowała za plecami.

- Na moim biurku leży list do Theo. Mogłabyś go po drodze wysłać?

- Dobrze.

- Dzięki.

Marijke nieznacznie uchyliła drzwi. Wypełniająca łazienkę para wypłynęła przez szparę i zwilżyła jej twarz. Zawahała się.

- Martin...

- Hmm?

Miała pustkę w umyśle.

- *Tot ziens*, Martin - odezwała się wreszcie.

- *Tot ziens*, kochanie. - Jego głos był taki wesoły. - Do zobaczenia wieczorem.

Łzy napłynęły jej do oczu. Wyszła powoli z sypialni, przecisnęła się pomiędzy zalegającymi w przedpokoju stertami opakowanych w folię pudełek, zajrzała do gabinetu, zabrała list do syna i ruszyła do drzwi wyjściowych. Zatrzymała się z dłonią na klamce. Przyszło do niej luźne wspomnienie: staliśmy tu razem, tak samo jak teraz, dotykałam wtedy klamki. Młodszą dłonią - oboje byliśmy młodszy. Padało. Wróciliśmy właśnie z zakupów... Mieszkanie było duże i stojąc przy wyjściu, nie słyszała już Martina. Zostawiła drzwi uchylone (nie zamykali ich nigdy), włożyła płaszcz, rzuciła okiem na zegarek. Dźwignęła walizki i zniosła je nieporadnie po schodach, przelotnie spoglądając na wizytówkę Elspeth. Gdy znalazła się na parterze, wrzuciła jedną z kopert do koszyka z korespondencją do Roberta.

Marijke wyszła przez bramę i nie odwróciła się, by spojrzeć raz jeszcze na Vautravers. Kroczyła przed siebie ulicą, ciągnąc za sobą terkocące kółkami walizki. Był zimny i wilgotny styczniowy poranek; w nocy spadł deszcz. Highgate Village wydawało się tego ranka dziwnie niezmiennie; odniosła wrażenie, że w chwili gdy trafiła tu po raz pierwszy, zatrzymał się czas. Wtedy, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym, była młodą kobietą, młodą żoną. Na Pond



Square wciąż stała ta sama czerwona budka telefoniczna, choć teraz nie było już stawu. Marijke nie pamiętała czasów, kiedy był tu jeszcze staw. Tylko żwirowe alejki i ławeczki z drzemiącymi na nich emerytami. Stary właściciel księgarni wciąż tak samo bacznie przypatrywał się turystom, którzy przeglądali jego wyjątkowe mapy i książki. Przez plac przebiegł żółty labrador, zwinnie wymijając wrzeszczące, uczące się chodzić dziecko. Małe restauracyjki, pralnie chemiczne, biura firm deweloperskich, apteki - wszystko to czekało w bezruchu i pustce, jakby gdzieś w pobliżu wybuchła bomba, pozostawiając przy życiu jedynie matki zapamiętałe pchające wózki. Marijke wrzuciła do skrzynki list Martina i swój własny. Wróciła do wszystkich tych godzin, które spędziła tu z Theo. Może przeczytają jednocześnie? - pomyślała.

Taksówkarz już na nią czekał. Wrzucił walizki do bagażnika i wsiedli do samochodu.

- Heathrow? - spytał.

- Tak, czwarty terminal - odpowiedziała Marijke. Ruszyli przez North Hill w stronę Great North Road.

\*\*\*

Jakiś czas potem, akurat gdy Marijke stała w kolejce do okienka KLM, Martin wyszedł spod prysznic. Gdyby ujrzał go ktoś obcy, mógłby poważnie zaniepokoić się jego wyglądem: mężczyzna miał mocno podrażnioną, jasnoczerwoną skórę, zupełnie jakby jakaś nadludzko zaangażowana małżonka starannie go wygotowała, by pozbawić wszelkich nieczystości.

Martin czuł się dobrze. Był czysty. Poranna toaleta stanowiła dla niego szczytowy moment dnia. Znikały wszelkie

lęki; pod prysznicem radził sobie ze wszystkimi niepokojami, myślał jasno. Drugi prysznic, ten który brał przed popołudniową herbatą, nie przynosił już takiego zadowolenia, ponieważ trwał krócej i był skażony tłumem natrętnych myśli oraz lękami związanymi z rychłym powrotem Marijke z jej pracy w BBC. Wieczorna kąpiel z kolei była naznaczona strachem przed znalezieniem się z żoną w łóżku. Martwił się wtedy swym zapachem i tym, czy ona zechce się z nim kochać, czy każe mu czekać na jakąś inną noc. (Ostatnio seksu było w ich życiu coraz mniej). Były też oczywiście lęki i niepokoje związane z krzyżówkami, e-mailami napisanymi i tymi, na które trzeba będzie jeszcze odpowiedzieć, z zastanawianiem się nad tym, co też porabia Theo w Oksfordzie (ich syn opowiadał o swoim życiu i kolejnych dziewczynach o wiele mniej, niżby Martin sobie tego życzył).

- On ma dziewiętnaście lat. To i tak cud, że mówi nam cokolwiek - zauważyła kiedyś Marijke.

To jednak nie pomogło i Martin wciąż wyobrażał sobie rozmaite wirusy, wypadki drogowe i zakazane prawem używki; Theo kupił sobie niedawno motocykl, co sprawiło że w codziennej paradyzie lęków Martina koncentrujących się wokół zdrowia i bezpieczeństwa potomka pojawiły się nowe.

Sięgnął po ręcznik i zaczął się wycierać. Był namiętym obserwatorem własnego ciała, z troską przyglądał się wszelkim odciskom, żyłkom i śladom po ukąszeniach owadów. Mimo to, nie miał prawie żadnego pojęcia o tym, jak sam wygląda. Nawet Marijke i Theo istnieli w pamięci Martina jako zbitki słów i uczuć. Nie radził sobie z zapamiętywaniem twarzy.

Dziś wszystko szło gładko. Wiele z higienicznych rytuałów Martina było zorganizowanych wokół idei symetrii: ruch maszynką do golenia na lewym policzku wymagał identycznego pociągnięcia na prawym. Kilka lat temu natręctwo to doprowadziło do wyjątkowo kiepskiego okresu w jego życiu, kiedy czuł przymus, by usuwać ze swego ciała wszystkie, nawet najmniejsze włoski. Każdego ranka zajmowało to całe godziny, a Marijke płakała na sam widok męża. Wreszcie jednak Martinowi udało się przekonać siebie, że przesadne golenie można zastąpić dodatkową sesją liczenia. Dziś rano policzył zatem ruchy maszynki (trzydzieści), których wymagało zgolenie zarostu na brodzie, po czym odłożył ją na umywalkę i trzydzieści razy policzył do trzydziestu. Zajęło mu to dwadzieścia osiem minut. Martin robił to powoli, bez pośpiechu. Ten bowiem zawsze prowadził do zamieszania. Ilekroć starał się liczyć prędzej, okazywało się, że musi zaczynać od nowa. Ważne było, by zrobić to właściwie i tym samym dopełnić rytuału.

Dopełnienie: za każdym razem, kiedy Martin dopełnił jak należy serię ruchów, liczb, kąpieli, myśli, nie-myśli, czerpał z tego (ulotne) poczucie zadowolenia. Jednocześnie nie chciał sprawić sobie zbyt wielkiej przyjemności. Nie chodziło przecież o to, by zadowolić własne pragnienia, tylko o to, by zapobiec katastrofie.

Bo dręczyły go także obsesje - przypominały ukłucia, kuksańce, wyzwania: czy wyłączyłem gaz? Czy ktoś patrzy w moje okno? Może mleko się już zepsuło? Lepiej powąchać, zanim doleję go do herbaty. Czy po skorzystaniu z toalety umyłem ręce? Lepiej umyję je jeszcze raz, tak dla pewności. Czy wyłączyłem gaz? Czy kiedy wkładałem spodnie, szurnałem nogawkami po podłodze? Zrób to jeszcze raz,

zrób to jak należy. Zrób to jeszcze raz. Zrób to jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze.

Jego natręctwa stanowiły więc odpowiedzi na pytania stawiane przez obsesje. Sprawdzić gaz. Umyć ręce. Umyć je bardzo dokładnie, by nie popełnić najdrobniejszego błędu. Użyć mocniejszego mydła. Użyć wybielacza. Podłoga jest brudna. Umyć. Obejść brudny fragment, nie stawiając na nim stopy. Wykonać przy tym jak najmniej kroków. Rozłożyć na podłodze ręczniki, żeby się to nie rozlało. Uprać ręczniki. Jeszcze raz. I jeszcze. Nie, tak nie należy wchodzić do sypialni. Ale co właściwie zrobiłem nie tak? Po prostu nie tak. Wejść najpierw prawą nogą. A zaraz potem skrócić całe ciało w lewo - właśnie tak. Od razu lepiej. Ale co z Marijke? Ona też musi tu wchodzić w ten sposób. Nie spodoba się jej. Nieważne. Nie zrobi tego. Zrobi. Musi. Niedobrze, jeśli tego nie zrobi. Na pewno wydarzy się coś potworne-go. Tylko co takiego? Nie wiem. Nie mogę o tym myśleć. Szybko - wielokrotności dwudziestu dwóch: czterdzieści cztery, sześćdziesiąt sześć, osiemdziesiąt osiem... tysiąc sto dwadzieścia dwa...

Zdarzały się dni dobre, złe i bardzo złe. Dzisiejszy powo-li przybierał pomyślne kształty. Martin wrócił wspomnie-niami do czasów, gdy studiował na Oksfordzie i co środa grywali w tenisa z kolegą z kursu filozofii matematyki. Zda-rzało się wówczas, że, już wyciągając raketę z pokrowca, wiedział, że każde uderzenie wyjdzie doskonale. Dzisiaj czuł się podobnie.

Martin otworzył drzwi łazienki i przyjrzał się sypialni. Marijke zostawiła mu na łóżku rozłożone ubrania. Buty stały na podłodze, starannie rozmieszczone w jednej linii z nogawkami spodni. Każdy element stroju znajdował się dokładnie na swoim miejscu. Nie dotykały się wzajemnie.

Spojrzał niepewnie na drewnianą podłogę. Było znać na niej miejsca, gdzie lakier już się wytarł lub deski wypaczyły się od wilgoci - na to jednak Martin nie zwracał uwagi. Próbował stwierdzić, czy może stanąć na parkiecie gołymi stopami. Dziś było bezpiecznie. Ruszył do łóżka i zaczął się bardzo powoli ubierać.

W miarę jak jego ciało pokrywały kolejne warstwy stroju, Martin czuł narastające poczucie bezpieczeństwa. Spowijała go czysta, znajoma tkanina. Był bardzo głodny, ale się nie śpieszył. Wsunął stopy do butów. One zawsze stanowiły problem. Brązowe półbuty stanowiły rodzaj kompromisu, czy też pośrednika, pomiędzy jego czystym ciałem a bezustannie groźną podłogą. Nie lubił ich dotykać. Zrobił to jednak i udało mu się nawet zawiązać sznurowadła. Marijke zaproponowała kiedyś, że kupi mu wsuwane obuwie na rzepy, ten pomysł odrzucił jednak z powodów estetycznych.

Martin zawsze ubierał się w stonowane, ciemne ubrania; promieniował elegancją. Co prawda nie posuwał się do noszenia w domu krawata, ale zawsze wyglądał tak, jakby go chwilę temu zdjął albo właśnie zamierzał zawiązać. Odkąd przestał wychodzić z mieszkania, jego krawaty wisiały na wieszaku w szafie.

Ubrany, ostrożnie przeszedł przez przedpokój i znalazł się w kuchni. Śniadanie czekało na stole. Płatki w misce, niewielki dzbanek mleka, dwie morele. Nacisnął włącznik elektrycznego czajnika i po kilku minutach zagotowała się woda. Martin miał stosunkowo niewiele natręctw związanych z jedzeniem. Obracały się głównie wokół kwestii przeżuwania każdego kęsa określoną ilość razy. Kuchnia stanowiła niepodzielne królestwo Marijke, która kazała mu wynosić wszystkie niepokojące przedmioty do innych pomieszczeń. Gazowej kuchenki starał się nigdy nie włączać,

ponieważ nie byłby w stanie stwierdzić, czy ją wyłączył, i godzinami stałby z ręką na pokrętle, kręcąc nim w obie strony. Dzięki elektrycznemu czajnikowi mógł jednak zrobić sobie herbatę i tak właśnie uczynił.

Obok miski z płatkami, Marijke zostawiła mu gazety. Były nieskazitelne, wciąż schludnie złożone. Martin poczuł przypływ wdzięczności - lubił być tym, kto otwiera świeżą gazetę jako pierwszy, ale nigdy nie udawało mu się zdażyć przed żoną. Otworzył „Guardiana” i od razu zajrzał na stronę z krzyżówką.

Był czwartek, a na czwartki Martin zawsze przygotowywał szarady z hasłami związanymi z nauką. Ta dzisiejsza dotyczyła astronomii. Przejrzał ją pobieżnie, by sprawdzić, czy wszystko jest jak należy. Był szczególnie dumny z jej kształtu - rozpościerała się przed nim niczym wielka i idealnie symetryczna galaktyka spiralna. Następnie spojrzął na rozwiązanie wczorajszej łamigłówki, ułożonej wedle ścisłych standardów Ximenesa\* przez jego kolegę po fachu, Alberta Beamisha. Beamish publikował pod pseudonimem „Lillibert”; Martin nie miał pojęcia dlaczego. Nigdy nie poznał go osobiście, choć zdarzało się, że rozmawiali ze sobą przez telefon. Martin zawsze wyobrażał go sobie jako włochatego mężczyznę w stroju baletnicy. Pseudonim Martina brzmiał „Bunbury”.

Otworzył „Timesa”, „Daily Telegraph”, „Daily Mail” i „Independent” i zaczął je przeczesywać w poszukiwaniu

\* Ximenes - właśc. Derrick Somerset Macnutt - słynny angielski autor krzyżówek, nazywany „ojcem nowoczesnej krzyżówki”. Tworzył szarady dla tygodnika „The Observer” od roku 1939 do 1972, kiedy opublikowano ułożoną przez niego krzyżówkę numer 1200 (przy. tłum.).

interesujących wiadomości. Krzyżówka, nad którą aktualnie pracował, dotyczyła dziejów wojen w Mezopotamii. Nie był pewien, czy spodoba się to wydawcy, ale, jak każdy artysta, czuł przemożną potrzebę wyrażania w dziełach własnych zainteresowań, a Irak zajmował ostatnio poczesne miejsce w jego umyśle. Dzisiejsze gazety były pełne informacji o szczególnie krwawym samobójczym zamachu bombowym w pewnym meczecie. Martin westchnął, sięgnął po nożyczki i zaczął wycinać artykuły.

Po śniadaniu pozmywał (prawie normalnie) i ułożył starannie gazety (bardziej w tej chwili przypominające koronki). Poszedł do gabinetu i pochylił się nad biurkiem, by zapalić lampkę. Gdy się prostował, coś musnęło jego twarz.

W pierwszej chwili pomyślał, że do pokoju dostał się nietoperz, ale mgnienie oka potem zobaczył list. Łagodnie kołysał się na nitce pod sufitem. Zamarł i przyjrzał się kopercie. Widniało na niej jego imię, spisane odważnym, odręcznym charakterem Marijke. Co ty zrobiłaś? - pomyślał. W umyśle miał pustkę. Stał przed wiszącym listem z pochyloną głową i rękoma obronnie skrzyżowanymi na piersi. Wreszcie ruszył się i chwycił go. Pociągnął lekko i oderwał nic od sufitu. Powoli otworzył kopertę, rozprostował kartkę, sięgnął po okulary do czytania i założył je. Co ona zrobiła?

6 stycznia

*Lieve Martin,  
mój kochany mężu, przepraszam. Nie mogę dłużej żyć  
w ten sposób. Kiedy przeczytasz ten list, ja będę już  
w drodze do Amsterdamu. Theo poinformowałam w in-  
nym liście.*

*Nie wiem, czy jesteś to w stanie zrozumieć, ale spróbuję wytłumaczyć. Chcę zacząć żyć bez ciągłego czuwania nad Twoimi lękami. Martin, jestem zmęczona. Wyciągnę cię mnie. Wiem, że bez Ciebie będę samotna, ale będę też wolna. Znajdę sobie małe mieszkanie i otworzę okna, przez które wpuszczę słońce i powietrze. Wszystko będzie pomalowane na biało, a w każdym pokoju ustawię kwiaty. Nie będę musiała wchodzić do sypialni prawą nogą naprzód i nie będę czuć zapachu wybielacza na skórze i każdym przedmiocie w domu. Swoje rzeczy pochowam do szuflad i szaf, i nie będę ich trzymać w plastikowych pojemnikach ani owijać folią. Nie będę niszczyć mebli bezustannym szorowaniem. Może nawet kupię sobie kota.*

*Jesteś chory, Martin, ale nie chcesz się leczyć. Nie wróć do Londynu. Jeśli chcesz się ze mną zobaczyć, przyjedź do Amsterdamu. Najpierw jednak musiałbyś wyjść z mieszkania, więc obawiam się, że nigdy już się nie zobaczymy.*

*Próbowałam zostać, ale nie udało mi się.*

*Wszystkiego dobrego, kochany,*

*Marijke*

Martin zamarł z listem w dłoni. Stała się rzecz najgorsza. Nie pojmował. Odeszła. Nie wróci. Marijke. Powoli zgiął się w pasie, w kolanach, aż wreszcie ukucnął przed biurkiem. Ostre światło zalewało mu plecy, twarz miał kilka cali nad kartką. Ukochana... Moja kochana... Uleciały zeń wszystkie myśli, została tylko bezmierna pustka, zupełnie jak wtedy, gdy fala wycofuje się z plaży, by powrócić jako tsunami. Marijke.



Marijke siedziała w pociągu i przyglądała się płaskiemu, szaremu krajobrazowi, rozmytemu za oknem. Padało. Niebo zwieszało się nisko nad ludzkimi głowami. Jestem prawie w domu, pomyślała. Spojrzała na zegarek. Martin na pewno znalazł już list. Wyjęła z torebki swoją komórkę i otworzyła klapkę. Żadnych nieodebranych połączeń. Zatrzasnęła telefon. Deszcz siekł w szyby. Co ja zrobiłam? Przepraszam, Martin. Dobrze jednak wiedziała, że nie będzie jej przykro, gdy już znajdzie się w domu, a dom mogła teraz znaleźć tylko w Amsterdamie.

## LUTY

Robert oprowadził po cmentarzu wycieczkę antykwariuszy z Hamburga i stał teraz pod łukiem głównej bramy Highgate, czekając, aż jego podopieczni kupią pocztówki i zabrają z biura swoje bagaże, po czym będzie mógł ich odprowadzić i zaniknąć cmentarz. Zimą nie organizowano regularnych wycieczek. Lubił cmentarz w takie ciche dni. Był wtedy stonowany, zwyczajny.

Antykwariusze wysypali się z dawnej anglikańskiej kaplicy, która służyła teraz za prowizoryczny sklepik z pamiątkami. Robert spojrzął na nich i potrząsnął zielonym plastikowym pudełkiem. Wrzucili nieco drobnych. Zawsze podczas tych niewielkich transakcji czuł się nieco zażenowany, ale datki na cmentarz nie były obciążone VAT-em, więc wszyscy pracownicy Highgate żebrali z prawdziwym entuzjazmem. Robert uśmiechnął się, pomachał Niemcom na pożegnanie, po czym przekręcił staroświecki klucz w masywnym zamku bramy.

Wszedł do biura i odłożył pudełko i klucz na biurko. Felicity, sekretarka, uśmiechnęła się i wysypała pieniądze na blat.

- Zupełnie nieźle jak na taką okropną środę — zauważyła. Wyciągnęła dłoń. - Walkie-talkie?

Robert poklepał się po kieszeni swego płaszcza przeciwdeszczowego.

- Zaraz przyniosę.

- Czyli jeszcze wychodzisz? - zdziwiła się Felicity. - Zaczyna padać.

- Tylko na trochę.

- Molly jest po drugiej stronie. Możesz jej to zanieść?

- Jasne.

Robert odebrał od kobiety broszurki i wyciągnął parasol ze stojaka przy schodach. Przeszedł na drugą stronę Swains Lane. Molly, szczupła starsza kobieta w zielonych ogrodniczkach i kurtce z kapturem, siedziała na składanym krzeselku w mauzoleum barona Stratchony i Mount Royal, które czaiło się w swym splendorze różowego granitu tuż przy wschodniej bramie cmentarza. Wyjrzała z cienia, wzięła od Roberta ulotki i broszury, po czym starannie rozmieściła je na niewielkim stojaku obok. Na okładkach książeczek widniał portret Karola Marksa; to właśnie on i George Eliot byli największymi gwiazdami wśród osób pochowanych po tej stronie cmentarza.

- Chcesz wejść do środka? - spytał Robert. - Trochę się ogrzejesz.

- Nie trzeba. Mam tu piecyk. Złożyłeś już swoją wizytę? - Molly mówiła powoli, schrypniętym, sennym głosem; miała lekki, australijski akcent.

- Nie, dopiero co skończyłem wycieczkę.

- Więc idź.

Wracając przez Swains Lane, Robert zastanowił się nad sposobem, w jaki Molly powiedziała „swoją wizytę”. Zupełnie jakby to była teraz jedna z oficjalnych części codziennego rozkładu dnia na cmentarzu. Pracownicy zrobili na jego

żałobę miejsce, jakby była dotykalnym, fizycznym przedmiotem. Wszyscy inni jej unikali, ale tutaj, na Highgate koledzy i koleżanki byli przyzwyczajeni do obecności żałobników i traktowali śmierć w bardzo specyficzny, rzeczowy sposób, którego Robert aż do teraz nie doceniał.

Kiedy dotarł do grobowca Elspeth, mżawka przeszła w deszcz. Zamaszystym gestem rozłożył parasol i usiadł na schodku, plecami do drzwi. Odchylił głowę i zamknął oczy. Niecałą godzinę temu przechodził tędy, oprowadzając turystów. Pogodnie opowiadał o stypach i nadzwyczajnych środkach ostrożności, do jakich uciekano się w epoce wiktoriańskiej, z obawy przed pogrzebaniem żywcem. Nie podobało mu się, że grobowiec Noblinów został wzniesiony przy jednej z głównych alejek. Nie istniała możliwość pokazania cmentarza odwiedzającym bez przechodzenia obok Elspeth. Miał wrażenie, że spacerowanie z grupkami rozgadanych ludzi obok tego niewielkiego budynku, na którym wyryto w kamieniu jej nazwisko, stanowi szczególną odmianę bezduszości i okrucieństwa. Nie myślał w ten sposób, kiedy był to jeszcze po prostu jej rodzinny grobowiec - nie poznał jej krewnych. Dopiero teraz zaczął też rozumieć powód, dla którego Jessica była tak niewzruszona w kwestii obyczajnego zachowania na cmentarzu. Dotąd często się z nią na ten temat sprzeczał. Według Jessiki, istota Highgate nie zawierała się w wycieczkach, grobach, ani w nadnaturalnej, pełnej makabrycznych wiktoriańskich dziwactw, atmosferze. Dla niej na cmentarzu najważniejsi byli umarli i opiekunowie ich grobów. Robert poznał ją, ponieważ pracował - szło mu to dość opornie - nad historią Highgate. Zamierzał obronić z tego tematu doktorat. Jessica jednak nie miała zwyczaju czegokolwiek marnotrawić, a szczególnie dobrze szło jej zapędzanie ludzi do pracy.

- Skoro i tak zamierzasz się tego wszystkiego uczyć, może byś się na coś przydał? - zasugerowała wówczas.

Tak właśnie zaczęła się jego kariera przewodnika i okazało się, że o wiele bardziej podoba mu się sam cmentarz niż cokolwiek, co na jego temat napisał.

Robert się zgarbił. Kamienny stopień, na którym siedział, był zimny, mokry i niski. Kolana miał uniesione niemal do wysokości ramion.

- Witaj, kochanie — powiedział i jak zwykle poczuł absurd rozmawiania na głos z grobowcem. Dalej mówił już tylko w myślach: „Witaj, przyszedłem. Gdzie jesteś?”. Wyobraził sobie Elspeth siedzącą wewnątrz niczym święta w pustelni, spoglądającą na niego przez kratkę w drzwiach z nikłym uśmiechem na twarzy. „Elspeth?”.

Nigdy nie sypiała spokojnie. Za życia jej sen był przerywany bezustannymi drgawkami - wierciła się bez końca, często też kradła jego pościel. Gdy kładła się sama, zajmowała całe łóżko, zamiast flag oznaczając terytorium kończynami. Kiedy był u niej Robert, często budziła go zbłąkanym uderzeniem łokcia lub kolana, albo gwałtownymi wymachami nóg. Wyglądało to niemal tak, jakby biegła przez sen.

- Którejś nocy złamiesz mi nos - powiedział jej kiedyś.

Elspeth dobrze wiedziała, że jest niebezpiecznym towarzyszem snu.

- Z góry przepraszam - odpowiedziała i ucałowała zagrożoną część ciała Roberta. - Choć myślę, że ze złamanym nosem wyglądałbyś świetnie. Dodałoby ci to nieco chilijskiego uroku.

Teraz został już tylko bezruch. Drzwi grobowca były barierą, którą mógł pokonać; klucz wciąż leżał w jej biurku - drugi przechowywano w biurze cmentarza. Ciało Elspeth leżało w skrzyni, od której dzieliło go ledwie kilka

stóp. Nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak mogły na nie wpłynąć trzy miesiące, które minęły od dnia pogrzebu.

Raz jeszcze uderzyła go nieodwołalność tego wszystkiego, podsumowana i namacalna pod postacią ciszy w małym pomieszczeniu za jego plecami. „Mam ci wiele do opowiedzenia. Słuchasz mnie?”. Kiedy Elspeth żyła, nigdy do niego nie docierało coś bardzo ważnego — wydarzenia stawały się rzeczywiste dopiero kiedy się nimi z nią podzielił.

Roche wysłał wczoraj list do Julii i Valentyny. Robert wyobraził sobie przesyłkę, podróżującą z biura adwokata w Hampstead do Lake Forest w Illinois. Zobaczył kopertę wrzucaną przez otwór na listy w drzwiach domu przy Pembroke Road 99 i podnoszoną przez jedną z bliźniaczek. Koperta była gruba, kremowa z wypisanym adresem zwrotnym kancelarii „Roche, Elderidge, Potts i Lefley” - błyszczący, czarny atrament, nazwiska i adres bliźniaczek, sporządzony pajączym charakterem pisma Constance, wiekowej sekretarki prawnika. Robert wyobraził sobie jedną z sióstr, z listem w ręku, jej ciekawość. „Denerwuję się tym, Elspeth. Czułbym się lepiej, gdybyś te dziewczyny poznała. Nie musisz z nimi mieszkać - mogą się okazać okropne. A co będzie, jeśli po prostu sprzedadzą mieszkanie komuś okropnemu?”. Niemniej bliźniaczki go intrygowały, a ponadto w pewien irracjonalny sposób wierzył w eksperyment Elspeth.

- Mogę zostawić wszystko tobie - powiedziała - albo dziewczynom.

- Zostaw im - odparł. - Mnie wystarczy to, co mam.

- Hmm, zatem tak zrobię. Tylko co mogę dać tobie?

Siedzieli na szpitalnym łóżku Elspeth. Gorączkowała. To było już po usunięciu jej śledziony. Nietknięty obiad stał obok, na wózku. Robert masował jej stopy, dłonie miał nawilżone ciepłym wonnym olejkiem.

- Nie wiem, może spróbuj załatwić sobie reinkarnację?  
- Bliźniaczki są podobno moimi bardzo wiernymi kopiami. - Elspeth się uśmiechnęła. - Dzięki mnie, o ile chcesz, przyjadą i zajmą mieszkanie. Może więc zostawię ci właśnie je?

Robert odpowiedział uśmiechem.

- To się może zemścić. Nie wiem, czy nie byłoby to zbyt... bolesne.

- Nigdy nie wiadomo, dopóki się nie spróbuje. Ale ja chcę ci coś dać.

- Kosmyk włosów?

- Teraz są już do niczego — zauważyła, muskając palcami srebrzysty meszek na głowie. - Powinniśmy byli zatrzymać trochę tamtych prawdziwych. - Przed chorobą włosy Elspeth były długie, falujące, koloru zimowego masła.

- Nie ma znaczenia co. - Robert pokręcił głową. - Po prostu chcę mieć coś twojego.

- Jak za wiktoriańskich czasów? Szkoda, że nie są dłuższe. Mógłbyś zrobić z nich broszkę, kolczyki, albo coś. - Zaśmiała się. — Mógłbyś też mnie sklonować.

Robert udał, że rozważa tę propozycję.

- Nie wydaje mi się, by dopracowali już odpowiednią technologię. Mogłabyś wyjść chorobliwie otyła, z płetwami zamiast kończyn albo jeszcze czymś gorszym. Poza tym musiałbym czekać, aż dorośniesz, i stałbym się przez ten czas zgrzybiałym dziadkiem, z którym nie chciałabyś mieć nic wspólnego.

- Zatem pomysł z bliźniaczkami jest o wiele lepszy. To pięćdziesiąt procent mnie i pięćdziesiąt procent Jacka. Widziałam na zdjęciach. Udziału Jacka w ogóle po nich nie widać.

- Skąd masz zdjęcia bliźniaczek?

Elspeth zasłoniła usta dłonią.

- Tak szczerze, to od Edie. Tylko nie mów nikomu.

- A od kiedy to utrzymujesz kontakt z Edie? - zdziwił się Robert. - Wydawało mi się, że jej nienawidzisz.

- Nienawidzę Edie? - W głosie Elspeth pobrzmiwało niedowierzanie. - Nie. Byłam na nią bardzo zła. Wciąż jestem. Ale nigdy jej nie nienawidziłam. To byłoby jak nienawiść do samej siebie. Chodzi tylko o to, że... Po prostu zrobiła coś głupiego, czym speprzyła nasze życie. Ale nie przestała przez to być moją bliźniaczką. - Umilkła na chwilę. - Napisałam do niej jakiś rok temu. Zaraz po diagnozie. Pomyślałam, że powinna wiedzieć.

- Mnie nie powiedziałaś.

- Wiem, to była prywatna sprawa.

Robert zdawał sobie sprawę, że obrażając się, zachowałby się dziecinnie. Nie skomentował.

- No, przestań - rzuciła Elspeth. - Czy gdyby odezwał się do ciebie ojciec, powiedziałaś mi o tym?

- Szczerze mówiąc, tak. Powiedziałbym.

Elspeth wsunęła kciuk do ust i lekko go przygryzła. Ten jej gest od zawsze stanowił dla Roberta silny seksualny bodziec, nie znał wielu bardziej podniecających widoków. W tej chwili jednak zmysłowa moc gdzieś się ulotniła.

- Oczywiście, że byś powiedział - przyznała.

- Poza tym, co miałaś na myśli, mówiąc, że bliźniaczki są w połowie tobą? Przecież to dzieci Edie.

- Owszem. To jej dzieci, ale Edie i ja jesteśmy jednojajowymi bliźniętami więc z genetycznego punktu widzenia jej córki są identyczne z moimi.

- Nie widziałaś ich nawet na oczy.

- A czy to ma takie wielkie znaczenie? Mogę tylko powiedzieć tyle: nie masz bliźniaka i nie masz pojęcia, jak to jest.



Robert nadal się dąsał.

- No, nie bądź taki. - Spróbowała się do niego przysu-  
nać, ale tkwiące w jej przedramionach przewody kroplówki  
zwyciężyły.

Robert ostrożnie ułożył jej stopy na ręczniku, wytarł  
ręce, wstał i usiadł ponownie, tym razem na półkołu bia-  
łego prześcieradła, na wysokości jej talii. Elspeth prawie  
wcale nie zajmowała miejsca na łóżku. Położył dłoń na  
poduszcze, tuż obok jej głowy, i pochylił się. Musnęła jego  
policzek. Miał wrażenie, że przesunęła mu po twarzy papie-  
rem ściernym; dotyk jej szorstkiej skóry prawie go zabolął.  
Odwrócił głowę i ucałował wewnątrz jej dłoni. Robili to tyle  
razy przedtem.

- W takim razie zostawię ci pamiętniki — odezwała się  
Elspeth. - Poznasz wszystkie moje tajemnice.

Później dotarło do niego, że zaplanowała to już wcześ-  
niej. Tamtego dnia powiedział jednak tylko:

- Zdradź mi je wszystkie teraz. Nie mogą chyba być aż  
tak straszne?

- Są potworne. Ale to wszystko bardzo stare sekrety. Od-  
kąd poznałam ciebie wiodłam życie czyste i cnotliwe.

- Cnotliwe?

- W każdym razie monogamiczne.

- To mi wystarczy. - Pocałował ją. Znów gorączkowa-  
ła. - Powinnaś się przespać.

- Pomasujesz mi jeszcze stopy? - Przypominała dziecko  
proszące o ulubioną bajkę na dobranoc.

Znów się przesiadł i wycisnął na ręce nową porcję olejku,  
ogrzał go dotykiem.

Elspeth westchnęła i zamknęła oczy.

- Mmm - mruknęła po chwili, prężąc stopy. - Jakie to  
cholernie cudowne.

Zasnęła, a Robert siedział z jej śliskimi nogami w dłoniach i myślał.

Otworzył oczy. Zastanowił się przez chwilę, czy czasem nie przysnął; wspomnienie tamtego dnia było takie żywe. Gdzie jesteś, Elspeth? Może żyjesz teraz już tylko w mojej głowie? Robert zapatrzył się na groby po drugiej stronie alejki, przechylały się niebezpiecznie. Po bokach jednego wyrosły drzewa, których korzenie uniosły lekko kamień, i teraz cały pomnik lewitował około cala nad ziemią. Na oczach Roberta, pośród bluszczu, który dławił dalsze nagrobki, przytruchtał lis. Zwierzę zobaczyło go, przystanęło na chwilę, po czym zniknęło w poszyciu. Robert usłyszał inne lisy, nawoływały się, niektóre blisko, inne w bardziej odległych częściach cmentarza. Właśnie trwał ich okres gody. Robiło się ciemno; Robert był zziębnięty i mokry. Ocknął się.

- Dobranoc, Elspeth. - Znów poczuł się głupio, wypowiadając te słowa na głos.

Wstał i ruszył z powrotem do biura, czując się trochę tak jak wtedy, gdy w wieku kilkunastu lat stwierdził, że nie potrafi się już modlić. Bez względu na to, gdzie znalazła się teraz Elspeth, tutaj jej nie było.

# LUSTRZANE BLIŹNIĘTA

Julia i Valentina Poole lubiły wcześniej wstawać. Mogło się to wydawać dość niecodzienne, zważywszy że nie chodziły do szkoły, nie pracowały i przez większość czasu były ogarnięte ogólnym zniechęceniem. Nie istniał żaden powód, dla którego bliźniaczki musiałyby zrywać się wraz z nadejściem świtu; żyły jednak jak ranne ptaszki, choć nieszczególnie zainteresowane poszukiwaniami tłustych dżdżownic.

Tej lutowej niedzieli słońce także nie zdążyło jeszcze zupełnie wstać. Dwanaście cali śniegu, który spadł przez noc, błękitniało w przyćmionym świetle; wielkie drzewa rosnące wzdłuż Pembridge Road ugiwały się pod ciężarem jasnego puchu. Lake Forest wciąż jeszcze spało. Zbudowany z żółtej cegły dom, w którym siostry mieszkały z rodzicami, krył się pod śniegiem cichy i przytulny. Codzienne zwykłe dźwięki - szum samochodowych silników, śpiew ptaków i szczekanie psów - brzmiały tego ranka ciszej niż zwykle.

Julia podkręciła kaloryfer, a Valentina przygotowała gorącą czekoladę z torebki. Julia weszła do salonu i włączyła telewizor. Gdy dołączyła do niej niosąca tacę siostra, Julia wciąż stała przed ekranem, przerzucając kolejne kanały, choć dobrze wiedziała, co obie chcą oglądać. Zawsze było tak samo, każdej niedzieli. Bliźniaczki uwielbiały identyczność i niezmienność, nawet wtedy, gdy miały poczucie, że nie

zniosą kolejnej podobnej do innych minuty. Julia zatrzymała się na CNN. W sali konferencyjnej prezydent Bush rozmawiał z Karlem Rove.

- Atomówką ich - rzuciła Valentina.

Bliźniaczki pokazały głowie państwa i jego współpracownikowi środkowe palce i Julia znów zaczęła skakać po kanałach, aż natrafiła na „Ten stary dom”. Zrobiła głośniej, uważając przy tym, by telewizor zanadto nie huknął i nie obudził rodziców. Siostry opadły na kanapę i przytuliły się do siebie. Julia położyła nogi na kolanach Valentyny. Mokie, ich podstarzały, przegowany kocur usiadł obok Valentyny. Okryły się wełnianym kocem w kratę i splótły palce wokół przyjemnie grzejących kubków z gorącym napojem. Zagapiły się na ekran, zobojętniałe na wszystko inne. W niedzielne poranki potrafiły obejrzeć powtórki czterech odcinków „Tego starego domu” z rzędu.

- Patrz, mają w kuchni kamienne blaty — zauważyła Julia.

- Mhm - odpowiedziała pogrążona w transie Valentina.

Salon tonął w półmroku; jedynymi źródłami światła były tu telewizor i okno. Gdyby jednak było jaśniej, ciężko byłoby ten pokój oglądać. Wszystko w nim było zielone, w szkocką czerwoną kratę lub związane z golfem. Równie agresywnie udekorowany był cały dom. Meble były przeładowane, obite perkalem, wykonane z polerowanego metalu lub perłowego szkła, albo też pomalowane farbami, których nazwy brzmiały jak smaki lodów. Edie pracowała jako dekorator wnętrz i lubiła sprawdzać nowe koncepcje we własnym domu. Jack już jakiś czas temu zrezygnował z komentowania kolejnych ozdób. Bliźniaczki były święcie przekonane, że ich matka ma najgorszy gust na świecie. Najprawdopodobniej nie była to jednak prawda. Większość domów w Lake Forest udekorowana była bardziej lub mniej kosztownymi wariacjami na

ten sam temat. Siostry lubiły salon, ponieważ stanowił królestwo ich ojca, a zatem był ohydny jak reszta pomieszczeń. Jack czerpał nawet pewną perwersyjną przyjemność z ulegania wymaganiom członków swego plemienia, wystarczało mu, że może w tym wszystkim wygodnie żyć.

Julia i Valentina wyglądały w tym otoczeniu dziwnie. Tak naprawdę, wyglądały dość niezwykle wszędzie, gdzie się pojawiały.

Tej zimowej niedzieli miały po dwadzieścia lat. Julia była starsza o sześć (bardzo dla niej ważnych) minut. Łatwo było ją sobie wyobrazić, odpychającą Valentinę łokciami, zdeterminowaną, by wydostać się na świat jako pierwsza.

Bliźniaczki były bardzo blade i bardzo szczupłe - w zasadzie chude taką chudością, jakiej niektóre dziewczęta zazdroszczą zwykle koleżankom i która niepokoi ich matki. Julia mierzyła metr pięćdziesiąt sześć centymetrów, Valentina była od niej kilka milimetrów niższa. Obie miały miękkie białe włosy, podcięte nad uszami i spływające pajęczymi splotami wokół twarzy, przez co przypominały nieco dmuchawce. Ich szyje były długie, piersi małe, brzuchy płaskie. Na plecach sióstr można było policzyć wszystkie kręgi - długie, proste kolumny wybruszeń pod skórą. Ludzie często brali je za niedożywione dwunastolatki; bez trudu dostałyby rolę sierotek z ery wiktoriańskiej w dowolnym telewizyjnym serialu. Świat oglądały wielkimi i szarymi oczyma, rozstawionymi tak szeroko, jakby dziewczyny cierpiały na rozbieżnego zezę. Ich twarze kształtem przywodziły na myśl serca. Miały delikatnie zadarte nosy, ładnie zakreślone usta, proste zęby. Obie obgryzały paznokcie. Żadna nie miała na ciele tatuażu. Valentina uważała się za nieporadną i zazdrościła Julii jej wspaniałej umiejętności odnalezienia się wszędzie i zawsze. Z drugiej jednak strony,

była niezwykle krucha i delikatna i, mimo że nie zdawała sobie z tego sprawy, to właśnie przyciągało do niej ludzi.

Ciężko było nazwać cechę, która tak bardzo wyróżniała bliźniaczki z tłumu. Ludzie czuli się w ich obecności nieswojo, nie wiedząc dlaczego. Siostry były nie tylko identyczne: stanowiły też swoje lustrzane odbicia. Ta symetria nie ograniczała się wyłącznie do ich wyglądu zewnętrznego, sięgała o wiele głębiej, obejmując każdą komórkę ich ciał. Niewielki pieprzyk z prawej strony ust Julii widniał na lewym policzku Valentyny; Valentina była leworęczna, Julia posługiwała się głównie prawą ręką. Na pierwszy rzut oka żadna z nich nie wydawała się w jakikolwiek sposób nienaturalna. Prawdziwy cud można było obejrzeć dopiero na zdjęciach rentgenowskich. Budowa Julii w niczym nie odbiegała od normy, organy wewnętrzne Valentyny natomiast były odbite lustrzanie. Jej serce znajdowało się po prawej stronie, odwróceniu uległy też jego komory. Po urodzeniu wykryto u niej wymagającą natychmiastowej operacji wadę serca. Chirurg musiał użyć lusterka, by widzieć małeńki organ w taki sposób, do jakiego był przyzwyczajony. Valentina cierpiała na astmę; Julia rzadko się nawet przeziębiała. Odciski palców Valentyny stanowiły niemal doskonałe lustrzane odwzorowanie linii papilarnych Julii (podczas gdy nawet bliźnięta jednojajowe nie mają identycznych odcisków). Siostry były wciąż w zasadzie jedną istotą, całością zawierającą w sobie sprzeczności.

Bliźniaczki siedziały w skupieniu, śledząc remont, tynkowanie i malowanie gigantycznego domu gdzieś nad Atlantykiem. Odnowiano mansardowe okna, odbudowano komin. Na miejscu starego paleniska pojawiło się nowe.

Siostry były zapalonymi wielbicielkami wszystkiego, co należało do przeszłości. Ich sypialnia wyglądała jakby

stanowiła niegdyś fragment zupełnie innego domu, z którego uciekła i została z dobrego serca adoptowana przez budynek z żółtej cegły. Gdy bliźniaczki miały trzynaście lat, zdarły ze ścian starą kwiecistą tapetę, wszystkie lalki i wypchane zwierzęta wysłały na adres stowarzyszenia weteranów i ogłosiły swój pokój muzeum. Obecnie prezentowano w nim starą klatkę na ptaki wypełnioną plastikowymi krucyfikami, stojącą na sporządzonej szydełkiem serwetce, na małym stoliku, dokumentnie oblepionym naklejkami z „Hello kitty”. Poza tym, wszystko w pokoju było białe. Sypialnia dla sióstr Des Esseintes.\*

Na dworze zaczęły ryczeć odśnieżające dmuchawy. Rodził się jasny, oślepiająco słoneczny poranek. Gdy na ekran wypłynęły napisy kończące czwarty odcinek „Tego starego domu”, siostry wstały, przeciągnęły się i wyłączyły telewizor. Stały przy oknie w swych szlafrokach w tureckie wzory i mrużąc oczy, przyjrzały się Serafinowi Garcii (który, odkąd były dziećmi, kosił ich trawnik latem i odśnieżał zimą) oczyszczającemu właśnie podjazd. Zauważył je i zamachał. Odmachały.

Słyszały poruszenia w sypialni rodziców, ale wiedziały, że to wcale nie oznacza, że państwo Poole wstaną już niedługo. Edie i Jack lubili sobie w weekendy dłużej pospać. Zeszłej nocy byli na imprezie w „Onwentsia Club”; bliźniaczki słyszały, jak wrócili około trzeciej nad ranem. („Czy nie powinno być odwrotnie?” - spytała Julia, nie po raz pierwszy, Valentine. „Czy to nie oni powinni czekać do późna na nas?”). Siostry przeszły do kolejnego punktu swego porannego,

\* Diuk Jan des Esseintes - główny bohater powieści Jorisa-Karla Huysmansa *Na wspak*, ucieleśnienie dekadentyzmu (przyp. tłum.).

niedzielnego rytuału: naleśniki. Smażyły ich tyle, że kiedy wygłodniali Jack i Edie wreszcie wstawali, mogli je sobie odgrzać w mikrofali. Julia mieszała ciasto, a Valentina wylewała je na płytę i przyglądała się bladożółtym kółkom, na których rosły i pękały bąbelki powietrza. Uwielbiała przewracać naleśniki. Usmażyła pięć dla siebie i pięć dla Julii, która w tym czasie przygotowała kawę. Zjadły w kuchni, siedząc przy wyspie, w towarzystwie afrykańskich fiołków i słoika na ciasteczka w kształcie krasnala.

Po śniadaniu siostry pozmywały naczynia. Włożyły dzin-sy i bluzy z kapturem, na których widniał napis BARAT (nazwa miejscowego koledżu, do którego uczęszczwały przez semestr, po czym zrezygnowały, twierdząc, że to strata czasu i pieniędzy Jacka. Był to ich trzeci koledż. Początkowo zapisały się do Cornella; Julia przestała pojawiać się na zajęciach w semestrze wiosennym, a kiedy usunięto ją z uczelni, Valentina wróciła do domu razem z siostrą. Na Uniwersytecie Illinois wytrzymały cały rok, ale Julia nie chciała tam wrócić po wakacjach). Na podjeździe pojawił się brnący z trudem w śniegu listonosz. Chwilę potem wrzucił pocztę przez szparę w drzwiach. Przesyłki wylądowały z głuchym stukotem na podłodze przedsionka. Bliźniaczki zbliżyły się do nich zaciekawione.

Julia wzięła pakiecik i po kolei zaczęła wyrzucać koperty na stół w jadalni.

- Pottery Barn, Crate i Barrel, ComEd, Anthropologie, list do mamy... list do nas?

Do sióstr korespondencja przychodziła rzadko, ze światem komunikowały się głównie przez Internet. Valentina wyjęła ciężką kopertę z dłoni Julii. Zważyła ją w rękę, wyczuwając wyraźną fakturę papieru. Julia odebrała jej list z powrotem. Popatrzyły na siebie. Z firmy prawniczej. Z Londynu.



Bliźniaczki nigdy nie były w Londynie. Nigdy nawet nie opuściły Stanów. Z Londynu pochodziła ich mama, ale Edie i Jack rzadko poruszali ten temat. Edie była teraz Amerykanką - stała się tutejsza, lub prawie tutejsza; rodzina Poole mieszkała na przedmieściu Chicago, które od chwili założenia udawało angielską wioskę. Dziewczyny już jakiś czas temu zauważyły, że brytyjski akcent Edie powracał, kiedy była zła, lub gdy próbowała wyrzucić na kimś dobre wrażenie.

- Otwórz — rzuciła Valentina.

Palce Julii zaczęły się zmagać ze sztywnym papierem. Podeszła do okna w salonie. Valentina stanęła za siostrą i oparła brodę na jej ramieniu, obejmując ją w pasie. Bliźniaczki wyglądały jak dwugłowa dziewczynka. Julia uniosła kartkę, by Valentina lepiej widziała.

*Julia i Valentina Poole  
99 Pembroke Road  
Lake Forest, IL 60035 USA*

*Drogi Julio i Valentino Poole,  
z żalem informuję Was o śmierci Waszej ciotki, Elspeth Alice Noblin. Mimo że ciotka nie miała przyjemności poznać Was osobiście, była głęboko zainteresowana Waszym losem. Zeszłego września, zdając sobie sprawę, że choroba doprowadzi ją wkrótce do śmierci, sporządziła nowy testament, którego kopię załączam do niniejszego listu. Na jego mocy stajecie się zapisobiorcami spadku po zmarłej, co oznacza, że ciotka przepisała na Was wszystko, co posiadała, z pewnymi małymi wyjątkami, poczynionymi na rzecz przyjaciół i organizacji charytatywnych. Spadek przejdzie na Waszą własność w dniu osiągnięcia przez Was wieku dwudziestu jeden lat.*

Otrzymacie go jednak pod następującymi obostrzeniami:

1) Panna Noblin była właścicielką londyńskiego lokalu mieszkalnego, pod adresem *Vautravers Mews, Highgate, numer 6*. Budynek graniczy z cmentarzem *Highgate*, położonym w bardzo malowniczej części Londynu. Lokal ów przejdzie na Waszą własność pod warunkiem, że zamieszkacie w nim przez okres jednego roku przed ewentualną odsprzedażą.

2) Cała reszta spadku przejdzie na Waszą własność pod warunkiem, że żadna jego część nie zostanie wykorzystana z korzyścią dla siostry panny Noblin, *Edwiny*, ani męża *Edwiny*, *Jacka* (Waszych rodziców). Ponadto, *Edwinie* i *Jackowi Poole* nie wolno postawić nogi we wzmiankowanej nieruchomości, ani korzystać z żadnego ze znajdujących się tam elementów mienia ruchomego.

Czekam na odpowiedź, dotyczącą przyjęcia spadku po panie Noblin pod ww. warunkami. Pozostaję do usług i gotów jestem odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie możecie mieć w związku z zapisami testamentu.

Wykonawcą testamentu panny Noblin jest *Robert Fanshaw*. Jeśli przyjmiecie warunki, zostanie on Waszym sąsiadem, jako że zajmuje mieszkanie bezpośrednio pod lokalem zmarłej panny Noblin. Pan *Fanshaw* także będzie w stanie pomóc Wam we wszystkich związanych ze spadkiem sprawach.

Łączę wyrazy szacunku

*Xavier Roche*

*Roche, Elderidge, Potts i Lefley LLP - Adwokaci*

*54D Hampstead High Street*

*Hampstead, Londyn, NW3, 1QA*

Julia i Valentina wymieniły się spojrzeniami. Julia przeszła do następnej strony listu. Charakter, jakim został sporządzony, niepokojąco przypominał pismo Edie.

*Drogie Julio i Valentino,  
witajcie. Miałam nadzieję, że poznam Was kiedyś osobiście, ale w tej chwili to już niemożliwe. Zapewne zastanawiacie się, dlaczego moje szpargały zostawiam Wam, a nie Waszej matce. Najlepszym powodem, jaki jestem w stanie podać, jest to, że pokładam w Was wielkie nadzieje. Zastanawiam się, co z tym wszystkim uczynicie. Ten pomysł wydał mi się ciekawy, a nawet w pewien sposób zabawny.*

*Wasza matka i ja nie utrzymywałyśmy ze sobą kontaktu przez ostatnie dwadzieścia jeden lat. Jeśli zechce, kiedyś Wam o tym opowie. Może uznacie, że postawione przeze mnie w testamencie warunki są zbyt surowe; obawiam się jednak, że będziecie po prostu musiały je przyjąć lub odrzucić. Nie jest moim zamiarem powodowanie rodzinnych niesnasek. Chcę tylko ochronić swoją własną, osobistą historię. Najmniej przyjemną rzeczą w umiarności jest ta, że już w tej chwili czuję się jak wymazana ze świata. Inną, niezbyt miłą sprawą jest fakt, że nie dowiem się, co się wydarzy potem.*

*Mam nadzieję, że przyjmiecie mój spadek. Myśl o Was w moim domu sprawia mi wielką radość. Nie wiem, czy ma to dla Was jakiegokolwiek znaczenie, ale mieszkanie jest duże i pełne fantastycznych książek, a Londyn to świetne miejsce do życia (choć obawiam się, że nieco drogie). Od Waszej matki wiem, że rzuciłyście studia, ale jesteście samoukami; skoro tak, to powinno Wam się tutaj bardzo spodobać.*

*Życzę Wam szczęścia, bez względu na wybór.  
Powodzenia*

*Elsbeth Noblin*

Kartek było jeszcze kilka, ale Julia odłożyła plik i zaczęła krążyć po salonie. Valentina przysiadła na oparciu fotela i przyglądała się siostrze orbitującej dokoła sofy. Po chwili Julia odbiła w bok i zatoczyła kilka kręgów wokół stołu w jadalni. Londyn, myślała Valentina. Myśl była wielka i mroczna, samo słowo przypominało dużego czarnego psa. Julia zatrzymała się, obróciła i wyszczerzyła do Valentyny.

- Zupełnie jak w bajce.

- Albo w horrorze - zauważyła Valentina. - Może jesteśmy tymi pierwszymi naiwnymi...

Julia skinęła głową i znów zaczęła krążyć po pokoju.

- Najpierw pozbyli się rodziców, a potem zwabili niczego niepodejrzewające bohaterki do nawiedzonej, starej posiadłości...

- To tylko mieszkanie.

- Wszystko jedno... W mieszkaniu też może nas wiele spotkać.

- Seryjni mordercy.

- Handlarze żywym towarem.

- Albo może to jak u Henry'ego Jamesa, wiesz.

- Nie sądzę, żeby ludzie umierali teraz na suchoty.

- W trzecim świecie umierają.

- No tak, przecież w Anglii mają państwową służbę zdrowia.

- Rodzicom się to nie spodoba - zauważyła Valentina.

- Nie - przyznała Julia. Przeciągnęła palcem wzdłuż stołu i odkryła na nim pokaźną ilość okruchów. Poszła do kuchni, zmoczyła ściereczkę i przetarła blat.

- Co się stanie, jeśli nie zgodzimy się na te warunki? - spytała Valentina.

- Nie wiem. Na pewno piszą o tym gdzieś w tym liście. - Julia się zatrzymała. - Ale ty chyba nie myślisz poważnie, że mogłybyśmy się nie zgodzić? Przecież to dokładnie to, na co czekałyśmy.

- Co takiego, kochanie? - W łukowato sklepionym przejściu pomiędzy przedpokojem i jadalnią stanęła mrużąca oczy Edie. Miała zmierzwione włosy i cała wydawała się nieco wymięta. Jej policzki były bardzo mocno zaróżowione, jakby ktoś je właśnie szczypał.

- Dostałyśmy list - powiedziała Julia.

Valentina zgarnęła kartki ze stolika na kawę i zaniósła matce. Edie spojrzała na adres zwrotny.

- Bez kawy sobie z tym nie poradzę - oświadczyła.

Valentina ruszyła po kubek.

- Julia, zbudź tatę - poleciła Edie.

-Ale...

- Powiedz mu, że to ja ci kazałam.

Julia podskoczyła do korytarza. Valentina usłyszała jej wrzaskliwe „taaaatooooo!” towarzyszące dźwiękowi otwieranych drzwi do sypialni rodziców. Bardzo miło, pomyślała Valentina. Równie dobrze mogłaby go budzić kolcem do lodu. Edie rozpoczęła polowanie na okulary do czytania. Zanim do jadalni przyczłapał Jack, jego żona zdążyła się już zapoznać z kilkoma pierwszymi stronami listu i przeglądała właśnie testament.

Jack Poole był dawniej przystojny, w ten czerstwy, zdrowy sposób, w jaki są przystojni sportowcy z koledżu. Teraz w jego czarnych włosach - dłuższych niż u większości mężczyzn — pojawił się już elegancki, siwy kosmyk. Jack był dość wysoki i wyraźnie górował nad drobniutkimi

żoną i córkami. Upływające lata nadały jego rysom szorstkości i pogrubiły go w pasie. Przez większość życia musiał chodzić w garniturach, więc w weekendy lubił ubierać się niechlujnie. W tej chwili miał na sobie bury, znoszony szlafrok i parę ogromnych, rozpadających się kapci z baranej skóry.

- Wy o was żrę - mruknął.

Był to stary rodzinny żart, którego pochodzenie wywodziło się z mglistych czasów wczesnego dzieciństwa bliźniaczek. Oznaczał: „Dajcie mi kawy, albo was pożrę”. Julia nalała i postawiła kubek przed ojcem.

- No dobra - rzucił. - Wstałem. Gdzie się pali?

- Chodzi o Elspeth - wyjaśniła Edie. - Nie tylko została wszystkim dziewczynkom, ale chce je nam odebrać.

- Co takiego? - Jack wyciągnął rękę i żona podała mu kilka kartek z listu. Siedzieli obok siebie, czytali.

- Mściwa dziwka - mruknął Jack, ale bez większych emocji lub zaskoczenia w głosie.

Julia i Valentina usiadły przy stole i spojrzały na rodziców. Kim są ci ludzie? Co się z nimi stało? Dlaczego ciocia Elspeth ich nienawidziła? Dlaczego oni nienawidzą jej? Siostry popatrzyły na siebie szeroko otwartymi oczyma. Do wiemy się wszystkiego.

Jack skończył lekturę i sięgnął do kieszeni szlafroka po papierosy i zapalniczkę. Położył je na stole, ale nie zapalił; rzucił tylko okiem na marszczącą brwi Valentine i pogładził paczkę palcem, by się upewnić, że jest na miejscu. Valentina wyjęła z bluzy inhalator, postawiła na blacie i uśmiechnęła się do taty.

Edie spojrzała na córki.

- Jeśli nie przyjmiecie spadku, większa jego część pójdzie na cele dobroczynne - powiedziała.

Bliźniaczki zaczęły się zastanawiać, jak dużą część rozmowy podsłuchała. Ich matka zaczęła czytać kodycył testamentu. Na jego mocy mężczyzna nazwiskiem Robert Fanshaw miał usunąć z mieszkania wszystkie dokumenty, włączając w to pamiętniki, listy i zdjęcia zmarłej - wszystkie przechodziły na jego własność. Edie ciekawiło, kim jest ten Robert, skoro jej siostra uczyniła go kustoszem całej ich historii. Najważniejsze jednak było to, że urządziła to tak, iż najważniejszych papierów nie będzie w mieszkaniu, kiedy już dotrą tam bliźniaczki. Tego właśnie Edie obawiała się najbardziej, zderzenia sióstr z tym, co Elspeth pozostawiła w charakterze materiału dowodowego ich życia.

Jack odłożył list na stół. Rozparł się na krześle i spojrzął na żonę. Edie trzymała testament w wyciągniętej ręce i czytała go raz po raz, z wściekłą miną. Wcale nie wydajesz się zaskoczona, kochanie, pomyślał. Julia i Valentina obserwowały matkę z uwagą. Julia wyglądała na zatopioną w myślach, Valentina wydawała się zaniepokojona. Jack westchnął. Co prawda, już od jakiegoś czasu starał się wypchnąć córki z domu w szeroki świat, ale ten szeroki świat oznaczał dla niego koledż, najlepiej jednego z uniwersytetów Ivy League. Egzaminów wstępnych poszły bliźniaczkom świetnie, choć ich późniejsze oceny były zdecydowanie nierówne i teraz zapewne w każdym dziekanacie dwa razy pochyliliby się nad papierami, zanim zdecydowałiby się przyjąć je na studia. Wyobrażał sobie Julię i Valentinę bezpiecznie usadowione na Harvardzie czy Yale, albo i w Sarah Lawrence; do diabła, nawet Bennington byłoby okej. Valentina spojrzała na ojca, uśmiechnęła się, unosząc nieznacznie ledwie widoczne brwi. Jack wrócił myślami do Elspeth, ostatnim razem widział ją płaczącą w kolejce na lotnisku. Nie pamiętacie jej, dziewczynki. Nie macie pojęcia,

do czego była zdolna, przemknęło mu przez głowę. Wieść o śmierci Elspeth przyniosła mu ulgę. Nie miałem pojęcia, że masz w zanadrzu jeszcze jedną sztuczkę, panno Noblin. Wstał, zgarnął z blatu papierosy i zapalniczkę i poszedł do swojego pokoju. Zapalił. Ale teraz już nie żyjesz. Wciągnął dym i pozwolił mu powoli wypływać nozdrzami. Jedną siostrą Noblin to i tak wystarczająco wiele zmartwienia jak na zwykłego człowieka. Doszedł do wniosku, że mimo wszystko trafiła mu się ta lepsza z dwójki bliźniaczek, i poczuł wdzięczność wobec losu. Stał, palił i zastanawiał się co takiego może jeszcze wyjść na jaw. Gdy wchodził do jadalni, czuł się pewniej, niemal wesoło. Cudowna rzecz ta nikotyna.

Edie siedziała na krześle wyprostowana jak struna; obie jej córki pochylały się nad stołem, oparte na łokciach, z twarzami w dłoniach. Valentina słuchała siostry jednym uchem.

- Ale ona nie widziała nas na oczy - mówiła Julia. - Dlaczego nam to zostawiła? Czemu nie tobie?

Matka patrzyła na nie w milczeniu. Jack usiadł.

- Dlaczego nigdy nie zabraliście nas do Londynu? - ciągnęła Julia.

- Zabraliśmy. Ja was zabrałam - odparła Edie - Poleciałyśmy tam, kiedy miałyście cztery miesiące. Odwiedziliśmy wtedy babkę, która umarła jeszcze w tamtym roku, i oczywiście Elspeth.

- Byłyśmy u niej? Z tobą?

Edie wstała i poszła przez przedpokój do swojej sypialni. Zniknęła w niej na kilka minut.

- Ciebie z nami nie było, tato? - spytała Valentina.

- Nie. - Jack pokręcił głową. - Nie byłem tam wówczas zbyt popularny.



- Och...

Dlaczego nie?

Wróciła Edie, niosąc dwa amerykańskie paszporty. Jeden podała Valentine, drugi Julii. Dziewczyny otworzyły książeczki i spojrzały na własne twarze. Tak dziwnie jest oglądać zdjęcia noworodków. Stemple głosiły: „Lotnisko Heathrow, 27 kwietnia 1984” i „Międzynarodowy port lotniczy O'Hare, 30 kwietnia, 1984”. Wymieniły się dokumentami i porównały zdjęcia. Bez spoglądania na imiona, nie było można stwierdzić, która fotografia przedstawia którą z siostr. Wyglądamy jak ziemniaki z oczami, przemknęło Julii przez myśl.

Bliźniaczki odłożyły paszporty na stół i podniosły wzrok na matkę. Edie poczuła, jak przyspiesza jej serce. Nie macie o tym wszystkim zielonego pojęcia. Nie pytajcie o nic. To nie wasza sprawa. Dajcie mi po prostu spokój. Odpowiedziała córkom niewzruszonym spojrzeniem.

- No, ale dlaczego Elspeth nie zostawiła spadku tobie? - Valentina nie rezygnowała.

- Nie wiem - odparła, rzucając okiem na męża. - Musiałibyście ją o to zapytać.

- Wasza matka nie chce o tym rozmawiać - odezwał się Jack, po czym zebrał papiery ze stołu, ułożył je w schludny stosik, wyrównał go, uderzając o blat, i podał plik Julii. Wstał.

- Co jest na śniadanie?

- Naleśniki - odpowiedziała Valentina.

Wszyscy spróbowali płynnie przejść do tradycyjnego porządku niedzielnego poranka. Edie dołała sobie kawy. Pijąc, podtrzymywała kubek oburącz, by nie drżał. Ona się boi, zrozumiała Valentina, którą także ogarnał lęk. Julia przebiegła przez przedpokój z testamentem nad głową, jakby

przechodziła rzekę w bród. Weszła do sypialni bliźniaczek i zamknęła drzwi. Zaczęła skakać w miejscu na grubym dywanie, bijąc pięściami w powietrze. W duchu krzyczała zwycięsko: „Tak, tak, tak!”.

\*\*\*

Tej nocy siostry położyły się w łóżku Julii, twarzami do siebie. Posłanie Valentyny było zmierzwione, ale nieużywane. Dotykały się stopami. Ich ciała lekko pachniały morskimi glonami i czymś słodkim; wypróbowały właśnie nowy balsam. Słyszały ciche, kojące dźwięki, jakie ich dom wydawał każdej nocy. Sypialnia była zalana słabym błękitnym blaskiem chanukowych światełek, które dziewczyny rozwiesiły na ozdobnych żelaznych zagłówkach łóżek.

Julia otworzyła oczy i uchwyciła wbite w siebie spojrzenie siostry.

- Hej, Myszko.
- Hej, boję się - szepnęła Valentina.
- Wiem.
- Ty nie?
- Nie.

Valentina zamknęła oczy. Oczywiście, że się nie boisz.

- Zobaczysz, Myszko, będzie super. Zamieszkamy na swoim, przynajmniej przez jakiś czas nie będziemy musiały pracować; będziemy mogły robić, na co tylko nam przyjdzie ochota. Prawdziwa, niczym nieskrępowana wolność.

- Wolność do czego dokładnie? Po co?

Julia obróciła się na plecy. Och, Boże! Myszko, nie bądź taką Myszką!

- Ja tam będę. Ty tam będziesz. Czego nam więcej potrzeba?

- Myślałam, że wrócimy na studia. Obiecałaś.
- Pójdziemy na studia w Londynie.
- Ale to dopiero za rok.

Julia nie odpowiedziała. Valentina patrzyła na ucho siostry. W półmroku przypominało tajemniczy, prowadzący prosto do mózgu dziewczyny, tunel. Gdybym była malutka, wpełzłabym tam do środka, mówiłabym ci, co masz robić, a ty myślałabyś, że to twoje własne pomysły.

- Musimy tam mieszkać tylko przez dwanaście miesięcy - odezwała się wreszcie Julia. - Jeśli uznamy, że nam się nie podoba, sprzedamy mieszkanie i wrócimy do Stanów.

Valentina milczała.

Po chwili siostra wzięła ją za rękę, splotyły palce.

- Powinnyśmy się przygotować. Nie chcemy przecież być takie jak ci wszyscy głupi Amerykanie, którzy jadą do Europy, a potem jadają tylko w McDonaldzie i głośno rozmawiają po angielsku, zamiast w miejscowym języku.

- Ale w Anglii też mówią po angielsku.

- Dobrze wiesz o co mi chodzi, Myszek. Musimy się poduczyć.

- Zgoda.

- Świetnie. - Bliźniaczki obróciły się tak, że leżały na plecach, dotykały się ramionami, mocno trzymały się za dłonie.

Może w Londynie będzie większe łóżko, myślała Valentina. Julia wpatrywała się w paskudną, tanią lampę pod sufitem i wyliczała w duchu wszystkie rzeczy, które będą musiały sprawdzić i zrozumieć: kursy walut, szczepionki, piłka nożna, rodzina królewska...

Valentina leżała w łóżku Julii, zastanawiając się nad wnętrzem ucha siostry; nad tym, że jej własne ucho stanowiło dokładne odbicie tego drugiego. Czy gdybyśmy zetknęły

się małżowinami i zamknęły w nich dźwięk, to czy drgałyby wewnątrz, zmieszany i samotny? Czy kiedy by się odbił, to miałabym wrażenie, że słyszę go od tyłu? A co by się stało, gdyby to był jakiś londyński hałas? Na przykład, szum samochodów jadących po złej stronie ulicy; może wtedy ja usłyszałabym go od przodu, a Julia od tyłu? Może w Londynie wszystko będzie na odwrót... Może będę robić, co zechcę, i nikt nie będzie mną rządzić...

Valentina słuchała oddechu siostry. Starła się wyobrazić sobie, jak by postąpiła, gdyby była sama, zupełnie sama. Nigdy dotąd niczego sama nie robiła, więc myślenie o tym, samodzielne planowanie, wymagało od niej znacznego wysiłku. Wreszcie, po dłuższej chwili, zrezygnowała wyczerpana.

\*\*\*

Edie leżała w łóżku i czekała, aż Jack zaśnie. Zwykle - ponieważ mąż chrapał - próbowała zapaść w sen pierwsza, ale dziś dręczyła ją goniąca myśl i zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu się zmuszać. Wreszcie przekręciła się na bok. Jack leżał z otwartymi oczyma. Patrzył na nią.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Przecież bliźniaczki wyjeżdżały już przedtem i nic się nie stało.

- Teraz to co innego.

- Dlatego że chodzi o Elspeth?

- Może dlatego - odparła. - A może po prostu... to tak daleko. Nie chcę, żeby tam jechały.

Objął ją ręką w talii, przyciągnął i wtuliła się w męża, jak królik kryjący się w norce. Jestem tu bezpieczna, jestem tu bezpieczna. Jack był jej schronem przeciwiatomowym, jej ludzką tarczą.

- Pamiętasz, jak się czuliśmy, kiedy wyjechały na Cornella? - spytał. - Jak dobrze było mieć dom tylko dla siebie?

- Tak... - Faktycznie, oboje doznali wtedy pewnego rodzaju objawienia: małżeńskie życie bez dzieci okazało się czymś fantastycznym. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Edie, one mają dwadzieścia lat. Już od dawna nie powinny z nami mieszkać. Powinniśmy byli wysłać je do oddzielnych szkół - zauważył Jack.

Westchnęła. Jak ty nic nie rozumiesz.

- Za późno. Elspeth odebrała nam nad tym kontrolę.

- A może właśnie wyświadczyła nam przysługę?

Edie nie odpowiedziała.

- O ile sobie przypominam, kiedy ty byłaś w ich wieku, bardzo chciałaś się usamodzielnic - podjął mąż.

- To co innego.

Jack milczał, czekając na uzasadnienie. Edie nie powiedziała nic, więc odezwał się on, bardzo cicho:

- Dlaczego, Edie? Na czym polega różnica?

Zacisnęła usta i zamknęła oczy.

- Mnie przecież możesz powiedzieć — nacisnął.

Uniosła powieki i uśmiechnęła się.

- Nie ma tu nic do powiedzenia, Jack. - Obróciła się na bok, plecami do niego. - Powinniśmy spróbować zasnąć.

Było blisko, przemknęło mu przez myśl. Nie był pewien, czy poczuł zawód, czy ulgę.

- No dobrze - odpowiedział.

Leżeli razem przez długi czas, słuchając swych oddechów, aż wreszcie Jack zaczął chrapać, a Edie została sam na sam z własnymi myślami.

## WYBIELACZ

Wynalazek Internetu umożliwił Martinowi odcięcie się od zewnętrznego świata. Ścisłej rzecz biorąc, komputerowa sieć pozwoliła mu zdegradować świat zewnętrzny do roli rzeczywistości drugorzędnej, wspomagającej jego własną, tak pięknie kwitnącą w mieszkaniu.

Odejście Marijke bardzo go zaskoczyło. Przywykła już przecież do jego rytuałów, pomagała mu w realizacji coraz bardziej rygorystycznych natręctw. Robiła to wszystko od bez mała dwudziestu pięciu lat. Nie był w stanie pojąć dlaczego odeszła właśnie teraz.

- Jesteś jak oszalone zwierzątko - powiedziała mu niedawno. - Jak ludzka wiewiórka, która nigdy nie wychodzi do lasu, tylko siedzi całymi dniami w dziupli, liżąc jedno i to samo miejsce na swoim futerku. A ja chcę móc otwierać okna, chcę chodzić po własnym domu bez worków na nogach.

Rozmawiali w kuchni. Okna były zaklejone taśmą i gazetami. Oboje mieli na stopach - zamiast butów - plastikowe ochraniacze. Martin poczuł się bezbronny. Nie miał czym odeprzeć słów żony. Był ludzką wiewiórką i zdawał sobie z tego sprawę. Ale kto się mną zaopiekuje, jeśli ona odejdzie?

- Masz pięćdziesiąt trzy lata i jesteś wykształcony. Masz telefon i komputer. Poradzisz sobie. Poprosisz Roberta, żeby wynosił za ciebie śmieci.

Dwa dni później Marijke już nie było.

Zostawiła go z dwutygodniowym zapasem mrożonych posiłków i listą przydatnych stron internetowych oraz numerów telefonów. Z Sainsbury's dostarczano mu zakupy spożywcze i artykuły gospodarstwa domowego, w tym środki do czyszczenia; Marks and Spencer dosyłałi bieliznę i skarpety. Papierową korespondencją Martina zajmował się Robert, który również wynosił do kosza przed domem worki ze śmieciami.

W gruncie rzeczy, nie żyło mu się źle. Nie musiał zadowalać nikogo poza sobą. Straszliwie tęsknił za Marijke, ale nie brakowało mu jej ganiących spojrzeń, zbyt głośnych westchnień ani sposobu w jaki wznosiła oczy ku niebu, gdy prosił, żeby cofnęła się za próg i weszła do pokoju raz jeszcze, tym razem właściwą nogą. Nikt już nie mógł krzywo patrzeć na to, że zamówił z podejrzanego sklepu internetowego pięć tysięcy par lateksowych, chirurgicznych rękawiczek. Do wirtualnego koszyka wrzucił także urządzenie do mierzenia ciśnienia krwi, maskę przeciwgazową i wojskowy kombinezon w pustynnym maskowaniu, który według opisu na stronie był w stanie ochronić użytkownika przed atakiem dowolnego typu broni chemicznej.

W sieci trafiał na okazję za okazją. Z innego sklepu zamówił cztery pięćdziesięciolitrowe beczki wybielacza. I to właśnie sprowadziło do jego drzwi Roberta.

- Martin, na dole jest jakiś facet z kosmiczną ilością chemikaliów. Powiedział, że to ty je zamówiłeś, i czeka na podpis. Myślisz, że bezpiecznie jest mieć w domu aż tyle tego?

Na tych baryłkach jest cała masa rysunków ostrzegawczych. Dymiące ręce, trupie czaszki i tak dalej. Na pewno uważasz, że to dobry pomysł?

Martin był zdania, że pomysł jest genialny; środki czyszczące kończyły mu się stanowczo zbyt często. Zapewnił Roberta, że będzie bardzo ostrożny, i poprosił go dodatkowo, żeby wniósł wybielacz do kuchni.

Im bardziej zagłębiał się w cyberszwiecie, tym dobitniej zdawał sobie sprawę, że nie ma takiej rzeczy, której nie można zamówić i poczekać na dostarczenie pod drzwi. Pizza, papierosy, piwo, jajka od kur z wolnego chowu, prenumerata „Guardiana”, znaczki pocztowe, żarówki, mleko: te i inne przedmioty pojawiały się w miarę potrzeby. Tuzinami zamawiał też książki z Amazona i wkrótce nieotwarte pudełka zaczęły piętrzyć się w korytarzu. Od jakiegoś czasu tęsknił za myszkowaniem w „Stanfords”, kartograficznym sklepie na Long Acre i nie posiadał się z radości, kiedy odkrył jego stronę internetową. Wtedy do mieszkania zaczęły spływać mapy i przewodniki po miejscach, których Martin nigdy nie odwiedził. Zainspirowany, zamówił ze „Stanfords” wszystko co tylko możliwe na temat Amsterdamu i rozwiesił plany tego miasta na ścianach sypialni. Śledził na nich wyobrażone drogi, jakimi chadzała Marijke. Domyślał się (trafnie, choć o tym nie wiedział), że zamieszkała w dzielnicy Jordaen. Wyznaczył żonie codzienne obowiązki i trasy. Towarzyszył jej duchem, gdy jechała na rowerze nad kanałami, by kupić wszystkie te dziwaczne warzywa, które tak uwielbiała, a których on nigdy nie chciał nawet tknąć. Koper włoski, słonecznik bulwiasty, rukola. Martin żadnej z tych roślin nie uznawał za jedzenie. Żył na herbacie, tostach, jajkach, kotletach, ziemniakach, piwie, curry, ryżu i pizzy. Miał też słabość do puddingu. W jego



fantazji Marijke spacerowała po warzywnych targach Amsterdamu, wypełniając koszyk u kierownicy roweru bruksełką i frezjami. Pamiętał jeszcze spacer, które odbywali tam wspólnie — dziesiątki lat temu - cudowne wiosenne wieczory, gdy oboje byli w sobie zadurzeni; Amsterdam wydawał się wówczas wyciszony, a szmer łodzi i nawoływania mew odbijały się od siedemnastowiecznych kamienic nad kanałami, jakby wszystko to było odtwarzanym zapisem przeszłości. Martin stawał w sypialni i czubkiem palca wskazującego dotykał miejsca na planie, gdzie znajdowała się siedziba rozgłośni radiowej, w której pracowała teraz Marijke. Zamykał oczy i cicho, ledwie poruszając wargami, sto razy powtarzał jej imię. Robił to, by poradzić sobie z pragnieniem chwycenia za komórkę. Często wystarczało. Innym razem musiał mimo wszystko zadzwonić. Nigdy nie odbierała. Wyobrażał sobie wtedy, jak Marijke unosi klapkę, marszczy brwi na widok jego numeru na wyświetlaczu i zamyka telefon.

Do niedawna biurko Martina stanowiło w zrujnowanym mieszkaniu wyspę normalności. Jakimś cudem udało mu się uchronić warsztat pracy przed natręctwami; jeśli nawet nachodziła go tam jakaś obsesja, wstawał i zmagął się z nią gdzie indziej. Poza rytualnym sprzątnięciem i czyszczeniem na początku i pod koniec zajęć, krzesło i blat były dla Martina oazą spokoju. Dawniej komputerem posługiwał się wyłącznie w sprawach zawodowych; poczta elektroniczna służyła do korespondowania z wydawcami i redaktorami. Poza układaniem krzyżówek, Martin zajmował się także tłumaczeniem tekstów spisanych w rozmaitych dziwacznych i starożytnych językach na rozmaite nowożytne języki. Był członkiem sieciowego forum, na którym językoznawcy z całego świata dyskutowali nad własnymi przekładami

i zabawiali się wyśmiewaniem pracy tłumaczy nienależących do ich grupy.

Teraz jednak coś się zmieniło. Internet zaczął powoli zajmować, kolonizować cenną przestrzeń jego biurka-for-tecy. Martin łąpał się na monitorowaniu prowadzonych na eBayu aukcji automatycznych filtrów akwariowych i co dziesięć minut sprawdzał Amazon, by dowiedzieć się, jak idzie sprzedaż książkowych wydań jego krzyżówek. Zazwyczaj osiągał w rankingach mocno deprymujące pozycje, w rodzaju - 673082 albo 822457. Raz tylko jego najnowsza kompilacja dotarła do miejsca 9326, dzięki czemu spędził wyjątkowo szczęśliwe popołudnie, które zakończyło się wieczorną tragedią, gdy ponownie zajrzał do sieci i znalazł zbiorek na miejscu 787333.

Martin odkrył także, że choć bez trudu jest w stanie znaleźć „Młode laski czekające na ciebie!!!”, „Wielkie melo-ny!!!”, „Seksowne mamuśki” i mnóstwo innych miejsc, które służyły do zaspokojenia jego żądz i nabicia kasy innych, to nigdzie w Internecie nie potrafił odszukać Marijke. Raz po raz wpisywał jej nazwisko w Google'ach, ale okazało się, że jego żona jest jedną z tych rzadkich, delikatnych istot, które żyją wyłącznie w prawdziwym świecie. Nigdy nie podpisała swym nazwiskiem żadnego artykułu, nie zdobyła nagrody; nie umieściła w sieci swego numeru telefonu i nie udzielała się w żadnych serwisach społecznościowych. Próbował znaleźć jej e-mail, którym przecież musiała się posługiwać zawodowo, ale na stronach jej radia także nie było o Marijke wzmianki. Zdaniem Internetu, Marijke nie istniała.

W miarę jak upływały kolejne dni, Martin zaczął się zastanawiać, czy kobieta imieniem Marijke, ta która z nim mieszkała, która go całowała i czytała mu holenderskie

wiersze o rozkwitającej wiosnie, była kiedykolwiek czymś więcej niż ułudą. Znikały kolejne miesiące, a Martin pracował nad swymi krzyżówkami i przekładami, szorował ręce do krwi, liczył, sprawdzał, karmił się w duchu za liczenie i sprawdzanie. Odgrzewał w mikrofalce kolejne potrawy ze swego monotonnego menu, czytał przy jedzeniu, siedząc za kuchennym stołem. Prał, a jego ubrania, wskutek użycia zbyt dużej ilości wybielacza, stawały się coraz cieńsze. Czasami dolatywały go z zewnątrz odgłosy świadczące o zmianie pogody - deszcz i śnieg z deszczem, z rzadka grzmot, szum wiatru. Niekiedy zastanawiał się, co by się wydarzyło, gdyby zatrzymał wszystkie zegary. Sieć istniała poza czasem i Martinowi wydawało się, że pozbawiony dyktanda wskazówek mógłby żyć jak ona, non stop, niepowstrzymany. Ale sama ta myśl wprowadziła go w depresję. Bez Marijke stał się tylko adresem mejlowym.

Każdej nocy leżał w małżeńskim łóżku, wyobrażając sobie żonę śpiącą gdzieś tam, w innym mieście. Na przestrzeni lat nieco przytyła, a Martin uwielbiał krągłości - kochał ciepło, ciężar i pulchność jej ciała pod kołdrą. Czasami zdarzało się, że cicho pochrapywała, i Martin wsłuchiwał się teraz w ciemność, aż niemal był w stanie usłyszeć te stłumione dźwięki płynące prosto z jej amsterdamskiej sypialni. Raz po raz powtarzał jej imię, dopóki nie przeobrażało się w puste, nic nieznaczące dźwięki - „ma raj ke, ma raj ke” - które stawały się hasłami ze słownika samotności. Zawsze wyobrażał ją sobie w łóżku samą. Nigdy nie pozwolił sobie na rozważanie, czy mogła znaleźć innego mężczyznę. Nie był nawet w stanie uformować tego pytania w głowie. Dopiero kiedy wyobraził ją sobie całą, jej twarz na poduszce, pagórek przysłoniętych kołdrą pośladków, dopiero wtedy zasypiał. Często budził się potem we łzach.

Z nocy na noc, coraz trudniej mu było przywołać dokładny obraz żony. Wpadł w panikę i obwiesił jej fotografiami całe mieszkanie. Z jakiegoś powodu to jednak tylko pogorszyło sprawę. Papierowe wizerunki zaczęły zastępować prawdziwe wspomnienia; Marijke - kompletna ludzka istota - zmieniała się w zbiór barwników na małych białych prostokątnych kartkach. Zresztą, nawet i te zdjęcia nie były już tak kolorowe jak dawniej, widział to wyraźnie. Mycie nie pomogło. Traktowana wybielaczem Marijke znikwała z pamięci Martina. Im bardziej starał się ją zatrzymać, tym szybciej się ulatniała.

## NOC NA HIGHGATE

Robert siedział po ciemku za biurkiem i spoglądał przez okno na ciemniejący stopniowo ogród przed Vautravers. Był czerwiec, dzienne światło jeszcze się utrzymywało, jakby drzewa i trawnik wypadły poza granice czasu i stały się olbrzymim obrazem samych siebie. Na niebo wzbił się niemal idealnie okrągły księżyc. Robert wstał i się otrząsnął. Zabrał latarkę i noktowizor i poszedł do tylnych drzwi mieszkania. Zszedł po schodach pożarowych, cicho, bo Martin bał się włamywaczy. Omijając zwirową ścieżkę za domem, ruszył po omszałej ziemi ku zielonej furtce w murze ogrodu. Otworzył ją, przeszedł na drugą stronę i znalazł się na cmentarzu.

Stał na asfalcie, na dachu Tarasowych Katakumb. Po obu stronach miał schody; dziś wybrał zachodnie i ruszył w stronę Alei Dickensa. Nie włączył latarki. Pod grubym baldachimem liści było ciemno, ale tę trasę znał dobrze, pokonywał ją już wiele razy.

Highgate podobało mu się najbardziej właśnie nocą. Po zmroku nie było tu gości, żadnych chwastów do usunięcia, ani jednego pytania od dziennikarza - zostawał jedynie sam cmentarz, rozciągnięty w blasku księżyca niczym ulotna szara halucynacja, jak kamienne pustkowia zrodzone z wiktoriańskiej melancholii. Niekiedy żałował, że nie może spacerować

tu z Jessicą - po tych zamglonych ścieżkach, ciesząc się nocnymi hałasami, głosami zwierząt, które nawoływały się w oddali i zamierały, gdy wyczuwały nadchodzącego człowieka. Wiedział jednak, że Jessica jest w domu i śpi, i zdawał sobie też sprawę, że zapewne wyrzuciłaby go z pracy, gdyby tylko dowiedziała się o tych nocnych wycieczkach. Starał się je zracjonalizować, tłumaczył sobie, że patroluje, że chroni Highgate przed wandalami i samozwańczymi łowcami wampirów, którzy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych byli dla cmentarza prawdziwą zmorą.

Zdarzało się jednak, że Robert spotykał tu nocą innych. Zeszłego lata, w kolczastym, żelaznym płocie, biegnącym wzdłuż południowo-zachodniej granicy cmentarza, brakowało przez krótki czas kilku prętów. To właśnie wtedy zaczął widywać wieczorami dzieci.

Za pierwszym razem Robert siedział właśnie pomiędzy nagrobkami z lat dwudziestych XX wieku. Oczyścił sobie spłacheć trawy i tkwił cicho i nieruchomo pośród wysokiego poszycia, spoglądając przez obiektyw kamery z noktowizorem, w nadziei że uda mu się nakręcić film z lisią rodziną, której nora znajdowała się ledwie dwadzieścia stóp dalej. Słońce zaszło już za drzewa, a niebo żółciło się ponad dachami stojących tuż za ogrodzeniem domów. W pewnej chwili Robert usłyszał szelest i odwrócił kamerę w stronę, z której dobiegał dźwięk. Wyświetlacz nagle wypełnił się widmem biegnącego ku niemu dziecka. Robert prawie upuścił kamerę. Po chwili pojawiło się kolejne dziecko, goniące to pierwsze - małe dziewczynki w krótkich sukienkach, biegnące w ciszy pomiędzy nagrobkami, dyszące ciężko, ale zupełnie milczące. Znalazły się już prawie przy Robertcie, ale wtedy zawołał je jakiś chłopiec. Obie zawróciły i pobiegły do żelaznego płotu. Przepisnęły się przez lukę i zniknęły.

Robert zgłosił uszkodzenie zaraz następnego ranka. Przez kilkanaście następnych wieczorów dzieci wciąż pojawiały się na cmentarzu. Obserwował je czasami, zastanawiając się, kim są i gdzie mieszkają, a także co to za dziwne gry, którymi zabawiają się pośród grobów. Po paru tygodniach pojawił się fachowiec i naprawił płot. Tego samego popołudnia Robert szedł nieopodal i zobaczył trójkę dzieci, z buziami przyklejonymi do żelaznego ogrodzenia, z zaciśniętymi na prętach dłońmi, bez słowa wpatrującą się w cmentarz. Ogarnął go smutek.

Doktorat Roberta miał początkowo być pracą historyczną: wyobraził sobie Highgate jako pryzmat, przez który mógł przyrzeć się wiktoriańskiemu społeczeństwu wraz z jego wspaniałościami, osiągnięciami i przesadnym irracjonalizmem: z typową dla żyjących wówczas ludzi samoświadomością innowacyjnością. Wiktorianie stworzyli tę nekropolię, jakby chcąc wznieść teatr żałoby, scenografię wiecznego odpoczywania. Gromadząc informacje, prowadząc badania, Robert pozwolił się jednak uwieść osobowościom ludzi pochowanych na tym cmentarzu i doktorat zaczął się przeradzać w pracę biograficzną; zwodziły go anegdoty, zakochał się w próżności i wyrafinowaniu dziwacznych niekiedy przygotowań do życia po śmierci, które w najlepszym wypadku wydawało się mało prawdopodobne. Zaczął podchodzić do Highgate emocjonalnie, osobiście i stracił naukowy dystans.

Często przesiadywał z Michaelem Faradayem, słynnym naukowcem; z Elizą Barrow, jedną z ofiar seryjnego mordercy, Fredericka Seddona; trawił czas, pogrążając się w zadumie nad anonimowymi mogiłami podrzutek. Pewnego razu spędził całą noc, przyglądając się płatkom śniegu, które powoli pokrywały Liona - kamiennego psa, strzegącego

Thomasa Sayersa, ostatniego z bokserów walczących na gołe pięści. Niekiedy pożyczał kwiatek z Radclyffe Hall, gdzie zawsze było ich pełno, i przynosił na jakiś odległy i opuszczony przez przyjaciół grób.

Robert uwielbiał przyglądać się zmianom pór roku na Highgate. Cmentarz nigdy nie był całkowicie wyzuty z zieleni; Wiktorianie wiele roślin uważali za symbole życia wiekuistego, więc nawet i zimą chaotyczna geometria grobowców była łągodzona wiecznie zielonymi kształtami cyprysów i ostrokrzewu. Nocami śnieg i kamień lśniły księżycową poświatą; zdarzało się, że Robert doznawał wrażenia nieważkości, gdy z cichym chrzęstem stapał po alejkach pokrytych cienką warstewką bieli. Czasami przynosił ze stojącej w ogrodzie Vautravers szopy drabinę i wspinał się na porośniętą trawą szczyt Kręgu Libańskiego. Opierał się o pień rosnącego tam trzystuletniego cedru, albo kładł się na plecach i obserwował niebo majaczące między poskręcanyimi konarami wielkiego drzewa. Rzadko widywał gwiazdy - łuna elektrycznych świateł Londynu kryła je wszystkie. W gałęziach cedru częściej migotały samoloty. W takich chwilach odnosił wrażenie, że wszystko znajduje się na swoim miejscu: umarli spoczywają w ciszy i spokoju w swych małych kwaterach, pod nim, pod trawą, a nad nim wędrują po niebie gwiazdy i maszyny.

Dzisiaj zatrzymał się przy grobowcu Rosettich i myślał o Elizabeth Siddal. Rozdział poświęcony jej osobie przepisywał już po wielokroć. Bardziej dla czystej przyjemności rozmyślał o Lizzie niż dlatego, by miał o niej cokolwiek więcej do powiedzenia. Zabawiał się, przebiegając w umyśle trajektorię jej życia — zaczynała skromnie jako dziewczyna kapelusznika, potem odkryli ją prerafaeliccy malarze, którzy chętnie zatrudniali ją w charakterze modelki;



następnie urosła do rangi uwielbianej kochanki Dante Gabriela Rosettiego. Później nastąpiło pasmo tajemniczych chorób, z dawną wyglądaną małżeństwo z Rosettim, narodziny martwej córeczki. Śmierć w wyniku zatrucia laudanum. Zdjęty poczuciem winy Dante Gabriel wrzucający jedyny rękopis swych wierszy do trumny żony. Siedem lat później nocna ekshumacja Lizzie, przy świetle pochodni, właśnie po to, by uratować pogrzebaną poezję. Robert się tym wszystkim napawał, sycił. Stał z zamkniętymi oczyma, wyobrażając sobie ten grób w roku 1869, nie tak przesłonięty przez inne pomniki, ujrzał kopiących mężczyzn, rozmigotany blask płomieni.

Po czasie, który wydał mu się bardzo długi, ruszył z powrotem ścieżką pomiędzy grobami.

Robert nie był w stanie uwierzyć w Niebo. W swym anglikańskim dzieciństwie wyobrażał sobie przestronną, rozległą pustkę, chłodną, choć rozświetloną promieniami słońca, pełną niewidzialnych dusz ludzi i martwych psów i kotów. Kiedy zaczęła umierać Elspeth, próbował ożywić tamtą dawną wiarę, przekopywał się przez pokłady własnego sceptycyzmu, jakby wiara była po prostu starszym uczuciem, czekającym tylko na odkrycie pod głębszymi geologicznymi warstwami edukacji i doświadczenia. Czytał po kilka razy teksty spirytystów, stuletnie relacje z seansów, zapoznawał się z opisami naukowych eksperymentów z udziałem mediów. Zbuntowała się jego racjonalność. Wszystko to okazało się jedynie historią - fascynującą, ale równocześnie nieprawdziwą.

W takiej nocy na cmentarzu Robert stawał przed grobowcem Elspeth, albo siadał na jego pojedynczym stopniu, oparty plecami o niewygodny płótek. Nie przeszkadzało mu, że, odwiedzając grób Rosettich, nie wyczuwał tam obecności

Lizzie czy Christiny, ale kiedy przychodził do Elspeth i po raz kolejny dowiadywał się, że „nie ma jej w domu”, czuł dziwny niepokój. Przez pierwszy okres po jej śmierci często spacerował lub stał przy jej grobie, czekając na jakikolwiek znak.

- Będę cię nawiedzać - powiedziała mu, gdy dowiedziała się, że choroba jest nieuleczalna.

- Mam nadzieję - odpowiedział, całując jej wychudzoną szyję.

Ale nie nawiedzała go, nachodziła go jedynie we wspomnieniach, pojawiając się w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Siedział teraz na progu grobowca i patrzył na wstający za drzewami świt. Słyszał ptaki budzące się po drugiej stronie ulicy, w Waterlow Park. Śpiewały, dokazywały, kąpały się. Co jakiś czas ciszę Swains Lane mącił szum przejeżdżającego samochodu. Gdy zrobiło się już na tyle jasno, że mógł przeczytać inskrypcje na grobach znajdujących się po przeciwnej stronie alejki, wstał i poszedł na tyły cmentarza, ku Tarasowym Katakumbom. Widział wieżę św. Michała, ale Vautravers było schowane za murem. Wspiął się po schodach i otworzył zieloną furtkę. Ogarnęło go zmęczenie. Z wysiłkiem, walcząc z morzącym snem, dotarł do mieszkania. Na zewnątrz Highgate przybrało swoją dzienną pozę; świt ustąpił miejsca porankowi, pojawili się pracownicy, rozdzwoniły telefony, świat przyrody i świat ludzi zawirowały na swych oddzielnych, lecz ściśle powiązanych osiach. Robert zasnął w ubraniu, ubłocone adidas stały przy łóżku. Gdy około południa pojawił się w biurze, Jessica tylko pokręciła głową:

- Mój drogi, jak ty wyglądasz? Napij się herbaty. Czy ty kiedykolwiek sypiasz?

## NIEDZIELNE POPOŁUDNIE

Londyn smażył się pod bezchmurnym lipcowym niebem. Robert siedział wyciągnięty w podniszczonym, trzciniowym szeszlangu w ogrodzie Jessiki Bates. W jego dłoni pociła się szklaneczka ginu z tonikiem. Przyglądał się wnuczętom przyjaciółki, szykującym się właśnie do gry w krykieta. Było niedzielne popołudnie. Dręczyło go nikłe poczucie przebywania w niewłaściwym miejscu - normalnie, wraz z Jessicą byliby teraz na cmentarzu. W tak wspaniałą niedzielę jak ta, przy bramach zapewne tłoczyłyby się tłumy turystów, wymachujących aparatami fotograficznymi i protestujących przeciwko panującym na Highgate zasadom dotyczącym stroju i zakazu wnoszenia plastikowych butelek. Zapewne też narzekaliby na pięciofuntową opłatę i bezsensownie nalegali na to, by zezwolić im na wprowadzanie wózków i dzieci poniżej ośmiu lat. Z jakiegoś jednak powodu dzisiaj pracowali tam dodatkowi przewodnicy i Edward wydał Robertowi i Jessice surowy rozkaz, by „się zabawili i nawet o nich nie myśleli, ponieważ cmentarz ten jeden dzień bez nich zapewne jakoś przetrwa”. Teraz więc Jessica, która miała osiemdziesiąt cztery lata i była zupełnie niezdolna do bezczynności, przygotowywała w kuchni lunch na dwanaście osób, a Robert (zdążył już zaproponować swą pomoc, po czym został zdecydowanie odprowadzony na zewnątrz)

leżał beczynnie, przyglądając się dzieciom ustawiającym patyki i wbijającym bramki w ziemię.

Trawa była zbyt wysoka do krykieta, ale nie wydawało się, by ktokolwiek zwracał na to uwagę.

- Chciałem sprowadzić kilka owiec, żeby ją przystrzygły, ale Jessica się nie zgodziła - odezwał się James Bates.

Mąż Jessiki siedział w swoim fotelu, okryty cienkim ple-dem; samo patrzenie na niego sprawiało, że Robertowi robiło się jeszcze goręcej. Dawniej był wysokim mężczyzną, lecz skurczył się z wiekiem. Mówił lekko drżącym głosem. Nosił duże okulary, które wydatnie powiększały jego oczy. Kości miał cienkie, lecz sposób bycia zdecydowany. Dawniej pracował w szkole, był dyrektorem, a teraz pomagał na cmentarzu jako archiwista.

James z przyjemnością przyglądał się wnukom. Spierały się co do zasad i starały ustalić składy drużyn. Żałował, że nie może wstać z krzesła, przejść przez trawnik i pograć razem z nimi. Westchnął i spojrzął na leżącą mu na kolanach książkę z krzyżówkami. Pokazał otwartą Robertowi.

- Ta jest bardzo pomysłowa. Wszystkie wskazówki są podane w postaci równań matematycznych, których wyniki należy przełożyć na litery i dopiero wypełnić.

- Hmm. Czyżby to jedno z dzieł Martina?

- Tak, dostałem od niego na Boże Narodzenie.

- Sadystyczny demon.

Dzieci ustawiły się wokół pierwszej bramki i zaczęły wbi-jać w nią barwne piłki. Starsze czekały cierpliwie, aż najmłodsza dziewczynka wykona swoje uderzenie.

- Bardzo ładnie, Nell — pochwalił najwyższy chłopiec.

James wymierzył piórem w Roberta.

- Jak sobie radzisz ze sprawami Elspeth?

Pomiędzy dwójką kuzynów wybuchła niewielka sprzeczka o prawidłowość jednego z uderzeń. Myśli Roberta wróciły do zmarłej, która zresztą nigdy nie opuszczała ich na długo.

- Roche koresponduje z bliźniaczkami. Siostra Elspeth groziła, że zakwestionuje testament, ale wydaje mi się, że Roche przekonał ją, że nie ma szans takiej sprawy wygrać. To pewnie jakaś amerykańska przypadłość, to uwielbienie dla wiecznego ciągnięcia się po sądach.

- Nadal uważam, że to raczej dziwne, że Elspeth nigdy nam nie wspomniała o siostrze bliźniaczcze. - James się uśmiechnął. - Trudno sobie wyobrazić drugą taką jak ona.

- Prawda... - Robert patrzył na dzieci, z nabożeństwem turlające kule po trawie. - Elspeth mówiła, że ona i Edie nie miały podobnych charakterów. Nie cierpiała, gdy ludzie je ze sobą mylili. Pamiętam, jak kiedyś robiliśmy zakupy u Marksa i Spencera i do Elspeth podeszła jakaś kobieta. Z miejsca zaczęła z nią rozmawiać. Okazało się, że była matką chłopaka, z którym spotykała się Edie. Elspeth potraktowała ją raczej okropnie. Kobieta odeszła naburmuszona, a Elspeth przybrała swoją zwykłą nadętą minę, zupełnie jak te brazylijskie żaby, które nagle puchną i plują na atakujące drapieżniki.

James wybuchnął śmiechem.

- U tak drobnej kobiety musiało to ciekawie wyglądać.

- Nosiłem ją na rękach. Kiedyś przeniosłem ją przez całe Hampstead Heath, bo złamała obcas.

- Tak, pamiętam, że nosiła strasznie wysokie.

Robert westchnął i pomyślał o garderobie Elspeth, która w razie potrzeby mogłaby służyć za muzeum obuwia. Całkiem niedawno spędził w niej część popołudnia, pieszcząc jej szpilki i onanizując się. Zalał się rumieńcem wstydu.

- Nie mam pojęcia co zrobić ze wszystkimi jej rzeczami,  
- Nie sędzę, byś musiał robić cokolwiek. Kiedy przyjadą bliźniaczki, same będą musiały się tym zająć.

- Ale one mogą coś wyrzucić - zauważył Robert.

- To prawda, mogą. - James przesunął się lekko w fotelu. Bolały go plecy. Nie do końca rozumiał, dlaczego Elspeth zostawiła swoje ziemskie dobra tym dziewczynom, które mogły przecież pozbyć się wszystkiego co kochała. - Widziałeś je kiedykolwiek?

- Nie. Prawdę mówiąc, Elspeth też ich nie widziała. Ona i Edie nie rozmawiały ze sobą odkąd Edie uciekła z narzeczonym Elspeth. - Robert zmarszczył czoło. - To wszystko jest dziwne, naprawdę bardzo dziwne. Bliźniaczki odziedziczą większość spadku, ale dopiero kiedy skończą dwadzieścia jeden lat, czyli pod koniec tego roku. Co więcej, dostaną mieszkanie jedynie pod warunkiem, że nigdy nie pojadą się w nim ich rodzice.

- Trochę to mściwe, nie sądzisz? Jak ona sobie wyobrażała realizację tego warunku?

- Dopisała go tylko dlatego, że nie mogła znieść myśli o Edie czy Jacku dotyczących jej rzeczy. Zdawała sobie sprawę, że w praktyce może być różnie.

- Takie to... elspethowe. - James się uśmiechnął. - Ale skoro tak ich nie cierpi, dlaczego zostawiła spadek ich córkom? Czemu nie tobie?

- Mnie zapisała to, co miało dla mnie znaczenie. - Robert spojrział pustym wzrokiem gdzieś ponad trawnikiem. - Co do bliźniaczek, to w rozmowach ze mną była raczej skryta. Podejrzewam że ujęło ją to, że są bliźniaczkami; wyobrażała sobie siebie jako ciocię Elspeth, choć nigdy nie wysłała im ani jednej pocztówki na urodziny. Pewnie też pociągała ją ekstrawagancja tego pomysłu, rozumiesz. Ten

spadek zupełnie zmieni ich życie i wyrwie je spod skrzydeł rodziców, wrzucając jednocześnie do świata Elspeth. Co one z nim zrobią, można się na razie tylko domyślać.

- Szkoda, że nie mogła się z nimi spotkać.

- Tak.

Robert nie miał ochoty dłużej rozmawiać o testamencie. Partia krykieta przeradzała się powoli w zawody wolnej amerykanki. Młodszy chłopcy walczyli kijami niby mieczami, a dziewczynki przerzucały kulę nad głową małej Nell, która rozpaczliwie starała się im ją odebrać. Tylko dwójka najstarszych chłopców wciąż zawzięcie trafiała kulami w bramki. W tej samej chwili do ogrodu wkroczyła Jessica, zauważyła panujący chaos i wzięła się pod boki. Wyglądała jak ucieleśnienie świętego oburzenia.

- Ahem! - odchrząknęła. - Co tu się dzieje?! - Była obdarzona głosem, który wznosił się i opadał jak szybujący latawiec.

Dzieci natychmiast zamarły zawstydzone i spojrzały wzrokiem kota, który spadł z fotela w wyjątkowo pozbawiony wdzięku sposób, po czym usiadł, liżąc futerko i udając że nic się nie stało. Jessica podeszła do Jamesa i Roberta. Nogi stawiała ostrożnie. Niedawno aż dwie jej przyjaciółki złamały biodro, więc na jakiś czas poskromiła swój zwyczaj odważnego maszerowania bez względu na otoczenie i podłoże. Podsunęła sobie krzesło i usiadła obok męża.

- I jak tam nasz lunch? - zapytał.

- Jeszcze chwilę musicie poczekać. Kurczak się piecze. - Jessica osuszyła czoło chusteczką.

Robert był niemal pewien, że nie da rady zjeść w takim upale pieczonego drobiu. Przycisnął do policzka szklaneczkę pełną niemal zupełnie roztopionego lodu. Zauważyła to Jessica.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze - powiedziała.
- Brak snu - odparł.
- Mhm - mruknęli chórem Jessica i James, po czym wymienili się spojrzeniami. - A dlaczego źle sypiasz?

Robert odwrócił wzrok. Dzieci podjęły przerwana grę. Większość z nich stała w grupce przy jednej z bramek, choć Nell męczyła się nad kulą, która uwięzła w kępie irysów. Zamachnęła się kijem i wyrwała kilka kwiatów z ziemi. Robert spojrzał na Jessicę i Jamesa, którzy wciąż mu się przypatrywali.

- Wierzycie w duchy? - spytał.
- Oczywiście, że nie - odparła Jessica. - To przecież bzdury.

James uśmiechnął się pod nosem i spuścił wzrok na leżące na jego kolanach krzyżówki Martina.

- Cóż, ja wiem, że w takie zwykłe duchy nie wierzycie. - Highgate cierpiał w przeszłości na nadmiar uwagi ze strony miłośników zjawisk paranormalnych i satanistów. Jessica zużyła wiele czasu i energii, tłumacząc ekipie japońskiej telewizji i innym dziennikarzom zajmującym się sprawami nadnaturalnymi, by nie promowali jej cmentarza jako niewiedzonej nekropolii czy spirytystycznego Disneylandu. - Ja też... Chodzi tylko o to, że kiedy odwiedzam mieszkanie Elspeth, mam wrażenie, że... ona tam jest.

Kąciki ust Jessiki opadły, jakby usłyszała właśnie wyjątkowo niesmaczny żart. James podniósł zaintrygowany wzrok.

- Jakie dokładnie wrażenie masz na myśli? - spytał.

Robert przez chwilę dobierał słowa.

- Trudno to określić. Ale, na przykład, w jej mieszkaniu dzieje się coś bardzo dziwnego z temperaturą. Siedzę przy jej biurku, sortuję dokumenty i nagle czuję silny chłód w jednej części ciała. Marznie mi ręka i ten chłód pełźnie wwyż,



do ramienia. Albo na kark... - Robert spojrział w szklaneczkę. - Poza tym poruszają się tam przedmioty. Maleńkie, najmniejsze z poruszeń: zasłony, ołówki. Przesuwają się tuż na skraju mojego pola widzenia. Kiedy wracam następnego dnia, nie zastaję rzeczy tam, gdzie je zostawiłem. Pewnego razu książka spadła sama z biurka na podłogę...

Podniósł wzrok i zauważył, że James kręci lekko głową, patrząc znacząco na żonę. Jessica wpatrywała się w niego wstrząśnięta. Usta zasłoniła dłonią.

- Tak, jasne. Nieważne - rzucił.

- Robert, ależ my cię słuchamy - zapewniła.

- Ja po prostu wariuję.

- To rzeczywiście możliwe, ale jeśli ci z tym lepiej...

- Nie, nie jest mi lepiej.

- Ach... - Wszyscy troje umilkli.

- Ja kiedyś widziałem ducha - odezwał się po chwili James.

Robert spojrział na Jessicę. Miała raczej zrezygnowany wyraz twarzy; uśmiechała się półgębkiem i zmrużyła powieki.

- Widziałeś ducha? - powtórzył Robert.

- Tak. - James uniósł się w krześle. Jessica pochyliła się i poprawiła mężowi poduszkę, o którą opierał plecy. - Byłem jeszcze mały. Miałem może sześć lat. Zaraz... Tak, to musiało być w tysiąc dziewięćset siedemnastym. Wychowywałem się pod Cambridge, a dom, w którym mieszkaliśmy, został przerobiony ze starej gospody. Wzniesiono go około tysiąc siedemset pięćdziesiątego. Był bardzo duży, szalały w nim przeciągi, a stał tuż przy rozstajach dróg. Pierwszego piętra nie używaliśmy. Wystarczało nam miejsca na parterze. Nawet pokojówka miała pokój na dole. Mój ojciec wykładał w Cambridge, więc było normalne, że często odwiedzali nas goście. Zwykle mieliśmy dość pomieszczeń, by

przenocować wszystkich, ale tamtym razem musiało ich się zjechać nieco więcej, ponieważ Samuel, mój młodszy brat, został wysłany na noc do jednego z tych nieużywanych pokoi na górze. - James uśmiechnął się. - Już wtedy Sam był, jak to się teraz mówi, twardym gościem, ale tamtej nocy był przez cały czas, aż matka musiała po niego pójść i zabrać go do swojego łóżka.

- Nie wiedziałem, że masz brata - zauważył Robert.

- Sam zginął na wojnie.

- Ach...

- Więc następnej nocy na piętrze miałem spać ja...

- Moment, czy Sam powiedział ci, dlaczego płakał?

- Brat miał wtedy cztery lata — wyjaśnił James. - Ja się oczywiście z niego naśmiewałem, więc nie powiedział mi nic. Tak to przynajmniej zapamiętałem. Ważne jest, że to mnie położono do łóżka na górze. Pamiętam, że leżałem z kocem naciągniętym pod samą brodę. Matka pocałowała mnie na dobranoc i zostałem sam w ciemności, czekając, aż jakaś potworna istota wyśliźnie się z szafy i mnie porwie...

Jessica się rozpromieniła. Robert odniósł wrażenie, że uśmiech był przeznaczony dla chorobliwie bujnej dziecięcej wyobraźni.

- I co się stało?

- Zasnąłem. Ale obudziłem się w środku nocy. Przez okno wpadało światło księżyca. Na łóżku kładły się cienie gałęzi, lekko kołysały się na wietrze...

- I wtedy zobaczyłeś ducha?

James wybuchnął śmiechem.

- Mój chłopcze, duchem były właśnie te gałęzie. Wokół domu, w promieniu stu jardów nie było ani jednego drzewa. Wszystkie zostały ścięte lata temu. Widziałem ducha drzewa.

Robert się zastanowił.

- To bardzo elegancka zjawa. Spodziewałem się czegoś bardziej złowrogiego.

- Niczego więcej nie zobaczyłem. Osobiście sędzę, że jeśli takie rzeczy się zdarzają - mam na myśli duchy - to są one piękniejsze i bardziej zaskakujące niż każą nam wierzyć stare bajania.

Kiedy James mówił, Robert przyglądał się Jessice. Spoglądała na męża z wyrazem twarzy, w którym zbiegały się cierpliwość, podziw i coś bardzo intymnego, co wydało się Robertowi kwintesencją wieloletniego małżeństwa. Nagle poczuł, że chce zostać sam.

- Masz może ibuprofen? - spytał Jessicę. - Od tego słońca rozboleła mnie głowa.

- Oczywiście, zaraz ci przyniosę.

- Nie, nie - powiedział, podnosząc się z miejsca. - Połóż się chyba na trochę, zanim zjemy.

- W ubikacji na parterze jest szafka. Tam powinien być jeszcze anadin.

Jessica i Robert powiedli wzrokiem za Robertem, który sztywnym krokiem przeszedł przez taras i zniknął w głębi domu.

- Naprawdę się o niego martwię - odezwała się Jessica. - Chyba się nieco pogubił.

- Elspeth umarła ledwie osiem miesięcy temu - zauważył James. - Daj mu trochę czasu.

- Hmm. Nie jestem pewna. Mam wrażenie, że zatrzymał się w miejscu. To znaczy, żyje jak wszyscy, ale nie wyczuwam w nim już pasji. Myślę też, że przestał nawet pracować nad doktoratem. Po prostu nie pozwala jej odejść.

James spojrział w pełne niepokoju oczy żony i uśmiechnął się.

- Ile tobie by zajęło, zanim pozwoliłabyś odejść mnie?

Kobieta podała mu rękę, chwycił jej dłoń.

- James, mój drogi, nie wyobrażam sobie, że mogłabym kiedykolwiek pozwolić ci odejść.

- Sama widzisz, kochanie - odparł. - Masz swoją odpowiedź.

Robert stanął w zalanym półmrokiem korytarzu na parterze. W dłoni trzymał dwie tabletki. Połknął je bez popijania i oparł czoło o chłodny tynk ściany. Po bezlitosnym skwarze tarasu wrażenie było cudowne. Słyszał nawoływania dzieci, które porzuciły już krykiet dla jakiejś innej zabawy. Teraz, gdy został sam, poczuł ochotę, by znów wyjść na dwór, by rozproszyć myśli, zająć je czymś, porozmawiać o czymkolwiek innym. Postanowił, że wróci do przyjaciół za kilka minut. Czuł ucisk w gardle - podrażniły je pigułki. Zdał sobie sprawę, że zostawia na ścianie ślad spoconego czoła, i przetarł ją dłonią. Zamknął oczy i pomyślał o Jamesie - mały chłopiec siedzący w łóżku, wpatrzony w cienie nieobecnych drzew. Dlaczego nie? - przemknęło mu przez głowę. Dlaczego nie?

# HISTORIA JEJ DUCHA

Elsbeth Noblin nie żyła już od bez mała roku, a wciąż jeszcze nie poznała wszystkich zasad nowej gry.

Z początku po prostu dryfowała bezwolnie po swoim mieszkaniu. Nie miała zbyt wiele energii i większość jej trawiła, wpatrując się w swoje dawne rzeczy. Na przemian zasypiała i budziła się wiele godzin - lub może nawet dni - później. Nie była w stanie zmierzyć upływu czasu, zresztą nie miał on żadnego znaczenia. Była pozbawiona kształtu i całe popołudnia spędzała, przelewając się po podłodze z jednej słonecznej plamy na drugą. Pozwalała ciepłym promieniom pieścić każdą swoją cząsteczkę. Unosiła się i opadała, ogrzewała i stygła, jakby była powietrzem.

Odkryła, że jest w stanie wnikać w bardzo małe przestrzenie, co doprowadziło do jej pierwszego eksperymentu. Miała w biurku szufladę, której nigdy przedtem nie udało się jej wysunąć. Zapewne z wiekiem wypaczyły się jej drewniane ścianki. Kluczyk otwierający wszystkie inne nie działał tylko na tę jedną, najniższą po lewej stronie. Zawsze tego żałowała. Ta szuflada byłaby bardzo poręczna. Teraz Elspeth wpłynęła do niej przez otwór w zamku. Okazała się pusta i zjawa poczuła lekkie rozczarowanie. Jednakże sam fakt przebywania w szufladzie miał w sobie coś, co bardzo się jej spodobało. Gdy skupiła się do objętości dwóch stóp

sześciennych, doznała przyjemnego poczucia zwiększonej konkretności, od którego szybko się uzależniła. Nie miała już ciała, ani żadnych jego organów, lecz kiedy wciskała się do szuflady, odbierała wrażenia nieco zbliżone do dotyku: przypominało to trochę muśnięcie włosa na skórze lub języka na zębach. W nowej kryjówce spędzała wiele czasu. Sypiała w niej, myślała, uspokajała się. Zupełnie jakby wróciła do macicy, stwierdziła, ciesząc się otaczającą ją ciasnotą.

Pewnego poranka Elspeth ujrzała swoje stopy. Ledwie istniały, ale poznała je i ogarnęła ją ekstatyczna radość. Dłonie, nogi, ramiona, biodra i tors pojawiły się nieco później, aż wreszcie zjawa poczuła głowę i szyję. Ciało było tym samym, w którym umarła - chude, poznaczone otworami po igłach i pooperacyjnymi bliznami, ale tak bardzo się cieszyła, że może je zobaczyć, że wcale jej to nie przeszkadzało. Stopniowo traciła też przejrzystość, to znaczy, coraz lepiej widziała samą siebie - dla Roberta wciąż pozostawała niewidzialna.

Spędzał w jej mieszkaniu wiele czasu, zamykał jej sprawy, snuł się, dotykając przedmiotów, kładł się skulony na łóżku, ściskając w dłoni któreś z jej ubrań. Martwiła się o niego. Strasznie wychudł, wyglądał na chorego, pogrążonego w depresji. Nie chcę tego oglądać, myślała. Wahała się pomiędzy podjęciem prób przekazania mu jakiegoś znaku swojej obecności a chęcią zostawienia go w spokoju. Jeśli się dowie, że tu jesteś, nigdy z tego nie wyjdzie. Ale przecież i tak nie zanosi się, by miało mu się polepszyć.

Czasami go dotykała. Wydawało się, że Robert odczuwa to jak lodowaty powiew; widziała gęsią skórę, która pojawiała się w ślad za jej dłonią. Jego ciało było dla niej gorące. Sama zjawa znała teraz jedynie ciepło i zimno. Gładkość

i szorstkość, miękkość i twardość - te były już stracone. Nie posiadała smaku ani węchu. Nawiedzała ją za to muzyka; piosenki, które kochała lub których nienawidziła, a także takie, na które ledwo zwracała uwagę, rozbrzmiewały bez końca w jej umyśle. Nie potrafiła się ich pozbyć. Przypominały radio wiecznie włączone u kłopotliwych sąsiadów.

Elspeth lubiła zamykać oczy i pieścić swoją twarz. Pod naciskiem własnych dłoni była konkretna, choć reszta świata przenikała przez nią, jak gdyby stanowiła rzucaną w kinie na ekran smugę światła z projektora. Nie musiała już odprawić codziennych rytuałów mycia się, ubierania, malowania - jeśli tylko przywołała w myślach ulubioną bluzę lub sukienkę, od razu miała ją na sobie. Ku jej rozczarowaniu nie urosły jej włosy. Przedtem bardzo przeżywała chwile, gdy wypadały całymi garściami, i te późniejsze, kiedy zaczęły odrastać i okazały się już włosami kogoś innego - dawny blond zniknął, pojawiły się srebrno-siwe odrosty. W dotyku były szorstkie i sztywne.

Elspeth nie odbijała się teraz w lustrach. Doprowadzało ją to do szału - i tak czuła się odsunięta na boczny tor świata, a niemożność ujrzenia własnej twarzy powodowała, że samotność dręczyła ją tym bardziej. Stawała czasem w korytarzu, wpatrzona z napięciem w szklaną tafłę, ale jedynym, co zdołała dostrzec, była przyciemniona smuga, nieznaczna wskazówka kształtu, jakby ktoś zaczął coś rysować węglem w powietrzu i nagle starł niedokończony szkic. Gdy wyciągała ręce przed siebie, widziała swoje dłonie tak samo jak za życia. Kiedy się pochylała, mogła zobaczyć swoje stopy - najczęściej w świetnych butach. Ale własna twarz wciąż się jej wymykała.

Właśnie na tym przede wszystkim polegało bycie duchem - zmuszało ją do karmienia się światem. Sama nie

posiadała już niczego. Musiała czerpać przyjemność z tego, co robią inni, ci którzy jeszcze potrafili dotykać, jeść, oddychać.

Elsbeth rozpaczliwie chciała hałasować. Próbowwała, ale Robert jej nie słyszał, nawet gdy stawała o kilka cali od niego i krzyczała na cały głos. Zrozumiała, że nie ma czym wydawać dźwięków - jej eteryczne struny głosowe zupełnie się do tego celu nie nadawały. Skupiła się więc na przesuwaniu przedmiotów.

Z początku wszystkie uparcie odmawiały współpracy. Elspeth zbierała całą swoją ulotną substancję i wściekłość, po czym rzucała się na leżącą na sofie poduszkę, lub na książkę - nie działało się nic. Próbowwała otwierać drzwi, grzechotać filiżankami do herbaty, zatrzymywać wskazówki zegarów. Rezultaty, jeśli w ogóle jakieś, były zupełnie niedostrzegalne. Po jakimś czasie uciekła się do innej taktyki i skoncentrowała na bardzo małych przedmiotach. Pewnego dnia odniosła tryumf nad spinaczem do papieru. Dzięki cierpliwemu, naprzemiennemu pchaniu i ciągnięciu, udało się jej przesunąć go o pół cala w ciągu godziny. Od tej pory wiedziała już, że nie jest istotą zupełnie bez znaczenia - rozumiała, że jeśli tylko odpowiednio się postara, nadal może wpływać na świat. Zaczęła ćwiczyć codziennie. W końcu udało się jej strącić spinacz na podłogę. Nauczyła się poruszać fałdami zasłon i wąsami wypchanego gronostaja, który stał na regaliku. Później spróbowała włączników światła. Nauczyła się przesuwać drzwi o kilka cali, kołysały się jak wtedy, gdy do pokoju wpada silny przeciąg. Ku jej radości okazało się, że potrafi przerzucać stronicę książek. Za życia czytanie było dla Elspeth największą przyjemnością, a teraz mogła się mu poświęcić ponownie, o ile oczywiście miałyby



do dyspozycji otwartą książkę. Zaczęła więc pracować nad wyciąganiem książek z ich miejsc na półkach.

O ile przedmioty były dla Elspeth pozbawione konkretności, czy może to raczej ona była niematerialna dla nich, to ściany mieszkania stanowiły dla niej nieprzekraczalną barierę. Z początku jej to nie przeszkadzało. Niepokoiła się myślą, że gdyby wyszła na dwór, wiatr i deszcz mogłyby ją rozproszyć. Z upływem czasu jednak zaczęło ją to drażnić. Gdyby wyznaczone dla niej terytorium obejmowało również mieszkanie Roberta, byłaby zadowolona. Wiele razy próbowała przeniknąć przez podłogę, ale zawsze kończyła w czymś w rodzaju kałuży z samej siebie, niczym Zła Czarnownica z Zachodu. Próby prześlizgnięcia się pod drzwiami wyjściowymi również spełzły na niczym. Słyszała Roberta w jego mieszkaniu - brał prysznic, rozmawiał z telewizorem, odtwarzał płyty „Arcade Fire”. Wszystkie te dźwięki sprawiały, że zaczynała się nad sobą użalać i przepełniała ją gorycz.

Otwarte okna i drzwi wyglądały kusząco, ale okazały się tak samo bezużyteczne. Ilekroć Elspeth próbowała przez nie przejść, traciła kształt, rozwiewała się lekko, lecz wciąż tkwiła w mieszkaniu.

Dlaczego? - zastanawiała się. Po co to wszystko? Rozumiem, jakie jest uzasadnienie dla nieba i piekła, dla nagrody i kary, ale jeśli tak ma wyglądać czyściec, to jaki w tym sens? Czego mam się nauczyć w tym areszcie domowym dla zjaw? Czy wszyscy umarli są na stałe przywiązani do swych dawnych mieszkań? Skoro tak, to gdzie są poprzedni lokatorzy tego budynku? Czyżby niebiańskie władze coś przeoczyły?

Religię zawsze traktowała dość swobodnie. Była anglikanką tak samo jak inni: wydawało jej się nawet, że wierzy

w Boga, ale robienie z tego większej afery uznawała za staroświecki przesąd. Do kościoła chadzała rzadko, chyba że ktoś umarł albo właśnie brał ślub; kiedy się teraz nad tym zastanawiała, zaczęła nawet żałować - kościół św. Michała miała przecież tuż pod nosem. Żałuję, że nie pamiętam własnego pogrzebu, pomyślała. Zapewne odbył się wtedy, gdy turlała się po podłodze pod postacią bezkształtnej mgiełki. Elspeth zaczęła rozważać, czy nie powinna być bardziej konsekwentna w swoim stosunku do religii. Bała się możliwości, że spędzi w tych czterech ścianach resztę wieczności. Nie była nawet pewna, czy ktoś, kto już raz umarł, może popełnić samobójstwo.

## FIOLETOWA SUKIENKA

Edie i Valentina siedziały razem w pracowni, szyły. Była niedziela przed świętami Bożego Narodzenia; Julia pojechała z Jackiem do centrum, żeby pomóc ojcu w zakupach. Valentina przypięła wykroj sukienki do fioletowego jedwabiu, starannie uważając, by nie pofałdować przy tym tkaniny. Miała wykroić dwie identyczne sukienki i nie była pewna, czy kupiła wystarczająco dużo materiału.

- Tak będzie dobrze - uznała Edie.

Pokój był nagrany promieniami popołudniowego słońca i czuła lekką senność. Podała córce swoje najlepsze nożyczki i spojrzała na stal przedzierającą cienki jedwab. To taki wspaniały dźwięk. Oba ostrza poruszają się doskonale razem, pomyślała. Po chwili Valentina podała matce wycięte fragmenty i Edie zaczęła przenosić linie szwów z wykroju na tkaninę. Co chwila podawały sobie materiał z rąk do rąk, pracując zgodnie, w wyuczonym od dawna, wspólnym rytmie. Kiedy jedwab był już oznaczony, szpilki wyjęte i wpięte ponownie bez wykroju, Valentina usiadła przy maszynie i zaczęła uważnie zszywać fragmenty, a Edie zajęła się przygotowaniem drugiej partii tkaniny.

- Patrz, mamó - powiedziała Valentina. Wstała i przyłożyła sobie przód sukienki do piersi. Naelektryzowana spódnica oblepiła ją z suchym trzaskiem. Rękawów jeszcze nie

było, a szwy trzymały słabo. Edie pomyślała, że jej córka szyje coś, co jak na razie najbardziej przypomina strój wróżki ze świątecznego przedstawienia.

- Wyglądasz jak Kopciuszek - zauważyła.

- Naprawdę? - Valentina podeszła do lustra i uśmiechnęła się do własnego odbicia. - Podoba mi się ten kolor.

- Do twarzy ci.

- Julia chciała, żebym uszyła różowe.

Edie zmarszczyła brwi.

- Wyglądałybyście jak dwunastoletnie baletnice. Różową możemy zrobić tylko dla niej.

Valentina spojrzała ukradkiem w oczy matki i odwróciła wzrok.

- Szkoda zamieszania. Ona i tak chciałaby dostać taką samą jak moja.

- Dobrze by było, kochanie, żebyś częściej się jej przeciwstawiała.

Valentina odlepiła od siebie sukienkę i usiadła na powrót przy maszynie. Zaczęła szyć rękawy.

- Czy Elspeth tobą rządziła? Czy ty nią?

Edie się zawahała.

- My nie... To tak nie wyglądało. - Rozłożyła na stole drugą sukienkę i przeciągnęła kredą wzdłuż linii szwów. - Wszystko robiłyśmy razem. Nie cierpiałyśmy się rozdzielać. Ja nadal za nią tęsknię.

Valentina znieruchomiała, czekając na dalsze słowa matki.

- Przyślijcie mi zdjęcia mieszkania, dobrze? - powiedziała zwięźle Edie. - Podejrzewam, że pełno tam mebli po naszych rodzicach; Elspeth do szaleństwa uwielbiała te ciężkie wiktoriańskie koromysła.

- Dobra, jasne. - Valentina obróciła się na krześle. - Wołałabym, żebyśmy nie musiały tam jechać.

- Wiem. Ale, jak to mówi wasz ojciec: nie można całego życia przesiedzieć w domu.

- Wcale tego nie chcę.

- To dobrze. - Edie się uśmiechnęła.

- Żałuję tylko, że nie mogę tu zostać na zawsze i przez cały czas szyć.

- To zabrzmiało jak zdanie z jakiejś bajki.

- Bo ja jestem karzełek Titelitory. - Valentina się roześmiała.

- Nie, nie - zaprotestowała Edie. Odłożyła kawałki jedwabiu na bok i podeszła do córki. Stanęła za nią i złożyła dłonie na jej ramionach. Pochyliła się i pocałowała Valentinę w czoło.

- Nie jesteś Titelitory, jesteś księżniczką.

Dziewczyna podniosła wzrok i ujrzała uśmiechniętą, odwróconą do góry nogami, twarz matki.

- Naprawdę?

- Oczywiście - przytaknęła Edie. - Zawsze nią byłaś.

- Czyli będziemy żyć długo i szczęśliwie?

- Z całą pewnością.

- To dobrze. - Valentina odczuła nagle coś intensywnego, uświadomiła sobie, że właśnie powstaje ważne wspomnienie.

Czyli będziemy żyć długo i szczęśliwie? Z całą pewnością. Edie zajęła się drugą sukienką, a Valentina skończyła szyć pierwszy rękaw. Gdy Jack i Julia wrócili do domu, dziewczyna miała już na sobie fioletową sukienkę, a Edie klęczała przed nią, z ustami pełnymi szpilek, i upinała rąbek. Valentina z całych sił starała się stać nieruchomo; miała ochotę zawirować i sprawić, by sukienka zakręciła się wokół niej jak karuzela. Chcę ją włożyć na bal, pomyślała, żeby zobaczyć ją księżę, kiedy poprosi mnie do tańca.

- Mogę przymierzyć? — spytała Julia.
  - Nie - mruknęła Edie między szpilkami, zanim Valentina zdążyła się odezwać. - To jej sukienka. Przyjdź potem.
  - Okej - rzuciła Julia, odwróciła się i pobiegła pakować prezenty, które kupili z ojcem.
  - Widzisz? - odezwała się Edie do Valentyny. - Wystarczy otworzyć usta i powiedzieć „nie”.
  - Okej - rzuciła Valentina. Obróciła się w miejscu i sukienka zawirowała.
- Edie się roześmiała.

## DRUGI DZIEŃ ŚWIĄT

Jack wszedł do swojego gabinetu, pieścizotliwie zwanego „norą” i zastał bliźniaczki oglądające film. Była północ, zazwyczaj o tej porze wszyscy troje dawno już znajdowali się w łózkach.

- Chyba to znam - zauważył. - Co oglądacie?

- „Wściekłość i brud” - powiedziała Julia. - Film dokumentalny o Sex Pistols. Dostałyśmy go od was na święta.

- Ach...

Bliźniaczki rozparły się na kanapie, więc Jack opadł na fotel. Gdy tylko usiadł, poczuł przemożne wyczerpanie. Wigilię uwielbiał, ale dni po niej od zawsze wydawały mu się puste i wyzute z radości. Do tego dokładał się wyjazd córek do Londynu, który miał nastąpić już niebawem. Gdzie się podział cały ten czas? Do ich dwudziestych pierwszych urodzin zostało tylko pięć dni, zaraz potem znikną.

- Jak idzie pakowanie? - spytał.

- Okej - odparła Valetina. Wyłączyła dźwięk w telewizorze. - Będziemy miały nadbagaż.

- Czemu nie jestem zdziwiony? - Jack westchnął.

- Musimy jeszcze kupić transformatory, wiesz, żeby móc podłączyć tam nasze komputery i tak dalej. - Julia spojrzała na Jacka. - Zabierzesz nas jutro do centrum?

- Jasne. Przy okazji zjemy obiad w „Heaven on Seven” - zgodził się Jack. - Mama na pewno zechce zabrać się z nami. - Edie od tygodni nie odstępowała bliźniaczek na krok, ciułała je jak skarby, zapamiętywała.

- To świetnie, moglibyśmy też zajrzeć do „Water Tower”, potrzebujemy nowych butów.

Valentina przyglądała się śpiewającemu bezgłośnie Johnny'emu Rottenowi. Wygląda jak kretyn, ale ma świetny sweter, pomyślała. Wraz z Julią starannie przygotowały się do podróży do Londynu. Czytały przewodniki „Lonely Planet” i Dickensa, sporządzały listy rzeczy do spakowania i próbowały odszukać lokalizację swojego nowego mieszkania na Google Earth. Bez końca snuły domysły na temat ciotki Elspeth i tajemniczego pana Fanshawa. Były też przyjemnie zaskoczone sumą pieniędzy, która znalazła się na ich nowym, angielskim, rachunku bankowym. Teraz nie zostało im już prawie nic do zrobienia, i to wywołało poczucie dziwnej pustki, niepokoju i pełgającej trwogi. Valentina miała ochotę wyjechać teraz, zaraz, albo już nigdy.

- Dobrze się czujesz? - Julia spojrzała na ojca.

- Tak, w porządku. A co?

- Nie wiem, jesteś jakiś taki wymięty.

Poza tym bardzo przytyłeś i często sapiesz. Co ci jest? - dodała już tylko w myślach.

- Nie, naprawdę nic mi nie jest. To przez te święta.

- Ach...

Jack siedział, próbując sobie wyobrazić dom / swoje małżeństwo / życie bez bliźniaczek. W rozmowach z żoną unikali tego tematu od miesiący, więc teraz myślał o tym obsesyjnie, oscylując pomiędzy fantazjami o małżeńskim szczęściu, wspomnieniami z ostatniego okresu, kiedy córek



nie było w domu, a swymi bardziej współczesnymi, związanymi z Edie niepokojami.

Edie była rozkojarzona jakiś czas przed śmiercią Elspeth. Jack wynajął prywatnego detektywa właśnie po to, by poznać przyczynę jej nieobecności, pustych spojrzeń, radosnego lecz fałszywego śmiechu, jakim reagowała na jego pytania o zmiany w jej zachowaniu. Detektyw mógł ją jednak tylko obserwować: nie przyniósł odpowiedzi na pytania Jacka. Po śmierci Elspeth rozstargnienie Edie zostało zastąpione głębokim smutkiem. Mąż nie był w stanie jej pocieszyć. Nigdy nie udało mu się dobrać właściwych słów, choć próbował wiele razy. Teraz zastanawiało go, co się stanie z Edie po wyjeździe bliźniaczek.

Za każdym razem, gdy siostry wyjeżdżały na uczelnię, wszystko zapowiadało się świetnie. Jack i Edie cieszyli się i korzystali z odzyskanej wolności: zdarzały się zarwane noce, głośny seks, nieco przesadne picie i inne nieplanowane rozrywki. Potem jednak zawsze wkradała się pewnego rodzaju beznadzieja. Pusty dom zaczynał im ciążyć. Kolacje jadali we dwoje, tylko we dwoje; wieczory niemiłosiernie ciągnęły się w milczeniu, chyba że wypełniali je filmami na DVD lub spacerami na plażę, czy wypadami do klubu. Albo uciekali, każde do innego zakątka domu - on surfował po Internecie, czytał kolejną powieść Toma Clancy'ego, Edie szyła, słuchając audiobooków (teraz była na etapie *Powrotu do Brideshead*, co według Jacka gwarantowało w niedługim czasie poważny atak depresji).

Dziś wieczorem nie był pewien, czy w ogóle ma się spodziewać czegoś radosnego w związku z wyjazdem córek. Był im wdzięczny za to, że zostały tak długo jak musiały, czuł wdzięczność wobec Edie i Elspeth za to, że urządziły wszystko tak, by Julia i Valentina mogły dorastać w tym

brzydkim, wygodnym domu, by on mógł stać się tatą, by dziewczyny mogły siedzieć w jego pokoju i oglądać Johnny'ego Rottena wściekle wyrzucającego z siebie kolejne słowa „God Save the Queen” na ekranie telewizora z wyłączonym dźwiękiem; nagle ta ogarniająca go, nietypowa wdzięczność wydała mu się dziwnie podobna żałobie. Wyplątał się z fotela, wymamrotał „dobranoc” i zostawił dziewczyny same, bojąc się, że jeśli zostanie tam choć minutę dłużej, zacznie płakać lub wyrwie mu się coś, czego mógłby potem żałować. Poszedł do sypialni. Edie spała skulona, zalana nikłym niebieskawym światłem zegara w radiu. Jack zdjął ubranie, położył się do łóżka, nie myjąc zębów, i zaległ w otchłani, nie mogąc wyobrazić sobie jakiegokolwiek przyszłego szczęścia.

Valentina wyłączyła telewizor. Bliźniaczki wstały i się przeciągnęły.

- Wygląda na naprawdę załamane - zauważyła Valentina.

- Oboje są na krawędzi samobójstwa - odparła Julia. - Ciekawe, co z nimi będzie, kiedy wyjedziemy?

- Może powinniśmy zostać?

Julia rzuciła siostrze zniecierpliwione spojrzenie.

- I tak musimy się kiedyś wyprowadzić. Im wcześniej wyjedziemy, tym szybciej się z tym uporają.

- Pewnie masz rację.

- Będziemy do nich dzwonić co niedziela. Mogą też nas odwiedzać.

- Wiem. - Valentina wzięła głębszy oddech. - Może jednak powinnaś pojechać do Londynu sama, a ja tu z nimi zostanę?

Julia aż się wzdrygnęła, poczuła się odrażona. Wolałabyś zostać z mamą i tatą niż być ze mną?

- Nie...!!! - krzyknęła i urwała, próbując stłumić irytację. Siostra przyglądała się jej z lekko rozbawioną miną. - Myszko, obie musimy...

- Wiem. Nie martw się. Pojadę z tobą. - Valentina przytuliła się do bliźniaczki, objęła ją ramieniem.

Po chwili zgasiły światło i poszły do swojego pokoju. Przechodząc, rzuciły przelotne spojrzenie na drzwi rodziców.

## NOWY ROK

Robert stał w gabinecie Elspeth. Jutro miały przylecieć bliźniaczki. Kupił zewnętrzny twardy dysk i przyniósł z Sainsbury's kilka pudeł; stały teraz puste i otwarte obok olbrzymiego wiktoriańskiego biurka.

Zjawa siedziała na blacie i przyglądała się Robertowi. Oj, kochanie, nie wydajesz się specjalnie szczęśliwy, pomyślała. Nie miała pojęcia ile minęło czasu. Czy umarła kilka miesięcy temu? Może lat? Musiało się jednak dzieć coś ważnego; jak dotąd Robert niczego w jej mieszkaniu nie zmieniał. Wyrzucił większość zapasów jedzenia i zlikwidował jej karty kredytowe. Nie przychodziła już do niej żadna korespondencja. Robert zamknął też firmę Elspeth i napisał listy do wszystkich jej klientów. Z dnia na dzień przybywało kurzu. Chyba nawet słońce świeciło słabiej niż pamiętała; okna domagały się umycia.

Robert przetrząsnął szuflady biurka. Zostawił materiały piśmiennicze i rachunki. Zabrał pakiety zdjęć i notes, w którym Elspeth zwykła bazgrać, rozmawiając przez telefon. Podszedł do półek i zdjął z nich wszystkie zeszyty, w których prowadziła pamiętnik, oczyścił okładki i włożył je do pudełek.

- Otwórz któryś - powiedziała zjawa. - Otwórz ten...

Robert oczywiście nie mógł jej usłyszeć.

Pracował w milczeniu. Elspeth poczuła się urażona; do-  
tąd zdarzało się czasem, że kiedy przychodził do mieszkania,  
rozmawiał z nią, mówił do niej. Albumy ze zdjęciami, pełne  
listów pudełko po butach, notatniki - wszystko trafiało do  
pudełek. Chciała go dotknąć, ale się powstrzymała. Robert  
podłączył nowy twardy dysk do jej komputera i przerzucił  
ważniejsze pliki. Potem wykasował wszystko poza systemem  
i programami użytkowymi. Elspeth stała za nim i patrzyła.  
Jakie to dziwne, myślała, przykro mi z powodu kompute-  
ra. Ja chyba naprawdę już nie żyję. Robert odłączył twardy  
dysk i schował urządzenie do pudełka.

Z innym kartonem w ręku zaczął krążyć po mieszkaniu,  
Elspeth śledziła go krok w krok.

- Sypialnia - ponagliła go.

Gdy wreszcie tam dotarł, zatrzymał się na kilka minut  
w drzwiach. Zjawa przeniknęła przez ciało Roberta i usiad-  
ła na łóżku. Spojrzała mu w oczy: było w tej sytuacji coś  
szczególnego - ona siedzi tu, na materacu, a on stoi tam,  
w drzwiach. I to ciepłe, przykurzone światło, w którym ką-  
pała się cała sypialnia. Za chwilę podejdzie i mnie pocałuje.  
Elspeth czekała, zapomniawszy się. Robili to przecież tak  
wiele razy...

Robert otworzył drzwi jej garderoby. Odstawił pudło  
na podłogę i wysunął szufladę. Wrzucił do kartonu kilka  
jej koszulek nocnych, dwa staniki i co bardziej wymyślne  
majteczki. Zatrzymał się, spoglądając na buty. Wyberze  
te różowe zamszowe szpilki, pomyślała Elspeth, i tak też  
uczynił. Resztę par przestawił, tak by nie było widać luki.  
Nie zapomnij o listach! Otworzył szufladę pełną bluz i swe-  
trów i powąchał kolejno każdy z nich. Wybrał niczym się  
niewyróżniający sweterek z niebieskiego kaszmiru; Elspeth

pomyślała, że na pewno nie był prany od chwili, gdy ostatni raz miała go na sobie. Robert wysunął kolejną szufladę i zgarnął do pudełka ich erotyczne zabawki.

- Jedną przeoczyłeś - powiedziała Elspeth.

Zamknął szufladę.

Zdjął niewielkie pudełeczko z najwyższej półki. Elspeth uśmiechnęła się. Liczyła na to, że będzie dokładny, i był. Postawił je obok pudła z ubraniami.

Robert oczyścił łazienkę. Większość przyborów toaletowych wyrzucił do kosza, ale na chwilę przystanął z jej krążkiem domacicznym w dłoni. Co za dziwaczny powód do sentymentów, pomyślała Elspeth. Po chwili i krążek trafił do śmieci.

Zamknął łazienkę i zamyślony stanął przy łóżku. Położył się. Elspeth ułożyła się obok niego, uważając, by go nie dotknąć. Była pełna nadziei. „A jeśli już cię nie zobaczę?”. Zabierał przecież swoje rzeczy; wszystko, co mu zostawiła. Opuszczał mieszkanie. „Nie wstydź się, kochanie, jesteśmy tu sami...”. Uśmiechnęła się zwycięsko, gdy rozpiął pasek i spodnie. Wyobraziła sobie, że leży obok niego naga, i leżała obok niego naga.

Czasami naśladował jej technikę, ale dziś był o wiele bardziej brutalny, bardziej praktyczny. Elspeth przyglądała się twarzy Roberta. Usiadła i pochyliła się nad nim; miał zamknięte oczy. Musnęła jego włosy. Przysunęła bliżej usta, pozwoliła, by grzał ją jego oddech. Taki ciepły, taki konkretny, przemknęło jej przez myśl. Dałaby wszystko, by teraz żyć, by z nim leżeć i móc go dotknąć. Zjawia wiedziała, że jej dotyk był dla niego lodowatym powiewem; za każdym razem, gdy go choć musnęła, drżał i się odsuwał. Uklękła więc obok i się przyglądała.

Kiedy się kochali, często podziwiała grę uczuć malujących się na jego twarzy. Pożądanie, skupienie, ból, wytrwałość, wesołość, desperacja, ulga: w takich sytuacjach miała niekiedy wrażenie, że jest jurorem konkursu piękności najbardziej intensywnych uczuć dostępnych duszy Roberta. Dzisiaj była to głównie determinacja, rodzaj ponurego błagania; trwało to dość długo i Elspeth zaczęła się niepokoić. „Naciesz się wreszcie, za nas oboje”. Przyglądała się zaciśniętym na penisie dłoniom, widziała, jak drgają palce u jego stóp, krótkie szarpnięcie głową, gdy skończył. Opadł bezwładnie. Otworzył oczy i popatrzył na wskroś Elspeth w sufit. „Robert, jestem tu...”.

Po jego policzku potoczyła się łza. „Nie, kochany, nie płacz”. Elspeth nigdy nie widziała go we łzach. Nie płakał nawet w szpitalu, nawet wtedy, gdy umarła. „Cholera. Nie chcę, żebyś był tak bardzo nieszczęśliwy”. Wyciągnęła rękę i dotknęła łyzy. Robert zadygotał i obrócił głowę.

„Jestem tu. Jestem tu. Jestem tu”. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby poruszyć, i zaczęła kołysać zasłonami. Robert jednak usiadł, wytarł ręce, zapiął spodnie, nie spojrział. Spróbowała potrząsnąć pudełkiem z akcesoriami i majteczkami, ale było dla niej zbyt ciężkie. Wyczerpana stanęła na środku pokoju. Robert poszedł do łazienki i się umył. Wrócił z pełnym jej rzeczy workiem na śmieci. Odłożył go i wygładził pościel. Elspeth siedziała na łóżku, a kiedy się pochylił, przytknęła dłoń do jego piersi. Przeniknęła koszulę, lekko musnęła skórę...

Wzdrygnął się.

- Elspeth? - wyszeptał.

„Robert”. Przeciągnęła rękoma po jego ciele, bardzo powoli: plecy, biodra, nogi, penis, brzuch, dłonie, ramiona.

Stał z pochyloną, lekko obróconą głową. Wyobrażała sobie, co może w tej chwili czuć - może coś podobnego do dotyku kostki lodu? Wsunęła ramiona w jego ciało i jęknął. Jesteś taki ciepły, pomyślała i zrozumiała - jej bezcielesne zimno musiało być dokładnym przeciwieństwem jego cudownego, gorącego, płynnego ciała. Cofnęła ręce. Wciąż czuła jego żar na dłoniach. Przyjrzała się im, spodziewając się, że zobaczy jasność. Robert skrzyżował ręce na piersi i stał nieruchomo, pochylony. „Och, kochany, przepraszam”.

- Elspeth - szepnął - jeśli to ty, zrób coś. Zrób coś, co tylko ty byś mogła. Coś elspethowego...

Przytknęła czubek palca do miejsca, w którym zbiegały się jego brwi, i powoli zsunęła go wzdłuż nosa, ust, brody. Powtórzyła gest.

- Tak - jęknął. - Mój Boże. - Na powrót usiadł na łóżku, wsparł łokcie na kolanach, ujął głowę w dłonie i zapartrył się w podłogę.

„Nareszcie!”. Elspeth czuła się niemal pijana radością. „Wiesz, że tu jestem!”.

Robert jęknął. Zjawa przyjrzała się mu uważnie: miał mocno zaciśnięte powieki i rytmicznie bił się obiema pięściami w czoło.

- Kurwa, ja już do reszty zwariowałem. - Wstał, zebrał pudełka, worek ze śmieciami i śpiesznie zajrzał do gabinetu, a potem wytaszczył wszystko do przedpokoju.

Elspeth poszła za nim z niedowierzaniem. „Czekaj Robert, nie...”.

Chwycił karton i zniósł go po schodach do siebie. Elspeth stała w otwartych drzwiach, słuchając jego kroków w mieszkaniu poniżej. Po chwili wrócił. Za każdym razem, kiedy wchodził na górę, pozwalała mu przejść przez siebie,



a potem chodziła za nim, słysząc wszystko, co mamrotał pod nosem.

- Jessica powiedziała, że wariuję, i miała rację! Powiedziała że doprowadzę się do jakiejś choroby, i niech mnie diabli, jeśli tak się nie stało... W co ja się bawię? Przecież ona nie wróci... O, Boże... Elspeth...

Drzwi się zamknęły. Elspeth znów została sama. Łzy, pomyślała, tak jak wtedy, gdy przywoływała na swoje widmowe ciało sweter lub sukienkę. Przytknęła dłoń do twarzy i poczuła wilgoć. Rany, ja płaczę. Zamarła, dziwiąc się nowemu osiągnięciu. Po chwili obróciła się i spojrzała na swoje puste mieszkanie.

## CZEŚĆ DRUGA

# LUSTRZANE BLIŹNIĘTA

Julia i Valentina Poole wysiadły z samolotu i znalazły się na lotnisku Heathrow. Ich białe skórzane buty uderzały w podłoże doskonale zgodnym rytmem, z filmową, wręcz musicalową precyzją. Dziewczyny były ubrane w białe podkolanówki, białe plisowane spódniczki kończące się cztery cale nad kolanami i gładkie białe T-shirty pod białymi, wełnianymi płaszczami. Obie bliźniaczki miały też na szyi białe szaliki i ciągnęły za sobą walizki na kółkach. Walizka Julii była pokryta różowo-żółtym frotte i ozdobiona twarzą japońskiej kreskówkowej małpki, która szczerzyła się w komiksowym uśmiechu do idących z tyłu ludzi. Na błękitno-zielonej walizce Valentiny widniał obrazek przedstawiający myszki pyszczek. Myszka wyglądała na pogrążoną w żalu i nieśmiałą.

Przez okno terminalu widziały niebieskie niebo. Bliźniaczki szły niekończącymi się korytarzami, stawały po prawej stronie taśmowych transporterów, kroczyły za wyczerpanymi lotem pasażerami po rampach i schodach. Stały w kolejce do odprawy, trzymały się za ręce, ziewały. Gdy nadeszła ich kolej, podały urzędnicze swe dziewicze paszporty.

- Na jak długo panie przyleciały? - spytała zmęczona kobieta w mundurze.

- Na zawsze - odpowiedziała Julia. - Odziedziczyliśmy mieszkanie. Będziemy tu mieszkać.

Uśmiechnęła się do Valentyny, która odpowiedziała jej uśmiechem. Urzędniczka przyjrzała się uważnie ich wizom pobytowym, podstemplowała paszporty i machnięciem zaprosiła je do Wielkiej Brytanii.

Na zawsze, pomyślała Valentina. Już zawsze będę mieszkać z Julią w naszym mieszkaniu w Londynie. W miejscu, którego nie znamy, wśród obcych ludzi. Już zawsze. Mocniej ścisnęła dłoń Julii. Siostra puściła do niej oko.

W czarnej taksówce było zimno i szalał w niej przeciąg. Siostry drzemały na tylnym siedzeniu, nogi wcisnęły pomiędzy bagaże, cały czas trzymały się za ręce. Ulice Londynu przemykały za oknami lub nagle nieruchomiały; obok sunęły inne samochody, poruszające się według niezrozumiałych zasad ruchu drogowego. Bliźniaczki umiały prowadzić, ale w miarę jak taksówka przeciskała się przez zatłoczone, kręte ulice, do Julii dotarło, że po Londynie nie odważyłaby się jeździć nawet ona, a co dopiero jej Myszka. Myszka nie lubiła się gubić, nie cierpiała obcych, nieznanymi miejsc. Zresztą i tak nie miały samochodu. Julia postanowiła, że ograniczą się do taksówek i transportu publicznego. Spojrzała na górujący nad nimi, czerwony piętrowy autobus. Pasażerowie wyglądali na zmęczonych i znudzonych. Jak to możliwe, że się nudzicie? - spytała ich w myślach. Przecież mieszkacie w Londynie! Oddychacie tym samym powietrzem, co królowa i Vivienne Westwood!

Minęli stację metra. Spod ziemi wylewał się gęsty strumień ludzi. Julia rzuciła okiem na zegarek. Wskazywał czwartą piętnaście. Przystawiła go o sześć godzin naprzód. Samochód skręcił w Highgate Road i dziewczyna pomyślała, że muszą być już blisko. Spojrzała na Valentynę, która

siedziała sztywno wyprostowana i wyglądała przez okno. Taksówka rozpoczęła wspinaczkę na strome wzgórze. Swains Lane.

- Ta nazwa ma coś wspólnego z łabędziami? - spytała Valentina.

- Raczej ze świniami, panienko - wyjaśnił kierowca. - Dawniej pędzono tędy wieprze na targ.

Valentina zalała się rumieńcem. Julia wyjęła szminkę i bez lusterka pomalowała usta. Podała sztyfcik siostrze, która zrobiła to samo. Popatrzyły na siebie. Julia uniosła dłoń i starła maleńką plamkę rozmazanej szminki z kącika ust bliźniaczki. Z radia płynął długi szereg przypominających szyfr nazw i liczb: Tamworth jeden, Burton Albion jeden; Barnet zero, Woking zero; Exeter City zero, Hereford United jeden; Aldershot dwa, Dagenham and Redbridge jeden...

- To wyniki meczów ostatniej kolejki, panienko - wytłumaczył taksówkarz, w odpowiedzi na pytanie Julii.

Taksówka dotarła na szczyt wzgórza i ruszyła naprzód wąską ulicą. Po jednej stronie mieli park, po drugiej szereg ceglanych domów. W połowie długości przecznicy wznosił się wysoki kościół; samochód zatrzymał się w pół drogi między nim a jasno otynkowanym budynkiem.

- Jesteśmy na miejscu. Vautravers Mews.

Kierowca przyjął pieniądze. Julia przeżyła prawdziwy szok, gdy po przeliczeniu okazało się, że na podróż z lotniska wydały równowartość stu dwudziestu dolarów. Dorzuciła dziesięcioprocentowy napiwek.

- Dziękuję - powiedział taksówkarz.

Valentina otworzyła drzwiczki i smagnął ją mokry, zimny wiatr.

- Nie widzę! - zawołała do Julii.

Kościół miała po lewej. Biały budynek był opatrzony numerem siedemdziesiąt dwa. Pomiedzy nimi otwierała się wąska asfaltowa ścieżka, stromo opadająca we mgłę. Ocieśniał ją wysoki mur, otaczający teren kościoła. Dziewczyna nigdzie nie widziała domu, który mógłby należeć do nich.

- Trzeba pójść tą dróżką - odpowiedział kierowca. - Pomóc panienkom? - Podniósł niewiarygodną liczbę walizek i ruszył.

Julia i Valentina poszły za nim, terkocąc swoimi walizkami. Chodniczek zaprowadził ich za tynkowany budynek, gdzie ujrzały wysoki kamienny mur, u szczytu zjeżony kolcami. Zza muru wylewały się gałęzie wybujałych brzoź. Valentina wyczuła woń wilgotnej ziemi i ogarnęła ją tęsknota za domem. Julia wyjęła wielki klucz i zaczęła otwierać ciężką drewnianą bramę, która po chwili otworzyła się cicho i dziewczyna zniknęła po drugiej stronie. Kierowca ustawił walizki w schludnym rzędzie; Valentina zatrzymała się obok nich na ścieżce, nie miała ochoty iść dalej. Taksówkarz przyjrzał się jej. Był chudawym, starszym już mężczyzną o wodnistych, błękitnych oczach. Miał na sobie jasnozielony sweter i brązowe spodnie w kratę.

- Nic panience nie jest? - spytał.

- Nie, nie. Wszystko w porządku - odpowiedziała Valentina, choć tak naprawdę czuła lekkie mdłości.

- No chodź, Myszko! - krzyknęła Julia odległym, przytłumionym głosem.

- Amerykanki? - zaciekawił się kierowca.

- Ciotka zostawiła nam w spadku mieszkanie - wyjaśniła Valentina i natychmiast poczuła się głupio. Przecież to nie jego sprawa.

- Ach... - Mężczyzna pokiwał głową. Najwyraźniej odpowiedź zaspokoiła jego ciekawość.

Valentina poczuła wdzięczność. Nie zapytał o ich podobieństwo. Możliwe, że uznał, że to zbyt osobiste. A może po prostu nie zauważył? Uwielbiała, gdy ludzie nie zauważali, że są bliźniaczkami.

- Myszko!

Taksówkarz uśmiechnął się.

- Chyba już czas na panienkę.

Valentina odpowiedziała uśmiechem i przeciągnęła walizkę na drugą stronę drewnianej bramy.

Julia stała przy drzwiach wejściowych. Rękę trzymała na klamce. Odczekała, aż siostra przejdzie przez kamienną dróżkę porośniętą warstwą miękkiego mchu. Valentina przyjrzała się wielkiemu ciemnemu korpusowi Vautravers, spojrzała na czarne okna i wyrafinowane żelazne ozdoby. Zadrzała. Deszcz to padał, to nie padał. Usłyszała za sobą kroki kierowcy. Julia otworzyła drzwi.

Weszły do korytarza. W przeciwieństwie do frontu budynku, wewnątrz sprawiało wrażenie ciepłego, czystego i niemal zupełnie pustego. Ściany były pomalowane na różowawy odcień szarości, taki który zawsze kojarzył się Valentinie z barwą mózgu. Z prawej strony zobaczyły zamknięte dębowe drzwi, oznaczone maleńką, ręcznie wypisaną wizytówką z nazwiskiem Fanshaw. Na stoliku przed nimi stały trzy puste koszyki; o blat był oparty parasol. Po lewej stronie miały kręte, prowadzące na górę schody. Valentina pomyślała, że powinna gdzieś tu jeszcze czekać buteleczone z napisem „Wypij mnie”, ale niczego takiego nie zauważyła.

- Proszę zostawić je tutaj - poleciła taksówkarzowi Julia.

- Dziękuję. Życzę powodzenia - powiedział i zniknął.

Valentina poczuła się dziwnie osamotniona.

- Chodź - rzuciła Julia i ruszyła po schodach w takim tempie, jakby grawitacja nie miała nad nią żadnej władzy. Valentina poszła za siostrą bardziej statecznie.

Na piętrze leżał wyblakły perski dywan. Schody prowadziły wyżej, ale bliźniaczki się zatrzymały. Na drzwiach wisiała bladzielona wizytówka. Widniało na niej, wypisane na najprawdziwszej maszynie do pisania, nazwisko Noblin. Julia wsunęła klucz do zamka. Zanim udało jej się go przekręcić, musiała kilka razy poruszyć nim w przód i w tył. Obejrzała się na Valentine, która wzięła siostrę za rękę. Razem weszły do swego nowego domu.

W przedpokoju otoczyły je parasole i lustra. Osiemnaście odbić bliźniaczek w osiemnastu szklanych taflach, i te odbicia odbijały się wzajemnie w sobie. Dziewczyny poczuły się lekko zdeprymowane; znieruchomiały, niepewne, który obraz należy do której z nich. Po chwili Julia poruszyła głową — połowa lustrzanych bliźniaczek powtórzyła jej gest i niesamowita chwila minęła.

- Trochę tu strasznie - przerwała milczenie Julia.

- Aha - przytaknęła Valentina, która, niczym niewidoma, wyciągnęła przed siebie rękę i ruszyła w stronę drzwi, a po chwili weszła do dużego, ciemnego pokoju.

Elsbeth od rana drzemała w swojej szufladzie. Obudziły ją głosy.

Gdy Julia weszła za siostrą do pokoju, poczuła się, jakby nagle zanurkowała, jakby cały salon znajdował się na dnie jakiegoś stawu. Wszystkie meble sprawiały wrażenie ociężałych cieni samych siebie; także Valentina stała się cieniem — smukłym, z wolna płynącym w półmroku. Julia usłyszała jakiś dźwięk (to Valentina potknęła się o stos leżących na podłodze książek), po czym pomieszczenie zalał blask dnia. Valentina rozsunęła zasłony. Zobaczyły wysokie, szerokie



okna. Światło było zimne, szare i dziwne. Wszędzie zalegały grube warstwy kurzu.

— Julia, patrz! Sowa!

Wypchany ptak został podwieszony wysoko pod sufitem, w miejsce brakującej lampy lub żyrandola, uwiązany do gniazdka z wystającymi przewodami. Skrzydła miał rozpostarte, pazury rozcapierzone, jakby chwycił właśnie ofiarę. Julia ostrożnie uniosła rękę i delikatnie trąciła nieruchomy szpon. Sowa zaczęła się powoli obracać.

- Sowokopter! - zażartowała i Valentina wybuchnęła śmiechem.

Elspeth stała w drzwiach i przyglądała się bliźniaczkom. „Tak bardzo za wami tęskniłam. Tak bardzo chciałam was znowu zobaczyć i oto jesteście”. Objęła się rękoma, przepełniona obawami i nadzieją.

Tak jak przewidziała Edie, wszystkie meble były ciężkie, bogato zdobione i stare. Sofy obite blad różowym aksamitem, upstrzone licznymi guzikami, opierające się na nóżkach w kształcie zwierzęcych łap. Obok stał salonowy fortepian (siostry były wybitnie niemuzykalne). Podłogę pokrywał ogromny miękki perski dywan, z chryzantemowym wzorem. Niegdyś był zapewne intensywnie czerwony, teraz spłowieł już miejscami do mdłego różu. Wszystko tu wydawało się wyprane z barw. Julia zastanowiła się, czy kolory zebrały się gdzie indziej - może zostały zamknięte w szafie i wypłyną jeśli się ją otworzy, nasycając ponownie przedmioty, z których tak haniebnie zdezerterowały. Pomyślała o Królowie Śnieżce i zamartwym na sto lat pałacu, pełnym zastygłych w bezruchu dworzan. Edie i Jack nie przepadali za starociami, Julia przeciągnęła palcem po fortepianie, zostawiając pośród szarawego kurzu lśniący czarny szlak. Valentina kichnęła. Obie obejrzały się gwałtownie

na drzwi, jakby w obawie, że ktoś je przyłapie i skarci za mącenie panującej w mieszkaniu ciszy.

Elsbeth postąpiła krok naprzód i już się miała odezwać, kiedy uświadomiła sobie, że siostry jej nie widzą.

W pokoju było pełno książek: całe ściany regałów, stopy tomów na stołach i na podłodze. Valentina przyklękła, by ustawić z powrotem te, które przewróciła po ciemku. Nie-wielka wyspa bestiariuszy i zielników.

— Patrz, Julia, mantykora!

Bliźniaczki wróciły do przedpokoju. Elspeth poszła za nimi.

Obejrzały skromnie umeblowaną jadalnię, znalazły w niej tylko stół, krzesła i sporych rozmiarów kredens; w kącie stała osierocona, niewielka otomana. Posępne światło ciekło przez szyby szerokich, otwierających się na miniaturowy balkon drzwi. Za porośniętym bluszczem murem wznosił się kościół.

Potem weszły do pokoju, który w zamyśle architekta miał być chyba salonem, lecz Elspeth używała go zapewne w charakterze gabinetu. Stało w nim gigantyczne, ozdobne biurko i niezgrabne krzesło biurowe w stylu lat pięćdziesiątych. Na blacie drzemał zaniedbany komputer, obok walały się stosy papierów, jeszcze więcej książek, terminal do obsługi kart kredytowych, delikatna biało-złota filiżanka z zaschniętą resztką herbaty na dnie i śladem pomarańczowej szminki na brzeżku. Pod ścianami ciemniały regały obciążone słownikami, encyklopediami i pełnym wydaniem oksfordzkiego słownika języka angielskiego. Jedna, odstająca od reszty półka była pusta i wolna od kurzu. Pomieszczenie pękało od stert rozłożonych na płasko kartonów, bąbelkowej folii i segregatorów. Znalazły też małego, wypchanego grono-staja - przyglądał się siostrom ze swojej grzędy na regaliku

wyglądającym jak biblioteczna szafka z kartami katalogowymi. Pokój wydawał się niedawno wysprzątny, choć porządku nadal nie było w nim widać. Valentina usiadła przy biurku i otworzyła środkową szufladę. Rachunki, spinacze, cukierki miętowe, gumki recepturki i wizytówki:

*Elspeth Noblin*

*Rzadkie i używane książki*

*kupno — sprzedaż*

*enoblin@bookish.uk.com*

- Myślisz że to wszystko były jej własne książki? Czy na sprzedaż? Ciekawe gdzie miała swój antykwariat - odezwała się Valentina.

- Biuro było chyba właśnie tutaj - zauważyła Julia. - Na dokumentach nie ma żadnego innego adresu. Na pewno pracowała w domu. Poza tym, w testamencie nie było mowy o niczym poza tym mieszkaniem.

- Szkoda, że mama tak mało mogła nam o niej powiedzieć. To strasznie głupie, że one ze sobą nie rozmawiały. - Valentina wstała z krzesła i przyjrzała się gronostajowi. Zwierzę odpowiedziało jej niefrasobliwym spojrzeniem. — Jak myślisz, jak się nazywał? — spytała dziewczyna.

Szkoda, że nie wiemy, dodała w duchu.

Margaret, pomyślała Elspeth. Miała na imię Margaret.

- Wygląda jak George Bush - rzuciła Julia i ruszyła z powrotem przez jadalnię. Siostra poszła za nią.

Wahadłowe drzwi po drugiej stronie pokoju prowadziły do staromodnie urządzonej kuchni. Wszystkie przybory i urządzenia wyglądały w oczach przyzwyczajonych do amerykańskich standardów bliźniaczkę jak wyjęte z domku dla lalek. Wszystko było małe, praktyczne i białe. Jedyłą

nowszą rzeczą wydawała się zmywarka do naczyń. Valentina otworzyła szafkę i znalazła wewnątrz pralkę. Natknęła się też na jakieś ustrojstwo - skomplikowaną kombinację sznurków do bielizny i metalu.

- To chyba suszarka - zauważyła Julia.

Także kontakty w ścianach wyglądały inaczej niż w Stanach. Wszystko było subtelnie odmienne, delikatnie niezwykłe. Bliźniaczki wymieniły się niespokojnymi spojrzeniami. Valentina odkręciła kran. W rurach zabulgotało i popłynęła woda. Dziewczyna zawahała się, po czym przesunęła dłonią pod rdzawym strumieniem. Ciepło pojawiło się dopiero po chwili.

Elspeth przyglądała się siostrze, zaskakiwanym co chwila przez najnormalniejsze z jej rzeczy. Wsłuchiwała się w ich amerykański akcent. Są obce, tego się nie spodziewałam.

Za kuchnią znajdował się niewielki pokój. Również i on był wypełniony po brzegi pudełkami, kartonami i przykrzonymi meblami. Wchodziło się z niego do maleńkiej, prostej łazienki. Dziewczyny pomyślały, że dawniej musiała być przeznaczona dla służby. Dwie kolejne pary drzwi prowadziły na zewnątrz, na schody pożarowe i do niemal pustej spiżarni.

- Mmm - mruknęła Julia z zadowoleniem. - Ryż.

Z powrotem do przedpokoju („Powinnyśmy pobierać dwieście dolarów za każdym razem, gdy tędy idziemy” - zauważyła Valentina) i do sypialni. Były dwie, połączone wspólną, wyłożoną kafelkami z białego marmuru łazienką. Każda została wyposażona w kominek, dekoracyjne, wbudowane w ścianę regały i okna z szerokimi, wygodnymi parapetami.

Okna drugiej sypialni, tej z której najwyraźniej korzystała Elspeth, wychodziły na ogród za domem i cmentarz Highgate.

- Spójrz, Julia. - Oczarowana Valentina przytknęła nos do szyby.

Ogród za Vautravers był mały i surowy. Od frontu budynku przesłaniała zapuszczona płatanina krzewów, drzew i kęp bujnej trawy, ogródek na zapleczu bardziej przypominał japoński: żwirowa ścieżynka, skromnych rozmiarów rośliny. Stała w nim samotna kamienna ławka.

- Nie do wiary, że w styczniu jest tu tak zielono - powiedziała Julia. W Lake Forest leżała właśnie gruba na dziesięć cali warstwa śniegu.

W ceglany murze, oddzielającym dom od cmentarza, widniały zielone drewniane drzwi.

- Ciekawe, czy ktoś ich używa - zastanowiła się Valentina. Bluszcz wokół furtki był starannie przystrzyżony.

- Ja będę ich używać - stwierdziła Julia. - Będziemy sobie urządzać pikniki.

- Mhm.

Jeszcze dalej rozciągał się cmentarz Highgate. Wielki i chaotyczny. Ich nowy dom stał na szczycie wzgórza, widok sięgał więc dość daleko w głąb nekropolii, a raczej sięgałby, gdyby nie gęsto rosnące drzewa; o tej porze roku były co prawda nagie, lecz ich gałęzie tworzyły macającą wzrok koronkę. Bliźniaczki zauważyły szczyt sporych rozmiarów mauzoleum i kilka mniejszych grobów. Grupa ludzi przeszła w ich stronę jedną z alejek. Zatrzymali się, rozmawiając widocznie o którymś z grobowców. Po chwili ruszyli dalej i zniknęli za murem. Naraz w powietrze wzbily się setki wron. Łopot skrzydeł było słychać nawet przez zamknięte okna. Nagle zza chmur wyrzało słońce i cmentarz przeszedł barwną metamorfozę - głębokie cienie i szarości stały się plamami żółci i bladej zieleni. Nagrobki zalały się bielą i wydawało się, że obrębia je srebro;

unosily się nad porastającym poszycie bluszczem niczym wyszczerzone zęby.

- Jak w krainie czarów - odezwała się Valentina.

Przed przyjazdem myślała o Highgate z lękiem. Wyobrażała sobie nieprzyjemne zapachy, wandalizm i inne okropieństwa. Zamiast tego spotkała ją bujna zieleń, omszałe kamienie i miękki, kapiący szum drzew. Grupa ludzi zaczęła się od nich oddalać - wyszli spod osłony muru po przeciwnej stronie.

- To na pewno turyści. Wycieczka z przewodnikiem.

- Też powinniśmy na taką pójść.

- Okej. - Julia odwróciła się i spojrzała na sypialnię Elspeth. Stało w niej wielkie, przypominające ptasie gniazdo łożo z malowanym, dekoracyjnym zagłówkiem, zarzucone niezliczonymi poduszkami i nakryte szeniłową kapą. - Głosuję za tym, żebyśmy spały tutaj.

Valentina rozejrzała się po pokoju. Rzeczywiście było tu ładniej niż w drugiej sypialni - więcej miejsca, bardziej przytulnie, jaśniej.

- Jesteś pewna, że chcemy sypiać w pokoju z widokiem na cmentarz? Wiesz, to trochę mało fajne; gdyby to był film, na pewno nocą przyszłyby do nas zombie, albo coś jeszcze gorszego. Wspięłyby się po bluszczu, weszły przez okno i skończyłyby jako nieumarłe trupy. Poza tym, to była sypialnia ciotki Elspeth. Co, jeśli umarła właśnie tutaj? Wiesz, to prawie tak, jakbyśmy same się prosiły o kłopoty...

Julia poczuła wzbierającą w gardle gulę. Miała ochotę powiedzieć: „Nie zachowuj się jak głupia”, ale wiedziała, że nie jest to najlepszy sposób na radzenie sobie z irracjonalnymi lękami Myszk.

- Ej, Myszko — powiedziała więc ciepło — przecież wiesz, że ciotka umarła w szpitalu, a nie tutaj. Ten prawnik mówił o tym mamie, nie pamiętasz?

- No tak... - zgodziła się Valentina.

Julia usiadła na łóżku i zapraszająco poklepała narzutę. Valentina podeszła i przycupnęła obok siostry. Położyły się na plecach na miękkim łóżku. Chude białe nogi kołysały się za krawędzią. Julia westchnęła. Powieki zaczęły same się jej zamykać. Tylko na sekundę, jeszcze chwilę, minutę dłużej...

- To pewnie jet lag - powiedziała Valentina, ale siostra już jej nie słyszała. Mgnienie oka później spały obie.

Elsbeth zbliżyła się do łóżka. I oto jesteście, zupełnie dorosłe. Jakie to dziwne, że się tu znalazłyście. Szkoda, że nie przyjechałyście wcześniej... Nie miałam pojęcia, jakie to proste. Ale już jest za późno, jak na wszystko inne. Pochyliła się nad bliźniaczkami i bardzo delikatnie dotknęła ich ciał. Na jej szyi wisały okulary do czytania. Musnęły ramię Valentyny. Zjawa zauważyła maleńki pieprzyk przy prawym uchu Julii, jego zwierciadlane odbicie widniało w pobliżu lewego ucha Valentyny. Przytknęła ucho do piersi dziewczyn i zasłuchała się w bicie ich serc. Pomiedzy zebrami Valentyny, zamiast mocnego bicia, rozlegał się niepokojący szmer. Elspeth przysiadła obok Julii i pogłaskała jej włosy: drgnęły nieznacznie, jakby przez zamknięte okna wpadł do sypialni słaby wietrzyk.

Podobne, ale niepodobne, pomyślała. Dostrzegła w Julii i Valentynie ich odmiennosc, wyjątkowosc - tę samą, która zawsze sprawiała, że w obecności jej samej i Edie inni ludzie czuli się nieswojo. Przypomniała sobie to, co Edie pisała o bliźniaczkach. Valentino, spytała w myślach, nie

przeszkadza ci, że Julia cały czas tobą rządzi? Czy macie przyjaciół? Kochanków? Nie jesteście już trochę za duże, żeby się identycznie ubierać? Zjawa wybuchnęła śmiechem. Zachowuję się jak nadopiekuńcza matka. Rozbawiło ją to. Przyjechały! Żałowała, że nie może ich w żaden sposób powitać. Chciałaby zaśpiewać piosenkę, odtańczyć wyafinowaną pantomimę, pokazać, jak bardzo się cieszy z ich przybycia i z tego, że nuda życia po życiu nie będzie już tak straszna. Delikatnie pocałowała każdą z siostr w czoło i jak kot umościła się na poduszkach, by nad nimi czuwać.

Prawie godzinę potem Valentina drgnęła i się obudziła. Miała sen - była dzieckiem i usłyszała głos Edie. Matka kazała jej wstać. Padało i trzeba było wcześniej wyjść do szkoły.

- Mamo?

Dziewczyna usiadła gwałtownie na łóżku. Odnalazła się w obcym pokoju. Dopiero po chwili przypomniała sobie, gdzie jest. Valentina chciała zadzwonić do matki, ale z ich komórek nie dało się telefonować za granicę. Znalazła aparat przy łóżku, ale kiedy podniosła słuchawkę, okazało się, że nie jest podłączony. Nikt nie może do nas zadzwonić i my też nie możemy zadzwonić do nikogo. Poczuła się samotna, ale w ten przyjemny sposób, w jaki bywają samotne osoby rzadko mające okazję zostać sam na sam ze sobą. Gdybym teraz wyszła, pomyślała, zanim wstanie Julia, nikt by mnie nie odnalazł. Mogłabym po prostu zniknąć. Ostrożnie zsunęła się z łóżka. Siostra nawet nie drgnęła. Z sypialni ciotki wchodziło się do garderoby, czegoś w rodzaju szafy wnękowej z półkami, szufladami i dużym lustrem. Valentina przyjrzała się swemu odbiciu: jak zwykle, wyglądała bardziej jak Julia niż jak ona sama. Otworzyła szufladę i od razu natknęła się na wibrator. Zamknęła ją zawstydzona. Elspeth



stała w drzwiach i przyglądała się dziewczynie z lekkim niepokojem. Valentina przymierzyła parę czerwonych butów na platformach. Były nieco za duże, może o pół numeru. Na nodze Julii ułożyłyby się o wiele lepiej. Valentina zdjęła z wieszaka szary płaszcz z karakułów i zarzuciła go sobie na ramiona. Mysz w owczej skórze, przemknęło Elspeth przez myśl. Dziewczyna odwiesiła nakrycie na miejsce i wróciła do sypialni. Zjawa pozwoliła jej przez siebie przejść. Valentina zadrżała i mocno roztarła ramiona.

Wtedy obudziła się Julia. Natychmiast poszukała wzrokiem bliźniaczki.

- Myszo? - mruknęła.

- Tu jestem. - Valentina wróciła do łóżka. - Zimno ci? - Nakryła je obie narzutą po czubki głów i wplotła palce we włosy siostry.

- Nie - odparła Julia i zamknęła oczy. - Miałam taki dziwny sen.

Valentina czekała, ale siostra milczała.

- No i? - wreszcie odezwała się Julia.

- Tak. — Uśmiechnęły się do siebie. W przefiltrowanym przez tkaninę świetle ich twarze przybrały barwę dyni.

Elspeth stała i patrzyła na nie, bliźniaczki zwały się pod narzutą w jeden kształt. Przedtem nie martwiła się zbyt, że nie przyjmą jej oferty, niemniej teraz, kiedy zrozumiała, że zostaną, nie posiadała się z radości. „Pomyślcie tylko o tym wszystkim co was spotka - co nas spotka! Przygody, kolacje... Ktoś będzie zdejmować książki z półek i będzie je otwierać. Pojawi się muzyka, może nawet imprezy". Elspeth zawirowała kilka razy wokół sypialni. Zamieniła czerwony wełniany sweter i brązowe sztruksy na ciemnozieloną suknię bez ramiączek, tę którą włożyła kiedyś na letni bal w Oksfordzie. Nuąc pod nosem, wyszła tanecznym

krokiem z sypialni do przedpokoju, gdzie zaczęła stepować na ścianach i suficie niczym Fred Astaire. Zawsze chciałam to zrobić. Hi, hi.

- Słyszałaś? - spytała Valentina.

- Co? Nie... - odparła Julia.

- J a k b y myszy...

- Albo zombie. - Zachichotały.

Julia wstała z łóżka i przeciągnęła się.

- Chodźmy po bagaże - powiedziały.

Elsbeth odprowadziła je do drzwi, a gdy bliźniaczki wciągnęły swoje torby i walizki przez próg, znów radośnie podskoczyła. Odmiana wprawiła ją w prawdziwą ekstazę. Patrzyła, jak dziewczyny wieszają swoje ubrania obok jej dawnych strojów, jak ustawiają pod prysznicem buteleczki z szamponem, jak podłączają do prądu laptopy. Maszynę do szycia po krótkiej dyskusji rozstawiły w gościnnej sypialni, gdzie miała stać beczynnie przez kilka następnych miesięcy. Elspeth obserwowała je w zachwycie. Jesteście piękne, pomyślała i zaskoczyło ją własne zaskoczenie. Jesteście moje. Poczuła do tych dziewczyn, tych nieznajomych, coś przypominającego miłość.

- No to jesteśmy na miejscu - powiedziała Julia, kiedy opróżniły już wszystkie walizki i zakończyły spory o lokalizację każdego swetra i szczotki do włosów.

- Tak - zgodziła się Valentina. - Jesteśmy na miejscu.

## PAN ROCHE

Następnego ranka Julia i Valentina udały się na spotkanie z panem Xavierem Roche, ich adwokatem. Tak naprawdę Roche był adwokatem Elspeth, a bliźniaczki odziedziczyły go wraz z całym spadkiem ciotki. Pan Roche już od wielu miesięcy przysyłał im do podpisania rozmaite dokumenty - także od niego otrzymały różne instrukcje, klucze do mieszkania i e-maile z przypomnieniami o terminach.

Taksówka wysadziła dziewczyny przed stylizowanym na tudoriański biurowcem w Hampstead. Pomieszczenia zajmowane przez kancelarię „Roche, Elderidge, Potts i Lefley” znajdowały się nad biurem podróży. Siostry weszły wąskimi schodami na górę i znalazły się w niewielkiej poczekalni z drzwiami, nagim biurkiem, obrotowym krzesłem, dwoma niewygodnymi fotelami, małym stolikiem i egzemplarzem „Timesa”. Usiadły w fotelach i niepewnie odczekały dziesięć minut. Nie wydarzyło się nic. Wreszcie Julia podniosła się z miejsca, otworzyła drzwi i skinęła ręką na Valentine.

W następnym pokoju natknęły się na jeszcze jedno biurko, tyle że zajęte przez schludnie ubraną, mocno już starszą sekretarkę i niewiarygodnie wielki beżowy komputer. Biuro zostało urządzone w stylu, który Elspeth zawsze nazywała „wczesną Thatcher”. Bliźniaczkom wydało się niesłychanie

stonowane; w ten sposób doświadczyły brytyjskiej tendencji do czynienia pewnych rzeczy jednocześnie ważnymi i nędznymi, a także drogimi i nazbyt skromnymi. Sekretarka wprowadziła je do kolejnego pomieszczenia, urządzonego w tym samym stylu, za to z większą liczbą książek.

- Proszę usiąść. Pan Roche zaraz przyjdzie - oświadczyła.

Adwokat, gdy już nadszedł, okazał się zdumiewającym, dickensowskim mężczyzną, choć nie w taki sposób, jakiego się spodziewały. Był stary. Niski musiał się już urodzić, dodatkowo skurczył go wiek; przy chodzeniu pomagał sobie laską, kroczył powoli, dzięki czemu dziewczyny miały dość czasu, by przyjrzeć się jego fryzurze, kolosalnym, krzaczastym brwiom i świetnie uszytemu, lecz zbyt luźnemu garniturowi. Pan Roche pokonał wreszcie szerokość dywanu i kolejno ucisnął delikatnie ich dłonie.

- Panny Poole - przywitał się grobowym głosem. - Bardzo się cieszę, że mogę panienki poznać. - Miał ciemne oczy i wydatny nos.

Wygląda jak ten słoik w kształcie krasnoluda, który kupiła mama, pomyślała Julia. Elspeth nazywała niekiedy prawnika panem Skrzatem, choć nigdy w jego obecności.

- Usiądźmy może tu przy stole, dobrze? - powiedział, przesuwając się stopniowo we wskazaną stronę.

Valentina podstawiła mu krzesło i obie zaczęły, aż adwokat usiadzie.

- Tu jest o wiele przyjemniej i mniej oficjalnie niż przy biurku, nieprawdaż? Za chwilę Constance poda herbatę. Och, dziękuję moja droga. Cóż, opowiedzcie mi wszystko o swoich przygodach. Co porabialiście od przyjazdu?

- Głównie spałyśmy - przyznała Julia. - Męczy nas zmiana czasu.

- Czy Robert Fanshaw was już powitał?

- Nie, ale przyleciałyśmy dopiero wczoraj - przypomniała Julia.

- Rozumiem. Spodziewam się zatem, że odwiedzi was dzisiaj. Bardzo chciał was poznać. - Pan Roche uśmiechnął się i popatrzył kolejno obu dziewczynom w oczy. - Jesteście zdumiewająco podobne do matki i jej siostry. Gdybym nie znał prawdy, mógłbym pomyśleć, że prowadzę pogawędkę z Edie i Elspeth sprzed dwudziestu lat. - Nalał herbatę do filiżanek.

- Znał je pan wtedy? - zaciekała się Valentina?

Prawnik wyglądał na tak wiekowego, że uwierzyłaby mu, gdyby oświadczył, że znał osobiście królową Wiktorię.

Twarz starca pojaśniała.

- Drogie dziecko, mój ojciec był adwokatem twojego pradziada. Twojego dziadka sadzałem sobie na kolanach jako małego brzdąca, a kiedy twoja matka i ciotka miały po kilka lat, siadywały na tym dywanie i bawiły się klockami, podczas gdy ja rozmawiałem z ich rodzicami, tak samo jak teraz mówię z wami.

Bliźniaczki odpowiedziały uśmiechami.

- Szkoda, że Elspeth nie mogła was tu powitać - podjął pan Roche - ale zapewniam was, że bardzo cieszyła się myślą o waszym przyjeździe i bardzo szczerze was zaopatrzyła. Mam nadzieję, że wszystkie warunki testamentu są zrozumiałe?

- Nie wolno nam sprzedać mieszkania przed upływem roku pobytu - wyrecytowała Julia.

- Mama i tata nie mogą nas odwiedzać — dodała Valentina.

- Nie, nie - zaprotestował pan Roche. - Mam nadzieję, że wasi rodzice wybiorą się do Anglii i was odwiedzą. Nie

to miała Elspeth na myśli. Jedynym obostrzeniem jest to, że nie wolno im wchodzić do mieszkania.

- Ale dlaczego nie? — spytała Valentina.

- Ach... - Adwokat spojrział na nie z żalem. Rozłożył bezradnie sękatę rękę i pokręcił głową. - Elspeth często kierowała się sobie tylko znanymi powodami. Pytałyście waszą matkę? Choć podejrzewam, że nie zechciałyby o tym rozmawiać. - Mówiąc, przyglądał się dziewczynom uważnie. Julia odniosła wrażenie, że oczekuje po nich jakiejś reakcji. - Ludzie często sporządzają specyficzne testamenty. Miałem już do czynienia z zaskakującymi warunkami, często prowadzącymi do zupełnie niezamierzonych skutków.

Umilkł i popatrzył na siostry, wciąż spodziewając się jakiejś odpowiedzi. Bliźniaczki poruszyły się niepewnie na krzesłach, zawstydzone badawczym spojrzeniem prawnika. Wreszcie ciszę przerwała Julia:

- T a k ?

Pan Roche spuścił wzrok i sięgnął po teczkę z dokumentami.

- Dobrze zatem - powiedział - pozwólcie, że zapoznam was z planem inwestycyjnym waszych pieniędzy.

Następne pół godziny okazało się dla dziewczyn dość trudne, ale ekscytujące. Dotąd zarabiały, przede wszystkim opiekując się dziećmi, jedno lato spędziły też, pracując jako instruktorki na żeńskim obozie skautingowym w Wisconsin. Nigdy jednak nawet nie wyobrażały sobie takich sum, jakich wizje roztaczał przed nimi prawnik.

- Ile tego jest razem? - spytała Julia.

- Mniej więcej dwa i pół miliona funtów, jeśli wliczymy wartość lokalu.

Julia rzuciła okiem na Valentinę.

- Możemy za to żyć bez końca - powiedziała.

Valentina spuściła wzrok.

Pan Roche pokręcił głową.

- Nie w Londynie. Jestem przekonany, że tutejsze ceny będą dla was zaskoczeniem.

- Czy możemy tu pracować? - zapytała Valentina.

- Nie macie odpowiednich wiz, ale nie widzę przeszkód, byśmy o nie wystąpili. Czym się zajmujecie?

- Nie jesteśmy jeszcze pewne - odparła dziewczyna. - Na razie zamierzamy wrócić do szkoły.

- Nie, tak naprawdę ze szkołą już skończyłyśmy - wtrąciła Julia.

- Ach, tak. - Pan Roche powiódł spojrzeniem po twarzach bliźniaczek.

- Ciekawi nas - podjęła Julia - dlaczego ciotka Elspeth zostawiła wszystko akurat nam? Oczywiście jesteśmy jej wdzięczne i w ogóle, ale nie rozumiemy z jakiego powodu zapisała nam wszystko, co miała, mimo że nigdy nas nawet nie odwiedziła.

Pan Roche milczał przez dłuższą chwilę.

- Elspeth nie była zbyt... opiekuńcza, choć czuła się bardzo związana z rodziną - odparł. - Obawiam się, że nie mogę wam wyjaśnić dlaczego, ale taką właśnie decyzję podjęła.

„Nie mogę” czy „nie chcę”? - zastanowiły się bliźniaczki.

- Czy mógłbym odpowiedzieć jeszcze na jakieś pytania?

- Nie za bardzo wiemy jak uruchomić w mieszkaniu ogrzewanie - przyznała Julia. — W nocy zrobiło się dość chłodno.

- Z tym zapewne pomoże wam Robert. To bardzo praktyczny młodzieniec - powiedział pan Roche. - Przekażcie mu moje pozdrowienia i poproście, by do mnie zadzwonił. Mam z nim do omówienia kilka drobiazgów.

Gdy bliźniaczki wychodziły, Julia obejrzała się przez ramię i ujrzała prawnika stojącego z obiema dłońmi na głowce laski. Odprowadzał je nieco zdeprymowanym spojrzeniem.

Gdy wróciły do Vautravers, stanęły w korytarzu.

- Może powinniśmy po prostu do niego zapukać? - zaproponowała Julia.

- Do kogo?

- Do tego Roberta. Zapytałybyśmy o kaloryfery.

Valentina wzruszyła ramionami. Julia zastukała. Za drzwiami Roberta było słychać włączony telewizor. Dziewczyna odczekała moment i zapukała raz jeszcze. Bez rezultatu.

- No cóż — rzuciła i obie ruszyły po schodach.



## SĄSIAD Z GÓRY

Martin położył telefon na łóżku. Łóżko było jego wyspą. Wokół niej rozpościerały się wody skażonego oceanu. Kłęczął na tej wyspie już od czterech godzin. Na szczęście miał ze sobą umożliwiające przetrwanie przybory: telefon, nieco chleba i sera oraz sterany egzemplarz Pliniusza. Martin bardzo chciał wyjść z łóżka. Potrzebował skorzystać z toalety i miał nadzieję, że uda mu się jeszcze dziś trochę popracować. W gabinecie czekał na niego komputer. Był jednak absolutnie pewien, że nocą doszło do okropnego wypadku. Do katastrofy, wskutek której cała podłoga sypialni pokryła się brudem. Zarazki, odchody, wymiociny: ktoś włamał się do jego mieszkania i zapaskudził podłogę tym ohydny szlamem. Dlaczego? - zastanawiał się Martin. Dlaczego zawsze mnie to spotyka? Czy to możliwe? Nie, to nie może być prawda. Ale co ja mogę na to poradzić?

I - zupełnie jakby wypowiedział swoje pytanie na głos - pojawiła się odpowiedź: policz do tyłu, od tysiąca do zera, rzymskimi cyframi. A kiedy będziesz to robić, musisz dotykać zagłówek. Oczywiście! Martin zaczął odliczać, ale pomylił się przy DCCXXIII i musiał zacząć od nowa. Licząc, inną częścią umysłu zastanawiał się, dlaczego to jest konieczne. Znów się pogubił i rozpoczął raz jeszcze.

Zadzwonił telefon. Martin zignorował sygnał i próbował skupić się na liczbach. Dzwonek rozległ się jeszcze trzy razy, po czym odebrała automatyczna sekretarka: „Tu Martin i Marijke Wells. Nie ma nas w domu. Proszę zostawić wiadomość”. Pisk. Pauza. „Martin? Nie udawaj, odbierz. Wiem, że tam jesteś. Zawsze jesteś w domu”. Głos Roberta. „Martin?”. Szczęk odkładanej słuchawki. Martin zdał sobie sprawę, że znów się pomylił. Cisnął telefonem przez całą długość sypialni. Aparat uderzył w przeciwległą ścianę i zaczął cicho brzęczeć. Martin wpadł w przerażenie. Teraz będzie musiał wymienić telefon. Ten dotknął przecież podłogi, uległ skażeniu. Sypialnię zalewały ukośne promienie popołudniowego słońca. Nie udało mu się uciec z łóżka. Raz jeszcze poddał się władzy swego szaleństwa.

Wtedy jednak wpadł na pewien pomysł. Tak, po prostu przesunie łóżko. Mebel był duży, drewniany, zabytkowy. Martin oparł stopy na dolnej ścianie i zaczął kołysać łóżkiem, by przesunąć je w stronę łazienki. Zaczęło się poruszać. Cal po calu. Małe drewniane kółka drapały parkiet. Niemniej, ruszało się. Cały się spocił, pracował w skupieniu, niemal radośnie. Jechał łóżkiem przez sypialnię, kawałek po kawałku, aż wreszcie, gdy stanął na macie w łazience, był wolny.

Kilka minut później, akurat kiedy skończył sikać i zaczął myć ręce, usłyszał Roberta. Sąsiad wszedł do mieszkania i wołał go po imieniu. Wreszcie trafił do sypialni.

- Tutaj - powiedział Martin z łazienki, po czym usłyszał dźwięk oznaczający najprawdopodobniej to, że Robert przesunął łóżko na zwykłe miejsce.

- Wszystko u ciebie w porządku? - Przyjaciel zatrzymał się przed drzwiami.

— Nic mi nie jest. Chyba popsułem telefon. Mógłbyś go wyłączyć z gniazdka?

Po chwili Robert wrócił z aparatem w dłoni.

- Nie jest zepsuty.
- Jest, on... leżał na podłodze.
- Czyli jest skażony?
- Tak. Mógłbyś go wynieść? Zamówię sobie nowy.
- Martin, a może bym go po prostu odkaził? To już trzeci telefon w ciągu... chyba miesiąca, prawda? A dopiero co wysłuchałem w radiu materiału o tym, że nasze wysypiska pękają w szwach od starych komputerów i komórek. Może trochę szkoda wyrzucać zupełnie dobry aparat.

Martin nie odpowiedział. Mył ręce. Za każdym razem musiał długo czekać, zanim woda nagrzej się do odpowiedniej temperatury. Do mycia używał mydła karbolowego. Piekła go skóra.

- Wyjdiesz niedługo? - spytał Robert.
- To może chwilę zająć.
- Mogę jakoś ci pomóc?
- Zabierz telefon.
- Dobrze.

Martin czekał. Robert stał za drzwiami jeszcze przez minutę, po czym wyszedł. Trzasnęły drzwi. Przepraszam, pomyślał Martin. Słowo zaczęło rozlegać się w jego głowie raz po raz, aż zastąpił je innym, bardziej tajemnym refrenem. W końcu popłynęła zadowolająco gorąca woda. Zapowiadało się bardzo długie popołudnie.

Robert wrócił do siebie i zadzwonił na służbowy numer Marijke. Prosiła go, by tego nie robił, o ile nie wydarzy się coś nagłego, ale komórki nigdy nie odbierała, ani nie oddzwaniała. Pracowała w VPRO, jednej z bardziej ekscentrycznych holenderskich radiostacji. Robert nigdy nie był w Holandii. Wyobrażając sobie ten kraj, myślał o obrazach Vermeera i filmie „Amerykański przyjaciel”.

Obce, rozedrgane dźwięki holenderskiego języka: głos nienależący do Marijke. Zapytał o nią i głos udał się na poszukiwania. Robert stał w salonie z telefonem przyciśniętym do ucha i nasłuchiwał odgłosów rozgłośni radiowej. Dolatywały go przytłumione słowa: *Nee, ik denk van niet... Vertel hem dat het onmogelijk is, hij wil altijd het onderste uit de kan hebben...* Wyobraził sobie słuchawkę leżącą na biurku niczym porzucony przez rój owad. Wyobraził sobie, jak podchodzi do niej Marijke, zobaczył jej jasną, pokrytą płytkimi zmarszczkami twarz, zmęczone zielone oczy, usta pomalowane zbyt czerwoną szminką, napięte w kącikach, rzadko w pełni uśmiechnięte. Robert wyobraził ją sobie w pomarańczowym pulowerze, który zimą nosiła zwykle całymi dniami. Palce Marijke nigdy nie przestawały się poruszać, zawsze ścisnęły papierosa lub długopis, strzepywały niewidzialny pyłek z czyjegoś kołnierza, zabawiały się kosmykiem jej słabych włosów. Swym bezustannym wierceniem się doprowadzała go dawniej do szału.

Podniosła słuchawkę.

- *Hallo?* — Miała zmysłowy głos. Robert zawsze powtarzał Martinowi, że jego żona mogłaby zbić fortunę, pracując w sekstelefonie. W poprzedniej pracy, w BBC, czytała popołudniowe raporty o stanie dróg i zdarzało się, że w rozgłośni pojawiali się obcy mężczyźni i chcieli się z nią spotkać. W VPRO prowadziła teraz bardzo popularną audycję, zazwyczaj dotyczącą tematyki najnowszych katastrof humanitarnych, globalnego ocieplenia lub strasznie smutnego losu zagrożonych gatunków zwierząt.

- Cześć, Marijke, tu Robert.

Wyczuł jej niezadowolenie.

- Cześć, Robert, co u ciebie? - przywitała się po chwili milczenia.

- U mnie w porządku. U twojego męża nie.
- I co mam na to poradzić? Ja jestem tutaj, on jest tam.
- Chcę, żebyś przyjechała i pomogła mu wziąć się w garść.
- Nie, Robert, nie zrobię tego. - Marijke przysłoniła słuchawkę dłonią i coś do kogoś powiedziała. Wróciła do rozmowy. — Nie przyjadę pod żadnym pozorem. A on nie jest nawet w stanie zejść na dół, żeby odebrać pocztę, więc nie sądzę, byśmy się szybko zobaczyli.
- Przynajmniej do niego zadzwoń.
- Po co?
- Przekonaj go, by brał lekarstwa. Rozwesel go. Nie wiem, cholera. Naprawdę nie chciałybyś mu pomóc?
- Nie. Już to robiłam. To nie żarty, Robert. On jest beznadziejnym przypadkiem.

Robert spoglądał przez okno na zarośnięty ogród przed Vautravers - im dalej od budynku, tym drzewa i krzewy stawały się wyższe. Przypominało to nieco opuszczony amfiteatr. W chwili gdy Marijke ogłaszała swój brak zainteresowania przyszłością Martina, bliźniaczki wyszły z domu i ruszyły ścieżką do bramy. Były ubrane w identyczne błękitne płaszcze i czapki. Miały ze sobą mufki koloru lawendy. Jedna z sióstr machała swoją, zawieszoną na pasku u nadgarstka. Druga pokazała coś na drzewie i wybuchnęły śmiechem.

- Robert? Jesteś tam?

Jedna z nich szła o pół kroku przed drugą; Robertowi wydały się dwugłowym, czteronożnym, czteroręcznym stworzeniem. Wyszły z posesji. Robert zamknął oczy i pod powiekami uformował mu się powidok, sylwetka dziewczyny migocąca na ciemnym tle. Był oczarowany. Siostry wyglądały jak młoda Elspeth, wcześniejsza wersja tego, co zostało mu odebrane. Aż do teraz. Są takie świeże, pomysłał. I takie dziwne. Mój Boże, wyglądają na dwanaście lat.

- Robert?

Otworzył oczy; bliźniaczki zniknęły.

- Przepraszam, Marijke. Co mówiłaś?

- Że muszę kończyć, przykro mi. Terminy gonia.

- Ech, dobrze zatem, przepraszam, że przeszkodziłem.

- Robert, dobrze się czujesz?

Zanim odpowiedział, zastanowił się.

- Przed chwilą zobaczyłem coś wspaniałego.

- Tak? Co to było? Gdzie ty jesteś? - Po raz pierwszy wydała się zainteresowana rozmową.

- Przyleciały te bliźniaczki Elspeth. Minutę temu przeszły przez ogród. Są nieco... zaskakujące.

- Nie wiedziałam, że Elspeth miała dzieci.

- To córki Edie i Jacka.

- Ach, tej słynnej Edie. - Marijke westchnęła. - Nigdy do końca nie wierzyłam w jej istnienie. Podejrzywałam, że Elspeth ją sobie wymyśliła.

Robert się uśmiechnął.

- Ja nie wierzyłem w Jacka. Legendarny narzeczonny, który zbiegł do Stanów z siostrą bliźniaczką. A jednak wychodzi na to, że oboje są prawdziwi.

Marijke znów przysłoniła słuchawkę.

- Robert, naprawdę muszę już lecieć - odezwała się po chwili. — Czy one są podobne do Elspeth?

- Przyjedź, to sama zobaczysz.

Roześmiała się.

- Zadzwońię do Martina, ale do Londynu nie wrócę. Wiesz, tam nigdy tak do końca nie czułam się jak w domu.

Marijke mieszkała w Londynie przez dwadzieścia sześć lat. Przez dwadzieścia sześć lat mieszkała z mężem. Robert nie miał pojęcia, w jaki sposób udało się jej tego dokonać. Wyobraził ją sobie z innymi Holendrami, wysokimi,

silnymi ludźmi, którzy znali po pięć języków i zajadali się śledziami kupowanymi z rozstawionych na ulicach wózków. W Londynie Marijke zawsze wyglądała na zmartwioną i stęsknioną. Zaczął się zastanawiać, czy powrót do rodzinnego miasta pozwolił jej odzyskać choć część tego, za czym tęskniła w Anglii.

- On na ciebie czeka, Marijke. - Cisza, szum na linii. Robert się poddał. - Tak, są bardzo podobne do Elspeth. Choć mają jaśniejsze włosy. I nie są tak dzikie jak ona, tak mi się wydaje. Wyglądają jak małe kociaki.

- Kociaki? Dziwne. Choć, z drugiej strony, ktoś taki się tam przyda. Zwłaszcza wam, zgorzkniałym samcom. Kończę, Robert. Ale dziękuję za telefon.

- Cześć, Marijke.

- Cześć.

Marijke stała w swojej biurowej przegródce, z ręką na słuchawce. Było parę minut po trzeciej i, mimo że Robertowi powiedziała co innego, miała dla siebie jeszcze kilka minut. Powinna więc zrobić to teraz. Martin miał telefon z identyfikacją numerów, więc mogła do niego zadzwonić tylko ze swojej komórki. Poczowała ukłucie wyrzutów sumienia. Kiedy odeszła od męża ostatnim razem, rok temu, dzwoniła co kilka tygodni. Teraz nie kontaktowała się z nim już dwa miesiące. Uniosła aparat do ucha i liczyła sygnały. Martin zawsze odbierał po siódmym dzwonku; tak, odebrał.

- Słucham? - Jego głos brzmiał tak, jakby oderwała go od jakiegoś zajęcia. Zaczęła się zastanawiać, co mógł robić, kiedy usłyszała dzwonek. Wiedziała jednak, że lepiej nie pytać.

- *Hallo*, Martin.

- Marijke...

Stała, mocno przyciskając komórkę do ucha. Dawniej uwielbiała słuchać, jak wymawia jej imię. Teraz ogarnął

ją smutek. Nie odsuwając aparatu od ucha, pochyliła się powoli i wreszcie przykucnęła przy biurku, dzięki czemu, podnosząc wzrok, widziała tylko ściany przegródki i dźwiękoszczelną wykładzinę sufitu.

- Marijke, co słyhać? - Głos Martina nie zmienił się ani trochę.

- Wszystko w porządku. Awansowałam. Nie muszę już wszystkiego robić sama.

- Fantastycznie, znakomicie. - Chwila ciszy. - Asystentka czy asystent?

Roześmiała się.

- Asystentka. Ma na imię Ans.

- Mhm, tak. Świetnie. Nie chciałbym, żeby zamotał ci w głowie jakiś młody Adonis z - Martin obniżył głos - fantasty-czną wy-mo-wą.

- Nie martw się. Tu pracujemy tylko my, radiowe trolle. Zresztą młodzi są za bardzo zajęci podrywaniem siebie nawzajem, żeby zwracać uwagę na takie jak ja. - Na myśl o tym, że Martin wyobraża ją sobie jako kobietę obleganą przez adoratorów, zrobiło się jej dziwnie przyjemnie. Usłyszała, jak zapala papierosa. Cicho wypuścił dym.

- Rzuciłam palenie - powiedziała.

- Nie wierzę. Co byś zrobiła z rękami? Przecież twoje biedne dłonie zwariują bez papieroska. - Martin mówił pieszczotliwym, swobodnym tonem, ale Marijke słyszała wkładany w to wysiłek. - Kiedy rzuciłaś?

- Sześć dni, dwanaście godzin i - spojrzała na zegarek - trzynaście minut temu.

- Cóż, to cudownie. Jestem zazdrosny. — Po słowie „zazdrosny” po obu stronach zaległa cisza.

Marijke przeczesła myśli w poszukiwaniu nowego tematu.



- Nad czym teraz pracujesz? Asyryjczycy? - Martin robił niekiedy tłumaczenia starożytnych tekstów dla British Museum. Gdy rozmawiali ostatnim razem, wspominał coś o przekładzie aramejskich inskrypcji.

- Nie, z nimi już się uporałem. Dostałem teraz niedawno odkryte wiersze z czasów panowania Augusta, autorką jest rzekomo pewna dama o imieniu Marcella. Gdyby okazały się autentykami, byłyby to rarytas; z tamtego okresu nie zachowało się wiele kobiecej poezji. Niemniej, nie wydaje mi się, by to były oryginały. Coś mi mówi, że tym razem Charles dał się, niestety, nabrać.

~ Skąd wiesz, że to falsyfikaty? Charles na pewno je sprawdzał.

- Same dokumenty nie budzą wątpliwości. Ale język... Nie zgadza się. Jest wiele drobnych różnic. To trochę tak, jakbyś postanowiła dziś napisać kilka nowych sonetów Szekspira; mimo że współczesnym językiem posługujesz się świetnie i czarująco, to popełniłabyś szereg drobnych błędów, zaniedbałabyś pewnych archaicznych zwrotów, często są to naprawdę dyskretne niuanse, które pisarzowi w tamtych czasach wychodziły spod pióra naturalnie. Według mnie, te wiersze napisał jakiś dwudziestowieczny Francuz, doskonale posługujący się dziewiętnastowieczną łaciną.

- A może to kopie kopii? Może błędy powstały przy...

- Wiesz, te teksty odnaleziono w bibliotece w Herculanum, więc ktoś chciał, by zostały uznane za oryginał. Muszę dziś zadzwonić do Charlesa. Zapewne...

W wejściu do przegródki Marijke stanął jej szef. Rozejrzał się niepewnie i dopiero po chwili zauważył siedzącą na podłodze kobietę. Marijke podniosła wzrok na Bernarda i, bezgłośnie poruszając wargami, powiedziała „Martin”. Bernard wzniosł oczy do nieba i nawet nie drgnął. Zawisł

nad nią. Rzadkie siwe włosy sterczały mu na głowie, jakby był komiksową postacią, którą właśnie kopnął prąd. Pokazał palcem na zegarek. Marijke wstała.

- Martin, muszę kończyć - powiedziała. - Terminy...

Martin doznał wstrząsu - rozmowa z Marijke okazała się tak kojąca, tak normalna i przyjemna, że niemal zapomniał jak to jest; tak bardzo przypominała ich dawniejsze, codzienne pogawędki, że uleciało mu z głowy, że musi się zaraz skończyć. Kiedy ona zadzwoni znowu? Wpadł w panikę.

- Marijke...

Czekała. Wolałaby, żeby szef przestał się jej przyglądać. Zamachała lekko wolną dłonią: „Tak, wiem, zaraz się za to zabieram”. Bernard poruszył wielkimi brwiami, rzucił jej spod nich milczącą przestrożę i wrócił do swojego gabinetu.

- Zadzwoń niedługo, Marijke.

- T a k . - Chciała. Chciała i wiedziała, że tego nie zrobi. - *Groetjes*, kochany.

- *Doeg! Ik hou vanje...* - Umilkli oboje. Ona rozłączyła się pierwsza.

Martin stał w swoim gabinecie z komórką w ręku. W jego duszy tłoczyły się rozmaite uczucia. Zadzwoiła. Powiedziała „kochany”. Powinienem był jej zadać więcej pytań. Za dużo mówiłem o swojej pracy. Powiedziała, że niedługo zadzwoni. Ciekawe kiedy? Ale nie powiedziała tego, dopóki sam nie poprosiłem. Ale dziś odezwała się sama z siebie, więc jeszcze na pewno zadzwoni. Ciekawe kiedy? Powinienem spisać pytania, które trzeba jej zadać. Rzuciła palenie — to niesamowite. Może ja też powinienem? Moglibyśmy zrobić to razem. Mógłbym jej o tym opowiedzieć, kiedy zadzwoni. Ciekawe kiedy? Martin wytrząsnął z paczki następnego

papierosa i zapalił. Zadzwoiła do mnie. Rozmawiałem z nią jeszcze minutę temu. Przytulił komórkę do policzka. Była taka ciepła. Poczuł wdzięczność wobec tego małego urządzenia; w końcu to ten aparat przyniósł mu głos Marijke. Niosąc komórkę w jednej i papierosa w drugiej dłoni, poszedł do kuchni. Dotarł do niej i natychmiast zawrócił z powrotem do gabinetu. Zadzwoiła do mnie. Obiecała, że zadzwoni znowu. Zadzwoiła. Ciekawe, kiedy zadzwoni. Może powinienem rzucić palenie...

Marijke zatrzasnęła kłapkę telefonu i schowała go do kieszeni. Dokończyła zlecony przez Bernarda tekst i wysłała mu mejlem. Usłyszała dźwięk z jego komputera, oznajmiający, że dokument pokonał dwanaście stóp dzielących ich biurka.

- Masz wejście za piętnaście minut - powiedział ktoś.

Skinęła głową i ruszyła do studia, lecz po drodze zboczyła do ubikacji. Oparła się o ścianę i zaczęła płakać. On się nie zmienia. Zaczęła żałować, że zadzwoniła. Przez telefon aż nazbyt łatwo było wspominać Martina takim, jakim był dawniej. Marijke przemyśla twarz i pobiegła do studia. Realizator rzucił jej niespokojne spojrzenie. Zanim zadzwoni ponownie do Martina, upłyną długie miesiące.

## PRZEŚLADOWCA

Robert od roku wyobrażał sobie przyjazd bliźniaczek. Prowadził z nimi w głowie długie rozmowy: opowiadał im o Londynie, o cmentarzu, o Elspeth; gawędził na temat restauracji, swojego doktoratu, wszystkiego. Zajmując się swoimi sprawami w ciągu roku poprzedzającego ich nieuchronne przybycie, zapamiętywał godne uwagi miejsca - rzeźba kota Dicka Whittingtona. Na pewno trzeba będzie im o tym opowiedzieć... Zabiorę je do Postmans Park, do Hunterian Museum, do muzeum Soane'a. Przejedziemy się Okiem o zachodzie słońca. Wszystko to robił już z Elspeth. W święta obejrzymy dom Dennisa Seversa. I Foundling Museum. Robert mianował się w duchu przewodnikiem po londyńskim życiu siostr, ich niezastąpionym szerpą, ich wiernym tubylcem i tłumaczem znającym lokalne narzecze. W naturalny sposób będą do niego przychodzić ze swoimi małymi problemami i pytaniami; a on po ojcowsku im dopomoże i przeprowadzi je przez ich londyńską inicjację. Czekał na nie niecierpliwie. Spowił je przy tym w tyle zgrabnych słów, oczekiwań i nadziei, że teraz, gdy Julia i Valentina ostat

Wcześniej myślał, że po prostu wejdzie po schodach na piętro, zastuka i się przedstawi. Teraz jednak paraliżował go sam dźwięk ich kroków i śmiechu. Obserwował je, kiedy

wchodziły i wychodziły, gdy przemierzały ogród w swych identycznych sukienkach, niosąc pełne zakupów torby, niosąc kwiaty, brzydką lampę. Po co im ta lampa? Przecież Elspeth ma mnóstwo lamp...

Raz lub dwa razy dziennie pukały do jego drzwi. Robert zastygał wtedy w bezruchu, zamierał przy biurku lub ze sztuczcami w dłoniach podczas obiadu; słyszał ich ciche rozmowy w korytarzu. „Po prostu im otwórz” - powtarzał sobie. „Nie bądź takim ciulem”.

Powstrzymywała go ich bliźniaczość; razem wydawały się wzniosłe i nietykalne. Co rano przyglądał się dziewczynom, gdy ostrożnie szły śliską ścieżką do bramy. Sprawiały wrażenie tak samowystarczalnych i z drugiej strony tak wzajemnie od siebie uzależnionych, że czuł się odrzucony już na wstępie, mimo że nie zamienił z nimi jeszcze nawet słowa.

Pewnego jasnego mroźnego poranka stał przy oknie, w dłoni trzymał kubek kawy, miał na sobie płaszcz i kapelusz. Czekał. Wreszcie usłyszał na korytarzu kroki bliźniaczek. Odprowadził je wzrokiem przez ogród i za bramę.

Poszedł za nimi.

Śledził je przez Pond Square, przez Highgate Village i dalej, wzdłuż Jackson's Lane do stacji metra. Został z tyłu, pozwolił im zniknąć, lecz zaraz wpadł w panikę, że przyjedzie pociąg i sprzątnie mu siostry sprzed nosa. Zbiegł po ruchomych schodach. Peron był prawie pusty. Robert spojrzął na zegarek - wpół do jedenastej. Znalazł je. Czekały na metro jadące południową linią. Stanął na tyle blisko, by wsiąść z nimi do jednego wagonu. Usiadły w pobliżu środkowych drzwi. Robert zajął miejsce po przeciwległej stronie, piętnaście stóp dalej. Jedna z bliźniaczek studiowała kieszonkowy plan sieci. Druga oparła się wygodnie na siedzeniu i przyglądała się reklamom.

- Zobacz - odezwała się do siostry - mogłybyśmy za funta polecieć do Transylwanii.

Robert aż drgnął, słysząc jej miękki amerykański akcent, tak odmienny od precyzyjnej oksfordzkiej wymowy Elspeth.

Starał się na nie nie patrzeć. Pomyślał o kotce swojej matki. Nazywała się Pika; za każdym razem, gdy nieśli ją do weterynarza, wciskała głowę pod pachę Roberta, chowała się. Wydawało się jej, że jeśli nie widzi lekarza, to i on nie zobaczy jej. Podobnie i on nie patrzył na bliźniaczki, żeby nie zostać odkrytym.

Wysiadły przy Embankment i przesiadły się na linię District. Wreszcie wyszły spod ziemi na stacji Sloane Square i zagłębiły się w dzielnicę Belgravia. Zatrzymywały się co chwila, by rzucić okiem do swojego przewodnika. Robert nigdy nie był w tej części Londynu, więc i on rychło stracił orientację. Przez cały czas ostrożnie utrzymywał dystans i obserwował je. Czuł się nieco perwersyjnie i głupio, nie mówiąc o tym, że miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą. Mijali go elegancko ubrani yuppies obojga płci, z komórkami przyciśniętymi do uszu, taszczyli torby ze sprawunkami. Z ust wypływały im niewielkie chmurki oddechów, szli, mówiąc do siebie niczym ćwiczący rolę aktorzy. W porównaniu z nimi siostry wydawały się dziecinne i nieśmiałe.

Skreśliły w boczną uliczkę i nagle zaczęły się ekscytować mnogością okazji do zakupów. Podskakiwały i wyciągały szyje ku witrynom.

— Tutaj! — rzuciła jedna z nich i weszły do maleńkiego sklepiku z nakryciami głowy.

Robert obserwował je przez szybę z drugiej strony ulicy. Bliźniaczki przymierzały kolejne kapelusze, obracając się

przed niewidocznym z jego miejsca lustrem. Sprzedawczyni podała im z uśmiechem coś, co wyglądało jak olbrzymia limonkowozielona spirala. Jedna z siostr założyła ją i wszystkie trzy zrobiły wielce zadowolone miny.

Robert zaczął żałować, że nie pali, miałby wtedy pretekst, by stać bez celu na chodniku. Może powinienem pójść na piwo? - zastanowił się. Wygląda na to, że spędzą tu całe popołudnie. Bliźniaczki rozpływały się nad plastikowym pomarańczowym dyskiem, który przywodził Robertowi na myśl wielkie jak talerze aureole ze średniowiecznych malowideł. Potrzebny mi kamuflaż. Może broda. Albo kombinizon przeciw broni chemicznej. Bliźniaczki wyszły ze sklepu bez żadnej torby.

Robert śledził je przez całe Knightsbridge, obserwował siostry oglądające wystawy, jedzące naleśniki, gapiące się na innych ogarniętych szalem zakupów. Wczesnym popołudniem zniknęły w metrze. Robert udał się wtedy do British Library.

Schował swoje rzeczy do szafki i poszedł na górę do czytelni działu humanistycznego. Sala była pełna ludzi. Wolne miejsce znalazł pomiędzy kobietą z haczykowatym nosem, otoczoną książkami o Christopherze Wrenie, a włochatym młodzieńcem, który zagłębiał się w dzieje życia codziennego z czasów Jakuba II. Robert nie zamówił żadnych książek; nie sprawdził nawet, czy czekają na niego te, o które prosił ostatnio. Położył dłonie płasko na blacie i zamknął oczy. Dziwnie się czuję. Zaczął się zastanawiać, czy nie rozbiera go grypa. Był świadomy wewnętrznego rozdarcia - przepełniały go sprzeczne uczucia, między innymi wstyd, rozbawienie, spełnienie, zmieszanie, odraza do siebie i silna pokusa, by jutro znów pójść za bliźniaczkami. Otworzył oczy i spróbował zebrać się w sobie. Nie wolno ci ich szpiegować.

Wcześniej czy później cię nakryją. Wyobraził sobie karzącą go Elspeth: „Pokaż, że masz jaja, kochany. Otwórz po prostu drzwi, kiedy znów do ciebie zapukają”. Był pewien, że po tych słowach wybuchnęłaby śmiechem. Elspeth nie rozumiała nieśmiałości. „Nie śmieję się ze mnie, Elspeth” - poprosił ją w duchu. „Nie śmieję się”.

Przy jego stanowisku zapaliła się wbudowana w stół lampka sygnalizacyjna. Dotarło do niego, że zajął komuś miejsce. Rozejrzył się wokół, wstał i wyszedł z czytelni. Pojechał metrem do domu. Zbliżając się ścieżką do Vautravers, zobaczył światło w oknie na środkowym piętrze. Radość ścisnęła mu serce. Mgnienie oka później uświadomił sobie, że to tylko bliźniaczki. Tak, dzisiejszy dzień był dziwny. Jutro do nich zapukam i przedstawię się jak należy.

Następnego ranka śledził siostry na Baker Street i zapłacił dwadzieścia funtów za spacer po salonie Madame Tussaud. Szedł za nimi w bezpiecznej odległości i obserwował, jak bawią się, oglądając woskowe kopie Justina Timberlake'a i członków rodziny królewskiej. Nazajutrz wszyscy razem wybrali się do Tower i obejrzeni przedstawienie teatrzyku kukiełkowego w Embankment. Robert czuł rosnące rozczarowanie. Czy wy nigdy nie robicie niczego ciekawego? Dni zamieniły się w kalejdoskop turystycznych atrakcji: Neal's Yard, Harrods, pałac Buckingham, Portobello Road, opactwo westminsterskie i Leicester Square. Robert wyczuwał determinację bliźniaczek: krążyły po najpopularniejszych miejscach Londynu, szukając króliczej nory, przez którą mogłyby się dostać do prawdziwego miasta. Próbowwały zbudować sobie własny, osobisty Londyn, korzystając z cegiełek podsuwanych przez przewodniki.

Robert urodził się w Islington. W Londynie spędził całe życie. Geografia tego miasta stanowiła dla niego płataninę



emocjonalnych skojarzeń. Nazwy ulic przywoływały postacie byłych dziewczyn, wspomnienia kolegów ze szkoły, nudnych wagarów spędzonych na niczym szczególnym; rzadkich wypadów z ojcem do mało znanych restauracji lub do ZOO; imprez techno w opustoszałych magazynach wschodniego Londynu. Zaczął udawać, że bliźniaczki zabierają go na szkolne wycieczki, że całą trójką uczęszczają do egzotycznej, prywatnej szkoły, w której nosi się nietypowe mundurki i gdzie obowiązkowe są zajęcia z turystyki. Przestał się zastanawiać nad tym, co robi, nie martwił się już ewentualnością odkrycia. Zatrząsała go ich nieświadomość. Brakowało im umiejętności korzystania z miejskiego kamuflażu, jaką powinny posiadać młode kobiety. Ludzie gapili się na nie bez przerwy, a siostry zdaje się to zauważały i jednocześnie zupełnie się nie przejmowały, jakby bezustanne zwracanie na siebie uwagi było dla nich czymś naturalnym.

Bliźniaczki prowadziły, a on szedł za nimi. Na cmentarzu pojawiał się nieregularnie. Gdy Jessica spytała go, co się dzieje, odpowiedział, że pracuje w domu nad swym doktoratem. Dziwnie na niego spojrzała; poniewczasie odkrył na automatycznej sekretarce nieodsłuchane wiadomości i zrozumiał, że pomyślała, że unika jej rozmyslnie.

Potem bliźniaczki spędziły kilka dni, prawie nie wychodząc z domu. Jedna z nich w pojedynkę załatwiała drobne sprawy. Robert zaczął się niepokoić. Powiniennem pójść na górę i sprawdzić, co się stało. Czuł już, że zna je dobrze, lecz nadal nie zamienił z nimi choćby słowa. Tęsknił za nimi. Łąkał się za to, że pozwolił sobie zanurzyć się w ich życie, choć wciąż nie był w stanie zdobyć się na nic innego. Godzinami przesiadywał w cichym mieszkaniu. Nasłuchiwał, czekał, martwił się.

## CHOROBA

Valentina nie czuła się tego ranka najlepiej, więc Julia wybrała się sama do Tesco, gdzie kupiła rosół, krakersy marki Ritz i colę, które to potrawy bliźniaczki zgodnie uznawały za odpowiednią dietę dla chorych. Gdy tylko Julia zniknęła za drzwiami, Valentina wyplątała się z pośłania, zwymiotowała do ubikacji, wróciła do łóżka i położyła się na boku; kolana podciągnęła do piersi. Czuła, jak trawi ją gorączka. Wpatrywała się w dywan, śledząc wzrokiem złoto-niebieskie wzory. Zaczął morzyć ją sen.

Ktoś się nad nią pochylił i zaczął bacznie przyglądać. Dziewczyna nie poczuła dotyku; miała po prostu wrażenie czyjejś obecności i troski. Otworzyła oczy. Wydało się jej, że widzi coś ciemnego, niewyraźnego. Kształt poruszał się w stronę nóg łóżka. Valentina usłyszała otwierające się drzwi do mieszkania i ocknęła się na dobre. Pokój był pusty.

Po krótkiej chwili do sypialni weszła Julia z tacą w rękach. Valentina usiadła, a siostra odstawiła naczynia i podała jej szklanekę coli. Valentina zagrzechotała kostkami lodu i przytknęła naczynie do policzka. Upiła niewielki łyk, potem pociągnęła drugi, odważniejszy.

- Było tu coś dziwnego - powiedziała.
- Co takiego? - spytała Julia.

Valentina spróbowała opisać swoje doznanie.

- Coś jakby rozmazanego w powietrzu, taka smuga. I to coś martwiło się o mnie.

- Miło z jego strony - rzuciła Julia. - Ja też się o ciebie martwię. Chcesz zupy?

- Chyba tak. A mogę dostać samą zupę, bez makaronu i całej reszty?

- Jak wolisz. - Julia poszła do kuchni.

Valentina rozejrzała się po sypialni. Wyglądała tak samo jak każdego ranka. Dzień był słoneczny i meble wydawały się ciepłe i niewinne. Musiało mi się to przyśnić. Bardzo dziwne.

Wróciła Julia i podała jej kubek. Przytknęła dłoń do czoła siostry, dokładnie takim samym gestem jak robiła to Edie.

- Jesteś cała rozpalona, Myszko.

Valentina upiła łyk zupy. Julia usiadła na skraju łóżka.

- Musimy znaleźć jakiegoś lekarza - powiedziała.

- To zwykła grypa.

- Myszko... dobrze wiesz, że nie wolno ci takich rzeczy lekceważyć. Mama dostałaby szału. A co, jeśli dostaniesz ataku astmy?

- Właśnie... Mogłybyśmy zadzwonić do mamy? - Co prawda, telefonowały do domu wczoraj, ale nie istniał przecież przepis zabraniający kontaktować się z rodziną dwa razy w tygodniu.

- Teraz jest tam czwarta rano - przypomniała Julia. - Po-tem przekęcimy.

- Okej. - Valentina oddała kubek i siostra postawiła go na tacy. - Chyba się prześpię.

- Dobrze. - Julia zaciągnęła zasłony, zabrała tacę i wyszła.

Zadowolona Valentina zwinęła się w kłębek. Zaniknęła oczy. Ktoś siedział obok niej i gładził ją po włosach. Zasnęła z uśmiechem na ustach.

## VALENTINA I JULIA POD ZIEMIĄ

Valentina nie lubiła metra. Było mroczne, szybkie i brudne; było zatłoczone. Nie lubiła ścisku, dotyku obcych ciał, nie lubiła czuć cudzego oddechu na karku, wiszenia z ręką na poręczy, bliskości spoconych mężczyzn. A przede wszystkim nie lubiła przebywać pod ziemią. Sama nazwa - kolej podziemna — sprawiała, że czuła się źle, i, gdy tylko mogła, jeździła autobusem.

Jak mogła, starała się swój lęk ukrywać, lecz w jakiś niezrozumiały sposób Julia domyśliła się wszystkiego. Teraz, przed każdym wyjściem, Julia rozkładała na stole w jadalni plan metra i układała skomplikowane trasy podróży, wymagające co najmniej trzech przesiadek. Valentina nie skomentowała tego nawet jednym słowem. Wlokła się za siostrą noga za nogą, zjeżdżała z nią niekończącymi się ruchomymi schodami w otchłanie bezdennych stacji. Dziś wieczorem wybrały się na cyrkowe przedstawienie do Royal Albert Hall. Ich droga rozpoczęła się w Archway. Na Warren Street bliźniaczki musiały się przesiąść z linii Północnej na linię Victoria i ocknęły się w tłumie ludzi idących długim, wyłożonym białymi kafelkami korytarzem. Valentina chwyciła bliźniaczkę za rękę. Pomyślała o kieszonkowcach i sprawdziła, czy ma zapiętą torebkę. Zastanowiła się, czy

wszyscy wokół widzą, że siostry są Amerykankami. Gęsty tłum sączył się jak syrop.

I wtedy zwróciła uwagę na idącego przed nimi mężczyznę.

Był dość wysoki i miał kasztanowe falujące włosy. Był ubrany w białą koszulę, wpuszczoną w beżowe sztruksowe spodnie. Trzymał grubą książkę w miękkiej oprawie. Na nogach miał mokasyny bez skarpet. Szedł długim swobodnym krokiem labradora czy może leniwca. Był blady, z lekką nadwagą. Valentina zastanowiła się, co czyta. Prowadził je przez tunele. Bliźniaczki weszły za nim na ruchome schody, jedne z tych długich, które sprawiały, że Valentina odnosiła wrażenie, jakby świat nagle się przechylał, jakby obejmowała ją w posiadanie jakaś nowa, dziwna grawitacja. Wreszcie trafiły na peron linii Victoria.

Valentina próbowała dostrzec tytuł książki. Kończył się na „...emiana”. Kafka? Nie, za gruba. Mężczyzna nosił niewielkie okulary w oprawkach ze złotego drutu. Miał miłą twarz, wyrazistą szczękę i długi nos, którym celował między okładki. Jego piwne oczy były przesłonięte ciężkimi powiekami i długimi gęstymi rzęsami. Zbliżał się pociąg. Zatłoczony. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Nikt nie wsiadł ani nie wysiadł. Mężczyzna rzucił na metro przelotnym spojrzeniem, po czym podjął przerwana lekturę.

Julia opowiadała o wypadku, którego świadkiem była tego ranka. Starsza kobieta została potrącona przez motorowerzystę. Valentina próbowała jej nie słuchać. Julia zdawała sobie sprawę, że jej siostra boi się przechodzić przez ulicę. Zawsze uparcie czekała na zielone światło, nawet gdy w zasięgu wzroku nie było choćby jednego samochodu, nawet gdy Julia dawno już przebiegła na drugą stronę i ponaglała ją gestami.

- Przestań - rzucik Valentina. - Jeśli się nie zamkniesz, przestanę wychodzić z domu i wszystkie zakupy będziesz musiała taszczyć sama.

Julia zrobiła zaskoczoną minę i, ku uldze Valentiny, umilkła.

Następny pociąg przyjechał minutę później. W tym tłok był mniejszy i bliźniaczki wcisnęły się do środka. Julia przepchnęła się ku środkowi wagonu, lecz Valentina chwyciła się słupka w pobliżu drzwi. Gdy metro szarpnęło i ruszyło, dziewczyna zauważyła, że mężczyzna, którego wcześniej obserwowała, stoi tuż przy niej. Pochwycił jej spojrzenie i odwrócił wzrok. Pachniał trawą, jakby kosił ją w swoim ogrodzie. Było go czuć również potem i czymś jeszcze, czego Valentina nie rozpoznawała. Papier? Ziemia? Woń była przyjemna, można było odnieść wrażenie, że zawiera witaminy. Czyjaś siatka ocierała się o jej nogę. Valentina znów spojrzała w jego stronę. Cały czas ją obserwował. Zalała się rumieńcem, ale wytrzymała wzrok nieznajomego.

- Nie za bardzo lubi pani metro, prawda? - odezwał się.

- Nie - przyznała Valentina.

- Mam to samo - powiedział. Miał przyjemny, cichy głos. - Zbyt tu intymnie.

Valentina przytaknęła skinieniem. Gdy mówił, przyjrzała się jego ustom. Były szerokie. Górna, nieco zajęcza wargą unosiła się, ukazując lekko wystające zęby, którym z pewnością przydałaby się wizyta u ortodonty. Dziewczyna pomyślała o wszystkich latach, które wraz z Julią spędziły u doktora Weissmana, korygującego ich zgryz. Zainteresowało ją, jak wyglądałyby ich zęby, gdyby nikt się nimi nie zajął.

- Ty jesteś Julia czy Valentina? - spytał.

- Valentina - odpowiedziała i nagle przeraziła się własnej śmiałości. Skąd on zna nasze imiona? Pociąg wtoczył się na stację, przyhamował i straciła równowagę.

Mężczyzna chwycił ją za łokieć i przytrzymał, dopóki wagon nie znieruchomiał. „Stacja Victoria” oznajmił bezcielesny, kobiecy głos metra.

- Myszko! To nasza stacja. Musimy się tu przesiąść. - Głos Julii wzbił się ponad dzielącą je ludzką ścianą.

Rozsunęły się drzwi. Valentina obróciła głowę i spojrzała na nieznanego.

- Muszę wysiadać - powiedziała. W jego spojrzeniu było coś kojącego, zupełnie jakby podróżowali już razem od wielu godzin.

- Dokąd jedziecie? - spytał.

Julia właśnie się ku nim przepychała. Valentina wyszła na peron.

- Do cyrku - rzuciła, gdy siostra znalazła się obok.

Mężczyzna uśmiechnął się; drzwi się zamknęły; metro ruszyło. Valentina stała przez moment w bezruchu i patrzyła za nim. Uniósł dłoń, zawahał się, pomachał jej.

- Kto to był? - zapytała Julia. Wzięła Valentine za rękę i ruszyły wraz z tłumem, by złapać metro na linii District.

- Nie wiem - odpowiedziała Valentina.

- Milutki - stwierdziła Julia.

Valentina skinęła głową. Julia, on zna nasze imiona, pomyślała. A przecież my tutaj nie mamy znajomych. Skąd wiedział jak się nazywamy?

Robert przyglądał się z okna pociągu odchodzącym bliźniaczkom. Wysiadł na następnej stacji, Pimlico, poszedł do galerii Tate i usiadł na jej stromych stopniach. Głęboko poruszony zapatrzył się na Tamizę. Czego się tak boisz? - spytał sam siebie, lecz nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

## POTOP

Było bardzo późno, po drugiej w nocy. Bliźniaczki spały. Ten wieczór także nadszedł zimny. Siostronom wciąż nie udało się uruchomić ogrzewania - dziś również się nie włączyło, mimo że robiło się coraz chłodniej. Obie były przyzwyczajone do swego nagrzanego do przesady amerykańskiego domu; całe popołudnie przykładają dłonie do kaloryferów i zastanawiały się, dlaczego żeberka są ledwie ciepłe. Spały pod kilkoma kołdrami. W szufladzie znalazły termofor, który umieściły w nogach łóżka. Valentina leżała na boku, zwinięta w kłębek. Kciuk, którego nie włożyła do ust, spoczywał tuż przy nich, jakby go ssała przez sen, a potem, znudzona, odsunęła od siebie rękę. Julia wtuliła się w siostrę; przycisnęła się do pleców Valentyny i położyła dłoń na jej udzie. Bliźniaczki zawsze sypiały w ten sposób; było to odbicie ich pozycji w łonie matki. Twarze dziewczyn zastygły z odmiennymi minami: Valentina spała czujnie, miała zmarszczone brwi i zaciśnięte powieki. Julia wierciła się, nawiedzona przez sen. Jej oczy poruszały się gwałtownie pod cienkimi jak muszla powiekami. Śniła, że jest na plaży, w domu, w Lake Forest. Wokół widziała dzieci. Piszczą z zadowolenia; pozwalały się przewracać niewielkim falom. Julia czuła wilgoć jeziora na skórze, znów się obróciła. We śnie zaczęło padać. Dzieci pomknęły do rodziców, którzy



pakowali do koszy zabawki i kremy z filtrem przeciwsłonecznym. Deszcz lał coraz intensywniej. Gdzie jest samochód? - starała się sobie przypomnieć Julia... Biegła...

Woda chlusnęła jej prosto w twarz. Przez sen przytknęła dłoń do policzka. Valentina ocknęła się, usiadła i spojrzała na siostrę. Z sufitu ciekła na kołdry cienka strużka wody, prosto na piersi Julii.

- Julia, zbudź się!

Julia prychnęła i otworzyła oczy. Sytuację ogarnęła dopiero po minucie. Zanim wyczołgała się z łóżka, Valentina zdążyła już pobiec do kuchni i wróciła z gigantycznym garnkiem, który podstawiła pod kapiący strumyk. Zagrzechotało. Materac i pościel były przemoczone. Na suficie nad ich głowami pojawiła się ciemna plama, a wraz z nią dziwne zgrubienia. Bliźniaczki stały i patrzyły na wypełniający się garnek. W wodzie kołysały się kawałki tynku i farby; wyglądały jak grudki białego sera.

Valentina usiadła w fotelu obok łóżka.

- I co myślisz? - spytała. Miała na sobie bokserki i koszulkę na cienkich ramiączkach. Jej uda i ramiona pokryła gęsia skórka. - Przecież nie pada. - Uniosła głowę i spojrzała w sufit. - Może ktoś napuszczał sobie wody do kąpieli i zapomniał zakręcić kran?

- Tylko dlaczego tutaj nic nie cieknie? - Julia weszła do łazienki i zapaliła światło. Przyjrzała się sufitowi. - Suchy jak pieprz — stwierdziła.

Wymieniły się spojrzeniami. Woda wciąż kapała do garnka.

- Nie mam pojęcia, o co tu chodzi. — Julia włożyła szlafrok. Był stary, z różowego jedwabiu. Kupiła go w Oxham. - Pójdę na górę i sprawdzę.

- Idę z tobą.

- Nie, zostań tutaj i przypilnuj garnka. - Pomysł był dobry, ponieważ wyglądało na to, że woda niedługo zacznie się przelewać.

Julia wyszła z mieszkania. Piętro wyżej natknęła się na stosy gazet, przede wszystkim „Guardian” i „Telegraph”. Drzwi były uchylone. Dziewczyna zapukała. Nikt się nie odezwał.

- Dobry wieczór?! - zawołała, lecz w odpowiedzi usłyszała jedynie stłumiony dźwięk, jakby ktoś coś szorował, rytmiczny szmer tarcia. Doleciał ją cichy męski głos.

Podenerwowana Julia stała przed drzwiami. O sąsiadach nie wiedziała nic. Pożałowała, że nie wzięła ze sobą Valentiny. Co będzie, jeśli się okaże, że to sataniści, pedofile albo zbrodniarze, którzy zabawiają się mordowaniem młodych kobiet piłami łańcuchowymi? Ciekawe, czy w Anglii też ich używają, czy to moda panująca jedynie wśród amerykańskich seryjnych zabójców. Położyła dłoń na klamce i zawahała się. Wyobraziła sobie wodę zalewającą całe ich mieszkanie, wypełniającą je. Unoszące się na falach meble ciotki Elspeth, Valentine próbującą je ratować z potopu, pływającą z pokoju do pokoju. Otworzyła drzwi szerzej i weszła do środka.

- Dobry wieczór! - zawołała.

W mieszkaniu było ciemno i Julia natychmiast wpadła na stertę pudełek rozłożonych po całym przedpokoju. Odniosła wrażenie, że wokół niej, stanowczo zbyt blisko, cisną się liczne przedmioty. Gdzieś, w innym pomieszczeniu, paliło się światło, ale tutaj docierała jedynie słaba poświata. Pod bosymi stopami czuła drewnianą podłogę. Była lepka i szorstka, ziarnista. W przedpokoju zobaczyła wyznaczone ścieżki. Po obu ich stronach stały kartony. Ustawione jedne na drugich sięgały sufitu. Dziewczyna zastanowiła się, czy

kiedykolwiek spadły i przygniotły kogoś. Może chowają pod nimi ciała ofiar? Jak niewidoma ruszyła przed siebie, wyszukując drogę dłońmi. Do jej nosa doleciał zapach gotowanego mięsa i smażonej cebuli. Słodka woń tytoniu. Ostry, złożony zapach jakiegoś detergentu do czyszczenia. Gnijące owoce - cytryny? Mydło. Julia starała się rozpoznać wszystkie wonie. Drażniły jej nozdrza. Łaskotały. Boże, spraw, bym nie kichnęła, pomyślała i od razu kichnęła.

Mamrotanie i odgłosy szorowania urwały się natychmiast. Dziewczyna zamarła. Po chwili, która wydała się jej wiecznością, dźwięki powróciły. Serce tłukło jej jak młotem. Obejrzała się, by sprawdzić, czy zostawiła za sobą otwarte drzwi, ale wejście zniknęło w mroku. Cholera, przemknęło jej przez głowę. Nigdy stąd nie wyjdę.

Wreszcie przestała wyczuwać pod palcami pudełka. Wyciągnęła rękę i trafiła na zamknięte drzwi. Gdyby to było ich mieszkanie, znajdowałaby się za nimi sypialnia. Dźwięki przybrały teraz na sile. Julia ostrożnie poszła dalej. Po chwili stanęła w wejściu do drugiej sypialni i zajrzała do środka.

Mężczyzna był odwrócony plecami. Klęczał dziwnie wygięty. Podłogi, którą czyścił, dotykał wyłącznie stopami i szczotką. Julii przyszło do głowy, że udaje mrówkojada. Miał na sobie tylko dzinsy. Górne światło było bardzo jasne, o wiele za intensywne jak na tak niewielkie pomieszczenie. Zobaczyła ogromne łóżko. Wokół wałały się ubrania, książki i śmiecie. Na ścianach wisały przypięte mapy i fotografie. Szorujący podłogę nieznajomy recytował coś w nieznanym jej języku. Miał piękny głos i choć Julia nie rozumiała słów, dotarło do niej, że musi mówić coś bardzo smutnego i przepełnionego agresją. Pomyślała, że to może być fanatyk religijny.

Deski były aż ciemne od wody. Nieznajomy włożył dłoń ze szczotką do wiadra i wyjął ją, ze świeżą porcją płynu i piany. Julia przyglądała się temu w milczeniu. Po chwili dotarło do niej, że mężczyzna raz po raz czyści jeden i ten sam fragment parkietu. Cała reszta była sucha.

Dziewczyna poczuła narastającą rozpacz. Chciała coś powiedzieć, ale nie miała pojęcia od czego zacząć. Po chwili powiedziała sobie, że zachowuje się jak Myszka, i ta myśl popchnęła ją do działania.

- Przepraszam... - odezwała się cicho.

Nieznajomy miał akurat rękę w wiadrze i przestraszył się tak bardzo, że przewrócił je, rozlewając wodę.

- Och! - zachłysnęła się Julia. - Przepraszam, bardzo pana przepraszam! Chwilkę, może ja... - Przeskoczyła nad rosnącą kałużą, wpadła do łazienki i wyszła z ręcznikami w dłoniach.

Przykucnięty mężczyzna wpatrywał się w dziewczynę z malującym się na twarzy wyrazem niedowierzania, niemal ogłupienia. Julia starała się opanować powódź, używając ręczników jak zapór, jak worków z piaskiem. Wróciła prędko do łazienki, skąd wyniosła kolejne naręczce ścierek. Mamrotała niewyraźne przeprosiny. Energia i nieprzerwany strumień pełnych skruchy słów tak wstrząsnęły Martinem, że mógł się tylko przyglądać. Rozpiął się jej różowy szlafrok. Włosy miała w nieładzie. Sprawiała wrażenie małej dziewczynki, która wybrała się w swoim nocnym stroju do wesołego miasteczka, żeby pojeździć elektrycznymi samochodzikami. Wyraźnie widział jej nogi. Martin pomyślał, że to niezwykle czarujące, że wparowała do jego mieszkania w starym szlafroku i bieliźnie, i choć zupełnie nie pojmował, co ona tu robi, poczuł na jej widok ulgę. Wszechogarniający niepokój, który czuł przedtem, nagle gdzieś uleciał.

Martin wytarł dłonie w spodnie. Julia skończyła ścierać podłogę, zebrała ręczniki i wrzuciła je do wanny. Zadowolona z siebie wróciła do sypialni. Martin kucał przed nią ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i patrzył.

- Hmm, cześć - przywitał się. Wyciągnął rękę.

Julia chwyciła ją i pociągnęła. Kiedy puszczała jego dłoń, zauważyła, że mężczyzna krwawi. Jej palce pokryły się cienką warstewką czerwieni. Martin spodziewał się, że dziewczyna przywita się uściskiem, i z zaskoczeniem stwierdził, że stoi. Julię z kolei zdumiała jego zwinność. Patrzyła na szczupłego mężczyznę w średnim wieku. Na nosie miał przekrzywione okulary w rogowej oprawce. Wydał się jej nieco patykowaty; miał wydatne łokcie i kolana. Na jego ciele nie było ani jednego włoska. Julia zauważyła, że nieznajomy ma lekko zapadniętą pierś. Zarumieniła się i przeniosła wzrok na jego oczy. Miał krótkie szpakowate włosy. Wydawał się miły.

- Nazywam się Martin Wells - przedstawił się.

- Julia Poole. Mieszkam na dole.

- Ach, oczywiście... I...? Poczujesz się samotna?

- Nie, chodzi o wodę... Dokładnie pod spodem stoi nasze łóżko i zaczęto na nas kapać z sufitu. Obudziłyśmy się przemoczone.

Martin poczuł, jak czerwienieją mu policzki.

- Bardzo przepraszam. Zadzwońię po kogoś, kto to naprawi.

Julia spojrzała na szczotkę i wiadro, na mokrą podłogę. Zmieszana popatrzyła z powrotem na Martina.

- Co robisz? - spytała.

- Sprzątam - odparł. - Myję podłogę.

- Ręce ci krwawią - zauważyła dziewczyna.

Martin opuścił wzrok na swoje dłonie. Widniała na nich siateczka pęknięć, powstałych wskutek wielogodzinnego

moczenia. Skórę miał lśniąca i zaczerwienioną. Spojrzał na Julię. Rozglądała się po sypialni, przyglądała się stosom ustawionych wzdłuż ścian kartonów.

- Co jest w tych pudłach? - zapytała.

- Różne rzeczy — odpowiedział.

- I tak mieszkasz? - Julia porzuciła takt.

- T a k .

- Jesteś jednym z tych ludzi, którzy cały czas sprzątają?  
Jak Howard Hughes?

- Tak - przytaknął Martin, nie mając pojęcia, co innego mógłby powiedzieć.

- Fajnie.

- Nie, wcale nie fajnie. - Martin poszedł do łazienki, otworzył szafkę z lekami i wyjął z niej tubkę maści, którą zaczął wcierać sobie w dłonie. - To choroba. - Poprawił okulary natłuszczonym palcem.

Julia poczuła, że popełniła faux pas.

- Przepraszam.

- Nie ma za co.

Zaległa niezręczna cisza. Nie patrzyli na siebie.

Nerwy Julii zagrały. Miałam rację od początku, pomyślała. On jest psychicznie chory.

- Wróć już na dół - powiedziała. - Valentina na pewno się martwi.

Martin skinął głową.

- Przykro mi z powodu waszego sufitu. Z samego rana po kogoś zadzwonię. Poszedłbym do was sam...

- T a k ?

- Ale ja nigdy nie wychodzę z mieszkania.

Julia poczuła się rozczarowana, mimo że jeszcze kilka chwil temu chciała znaleźć się od Martina jak najdalej.

- Zupełnie nigdy?

- To część mojej... choroby. - Uśmiechnął się. - Nie rób takiej miny. Bardzo chętnie przyjmuję gości. - Przeprowadził dziewczynę przez labirynt pudeł. Gdy dotarli do drzwi, pozwolił, by to ona je otworzyła. Julia wyszła na piętro. - Mam nadzieję, że mnie jeszcze kiedyś odwiedzisz. Przyjdź na herbatę. Może jutro?

Julia stała na dobrze oświetlonej klatce i patrzyła na Martina, który tkwił w swym ciemnym przedpokoju, z dala od drzwi.

- Okej - rzuciła. - Pewnie.

- Oczywiście możesz też przyprowadzić siostrę.

W Julii przebudził się instynkt posiadania. Gdyby poznała Valentine, zapewne polubiłby ją bardziej. Wszyscy bardziej lubili Valentine.

- Zobaczę, czy będzie miała czas.

- Zatem do jutra. - Martin się uśmiechnął. - Może o czwartej?

- Okej. Miło było cię poznać - pożegnała się Julia i zbiegła na dół.

Gdy wróciła do mieszkania, Valentina dopiero co wylała kolejną porcję wody z garnka. Z sufitu wciąż kapało, pościel zamieniła się w wilgotny kłęb. Bliźniaczki stanęły obok siebie i przyjrzały się zniszczeniom.

- Więc co się tam stało? - spytała Valentina.

Julia opowiedziała, choć miała spore kłopoty z opisaniem Martina. Gdy stwierdziła, że obie zostały zaproszone na herbatę, siostra popatrzyła na nią wylękniona.

- Przecież to jakiś wariat - rzuciła. - Naprawdę nigdy nie wychodzi z mieszkania?

- Nie wiem. Zachowywał się supermiło. Znaczący, wiesz, jasny, jest wariatem, ale w taki przyjemnie ekscentryczny angielski sposób, rozumiesz?

Zabrały się za zdejmowanie z łóżka mokrej pościeli. Zanosły kołdry do łazienki i spróbowały je wyżąć.

- Z nich już chyba nic nie będzie.

- N i e , to tylko tynk. Powinno się udać go wypłukać. Może je zanurzymy?

Valentina zakorkowała wannę i puściła ciepłą wodę.

- T a k czy inaczej, powiedziałam mu, że przyjdę na tę herbatę, i ty też możesz iść, jeśli zechcesz. Myślę, że powinnaś go przynajmniej poznać. W końcu to nasz sąsiad.

Valentina wzruszyła ramionami. Ściągnęły z materaca resztę pościeli i postawiły na nim pusty garnek, by zebrać ostatnie krople z sufitu. Położyły się w drugiej sypialni (tam było o wiele ciasniej) i zasnęły, martwiąc się remontami i herbatą.



## DELIKATNA KWESTIA

Dla obu bliźniaczek dziewictwo stanowiło pewnego rodzaju obciążenie, dla każdej z nich w nieco odmienny sposób.

Julia miała już za sobą nieco eksperymentów. W szkole średniej pozwalała niektórym chłopcom na pocałunki i na pieszczoty w samochodach, czy też u znajomych na imprezach pod nieobecność rodziców; raz zdarzyło się to w damskiej toalecie w klubie Navy Pier i kilka razy na progu obciachowego domu Jacka i Edie; zawsze marzyła, by przeobraził się w gigantyczną, wiktoriańską rezydencję z werandą - mogłaby wtedy siadywać na tej werandzie z chłopakiem i zlizywaliby sobie nawzajem lody z warg, podczas gdy Valentina szpiegowałaby ich z pogrążonej w mroku sypialni. Werandy jednak nie było, a pocałunki okazywały się równie pozbawione polotu jak sam dom.

Dziewczyna pamiętała też chwile, kiedy odpędzała od siebie chłopców na plaży, za altaną w West Park po wyprawie na lodowisko, w szkole po zajęciach. Pamiętała reakcję każdego z nich, rozmaite odcienie zmieszania i gniewu.

- No to po co tu ze mną przyszedłeś? - spytał ją kiedyś chłopak w sali muzycznej i nie miała dla niego odpowiedzi.

Czego chciała? Co sobie wyobrażała, że będą z nią robić? I dlaczego zawsze ich powstrzymywała, zanim do czegokolwiek doszło?

Valentina była bardziej popularna i mniej od siostry konsekwentna w mówieniu „nie”. Kiedy bliźniaczki miały po naście lat, to właśnie ją częściej wybierali koledzy. Zarówno ci mniej śmiali, jak i ci, którzy uważali się za wschodzące gwiazdy rocka. Podczas gdy Julia wyszukiwała sobie chłopaków, którzy się nią zupełnie nie interesowali, i rozpoczynała na nich długotrwałe polowanie, Valentina sennie ignorowała wszystkich, dzięki czemu zdobywała ich serca. Kiedyś zaskoczyło ją to, że kolega, z którym siedziała na matematyce, wyznał jej miłość akurat wtedy, gdy odpinała rower albo że redaktor szkolnej gazetki zaprosił ją na studniówkę.

- Powinnaś pozwolić, żeby sami po ciebie przychodzili - poradziła jej pewnego razu Valentina, gdy siostra narzekała na widoczną rozbieżność w sposobie, w jaki traktowali je chłopcy.

Julia jednak była niecierpliwa i bolał ją brak uwagi. A tego rodzaju rzeczy stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo dla romansów, zwłaszcza jeśli w pobliżu kręci się twoja kusząca obojętnością kopia.

Seks według Valentiny był rzeczą interesującą, w przeciwieństwie do kolegów, z którymi mogła go ewentualnie uprawiać. Gdy tylko zwracała na kogoś uwagę, okazywał się jakiś niedorobiony, nieciekawym, niedorzeczny. Była przyzwyczajona do głębokiej, intymnej zażyłości z Julią i nie miała pojęcia, że do stworzenia związku potrzeba chmury nadziei i nieposkromionej iluzji. Valentina przypominała weterankę wieloletniego małżeństwa, która zapomniała już, jak to jest chodzić na randki. Chłopcy, którzy snuli się z nią w Lake Forest - zawsze w bezpiecznej odległości - traciли wszelki zapał, gdy ich awanse spotykały się z uprzejmym i szczerym zdumieniem.

Tak więc obie bliźniaczki nadal pozostawały nietknięte. Julia i Valentina mogły się tylko przyglądać swoim szkolnym i uczelnianym znajomym, którzy znikali w dorosłym świecie seksu, i w końcu siostry zostały jedynymi maruderkami w krainie dziewic.

- I jak to jest? - pytały przyjaciółek.

Odpowiedzi były mgliste. Seks okazał się czymś w rodzaju branżowego dowcipu: by go zrozumieć, należy być w klubie.

Bliźniaczki martwiły się swoim dziewictwem indywidualnie i martwiły się nim wspólnie. Najbardziej podstawowym problemem jednak, czymś o czym nie rozmawiały nigdy, było to, że seksu nie mogły poznać wspólnie. Któraś z nich musiała wykonać ten krok jako pierwsza i zostawić drugą za plecami. Poza tym musiałyby znaleźć sobie dwóch różnych partnerów, którzy chcieliby zapewne spędzać czas ze swoimi wybrankami sam na sam; chcieliby stać się w życiu Julii lub Valentiny istotnymi osobami. A tacy chłopcy staliby się czymś w rodzaju kilofów, które wkrótce uczyniłyby wyłomy w ścianach domu ich siostrzanych uczuć - pojawiłyby się takie godziny w ciągu dnia, gdy Julia nie miałaby pojęcia, co robi Valentina, a Valentina obejrzałaby się odruchowo, żeby powiedzieć coś Julii, lecz zamiast siostry zobaczyłaby spoglądającego wyczekująco chłopaka. A przecież tylko Julia mogła ją zrozumieć.

Była to delikatna kwestia. Ich prywatny świat wymagał absolutnej wierności, więc siostry trwały w swym dziewictwie. I czekały.

## PERŁY

Julia stawiła się pod drzwiami Martina nazajutrz, dokładnie o szesnastej; Valentina doznała ataku nieśmiałości i nie chciała przyjść. Rankiem jednak pojawił się u nich fachowiec, który zajął się naprawą sufitu, więc Julia czuła się zobligowana do wypełnienia obietnicy.

Ubrała się w dżinsy i białą bluzkę. Gdy Martin otworzył drzwi, aż drgnęła, widząc, że gospodarz włożył garnitur i krawat. Na dłoniach miał białe chirurgiczne rękawiczki, przez co wyglądał nieco jak kamerdyner z telewizyjnego serialu.

- Wejdz, proszę - powiedział. Zaprowadził ją do kuchni, która okazała się zaskakująco przytulna, mimo że okna i tu były zaklejone gazetami. - Jadamy tutaj — oświadczył Martin. - Jadalnię przejęły pudełka - dodał, jakby nie miał pojęcia, w jaki sposób do tego doszło.

- Masz rodzinę? - Julii nie bardzo mieściło się w głowie, by jakakolwiek kobieta mogła poślubić takiego wariata.

- Tak, mam żonę i syna. Żona jest teraz w Amsterdamie, a syn na Oksfordzie.

- Wyjechała na wakacje?

- Chyba można to tak nazwać. Nie mam pewności, kiedy wróci, więc na razie muszę radzić sobie sam. Jak widać, trochę improwizuję.

Martin przygotował trzy siedzenia przy kuchennym stole. Julia usiadła na krześle stojącym przodem do wyjścia na schody pożarowe. Na wypadek gdyby musiała uciekać, pomyślała.

- Valentina nie mogła przyjść. Nie czuje się zbyt dobrze - powiedziała; nie było to do końca kłamstwo.

- Szkoda. Innym razem - odparł Martin.

Był z siebie zadowolony; w krótkim czasie udało mu się zaaranżować bardzo znośną popołudniową herbatkę. Były kanapki z pastą rybną, były ogórki i rzeżucha; był też biszkopt. Za zastawę posłużyła mu porcelana od teściowej. Na stole znalazł się też niewielki dzbanek mleka i miseczka z cukrem w kostkach. Według Martina wszystko wyglądało tak dobrze, jakby przyjęcie przygotowała sama Marijke.

- Jaką herbatę pijesz? - spytał.

- Earl grey?

Nacisnął włącznik elektrycznego czajnika i wrzucił saszetkę do dzbanka.

- Nie tak powinno się to robić, ale człowiek się rozleniwia.

- A jak się powinno?

- Och, najpierw należy podgrzać dzbanek, poza tym dobrze jest użyć liściastej herbaty... ale ja nie wyczuwam żadnej różnicy, a że piję dużo, cały rytuał stracił nieco na wyrafinowaniu.

- Nasza mama używa tylko ekspresowej - zauważyła pocieszająco Julia.

- Czyli nie ma w tym nic złego - stwierdził z powagą Martin.

Woda w czajniku zawrzała (prawdę powiedziawszy, zagotował ją kilka razy jeszcze przed przyjściem dziewczyny; musiał się upewnić, czy czajnik działa). Zaparzył herbatę.

Po chwili siedzieli oboje, sączyli napój z parujących filiżanek i jedli kanapki. Ogarnęła go przemożna fala dobrego samopoczucia. Aż do dziś nie zdawał sobie sprawy jak bardzo brakuje mu posiłków w towarzystwie drugiej osoby. Julia uniosła wzrok i zauważyła jego promienny uśmiech. Może i jest wariatem, przemknęło jej przez myśl, ale jest przy tym bardzo pogodny.

- Więc... hmm... od dawna tu mieszkasz? - spytała.

- Dwadzieścia kilka lat. Zaraz po ślubie osiedliśmy w Amsterdamie, a jeszcze potem w St Johns Wood. To mieszkanie kupiliśmy na krótko przed narodzinami Theo.

- I od początku... wolałeś nie wychodzić?

Martin pokręcił głową.

- To się zaczęło stosunkowo niedawno. Kiedyś pracowałem w British Museum. Byłem tłumaczem języków klasycznych i starożytnych. Teraz pracuję tylko w domu.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Czyli to do ciebie trafiają te różne kamienie z Rosetty i tak dalej?

Bliźniaczki odwiedziły British Museum tydzień temu. Julii przypomniała się Valentina, pochylająca się ze łzami w oczach nad szczątkami człowieka z Lindów.

- Nie, nie. Rzadko potrzebuję oryginalnych znalezisk. Robią dla mnie zdjęcia, albo szkice, i to mi wystarczy. Teraz, kiedy wszystko jest cyfrowe, moja praca stała się znacznie łatwiejsza. Podejrzewam, że pewnego dnia będzie wystarczyło pomachać rękopisem przed komputerem, a on wyśpiewa tłumaczenie gregoriańskim chorałem. Na razie jednak, tacy jak ja są nadal potrzebni. - Zastanowił się nad czymś i twarz mu pojaśniała. - Lubisz może krzyżówki? - dodał nieśmiało.

- Nie jesteśmy w nich zbyt dobre. Mama rozwiązuje te z „New York Timesa”. Próbowwała nas przekonać, ale radzi mi sobie tylko z poniedziałkowymi.

- Twoja ciotka je uwielbiała. Na urodziny układałem dla niej wyjątkowo trudne szarady.

Julia chciała porozmawiać o Elspeth, ale rozumiała, że Martin tak naprawdę czeka, by zapytała go o krzyżówki. Postanowiła być uprzejma.

- Układasz krzyżówki? - spytała.

- Tak. Dla „Guardiana” - oświadczył takim tonem, jakby wyjawiał jej właśnie, że prowadzi podwójne życie superbohatera.

Julia przybrała minę, która - miała nadzieję - wyrażała należyty zachwyty.

- Wow. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że ktoś je układa. Krzyżówka to dla większości ludzi po prostu coś, co pojawia się w gazecie, i tyle. Rozumiesz?

- Tak, to stanowczo niedoceniana dziedzina sztuki - przyznał. Zapytaj o jej zainteresowania, bo monopolizujesz rozmowę, nakazał sobie w duchu. - A ty czym się zajmujesz?

- Jeszcze nie zdecydowałyśmy. Nie wiemy.

Martin upił łyk herbaty i obdarzył dziewczynę lekko zdziwionym spojrzeniem.

- Często mówisz o sobie w pierwszej osobie liczby mnogiej?

Julia zmarszczyła czoło.

- Nie. Miałam na myśli siebie i Valentinę. Nie znalazłyśmy jeszcze zawodu, który chciałybyśmy razem wykonywać.

- Musicie robić to samo?

- Tak! - Julia urwała i napomniała się w duchu: „Nie rozmawiasz z Myszką, tylko z obcym”. - Chodzi po prostu o to, że chcemy robić coś wspólnie. Może wystarczyłyby dwa lekko odmienne zawody, które by do siebie jakoś pasowały.

- A co lubicie robić najbardziej? Tak na co dzień?

- Valentina lubi ubrania. Lubi przerabiać stare ciuchy na coś nowego, wiesz, mogłaby na przykład wziąć twój garnitur, wyciąć w nim kilka dziur i przerobić na gorset, turniurę albo coś w tym rodzaju. Jest zagorzałą fanką Alexandra McQueen.

Julia rzuciła okiem na puste, przeznaczone dla siostry miejsce i zastanowiła się, co też jej bliźniaczka może teraz robić; Martin wyobraził sobie siebie w turniurze i uśmiechnął się.

- A ty?

- Ja... Nie wiem. Chyba lubię dowiadywać się różnych rzeczy - odpowiedziała, wbijając wzrok w talerz. Brzeg naczyńia był ozdobiony wzorkiem błękitnego powoju. Dlaczego czuję się, jakbym stała na krawędzi wielkiej otchłani?

- Jeszcze herbaty? - zaproponował Martin. Dziewczyna skinęła głową. Nalał. - Jesteś jeszcze młoda, prawda? Mój syn też nie ma pojęcia, czym chciałby się zająć. Studiuje matematykę, ale nie czuje do niej powołania. Spodziewam się, że skończy jako finansista i cały swój czas będzie trawić na planowaniu egzotycznych podróży. A wszystko, co naprawdę sprawia mu przyjemność, jest dosyć niebezpieczne.

- Na przykład?

- Na przykład jazda motocyklem. Mam też wrażenie, że interesuje się alpinizmem, ale nikt nie chce mi tego potwierdzić ani zaprzeczyć. Widocznie wolą, żebym nie wiedział.

- Boisz się o niego?



Martin wybuchnął śmiechem. Od miesięcy nie czuł się tak swobodnie.

- Drogie dziecko, ja się boję o wszystko. Ale, tak, o Theo niepokoję się szczególnie. Taka już natura rodzica. Zacząłem się troszczyć o jego bezpieczeństwo w chwili, w której go począłem. Nie sądzę, by mu się to specjalnie przysłużyło, ale nic na to nie poradzę.

Julia przypomniała sobie Martina myjącego podłogę. Jak pies liżący bez przerwy jedno miejsce, pomyślała.

- A poza tym... często myjesz różne rzeczy?

Martin odchylił się, oparł wygodniej na krześle i splótł ręce na piersi.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza. Tak, masz rację.

Popatrzyli sobie w oczy i do obojga dotarło coś ważnego. Jest szalony, a ja go rozumiem. Może jednak nie jest wariatem do reszty. Może to tylko takie... świadome szaleństwo, coś jak sen.

- Mówiłaś, że lubisz dowiadywać się różnych rzeczy - podjął Martin. - Jakich?

Julia spróbowała dobrać odpowiednie słowa.

- Po prostu. Wszystkiego. Najbardziej ciekawi mnie to, co zwykle jest ukryte. Na przykład, lubię chodzić do British Museum, ale o wiele bardziej by mi się tam podobało, gdybym mogła wejść do biur i magazynów. Chciałabym otwierać szuflady i sprawdzać co w nich jest. No i lubię dowiadywać się czegoś o ludziach. Znaczący, wiem, że to pewnie nieuprzejme, ale w tej chwili korci mnie, żeby zapytać, co masz w tych pudełkach, i po co ci one, i dlaczego masz zaciemnione okna, i od jak dawna tak tu jest, i jak się czujesz, myjąc różne rzeczy, i dlaczego nie chcesz nic z tym zrobić?

Julia spojrzała Martinowi w oczy. Zaraz poprosi, żebym wyszła, pomyślała. Zapadła niezręczna cisza. Zdawało się,

że trwa całe wieki. Wreszcie na twarz gospodarza wypłynął uśmiech.

- Jesteś bardzo... amerykańska, nieprawdaż?

- To taki eufemizm, oznaczający „bardzo nieuprzejma”? Tak, jestem bardzo nieuprzejma. Przepraszam.

- Nie, nie przepraszaj. I tak jestem w tym lepszy. Może jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję. Jeśli przesadzę z kofeina, stracę wszelkie hamulce. Choć chyba już do tego doszło - odpowiedziała.

Martin napełnił swoją filiżankę.

- Naprawdę chciałabyś to wiedzieć? - zapytał. - Jeśli odpowiem na wszystkie te pytania, stracę zapewne aurę tajemniczości i nigdy już mnie nie odwiedzisz.

- Odwiedzę.

Jesteś najdziwniejszym człowiekiem jakiego w życiu poznałam. Nie pozbędziesz się mnie nawet jeśli będziesz chciał, dodała w myślach.

Martin otworzył usta i się zawahał.

- Palisz? - spytał.

- Tak - odpowiedziała Julia.

Rozpromienił się. Wstał od stołu i wrócił po chwili z zapalniczką i paczką papierosów. Wytrząsnął jednego i poczęstował dziewczynę. Wyjęła, włożyła do ust, pozwoliła mu przypalić i natychmiast zaniósł się kaszlem. Martin zerwał się z miejsca i przyniósł jej szklanek wody.

- Co to jest, do diabła? - spytała, gdy odzyskała oddech.

- Gauloises. Bez filtra. Przepraszam. Naprawdę nie chciałem cię zabić.

Oddała mu zapalonego papierosa.

- Masz, zadowolę się wdychaniem twojego dymu.

Martin zaciągnął się głęboko i pozwolił niebieskiej smużce ulotnić się powoli z ust. Julia pomyślała, że jeszcze nigdy

nie widziała, by na czyjeś twarzy malowała się tak dojmująca rozkosz. W tej chwili zrozumiała, jak zdołał oczarować i poślubić dziewczynę: na pewno spojrział na nią właśnie w ten sposób. Bardzo chciała, żeby ktoś popatrzył tak na nią. Zawstydziała się i zmieszała.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - powiedział Martin. Znów się zaciągnął.

- Wiem, ale kiedy nie mogę się dowiedzieć tego, co mnie interesuje, mam wrażenie, że wybuchnie mi głowa.

- W takim razie byłabyś świetnym naukowcem.

Zafascynowana Julia obserwowała dym wydobywający się przy każdym słowie małymi chmurkami z jego ust. Wydawało mi się, że to tata pali profesjonalnie, ale ten facet zdecydowanie gra w wyższej lidze.

- Nie. Nie umiem się skupić na jednym temacie. Muszę wiedzieć teraz, zaraz, a potem zabieram się za inne rzeczy.

- Zatem dziennikarstwo.

Dziewczyna spojrzała nań z powątpiewaniem.

- Może. Ale co z Valentiną? - Zauważyła, że przed zapaleniem papierosa Martin zdjął swoje chirurgiczne rękawice. Leżały teraz zmięte obok jego filiżanki.

- Nie sądzisz, że mogłybyście być szczęśliwsze, dążąc do realizacji swoich zainteresowań oddzielnie?

- Ale my jesteśmy razem. Zawsze byliśmy razem.

- Hmm.

Julia odniosła nieprzyjemne wrażenie, że zanim odwiedziła Martina, ktoś się do niego zakradł i przedstawił mu świat z punktu widzenia Myszki.

- No co? - rzuciła z urazą.

- Szkoda, że nie poznałaś Elspeth. Ona miała kilka ciekawych spostrzeżeń a propos życia z bliźniakiem.

- Na przykład? - Julia zamieniła się w słuch.

- Chcesz może ciasta? - zaproponował gospodarz. Dziewczyna pokręciła głową. - Ja się poczęstuję - powiedział. Delikatnym ruchem ukroił sobie cienki kawałek biszkopta, położył go na talerzu i zostawił, wracając do palenia. - Elspeth uważała, że istnieje granica, poza którą związek bliźniąt nie powinien wykraczać. Granicą tą, twierdziła, jest indywidualność. Czuła też, że obie z twoją matką tę granicę przekroczyły.

- W jaki sposób?

Martin pokręcił głową.

- Tego mi nie powiedziała. Powinnaś spytać Roberta. Jeśli komukolwiek o tym mówiła, to właśnie jemu.

- Roberta Fanshawa? Jeszcze go nie poznałyśmy.

- Hmm. Byłem przekonany, że przedstawi się wam jeszcze pierwszego dnia. Dziwne.

- Pukałyśmy do niego kilka razy, ale nigdy nie było go w domu. Może wyjechał z miasta.

- Widziałem go dziś rano. To on załatwił sprawę waszego sufitu. - Martin się uśmiechnął. - Dostałem od niego za to porządną burę. - Zgasił papierosa i starannie naciągnął rękawiczki.

- Co? Ciekawe jak to się... Jaki on jest?

Martin ugryzł kęs ciasta. Julia odczekała, aż przeżuje.

- Cóż, był bardzo oddany Elspeth. Mam wrażenie, że po jej śmierci nieco zdziwaczał. Ale to dobry człowiek. W stosunku do mnie i moich... przygód jest bardzo wyrozumiały.

- Często miewasz te... To znaczy, czy powinnyśmy oczekiwać, że sufit będzie spadał nam na głowy co parę dni?

Martin zrobił zawstydzoną minę.

- Jak dotąd zdarzyło mi się to tylko raz. Bardzo się postaram, żeby się nie powtórzyło.

- To jest kwestia wyboru?

- Mam pewną swobodę. Zazwyczaj.

Julia poczuła, że od dymu kręci jej się w głowie.

- Mogę skorzystać z toalety?

- Oczywiście. - Martin wskazał sypialnię. - Jest tam.

Dziewczyna podniosła się niepewnie i ruszyła pomiędzy pudłami do maleńkiej łazienki. W wannie natknęła się na kolejne kartony. Zupełnie jakby mieszkał w magazynie, pomyślała. Załatwiła się, ochlapała twarz zimną wodą i poczuła się lepiej.

- No to co trzymasz w tych pudełkach? - spytała, gdy wróciła do kuchni. - Wygląda tu trochę, jakbyś się właśnie wprowadził.

Martin rzucił jej wyrozumiałe spojrzenie.

- No dobrze, panno Pandoro Poole. Nie mam co prawda puszek, ale w ramach sąsiedzkiej uprzejmości, pozwolę ci jedno otworzyć.

- Którekolwiek?

- Jeśli tylko chcesz. Niespecjalnie pamiętam, co schowałem w którym, więc dla mnie to żadna różnica.

Oboje podnieśli się z krzeseł. Czują się jak w Boże Narodzenie, przemknęło Julii przez myśl.

- Może coś jednak podpowiesz?

- Nie - odrzekł. - Zawartość większości nie jest szczególnie wstrząsająca.

Przeszli do jadalni. Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała na górujące w pokoju wieże kartonów.

- Gdybyś wybrała któreś z samej góry nie musielibyśmy ich przekładać - zauważył Martin.

Julia wskazała palcem jedno z pudeł. Gospodarz ostrożnie zdjął je ze sterty i podał jej. Wyglądało nieco jak mumia - całe było oblepione taśmą klejącą. Martin przyniósł nóż introligatorski. Julia położyła pudełko na podłodze,

przykłękła i zaczęła rozcinać lepkie pasma. Gdy wreszcie uniosła tekturowe wieko, Martin cofnął się, jakby w obawie, że nastąpi wybuch.

W środku było pełno folii. W pierwszej chwili Julia pomyślała, że nie ma tam nic więcej, lecz gdy sięgnęła głębiej, okazało się, że pudełko zawiera kilka małych przedmiotów - każdy oddzielnie zapakowany w plastik i zaklejony taśmą. Spojrzała na Martina. Stał w drzwiach, nerwowo pociągając palce gumowych rękawiczek.

- Mam przestać? - spytała.

- N i e .

Julia wyjęła niewielkie foliowe zawiniątko. Rozwinęła je ostrożnie. Kolczyk. Perła w wyszukanej, srebrnej oprawie. Uniosła znalezisko ku Martinowi. Pochylił się, by spojrzeć.

- Ach, to Marijke. Zapewne zechce go odzyskać - powiedział. Nie wziął błyskotki do ręki.

- Myślisz, że drugi też tu jest? - spytała.

Skinął głową. Dziewczyna przetrząsnęła zawartość pudełka i odnalazła identyczną rozmiarem paczuszkę. Po chwili wstała z oboma kolczykami. Podeszła do Martina i podała mu je. Mężczyzna splótł dłonie w rynienkę i Julia włożyła do niej kolczyki. Następnie zwinęła całą folię, wcisnęła ją do pudełka i odstawiła je na szczyt stosu. Nie chciała wiedzieć, co jeszcze mogłaby znaleźć. Wrócili do kuchni i stanęli przy krzesłach. Zapanowało krępujące milczenie. Martin ostrożnie włożył kolczyki do pustej filiżanki Valentyny.

- Czasami rzeczy stają się zbyt... za bardzo... i wtedy trzeba je izolować i schować - powiedział i wzruszył ramionami. - T o , co ukrywam w tych pudełkach, to... uczucia. Uczucia pod postacią przedmiotów. - Spojrzał Julii w oczy. - Tego właśnie chciałaś się dowiedzieć?

- T a k . - System Martina wydał się jej całkiem rozsądny. - Dziękuję.

- Jeszcze jakieś pytania?

Dziewczyna spojrzała na czubki swoich butów.

- Przepraszam, nie chciałam... to miło z twojej strony. —  
Urwała. Zebrało się jej na płacz.

- Hej, hej, dziecino. Nic się nie stało. - Martin uniósł kciukiem jej brodę. - Naprawdę wszystko w porządku. - Zamrugała. - Nie róbmy tragedii - dodał.

- Przez chwilę naprawdę poczułam się jak Pandora.

- Zupełnie niepotrzebnie. Ale teraz już cię chyba pożegniam.

- Mogę cię jeszcze odwiedzić? - Nagle wydało się jej, że musi to wiedzieć natychmiast.

- T a k - odpowiedział. - Byłoby świetnie. Wiesz, bardzo mi przypominasz swoją ciotkę. Wpadaj kiedy tylko zechcesz.

- Okej. - Skinęła głową. - Wpadnę. Dziękuję.

Poszli krętymi drózkami pośród pudełek i zatrzymali się przy drzwiach. Martin patrzył za Julią, aż zniknęła, malejąc z każdym stopniem schodów. Zanim stracił ją z oczu, zatrzymała się na moment i pomachała na pożegnanie. Usłyszał, jak otwiera i zamyka drzwi, doleciało go jeszcze lekko stłumione „Myszko!”.

- Rany boskie - mruknął, odwrócił się i zamknął drzwi.

## JEJ ELEKTRYCZNA NATURA

Był posępny sobotni wieczór w połowie stycznia. Deszcz siekł okienne szyby; Elspeth zastanawiała się, czy ulewa zmyje z nich choć trochę brudu. Julia i Valentina jadły obiad przed telewizorem. Niedługo dostaną awitaminozy, zmartwiła się zjawą. Nie biorą do ust zieleniny. Dziś przygotowały sobie rosół z puszki, tosty z masłem orzechowym i odtłuszczone mleko. Bliźniaczki oglądały telewizję w potężnych ilościach (Julia żartowała, że w końcu muszą się w jakiś sposób nauczyć miejscowego języka), dziś jednak wyglądało na to, że nastawiły się na oglądanie konkretnego filmu. Okazało się, że czekały na serial, na „Doktora Who”.

Elsbeth unosiła się nad nimi, leżała na brzuchu, z brodą opartą na splecionych ramionach. Czy w telewizji naprawdę nie pokazują nic innego? Jeśli chodzi o science fiction, była snobką i od początku lat osiemdziesiątych nie widziała ani jednego odcinka „Doktora Who”. Ech, lepsze to niż nic, stwierdziła. Przyglądała się wpatrzonym w telewizor siostróm. Powoli piły zupę z kubków i wydawały się mocno wciągnięte w akcję. Elspeth rzuciła okiem na ekran akurat w porę, by zobaczyć, jak doktor opuszcza swój pojazd i wchodzi na pokład zepsutego statku kosmicznego.

To David Tennant! - dotarło do niej. Poszybowała do telewizora i usadowiła się stopę od niego. Doktor i jego



towarzysze odkryli na statku osiemnastowieczny francuski kominek. Płonął w nim żywy ogień. Chcę płomieni, pomyślała zjawa. Kilka razy, podczas tych rzadkich okazji, kiedy bliźniaczki zabierały się za gotowanie, eksperymentowała, próbując ogrzać się nad kuchenką. Doktor przykucnął przy kominku i rozmawiał właśnie z małą dziewczynką z Paryża w roku 1727, która znajdowała się po drugiej stronie paleniska. Czy to źle, że David Tennant podoba mi się jeszcze po śmierci? Dziwny ten serial. Francuzeczka okazała się przyszłą madame de Pompadour. Mechaniczne androidy ze statku kosmicznego próbowały ukraść jej mózg.

- To cyber-steampunk czy steam-cyberpunk? - spytała Julia. Elspeth nie miała pojęcia, o co jej chodzi.

- Spójrz na jej włosy - rzuciła Valentina. - Myślisz, że mogłybyśmy sobie coś takiego zrobić?

- To peruka - stwierdziła Julia.

Doktor czytał właśnie w myślach madame de Pompadour. Położył dłonie na jej głowie, delikatnie obejmując palcami uszy. Ma takie długie palce, zachwycała się Elspeth. Dotknęła swą małą ręką nadgarstek Davida Tennanta. Ekran był cudownie ciepły. Zjawa zanurzyła w nim dłoń. Mniej więcej na cal.

- Boże, jakie to dziwne - odezwała się Valentina.

Na tle ręki Doktora widniał zarys kobiecej dłoni. Aktor puścił już głowę madame de Pompadour, ale ciemna ręka została na swoim miejscu. Elspeth wycofała się, ale zarys pozostał tam, gdzie był.

- Jak to zrobiłaś? - zapytał Doktor i w pierwszej chwili zjawa pomyślała, że mówi do niej.

Moment później usłyszała jednak odpowiedź madame de Pompadour. Chyba wypaliłam ekran. A jeśli mogłabym

to zrobić ze swoją twarzą? Wcisnęła się cała do telewizora i wyjrzała na zewnątrz. Było wspaniale, dość ciepło i przytulnie ciasno. Nie minęła sekunda, a ekran zasnuła czerń. Odbiornik zgasł.

- Kurczę - syknęła Julia. - A wyglądał na nowy. - Podniosła się i zaczęła zмагаć się z przyciskami. Bez skutku.

- Może jest jeszcze na gwarancji - podsunęła Valentina. - Ciekawe, gdzie ciotka go kupiła?

W sklepie „John Lewis”, przypomniała sobie Elspeth, ale gwarancja na pewno już wygasła. Wysmyknęła się z telewizora i stanęła przed nim, w nadziei że obraz powróci. Ale zabawa! Widziały mnie! A przynajmniej moją rękę. Czekwała, ale ekran uparcie pozostawał martwy. Muszę to przemyśleć. Spowodowałam krótkie spięcie w elektrycznym urządzeniu. Czy ja też jestem elektryczna? Właściwie to z czego ja się składam? Spojrzała na swoje ręce, które wyglądały zupełnie jak... ręce. Poszybowała do wyłączonej lampy stojącej w kącie pokoju. Elspeth wsunęła dłoń w nóżkę i dotknęła spodu żarówki. Drucik zajaśniał słabym blaskiem. Kurde, genialne! - ucieszyła się. Obróciła się, by sprawdzić, czy bliźniaczki zauważyły światło, ale nie.

- Może ten facet z góry pozwoliłby nam skorzystać z telewizora? - powiedziała Valentina. Jej pragnienie obejrzenia odcinka do końca przewyższało niechęć przed spotkaniem z Martinem.

- Nie jestem pewna, czy on w ogóle ma telewizor — odparła Julia. - Jest tam tyle pudeł, że ciężko było cokolwiek zobaczyć.

Stały niezdecydowane, w milczeniu patrząc sobie w oczy.

- Może znajdziemy tu gdzieś scrabble?

Valentina ruszyła na poszukiwania. Julia poszła za siostrą. Elspeth wciąż trzymała żarówkę, z poczuciem głębokiego

rozczarowania. Scrabble mam w szafie w sypialni dla gości. Puściła żarówkę, która natychmiast zgasała. Słyszała bliźniaczki przetrząsające jej gabinet. Muszę się nad tym wszystkim poważniej zastanowić, stwierdziła zjawa. Szkoda, że nie czytałam więcej opowieści o duchach. U Le Fanu i innych na pewno znalazłabym jakieś wskazówki. Może Wikipedia coś o tym pisze? Ciekawe, czy udałoby mi się włączyć komputer? Nie, prawdopodobnie od razu bym go zepsuła. Elspeth wcisnęła się na powrót do zepsutego telewizora. W środku wciąż było ciepło. Co się ze mną dzieje? Czuję się jak jakaś kretynka. Pewnie śmierć odejęła mi jakieś pięćdziesiąt punktów IQ. Dawniej byłam w stanie myśleć racjonalnie, a teraz snuję się tylko z kąta w kąt i eksperymentuję bez ładu i składu z naturą istnienia. I z rozkoszą użalam się nad sobą.

Gdy telewizor ostygł zupełnie, Elspeth wypłynęła na zewnątrz i przeniosła się do gościnnej sypialni. Szafa była lekko uchylona. Scrabble dostrzegła na górnej półce, pod monopoli i kartami do gry. Elspeth podskoczyła i wśliznęła się za nie. Zaczęła pchać. Bez sensu. Pudełka były dla niej stanowczo zbyt ciężkie. Cholera.

Udała się do gabinetu, żeby sprawdzić, co robią bliźniaczki. Dziewczyny siedziały na podłodze i tuliły się nad starym numerem „The Face”. Zjawa poczuła irytację. Idiotki. Siedzicie w mieszkaniu po brzegi wypełnionym cudownymi książkami i o czym czytacie? O Morriseyu?

- Przestań - odezwała się Valentina.
- Co mam przestać? - odparła Julia.
- Przestań się na mnie bocyć. To nie ja zepsułam telewizor.

- Nie boczę się. — Julia odłożyła czasopismo i spojrzała na siostrę. — Nudzę się, ale nie jestem zła na ciebie.

- Hmm, miałam takie wrażenie. Że jesteś obrażona.
- Nie, nie jestem.
- Okej.

Wróciły do artykułu. Zjawa przysiadła na podłodze kilka stóp obok nich i patrzyła na dziewczyny. Valentina, wyraźnie skonsternowana, uniosła głowę i rozejrzała się. Nie zobaczyła niczego niezwykłego i opuściła wzrok na pismo. Julia przewróciła stronę.

Bardzo dobrze, stwierdziła Elspeth. Zawsze to dla nas jakiś początek. Dla mnie i dla ciebie.

- Strasznie tu zimno - poskarżyła się Valentina. - Chodźmy do łóżka.

Julia odłożyła magazyn i wyłączyła światło. Zjawa siedziała w ciemności, słuchając odgłosów mycia zębów. Kiedy w mieszkaniu zaległa cisza, podeszła do biurka i przytknęła palce do żarówki w lampce. Drucik pojaśniał.

# WIEWIÓRKI

Martin od wielu dni słyszał dziwne odgłosy. Na poddaszu coś biegało, drapało, szurało. Zadzwoił do Roberta. Robert zadzwonił do specja od odszczurzania. Fachowiec miał na imię Kevin.

Kevin przybył punktualnie, w poniedziałek z samego rana. Okazał się olbrzymim mężczyzną, musiał ważyć ponad sto dwadzieścia kilo. Był wysoki i szeroki. Gdy Martin i Robert prowadzili go przez zaciemnione pokoje, ścieżkami wyznaczonymi pomiędzy stertami pudeł, nie odezwał się słowem. Martin zaczął się zastanawiać, w jaki sposób ten gigant zamierza się wcisnąć w niewielką klapę w garderobie, przez którą wychodziło się na poddasze.

Kevin opuścił drabinę, chwycił latarkę i z cichym stęknieniem przebił się przez otwór. Robert i Martin słyszeli stukot jego butów. Chodził od ściany do ściany. Od patrzenia w ziejącą w suficie dziurę Martinowi zrobiło się niedobrze. Przecież coś mogło z niej wyskoczyć. I to coś najprawdopodobniej byłoby zapchlone; co gorsza, pchły mógł przynieść ze sobą do mieszkania Kevin. Dlaczego zajmuje mu to tyle czasu? Martin niepokoił się nie na żarty.

- Nie musisz tu stać - powiedział Robert. - Może usiądź sobie przy biurku i zapal. Ja poczekam.

Martin pokręcił głową. Nikłe odgłosy kroków dobiegały teraz z bocznych części budynku.

- Byłeś tam kiedyś? - zaniepokoił się Robert.

- Marijke była. Niedługo po tym, jak się wprowadziliśmy. Potem mieliśmy też problem z dachem. Ale to jeszcze, zanim ty się pojawiłeś. Nic tam nie ma. Deski i izolacja. - Martin zaczął się zastanawiać, czy wypada mu poprosić Kevina o zdjęcie butów przed zejściem na dół. Nie wydało mu się to możliwe.

Kroki rozległy się bliżej; w otworze pojawił się Kevin i stanął na szczeblach drabinki. Martin spojrzał na jego podszwy.

- Widział pan coś? - zapytał Robert.

- Zupełnie nic - odparł fachowiec. - Ma pan puste poddasze.

- Hmm. W takim razie muszą być na dachu, a nie pod nim - stwierdził Robert.

- Pewnie tak.

Robert odprowadził Kevina i wrócił. Martin szorował podłogę w garderobie.

- Co robisz?

- To skomplikowana kwestia - odpowiedział Martin.

- Mój dziadek też to często powtarzał.

- Dlaczego nie przedstawiłeś się jeszcze bliźniaczkom? Mieszkają tu już od sześciu tygodni.

Robert oparł się o framugę i pomyślał.

- Sam nie wiem. Byłem dość zajęty. Ale załatwiłem sprawę ich sufitu. - Popatrzył na czyszczącego deski Martina. - Mógłbyś używać trochę mniej wody, bo znowu je zalejesz.

A w garderobie są buty Elspeth.

- Są naprawdę czarujące. Przynajmniej jedna z nich. Drugiej jeszcze nie poznałem. Bardzo podobna do Elspeth.

- W jakim sensie?

- W sensie tej niszczycielskiej bezpośredniości. Choć, rzecz jasna, Elspeth była pod tym względem o wiele lepsza - Julia nie panuje nad sobą aż do tego stopnia. Niemniej, to naprawdę cudowna dziewczyna. Nie ma się czego bać.

Robert prychnął cicho, co Martin odczytał jako „Bądź tak miły i daj mi spokój”.

- Te dźwięki na górze. Jesteś pewien, że to zwierzęta? Zauważyłem niedawno, że ten nasz wielki dąb wyrósł ponad dach. Może powinniśmy wezwać jakiegoś ogrodnika, żeby przyciął gałęzie? Na pewno nie zaszkodzi.

- Dobrze. — Martin był przekonany, że na poddaszu ple ni się plaga jakichś złośliwych stworzeń, ale wiedział, że po wizycie Kevina nie powinien się co do tego na głos upierać.

Zdawał sobie sprawę, że istnieją dwie równoległe rzeczywistości: prawdziwa i emocjonalna. W przeszłości starał się to tłumaczyć, ale Robert nie był w stanie zrozumieć i niezmiennie zaczynał rozmowę o leczeniu, na domiar złego w poważny, niemal protekcyjny sposób. Martin przestał szorować, przyjrzał się parkietowi, po czym zamknął oczy i poradził się własnych uczuć. Pragnienie czyszczenia zostało zaspokojone. Wstał i podniósł wiaderko i szczotkę.

- Jak idzie praca nad książką? - spytał Roberta.

- Dobrze. Wybieram się dziś do Królewskiego Towarzystwa Medycznego. Pomagam doktorowi Jellife z tekstem omawiającym wszystkich pochowanych na Highgate lekarzy.

- Zapowiada się pyszna zabawa - powiedział ze smutkiem Martin.

Na liście rzeczy do których tęsknił najbardziej, praca w bibliotece plasowała się na jednej z czołowych pozycji. Robert otworzył usta, by coś powiedzieć, i się rozmyślił.

- Pozdrów ode mnie doktora - podjął Martin. — I, na litość Boską, poznaj wreszcie te dziewczyny.

Robert uśmiechnął się i obdarzył sąsiada tajemniczym spojrzeniem.

- Okej, zaraz się za to wezmę.

Zostawił Martina w mieszkaniu. Na pierwszym piętrze stanął przed drzwiami i spojrzął na małą wizytówkę z nazwiskiem Elspeth. Uniósł rękę, by zapukać, zrezygnował i poszedł do siebie.



## PRIMROSE HILL

Był szary i zimny dzień. Zbierało się na deszcz. Bliźniaczki szły przez Primrose Hill. Kuliły się z chłodu, a wysiłek wchodzenia pod górę zaróżowił im policzki. Julia kupiła sobie w jednej z księgarni w Oxfam książkę zatytułowaną *Super-miniaturowy słownik angielskiego slangu* i teraz co jakiś czas do niego zaglądała.

- Burczybrzuch? - rzuciła.

Valentina zastanawiała się przez chwilę.

- To coś do jedzenia. Zapiekanka z wołowiny i cynaderek?

- Nie, zapiekanka to zapiekanka.

- No to może jakaś potrawka?

- Zasmażana kapusta z ziemniakami - wyjaśniła Julia. -

O, to jest dobre: bajdurzyć.

- Opowiadać bzdury.

- Bardzo dobrze. Piątka z plusem dla Myszki. Teraz ty. - Julia podała słownik Valentinie.

Siostry dotarły na szczyt wzgórza. Przed nimi rozpościerał się Londyn. Nie miały o tym pojęcia, ale w miejscu, w którym się zatrzymały, często zwykł przystawać Winston Churchill, kiedy rozważał strategię prowadzenia drugiej wojny światowej. Dziewczyny poczuły się rozczarowane widokiem. Chicago sprawiało wstrząsające wrażenie. Jeśli weszło się na najwyższe piętro wieżowca John Hancock

Center, dostawało się zawrotów głowy i widziało pełne wielkich budynków miasto i bezmiar wody. Stojąc na Primrose Hill, zobaczyły ogołocony w lutym z liści Regent's Park i - w oddali - rój otaczających go niskich budowli.

- Cholernie tu zimno - rzuciła Julia, objęła się rękami i zaczęła podskakiwać w miejscu.

- Nie używaj słowa „cholernie”. To przekleństwo. - Valentina zrobiła

- Okej. Piekielnie tu zimno. Wybitnie tu zimno. A niech to gęś kopnie, jak tu zimno!

Julia puściła się w taniec, polegający na bieganiu w kółko, wykonywaniu dzikich susów i wyskakiwaniu w miejscu w górę, połączonym z wyrzucaniem rąk na boki. Valentina stała ze splecionymi na piersi rękoma i przyglądała się dokazującej siostrze. Julia co chwila na nią wpadała.

- No chodź, Myszko. - Chwyciła ją za skryte w rękawiczkach dłonie i obie zaczęły kręcić się w kółko.

Trwało to kilka minut, aż Valentina dostała zadyszki. Zatrzymała się pochylona, wsparła dłońmi o kolana i głęboko dyszała ze świstem.

- Wszystko w porządku? - spytała Julia.

Valentina pokręciła głową. Spadł jej przy tym kapelusz, który siostra natychmiast włożyła jej z powrotem na głowę. Jakiś czas potem oddech Valentyny wrócił do normy. Julia miała wrażenie, że mogłaby wbiec na wzgórze i zbiec dziesięć razy i wciąż byłaby mniej zmęczona od bliźniaczki, która ledwie żyła po kilku minutach tańca.

- A teraz? W porządku?

- T a k .

Ruszyły w dół wzgórza. Wiatr ustał niemal natychmiast. Valentina poczuła, jak skurcz płuc ustępuje.

- Powinnyśmy rozejrzeć się za lekarzem.

- T a k .

Następne kilka chwil szły w milczeniu, powtarzając w myślach dokładnie to samo: „Obiecałyśmy mamie, że doktora znajdziemy natychmiast po przyjeździe i nie będziemy czekać, aż Valentina będzie wymagała nagłej interwencji. Choć przecież mieszkamy tu ledwie sześć tygodni, to nadal jest jeszcze »natychmiast po przyjeździe«. Poza tym, zaraz u podnóża Highgate Hill znajduje się szpital i gdyby stało się cokolwiek złego, mogłybyśmy się tam zgłosić. Tyle że nadal nie jesteśmy ubezpieczone, i musiałybyśmy o wszystkim powiedzieć mamie i tacie. Ale jak się rozeznąć w tym całym National Health Service? Może mógłby nam pomóc ten prawnik, który zajmował się testamentem ciotki Elspeth”.

- Powinnyśmy zadzwonić do pana Roche - odezwały się dokładnie w tym samym momencie i wybuchnęły śmiechem.

- Raz, dwa, trzy, moje szczęście - rzuciła Julia.

- Już mi lepiej - stwierdziła Valentina.

Nagle doznała częstego ostatnio poczucia bycia obserwowaną. Czasami, tak jak na szczycie wzgórza, znikало. Obróciła się i rozejrzała bacznie, ale na ulicy były zupełnie same, z wyjątkiem młodej kobiety, pchającej przed sobą dziecięcy wózek. Otaczały je puste oblicza pozamykanych domów o zasłoniętych oknach. Bliźniaczki zeszły schodkami na ścieżkę biegnącą wzdłuż Regent's Canal. Woda w kanale była spokojna, na obu brzegach wytyczono wygodne dróżki. Domy, widoczne w dziwacznej perspektywie, wznosiły się nad siostrami, zupełnie jakby bliźniaczki szły pod powierzchnią przezroczystej jezdni. Sporadycznie spadały z nieba grube i zimne krople deszczu. Valentina co chwila oglądała się za siebie. Na rowerze, nie poświęcając

dziewczynom nawet jednego spojrzenia, przejechał jakiś nastoletni chłopiec. Ktoś inny szedł równym tempem z nimi na chodniku powyżej. Valentina wyraźnie słyszała kroki, chrzęst żwiru.

- O co chodzi? - Julia zauważyła niepokój Valentyny.

- Wiesz o co.

Julia już miała powiedzieć to samo, co od wielu dni w takich sytuacjach powtarzała: „Ty chyba jednak oszalałaś, Myszek”. Nagle jednak odgłos kroków dotarł i do niej. Spojrzała w górę. Ze ścieżki było widać tylko mur, barierkę i domy. Zatrzymała się. Valentina zamarła mgnienie oka później. Kroki rozlegały się w dalszym ciągu: raz, dwa, trzy, cztery, po czym ucichły. Przedtem woda wzmacniała ich echo, teraz fale chlupocące o cementowe brzegi kanału sprawiały, że głośny stał się sam brak kroków. Bliźniaczki stały, patrząc sobie w oczy, z lekko pochylonymi głowami, by wychwycić nawet najcichszy dźwięk. Czekwały one i czekał też ów ktoś. Po jakimś czasie dziewczyny odwróciły się i ruszyły tą samą drogą, którą tu przyszły. Kroki rozległy się ponownie, ucichły na moment, po czym ktoś podjął wędrówkę, a kroki zaczęły słabnąć w oddali.

Siostry dotarły do schodków. Wspięły się na ulicę. Blisko jej drugiego krańca zobaczyły malejącą sylwetkę śpiesznie idącego mężczyzny w długim płaszczu. Valentina zamarszczyła brwi.

- Chcesz wracać do domu? - spytała Julia.

Tak, ale nie do tego, o którym myślisz, przemknęło Valentinie przez myśl.

- Nie. - W mieszkaniu nieprzyjemne uczucie bycia obserwowaną stawało się jeszcze silniejsze. - Chodźmy do muzeum Victorii i Alberta. Obejrzymy stroje królowej Karoliny.

- Okej - zgodziła się Julia i wyciągnęła przewodnik. Przystanęła.

Valentina wciąż się rozglądała, ale cokolwiek ją śledziło, zniknęło.

Elsbeth miała wrażenie, że znalazła się na progu przełomu. Od jakiegoś czasu bardzo poważnie zastanawiała się nad straszaniem. Istnieje pewna równowaga między jego estetyczną i praktyczną stroną. Dotąd traciłam czas, próbując robić to samo, co robią żywi. Przesuwałam przedmioty i tak dalej. Ale potrafię przecież robić rzeczy niedostępne tym po drugiej stronie: umiem latać, przenikać przez ściany i psuć telewizory. Nie jestem materialna, więc muszę składać się z energii. Zaczęła żałować, że nigdy nie poświęcała szczególnej uwagi fizyce. Większa część jej wiedzy z przedmiotów ścisłych pochodziła z teleturniejów i krzyżówek. Skoro jestem energią, to co z tego wynika? Nie rozumiała też, z jakiego powodu Valentina okazała się wrażliwa na jej obecność, a Julia zupełnie jej nie zauważała. Niemniej, zdwoiła wysiłki: krążyła za Valentyną po całym mieszkaniu, włączała i wyłączała światło. Dziewczyna skarżyła się siostrze na starzejącą się instalację elektryczną i martwiła się ewentualnością pożaru. Gdy bliźniaczki wychodziły z domu, Elspeth ćwiczyła: próbowała rzucać cień, uczyła się unosić rachunek z Tesco o kilka cali nad blatem stołu w jadalni (nie udawało się jej ani jedno, ani drugie). Wyobrażała sobie wielkie osiągnięcia: pozrzucam z półek wszystkie książki, powybijam szyby w oknach, zagram na fortepianie. Była jednak zbyt słaba, by wydobyć z instrumentu choć jeden dźwięk. Chodziła po klawiaturze, deptała ją swymi żółtymi

martensami tak mocno jak tylko potrafiła. Klawisze ustępowały na kilka milimetrów; wydawało się jej, że słyszy nikiły szept strun, lecz nie zagrała ani jednego dźwięku. Lepiej poszło z drzwiami; o ile zawiasy były dobrze naoliwione, mogła je zamykać, napierając z całej siły plecami.

Ćwiczyła dalej. Gdybym za życia zajmowała się rozwojem fizycznym tak usilnie jak po śmierci, byłabym w stanie podnieść mini coopera. Efekty przychodziły powoli, ale wyraźnie. Najbardziej wymierne skutki odnosiło jednak coś zaskakująco prostego: wpatrywanie się w Valentineę.

Dziewczynie się to nie podobało. Co więcej, Elspeth miała wrażenie, że Valentina odbiera jej nastrój. I nawet kiedy próbowała promieniować radością i uśmiechem, Valentina wpadała w niepokój. Rozglądała się, wstawała i wychodziła do innego pokoju, odkładała książkę, przenosiła filiżankę z herbatą gdzie indziej. Niekiedy zjawa pozwalała jej uciec, innym razem uparcie szła za nią. Z czystego poczucia uczciwości Elspeth wpatrywała się też w Julię, ta jednak była na nią całkowicie niewrażliwa.

Pewnego ranka nawiedziła je przy śniadaniu, w jadalni. Gdy weszła, Valentina mówiła właśnie:

- ...nie wiem. To coś jakby duch, wiesz, jakbym czuła czyjaś obecność. Jakby ktoś był tuż obok. - Rozejrzała się po zalanym promieniami słońca pokoju. — Teraz też tu jest, a jeszcze minutę temu było zupełnie normalnie.

Julia przechyliła głowę i znieruchomiła, starając się wyczuć ducha. Po chwili pokręciła głową.

- N i c .

Zrób coś, myślała Elspeth. Czuła przypływ silnych emocji, ponieważ Valentina użyła słowa „duch”. Podeszła do krzesła Julii i pochyliła się, objęła ją ramionami i złożyła dłoń tuż nad jej sercem.

- Jezu! - zawołała Julia.

Elspeth puściła. Dziewczyna objęła się rękoma i zadrżała.

- Co się stało? - spytała zdenerwowana Valentina.

- Po prostu nagle zrobiło się tu superzimno. Nie czujesz?

Valentina pokręciła głową.

- To właśnie duch - stwierdziła.

Elspeth przeciągnęła palcami po ramieniu Valentiny. Bała się ją objąć, tak jak Julię; nie była pewna, czy zniosłoby to słabe serce dziewczyny. Valentina potarła łopatkę.

- Zupełnie, jakby wiał jakiś przeciąg.

Obie dziewczyny siedziały w skupieniu.

Teraz albo nigdy. Elspeth rozejrzała się po jadalni, szukając czegoś delikatnego, co mogłaby poruszyć. Udało się jej leciutko zagrzechotać łyżeczką o filiżankę. Bliźniaczki zauważyły to, wymieniły się spojrzeniami, po czym znów wbiły wzrok w naczynie. Zjawą zapaliła światła w wiszących na ścianie kinkietach. Przez okna jednak wpadało ostre słońce i siostry niczego nie zauważyły, więc powróciła do dzwonięcia łyżeczką.

- No i? - rzuciła Valentina.

- Nie wiem - odparła Julia. - Co ty myślisz?

Muszę ją jakoś uspokoić, pomyślała.

- Tu dzieje się coś dziwnego.

- Duchy?

Valentina wzruszyła ramionami.

Elspeth poczuła się świetnie: jesteśmy już tuż-tuż.

- To coś jest szczęśliwe - stwierdziła Valentina.

- Skąd wiesz? - zapytała Julia.

- Dlatego że nagle ogarnęło mnie zadowolenie, choć sama nie jestem szczęśliwa. Jakby to uczucie przyszło z zewnątrz.

- Przynajmniej wiemy, że to nie jest zły duch. Wiesz, nie taki jak w tym filmie, w „Duchu”, tym w którym zbudowali dom na cmentarzu - powiedziała Julia i obrzuciła siostrę powątpiewającym spojrzeniem.

- Myślisz, że to mogło przyjść z cmentarza? - Valentina wyobraziła sobie mglistą, oślizłą istotę, wspinającą się na cmentarny mur, potem na ściany budynku i zakradającą się do ich mieszkania. - Och... - Podniosła się, w pełnej gotowości do ucieczki.

- To nie jest normalne - rzuciła Julia. - Chodźmy stąd. - Wyraźnie widziała, że Mysze odbija. Lepiej będzie czymś ją zająć, znaleźć się na świeżym powietrzu.

- Wychodzimy, duchu - oświadczyła Valentina. — Nie idź za nami, proszę. Nie cierpię, kiedy to robisz.

O czym ty mówisz? Przecież ja nie mogę opuścić mieszkania. Elspeth patrzyła na ubierające się bliźniaczki, po czym odprowadziła je do drzwi.

- Cześć, duchu - pożegnała się Valentina nabrzmiałym wrogością głosem i zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem Elspeth, która bardzo się starała nie brać tego do siebie.



## MAŁY KOTEK ŚMIERCI

Następnej nocy spadł śnieg. Valentina i Julia szły ostrożnie oblodzoną ścieżką, prowadzącą z South Grove do Vau-travers. Warstwa białego puchu miała ledwie pół cala, ale siostry miały na nogach skórzane buty z gładkimi podszewkami, a dróżka była na tyle stroma, że spacer nią bez odpowiedniego obuwia przeradzał się w prawdziwą przygodę. Rozmawiały, zastanawiając się, czy odśnieżanie tej trasy należy do nich, czy też do ich sąsiadów. Ocieniał je mur kościoła Świętego Michała. Nocne niebo nad ich głowami było bezchmurne; idealnie okrągły księżyc i śnieg przeobraziły Highgate Village w połyskującą krainę czarów. Julia paliła papierosa. Czerwony koniuszek szybował kilka cali od jej zalanej mrokiem twarzy, podskakując w rytm kroków, by po chwili opuścić się łagodnym łukiem, gdy dziewczyna oderwała go od ust i wypuściła dym.

Valentina była niezadowolona; Julia zasmrodzi mi dymem całe łóżko, a rano będzie mieć cuchnący oddech. Nie odezwała się jednak słowem. Doszła do wniosku, że jeśli będzie narzekać, siostra zacznie palić bez przerwy, tylko po to, by ją drażnić. Dokładnie w tej samej chwili Julia zaciągnęła się zbyt mocno i zakasłała. Musiała się zatrzymać. Valentina spojrze-  
białe stworzenie, prędko wspinające się pośród bluszczu na

kościelny mur. Zwierzę było rozmiarów wiewiórki. Dziewczyna zastanowiła się, czy w Londynie żyją białe wiewiórki. Zaraz potem pomyślała o duchu i ścisnęła ją w gardle. Stworzenie dotarło do krawędzi i zatrzymało się tuż przed nią, jakby wyczuło, że jest obserwowane. Julia przestała kaszleć i się wyprostowała.

- Spójrz - powiedziała Valentina i wskazała palcem.

Biała istota wyszła wreszcie na mur i kiedy stanęła, siostry zrozumiały, że widzą kota, małego kotka. Kociak przeciągnął się i usiadł. Popatrzył na nie z góry, z wyraźną pogardą dla ich niższego położenia. Mur miał piętnaście stóp wysokości, więc kot wydawał się zarazem mały i absurdalnie nie na miejscu.

- Rany - rzuciła Julia. - To koty tak potrafią? Wspiął się jak mała.

Valentina przypomniała sobie białego tygrysa, którego oglądały kiedyś w cyrku. Dziki kot położył łapę na ramieniu swego opiekuna tak łagodnie, jakby chciał z nim zatańczyć. A potem przeszedł swobodnie po linie rozpiętej dziesięć stóp nad ziemią.

- To Nieśmiertelny Kotek - powiedziała Valentina. - Myślisz, że mieszka na cmentarzu?

- To Mały Kotek Śmierci - poprawiła Julia. - Cześć, Mały Kotku Śmierci!

Zaczęła z siebie wydawać dźwięki, którymi w jej mniemaniu woła się kociaki — tsk, tsk, tsk — ale zwierzątko tylko się otrząsnęło i zeskoczyło za mur. Dziewczyny usłyszały szelest bluszczu.

Gdy dotarły do domu, Valentina wystawiła na balkon starą, wyszczerbioną filiżankę z mlekiem i talerzyk tuńczyka. Julia zauważyła to następnego ranka przy śniadaniu.

- A to po co?

- Dla Małego Kotka Śmierci. Chcę, żeby do nas przyszedł.

Julia wywróciła oczami.

- Raczej ściągniesz nam na głowy stado szopów. Albo lisy.

- One chyba nie potrafią się wspinać.

- Szopy wejdą wszędzie - skwitowała Julia, przeżuwając tosta z masłem.

Mleko i tuńczyk zostały na swoim miejscu przez cały dzień. Poczęstunek przywabił kilka ciekawskich ptaków. Valentina kilka razy przychodziła ukradkiem do jadalni, by sprawdzić, czy jakieś stworzenie skorzystało z uczyty, ale aż do obiadu filiżanka i talerzyk pozostały nietknięte.

- Jeśli będziesz to tam tak długo trzymać, przyjdą mrówki - stwierdziła Julia.

- Jest zima. Mrówki śpią — odparła Valentina.

Nieco później wylała mleko do zlewu, umyła filiżankę i nalała świeżą porcję; podobnie uczyniła z tuńczykiem. Ustawiła naczynia na miejscu i poszła do łóżka.

Następnego dnia rano otworzyła drzwi balkonu i z zadowoleniem zauważyła, że nocą urzędowało tam jakieś stworzenie: tuńczyk zniknął, a mleka było o połowę mniej niż wieczorem. Usunęła talerzyk i filiżankę, zanim pojawiła się Julia. W nocy napełniła je ponownie, wyniosła na balkon, zgasiła światło i usiadła na podłodze. Czekwała.

Słyszała przechadzającą się po mieszkaniu siostrę. Z początku po prostu rozbierała się, myła twarz i zęby. Potem zaczęła szukać.

- Myszko? - Kroki Julii rozległy się w korytarzu i w przedpokoju. — Myszko?

Valentina milczała, jakby bawiła się z bliźniaczką w chowanego. Julia znalazła się przed drzwiami jadalni. Ciepło, ciepło.

- Myszko? Gdzie jesteś? - Otworzyła drzwi i spostrzegła siedzącą w plamie księżycowej poświaty Valentinę. Gorąco. — Co ty wyprawiasz?

- Cii. Czekam na kotka - szepnęła dziewczyna.

- Och, czy ja też mogę? - Valentina zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, by szept Julii rozlegał się jeszcze głośniej niż jej zwykły głos.

- Okej - odparła Valentina - ale musisz siedzieć zupełnie cicho.

Czekały ramię w ramię. Żadna nie miała przy sobie zegarka. Mijał czas.

Julia wyciągnęła się na podłodze i zasnęła. W jadalni było chłodno, a na deskach jeszcze zimniej. Miała na sobie spodnie od dresu i koszulkę z nadrukiem zespołu Wilco, którą ukradła Luke'owi Brennerowi — chłopakowi, w którym dużyła się w liceum. Valentina pomyślała, że powinna przynieść siostrze poduszkę i koc. Musiało jej być niewygodnie. Sama była ubrana, ale zmarzły jej dłonie, stopy i nos. Postanowiła zrobić sobie herbatę. Podniosła się i wyszła z pokoju.

Kiedy wróciła z kubkiem, poduszką i kocem, Julia już nie spała. Na widok bliźniaczki przytknęła palec do ust. Valentina usłyszała szelest, jakby coś przedzierało się przez zeschnięte liście. Usiadła na podłodze, tuląc do siebie poduszkę. W milczeniu odstawiła herbatę.

Julia popatrzyła na siostrę, której oczy lśniły w półcieniu. Valentina nie umyła dziś głowy i włosy zwisały jej strąkami. Oddychała głęboko, skupiona na filizance i talerzyku. Julia uśmiechnęła się i też skoncentrowała się na naczyniach. Uwielbiała, gdy Valentina pragnęła czegoś tak gorąco.

Dźwięki zbliżyły się i ustały. Bliźniaczki trwały w bezruchu. Wszystko zamarło i nagle z muru zeskoczył na balkon biały kotek.

Był mały i chudy. Pod jego skórą były widoczne żebra. Uszy miał olbrzymie jak u nietoperza. Futerko matowe i krótkie. Nie wyglądał jednak żałośnie; wydawał się raczej przepełniony determinacją. Nie było w nim nic szczególnie nadnaturalnego. Nie tracąc czasu, podbiegł do talerzyka i zaczął pochłaniać tuńczyka. Siostry widziały jego pracujące boki. Valentynie przypomniała się meduza, którą znalazła kiedyś na plaży na Florydzie. Kotek był tak chudy, że miała wrażenie, że widzi jego narządy wewnętrzne. To chyba jest samiczka. Dziewczyna patrzyła na zwierzątko oczarowana.

Kociak skończył posiłek, usiadł i zaczął się myć. Rzucił na nie przelotnym spojrzeniem (a przynajmniej w ich stronę, bo Valentina nie była pewna, czy je rzeczywiście zauważył; księżyc odpłynął i w jadalni zapanowała noc). Po chwili kot zeskoczył z balkonu i umknął pośród szelestu liści.

Julia uniosła wyprostowaną dłoń i siostra przybiła jej piątkę.

- To było naprawdę super, Myszek. Będziemy go dalej karmić?

Valentina się uśmiechnęła.

- Myślę, że to kotka. Przygarnę ją. Ani się obejrzysz, a będzie nosić obróżkę i siadać mi na kolanach.

- A le nie masz wrażenia, że ten kot jest trochę... dziki? Co będzie, jeśli nie umie się załatwiać do kuwety?

Valentina spojrzała ostrzej na siostrę.

- To jeszcze mały kociak. Nauczysz się.

Sytuacja powtarzała się przez kilka następnych nocy. Valentina wybr...

karmę dla kotów i kuwetę. Każdego wieczoru siadała i cierpliwie czekała na pojawienie się Małego Kotka Śmierci. Zwykle zachowywała spory dystans od drzwi balkonu i ograniczała się do obserwacji. Po pięciu tak spędzonych dniach, zostawiła drzwi lekko uchylone i spróbowała zachęcić kociaka do wejścia. Zwierzątko jednak uciekło i Valentina musiała zacząć od początku. Kotek był naprawdę dziki i niechętny do współpracy.

- Coś mi się wydawało, że miał ci siadywać na kolanach - przedrzeźniała siostrę Julia.

- Jak jesteś taka mądra, to sama spróbuj - odparła Valentina.

Julia przemyślała sprawę i następnej nocy pojawiła się w jadalni ze szpulką nici, które znalazła w przyborniku Elspeth. Odczekała, aż kotka skończy jeść, po czym wyturlała szpulkę na zewnątrz. Kotek przyjrzał się jej podejrzliwie. Julia pociągnęła lekko za nitkę. Zwierzak nieśmiało wyciągnął łapkę. Po chwili gonił szpulkę po całym balkonie, szaleńczo za nią skacząc i czekając na kolejne szarpnięcia. Gdy jednak Julia wciągnęła szpulkę do pokoju, kotka uniosła wzrok, zauważyła dziewczynę i umknęła z balkonu, kryjąc się natychmiast w bluszczu.

- Całkiem pomysłowo — pochwaliła Valentina, choć w głębi ducha czuła zadowolenie, że kot nie przyszedł do Julii. Z drugiej jednak strony w tej chwili zależało jej na przygarnięciu zwierzęcia tak bardzo, że podobna „zdrada” nie miałyby większego znaczenia.

W efekcie to nie Julia ani nie Valentina przywabiły Małego Kotka Śmierci do domu. Pewnej wtorkowej nocy, pod koniec lutego, Valentina szykowała jedzenie dla podopiecznej i zmagala się właśnie z drzwiami jadalni, trzymając w rękach tacę, gdy usłyszała szelest bluszczu. Balkon był uchylony,

chłodny powiew wpływał do pokoju. Na balkonie doka-  
zywał kotek. Szpulka toczyła się wte i wewte, pociągana  
niewidzialną ręką: raz znajdowała się tuż poza zasięgiem  
kociej łapy, raz pozwalała się jej pochwycić. Valentina za-  
marła. Nie wtoczyła się między drzwi i próg i zachęcająco  
zadrgała. Kotka się zawahała. Wreszcie zebrała się na od-  
wagę i skoczyła. Rozpęd posłał zwierzaka w głąb jadalni.  
Drzwi - same - zamknęły się tuż potem.

Valentina i kotka zmierzyły się równie wstrząśniętymi  
spojrzeniami. Doszły do siebie w tej samej chwili. Zwie-  
rzątko zaczęło biegać po całym pokoju, rozpaczliwie szuka-  
jąc drogi ucieczki, drapało pazurami parkiet. Dziewczyna  
zatrzasnęła drzwi i zaparła się o nie plecami.

- Kto tam? - rzuciła. Chciała odezwać się swoim zwy-  
kłym tonem, ale słowa dobyły się jej z gardła piskliwie. -  
Kto tu jest?

Szpulka leżała nieruchomo na podłodze. Wszystko w po-  
mieszczeniu czekało w bezruchu, z wyjątkiem kotki, która  
zdjęta paniką wcisnęła się pod narzutę otomany i zniknęła.  
Valentina stała i nasłuchiwała, lub raczej starała się czuć ja-  
dalnię całym swoim ciałem, by stwierdzić, czy poza nią jest  
tu ktokolwiek. Drżała jednak za bardzo i nie docierało do  
niej nic poza chłodem powietrza i strachem kociaka. Wtedy  
coś nacisnęło drzwi z drugiej strony. Dziewczyna osłabła.

- Myszko? - To tylko Julia. Valentina odetchnęła głębo-  
ko i uchyliła drzwi.

- Wchodź, prędko.

Julia wśliznęła się przez sześciocalową szczelinę i zamknę-  
ła drzwi za sobą.

- Złapałaś ją? - zapytała, rozpromieniona.

- Nie - odparła Valentina. - Duch ją złapał. - Spodziewa-  
ła się zobaczyć w oczach siostry pogardę, ale Julia przyjrzała

się jej uważnie i zobaczyła, że Myszka cała się trzęsie. Julia włączyła światło i jadalnię wypełnił słaby blask zyrandola.

- Chodź do mnie - poleciła Julia, odsuwając krzesło. Valentina usiadła. Julia rozejrzała się po pokoju. - Skoro złapał ją duch, to gdzie ona jest?

- Pod otomaną.

Julia opadła na podłogę i stojąc na czworakach, ostrożnie uniosła rąbek narzuty. Ujrzała małe zwierzątko o jarzących się zielonych oczach. Kot szczyrzył zęby i syczał.

- Ty się nią zajmij - stwierdziła dziewczyna.

Valentina się uśmiechnęła.

- Masz, postaw jej tam tuńczyka. Może wyjdzie do jedzenia.

Julia posłuchała.

- Hej - odezwała się - ale jak mógł to zrobić duch? - Swoją niewiarę w istnienie sił nadprzyrodzonych postanowiła na chwilę odsunąć na bok. Poza tym podobała się jej idea zjawy, która mogła się okazać pożyteczna.

- Zabrał się do tego zupełnie tak samo jak ty, ale kotek go nie widział, więc wskoczył do środka, a wtedy duch zamknął drzwi.

- Czyli on nas obserwuje? - Wbrew sobie Julia zaczynała się bać. - Bo inaczej, skąd wiedziałaby, że chcesz mieć tę kotkę? Nici zostawiłaś tutaj ty czy były w przyborniku?

- Nie, szpulka była cały czas tutaj.

- Hmm.

Julia zaczęła się przechadzać po pokoju z rękami założonymi za plecami. Valentinie przypomniał się film o Sherlocku Holmesie, który oglądały w dzieciństwie niezliczenie wiele razy na Kanale Dziewiątym. Holmes bez przerwy w ten sposób chodził. Podświadomie spodziewała się zaraz usłyszeć: „Ależ to elementarne, mój drogi Watsonie”, lecz



zamiast tego Julia usiadła na podłodze i, marszcząc brwi, spojrzała na otomanę.

- Myślisz, że duch wciąż tu jest?

Valentina rozejrzała się po jadalni. Pokój był pusty, duch nie miał zbyt wielu kryjówek.

- Chyba tak - odpowiedziała - ale ten duch jest przede wszystkim wrażeniem. Przynajmniej był do dzisiejszej nocy. Nie pokazał się nam przecież. A w tej chwili go nie wyczuwam.

Elsbeth stała na stole. Miała na sobie niebieską, szyfonową suknię koktajlową. Wysokie szpilki i kabaretki. Bardzo się cieszyła, że może spacerować po gładkim drewnie blatu, nie niszcząc go ostrymi obcasami. Była też ogromnie zadowolona z faktu schwywania kota i z tego, że Valentina widziała ten moment na własne oczy. Zrobiłam to! Udało mi się, myślała. Teraz muszą we mnie uwierzyć.

Mały Kotek Śmierci siedział wściekły pod otomaną. Wiedział, że tuńczyk jest bardzo blisko, ale nie chciał nikomu dać satysfakcji i pokazać się przy jedzeniu. Chwilę potem Julia znudziła się obserwacją i poszła do łóżka. Valentina ustawiła w jadalni kuwetę, w nadziei że kociak nie zasika całego pomieszczenia. Wyłączyła światło i w ślad za siostrą udała się na spoczynek. Elspeth siedziała na stole i czekała.

„Kici, kici, kici” - odezwała się, świadoma, że zwierzątko jej nie usłyszy.

Po półgodzinie całkowitej ciszy, kotek wyszedł spod otomany i się rozejrzał. Okrążył pokój, szukając drogi ucieczki. Elspeth zeskoczyła z blatu i usiadła na kanapie. Chciała uspokoić kota, głaskała go, gdy jadł tuńczyka. Zwierzę nie poczuło niczego.

## WYCIECZKA PO HIGHGATE

Była chłodna niedziela na początku marca. Jessica stała przy wejściu na wschodnią część cmentarza. Przyglądała się turystom, którzy zbierali się przed główną bramą, po zachodniej stronie ulicy. Grupa nie wyglądała na szczególnie interesującą: para Amerykanów w przerażających adidasach, z okazałych rozmiarów aparatami fotograficznymi; cichy, łysiejący okularnik w średnim wieku; trzech młodych Japończyków w workowatych dżinsach i baseballowych czapkach; kobieta pchająca dziecięcy wózek o aerodynamicznych kształtach i tegi facet z olbrzymim plecakiem, przechadzający się sprężyste to w jedną, to w drugą stronę.

Przez Swains Lane przemknął czarny van. Na jego boku, złote, nieco cyrkowe w stylu litery oznajmiały jedynie OD-WAGA.

— Owszem, tego mi potrzeba - mruknęła Jessica i spojrzała na zegarek.

Za piętnaście trzecia. Obejrzała się przez ramię na Kate, korpulentną, miłą wolontariuszkę ze Stanów, która rozmawiała właśnie z kilkoma właścicielami kwater o potrzebie renowacji wschodniego muru Highgate. Jessica wróciła spojrzeniem do turystów przy bramie i zauważyła, że dołączyły do niej dwie dziewczyny, od stóp do głów ubrane w biel. Stały blisko siebie, trzymając się za ręce. Miały na

sobie białe bluzy z obrębnymi futerkami kapturami, białe minispódniczki, legginsy i kozaki. Ich białe, dzianinowe czapki niemal nie odcinały się barwą od włosów. Do Jessiki były zwrócone plecami, ale, nawet nie patrząc, wiedziała, że muszą być bliźniaczkami. Nie wyglądały na więcej niż szesnaście lat. Jakie słodziutkie, pomyślała i zaczęła się zastanawiać, czy siostry mają świadomość, że cmentarne alejki są pełne kałuż i błota.

Julia i Valentina czekały przed bramą, przestępując z nogi na nogę. Dygotały z zimna. Julię zdziwił brak ludzi; na cmentarzu było zupełnie cicho. Za bramą widziała placyk i otaczającą go półkolem Kolumnadę. Dolatywał ją głos toczony przez krótkofalówkę rozmowy, ale nie zauważyła nikogo, kto mógłby ją prowadzić. Po przeciwnej stronie ulicy rozciągała się druga część nekropolii, ta na której pochowano Karola Marksa. Wyglądała na bardziej przestrzenną, prawie jak zwykłe amerykańskie cmentarze. Według przewodnika, o wiele ciekawiej prezentowała się jednak część zachodnia, którą można było zwiedzać wyłącznie w zorganizowanych wycieczkach. Zresztą, to właśnie na nią wychodziły okna bliźniaczek.

Jessica przeszła przez Swains Lane, wyminęła niewielki tłumek i otworzyła masywną bramę. Była ubrana w fiolety i ciemne róże. Na głowie miała kapelusz, którego natychmiast pozazdrościła jej Valentina - szerokie filcowe rondo z wciśniętym za tasiemkę rozkołysanym czarnym piórem. Siostronom od razu skojarzyła się z kimś z rodziny królewskiej - być może to jakaś księżna przybyła tego popołudnia na cmentarz, by przeciąć wstęgę lub odwiedzić grób ukochanego, a potem postanowiła zostać i pomóc pracownikom. Gdy kobieta w kapeluszu się odezwała, wrażenie wcale nie zniknęło.

- Zapraszam uprzejmie, moi drodzy. Czy wszyscy zapoznali się już z zasadami? Znakomicie, proszę byście wszystkie bagaże pozostawili w biurze. Szalenie mi przykro, ale do zachodniej części cmentarza nie mają wstępu dzieci poniżej ósmego roku życia. Fotografować można jedynie na użytek własny. Tędy proszę, proszę bardzo, rozgośćcie się państwo po drugiej stronie dziedzińca, przed pomnikiem ofiar wojny. Za chwilę się wami zaopiekujemy...

Bliźniaczki usiadły na ławce i posłusznie czekały.

Robert wyszedł z biura z pudełkiem na bilety w dłoni. Był rozkojarzony, myślał o haśle z krzyżówki, które właśnie przeczytał mu James. Dołączył do Jessiki i razem przeszli przez placyk. Zobaczył siostry i poczuł skurcz żołądka. Wrażenie było podobne do tremy. Dopiero po chwili zrozumiał, że to poczucie winy.

- Nie bierz od nich pieniędzy - poprosił Jessicę, wskazując dziewczyny.

- A to dlaczego?

- One są właścicielkami jednej z kwater.

- Oczywiście... ale... Ach! - Przyjrzała mu się uważniej. - Rozumiem. - Ruszyli dalej. — Dasz sobie radę? Mogłabym poprosić Kate...

- Nie bądź niemądra. Przecież kiedyś muszę je poznać.

Bliźniaczki przyglądały się nadchodzącej parze. Julia trąciła siostrę łokciem.

- Czy to nie ten facet, z którym rozmawiałaś w metrze? - spytała szeptem.

Valentina skinęła głową. Obserwowała Roberta, który przedzierał bilety, Jessicę pobierającą od każdego z turystów po pięć funtów. Dziewczyny siedziały na samym końcu. Jessica przyjęła pieniądze od pary Amerykanów i puściła do nich oko. Julia wyciągnęła dłoń z dziesięciofuntowym

banknotem, ale kobieta tylko pokręciła głową i uśmiechnęła się. Amerykanka rzuciła im niezadowolone spojrzenie. Julia ścisnęła mocniej dłoń Valentyny.

- Witamy na cmentarzu Highgate - zaczęła Jessica. - Robert będzie waszym przewodnikiem. To jeden z naszych najlepszych znawców tematu. Jest historykiem zajmującym się epoką wiktoriańską i kończy właśnie książkę dotyczącą dziejów naszego cmentarza. Wszyscy pracownicy są wolontariuszami, a utrzymanie Highgate, kosztuje rokrocznie sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. - Wskazała zebrany zielone pudełko. - Będziemy państwu niezmiernie wdzięczni za wszelką okazaną nam pomoc - dodała zalotnie.

Robert przyglądał się przebijającym niespokojnie nogami turystom. Jessica złożyła grupie życzenia przyjemnej wycieczki i wróciła do biura. Czuła dziwną ekscytację. Dlaczego? - spytała sama siebie. Wyjrzała przez okno i popatrzyła na Roberta, zbierającego wycieczkę przed Kolumnadą. Stał dwa stopnie wyżej od słuchaczy i mówił, żywo przy tym gestykułując. Z miejsca, w którym się zatrzymali, turyści nie widzieli nic poza zielenią i kamiennymi schodami. Te dziewczyny wyglądają zupełnie jak Elspeth, pomyślała Jessica. Jakież zdumiewające bywa życie. Mam nadzieję, że on sobie z tym poradzi. Jest taki blady...

Robert tymczasem próbował zebrać myśli. Miał wrażenie, że ogląda sam siebie, jakby rozdzielił się na dwóch Robertów, z których jeden spokojnie oprowadza wycieczkę, a drugi, oniemiały ze zdenerwowania, stara się wymyślić co powiedzieć bliźniaczkom. Cholera, ktoś mógłby pomyśleć, że masz siedemnaście lat, złajał się w duchu. Nie musisz odzywać się do nich pierwszy. One to zrobią.

- Na początku dziewiętnastego stulecia - zaczął - londyńskie cmentarze wprost pękały w szwach. Mieszkańcy

wciąż kultywowali zwyczaj chowania zmarłych przy kościołach. Do miasta tłumnie przybywało jednak coraz więcej przesiedleńców i imigrantów; był to okres rewolucji przemysłowej. Fabryki rozpaczliwie potrzebowały świeżej siły roboczej. Miejsca na grzebanie zmarłych nie było, lecz ludzie, rzecz jasna, nie przestali umierać. W roku tysiąc osiemsetnym populacja Londynu sięgnęła miliona. Do połowy stulecia zwiększyła się ponad dwukrotnie. Kościoły nie nadały za bezlitosną śmiercią. Przykościelne cmentarze stanowiły również poważne zagrożenie dla zdrowia publicznego. Wody gruntowe ulegały skażeniu, co powodowało szerzenie się epidemii tyfusu i cholery. Nie było gdzie kopać nowych grobów, więc, by pochować kolejne rzesze umarłych, ekshumowano starsze zwłoki. Jeśli czytali państwo którąkolwiek z książek Dickensa, wiecie co mam na myśli: wystające spod ziemi łokcie, cmentarni rabusie kradnący ciała, sprzedawane potem akademikom medycznym. W skrócie, w całym interesie zapanowało potworne zamieszanie. W roku tysiąc osiemset trzydziestym drugim parlament uchwalił ustawę zezwalającą na zakładanie prywatnych cmentarzy działających na komercyjnych zasadach. Na przestrzeni następných dziewięciu lat otwarto siedem takich nekropolii, usytuowanych niczym klejnoty wzdłuż pierścienia wyznaczającego ówczesne granice miasta. Cmentarze te znamy obecnie pod nazwą Siedmiu Wspaniałych, są to: Kensal Green, West Norwood, Highgate, Nunhead, Brompton, Abney Park i Tower Hamlets. Highgate rozpoczęło swą działalność w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym i szybko zyskało opinię najbardziej pożądanego miejsca pochówku w Londynie. Dlaczego? O tym przekonamy się, gdy tylko wejdziemy na te schody.

Blizniaczki trzymały się z tyłu grupy, więc na stopniach widziały jedynie nogi pozostałych turystów. Kiedy dotarły na szczyt, Robert stał już otoczony wianuszkami słuchaczy. Siostry zobaczyły gęstą zbieraninę sporych, chylących się ku ziemi nagrobków, na które ze wszystkich stron napierały drzewa i krzewy. Valentina doznała silnego deja vu. Ja już tutaj byłam! Ale nie naprawdę. Może mi się to tylko przyśniło? Tuż nad ich głowami poszybowała wrona, przeleciała przez dziedziniec i przysiadła na szczycie dachu zamienionej w biuro kaplicy. Dziewczyna zastanowiła się, jak to by było tak bezwstydnie latać nad cmentarzem. Zaciekało ją, co ptak może sobie o tym miejscu myśleć. To takie dziwne - kłaść ludzi do ziemi i przykrywać ich kamieniami. Jej samej także nagle wydało się niezwykle, że ludzie zgadzają się na to, by zakopywać ich w pobliżu innych zmarłych.

- Znajdujemy się na szczycie Kolumnady - podjął Robert. - Jeśli spojrzą państwo w stronę, z której przyszliśmy, zobaczą dwie kaplice: anglikańską i odstępców, połączone w jeden budynek, co jest rzeczą dość niezwykłą. Zwiedzimy dziś Cmentarz Zachodni, pierwotną część Highgate. Zajmuje ona siedemnaście akrów, z których dwa zostały wydzielone dla wspomnianych odstępców, czyli na potrzeby baptystów, prezbiterian, sandemian i członków innych protestanckich sekt. Z upływem czasu Highgate stał się tak popularny, że już w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym zaszła potrzeba powiększenia cmentarza i właśnie dlatego Londyńska Spółka Cmentarna zakupiła dwadzieścia akrów ziemi po drugiej stronie Swains Lane, na których stworzono Cmentarz Wschodni. Wyniknął przy tym pewien problem. Msze żałobne wciąż odbywały się w kaplicy anglikańskiej, i nie bardzo było wiadomo, w jaki sposób przetransportować trumnę przez ulicę, nie wynosząc jej

przy tym poza poświęcony teren. Nie można było poświęcić jezdni Swains Lane, więc Wiktorianie uciekli się do typowej dla siebie pomysłowości i wykopano pod ulicą tunel. Po zakończeniu obrządku, trumnę opuszczano pneumatyczną windą, gdzie przejmowali ją tragarze, którzy przenosili ją na wschodnią stronę, a tam wynurzała się ponownie spod ziemi, co stanowiło jednocześnie wzruszającą aluzję do spodziewanego zmartwychwstania.

Jest bardzo zadowolony z siebie, myślała Julia. Zupełnie jakby sam to wszystko wymyślił.

Miała kiepski nastrój. Było jej zimno. Męczyła ją wszechobecna wilgoć. Rzuciła okiem na Valentynę, która z wielkim skupieniem wpatrywała się w przewodnika. Robert powiódł wzrokiem po turystach. Większość z nich trzymała już w pogotowiu aparaty fotograficzne; korciło ich, by pójść dalej, by zacząć wreszcie robić zdjęcia. Pochwycił spojrzenie Valentyny i natychmiast odwrócił się do nagrobka, przy którym się akurat zatrzymali.

- Stoimy przy grobie Jamesa Williama Selby'ego, który w swoim czasie był słynnym stangretem. Uwielbiał powozić szybko i nie bał się jazdy nawet w najcięższych warunkach pogodowych. Bat i róg, które państwo widzicie, to symbole jego zawodu; umieszczona do góry nogami podkowa informuje nas, że jego szczęście znalazło swój kres. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym Selby przyjął zakład, na mocy którego miał przejechać z Londynu do Brighton w mniej niż osiem godzin. Dokonał tego w czasie siedmiu godzin i pięćdziesięciu minut, używając siedmiu zmian zaprzęgu. Wygrał tysiąc funtów, ale zmarł ledwie pięć miesięcy później. Obecnie podejrzewa się, że ten piękny nagrobek został wystawiony właśnie za wygraną. Proszę patrzeć pod nogi, alejki nie są dziś w najlepszym stanie.



Robert odwrócił się i ruszył pod górę. Słyszał kroki wspinających się za nim turystów. Kamienista alejka była podmokła, usiana licznymi wystającymi spod ziemi korzeniami i ziejącymi czernią dziurami. Dolatywały go odgłosy pstrykających migawek. Aparaty szczękały niczym mechaniczne owady. Jego żołądek zaczął się buntować. Ciekawe, czy mógłbym zostawić ich przy Comfort's Corners, schować się w krzakach i zwymiotować? Zmusił się jednak do dalszej drogi. Pokazał grupie gotycki grób z rzeźbionym pustym krzesłem, symbolizującym wiekuiste odejście właściciela. Potem zaprowadził zwiedzających do grobowca sir Loftusa Otwaya - wielkiego, wyposażonego dawniej w ogromne, poziome okna, rodzowego mauzoleum.

- Jeśli spojrzą państwo w dół, zobaczą trumny. Trzeba przy tym pamiętać, że w zamyśle architekta nie chodziło o perwersyjną przyjemność podglądactwa. Wiktorianie nie cierpieli myśli o znalezieniu się sześć stóp pod ziemią i wiele pochówków na naszym cmentarzu zostało dokonanych nad powierzchnią...

Opowiedział im o Towarzystwie Przyjaciół Highgate i o tym jak uratowało ono nekropolię.

- Do pierwszej wojny światowej pracowało tu dwudziestu ośmiu ogrodników. Cmentarz był wówczas schludny, dobrze utrzymany i przestronny. Potem wszyscy sprawni mężczyźni trafili do okopów Europy i od tamtej pory zmieniło się wszystko. Roślinność zaczęła zwyciężać, skończyło się miejsce pod nowe groby, przestały napływać fundusze... Wreszcie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku zachodnia część Highgate została zamknięta na kłódkę i właściwie porzucona na pastwę losu, a także satanistów, wariatów, wandali i Johnny'ego Rottena...

- A kto to taki? - zapytał któryś ciekawski Japończyk.

- Wokalista punkowego zespołu Sex Pistols. Mieszkał nieopodal, w Finchley Park. Właśnie, jak mogli państwo zauważyć, osiedla w bezpośrednim sąsiedztwie cmentarza to raczej drogie i modne okolice. Ich mieszkańcom nie podobało się, że na Highgate dochodzi do bezczeszczenia grobów, krzywo patrzyli również na odwiedzające to miejsce indywidua. Zebrała się więc grupa ludzi, którzy wykupili Highgate za jedyne pięćdziesiąt funtów. Postanowiono wszystko naprawić. To oni wymyślili formułę, którą nazwali „zarządzaniem obiektem zaniedbanym”, co oznacza dokładnie to: z jednej strony nie starali się uporządkować cmentarza i przywrócić mu wiktoriańskiej świetności, a z drugiej nie chcieli również dopuścić do żadnych niebezpiecznych czy gorszących sytuacji. W pewnym sensie jest to teraz muzeum, ale jest to również działająca chrześcijańska nekropolia. - Robert spojrzął na zegarek. Trzeba było ruszać dalej. Nie dalej jak wczoraj Jessica przeprowadziła z nim poważną rozmowę na temat Kończenia Wycieczek we Właściwym Czasie. - Tędy, proszę.

Żwawszym krokiem zaprowadził grupę do Comfort's Corners i rozwinął przed turystami historię życia Elizabeth Siddal-Rossetti. Walczył przy tym z ochotą opowiedzenia im wszystkiego, co sam na jej temat wiedział; musieliby tu zostać na kilka dni, stopniowo padając ze zmęczenia i głodu, podczas gdy on mówiłby i mówił. Oni chcą to tylko obejrzeć, napomniął się. Nie zanudzaj ich zbędnymi szczegółami. Zaciągnął grupę do jednego ze swoich ulubionych grobów - był duży, z płaskorzeźbą przedstawiającą płaczkę siedzącą nocą przy trumnie.

- Zanim nastały czasy nowoczesnej medycyny, dość trudno było stwierdzić, czy dana osoba umarła naprawdę. Dziś może się nam wydawać, że śmierć jest sprawą raczej

oczywistą, ale znamy kilka słynnych przypadków, gdy zmarły nagle siadał i żył dalej jak gdyby nigdy nic. Właśnie przez tego rodzaju opowieści wielu Wiktorian dostawało ataków apopleksji na samą myśl o możliwości pogrzebania żywcem. Rzecz jasna, praktyczne umysły tamtych czasów starały się znaleźć rozwiązanie tego problemu. Wymyślono więc system dzwonek ze sznureczkami, które wpuszczano przez ziemię do grobu. Gdyby ktoś ocknął się w trumnie mógłby pociągnąć za jeden z nich i zadzwonić, informując, że należy go odkopać. Nie zachowały się świadectwa, by ktokolwiek został dzięki takiemu urządzeniu ocalony. Inni z kolei zostawiali w swych testamentach najdziwniejsze życzenia. Gotujący się na śmierć prosili na przykład bliskich o ścięcie głowy, dla pewności.

- A wampiry?

- Co wampiry?

- Słyszałem, że na tym cmentarzu grasuje wampir.

- Nie. Grasowała tu jedynie banda goniących za sensacją idiotów, którzy twierdzili, że widzieli wampira. Z drugiej strony, niektórzy utrzymują, że Bram Stoker wpadł na pomysł napisania *Drakuli* właśnie po obejrzeniu przeprowadzonej na Highgate ekshumacji.

Valentina i Julia wciąż trzymały się z tyłu grupy. Ich wrażenia bardzo się od siebie różniły. Julia miała ochotę odłączyć się od wycieczki i obejrzeć cmentarz na własną rękę. Zwykle uciekała z wykładów i od profesorów, a Robert wywoływał w niej dręczące skojarzenia. Nudzisz, nadymasz się i nic z tego nie wynika. Dalej, dalej, myślała. Valentina także nie śledziła słów przewodnika zbyt pilnie - była przejęta pomysłem, na który wpadła, gdy tylko Jessica wymieniła jego imię. Ty jesteś Robertem Fanshawem. Mężczyzną ciotki Elspeth. To dlatego wiedziałeś jak się nazywamy. Niepokoiło

ją, że obserwował je, nieświadome tego. Powinnam powiedzieć Julii. Rzuciła okiem na siostrę. Nie, lepiej zaczekam. Nie jest w najlepszym humorze.

Robert odwrócił się i poprowadził zwiedzających jeszcze wyżej. Zatrzymał się u wejścia do Alei Egipskiej. Zaczekał na zostającą stale z tyłu parę Amerykanów. Chcieli sfotografować wszystko. Nie uda się wam. Mamy tu pięćdziesiąt dwa tysiące grobów.

- Wow - rzucił jeden z Japończyków, przeciągając dźwięk tak, że zabrzmiał jak „łaaaaaaaaaał”.

Robert uwielbiał dramatyzm tej alei; wyglądała jak scenografia „Aidy”.

- Highgate - podjął - poza tym, że było miejscem pochówku, miało też przynosić odpowiednie dochody. Aby przyciągnąć jak najbogatszych wiktoriańskich zmarłych cmentarz potrzebował więc tego, czego potrzebują wszystkie luksusowe obiekty świata: atrakcji i klimatu. Pod koniec lat trzydziestych dziewiętnastego wieku, po otwarciu Highgate, popularne było wszystko, co kojarzy się z Egiptem i stąd pomysł na Aleję Egipską. Wejście jest wzorowane na jednym z grobowców z Luksoru. Pierwotnie było kolorowe, a sama aleja nie była tak posępna i mroczna. Znajdowała się pod otwartym niebem. Nie było tylu drzew, co w tej chwili... Grobowce w alei mieszczą od ośmiu do dziesięciu ciał. Znajdują się w nich półki, na których składano trumny. Proszę zwrócić uwagę na odwrócone pochodnie - otwory na klucze w zamkach również są odwrócone. Dziury u spodu drzwi to ujścia dla gazów.

- Gazów? - spytał cichy okularnik.

- Rozkładające się zwłoki wydzielają gazy. Dawniej umieszczano w grobowcach świece, które je spalały. Nocą musiało to wyglądać dość upiornie.

Przemierzyli aleję i zatrzymali się u drugiego jej końca. Mimo że dzień był słoneczny, bliźniaczki obejmowały się rękoma, chroniąc się przed chłodem. Robert spojrzął na nie i uderzyło go wspomnienie stojącej niemal w tym samym miejscu Elspeth. Pochyliła wtedy głowę i pozwoliła, by twarz muskały ciepłe promienie. Och, wy... - pomyślał. Turyści czekali, by mówił dalej. Nie patrz na nie, skarcił się. Nie myśl o niej. Przez chwilę wbiął wzrok w ziemię, aż wreszcie się pozbierał.

- Stoimy w Kręgu Libańskim. Dawniej był to najbardziej pożądanym adres cmentarza. Nazwę zawdzięcza olbrzymiemu cedrowi libańskiemu, które to drzewo widzą państwo tam, ponad mauzoleum. Cedr ma obecnie około trzystu lat, ale był imponujący już w chwili otwarcia Highgate. Tereny te należały pierwotnie do biskupa Londynu, a kiedy przygotowywano je pod budowę Kręgu, usunięto ziemię wokół drzewa. Cedr stoi teraz na poziomie, który był wówczas poziomem gruntu. Wyobraźcie sobie wysiłek, jaki musiał towarzyszyć przeniesieniu takiej ilości ziemi za pomocą sprzętu dostępnego w latach trzydziestych dziewiętnastego stulecia. Najpierw stworzono wewnętrzny krąg, który zyskał sobie taką popularność, że dwadzieścia lat później rozpoczęto pracę nad drugim, zewnętrznym. Można przy tym zauważyć zmianę stylu architektonicznego, z egipskiego na gotycki.

Robert oprowadził wycieczkę dokoła. Wcale nie robi się łatwiej, pomyślał. Spojrzął na zegarek i postanowił pominąć kilka kolejnych grobów.

- Tutaj widzimy mauzoleum Mabel Veroniki Batten i jej kochanka, Radclyffe'a Halla... A to jest kolumbarium. Nazwa pochodzi od łacińskiego słowa *columba* oznaczającego „gołębicę” i pierwotnie określała gołębnik... Proszę za mną.

Tędy po schodach... Tak, oto grobowiec George'a Wombwella, słynnego właściciela menażerii. Karierę rozpoczął, kupując od pewnego marynarza dwa boa dusiciele...

Robert nie zatrzymał się przy żonie Henry'ego Wooda, egipskim grobie rodziny Carterów, ani u Adama Wortha, tylko poprowadził turystów wokół szczytu kręgu, skąd rozciągał się wspaniały widok na kościół Świętego Michała. Następnie zapędził ich między Katakumby Tarasowe i olbrzymich rozmiarów grobowiec rodziny Beerów. Bliźniaczki zauważyły, że jest to właśnie ta wielka budowla, którą widać z okna ich sypialni. Cofnęły się, by spojrzeć ponad Katakumbami. Z tego miejsca jednak widać było tylko okna Martina, ich mieszkanie ginęło za murem.

- Julius Beer był niemieckim Żydem. Przybył do Londynu bez grosza przy duszy i dorobił się, grając na giełdzie...

Valentina zaczęła się zastanawiać nad tym, że nigdy dotąd tak naprawdę nie myślała o śmierci. Cementarz w domu, w Lake Forest, był schludny i pełen otwartej przestrzeni. Leżeli tam rodzice Jacka - w skromnej kwaterze, ogrodzonej słupkami z różowego marmuru. Bliźniaczki nie zdążyły poznać ani jednego ze swoich dziadków. Nie znałyśmy nikogo, kto umarł, uświadomiła sobie dziewczyna. Ciężko sobie wyobrazić, że mnie nie ma. Albo, że nie ma Julii... Poczowała się dziwnie samotna. A może to nostalgia? - nie była pewna. Przyjrzała się Robertowi. Ignorował ją; wydawało się, że rozmyślnie skupia spojrzenia na mężczyźnie w okularach. On znał Elspeth. Był jej kochankiem. Mógłby nam o niej opowiedzieć.

- Julius Beer nie mógł wejść do wiktoriańskiej socjety, ponieważ, poza tym, że był obcokrajowcem i Żydem, swój majątek zarobił własnoręcznie, miast go odziedziczyć. Zamiast tego wznosił więc ten nieskromnych rozmiarów

grobowiec, w miejscu, w którym każdy musiał zwrócić na niego uwagę. Jeśli ktoś, zwyczajem ówczesnych dam, przechadza się w niedzielne popołudnie po dachu Katakumb Tarasowych, mauzoleum Beerów ma nieustannie na oku.

Valentina pomyślała o zielonej furtce w murze ogrodu za ich domem. Wyobraziła sobie siebie i Julię, wystrojone w krynoliny, przechadzające się ponad setkami martwych ciał, gnijących w mrocznych, nieprzyjemnych Katakumbach. Ci Wiktorianie to dopiero umieli się zabawić, stwierdziła w duchu z przekąsem.

Robert powiódł ich kolejnymi alejkami przez część cmentarza przeznaczoną dla odstępców; pokazał im nagrobek Thomasa Sayersa, przy którym cierpliwie trzymał straż kamienny pies o imieniu Lion; ominął sir Rowlanda Hilla, wynalazcę Uniform Penny Post. Bez słowa przeszedł obok grobowca rodziny Noblinów. Zatrzymał się dopiero pięćdziesiąt jardów dalej i obrócił się do turystów. Zauważył, że Valentina i Julia zostały z tyłu. Dziewczyny stały ramię w ramię przed grobem Elspeth, rozmawiały. Robert zostawił swoją grupę przed Thomasem Charlesem Druce'em i podbiegł do sióstr.

- Witam - udało mu się powiedzieć.

Dziewczyny zamarły, zupełnie jak króliki czujące na sobie zbyt natarczywe spojrzenie człowieka.

- Robert Fanshaw, prawda? - spytała Valentina.

Jak to? - przemknęło przez głowę zaskoczonej Julii.

Robert poczuł gwałtowny skurcz żołądka.

- T a k , zgadza się. - Wymienił z Valentyną spojrzenie, którego Julia nie była w stanie zinterpretować. - Porozmawiamy po wycieczce, dobrze? - zaproponował i odprowadził bliźniaczki do reszty grupy.

Z wysiłkiem opisał ekshumację Thomasa Charlesa Druce'a, dał spokój omawianiu morderstwa Elizy Barrow,

nie opowiedział także o Charlesie Crufcie, organizatorze wystaw psów. Gdy dotarł do historii Elizabeth Jackson i Stephana Geary'ego stracił wątek zupełnie i poprowadził turystów Aleją Cuttingsów. Jessica czekała na nich przy bramie, z zielonym pudełkiem w ręku.

- Zabiorę siostry z powrotem i pokażę im grobowiec ich rodziny. - Mówiąc to, miał cię nadziei, że Jessica mu zabroni, ale ona tylko się uśmiechnęła i machnęła przyzwalająco ręką.

- Tylko nie zamarudźcie - powiedziała. - Wiesz, że nie mam dzisiaj was zbyt wielu.

Wracając do bliźniaczek, Robert widział je obramowane łukowatym sklepieniem ocieniającym schody Kolumnady. Dwie białe sylwetki, jaśniejące na tle półmroku posągi. Poczuli, że spotkanie w tym akurat miejscu było w pewnym sensie nieuniknione.

- No to chodźmy - powiedział.

Ruszyły za nim, spięte i zaciekawione. Prowadząc je po stopniach i później alejkami, wyraźnie czuł na sobie badawcze spojrzenia. Bliźniaczki poczuły się nieswojo; w trakcie wycieczki Robert Fanshaw wydawał się gadatliwy, skory do wyczerpujących wyjaśnień, teraz jednak kroczył przed nimi bez słowa. Ciszę mąciły jedynie dźwięki cmentarza: miękki chłupot błota pod ich butami, szepty i świst wiatru w koronach drzew. Ptaki, ruch uliczny. W pewnej chwili poły płaszcza Roberta załopotwały mocniej, szarpnięte powiewem, i Valentina przypomniała sobie oddalającą się spiesznie postać, którą widziały tamtego dnia nad kanałem. Zaczęła się bać. Nikt nie wie, że tu jesteście. Zaraz jednak pomyślała o księżnej sprzed bramy i poczuła się pewniej. Wreszcie dotarli do miejsca spoczynku zmarłych członków rodu Noblinów.



- A więc jesteście - powiedział Robert, mając wrażenie, że gra rolę w jakiejś nedorzecznej parodii wycieczki po Highgate. - To właśnie wasz rodzinny grobowiec. Należy do was i możecie przychodzić tu i odwiedzać go kiedy tylko zechcecie, pod warunkiem, że cmentarz będzie otwarty. Wyrobimy dla was odpowiednie identyfikatory. W biurku Elspeth znajdziecie klucz.

- Klucz do czego? - spytała Julia.

- Do tych drzwi. Macie też klucz do furki prowadzącej z naszego ogrodu prosto na cmentarz, choć zarząd nalega, by z nich nie korzystać.

- A ty tamtędy chodzisz?

- Nie. - Robert czuł jak kołacze mu serce.

- Myślałyśmy o tobie - odezwała się Valentina. - Ciekawiło nas, dlaczego się jeszcze nie poznaliśmy. Podejrzewałyśmy, że wyjechałeś albo coś takiego...

- Ale Martin powiedział, że jesteś w mieście - wtrąciła Julia.

- I byliśmy trochę zdziwione, ponieważ pan Roche zapewniał, że nam pomożesz... - Valentina spojrzała na Roberta, ale on wpatrywał się w czubki swoich butów. Wydawało się, że zanim odpowiedział, upłynął bardzo długi czas.

- Przepraszam - wydukał.

Nie był w stanie patrzeć bliźniaczkom w oczy, a im zrobiło się go żal, choć żadna nie potrafiłaby powiedzieć, z jakiego powodu. Julia ze zdumieniem przyglądała się mężczyźnie, który jeszcze niedawno wydawał się tak elokwentny. O cmentarzu opowiadał z taką swadą, podawał więcej szczegółów, niż ktokolwiek mógł sobie zażyczyć. Teraz stał niezdolny dobyć z siebie głosu, przestraszony. Włosy przesłaniały mu twarz; stał z opuszczonymi rękami,

wyglądał trochę jak zbity pies. Jest bardzo nieśmiały. Boi się nas, stwierdziła w duchu Valentina. Dlatego że sama była nieśmiałą osobą; dlatego że całe życie spędziła w towarzystwie bez przerwy wykpiwającej jej wycofanie ekstrawertyczki; dlatego że nigdy wcześniej nie spotkała kogoś, kto początkowo wydawał się normalny, by potem nagle okazać się pełnym zahamowań; dlatego że w obserwowaniu jego strachu było coś niezwykle intymnego. Czując się ośmieszona obecnością Julii, Valentina podeszła bliżej do Roberta i położyła mu dłoń na ramieniu. Mężczyzna popatrzył na nią znad oprawek okularów.

- Nie ma za co — powiedziała i Robert, choć nie umiałby sobie tego wytłumaczyć, czy nawet wyrazić, poczuł że odzyskał właśnie coś utraconego.

- Dziękuję - odrzekł.

Wymówił to słowo cicho, lecz z taką intensywnością, że Valentina natychmiast się w nim zakochała, mimo że nie znała nazwy swojego uczucia, ani niczego co mogła do niego porównać. Mogliby stać tak jeszcze bardzo długo, ale ciszę przerwała Julia:

- Hmm, chyba powinniśmy już wracać.

- T a k , obiecałem Jessicę, że nie zabawimy tu długo - zgodził się Robert.

Valentina miała wrażenie, że cały świat na chwilę się zatrzymał i dopiero teraz ruszył na nowo; ramię w ramię poszli alejką w stronę Kolumnady.

Julia zapytała Roberta o doktorat i jego odpowiedź doprowadziła ich z powrotem do cmentarnej bramy. Kiedy mijali drzwi biura, wyskoczyła z niego Jessica. Robert domyślił się, że musiała ich wyglądać już od dłuższej chwili. Wzięła bliźniaczki za ręce.

- Elspeth była bliska nam wszystkim - powiedziała. - To ogromna przyjemność móc wreszcie was poznać. Mam nadzieję, że będziecie u nas częstymi gośćmi.

- Na pewno — obiecała Julia.

Spodobała się jej myśl o wtargnięciu za kulisy cmentarza i sprawdzeniu, co się dzieje na Highgate pod nieobecność turystów. Valentina spojrzała na Jessicę w oczy i uśmiechnęła się. Stojący nieco za koleżanką Robert przyglądał się siostrze.

- Do zobaczenia — rzuciła Valentina, wychodząc z Julią przez bramę.

Na jej twarzy odmalowało się coś, co Robert zauważył natychmiast - jej oblicze niczym lustro odzwierciedlało jego własne uczucia. Zrozumiał to i nie chciał jednocześnie wiedzieć.

- Do zobaczenia, moje drogie - pożegnała się Jessica.

Przekręciła klucz w zamku i popatrzyła za znikającymi w Swains Lane bliźniaczkami. I czym tu się tak martwić? - spytała sama siebie. Są takie urocze.

Robert zniknął w biurze. Znalazła go odliczającego drobne; wrzucał posegregowane monety do plastikowych woreczków.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Tak, dzięki - odparł, nie podnosząc wzroku.

Jessica szykowała się już, by zadać kolejne pytanie, ale wtedy krótkofalówka zaszczekała głosem Kate: przy wschodniej bramie potrzeba więcej biletów. Jessica chwyciła zeszyt z biletami i porzuciła Roberta na pastwę jego nastroju. Reszta niedzieli upłynęła jej w rozmytej mozaice wycieczek i turystów, przeliczania wpływów i księgowości. Gdy znowu pomyślała o Robertcie, stali już przy zachodniej bramie i zamykali cmentarz.

Phil i część młodszych przewodników wybierali się na wzgórze, by wychylić po piwie w Gatehouse.

- Przejdiesz się z nami? - spytał Roberta Phil.

- Nie. - Robert bardzo chciał się napić, ale nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Musiał przemyśleć popołudnie, przeżyć je ponownie, sprawić, żeby wszystko skończyło się inaczej, by móc wyciągnąć z dnia jakiegokolwiek inne wnioski. - Nie, dzięki. Czuję, że coś mnie rozbiera. - Odwrócił się i odszedł, zaskakując tym wszystkich znajomych.

- Coś go ugryzło? - spytała Jessicę Kate.

Jessica pokręciła głową.

- Z naszym Robertem nigdy nic nie wiadomo - odpowiedziała. - Myślę jednak, że chodzi o Elspeth.

Wszyscy zgodzili się, że tak, najprawdopodobniej chodzi po prostu o Elspeth. Ruszyli pod górę do pubu. Jeszcze przez chwilę plotkowali o Robercie, po czym stracili zainteresowanie jego osobą i zwrócili się ku bardziej przyjemnym tematom, takim jak opowiadanie sobie historii o tym, co przydarzyło się dziś podczas wycieczek, czy prześciganie się w znajomości dziwnych cmentarnych anegdot. Potem Kate odwiozła Jessicę do domu i wspólnie doszły do wniosku, że z Robertem jest zdecydowanie coś nie w porządku i że u źródła tego stanu rzeczy leży śmierć Elspeth. Kiedy już to ustaliły, zajęły się rozmową o zaplanowanych na poniedziałek pogrzebach.

Robert wrócił prosto do domu, skąd zabrał szklaneczkę, butelkę whisky i klucz do zielonej furtki, po czym wypuścił się na cmentarz. Nie zaszedł daleko. Usiadł oparty plecami o mur i nalał sobie nieco alkoholu. Siedział, patrząc nieobecny wzrokiem na dach mauzoleum Juliusa Beera, i pił, dopóki nie zapadł wieczór. Potem, zataczając się lekko, dotarł do mieszkania i położył się spać.

## ODDECH

Mijały kolejne dni. Nie działo się prawie nic. Julia i Valentina próbowały ucywilizować kotka, za pomocą łąpówek pod postacią jedzenia i piéczek ze zmiętej folii aluminiowej. Siadywały w jadalni i mówiły do zwierzaka, który przyglądał się im sceptycznie, ukryty bezpiecznie pod krzesłem. Kiedy bliźniaczki kładły się spać lub wychodziły, z kotką bawiła się Elspeth, zadowolona, że ma towarzystwo, nawet jeśli było to jedynie towarzystwo dzikiego białego kota. Wreszcie, stopniowo, kotek stracił na zajadłości i otrzymał zezwolenie na odwiedzanie innych części mieszkania. Zdarzało się nawet, że pozwalał się głaskać. Ku wielkiej rozpaczycy Elspeth kociak podarł na strzępy grzbiet jej *Do latarni morskiej* w wydaniu Hogarth Press, a także plecki sofy. Valentina była wprost zachwycona postępami nowego domownika i w niedługiej już przyszłości spodziewała się doświadczyć tego, co w rozmowie z siostrą nazwała „totalną kocią ekstazą”.

Roberta nie widziały ani razu, choć słyszały niekiedy, jak ogląda telewizję bądź bierze prysznic. Tkwił u siebie w mieszkaniu, mozoląc się nad rozdziałem opisującym Highgate jako rezerwat przyrody. Na cmentarz chodził każdego popołudnia i uważnie notował wszystko, co Jessica i Molly starały się wbić mu do głowy na temat miejscowej

flory i fauny. Koleżanki wypędały Roberta na łono przyrody, gdzie pokazywały mu skromne dzikie kwiatki, które nie miały zakwitnąć jeszcze przez kilka miesięcy, uczyły go ich łacińskich nazw, cmokały z niezadowoleniem, zauważając egzemplarze napływowych, inwazyjnych gatunków, i wykrzykiwały z rozkoszą, spotkawszy rzadkiego pająka. Robert pławił się w swej niewiedzy i starał się nadażyć za przewodniczkami, które szybkim krokiem prowadziły go w odległe, rzadko uczęszczane zakątki Highgate. Gdy udawało mu się zadać bardziej inteligentne pytanie, Molly i Jessica aż kraśniały z radości. Dzięki temu nie musiał myśleć o bliźniaczkach i - wyczerpany długimi spacerami - znacznie lepiej sypiał.

Julia odwiedziła Martina, ale on uprzejmie poprosił ją, by przysłała za kilka dni. Musiał nadrobić zaległości w pracy. Gdy tylko wyszła, wrócił do szorowania kafelków w łazience za pomocą wybielacza i szczoteczki do zębów. Zbliżały się urodziny Marijke i Martin martwił się tym, czy uda mu się do niej zadzwonić i w jaki sposób zdoła jej wysłać prezent. Mimo że te problemy roztrząsał już od wielu dni, nie był ani trochę bliższy rozwiązania. Zdecydował więc, że pomoże mu w tym dodatkowa sesja sprzątania.

Elsbeth zrezygnowała ze straszenia bliźniaczek - przynajmniej na jakiś czas - i trzymała się od nich z daleka. Zmuszanie siostr do uznania jej istnienia nie miało sensu, skoro jej nie lubiły i jasno dały do zrozumienia, że są wobec niej jednocześnie sceptyczne (Julia) i wrogie (Valentina). Spędzała więc czas sama ze sobą, rozwijała swoje widmowe umiejętności i czekała. Dzięki temu Valentina nagle poczuła się wolna. Również Robert już ich nie śledził i dziewczyna przestała mieć wrażenie życia pod stałą obserwacją; odprężyła się i na powrót zaczęła cieszyć wypadami do miasta.

Siostry bardzo rzadko cokolwiek kupowały, nawet gdy wybierały się na zakupy. Miały w mieszkaniu pełno rzeczy Elspeth. Przeszukiwanie ich stanowiło dla nich połączenie archeologicznych wykopalisk z sięganiem do czarodziejskiego kapelusza; gdy tylko czegoś potrzebowały, zawsze okazywało się, że jest to gdzieś pod ręką. Swoją nowy świat tworzyły z dawnego życia Elspeth, zupełnie jak plemię myśliwych zbieraczy, którzy osiedlili się na ruinach Troi.

Dzisiaj udały się do Harveya Nicholasa. Ekspedientki zaklasyfikowały je jako osoby niegwarantujące sprzedaży, więc obsługiwały je ślamazarnie, niemniej zachwycone bliźniaczki przez całe popołudnie przeglądały się w lustrach w strojach od Prady i Stelli McCartney. W przebieralni Valentina odwracała ubrania na lewą stronę, medytowała nad ich krojem, sposobem szycia i zastosowanymi tkaninami. Julia obserwowała siostrę, szczęśliwa jej szczęściem. W umyśle Valentyny od jakiegoś czasu formował się pewien plan (czy nawet nie plan, a raczej potrzeba). Kiedy po wycie w sklepie weszły na górę do kawiarenki na herbatę, powiedziała do siostry:

- Chcę zapisać się do Central Saint Martins College. Chcę wziąć kilka kursów.

- Chcesz się uczyć? Po co?

- Żeby zostać projektantką mody. - Valentina spróbowała przywołać na usta pewny siebie uśmiech, jakby obdarzała właśnie Julię fantastycznym podarkiem. - Alexander McQueen też się tam uczył.

- Hmm... A co ja mam niby robić, kiedy ty będziesz na zajęciach?

- Nie wiem. - Valentina urwała. Nic mnie to nie obchodzi. Rób, co chcesz. Nie była pewna, czy potrzebuje zgody Julii, by wyjąć pieniądze z ich wspólnego rachunku.

Postanowiła zapytać pana Roche. - Mogłabyś zostać moją managerką - dodała, nie chcąc zaognić dyskusji.

- Nuda - prychnęła Julia.

- Nie musisz.

Siedziały w milczeniu, patrząc w przeciwne strony. Rozglądały się po kawiarni: wysokie sufity, niewielkie stoliki oblepione matkami z dziećmi w wózkach, swojski, zwyczajny brzęk sztućców i naczyń, otaczające ich zewsząd rozmowy roześmianych kobiet. Valentina poczuła się tak, jakby wreszcie odważyła się rzucić siostrze wyzwanie; wyobraziła sobie leżącą między nimi pośród filiżanek ciężką żelazną rękawicę. Zawsze ustępuję, ale nie tym razem, zdecydowała.

- Kiedyś przecież musimy zacząć pracować - odezwała się. - Poza tym obiecałaś, że kiedy się tu przeprowadzimy, będziemy mogły wrócić do szkoły.

Julia rzuciła jej niechętne spojrzenie, ale nie odpowiedziała.

Kelner przyniósł rachunek. Julia zapłaciła.

- Kiedy wrócimy do domu, poszukamy w sieci jakichś kursów w Akademii Sztuk Pięknych. Może znajdziesz coś dla siebie - podjęła Valentina.

Julia wzruszyła ramionami. Bez słowa wyszły ze sklepu na Knightsbridge. Valentinie wydawało się, że metro jest zaraz na lewo, ale Julia skręciła w prawo i ruszyła szybkim krokiem przed siebie. Minęły stację Hyde Park Corner.

- Metro - powiedziała Valentina, ale bliźniaczka ją zignorowała.

Znalazły się w Mayfair i zaczęły kluczyć, co chwila **sklecały** w inną stronę. Julia prowadziła, Valentina truchtała za nią. Wiedziała, że będą tak iść, dopóki siostra nie postanowi się do niej odezwać. Tymczasem kompletnie się zgubiły.



Rozpoczęły się właśnie godziny szczytu i na ulicach pojawił się rojny tłum. Wieczór był jasny i zimny. Valentina widziała znajome sklepy, place, nazwy ulic, ale nie miała jeszcze wewnętrznej mapy Londynu, która pozwoliłaby jej uporządkować otoczenie i nadać mu miejsce w przestrzeni. To było zadanie Julii. Do tej pory Valentina nie kłopotowała się tym zupełnie, a teraz zaczęła się bać. Zastanawiała się, czy nie powinna po prostu się odłączyć i poszukać stacji na własną rękę; znajdowały się w ścisłym centrum miasta więc metro musiało być gdzieś blisko. Powinnam ją zostawić i wrócić do domu. Nigdy dotąd tego nie próbowała, nigdy nie porzuciła Julii w środku kłótni. Na myśl o powrocie w pojedynkę poczuła wyrzuty sumienia i lęk - jeszcze przecież nie jechała metrem bez Julii. I wtedy zobaczyła znajomy czerwono-biało-niebieski znak: stacja Oxford Circus.

Bliźniaczki przeszły na drugą stronę Regent Street i natychmiast porwała je ciżba ludzi próbujących wejść na stację. W tłumie ścierały się różne prądy i przez kilka chwil siostry starały się przeć im wbrew. Julię uderzył spokój wszystkich dokoła, zupełnie jakby robili to codziennie, dokładnie o osiemnastej trzydzieści; może zresztą tak właśnie było. Valentina przepychała się tuż za nią, Julia słyszała jej ciężki oddech. Wyciągnęła rękę za siebie i siostra ją chwyciła.

— Wszystko w porządku, Myszeko - powiedziała.

Trafiły w nurt ludzi zmierzających w tym samym kierunku co one.

Valentina miała wrażenie, że tonie. Nie była w stanie zaczerpnąć tchu; zewsząd naciskał na nią tłum. Wszystkie myśli o podróży podziemną koleją zniknęły. W tej chwili chciała się tylko wydostać spośród napierających ciał. Traçały ją plecaki, dźgały łokcie. Słyszała autobusy i samochody przejeżdżające ledwie kilka stóp od niej. Poirytowani

londyńczycy mamrotali pod nosem i do siebie nawzajem, ale Valentine wszystkie dźwięki wydawały się stłumione.

Pojawił się prąd, gnający w stronę wejścia do metra. Julia została popchnięta naprzód. Valentina do tyłu. Julia poczuła, jak siostra rozluźnia chwyt i puszcza jej dłoń.

- Myszko!

Valentina straciła równowagę i padła bokiem na nadchodzących ludzi.

- Ups! - rzucił wesoło jakiś mężczyzna. - Mamy tu mały wypadek! Cofnijcie się proszę!

Nikt jednak nie mógł się poruszyć. Panował ścisk jak na koncercie rockowym tuż pod sceną. Po Valentine wyciągnęły się czyjeś ręce; postawiono ją na nogi.

- Wszystko w porządku, panienko? - zapytał ktoś.

Pokręciła głową; nie była w stanie odpowiedzieć. Słyszała nawołującą ją po imieniu Julię, ale jej nie widziała. Spróbowała złapać oddech. Ścisnęło ją w gardle; starała się wciągać powietrze bardzo powolnymi wdechami. Szła, tłum pchał ją przed siebie.

Ogarnięta paniką Julia stała na zewnątrz ludzkiej rzeki.

- Valentina!

Brak odpowiedzi. Znów zanurkowała w ciżbę, ale widziała tylko idących najbliżej. O mój Boże! Ujrzała błysk jasnych włosów i rzuciła się w tę stronę.

- Proszę uważać! - rozległo się z boku.

Valentina zauważyła Julię i przytknęła dłoń do gardła. „Nie mogę oddychać”. Julia chwyciła ją mocno i zaczęła się rozpychać łokciami pomiędzy ludźmi.

- Ona ma atak astmy, przepuście nas!

Tłum spróbował się rozstąpić. Nikt nie widział, co się dzieje. Wreszcie bliźniaczki wytoczyły się na chodnik Oxford Street.

Valentina oparła się o jasno oświetloną wystawę sklepu z tanimi butami i szeroko, raz po raz, otwierając usta, próbowała zaczerpnąć tchu. Julia przetrząsnęła torebkę siostry.

- Gdzie masz inhalator?

Valentina pokręciła głową. „Nie wiem”. Dziewczynom przyglądał się wianuszek zatroskanych przechodniów.

- Masz, weź mój. - Nastolatek z włosami przesłaniającymi pół twarzy i deskorolką w ręku, podał im inhalator.

Valentina chwyciła go i zaczęła gwałtownie zasysać. Poczowała, że jej gardło lekko się otwiera. Skinęła głową chłopakowi, który stał z uniesioną ręką, jakby się spodziewał, że zaraz będzie musiał ją podtrzymać. Julia patrzyła na dochodzącą do siebie siostrę, próbowała jej pomóc, oddychając powoli i głęboko. Chciała, by Valentina zaczęła oddychać. Dziewczyna pociągnęła jeszcze kilka razy z inhalatora. Stała z ręką na mostku. Dyszała.

- Dzięki - odezwała się wreszcie, oddając buteleczkę nieznajomemu.

- Jasne, nie ma sprawy.

Niewielki tłumek gapiów rozproszył się po chwili. Valentina miała ochotę na chłodem.

- Złapię taksówkę - powiedziała Julia i odeszła.

Valentinie wydawało się, że zanim usłyszała ponownie głos siostry, minęła wieczność.

- Myszko! Tutaj! — rozległo się wreszcie i niebawem, wdzięczna, znalazła się w ciepłej i ciemności czarnego samochodu.

Opadła na siedzenie i zaczęła wygarniać zawartość swojej torebki na kolana. W końcu wypadł i inhalator. Usiadła, ściskając go w ręku niczym oręż. Kwitła w niej rozpacz. To czyste szaleństwo, myślała. Nie mogąc całego życia spędzić,

będąc Myszką. Rzuciła okiem na Julię, która beznamyślnie wyglądała przez okno na pracę mozolnie przed siebie po-  
jazdy. Myślisz, że cię potrzebuję. Myślisz, że nie mogę cię  
opuścić. Valentina spojrzała na nieznajome budynki. Lon-  
dyn wydawał się nieskończony, niepohamowany. A gdybym  
umarła tam w tłumie...? Wyobraziła sobie Julię telefonującą  
do rodziców.

- Już lepiej? - Julia spojrzała na siostrę.

- T a k .

- Powinnyśmy znaleźć ci lekarza.

- T a k .

Resztę drogi do Vautravers przebyły w milczeniu.

- Chcesz zajrzeć na tę stronę? — spytała Julia, kiedy zna-  
lazły się w mieszkaniu.

- Nie - odparła Valentina. - Dajmy sobie spokój.

## DZIENNIKI ELSPETH NOBLIN

Valentina i Julia dziwiły się pustej półce w gabinecie Elspeth. Całe pomieszczenie wprost pękało od wszelkiego rodzaju książek, bibelotów, przyborów piśmienniczych, a także innych - przydatnych i nieprzydatnych - rzeczy. Innymi słowy, panował tu poważny niedobór przestrzeni i istnienie pustej, nieskazitelnej wręcz półki stanowiło prawdziwą zagadkę. Dawniej coś musiało na niej stać. Tylko co? I kto to usunął? Półka miała dwanaście cali głębokości, była szeroka na osiemnaście. Trzecia, licząc od dołu w regale stojącym tuż obok biurka Elspeth. W odróżnieniu od reszty gabinetu, ten mebel został niedawno z grubsza odkurzony. W samym biurku z kolei znajdowała się szuflada, do której bliźniaczki nie mogły znaleźć klucza.

Dawna zawartość półki spoczywała teraz w mieszkaniu Roberta, wraz z pozostałymi pozostawionymi mu przez Elspeth rzeczami, w kartonach na podłodze przy jego łóżku. Nie wyjął jeszcze niczego, z wyjątkiem bluzy i butów, którym wyznaczył oddzielną szufladę. Co jakiś czas zaglądał do niej, pieścił ubrania, a po chwili wracał do swych zajęć.

Pudełka ustawił po tej stronie łóżka, której nie widział, wchodząc do sypialni, dzięki czemu mógł na nie nie patrzeć. Przedtem zastanawiał się, czy nie przenieść ich do innego pokoju, ale wydało mu się to niestosowne. Wiedział też, że

pewnego dnia będzie musiał przejrzeć ich zawartość. Kiedy Elspeth jeszcze żyła wydawało mu się, że chce przeczytać jej pamiętniki. Myślał, że chce wiedzieć wszystko, poznać każdy jej sekret. Mimo to, po jej śmierci długo zwlekał, zanim w ogóle dotknął zeszytów, i musiało minąć sporo czasu, by przeniósł je do siebie. Teraz były już na miejscu, czekały, a jednak wciąż do nich nawet nie zajrzał. Miał swoje własne wspomnienia i nie chciał ich zmieniać, zniekształcać, nie chciał ich obalać. Będąc historykiem, doskonale zdawał sobie sprawę, że wszelkie nowo odkrywane dokumenty mają niszczyielski potencjał. Zatem pudełka - niczym materiał wybuchowy z niezapalonym lontem - leżały wciąż na podłodze jego sypialni, a Robert robił wszystko co mógł, by nie zwracać na nie uwagi.

## ŻYCZENIA URODZINOWE

Była szara, wprawiająca w ospałe otępienie, marcowa niedziela; pięćdziesiąte czwarte urodziny Marijke. Martin obudził się o szóstej i leżał w łóżku, rozkołysany pomiędzy radosnymi (ona na pewno spodziewa się jego telefonu i bez wątpienia odbierze) a pełnymi niepokoju rozważaniami na temat urodzinowego hołdu dla żony (którym miała być wyjątkowo złożona krzyżówka - pierwsza i ostatnia litery każdego z haseł stanowiły inicjały nazwiska Marijke, a rozwiązaniem był anagram wersu z wiersza Johna Donne *Waleta, żalu zabraniająca*. Krzyżówkę wraz z drugim prezentem przekazał Robertowi i sąsiad obiecał wysłać je priorytetem. Martin postanowił, że z telefonem wstrzyma się do czternastej. Wtedy w Amsterdamie będzie trzecia po południu; Marijke zje już obiad i Martin zastanie ją w dobrym, niedzielno-popołudniowym nastroju. Wstał i zajął się przedzieraniem przez swe poranne rytuały. Czuł się jak dziecko czekające w bożonarodzeniowy poranek, aż obudzą się rodzice.

Marijke ocknęła się rozkojarzona, późnym porankiem, w słabym świetle słońca, które sączyło się zza okiennic na jej poduszkę. Dziś są moje urodziny, pomyślała. *Lang zal ze leven, hieperderpiep, hoera*. Poza kawą, na którą miała się wybrać wieczorem z przyjaciółmi, nie miała na dziś żadnych planów. Była pewna, że zadzwoni Martin, i miała nadzieję, że odezwie się też Theo — Theo niekiedy zapominał; wydawało

się wręcz, że rozmyślnie utrzymuje wokół siebie nieprzepuszczalną warstwę nieświadomości. Sama zawsze dzwoniła do syna, żeby przypomnieć mu o jubileuszach Martina; być może Martin zrobi dla niej to samo? W nocy przyśnił się jej mąż, był to bardzo *aangename* sen o ich starym, *gezelig* mieszkaniu w St Johns Wood. Zmywała naczynia, a on podszedł do niej z tyłu i pocałował ją w kark. Wspomnienie czy sen? Wyobraziła sobie jego dłonie na swych ramionach, jego wargi na szyi. Mmm. Odkąd opuściła Martina, starała się trzymać swoje erotyczne fantazje na wodzy. Zwykle, kiedy mąż próbował się do nich zabrać, szybko go z nich wypraszała, ale tego ranka, w ramach prezentu urodzinowego pozwoliła rozwinąć się temu sennemu marzeniu.

Przesyłka nadeszła około południa. Marijke położyła ją na stole w kuchni i przez kilka minut szukała noża introligatorskiego. Pakunek był oblepiony taśmą i błagalnymi naklejkami „Ostrożnie, delikatna zawartość”. Wygląda jak paczka od szaleńca, pomyślała. Ale to mój szaleniec. Mój własny. Rozcięła wszystkie warstwy folii i wydobyła ze środka grubą kopertę i różowe pudełko. W pudełku znalazła rękawiczki z błękitno-niebieskiej skóry. Wsunęła je na dłonie. Pasowały jak ulał; były miękkie jak oddech. Przecięgnęła palcami po niewidocznych włoskach na ramieniu. Prezent świetnie maskował jej wydatne knykcie i przebarwienia. Miała wrażenie, że otrzymała właśnie nowe dłonie.

W kopercie znajdował się list i krzyżówka, rozwiązanie było dołączone w drugiej, mniejszej kopercie. Marijke otworzyła od razu tę drugą; do szarad nie miała cierpliwości ani talentu, o czym Martin bardzo dobrze wiedział. Ani razu nawet nie zaczęła rozwiązywać małych arcydzieł, które mąż układał dla niej rok po roku. Oboje jednak doskonale rozumieli czym te urodzinowe krzyżówki są naprawdę: oznaką



oddania, odpowiednikiem skomplikowanych, jaskrawych swetrów, które ona robiła mężowi na drutach z okazji jego świąt. Na kartce odkryła dwie zwrotki wiersza Johna Donne:

*Są dwie, lecz dwie tak jak ramiona  
Cyrkla podwójne; twoja dusza,  
Jak igła unieruchomiona,  
Jednak wraz z moją się porusza.*

*Taka bądź, choć nam nie po myśli  
To, że odległym błędzę kołem:  
Stałość twa obieg mój uściśli  
I każe skończyć, gdzie zacząłem. \**

Uśmiechnęła się. Otworzyła list i na jej błękitną dłoń wypadła maleńka paczuszka. Żeby ją otworzyć, musiała zdjąć rękawiczki. W pierwszej chwili pomyślała, że jest pusta - potrząsnęła nią i nic się nie wysmyknęło. Wsunęła palec do wewnątrz i wyczuła dwa kawałki metalu i perły. Wysypały się jej na rękę. Och! Moje kolczyki. Marijke zaniosiła je do okna. Oczyma duszy ujrzała Martina, całymi dniami przetrząsającego pudła, wykopującego spod nieprzebranych warstw folii rozmaite przedmioty, tylko po to, by je odszukać. *Lieve Martin*. Zacisnęła dłoń na błyskotkach, zamknęła oczy i pozwoliła sobie za nim zatęsknić. Ta odległość...

Uniosła głowę i rozejrzała się po swym jednopokojowym mieszkaniu. Zostało urządzone w siedemnastowiecznym budynku dawnej stajni, na poddaszu, gdzie niegdyś przechowywano siano. Miało spadzisty sufit, ciężkie belki stropowe i białe otynkowane ściany. Jeden narożnik zajmował

**\* Wiersz w przekładzie Stanisława Barańczaka.**

jej futon, w innym kącie, za zasłoną, wisiały ubrania. Stół i dwa krzesła, maleńki aneks kuchenny i okno, które wychodziło na wąską, krętą uliczkę. Na parapecie stał wazon z frezjami. Miała też wygodny fotel i lampę. Już od ponad roku ten pokój stanowił jej przystań, fortecę, schronienie, jej tryumfalny, świetnie zakamuflowany gambit w małżeńskiej grze w chowanego. Stojąc teraz z palcami zaciśniętymi na kolczykach, poczuła, że jej przytulne gniazdko jest bardzo samotnym miejscem. Kawalerka. Mieszkanie, w którym mieszka się samemu. Potrząsnęła głową, by pozbyć się tych myśli i zaczęła czytać list:

*Lieve Marijke,  
wszystkiego najlepszego, Pani mego serca. Żałuję, że się  
dzisiaj nie zobaczymy, tak bardzo chciałbym Cię przytulić.  
Skoro to jednak niemożliwe, posyłam Ci w zastępstwie  
nowe dłonie. Możesz błędzić nimi w kieszeniach, space-  
rując ulicami swojego miasta. Ogrzeją Cię i przypomną  
o błękitach nieba (tutaj też jest ciągle szare).*

*Kochający mąż,*

*Martin*

Doskonale. Ułożyła rękawiczki, kolczyki, krzyżówkę i list na stole, jakby przygotowując się do malowania martwej natury. Prawie żałuję, że on w końcu zadzwoni i to wszystko popsuje, westchnęła w duchu.

\*\*\*

Martin stał w gabinecie z telefonem w rękę i wpatrywał się w zegarek na monitorze komputera. Odliczał minuty do czternastej. Miał na sobie garnitur i krawat. Wstrzymywał

oddech. Gdy ekran wskazał drugą, wypuścił powietrze i nacisnął klawisz „1”.

- *Hallo, Martin.*
- Wszystkiego najlepszego, Marijke.
- Dziękuję, dziękuję.
- Theo już dzwonił?

Marijke wybuchnęła śmiechem.

- Podejrzewam, że nawet jeszcze nie wstał. Jak się masz? Co u ciebie słychać?

- W porządku. Wszystko w porządku. - Martin zapalił papierosa. Rzucił okiem na leżącą na biurku listę pytań. - A u ciebie? Nadal nie palisz?

- Nie, nie palę. Znakomicie się czuję. Sam też powinienś spróbować. Wróciły do mnie zapachy. Zdążyłam już zapomnieć jak pachną niektóre rzeczy. Woda, frezje. Na świecie jest tyle wspaniałych woni. A rękawiczki, które mi przysłałeś, mają zapach pierwszego dnia zimy.

- Podobają ci się?  
- Och, wszystko było doskonałe. Nie mogłam uwierzyć, że znalazłeś te kolczyki.

- Amerykanie wymyślili na to nowe określenie: ponowne obdarowywanie. Z początku wydawało mi się, że to żałosne, wysyłać ci na urodziny twoje własne kolczyki, ale skoro już je odszukałem... - Martin przypomniał sobie Julię kładącą mu je na dłoni.

Marijke powróciła w myślach do chwili, kiedy Martin podarował je za pierwszym razem. Z okazji narodzin Theo.

- Nie, to wcale nie żałosne. Tak bardzo się ucieszyłam... I jeszcze list... I krzyżówka...

- Rozwiązałaś już? - spytał.  
- *Ja*, usiadłam i rozwiązałam z miejsca, w niecałe dwadzieścia minut. Wiesz jaka jestem w tym dobra.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Zapadła pełna zadowolenia cisza.

- Jak obchodzisz urodziny? - zapytał wreszcie Martin.

- Hmm, idę na kawę z Emmą i Lise. Opowiadałam ci o nich.

- Tak, pamiętam. A kolacja?

- Zjem w domu.

- Sama? - Martin poczuł ukłucie radości. - To niedobrze. Słuchaj, pozwól się zaprosić.

- Martin... - Marijke zmarszczyła czoło.

- Nie, posłuchaj, powiem ci jak to zrobimy. Wybierz restaurację, jakąś miłą. Zarezerwuj stolik, włóż coś ładnego i weź komórkę. Porozmawiamy przez telefon, a ty zjesz dobrą kolację. Będzie prawie tak, jakbyśmy byli razem.

- Martin, w restauracjach, jakie masz na myśli nie można rozmawiać przez komórkę. Poza tym, dziwnie bym się w takiej sytuacji czuła. Mam jeść sama?

- Ja też coś wrzucę na ruszt. Zjemy wspólnie, tyle że w różnych miastach.

- Och, Martin... - Jej opór osłabł. - W jakim języku?

- W jakim tylko zechcesz. *Nederlands? Francais?*

- Nie, nie. Wolałabym coś niezwykłego. Intymnego...

- Pali?

- To byłaby bardzo krótka kolacja.

Zaśmiał się.

- Zastanów się i daj mi znać. Na którą się umówimy?

- Wpół do ósmej twojego czasu?

- Świetnie, będę w domu - pomyślał, że akurat o tym chyba nie powinien jej przypominać. - Nie zapomnij naładować telefonu.

- Będę pamiętać.

- *Tot ziens.*

- *Tot straks.*

Martin odłożył słuchawkę na widełki. Przez cały czas trwania rozmowy stał w jednym miejscu, pochylony nad biurkiem. Teraz wyprostował się i uśmiechnął - nagle jego dłoń uniosła się do serca.

- O c h !

W drzwiach stała Julia, zarysowany na tle półmroku ciemny kształt.

- Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

Opuścił głowę i zamknął oczy, niemal jakby chciał skryć twarz pod skrzydłem; czekał, aż jego serce zacznie bić normalnym rytmem.

- Nie ma za co. Od dawna tu jesteś? - Podniósł wzrok na dziewczynę.

Weszła do pokoju i stała się zwyczajna.

- Nie, niedługo. Rozmawiałeś z żoną?

- T a k .

- Spodobały się jej rękawiczki?

Martin skinął głową.

- Chodź do kuchni. Napijemy się herbaty. I tak, bardzo się jej podobały. Dziękuję, że pomogłaś mi je wybrać.

Poszedł za Julią między pudełkami. Minęli jadalnię i znaleźli się w kuchni.

- Hmm, tak naprawdę to wypatrzyła je Valentina. Ma czuja do ubrań. - Julia usiadła przy stole i obserwowała Martina szykującego naczynia.

Założył krawat, żeby porozmawiać z żoną przez telefon, pomyślała. Z jakiegoś powodu mocno ją to zasmuciło.

- Zachowujecie się z Valentina jak stare małżeństwo. Wszystko między siebie rozdzieliliście, obowiązki i nawet talenty. - Rzucił na nią okiem, nalewając wodę do elektrycznego czajnika.

Co jest nie tak? - zastanowił się. Coś się jej stało.

- Ktoś cię uderzył? - spytał, widząc siniec na jej policzku.

Dziewczyna przytknęła palce do stłuczonego miejsca.

- Masz może lód?

Martin podszedł do lodówki i przetrząsnął jej zawartość. Po chwili trafił na wiekowy woreczek mrożonego groszku.

- Proszę.

Julia przycisnęła zimne opakowanie do twarzy, a Martin wrócił do przygotowywania herbaty. Dopóki nie napełnił filiżanek, żadne z nich się nie odezwało.

- Herbatnika? — zaproponował.

- Poproszę.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie. — Julia zapatrzyła się w swą filiżankę. Groszek maskował wyraz jej twarzy. - Nie chciała tego zrobić.

- Niemniej jednak...

- Jak długo jesteście z żoną po ślubie? - zapytała.

- Dwadzieścia pięć lat.

- A jak dawno się wyprowadziła?

- Rok, dwa miesiące i sześć dni temu.

- Wróci?

- Nie, nie wróci.

Julia oparła łokieć na blacie. Wraz z ręką opadł nieco woreczek groszku. Patrzyła na niego pod kątem.

- No i...?

- Sekundę. - Martin poszedł do gabinetu, skąd zabrał papierosy i zapalniczkę. Zanim ponownie pojawił się w kuchni, miał już gotową odpowiedź. - Pojadę do Amsterdamu. - Zapalił i uśmiechnął się na myśl o zaskoczeniu Marijke.

- Świetnie - powiedziała Julia. - Kiedy?

- Hmm... Niedługo. Kiedy będę w stanie wyjść z domu. Może za tydzień lub dwa.

- Ach. - Na jej twarzy wykwitło rozczarowanie. - Czyli nigdy.

- Nigdy nie mów nigdy.

- Wiesz, sprawdzałam trochę. Na psychozę natręctw są leki. I terapia behawioralna.

- Wiem, Julia - odpowiedział uprzejmie.

- Ale...?

- Częścią tego schorzenia jest niechęć do podjęcia leczenia.

- Ach. - Chwyciła groszek oburącz i próbowała pokruszyć zawartość na mniejsze kawałki.

Martin odniósł wrażenie, że siniak pociemniał, choć opuchlizna nieco zelżała. Plastikowy woreczek chrząścił, zaczęło go to denerwować.

- To nie twój problem, moja droga. Kiedyś w końcu tam dotrę.

Julia uśmiechnęła się lekko.

- Jasne. Okej. - Upiła łyk herbaty i znów przytknęła groszek do twarzy.

- Na pewno wszystko w porządku?

- Co? Ach tak, pewnie. To tylko lekkie otarcie.

- Często się to zdarza?

- T e r a z nie. Kiedy byliśmy małe, bez przerwy się biłyśmy i gryzłyśmy. Plułyśmy na siebie i szarpałyśmy się za włosy. Potem z tego wyrosłyśmy.

- Będziesz bezpieczna, kiedy wrócisz do siebie? - spytał Martin.

- Oczywiście. - Julia się zaśmiała. - Valentina jest moją bliźniaczką, a nie jakimś strasznym, domowym tyranem. Tak naprawdę, to zazwyczaj jest dosyć nieśmiała.

- Mhm, pamiętaj tylko, że to zwykle nieśmiali zaskakują nas najbardziej.

- Cóż, tym razem faktycznie mnie zaskoczyła.

Martin palił i myślał o Marijke. Ciekawe co na siebie włoży? Wyobraził sobie żonę wysiadającą z taksówki, wchodzącą do restauracji; kwiaty, białe obrusy. Dziewczyna uciekła w duchu do Valentyny, która zamknęła się w garderobie. Julia stała jakiś czas przy drzwiach i słuchała szlochu siostry, czekała. Może powinnam tam wrócić? - zastanowiła się. Wstała z miejsca.

- Pójdę sprawdzić, jak ona się czuje.

- Weź to. - Martin podał jej paczkę czekoladowych herbatników. - Przyda ci się w negocjacjach pokojowych.

- Dzięki. Mogłabym pożyczyć ten groszek? Nie mamy lodu.

- Oczywiście. - Podniósł się z uśmiechem i poprowadził gościa między pudełkami.

„Groszek, negocjacje, proszę, błagania... Powiedz coś” - dźwięczało mu w głowie.

- Zawsze miałem wrażenie, że wy, Amerykanie, macie obsesję na punkcie lodu. Wszystkie te drinki z lodem i tak dalej. Aż dziwne, że wy dwie nie trzymacie w zamrażarce jakiejś kieszonkowej Arktyki.

- Nie mamy. Nawet kostek. Stopiły się... Wiesz, w połowie jesteśmy Angielkami, może dlatego nie zachowujemy się jak przeciętne dziewczyny ze Stanów.

- Przeciętne nie jesteście żadną miarą - powiedział Martin.

Julia uśmiechnęła się i zeszła po schodach. „Groszek, negocjacje, proszę...”. Spojrzył na zegarek. „Muszę jakoś zabić jeszcze trzy godziny i dwadzieścia osiem minut. Wystarczy akurat na przysznic”.



Marijke siedziała za długim stołem w restauracji Sluizer. Komórkę mocno ścisnęła w dłoniach pod obrusem. Powiedziała kelnerowi, jak wygląda sytuacja, a on uprzejmie zaprowadził ją do salki zwykle rezerwowanej na prywatne przyjęcia. Zapalił kilka świeczek i szybko usunął nadmierowe naczynia i sztucce, zostawiając ją w charakterze jedynej właścicielki pomieszczenia, w którym swobodnie mogło przebywać dwadzieścia osób. Mimo że zawsze zamawiała tu jedną i tę samą potrawę, przebiegła wzrokiem menu.

Dzwonek telefonu rozległ się dokładnie w chwili, gdy kelner przyniósł jej kieliszek wina.

- Martin?
- Cześć, Marijke. Gdzie jesteś?
- Sluizer. Dostałam prywatną salę.
- Co masz na sobie? - zapytał.

Spojrzała po sobie; ubrała się w dżinsy i szary golf.

- Tę czerwoną sukienkę bez pleców, szpilki z odkrytymi palcami i moje kolczyki. - Te ostatnie założyła naprawdę. - Co sobie zamówisz?

- Hmm... Myślałem, że na początek wezmę barani szaszłyk, a potem pieczony comber jeleni z ziołami. No i oczywiście pysznego merlota.

- Sporo mięsa. Jaką restaurację sobie wyobrażasz?
- Cinnamon Club.
- To ta hinduska restauracja, w budynku biblioteki, prawda?
- T a k .
- Nigdy tam nie byłam.
- Ani ja. To eksperyment. - Podczas rozmowy Maritn rozszarpywał pudełka z mrożonkami. Kurczak tikka masala

i danie saag aloo. Komórkę przyciskał głową do ramienia. Cinnamon Club nie oferowało jedzenia na telefon. - A ty, jak zwykle, zamówisz doradę?

- Tak, zgadłeś.

Pojawił się kelner i przyjął zamówienie. Marijke oddała mu menu i spojrzała na własne odbicie w oknie restauracji. W miękkim świetle świec wyglądała niemal młodo. Uśmiechnęła się do siebie.

- I co? Zadzwoił Theo? - spytał Martin.

- Tak, zadzwonił. Ale akurat wychodziłam, więc nie rozmawialiśmy zbyt długo.

- Co u niego?

- W porządku. Możliwe, że odwiedzi mnie w ferie. Ma nową dziewczynę.

- To dopiero wiadomość. Opowiedział ci coś o niej?

- Ma na imię Amrita. Studentka z zagranicy, z Bangladeszu. Jest córką właścicieli fabryki ręczników kuchennych, czy czegoś w tym rodzaju. Według Theo, panienska jest i śliczna, i genialna. Podobno potrafi też gotować.

- Musiało go mocno wziąć. A genialna jest na jakim polu? - Martin wcisnął kilka przycisków na kuchence mikrofalowej i talerz wewnątrz zaczął się obracać.

- W matematyce. Tłumaczył mi to dokładniej, ale obawiam się, że niewiele zrozumiałam. Sam będziesz musiał z nim o tym pomówić.

Martin poczuł lekkość, jego zmartwienia na jakiś czas uleciały.

- Doskonale. Będą mogli rozmawiać o pracy. - On i Marijke poznali się na zajęciach z rosyjskiego; od samego początku uwielbiali dyskutować o problemach przekładu, często rozmawiali o tych szczególnych chwilach, gdy jeden

język przeobraża się w drugi. - Bałem się, że skończy w ramionach jakiejś mdląco wesołej przedszkolanki.

- Hmm, lepiej go jeszcze nie żeń.

- Tak, wiem. - Dolał sobie wina. - Na tym właśnie polega kłopot z życiem cudzymi problemami; wszystko dzieje się o wiele szybciej, niż kiedy skupiasz się na własnym życiu. Zobaczysz, niedługo zaczniemy się głowić nad imionami dla wnucząt.

Roześmiała się.

- Ja już dawno wybrałam. Jason, Daniel i Alex dla chłopców, Rachel, Marion i Louise dla dziewczynek.

- Szóstka dzieci?

- A czemu by nie? Przecież to nie my będziemy je wychowywać.

Na stole pojawiło się zamówione danie. Martin wyjął swoje jedzenie z kuchenki. Wyglądało dość bezbarwnie i Martin poczuł żal, że nie siedzi w prawdziwym Cinnamon Club. To głupie, pomyślał chwilę potem. Z nią mógłbym jeść gdziekolwiek.

- I jak smakuje? - spytał.

- Jak zawsze, świetne.

Kiedy kelner uprzątnął już stół, i Marijke upiła niewielki łyk brandy, przytknęła telefon mocniej do ucha.

- *Diz-me coisas porcas* (Powiedz mi coś sprośnego) - prosiła.

- Po portugalsku? Moja pani, będę musiał się uciec do pomocy naukowych.

Poszedł do gabinetu, znalazł portugalsko-angielski słownik i po chwili wszedł do sypialni. Zdjął buty i położył się do łóżka. Zastanawiał się przez chwilę; wertując kartki słownika, szukał inspiracji.

- No dobrze. *Estamos a sair do restaurante. Estamos num taxi a descer a Vijzelstraat. Somos dois estranhos que partilham um taxi. Sentados tao afastados um do outro quanto possivel, cada um olhando pela sua janela. Vai ser urna longa viagem. Olho de relance para ti. Reparo nas tuas belas pernas, collants de seda e saltos altos. O vestido subiu-te ate as coxas, tera sido quando entraste no taxi, ou talvez o tenhas puxado para cima deliberadamente? Hmm, e dificil dizer...* (Wychodzimy z restauracji. Jesteśmy w taksówce, jadącej przez Vijzelstraat. Dwoje nieznanymych połączonych wspólnym kursem. Siedzimy tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe, każde wygląda przez swoje okno. Czeka nas długa jazda. Rzucam na ciebie okiem. Zauważam piękne nogi, jedwabne pończochy i szpilki. Sukienka podwinęła ci się nieco do góry, może przypadkiem, kiedy wsiadałaś, a może podciągnęłaś ją rozmyślnie? Hmm, trudno powiedzieć...).

Marijke siedziała samotnie za długim stołem, z kieliszkiem brandy w dłoni i komórką przy uchu. Wróciła myślami do przeszłości, do taksówki przedzierającej się krętymi ulicami Amsterdamu. Chcę cię, pomyślała. Chcę nas takimi, jakimi byliśmy przedtem.

- Marijke? Ty płaczesz?

- Nie, nie. Mów dalej...

Mów tak długo jak zdołasz, mów dopóki nie rozłąduje mi się telefon, mów aż do świtu, mów dopóki cię znowu nie zobaczę, ukochany.

## POSTMAN'S PARK

Następny dzień wstał dziwnie łagodny, jeden z tych, które skłaniają ludzi do smutnych uśmiechów i myśli typu: aha, globalne ocieplenie. Robert obudził się wcześniej na dźwięk kościelnych dzwonów. Doskonały dzień na wycieczkę do Postman's Park.

Zebrał się na odwagę, poszedł na górę i zaprosił bliźniaczki. Do południa przygotował już kanapki, kilka butelek wody, jabłka i jedną butelkę Pinot Blanc. Wszystko to włożył do staroświeckiego kosza piknikowego, pożyczonego od Jessiki i Jamesa. Postanowił, że powinni pojechać autobusem, po części dlatego, że uznał, że dobrze będzie, jeśli siostry zapoznają się z londyńską siecią komunikacji miejskiej. Zanim stanęli przed skromnym wejściem do parku, wszyscy troje zdążyli już zgłodnieć, a bliźniaczki zupełnie straciły orientację i nie miały pojęcia, w której części miasta się znajdują.

W parku Robert ustawił kosz na ławce.

- *Voila* - oznajmił. - Postman's Park.

Nie powiedział dziewczynom ani słowa na temat tego, czego powinny się spodziewać i siostry wyobraziły sobie coś w rodzaju St James's czy Regent's Park. Stały teraz ramię w ramię i zupełnie zaskoczone rozglądały się dokoła. Park zajmował wąski pas przestrzeni pomiędzy kościołem

a zupełnie przeciętnymi budynkami. Był schludny, cienisty i wyludniony. Znajdowała się w nim miniaturowa fontanna, osiem drewnianych ławek, rosnące tu i ówdzie drzewa i paprocie. U jednego z krańców wznosił się niski, przypominający szopę budynek. Zauważyły też kilka starych, pochylonych, tablic nagrobnych.

- To cmentarz? - spytała Julia.

- Tak, dawniej był to przykościelny cmentarz.

Valentina wyglądała na zagubioną, ale nic nie powiedziała. Otoczenie było szarobure i zupełnie nie rozumiała, dlaczego Robertowi tak bardzo zależało, by je tu przyprowadzić.

- Dlaczego to miejsce nazywa się Postman's Park? - zapytała Julie. - Nie widzę żadnych listonoszy. Ani poczty.

- Poczta była. Bardzo stara. A listonosze jadali tu obiady.

Valentina podeszła do zawieszanej na murze kościoła wywieszki.

- „Guild and ward church of st Botolph-without-Aldersgate” - przeczytała. Spojrzała na Roberta, który z uśmiechem wzruszył ramionami. Podeszła kilka kroków do szopy z tyłu parku.

- Ciepło - powiedział.

Valentina podbiegła do siostry. Szopa była pokryta pięknymi, białymi tabliczkami, na których widniały niebieskie, stylowe napisy:

„Elizabeth Boxall z Bethnnaal Green, lat 17. Zmarła wskutek obrażeń, które odniosła, ratując dziecko spod kopyt spłoszonego konia. 20 czerwca, 1888”.

„Frederick Alfred Croft, inspektor, lat 31. Ocalał niespełna rozumu kobietę, która próbowała popełnić

samobójstwo na dworcu Woolwich Arsenal. Pociąg zabił tylko jego. 11 stycznia, 1878".

Bliźniaczki przechadzały się tam i z powrotem, czytając napisy na białych tabliczkach. Były ich setki.

„David Selves z Woolwich, lat 12. Ratował tonącego towarzysza i poszedł na dno w jego ramionach. 12 września, 1886".

- Jesteś chory, wiesz o tym? - rzuciła do Roberta Julia. Spojrzał na nią, lekko urażony.

- To tablice pamiątkowe na cześć ludzi, którzy poświęcili się dla bliźnich. Według mnie są piękne. - Popatrzył na Valentinę, a ona skinęła głową.

- Ładne są - powiedziała i zaczęła się zastanawiać, z jakiego powodu Julia zachowała się tak nieuprzejmie.

Zwykle tego rodzaju rzeczy podobały się im obu. W tabliczkach było coś bardzo dziwnego - opisywały ludzkie historie w bardzo skrótowy sposób, sugerując ogrom tragedii, ozdobiono je wzorami kwiatów, liści, koron i kotwic. Wszystkie te ornamenty jakby się sprzeciwiały, a nawet zadawały kłam słowom: „utonął”, „spłonął”, „został zmiążdżony”, „runął”.

„Sarah Smith, artystka teatru pantomimy w Prince's Theatre. Zginęła wskutek straszliwych oparzeń. Spłonęła, kiedy ubrana w łatwopalną sukienkę próbowała ugasić płomień na ciele swej koleżanki. 24 stycznia, 1863".

Natłok tych zwykłych, przeciętnych katastrof zaczął Valentinie ciążyć. Wróciła na ławkę, usiadła. Dla pewności

dwa razy pociągnęła z inhalatora. Julia z Robertem przyglądali się jej z oddali.

- Ma astmę? - spytał Robert.

- Tak, ale podejrzewam, że w tej chwili próbuje raczej zapobiec atakowi paniki. - Dziewczyna zmarszczyła czoło. - Dlaczego nas tu przyprowadziłeś?

- To było jedno z ulubionych miejsc Elspeth. Gdyby to ona oprowadzała was po Londynie, też by tu z wami przyszła.

Ruszyli ku Valentine.

- Zjemy coś? - Robert rozpakował kanapki i podał je bliźniaczkom wraz z napojami.

Usiedli obok siebie na ławce i jedli w milczeniu.

- Wszystko w porządku? - zwrócił się do Valentyny.

Rzuciła okiem na siostrę.

- W porządku. Dzięki za poczęstunek. Dobre te kanapki. Julia, powiedz coś miłego, poprosiła w myślach.

- Tak, naprawdę dobre. Z czym są?

- Krewetki i majonez.

Bliźniaczki zajrzały do swoich kanapek.

- To wygląda jak sałatka z owoców morza.

- U was tak by się to nazywało, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego tak dziwnie je określacie.

- Cały czas próbujemy się nauczyć brytyjskiego. - Julia się uśmiechnęła. - Wygląda na to, że logika nie ma tu wiele do gadania.

- Byłeś kiedyś w Stanach? — zaciekała się Valentina.

- Tak - odpowiedział Robert. - Kilka lat temu poleciliśmy z Elspeth do Nowego Jorku. Zwiedziliśmy też Wielki Kanion.

Na twarzach bliźniaczek odmalowało się zdumienie.

- Dlaczego nie przyjechaliście do nas? - spytała Julia.



- Rozmawialiśmy o tym. Elspeth postanowiła jednak was nie odwiedzać. O wielu rzeczach nigdy mi nie mówiła. Może, gdyby wiedziała, że umrze... - Robert wzruszył ramionami. - Niechętnie opowiadała o przeszłości.

Siostry wymieniły się spojrzeniami i w milczeniu zdecydowały, że to Valentina poprosi.

- Ale masz jej dokumenty? I teraz już wszystko wiesz?

- Tak, mam jej dzienniki. Nie czytałem ich jeszcze.

- Co? Jak mogłeś tego nie przeczytać? — Julia nie była w stanie ukryć oburzenia.

Cicho, Julia, ja to załatwię, pomyślała Valentina.

- Nie jesteś ciekaw? - spytała.

- Boję się - odparł Robert.

- Ach... - Valentina popatrzyła kątem oka na siostrę, która wyglądała tak, jakby chciała natychmiast biec do domu i, nie bacząc na Roberta, zapoznać się z pamiętnikami Elspeth. - Cóż, tak się zastanawialiśmy... hmm... Czy nie mogłybyśmy ich przeczytać? No bo dostałyśmy jej mieszkanie, wszystkie rzeczy, a jej samej zupełnie nie znamy, i rozumiesz, ciekawi nas to. Ona nas interesuje.

Robert pokręcił głową, jeszcze zanim dziewczyna skończyła ostatnie zdanie.

- Przykro mi, wiem, że była waszą krewną, i normalnie nie miałbym nic przeciwko temu, lecz Elspeth wyraźnie mi poleciła, żebym ich wam nie pokazywał. Przepraszam.

- Ale ona już nie żyje - rzuciła Julia.

Umilkli. Valentina siedziała obok Roberta. Nie patrząc na bliźniaczkę, wzięła go za rękę. Robert wplótł swe palce między jej.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Uznajmy, że nie było tematu. Przepraszamy.

Julia przewróciła oczami. Siniak na jej policzku był już mniej wyraźny, zamaskowała go makijażem, ale Valentina i tak czuła wyrzuty sumienia za każdym razem, gdy na nią spoglądała. Zastanawiała się, czy Robert zauważył ślad.

- To nie moja decyzja - podjął. - Nie znam treści tych dzienników i nie jestem w stanie wam powiedzieć, dlaczego lepiej, żebyście i wyjej nie poznały. Ale wiem, że Elspeth na was zależało, i jestem pewien, że gdyby nie chodziło o coś bardzo ważnego, nie byłaby tak nieugięta w tej sprawie.

- Dobrze, dobrze - mruknęła Julia. - Nieważne.

Na wąskim paśmie nieba nad parkiem pojawiły się chmury. Spadły pierwsze, rzadkie krople deszczu.

- Chyba powinniśmy się zbierać - zauważył Robert.

Piknik okazał się klęską, zupełnie nie przypominał wielkemiejskiej idylli, którą wyobraził sobie dziś rano. Wyszli z parku, wszyscy w różnym stopniu przygnębieni. W autobusie Valentina usiadła z Robertem, a Julia naprzeciwko. Robert wyciągnął rękę, Valentina wsunęła w nią swoją dłoń i wrócili do Highgate w pełnym przyjemnego zaskoczenia milczeniu.

# WIEWIÓRKI W LUDZKICH CIAŁACH

Martinowi śniło się, że jedzie metrem. Podróżował wagonem, w którym siedzenia były rozmieszczone pod ścianami. Z początku był jedynym pasażerem, ale wkrótce pojawili się inni ludzie i po chwili wpatrywał się już we własne kolana, by uniknąć gapienia się na krocze stojącego tuż przed nim mężczyzny. Nie był pewien, na której stacji powinien wysiąść. Jechał linią zataczającą okrąg wokół City, więc gdyby nie wysiadł, jeździłby w kółko. Zaczął więc usilnie próbować sobie przypomnieć, dokąd jedzie.

Z siedzeń znajdujących się bezpośrednio przed nim dolatywały go osobliwe dźwięki - rwanie, łamanie, gryzienie i żucie - wzmagały się z każdą chwilą. Martin poczuł niepokój - hałasy działały na niego jak dźwięk zgrzytania zębami. Wtem coś potoczyło się ku niemu po podłodze. Orzech.

Metro zatrzymało się na stacji Monument i spora część ludzi wysiadła. Nikt nie zasłaniał mu już widoku. Naprzeciwko siedziały dwie kobiety. Miały na nogach zdarte, białe adidasy i lekarskie fartuchy. Na kolanach trzymały siatki. Wiodły wokół spojrzeniem wyłupiastych oczu, z ich ust wystawały górne siekacze. Rozglądały się lękliwie, jakby były gotowe w każdej chwili bronić swych bagaży przed złodziejami. Co chwila zanurzały w torbach swoje szerokie

jak łopaty dłonie, wyciągały orzechy i rozgryzały je wielkimi zębami.

- Na co się gapisz? - rzuciła jedna do Martina.

Słyszał stukot turlających się po całym wagonie skorup. Inni pasażerowie nie widzieli nic. Martin pokręcił głową, niezdolny dobyć z siebie choć słowa. Ku jego przerażeniu, kobiety wstały i usiadły po obu jego stronach. Ta, która się przedtem odezwała, pochyliła się i przysunęła usta do jego ucha.

- Jesteśmy wiewiórkami w ludzkich ciałach - szepnęła. - Ty też.

## ODDECH

- Musimy pójść z tobą do lekarza - stwierdziła Julia.

Valentina skinęła głową i chorobliwie zaświszczała.

Powiedzieć było łatwo, ale wykonać o wiele trudniej. Bliźniaczki żyły dotąd w błogiej nieświadomości tego, jak złożony jest system rządzący brytyjską publiczną służbą zdrowia. Wtajemniczył je Robert, który bardzo się starał, by w jego tonie nie dało się usłyszeć zniechęcenia.

- Nie oczekujcie, że się tam po prostu stawicie i ktoś zajmie się waszym problemem - poinformował Valentinę, gdy siostry zagadnęły go przed drzwiami mieszkania. Stał z plikiem papierów w dłoni i wymachiwał nim, podkreślając wagę niektórych słów. - Najpierw musicie znaleźć przychodnię z lekarzem pierwszego kontaktu, i to takim, który może jeszcze zapisać do siebie nowych pacjentów. Umówicie się z nim i zarejestrujecie, co wymaga wypełnienia masy dokumentów i przedstawienia dokładnej historii chorób. I potem, dopiero potem, będziecie mogły skorzystać z konsultacji.

Valentina chciała coś powiedzieć, ale udało jej się tylko zakasłać.

Julia pogroziła Robertowi palcem, jakby to on, osobiście, zachęcał je do skorzystania z usług publicznej służby zdrowia.

- Nie ma mowy - powiedziała. - Myszka potrzebuje lekarza natychmiast.

- W takim razie zgłóście się do szpitala Whittington, na izbę przyjęć — poradził.

Tak właśnie zrobili. Robert poszedł razem z dziewczynami.

Szpital Whittington mieścił się w sporych rozmiarów budynku położonym u stóp wzgórza Highgate, zaraz po drugiej stronie Waterlow Park. Wybrali się spacerem. Gnały ich mocne powiewy wilgotnego wiatru i zanim dotarli do celu, Valentina oddychała już pojedynczymi, przypominającymi skurcze haustami.

Zadano jej kilka pytań, odczekała jakiś czas, po czym przyszła po nią młoda, pakistańska pielęgniarka. Julia i Robert słyszeli jej ciche, kojące słowa. Po chwili wyprowadziła Valentinę przez podwójne drzwi dzielące poczekalnię od właściwej części oddziału. By dopełnić formalności, usiedli przy biurku, zajmowanym przez urzędnika w średnim wieku o obwisłych jak u basseta policzkach.

- Jakieś alergie?

- Tetracyklina, pleśń, soja - odpowiedziała Julia.

- Choroby przewlekłe?

- Cóż, Valentina ma *situs inversus*.

Mężczyzna, który dotąd miał na twarzy wypisane wyłączenie znudzenie, teraz podniósł wzrok na Julię i pytająco uniósł brew.

- Jesteśmy lustrzanymi bliźniaczkami i moja siostra ma większość organów po przeciwnej stronie niż ja. Serce ma tutaj - dotknęła dłońią miejsca po prawej stronie mostka — ma też odwrotnie położoną wątrobę, nerki i te inne.

Urzędnik zastanowił się, po czym zaczął zawzięcie notować.

- Nie miałem o tym pojęcia - wtrącił Robert.

- Teraz już wiesz - odparła Julia. - Ale to nie ma żadnego znaczenia. Dla nikogo poza lekarzami.

- Chodziło mi o to, że nie wiedziałem, że jesteście lustrzanymi bliźniaczkami. Byłem przekonany, że jesteście identyczne. I wydawało mi się, że lustrzane siostry byłyby bardziej... zróżnicowane?

Jesteśmy zbudowane raczej symetrycznie - Julia wzruszyła ramionami - i po naszych twarzach tak bardzo tego nie widać. Możesz to zauważyć, gdy przyjrzesz się temu, jak układają się nam włosy, albo jeśli zwrócisz uwagę na pieprzyki. A gdybyś zobaczył nasze zdjęcia rentgenowskie, miałybyś pewność - wewnątrz jesteśmy swymi doskonałymi odbiciami. Aha - dodała, spoglądając na urzędnika za biurkiem - Valentina ma też skłonność do wypadania zastawki mitralnej.

- Co to znaczy? — spytał Robert.

- Jedną z jej zastawek nie wykształciła się prawidłowo - wyjaśniła dziewczyna. - Dlatego zawsze bardzo się martwię, kiedy zaczyna tak dziwnie oddychać. Astma może przeciążyć jej serce i wtedy miałybyśmy poważne kłopoty.

- To nie do wiary, że spędziłyście w Londynie już trzy miesiące bez wizyty u lekarza! — rzucił ostro Robert, który nagle zaniepokoił się nie na żarty.

- Chciałyśmy to zrobić od razu, ale się przeciągnęło, bo nie miałyśmy pojęcia jak się do tego zabrać. Naprawdę o tym myślałyśmy. - Julia zdawała sobie sprawę, że takie wytłumaczenie trudno uznać za wystarczające, przez co rozłościła się jeszcze bardziej. Skończyła wypełniać dokumenty i wrócili na fotele w poczekalni.

Lekarz zdiagnozował u Valentyny zapalenie oskrzeli. Do domu wrócili taksówką. Dziewczyna kuliła się w ramionach

siostry i bez przerwy kaszłała. Gdy znaleźli się z powrotem w Vautravers, Robert ruszył za bliźniaczkami na górę.

- Nie - powstrzymała go Julia obcesowo. - Poradzimy sobie. Dzięki. - Odwróciła się.

- Ale ona musi... - zaprotestował słabo Robert.

- Ja o nią zadbam. To moje zadanie - rzuciła, przyglądając się Valentinie, która powoli wspinała się na piętro, przystając dla odpoczynku na każdym stopniu.

- Może chociaż pójść do apteki? — zaproponował Robert.

Julia zastanowiła się. To by rzeczywiście pomogło. Do apteki trzeba było jechać autobusem.

- Okej. Masz. - Podała mu receptę, jakby to ona świadczyła przysługę, nie on.

Wyszedł na zewnątrz. Mężczyzna z misją.

Ja się nią zajmę, pomyślała Julia. Nie ty. Poszła za siostrą do mieszkania. Jeszcze zanim zdjęła płaszcz, napełniła termofor gorącą wodą i weszła do sypialni, w której powoli rozbierała się Valentina.

- Gdzie jest Robert? — spytała, jakby nie słyszała rozmowy na schodach.

- Pojechał do apteki - odparła Julia.

Valentina bez słowa położyła się do łóżka. Siostra dała jej termofor, włączyła nawilżacz powietrza, przyniosła książkę, zaparzyła herbatę; robiła to wszystko z determinacją i radośnie, po każdym ukończonym zadaniu mruczała z zadowolenia pod nosem. Gdy wróciła do sypialni z herbatą, zastała kotka zwiniętego w kłębek obok głowy Valenty, która zapadła w półsen. Zwierzak wyciągnął łapkę i złożył ją opiekuńczo na ramieniu dziewczyny. Rzucił Julii podejrziwe spojrzenie.



Ty też? - spytała go w myślach. Wszyscy chcemy być dla niej tą najważniejszą osobą. Odstawiła tacę z filiżanką na stolik. Czy gdybym ja zachorowała, to też wszyscy rzucaliby się mi na wyścigi na pomoc? - zastanowiła się i ta myśl wprawiła ją w irytację. Nigdy nie chorowała, skąd więc i po co takie wątpliwości? Valentina oddychała chrapliwie. Julia usiadła z filiżanką w ręku na szerokim parapecie. Elspeth, która spędzała tam ostatnio czas, musiała wstać i stanąć obok łóżka. Zjawa gryzła ze zmartwienia własny kciuk. Dzień był bardzo ciężki dla wszystkich - dla ludzi, kotów i duchów.

\*\*\*

Edie siedziała przy stole w jadalni. Popijała kawę. Telefon leżał tuż przy jej łokciu; nie patrzyła na niego, ale trzymała na podorędziu, na wypadek gdyby za chwilę zadzwonił. Pojawił się Jack z egzemplarzem „Sunday Timesa”. Zajął się dzieleniem gazety na części dla żony i dla siebie. Edie wyciągnęła rękę i mąż podał jej dodatek z informacjami biznesowymi. Zajrzała do środka i przesunęła palcem po tabelach wskaźników giełdowych, cicho przy tym cmokając. Rozległ się dzwonek telefonu. Edie upiła łyk kawy, jakby zupełnie się jej nie śpieszyło odebrać, i pozwoliła mu zadzwonić trzy razy. Jack wyszedł i podniósł słuchawkę w sypialni.

- Mama?
- Cześć, Julia - przywitała się Edie.
- Valentina? - odezwał się Jack z drugiego aparatu.
- Cześć, tato. - Valentina próbowała zmusić głos do normalnego brzmienia, ale jedynym efektem tych wysiłków był gwałtowny atak kaszlu.

- O mój Boże - zmartwiła się Edie. - Nieładnie. Doro-  
biłaś się.

- Zwykle zapalenie oskrzeli — wyjaśniła Julia — byliśmy  
u lekarza.

- Dziś już mi lepiej - dodała Valentina, po czym odłożyła  
słuchawkę i poszła do łazienki, żeby się porządnie wykasleć.

Julia popatrzyła za siostrą, która oparła się łokciami  
o umywalkę i zakryła dłonią usta, by stłumić dźwięk.

- Dostałaś antybiotyki? A bierzesz ten środek na rozrze-  
dzenie śluzu, który przepisał ci doktor Brooks?

Edie i Julia wdały się w spokojną i bardzo szczegółową  
dyskusję na temat wszystkiego, co mogły i powinny zro-  
bić w kwestii choroby Valentyny. Wreszcie i ona, wróciwszy  
z łazienki, włączyła się do rozmowy.

- Poznałyśmy Roberta Fanshawa - powiedziała, chcąc  
zmienić temat.

- Nareszcie - stwierdził Jack. - Gdzie ten facet się przez  
cały czas podziewał?

- Pomoże nam zapisać się do tutejszej ubezpieczalni -  
powiedziała Julia.

- Ach - rzuciła Edie. - Rozumiem... Jaki on jest?

- Ponury - odpowiedziała Julia. - Trochę zdziwaczały.  
Gdyby był w naszym wieku, zapewne zostałby gothem,  
wiecie, miałby masę kolczyków i tatuaży.

- Nie, nie - sprostowała Valentina. - Jest bardzo miły.  
Może tylko trochę nieśmiały i na pierwszy rzut oka widać,  
że bardzo tęskni za Elspeth. Nosi takie małe okulary jak  
Lennon. - Chciała powiedzieć więcej, ale kaszel znów zmu-  
sił ją do odłożenia słuchawki.

- Valentina na niego leci - poinformowała rodziców Julia.  
Valentina przeciągnęła palcem po gardle. „Nie, Julia”.

- Chyba jest dla niej trochę za stary. Przecież on musi być mniej więcej w naszym wieku? - rzucił Jack.

- Myślę, że młodszy. W każdym razie po trzydziestce.  
Valentina wróciła do telefonu.

- Nie lecę na niego. Co nie zmienia faktu, że jest miły.

Aha, jasne, przemknęło Edie przez głowę, ale miała na tyle rozsądku, by nie skomentować. Rozmowa zeszała na pogodę, filmy, politykę. Gdy wreszcie skończyli, Valentina spojrziała gniewnie na siostrę.

- Teraz będą się zamartwiać. Po coś im to powiedziała? - rzuciła.

- Odwróciłam uwagę od twojej choroby - odparła Julia.

- Ale powiedziałaś nieprawdę!

Julia odpowiedziała śmiechem.

Jack i Edie odłożyli słuchawki równocześnie i spotkali się w przedpokoju.

- Nie rób takiej miny - powiedział Jack. - Mówiły przecież, że to nic takiego.

- I właśnie dlatego tym bardziej powinniśmy się martwić - prychnęła Edie.

Mąż ją objął.

- Fakt, ten kaszel brzmiał okropnie.

- Może powinniśmy tam polecieć. Nie wchodzilibyśmy do mieszkania, zatrzymalibyśmy się gdzieś w Londynie. Może coś wynajmiemy w pobliżu... - Wtuliła się w Jacka. Zawsze podobało się jej, że jest dużym mężczyzną, uwielbiała czuć się przy nim mała. Czerpała z tego poczucie pewności, ukojenie.

Pogładził żonę po włosach.

- Jak ty byś się czuła, gdyby to twoja matka przeleciała za nami ocean i wprowadziła się ulicę obok?

- To byłaby zupełnie inna sytuacja.
- Dadzą sobie radę. Zostawmy je w spokoju.

Pokręciła głową, ale uśmiechnęła się do męża. Właśnie tak, pomyślał. Rozpromień się i bądź moją Edie. To mi wystarczy. Pocałował ją w czubek głowy.

- Wszystko będzie dobrze.

\*\*\*

Robert i Jessica pili popołudniową herbatę na piętrze cmentarnego biura. Jessica spojrzała na niego swym Znaczącym Spojrzeniem. Spiał się, oczekując jednej z jej Pogadank. Spodziewał się, że dzisiejsza będzie dotyczyła Niepozwalania Turystom Na Spowalnianie Wycieczek Poprzez Kręcenie Kolejnych Filmów albo że usłyszy wykład na temat: Pamiętaj Proszę, Żeby Nie Chodzić z Rękami W Kieszeniach, Ponieważ Wygląda To Trochę Niepoważnie. A jednak udało się jej go zaskoczyć.

- Nie sądzisz, że ona jest dla ciebie nieco za młoda? - spytała Jessica.

- Nieco?

- O wiele za młoda?

- Może - przyznał Robert. - Ale od kiedy zaczyna się „zbyt młoda”?

- Nie chodzi mi o wiek. Znałam wielu ludzi, którzy, już mając dwadzieścia jeden lat, byli zupełnie dojrzały - ale one obie wydają się tak bardzo niedoświadczone. Przypominają mi moje córki, gdy miały po szesnaście lat.

- To jest w pewien sposób pociągające.

Machnęła ręką.

- Wiesz co mam na myśli. Dziwię się, że po Elspeth, która była taką cudowną dziewczyną, taką opanowaną,

poukładaną kobietą.... Po prostu uważam, że Valentina to niecodzienny wybór.

- Dawniej niektórzy twierdzili, że ja byłem zbyt młody dla Elspeth.

- Usłyszałeś to kiedyś ode mnie?

- O ile sobie przypominam, to tak. Tutaj, w tym samym biurze.

- Na pewno nie.

- Elspeth była ode mnie starsza o dziewięć lat. Ale teraz zacząłem ją doganiać...

- T a k . . . To prawda.

- Ty też jesteś młodsza od Jamesa.

- James ma dziewięćdziesiąt cztery. Ja w lipcu skończę osiemdziesiąt pięć.

- To ciekawe, dlaczego według powszechnego osądu to mężczyzna może być tym starszym w związku.

- Według mnie to właśnie sprawka mężczyzn.

- Rozumiem. Nigdy mi nie opowiedziałaś, jak poznaliście się z Jamesem.

Zawahała się. To musi być jakaś pikantna historia, stwierdził w duchu Robert. Ma taką minę, jakbym zapytał o rozmiar jej stanika.

- Poznaliśmy się w czasie wojny. Byłam asystentką Jamesa w Bletchley Park\*.

- Żartujesz? Nie miałem pojęcia. Zajmowaliście się łamaniem szyfrów?

- T a k naprawdę zajmowaliśmy się bardziej stroną... administracyjną. - Jessica ściągnęła usta, jak gdyby już powiedziała więcej niż to było konieczne.

**\* Bletchley Park - potoczna nazwa działającego od 1939 roku zespołu brytyjskich kryptologów (przyp. tłum.).**

- Byłem przekonany, że studiowałeś prawo.
- W ciągu długiego życia można robić wiele rzeczy. Grałam też w tenisa i zdołałam wychować trójkę dzieci. Miałam dość czasu na wiele rozmaitych przygód.
- No i uratowałaś cmentarz.
- Dobrze wiesz, że nie zrobiłam tego sama. Była jeszcze Molly i Catherine i Edward... wsparło nas wielu wspaniałych ludzi. Choć oczywiście pomocy w takich sprawach nigdy nie jest dość. A skoro o tym mowa, to może, wracając do siebie, wzięłbyś to i wrzucił do skrzynek Anthony'ego i Lacey? Zaoszczędzę na znaczkach.

- Jasne.

Jessica westchnęła.

- Muszę przyznać, że kiedy myślę o tych wszystkich liściach, które muszę jeszcze napisać, od razu czuję się zmęczona. - Odstawiła filiżankę na stolik i wyciągnęła ręce ku Robertowi. - Chodź tu i pomóż staruszce dźwignąć się z krzesła.

Robert spędził popołudnie w mauzoleum Strathcona przy bramie do wschodniej części cmentarza. Sprzedawał bilety i przyglądał się ogrodnikom przycinającym gałęzie drzew. Dzień parł naprzód raczej powoli i Robert miał czas, by zastanowić się nad słowami Jessiki. Czy miała rację? Może Valentina naprawdę jest dla niego zbyt młoda? Może powinien dać sobie z nią spokój i wrócić do opłakiwania Elspeth? Oczywiście wcale z tego nie zrezygnował; każda myśl o Elspeth nadal powodowała w nim ból. Uczciwie jednak przyznawał, że nie wraca już do niej myślami tak często jak przedtem i że przyjazd bliźniaczek dziwnie zbiegł się w czasie z chwilą, w której przestał poświęcać każdą minutę życia na rozmyślania o zmarłej. Wstydził się tego, czuł się trochę jak strażnik, który poddał graniczny posterunek

nieprzyjacielskiej armii. Ale przecież, zastanawiał się, Elspeth nie chciałaby, żebym resztę życia spędził w żałobie, prawda? Nie rozmawiali o tym przed jej śmiercią, ale czuł się źle, bez względu na to, czy poświęcał się akurat wspomnieniom, czy pozwalał Valentinie pojawiać się w myślach, jakie dawniej były zarezerwowane dla Elspeth. Wyrzuty sumienia nie opuszczały go więc ani na moment. Z jednej strony było to męczące, z drugiej jednak w pewien sposób przyjemne.

\*\*\*

Pewnego dnia, wczesnie rano, Robert zastał Valentinę siedzącą w ogrodzie za domem z termosem herbaty. Wychodził właśnie z cmentarza przez zieloną furtkę i zauważył dziewczynę dopiero, kiedy powiedziała „dzień dobry”.

- Dobry boże - rzucił. Cofnął się o krok i omal nie zwichnął kostki na nagrobku pod murem. - To znaczy, chciałem powiedzieć... Dzień dobry.

Dziewczyna odpoczywała na niskiej kamiennej ławce. Miała na sobie pikowany szlafrok. Była boso.

- Och, przepraszam!

- Nie zimno ci? - Zanosiło się na ciepły dzień, niemniej poranek był wciąż chłodny.

- Teraz już zimno. Herbata wystygła.

- No to może wejdziemy do środka?

Rzuciła okiem na okna na pierwszym piętrze.

- Julia jeszcze śpi.

Przeszli po wilgotnym mchu. Robert przepuścił ją w drzwiach. Kiedy przechodziła pod jego wyciągniętym ramieniem, poczuł się tak, jakby schwytał dzikiego ptaka.

- Chcesz ciepły sweter? Albo coś innego?

- Nie, ale może filiżankę herbaty?

Robert wstawił wodę i poszedł zmienić ubłocone na cmentarzu ubranie. Gdy wrócił, zastał Valentine stojącą w jego gabinecie.

- Kim są te kobiety? - spytała.

Cała przestrzeń nad biurkiem była upstrzona pocztówkami, wycinkami z czasopism, wydrukami zdjęć z Internetu, kserokopiami książkowych ilustracji. Wszystkie przedstawiały kobiety. Były przypięte promieniście, rozchodziły się od środka ściany. Zbierały się w gromady, przypominały układy słoneczne w galaktyce kobiet.

- A c h , to jest Eleanor Marx, córka Karola, To z kolei żona Henry'ego Wooda, a to Catherine Dickens....

- I wszystkie zostały pochowane na Highgate?

- T a k .

- Żadnych mężczyzn?

- Mężczyźni są tutaj. - Druga galaktyka rozpościerała się na przeciwległej ścianie. - Kiedy brak mi natchnienia, wołę przyglądać się kobietom. Taki tłum mężczyzn przyprawiłby mnie o ból głowy.

Valentina włączyła lampkę na biurku, żeby się lepiej przyjrzeć. Zagwizdał czajnik i Robert zostawił ją samą. Po chwili wrócił z herbatą.

- Widziałam ten obraz w Tate - powiedziała i wskazała na pocztówkę przypiętą na środku ściany. — Kim ona jest?

- To obraz Millais „Ofelia”. Modelką była Elizabeth Siddal.

Valentina spojrzała na niego i Robert poczuł, że oblewa się rumieńcem.

- Sporo tu jej wizerunków.

- Była muzą Dante Gabriela Rossettiego. Po prostu nie mógł przestać jej malować. Taka top modelka prerafaelitów. Mam na jej punkcie lekką obsesję.

- Dlaczego?



- Właśnie, dlaczego? Nie była szczególnie miłą osobą, często chorowała, zazwyczaj nie miała grosza przy duszy. Może dlatego, że była piękna i młodo zmarła? - Uśmiechnął się. - Nie patrz tak na mnie. To niegroźna obsesja.

- Odnoszę wrażenie, że za bardzo interesujesz się martwymi dziewczynami - zauważyła Valentina.

Żartowała, ale Robert przeszedł do defensywy.

- Ale nie dlatego, że nie żyją. Chociaż to, co nieosiągalne, zawsze jest o wiele bardziej pociągające.

- Och... - Ciekawe, co tak naprawdę chciał przez to powiedzieć?

Robert przesunął na bok stos papierów i usiadł na biurku. Podsunął dziewczynie obrotowy fotelik i zawirowała dokoła z wyciągniętymi przed siebie bosymi stopami. Kubek trzymała ostrożnie w dłoniach. Wyglądała tak dziecinnie, że aż poczuł się niezręcznie. Martwe kobiety to teraz najmniejszy z moich problemów, pomyślał.

- Nie masz zbyt wielu mebli — zauważyła.

- Nie. To mieszkanie jest dla mnie o wiele za duże. I stanowczo za drogie.

- Więc jak to się stało, że tu zamieszkałeś?

- To wszystko przez Elspeth.

Valentina wyszczerzyła się w uśmiechu i znów obróciła z fotelem.

- Prawie tak samo jak ja. - Wyciągnęła bosą nogę i zatrzymała się, po czym zakręciła powoli w przeciwną stronę. - Wprowadziłeś się tu z jej powodu?

- Poznałem ją w ogrodzie przed domem. Kręciłem się tu, bo mieli tabliczkę „Do wynajęcia”, a ja szukałem mieszkania w budynku graniczącym z cmentarzem. Zależało mi na takim przejściu jak w naszym murze. Wiesz, zobaczyłem tę małą furtkę... No więc zapisywałem sobie właśnie numer

pośrednika, a Elspeth wyskoczyła do ogrodu. Powiedziała, że ma klucz, i zaproponowała, żebym obejrzał mieszkanie. Oczywiście zgodziłem się. Oprowadziła mnie i od razu zauważyłem, że jest zbyt przestronne, ale nie ma to jak atrakcyjna kobieta w pustym pokoju... - Robert zatracił się w opowieści i na moment Valentina przestała dla niego istnieć. - Skończyło się tak, że się wprowadziłem. Byłem na tyle głupi, że dopiero po latach dotarło do mnie, że to ona mnie poderwała, a nie ja ją. Cóż, prawo szczenięcego wieku.

- Kiedy to było?

Robert przeliczył w myślach.

- Prawie trzynaście lat temu.

- Ach... - My miałyśmy wtedy po osiem lat, pomyślała i nagle coś przyszło jej do głowy. - Dlaczego nie zamieszkalicie razem? Przecież te mieszkania są wielkie, i to dziwne, że zakochana para żyje oddzielnie. Nie masz też zbyt wielu rzeczy, więc...

- Nie, nie mam. - Robert patrzył na jej kolana. - Elspeth nie chciała. Zanim mnie poznała, mieszkała już z kimś i wcale jej się to nie podobało. Pod koniec zmieniła chyba zdanie, wtedy gdy się nią opiekowałem. Wydaje mi się, że zrozumiała, że nam wspólne życie mogło się udać. Ale, z drugiej strony, ja świetnie daję sobie radę sam. Ona była podobna. Lubiła przebywać sama w czterech ścianach i mieć jednocześnie świadomość, że jestem w pobliżu.

- Nasza matka jest taka sama.

- Naprawdę?

- M a m wrażenie, że ojciec tego nie rozumie. Wiesz, mama czasami sprawia wrażenie wiecznego gościa, jest supersamowystarczalna, raz zachowuje się obojętnie, jakby jej nie było, a potem nagle staje się wesoła i jakby bardziej

obecna, rozumiesz? - Podniosła na niego wzrok. - Elspeth też taka była?

Robert się zawahał. Zastanawiał się, co dokładnie dziewczyna ma na myśli.

- Tak - przyznał. — Zdarzało się, że była duchem zupełnie gdzie indziej, nawet kiedy siedzieliśmy u mnie.

Przypomniał sobie zachowanie Elspeth, która - zwłaszcza po tym jak się kochali - odpływała dokądś myślami, mimo że leżał spocony tuż obok niej.

- Jasne, rozumiem. A czy Elspeth lubiła kierować ludźmi? Nasza mama bez przerwy wszystkimi komenderuje.

- Hmm. Chyba tak, ale mnie się to podobało. Lubię, kiedy ktoś mną rządzi. Wychowały mnie ciotki. Całe dzieciństwo przeżyłem pod dyktando kobiet. - Uśmiechnął się. - Mam za to wrażenie, że tobą steruje Julia.

- Tyle że ja nie widzę w tym nic fajnego. - Valentina wyduła usta. - Sama nie chcę nikim kierować i nie lubię, kiedy inni zachowują się tak wobec mnie.

- Całkiem rozsądne podejście.

- Która godzina? - spytała. Nagle zaniepokojona, wyprostowała się i odstawiła kubek na biurko.

Robert spojrzął na zegarek.

- Wpół do ósmej — powiedział.

- Już tak późno? Muszę iść. - Podniosła się.

- Czekaj - rzucił. - Co się stało? - Zsunął się z biurka i stanął przed dziewczyną.

- Julia zacznie się martwić. Obudzi się, a mnie nie będzie.

Robert zadumał się na chwilę. Ona tu wróci, pomyślał. Puść ją. Poczuł się dojmująco samotny, już zanim Valentina oznajmiła, że powinna wracać. Odprowadził ją do drzwi. Położyła dłoń na klamce. Zrobiło się niezręcznie.

- Zjadłabyś może ze mną kolację? - zapytał.
- T a k .
- W sobotę?
- Okej. - Wciąż stała, czekała.

Robertowi wydało się, że może ją pocałować, i tak właśnie uczynił. Pocałunek okazał się dla niego zaskoczeniem. Od dawna nie całował się z nikim prócz Elspeth. Pocałunek okazał się zaskoczeniem także dla Valentyny, niewiele osób całowała dotąd w ten sposób - dotychczas było to dla niej doznanie bardziej teoretyczne niż praktyczne. Stała potem z zamkniętymi oczami, rozchyłonymi ustami, pochyloną lekko głową. Ona mi złamie serce, a ja jej na to pozwolę, stwierdził Robert w duchu. Wreszcie dziewczyna wyszła i wbiegła na schody. Usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi. Próbował uporządkować w myślach to, co się właśnie stało. Nie udało mu się i zdjęło go zmieszanie, poczuł zawroty głowy. Nalał sobie drinka i położył się do łóżka.

\*\*\*

W sobotę wieczorem Robert stawił się u drzwi bliźniaczek. Miał na sobie garnitur. Valentina wymknęła się z mieszkania.

- Chodźmy - powiedziała.

W jednym z wiszących w przedpokoju luster Robert zauważył odbicie Julii - stała w półmroku, żałosna, opuszczona. Uniósł dłoń, żeby jej pomachać, ale Valentina zesza już śpiesznie po schodach. Ruszył za nią. Raz jeszcze popatrzył w górę i zauważył twarz Julii w drzwiach. Obrzuciła go niezadowolonym spojrzeniem i wróciła do mieszkania.

Zamówił taksówkę.

- Do Andrew Edmundsa, w Soho - polecił kierowcy.

Pomknęli przez Highgate Village i Kentish Town. Robert przyjrzał się Valentinie dokładniej i dotarło do niego, że włożyła ubrania Elspeth - czarną aksamitną sukienkę i biały kaszmirowy szal - które obudziły w nim wspomnienia innych wieczorów, sprzed wielu lat. Nawet buty dziewczyny należały dawniej do zmarłej. Co ona chce mi w ten sposób przekazać? - zastanowił się, po czym zaraz dotarło do niego, że Valentina mogła po prostu przylecieć do Anglii bez wieczorowego stroju. Poczuł ukłucie irytacji — przecież dostały w spadku dość pieniędzy, by mogły sobie kupić nowe ciuchy. W tym ubraniu wydawała się starsza, zupełnie jakby wchłonęła w siebie część Elspeth. Wyglądała przez okno.

- Nie mam pojęcia gdzie jesteśmy...

Robert spojrział na zewnątrz.

- Camden Town.

- Wszystkie okolice są tu takie same. - Valentina westchnęła. - A samo miasto jest przytłaczająco wielkie.

- Nie podoba ci się Londyn?

Pokręciła głową.

- Chciałabym, żeby mi się spodobał - wyjaśniła. - Ale to nie jest mój dom.

Dotąd Robertowi nawet nie przyszło do głowy, że dziewczyna może zechcieć wyjechać po upływie wyznaczonego w testamencie roku. Teraz poczuł nagłą, wręcz palącą potrzebę przekonania jej, by została.

- Ja nie wyobrażam sobie, że mógłbym zamieszkać gdzie indziej. No, ale ja się w tym mieście wychowałem. Pewnie, gdybym je opuścił, też miałbym wrażenie... wykorzenia. Tutaj są wszystkie moje wspomnienia.

- Właśnie. Dokładnie to samo czuję, myśląc o Chicago. Uśmiechnął się.

- Nie jesteś czasem za młoda na taką nostalgię? Ja jestem zaśniedziałym, starym historykiem. Mam prawo być nieco sztywny. Ale ty? Ty powinnaś żyć życiem pełnym przygód.

- Ile właściwie masz lat? - spytała.

- Za dwa tygodnie skończę trzydzieści siedem - odpowiedział. Zauważył przy tym, że nie zaprotestowała, kiedy nazwał się starym.

- Powinniśmy wyprawić dla ciebie imprezę - rozpromieniła się.

W pierwszej chwili uznał, że Valentina ma na myśli jedynie ich dwoje, siebie i jego, dopiero potem pojął, że wliczyła w to i Julię. Natychmiast wyobraził sobie najbardziej prawdopodobną reakcję drugiej z sióstr.

- Planuję urządzić skromne przyjęcie na cmentarzu. Wiesz, tort, herbata. Może byście przyszły? Poznacie wszystkich...

- Okej - zgodziła się z uśmiechem. - Nigdy jeszcze nie byłam na urodzinowej imprezie na cmentarzu.

- Wiesz, nie spodziewaj się niczego wielkiego. Nieco bardziej uroczysta herbata niż zwykle. Żadnych prezentów ani nic takiego.

Zaczęli wymieniać się historiami związanymi z urodzinami.

„Poszliśmy po raz pierwszy do cyrku...”, „Skończyłem w szpitalu na płukaniu żołądka...”, „Julia strasznie się wściekła...”, „Tamtego ranka pojawił się mój ojciec, zobaczyłem go wtedy po raz pierwszy w życiu...”.

- Co???

Robert umilkł, nie był pewien, czy powinien o tym opowiadać na tak wczesnym etapie znajomości.

- Hm, cóż. Moi rodzice nie byli małżeństwem. Prawdę powiedziawszy, ojciec miał drugą rodzinę. W Birmingham.

Taką prawdziwą. Nadal zresztą z nią mieszka. Jego żona i dzieci nie mają pojęcia o istnieniu mojej matki i mnie. A ja poznałem go dopiero w dzień swoich piątych urodzin. Przyjechał do nas drogim lamborghini i zabrał na całodzienną wycieczkę do Brighton. Wtedy też po raz pierwszy widziałem morze.

- Dziwne. Dlaczego zwlekał z poznaniem ciebie aż tyle czasu?

- Jest bardzo egocentryczny i niespecjalnie przepada za dziećmi. Co jest swoją drogą dosyć zabawne, ponieważ mam pięcioro przyrodniego rodzeństwa. Matka twierdziła, że przyjechał mnie poznać, ponieważ wtedy wreszcie zdobyła się na to, by poprosić go o pieniądze. Potem wpadał jeszcze co jakiś czas. Pamiętam, że przywoził nam niepraktyczne prezenty... To wesoły człowiek, i jednocześnie zupełnie niegodny zaufania. Kiedy byłem młodszy, bałem się, że zabierze mnie od mamy i nigdy już jej nie zobaczę.

Valentina spojrzała Robertowi w oczy. Czy on żartuje? - zastanowiła się. Jeśli nawet tak było, to zupełnie nie potrafiła tego wyczuć. Taksówka zatrzymała się przed restauracją. Dziewczyna spodziewała się, że będzie to duży, nabity ludźmi, cichy lokal. Zamiast tego znalazła się w maleńkiej, tłocznej salce o niskim suficie, pełnej pociemniałego ze starości drewna. Odniosła niecodzienne dla siebie wrażenie, że jest do tego wnętrza za duża. To prawdziwy Londyn. Tutaj jadają rodowici londyńscy. Zawirowały emocje: zwycięskie poczucie, że wreszcie przestała być turystką; zadowolenie z tego, że trafiła tu bez Julii; myśl, że nie poradzi sobie w rozmowie z Robertem. Co się mówi komuś, kto się obawiał, że ojciec porwie go od matki? Co powiedziałyby Julia? Usiedli przy niewielkim stoliku, wciśnięci pomiędzy hałaśliwie świętujących

bankierów z City i agenta literackiego zawzięcie zabiegającego o względy wydawcy.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - zapytała wreszcie.

Robert uniósł wzrok znad menu.

- Przepraszam...?

- No, twój ojciec. Mówiłeś...

- Ach, tak. Teraz wiem, że nigdy by tego nie zrobił, ale raz po raz na ten temat żartował. Bez przerwy opowiadał, jak byłoby wspaniale, my razem. Zapowiadał, że wywiezie mnie na północ... Mnie zawsze kojarzył się ze złośliwym, porywającym dzieci gnomem. Dopóki nie stałem się nastolatkiem, bardzo się go bałem.

Valentina popatrzyła na Roberta szeroko otwartymi oczyma, po czym, nie wiedząc co odpowiedzieć, uciekła wzrokiem do swojego menu. Opowiada o tym tak spokojnie, myślała. Pewnie jest tak, że własna rodzina nigdy nikomu nie wydaje się dziwna, bez względu na to, jak wyglądają w niej relacje. Wróciło do niej poczucie — ostatnio wcale nierzadkie - że jest bardzo młoda i bardzo amerykańska.

Posunąłem się za daleko, stwierdził w duchu Robert.

- Masz może ochotę na kieliszek wina? - zapytał. — Co zamówisz?

Wdali się w urywaną rozmowę, przyprawioną wspólnym uwielbieniem dla skeczy Monty Pythona, anegdotami z życia cmentarza, opowieściami o wybrykach kota Valentiny, wyrazami uznania dla zupy z kopru włoskiego. Zanim skończyli jeść, wszelka niezręczność zniknęła, ich wzajemna rezerwa i lęk wobec siebie nigdy wcześniej nie były tak słabe.

\*\*\*



Popołudnie w pustym mieszkaniu bardzo się dłużyło. Julia przez chwilę rozważała, czy nie pójść na górę do Martina, ale była na to zbyt wściekła. Buntowała się przeciw swemu osamotnieniu, ale nie chciała przed nim uciekać. Postanowiła spędzić najbardziej nieszczęśliwy wieczór życia. Nawet wciąż zepsuty telewizor jakby w tym pomagał.

Odgrzała sobie zupę pomidorową i usiadła z talerzem w jadalni. Przy jedzeniu czytała stare, znalezione w gabinecie Elspeth wydanie *Jima szczęściarza*. Zjawa zajęła miejsce po drugiej stronie stołu i przyglądała się dziewczynie. Nie poplam tego! To pierwsza edycja, z autografem! Ostatnio zaczęło do niej docierać, że powinna była zostawić bliźniaczkom bardziej szczegółowe dyspozycje co do obchodzenia się z jej rzeczami. Siostry - nie mając oczywiście złych intencji - traktowały wszystko, co znalazły w mieszkaniu, z irytującą beztroską: w kąpielni czytały antykwaryczne wydania *Tristrama Shandy* i *Villette*, pamflety Daniela Defoe wciskały byle jak do torebek, by przeglądać je w metrze. Elspeth żałowała, że nie jest w stanie wyrwać Julii cennej książki. Ale właściwie dlaczego mi to tak bardzo przeszkadza? To przecież tylko papier. A ona czyta. Powinnam być zadowolona. Nie powinnam się też wściekać o to, że Valentina nosi moje ubrania i umawia się z Robertem na kolację. A jednak nie podoba mi się to. Bardzo. Julia skończyła jeść, zamknęła *Jima szczęściarza*, uprzątnęła ze stołu i pozmywała. Zaczęła się bawić z kotkiem, ale zwierzak wkrótce się znudził i udał na drzemkę w garderobie. Potem dziewczyna położyła się na sofie i wpatrywała w sufit. Wreszcie nie wytrzymała i włączyła komputer. Kilka godzin zabiła, pisząc mejle do kilkorga zaniedbanych od jakiegoś czasu przyjaciół ze szkoły. Nadaśana Elspeth ukryła się w swojej szufladzie. O dziesiątej Julia wzięła kąpiel. O dziesiątej trzydzieści

stwierdziła w duchu, że Valentina powinna wrócić już za kilka chwil. O północy parę razy zadzwoniła na komórkę siostry i zaczęła się bać nie na żarty. Zjawa obserwowała chodzącą nerwowo po mieszkaniu dziewczynę i ogarnęło ją dręczące przeczucie... Czego? Kłopotów? Niebezpieczeństwa? Cała sytuacja zaczynała ją powoli przerastać. Powtarzała się przeszłość, niestety, niepokojąco odmieniona. Elspeth przebiegła w myślach wszystkie miejsca, do których Robert mógł zaprosić Valentine; jego ulubione bary, trasy spacerów... Wróc do domu, wróc tu, gdzie mogę mieć na ciebie oko. Julia położyła się do łóżka, ale nie zasnęła, gotowała się ze złości. Zjawa przysiadła na parapecie. Obie czekały.

\*\*\*

- Chciałabyś się przejść nad rzeką? - spytał Robert.

Uišcił już rachunek i zbierali się do wyjścia. Valentina nie odpowiedziała od razu. Pomyślała o butach, które wybrała na ten wieczór. Miały długie szpice i były o pół numeru za duże.

- Jasne - rzuciła.

Do mostu Westminsterskiego podjechali taksówką. Ulice były dziwnie wyludnione. Odgłos ich kroków na chodniku wydawał się dziwnie wyrazisty; z drugiego brzegu dobiegał czyjś śmiech. Valentina nigdy nie była w Westminsterze nocą. Kiedy nie ma tłumów, jest tu o wiele ładniej, stwierdziła w duchu. Robert poprowadził ją przez most. Zeszli po schodach. Stanęli obok siebie przy barierce, spojrzeli na Tamizę i budynek Parlamentu. Pomarańczowy księżyc zwieszał się nisko, tuż nad Big Benem. Robert objął dziewczynę. Zesztywniała. Stali tak przez kilka minut.

- Pójdziemy już? Na pewno ci zimno - odezwał się wreszcie.

- Tak, trochę zmarzłam - odparła.

Wrócili na górę. Kiedy ruszyli, Valentina poczuła ulgę. Nie do końca wiedziała, jak tego rodzaju spotkania powinny się toczyć: była niemal pewna, że ją pocałuje, ale czy spodziewa się czegoś więcej? Czy wyobraża sobie, że weźmie mnie do siebie? Czy rozumie, jak bardzo jest to niemożliwe? Która godzina? Julia na pewno się zamartwi, jeśli nie wrócimy niedługo do domu. Już teraz się pewnie niepokoi, ale potem będzie naprawdę wściekła... Valentina spróbowała rzucić ukradkowe spojrzenie na zegarek Roberta. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, gdzie są, i popatrzyła na tarczę Big Bena. Prawie północ. Przeszli przez Most Waterloo i most Blackfriars. Miała wrażenie, że płonącej stopy. Robert opowiadał o jakiejś wystawie w galerii Tate Modern. Dziewczyna tęsknie spoglądała na każdą mijaną ławkę. Gdy znaleźli się w pobliżu London Bridge, odważyła się odezwać.

- Moglibyśmy na chwilę usiąść?

- Och. - Zrozumiał. - Bardzo przepraszam. Nie pomyślałem o twoich szpilkach.

Valentina opadła na ławkę i zsunęła pantofle. Rozruszała palce, kilka razy wygięła nogi w kostkach. Robert usiadł obok, pochylił się i wziął w ręce buty. Były ciepłe i nieco wilgotne.

- Biedne nóżki — szepnął.

- To nie moje buty - powiedziała.

- W i e m . - Odłożył je na ławkę. - Daj. - Wyciągnął rękę. — Pokaż mi te stopy.

Spojrzała niepewnie, lecz usłuchała. Obrócił ją lekko, tak że oparła się łokciami o ławkę, a nogi złożyła na jego kolanach.

- Możesz zdjąć pończochy?

- Ale nie patrz - rzuciła.

Zaczął masować jej palce i podeszwy. Z początku bacznie mu się przyglądała, lecz po chwili pochyliła głowę i Robert widział już tylko jej długą szyję i lekko spiczasty podbródek. Skupił się na skórze Valentyny. Miał wrażenie, że osiągnął właśnie nowy poziom rozwiązłości - masował stopy młodej dziewczyny w miejscu publicznym. Ciekawe czy mogą mnie za to aresztować? - przemknęło mu przez myśl. Po chwili przestał się zastanawiać nad czymkolwiek. Cały świat skurczył się do ich ławki, do jej nóg i jego dłoni.

Valentina uniosła głowę. Była odprężona, lekko kręciło się jej w głowie. Robert pochylił się i ucałował jej stopy.

- Proszę bardzo - powiedział.

- Mój Boże — rzuciła. - Nie wiem, czy dam radę wstać.

- Zaniosę cię - odparł i tak uczynił.

\*\*\*

Gdy Julia i Elspeth usłyszały kroki na schodach, dochodziła druga w nocy. Dziewczyna wyskoczyła z łóżka, niepewna, czy powinna przywitać Valentinę na schodach, czy poczekać w mieszkaniu. Zjawa poszybowała do przedpokoju i ujrzała uchylające się powoli drzwi; zobaczyła Roberta trzymającego Valentinę w ramionach; widziała, jak delikatnie stawia ją na ziemi; zauważyła, że dziewczyna lekko się chwieje, buty trzymała w dłoniach i Elspeth zrozumiała, co między nimi zaszło, tak dokładnie, jakby wydarzyło się to na jej oczach. Valentina zerknęła w głąb ciemnego mieszkania. Odwróciła się ku Robertowi i lekko mu pomachała. Ukłonił się przed nią dwornie, z uśmiechem, oddał

pończochy i wrócił do siebie. Valentina weszła do środka i zamknęła drzwi. Po cichu zakradła się do sypialni.

Elsbeth została w przedpokoju. Nie miała ochoty przyglądać się kłótni bliźniaczek. Znała to z własnego doświadczenia. Poczwała, że musi wyjść, pobyc sama, zastanowić się. Chciała znaleźć Roberta i poprosić go... Tylko o co właściwie miałabym go prosić? Co mogłabym powiedzieć? Zaprażyła mocnego drinka i porządnego, długiego płaczu w wannie z ciepłą wodą. Miała ochotę iść przed siebie bez celu, dopóki nie zmęczy się tak bardzo, że będzie w stanie zasnąć. Zamiast tego jednak udała się do gabinetu i wyjrzała przez okno na zalany blaskiem księżyca ogród przed domem. Pozwól mi odejść, zwróciła się do mocy, która ją tu uwięziła. Boże, czy kimkolwiek jesteś, pozwól mi odejść. Patrzyła na drzewa, spoglądała na niebo. Nie stało się nic. Zrozumiała, że nikt jej nie słucha. Wszystko, co ją teraz spotykało, sprowokowała sama.

\*\*\*

Valentina weszła po cichu do sypialni, buty i pończochy wciąż trzymała w dłoniach. Julia siedziała w piżamie na łóżku. Nerwowo machała nogami.

- Wiesz, która jest godzina? - rzuciła, spoglądając na siostrę.

- N i e .

— Prawie druga.

- Och...

Julia zeskoczyła z materaca. Jeśli spróbuje mnie uderzyć, obronię się butami, pomyślała Valentina. Stanęły twarzą w twarz. Żadna nie chciała odezwać się pierwsza, każde słowo mogło rozpętać kłótnię. Powinnyśmy się po

prostu położyć spać, pomyślała Julia, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- I tylko tyle masz mi do powiedzenia? „Och”? - syknęła. - Och, och, och?

Valentina wzruszyła ramionami.

- To nie jest areszt domowy. A ty nie jesteś moją mamą. I nawet gdybyś była, to mam dwadzieścia jeden lat.

Co mi na to odpowiesz, co?

- Informowanie o godzinie powrotu to dobry zwyczaj cywilizowanych ludzi. Martwiłam się.

Jestem dla ciebie kimś więcej niż mamą. Nie możesz mnie tak zostawiać.

- Nie mój problem. Wiedziałaś dokąd i z kim wychodzę. Nie jestem twoją własnością.

- Poszłaś na kolację! Kolacje nie trwają do drugiej!

Co wyście robili przez siedem godzin?

- Byłam na randce! Nie twoja sprawa!

Odczep się.

- Moja! Co chcesz przez to powiedzieć?

Przecież nigdy nie miałyśmy przed sobą tajemnic.

- Nie uważasz, że pora, abyśmy zaczęły żyć po swojemu? Boże, Julia, daj spokój.

- Żyjemy! Żyjemy po swojemu razem...

Valentina!

- Nie o to mi chodzi! - Valentina cisnęła butami przez całą sypialnię. Upadły na dywan. - Wiesz co mam na myśli. Chcę żyć własnym życiem! Chcę prywatności! Mam dość bycia połową osoby. - Rozpłakała się.

Julia postąpiła krok naprzód.

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnęła Valentina. - Nie! - Wybiegła z pokoju.

Julia została sama. Opuściła ręce i zamknęła oczy. Jutro będzie normalnie, pomyślała. Jakby ta rozmowa nigdy nie nastąpiła. Wróciła do łóżka i leżała, próbując wyłowić z ciemności jakiegokolwiek odgłosy świadczące o tym, co robi Valentina. Wreszcie zmorzył ją sen i przyśniło się jej, że jest na górze, w mieszkaniu Martina, i chodzi samotnie pośród stert pudełek.

Valentina pościeliła sobie w drugiej sypialni. Pościel była lepka. Kładąc się w białej bieliźnie, poczuła się dziwnie wyrafinowana. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek spała sama. Była zbyt poruszona, by zasnąć. Kłótnia z Julią nie chciała zniknąć z jej myśli; spędzony z Robertem wieczór wydawał się w tej chwili tak odległy, jakby to było kilka tygodni temu - niewielka, przyjemna przerwa w o wiele bardziej realnej bitwie. W końcu uznała się za racjonalną i zwycięską. To ja wygrałam. Powiedziałam dokładnie to, co chciałam. To ja miałam rację, nie Julia, i ona dobrze o tym wie. Od teraz wszystko się zmieni.

Rankiem bliźniaczki spotkały się w kuchni. Usmażyły jajecznicę, wrzuciły tosty do opiekacza. Zjadły śniadanie w chłodnym świetle poranka. Nie mówiły zbyt wiele. Wszystko było normalnie i wszystko się zmieniło.

## WITAMINY

- Strasznie wyglądasz - oceniła Julia, patrząc na Martina. - Kupię ci jakieś witaminy.

- Mówisz zupełnie jak Marijke.

- To dobrze czy źle?

Rozmawiali w jego gabinecie. Było późne popołudnie; Valentina wybrała się z Robertem na cmentarz, więc Julia, niczym bezdomne zwierzę, poszła na górę. Miała nadzieję, że Martin poogląda z nią telewizję. Sąsiad jednak był zajęty pracą i dziewczyna kręciła się teraz po jego mieszkaniu, znudzona i wyczekująca zarazem.

Martin uśmiechnął się i obrócił w jej stronę. W słabym świetle monitora wydawała się istotą z innego świata; Julia z kolei dostrzegła w nim piękno, choć musiała przyznać, że była to chorobliwa uroda. Miał niebieskawą twarz, a jego dłonie, zalane pomarańczowym światłem lampki, wydawały się niezwykle intensywnie zabarwione.

- To miłe. Dobrze mieć kogoś, kto się o ciebie troszczy, choć trochę. Ale nie chcę, żebyś martwiła się na zapas.

W umyśle Julii zaczął kiełkować pewien pomysł.

- Nie będę. Ale czy gdybym przyniosła ci te witaminy, brałbyś je?

Martin spojrział na ekran. Układał krzyżówkę. Kliknął i zaczerpnął trzy kwadraty.



- Może. Obawiam się, że zazwyczaj zapominam o lekarstwach.
- Mogłabym ci przypominać. Chętnie się tego podejmę.
- Cóż, to pewnie łatwiejsze niż jedzenie zieleniny.
- Okej. Jutro pojedę do apteki - postanowiła i się zawałała. - Chcesz pracować całą noc?
- Tak. Powinienem był się tym zająć już wczoraj, ale coś mnie rozproszyło. Muszę to mieć gotowe na pojutrze. - Zanotował coś na odręcznym planie krzyżówki. — Jeśli chcesz pooglądać telewizję, to proszę bardzo.
- Nie, nie mam ochoty oglądać sama. Pójdę do siebie i poczytam.
- Dobrze. Przepraszam, że okazałem się dziś tak marnym towarzyszem, ale naprawdę muszę to skończyć, albo wydawca stanie u mych drzwi z pistoletem w ręku.
- Spoko.
- Plan był gotów jeszcze zanim Julia wróciła do swojego mieszkania.
- Nie możesz tego zrobić - zaprotestowała Valentina, gdy siostra przedstawiła jej swój pomysł. - Nie możesz potajemnie karmić go lekarstwami.
- Dlaczego nie? Sam powiedział, że odmowa przyjmowania leków stanowi część choroby. Więc będę mu je podawać pod pozorem witamin, a wkrótce sam dostrzeże korzyści. Może nawet zacznie wychodzić na dwór.
- A pomyślałaś o efektach ubocznych? Co, jeśli ma na któryś z tych specyfików alergię? Zresztą, w jaki sposób zamierzasz dostać pigułki na nerwicę natręctw?
- Pójdziemy po prostu do lekarza i udamy, że ja na to cierpię. Sporo o tym czytałam. Nietrudno będzie ściemnić. Wymyśliłam, że powiem doktorowi, że bardzo się boję węży. Może też zgolę sobie brwi.

- J a k t o „my”? Nigdzie z tobą nie idę. - Valentina kurczowo ścisnęła oparcie fotela, jakby w obawie, że bliźniaczka wyciągnie ją z niego przemocą.

- Okej, sama to zrobię. - Julia wzruszyła ramionami.

Realizacja planu okazała się o wiele bardziej skomplikowana, niż się tego spodziewała. Wreszcie jednak Julia dostała receptę na anafranil. Przełożyła pastylki do buteleczki po witaminach i któregoś z następnych wieczorów, po kolacji, pojawiła się w gabinecie Martina.

- Patrz, nie zapomniałam - pochwaliła się i zagrzechała pigułkami.

Mężczyzna pochylał się właśnie nad jakimiś zdjęciami, zagubiony w obcym języku.

- Słucham? Ach, to ty, Julia. Cześć. Cóż to takiego? Och, to bardzo miło z twojej strony, dziękuję. Daj, postawię je sobie obok komputera, dzięki czemu nie zapomnę zażywać.

- Nie, nie — zaprotestowała. - Zatrzymam je, i to ja będę ci je regularnie podawać. Tak się przecież umawialiśmy.

- Naprawdę? - Martin zdziwił się lekko.

Poszedł do kuchni, skąd przyniósł szklankę wody. Dziewczyna wręczyła mu pastylkę. Uniósł ją na otwartej dłoni i przyjrzał się jej. Spojrzał uważnie na Julię, ale się nie odezwał.

- Nie połkniesz? - spytała nerwowo.

Na kapsułce widniało wyraźnie wytłoczone: ANAFRANIL 25 MG. Miała nadzieję, że krótkowzroczność Martina nie pozwoli mu odczytać napisu.

- Hmm? Ach, tak. - Włożył lekarstwo do ust i popił. - Proszę bardzo, siostrzo przełożona.

Julia wybuchnęła śmiechem.

- Od razu lepiej wyglądasz. - Zamachała buteleczką i wróciła na dół.

Valentina siedziała na podłodze, wpatrzona w ekran swojego laptopa.

- Zabijesz go - rzuciła.

- Nie, jak to? O czym ty mówisz?

- Popatrz na to. - Valentina obróciła komputer w stronę siostry, która usiadła obok. - Zobacz, co piszą o efektach ubocznych.

Julia zaczęła czytać.

- Zaburzenia akomodacji oka, zaparcia, wymioty, alergie, kołatanie serca... - Lista była długa. Popatrzyła na Valentinę. — Ja często u niego bywam. Widzę więcej, niż zobaczyłby lekarz. Muszę po prostu zwracać na niego uwagę i tyle.

- A jeśli dostanie zawału?

- To się na pewno nie zdarzy.

- A jak pojawią się jakieś napady? Poza tym, do zaparcć czy impotencji na pewno ci się nie przyzna.

- Dałam mu bardzo małą dawkę.

Valentina wyłączyła komputer i się podniosła.

- Jesteś idiotką - powiedziała. — Nie możesz decydować za innych. A bez brwi wyglądasz dość głupio.

- Ty go nawet nie znasz - odparła Julia, ale pokój był już pusty. Julia usłyszała kroki siostry przy drzwiach i na schodach. Zbiegała na dół. - No dobrze - mruknęła. - Rób tak dalej. Jeszcze popamiętasz.

# URODZINY

Dzień jubileuszu Roberta wstał jasny i ciepły. Zeszłej nocy położył się spać o rozsądnej godzinie, więc rano wyskoczył z łóżka niezwykle radosny. Był pełen nadziei.

- Ta-daaa! Urodziny!

Śpiewał pod prysznicem, zjadł tosta i jajko na miękko. Spędził cudowny poranek, redagując rozdział swej rozprawy doktorskiej poświęcony Stephenowi Geary'emu - architektowi cmentarza Highgate. W pracy stawił się przed południem i do drugiej, kiedy musiał oprowadzić wycieczkę, krzżeli się z Jamesem w archiwum. Wszystkie znajome grobowce i pomniki jakby go pozdrowiały: „Kiedyś i ty będziesz martwy” — mówiły - „ale dziś na pewno jeszcze nie umrzesz”. Gdy odprowadził do bramy turystów, wrócił do biura. Na parterze zastał jedynie Nigela - zarządcę nekropolii - i młode małżeństwo omawiające z nim szczegóły pogrzebu ich zmarłego dziecka. Robert błyskawicznie zszedł im z oczu i poszedł na piętro.

Valentina siedziała skromnie i cicho na krześle. Jessica rozmawiała przez telefon; Felicity szykowała herbatę i szepotała z George'em - kamieniarzem - omawiając przygotowany przez niego projekt grobowca. James zawołał Jessicę do archiwum; Edward odbijał na ksero jakieś dokumenty, a Phil zajął się rozpakowywaniem tortu. Po chwili pojawili

się nieśmiało Thomas i Matthew — w biurze nagle zrobiło się tłoczno - grabarze rzadko wchodzili do biura, a obaj byli potężnie zbudowani.

- Patrzcie - pochwalił się Phil. - Kazałem im zrobić Aleję Egipską z lukru.

- Wow - rzucił Robert. - To doprawdy... niesmaczne.

- Tak - przyznał Phil. - Szary lukier nie wygląda apetycznie.

Na widok tortu Felicity wybuchnęła śmiechem. Po chwili wszyscy zamilkli - przypomnieli sobie o nieszczęśliwej parze piętro niżej, w biurze Nigela.

- Jest doskonały - powiedziała ściszym głosem i zaczęła ustawiać na torcie małe różowe świece.

Jessica odłożyła słuchawkę.

- Zachowujcie się - mruknęła, nie kierując jednak tych słów do nikogo w szczególności. Puściła oko do Valentyny i zeszła na dół, do Jamesa.

Dziewczyna, poza Robertem, poznała dotąd jedynie Jessicę i Felicity. Robert uśmiechnął się do niej, wchodząc, i Valentina poczuła przypływ pewności siebie. Z zaskoczeniem przysłuchiwała się pogawędce Roberta i Phila, którzy mężnie znosili wygłupy Thomasa i Matthew żartujących na temat zbliżającej się nieuchronnie śmierci. Trochę tak, jakbym była zoologiem, obserwującym zwierzęta w ich naturalnym środowisku, stwierdziła w zadumie. Tutaj, Robert nie wydawał się ani trochę nieśmiały. Pociągnął Valentynę z krzesła, złożył lekko dłoń na jej plecach i zaczął kolejno przedstawiać obecnym. Cieszyła się tym, że jego znajomi postrzegali ją jako część pary, choć z drugiej strony była przekonana, że gdyby to Julia rościła sobie do niej jakiegokolwiek pretensje, wpadłaby natychmiast w irytację.

James przyszedł wreszcie z archiwum i ostrożnie przysiadł na biurku Jessiki. Po chwili pojawiła się i ona, w towarzystwie Nigela.

- Och - rzucił zarządcą. - A co to za okazja?

- Doroczna impreza z okazji dwudziestego kwietnia, Nigel - zażartowała Felicity. - Gdzie twój kostium?

- Urodziny Roberta - wyjaśnił uprzejmie James.

- Oczywiście, urodziny Roberta - powiedział ze smutkiem Nigel. - Obawiam się, że byłem myślami gdzie indziej.

- Omówiliście wszystko? - zapytał James.

- Tak. Pogrzeb odbędzie się w poniedziałek o jedenastej. - W biurze zapadła cisza; nikt nie lubił chować dzieci.

Kiedy je grzebiemy, zawsze pada, westchnął w duchu Robert i zaraz potem doszedł do wniosku, że to nieprawda. Ale i tak wezmę parasol. Na wszelki wypadek.

- O mój Boże - jęknął Nigel, zauważywszy tort. - Co się z nim stało?

- No, no - sparował Phil - proszę o szacunek dla tego przysmaku. - Zrobił ciastu zdjęcie komórka. - Pójdzie do archiwum.

Felicity zapaliła świece. Wszyscy zebrali się wokół uśmiechniętego, lekko zawstydzonego Roberta i odśpiewali mu „Sto lat”. Valentina dołączyła do chóru. Miała wrażenie, że wszystkich obecnych zna od lat: Phila w jego skórzanym płaszczu i z tatuażami; mówiącego barytonem George'a w koszuli z podwiniętymi rękawami, swobodnie dzierżącego w ubrudzonych grafitem palcach szkic grobowca; Edwarda, który przypominał gwiazdę czarno-białych filmów, paradującego dostojnie w garniturze z krawatem, śpiewającego z rękami splecionymi przed sobą jak do modlitwy; Thomasa i Matthew w ich wysokich butach i szelkach, uśmiechniętych przez całą piosenkę; Nigela o smutnym

obliczu, który wyglądał tak posepnie, jakby się bał, że cała rzecz będzie mieć wyjątkowo nieprzyjemne konsekwencje; uprzejmą, obdarzoną ładnym głosem Felicity; świszczących jak zepsute flety Jessicę i Jamesa - wszyscy śpiewali razem „Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam”. Pod koniec Robert zamknął oczy i złożył sobie jedno, jedyne życzenie: „Chciałbym być znowu szczęśliwy”. Zdmuchnął świece, jedna nie zgasła. Rozległ się cichy, lekko nagłący pomruk. Raz jeszcze zaczerpnął powietrza i dokończył dzieła. Oklaski, śmiech. Robert pokroił tort, pierwszy kawałek podał Valentine. Dziewczyna stała z papierowym talerzykiem w jednej i plastikowym widelcem w drugiej dłoni. Przyglądała się towarzyszowi i odbierającym ciasto gościom. Felicity rozlała herbatę do zebranych w biurze na przestrzeni lat kubków i porcelanowych filiżanek. Robert zjadł kęs; okazało się, że szary lukier smakuje zupełnie zwyczajnie. Rzucił okiem na Valentine i pochwycił jej spojrzenie - milczące i poważne pośród ogólnej wesołości. Nagle dziewczyna uśmiechnęła się, poczuła lekkość ducha; przeszłość gdzieś uleciała, teraz liczyła się tylko przyszłość. Robert podszedł do niej i stanęli obok siebie, jedząc tort, pogrążeni w szczęśliwym, wspólnym milczeniu wśród imprezowego gwaru. Wszystko będzie dobrze, pomyślał.

Obserwowała ich Jessica. Ona tak bardzo przypomina Elspeth, stwierdziła. To aż niepokojące. Zastanowiła się nad dopiero co poznaną parą - młodymi rodzicami. Wychodząc za bramę cmentarza, opierali się jedno na drugim, jakby uderzały w nich podmuchy silnego wiatru, nieodczuwalne dla nikogo innego. Robert i Valentina nie dotykali się w ogóle, ale Jessica, patrząc na nich, odnosiła podobne wrażenie. Wydaje się, że jest szczęśliwy, westchnęła i upiła łyk herbaty. Może wszystko będzie dobrze.

## PISARKA

Elspeth zajęła się kurzem. Nie miała pojęcia, dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej, z jakiego powodu nie wpadła na to, że może się porozumiewać właśnie dzięki niemu. Był lekki i stanowił doskonałe medium przekazywania wiadomości.

Gdy do mieszkania wprowadziły się bliźniaczki, Julia przeciągnęła palcem po fortepianie, zostawiając na nim błyszczący ślad. Ta lśniąca ścieżka przez cały czas bardzo Elspeth drażniła. Zaczęła ją zasypywać drobinami kurzu, chciała zatrzeć skutki bezmyślnego działania dziewczyny. Wtedy właśnie dotarło do niej, że oto rozciąga się przed nią prawdziwa tabula rasa. Kurz stanowił megafon, który mógł wzmocnić jej wołanie. Rozemocjonowała się tak bardzo, że natychmiast wcisnęła się do swojej szuflady i zaczęła się zastanawiać nad tym w jaki sposób wykorzystać swoje odkrycie.

Co powinna powiedzieć, kiedy wreszcie pojawiła się na to szansa? „Pomocy, nie żyję”? Nie, na to przecież nic nie poradzą. Lepiej napiszę coś mnie patetycznego. Nie chcę ich przestraszyć. Chcę, żeby zrozumieli, że to ja, że to nie jest jakaś sztuczka. Pomyślała o Robercie. Mogła skierować wiadomość specjalnie do niego; on ją rozpozna.

Następnego dnia była niedziela. Padało i salon wypełnił się rozdygotanym światłem zza okna. Elspeth uniosła się



nad fortepianem. Gdyby ktokolwiek mógł ją zobaczyć, widziałby jedynie twarz i prawą rękę.

Bliźniaczki siedziały w jadalni, marudząc nad kawą i ostatnimi kęsami tostów z dżemem. Zjawa słyszała ich przyjazną, zdawkową rozmowę, południową pogawędkę - dziewczyny zastanawiały się, czym wypełnić dzień. Przystała się nimi zajmować i skupiła się na nieciekawej, szarej przestrzeni przed sobą.

Delikatnie dotknęła palcem fortepianu. Przypomniała sobie coś, co kiedyś przeczytała: domowy kurz składa się w głównej mierze z kawałeczków naskórka. Możliwe, że piszę w resztkach swego dawnego ciała, pomyślała. Pyłki rozstały się pod naciskiem palca, ustępowały, pozostawiając błyszczącą ścieżkę. Ucieszyła się, że poszło tak łatwo; pracowała starannie, by Robert nie miał wątpliwości, kto jest autorem. Napisanie paru linijek zajęło jej kilka godzin. Zanim skończyła, siostry wyszły z domu. Elspeth uniosła się nad ukończonym dziełem i zamruczała zadowolona. Podziwiała kwiecistość swego podpisu, precyzję interpunkcji. Z wielkim trudem włączyła stojącą na podłodze lampę, która dawniej służyła jej do oświetlania nut. Nie mogą tego nie zauważyć, zaświergotała do siebie i triumfalnie obleciała mieszkanie dokoła, przemykając przez drzwi, muskając sufit. Udało się jej nawet zrzucić kostkę cukru na głowę kota, drzemiącego na krześle wsuniętym pod stół w jadalni. Co za wspaniały dzień!

Robert spędził niedzielę - wypadło akurat święto Pierwszego Maja - przy bramie wschodniej części cmentarza, wskazując licznym gościom, głównie chińskim turystom, drogę do grobu Karola Marksa. Wieczorem usiadł wyczerpany za biurkiem. Zagapił się na ekran komputera i spróbował dojść do tego, co mu się nie podoba w trzecim

rozdziale pracy. Nie był zadowolony z jego wyrazu: był napisany żartobliwie, niemal wesoło, choć traktował o tyfusie i cholercie. Coś go zdecydowanie drażniło. Nie miał pojęcia, z jakiego powodu epidemie wydawały mu się dawniej takie zabawne.

Zaznaczał właśnie na czerwono wymagające zmiany partii tekstu, kiedy ktoś załomotał do drzwi.

W korytarzu stały bliźniaczki. Wyglądały bardzo poważnie.

- Chodź na górę - poprosiła Valentina.

- Co się stało?

- Musimy ci coś pokazać.

Julia szła po schodach za siostrą i Robertem. Czuła wyrzuty sumienia i jednocześnie nadzieję.

W mieszkaniu paliły się wszystkie światła. Dziewczyny zaprowadziły Roberta do fortepianu i cofnęły się. Wśród kurzu zobaczył odręczne pismo Elspeth:

WITAJCIE, VALENTINO I JULIO.

JESTEM TU.

POZDROWIENIA, ELSPETH.

I poniżej:

ROBERT, 22 CZERWCA 1992 E

W głowie miał zupełną pustkę. Wyciągnął rękę, ale Valentina chwyciła go.

- Co to znaczy? Ta data? - spytała Julia.

- To coś... Coś, o czym wiedzieliśmy tylko my dwoje.

- Włączyła też lampę - powiedziała Valentina.

- Co się stało tamtego dnia? - naciskała Julia.

- Charakter pisma wygląda zupełnie jak naszej mamy - zauważyła Valentina.

- Co się stało...

- To prywatna sprawa. Moja i Elspeth - odparł Robert.

Bliźniaczki wymieniły się spojrzeniami i usiadły na sofie, ze splecionymi na kolanach dłońmi. Czytał wiadomość raz po raz. Wrócił myślami do tamtego pierwszego dnia: stał w ogrodzie przed domem, zapisywał numer pośrednika. Elspeth przyglądała się mu z okna. Zamachała i odpowiedział tym samym; zniknęła i niemal natychmiast pojawiła się na zewnątrz - musiała biec po schodach. Miała na sobie białą sukienkę na ramiączkach; włosy spięła z tyłu w koński ogon, a na nogi włożyła te tanie, gumowe sandałki. Jak one się nazywały? Głośno klapały o jej pięty, gdy prowadziła go po schodach do mieszkania. Tamtego dnia było całkowicie puste. Pokazywała mu kolejno wszystkie pokoje, ale rozmawiali na inne tematy. Co sobie wtedy powiedzieli? Nie pamiętał. Przypominał sobie jedynie to, co widział, kiedy za nią chodził, sposób w jaki sukienka odsłaniała jej łopatki, delikatne odciski kręgów na skórze, które niknęły pod suwakiem, smukłą talię i luźną spódnicę. Tego lata była lekko opalona. Potem weszli na górę do niej i pili piwo z lemoniadą, a jeszcze później znaleźli się w jej sypialni, gdzie rozpiął zamek białej sukienki, która odpadła z niej niczym muszla. Poczuł pod palcami jej ciepłe ciało. W końcu wynajął to mieszkanie, ale w tamto pierwsze popołudnie zupełnie nie pamiętał, po co przyszedł, zapomniał o wszystkim poza jej nagimi stopami, jej wiecznie wymykającymi się spince włosami, jej nieumalowaną twarzą, ruchami jej dłoni. Rozpadnę się na kawałki, Elspeth, pomyślał. Nie potrafię... Nie wiem, co mam teraz myśleć.

Wciąż wpatrywał się w fortepian. Do mnie tego nie czuje, zadumała się Valentina. Julia czekała, zastanawiając się, czy Elspeth jest z nimi w pokoju. Kotek wskoczył na sofę i przycupnął na oparciu. Złożył łapy pod piersią i przyglądał się ludziom, obojętny na wszelkie, obecne lub nie, duchy.

- Elspeth? - odezwał się wreszcie Robert.

Wszyscy po kolei poczuli przenikające ich ciała ulotne zimno.

- Napiszesz coś do nas? - spytał.

Bliźniaczki wstały z kanapy i we trójkę spojrzeli w pokrywający fortepian kurz.

Przypominało to wyświetlaną w zwolnionym tempie kreskówkę. Pył zaczął znikać; niewidzialna siła napisała:

TAK.

Elspeth widziała wyraźnie, że Robert stara się pogodzić przeszłość z terażniejszością, rozumiała, że jest mocno zdenerwowany, wytracony z równowagi. Valentina też na niego patrzyła, a ją obserwowała Julia. Właśnie tak to jest. Wszystkim nam ciężko, westchnęła zjawa. Zaczęła chodzić po pokoju, dotykając kolejnych przedmiotów. Zakołysały się drzwi, chybotwały zasłony. Gdy kilka razy zapaliła i zgasiła lampę, Robert podniósł wzrok znad fortepianu.

- Chodź tu, moja słodka - powiedział i podleciała do niego, zdjęta nagłym szczęściem.

Odczuł jej bliskość jak chłodny powiew. Jak mogłem tego wcześniej nie rozumieć, myślał. Była tu przez cały czas, a ja zostawiłem ją samą. Przypomniał sobie wszystkie odwiedziny na cmentarzu, godziny, które strawił, siedząc na schodku grobowca Noblinów, swobodne pogawędki, wieczór spędzony z Valentiną nad rzeką. Poczul się głupio i ogarnęły go mdłości. Ale ja nie wierzyłem, że ona tu jest, prawda? Stał i bezwiednie kręcił głową. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, znieruchomiał.

- Napisz nam, jak to jest... Jak się czujesz? - Chciał jej powiedzieć znacznie więcej, ale nie mógł, ze względu na obecność bliźniaczek.

Elspeth uniosła się nad fortepianem i zastanowiła nad odpowiedzią. Jak ja się czuję? Cóż, czuję się martwa. Nie, nie. Myślmy pozytywnie. Hmm... Zastanawiając się, nakreśliła w kurzu niewielką spiralę. Robertowi przypomniały się wszystkie kartki papieru, które zamazała takimi samymi bazgrołami, rozmawiając przez telefon. Jesteś tu, naprawdę tu jesteś.

Blizniaczki patrzyły na błyszczący na fortepianie, świeży znak, postronne obserwatoria. Jesteśmy jak te owce obecne przy narodzinach Jezusa, pomyślała Julia. Valentina zaczęła się zastanawiać, czy Elspeth miała je przez cały czas na oku. Co ona sobie o nas myśli? Czy nas lubi? Żadna z tych myśli nie była przyjemna. Spróbowała sobie przypomnieć, czy zdarzyło się, by którakolwiek z nich powiedziała o Elspeth coś niemiłego. Gdy siostry były jeszcze małe, zwykły się straszyć Bogiem, który według księży nieustannie je obserwował. Nigdy nie jest się dostatecznie dobrym... Spojrzała na wyraz twarzy Roberta. Zapomniał o niej. Czekał w napięciu na kolejne słowa Elspeth.

Wreszcie zaczęły się pojawiać:

SAMOTNA, UWIEŻIONA W MIESZKANIU, ZADOWOLONA, ŻE POZNAŁAM V I J. TĘSKNIĘ ZA TOBĄ.

- Możemy ci jakoś pomóc? Jest coś, czego bardzo chcesz? — spytała Julia.

CZYTAĆ KSIĄŻKI, BAWIĆ SIĘ, UWAGI.

- Chcesz, by zwracać na ciebie uwagę?

TAK, ROZMAWIAĆ ZE MNĄ. BAWIĆ SIĘ.

Elspeth pisała tak szybko, jak tylko potrafiła. Litery stały się mniej precyzyjne, większe. Wkrótce zrozumiała, że powierzchnia fortepianu nie pozwoli na zbyt długą rozmowę.

W tej samej chwili kotek wskoczył na klawiaturę. Rozległ się brzęk strun. Zwierzak przebiegł na klawisz, ścierając słowa Elspeth niczym odkurzacz.

- Ej! - Valentina zgoniła intruza - Niedobry! - Odrzuciła go na sofę. Obrażony wpełzł pod instrument.

Nietknięta powierzchnia kurzu stawała się coraz mniejsza. Elspeth napisała na skraju:

R. SEANSE. TABLICZKA OUIJA?

- Tak, Wiktorianie używali takich tabliczek. I automatycznego pisania. Duchy opętywały media i komunikowały się, pisząc za pośrednictwem ich rąk. Ale przecież to byli oszuści, Elspeth. Nigdy nie udowodniono...

MOŻE NIE - pojawiło się w kurzu.

- No tak, racja. Chcesz spróbować.

OUIJA?

- Będę musiał zrobić tabliczkę. - Spojrzał na bliźniaczki. - Macie dużą kartkę papieru? Potrzebny nam notes, długopis i jakieś naczynie, który posłuży za wózek spirytystyczny.

Julia poszła do kuchni, skąd wróciła z piórem i szklanką. Valentina przyniosła notatnik i kilka kartek białego papieru, które wyjęła z drukarki. Skleiła je taśmą.

Robert wypisał na nich w trzech rzędach litery alfabetu. W górnych rogach tabliczki umieścił słowa „Tak” i „Nie”. Położył płachtę na stoliku, szklankę ustawił do góry nogami na środku.

Szkoło jest zbyt ciężkie, uznała Elspeth. Udało się jej nią poruszyć w miejscu, co wyglądało jakby naczynie przeżywało swoje własne, osobiste trzęsienie ziemi, ale nie była w stanie przesunąć go nawet o milimetr.

- Potrzebujemy czegoś bardzo lekkiego - powiedział Robert. - Może kapsel?

Julia wróciła biegiem do kuchni i przyniosła z niej mały, niebieski krążek plastiku, który oderwała dziś rano z butelki po mleku.

- Doskonale - ucieszył się Robert.

Położył kółko w miejsce szklanki i nagle zaczęło szaleć po kartce. Julia odniosła wrażenie, że martwy przedmiot ucieszył się z uwolnienia ze śmietnika. Łatwo było wyobrazić sobie Elspeth, kiedy pisała w kurzu na pianinie. Teraz, gdy poruszała kawałeczkiem plastiku, wydawało się, że to sam przedmiot ożył i kieruje się własną wolą. Siostry usiadły na podłodze, tuż obok stolika. Robert opadł na sofę i pochylił się nad tabliczką. Niebieskie kółko przestało się poruszać, czekało, nasłuchiwało. Kotek wyszedł spod fortepianu, ugiął tylne łapki i zaczął gotować się do skoku. Zabierzcie stąd to zwierzę, pomyślała Elspeth i, zupełnie jakby odezwała się na głos, Valentina wstała z miejsca, wyniosła kotka do jadalni i zamknęła drzwi.

Gdy usiadła na powrót, spytała:

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że jesteś uwięziona w mieszkaniu? Byłaś tu przez cały czas? - Nie zapytała „Czy obserwowałaś nas bez przerwy?“, choć tak naprawdę tego właśnie chciała się dowiedzieć.

Plastikowe kółko zaczęło powoli, litera po literze, odpowiadać. Nikt go nie dotykał; poruszało się samo, od znaku do znaku.

**TAK ZAWSZE TUTAJ NIE MOGĘ WYJŚĆ**

Robert wszystko starannie spisywał w notesie. Zaczął żałować, że nie umieścił na tabliczce znaków przestankowych.

- A co z Niebem? - zapytała Julia. - Z tym wszystkim, o czym mówią w kościele?

**NIE MAM DOWODÓW ZA ANI PRZECIWI TYLKO TU CZEKAM**

- Och - jęknęła dziewczyna. - Na zawsze? Czy cokolwiek się zmienia?

NABIERAM SIĘ

- Czy to spotyka wszystkich umarłych?

NIE WIEM JESTEM SAMA. Elspeth chciała zadawać pytania, a nie tylko na nie odpowiadać. CO U EDIE - przeliterowała, zanim Julia zdążyła się znowu odezwać.

Blizniaczki wymieniły się spojrzeniami.

- W porządku - odrzekła Valentina. - Było jej przykro, że nie pozwoliłaś jej nas tu odwiedzać.

Plastikowe kółko przez chwilę krążyło bez celu po kartce. Wreszcie Elspeth napisała:

NIE MÓWCIE EDIE

- Czego jej nie mówić? - odezwał się Robert.

ŻE JESTEM DUCHEM NIE MÓWCIE NIKOMU

- I tak nikt by nam nie uwierzył - zapewniła Valentina. - Znasz mamę, znałaby, że kłamiemy. I na pewno by się jej to nie spodobało. Nie w takiej sprawie. To byłoby okrutne.

TAK OKRUTNE MÓWICIE PO FRANCUSKU

- Tak - przyznała Julia.

ŁACINIE

- Och, nie.

VENI HUC CRAS R UT TECUM EX SOLO COLLOQUAR

Robert się uśmiechnął. To nieładnie mieć tajemnice w towarzystwie, pomyślała Valentina. Przecież i tak mają całe lata wspólnych sekretów. Dostała mdłości. Robert wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach. Spojrzała niepewnie. Julia i Elspeth poczuły ukłucie zazdrości, obie poczuły się niezręcznie, choć z innych powodów.

ZMĘCZONA - przeliterowała Elspeth.

- Okej. - Robert skinął głową.



## DOBRANOC

- Dobranoc, słodka.
- Dobranoc, ciociu Elspeth.

Robert i siostry podnieśli się z miejsc. Zapadło krępujące milczenie; w obecności Elspeth nie mieli sobie nic do powiedzenia. Każde chciało znaleźć się gdzie indziej i wybuchnąć - tłumaczyć sobie, jak zrobiło się dziwnie i ekscytująco i niepomyślnie. I co z tym zrobić?

- Cóż, zatem dobranoc - pożegnał się Robert i poszedł na dół.

- Dobranoc. - Dziewczyny odprowadziły go wzrokiem.

Wrócił do siebie i spojrzał w sufit, wstrząśnięty i zbity z tropu. Chwilę później zaniósł się śmiechem, który doleciał aż do mieszkania bliźniaczek. Siedziały we dwie przy małym stoliku i bez słowa bawiły się kawałkiem plastiku. Elspeth jeszcze przez chwilę leżała na podłodze w przedpokoju i nasłuchiwała głosu Roberta. Gdy wreszcie umilkł, przeszła z powrotem do salonu. Musnęła obie siostry po głowie. „Dobranoc, dobranoc”. Wsunęła się do szuflady, czując ekstatyczne zadowolenie.

\*\*\*

Następny poranek był równie wilgotny i ponury jak cały poprzedni dzień. Robert leżał w łóżku, wsłuchany w kroki sąsiadek. Bał się, że mogą zostać w domu na cały dzień. Pogoda nie zachęcała do wycieczek. Słyszał pacnięcia łapek galopującego po pokojach kotka. Jak to możliwe, że stworzenie rozmiarów przerośniętego szczura robi hałas godny szwadronu kawalerii? Podniósł się ociężale. Wziął prysznic, zaparzył kawę. Ledwie zdążył ją dopić i się ubrać, u jego drzwi stanęły bliźniaczki.

- Chcesz pójść z nami do Muzeum Churchilla? - spytała Valentina.

- Hmm, chętnie, ale powinienem jednak popracować. Mam straszliwe zaległości w pisaniu. Jessica zaczęła już podejrzewać, że w ogóle to zarzuciłem.

- Oj, daj spokój. Chodź. - Julia zachęcała go przez kilka minut, zdając sobie sprawę, że nie brzmi szczerze. Valentina patrzyła błagalnie.

Robert uprzejmie odmawiał i wreszcie poszły bez niego. Zobaczył z okna ich olbrzymi parasol w szkocką kratę pochylający się w bramie.

Odczekał nieco czasu, by mieć pewność, że siostry znalazły się już w metrze. Wziął papier i ołówek i wyjął z szuflady klucz do mieszkania Elspeth. Poszedł na górę i otworzył drzwi.

Stanął w przedpokoju i zastanowił się, co powinien zrobić najpierw. Postanowił, że najwygodniejszy będzie stół w jadalni, i rozłożył na nim tabliczkę ouija, plastikowy krążek i kartki.

- Elspeth? - odezwał się cicho.

Może śpi? Czy umarli śpiąją? - zastanowił się.

- Elspeth, pomyślałem, że moglibyśmy spróbować automatycznego pisania. Mam wrażenie, że suwanie tym plastikiem bardzo cię męczy. Chcesz?

Miał wrażenie, że na odpowiedź czeka całe wieki. Zamarł z ręką uniesioną nad kartką. Milczał.

Zapadł w zadumę. Myślał o niezliczonych jajkach na miękko, które jadł, siedząc w tym krześle i przy tym stole. Przygotowując ich pierwsze wspólne śniadanie, Elspeth spytała:

- Jakie lubisz jajka?

- Na miękko - odpowiedział i pokazał jej, jak należy je gotować.

Ona wolała jajecznicę. Zawsze potem dostawał na poranny posiłek doskonałe jajko na miękko w niebieskim kieliszku. Zaczął się zastanawiać, gdzie ten kieliszek może być teraz. Właśnie zamierzał się podnieść i poszukać, kiedy jego ręka stała się lodowato zimna i zadrgała. Rozejrzał się. Nie zobaczył niczego niezwykłego. Ścisnął mocniej ołówek i usiadł wygodniej.

Tym razem dotknął papieru zaostrozonym końcem. Chłód stopniowo ogarniał całe jego ramię. Rysik zaczął się poruszać po kartce.

Całą stronę wypełniły kółka, pętle, linie przypominające wydruk z sejsmografu. Co jakiś czas czuł, że jego palce, kierowane obcą wolą, nieco inaczej trzymają ołówek. Pochylił się i patrzył. Bezsensowne wzory z wolna stały się mniejsze, dokładniejsze. Robertowi skojarzyło się to z jego szkolnymi czasami, gdy uczył się pisać. Zziębnięta dłoń zaczęła go boleć.

### O CZYM MYŚLISZ

Rozwarł palce, ołówek bezwładnie opadł na kartkę.

- O jajkach na miękko - odpowiedział cicho.

Ołówek zawirował kilka razy, jakby rozweselony, a może zmartwiony swą bezradnością. Robert przełożył go do lewej ręki, by prawa miała czas się rozgrzać.

### LOL TĘSKNIĘ ZA TOBĄ

- Ja też. To zresztą mało powiedziane. Ale ja... Elspeth, to bzdura. Nie zrozumiałem znaków. Przychodziły do mnie sny, w których byłaś żywa, a ja cię ignorowałem. Tydzień temu przyśniło mi się, że szukam cię w Sainsbury's, a ty zamieniłaś się w sałatę, choć ja nie miałem o tym pojęcia. I nagle

okazało się, że właśnie tak jest. To znaczy, nie to, że jesteś sa-  
łatą, ale że byłaś tu przez cały czas, a ja tego nie dostrzegałem.

NIE TWOJA WINA

- Mam wrażenie, że cię zawiodłem.

UMARŁAM NIE TWOJA WINA

- Niby to rozumiem, ale...

Bliźniaczki siedziały na kuchennej podłodze, z uszami przyciśniętymi do drzwi jadalni. Julia spojrzała na mokry, ubłocony ślad, który zostawiły na linoleum. Mam nadzieję, że on tu nie przyjdzie. Nie miałybyśmy się gdzie ukryć, pomyślała. Valentina żałowała, że nie poszły naprawdę do muzeum. Nie chciała słuchać tego, co Robert ma do powiedzenia Elspeth. Popatrzyła na rozciągniętą niewygodnie siostrę, z całych sił wtuloną w drzwi. Julia była cała w skowronkach, uwielbiała szpiegować ludzi.

Elspeth siedziała na stole, przyglądając się twarzy Roberta. Było tak, jakby oślepl. Nie wiedział, gdzie ona jest, więc mówił, patrząc gdzieś w górę:

- ...nie do końca potrafię sobie z tym poradzić. Wszystko wydaje się nieco pozbawione sensu. A teraz okazuje się, że tu jesteś, choć też niezupełnie. - Robert urwał, czekając, aż Elspeth cokolwiek napisze. Nie napisała, więc podjął: - Może mógłbym do ciebie dołączyć? Gdybym umarł...

NIE

- Dlaczego nie?

A JEŚLI UTKNIESZ W SWOIM MIESZKANIU

- No tak.

NIE ZNIOŚLABYM GDYBYŚ UMARŁ

Robert skinął głową.

- Pomówmy o czymś innym.

Dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia oddechy usłyszeły w tej samej chwili.

MÓW DALEJ - napisała Elspeth i Robert zaczął opowiadać jej anegdotę, którą usłyszał wczoraj od Jessiki, zabawną historyjkę ze studiów. Zjawą podeszła do drzwi kuchni i wsunęła przez nie głowę. Z początku nie zauważyła niczego, dopiero potem spojrzała w dół i zobaczyła siostry. Roześmiała się i wróciła do Roberta.

SZPIEGUJA - napisała. PRZYJDŹ KIEDY INDZIEJ

Skąd mam wiedzieć, kiedy przyjść? - zapytał Robert na kartce.

ZAWSZE TU JESTEM - odparła.

- Muszę iść, słodka. Już prawie południe. Obiecałem Jessice, że pomogę jej z ulotkami.

KOCHAM CIĘ

Otworzył usta, by odpowiedzieć tym samym, ale zamiast tego napisał:

Też cię kocham. Zawsze.

Elspeth przeciągnęła palcem po literach. Pomyślała, że chciałyby zatrzymać tę kartkę. Nie, to tylko przedmiot, stwierdziła. Robert zabrał notes i umieścił krzesło na właściwym miejscu. Zatrzymał się w przedpokoju. Nie chciał jej zostawiać. Przeniknęła go fala chłodu. Poczul mdłości. Zaczekał, aż wrażenie przeminie, i wyszedł.

Zjawą wróciła do kuchni, gdzie spodziewała się zastać bliźniaczki. Znalazła jednak tylko błotniste ślady na podłodze. Podleciała do wychodzącego na tyły domu okna i zobaczyła Valentine i Julię wykradające się cicho schodami pożarowymi. Dotarli na dół, przemknęły po mchu i zniknęły w ogrodzie. Są sprytniejsze, niż się wydają. Nie była pewna, czy powinna się tym martwić; targały nią mieszane emocje - dumna i zmartwienie, nostalgia i złość. Szkoda, że nie mogą ich gdzieś schować i powyglądać się z Robertem, westchnęła. Byłabym jednak złą matką.

Czy istnieje bardziej fundamentalna potrzeba niż chęć bycia przez kogoś poznanym bez reszty? W niej zawiera się całość intymności, wzajemne poznawanie się to eliksir miłości. Właśnie temu oddał się Robert. Codziennie - gdy bliźniaczki wychodziły z domu - spędzał z Elspeth długie godziny. Zaabsorbowani sobą, za pomocą kartki i ołówka przeżywali na nowo dni, które dawniej wydawały się zwyczajne, a teraz stały się niezwykle cenne. Lapidarne, wspólne wspomnienia.

- Pamiętasz, jak złamałaś palec u nogi?

W GREEN PARK

- Nigdy przedtem nie płakałaś.

BOLAŁO TEŻ BYŚ BECZAŁ

- Na pewno.

PAMIĘTAM TEGO MIŁEGO TAKSÓWKARZA

- Tak, później wszyscy razem poszliśmy na lody.

I UPILIŚMY SIĘ KAC BYŁ GORSZY OD BÓLU  
STOPY

- Boże, musiałaś mi o tym przypomnieć?

I:

- Czego ci brakuje najbardziej?

DOTYKANIA CIAŁ ALKOHOLU TEGO ŻARU  
W GARDLE CIELESNOŚCI TEGO BYM MUSIAŁA  
NAPRAWDĘ UŻYĆ SIŁY DO PODNIESIENIA RĘKI  
CZY NOGI LUB OBRÓCENIA GŁOWY ZAPACHÓW  
NIE PAMIĘTAM JAK PACHNIESZ

- Zachowałem kilka twoich ubrań, ale zapach już się ulotnił.

POWIEDZ MI JAK PACHNIESZ

- Zaraz, niech sprawdzę...

## RÓŻNE CZĘŚCI PACHNĄ ODMIENNIE

- Tak... dłonie pachną ołówkiem i kremem. Tym ogórkowym, który mi zawsze kupowałaś... Na obiad jadłem pizzę z pepperoni... Hmm, nie wiem, czy można opisać swój zapach. To tak jak z własną twarzą. Też nigdy się jej nie widzi.

## NIE WIDZĘ WŁASNEGO ODBICIA

- Musisz się z tym czuć bardzo... samotna.

## OWSZEM

— Chciałbym cię zobaczyć.

## JESTEM Z LEWEJ STRONY POCHYLAM SIĘ NAD TOBĄ

— Hmm. Nie. Może mógłbym cię zobaczyć w jakimś specjalnym oświetleniu. W podczerwieni? Ultrafiolecie?

## PRZYDAŁYBY CI SIĘ SPECJALNE OKULARY

— Genialne! Moglibyśmy je opatentować. Ludzie chodziliby po ulicach i widzieliby wszystkie zjawy dokoła. W autobusach, sklepach...

## MÓGŁBYŚ JE ZAKŁADAĆ NA CMENTARZU CIEKAWIE CZYTAM JEST DUŻO DUCHÓW

- T e ż się nad tym zastanawiałem. Ale ty nie jesteś na cmentarzu, choć tego się przedtem spodziewałem.

## BLIŹNIACZKI WRACAJĄ

- O rany, zatem do jutra.

I:

## CO ZROBIMY NIE MOŻESZ ŻYĆ W TEN SPOSÓB

— O co ci chodzi? Jestem szczęśliwy. Względnie.

## VALENTINA SIĘ W TOBIE ZAKOCHAŁA

Robert odłożył ołówek. Wstał i obszedł dokoła jadalnię. Objął się rękoma, jakby szukał ciepła. Wreszcie usiadł z powrotem.

- Co chcesz, żebym zrobił?

## NIE WIEM

Znów się podniósł.

- Elspeth, nie wiem co ci powiedzieć. - Zabrał przybory do pisania i wrócił do siebie.

Powiedz, że mnie kochasz, pomyślała.

Zanim pojawił się ponownie z ołówkiem i notatnikiem w dłoni, minęły dwa długie dni.

- Myślałem - oznajmił i usiadł z dłonią nad kartką, czekając na Elspeth.

Zjawa była już na miejscu, ale nie dała mu żadnego znaku. Siedziała na krześle po przeciwnej stronie stołu. Splotła ręce na piersi. Zmrużyła oczy.

- Elspeth - podjął wreszcie Robert - próbowałem to wszystko przemyśleć. Valentine. Pogubiłem się...

Cisza. Robert niemal namacalnie czuł nieprzyjemne dygotanie własnych nerwów. Dzień był ciemny i deszczowy. Jadalnia wyglądała ponuro.

- Dobrze, będą tak siedział i mówił do siebie. - Urwał. Zjawa czekała. - Elspeth, czego się spodziewałaś? Umarłaś prawie półtora roku temu. Cały rok spędziłem w żałobie. Chciałem umrzeć. Bardzo poważnie myślałem o samobójstwie i właśnie, kiedy wszystko zaczęło się jakoś układać, pojawiły się bliźniaczki. Jeśli sobie przypomnisz, sama po wielokroć sugerowałaś, że ściągasz je tutaj niejako w swoim zastępstwie. A kiedy już zacząłem na nie, a raczej na Valentine, patrzeć pod tym kątem, znowu pojawiaasz się ty. Może nie dosłownie pojawiaasz, ale ujawniasz się, i choć to cudowne i wspaniałe, mam wrażenie, że znaleźliśmy się w ślepym zaułku.

Elspeth odniosła wrażenie, którego nie zaznała nigdy wcześniej, przez cały czas trwania związku z Robertem. On mnie zostawi, pomyślała. Już mnie nie kocha. Słyszała to w tonie jego głosu.



- Elspeth, gdybym mógł do ciebie dołączyć i mieć cię znowu. Gdybym tylko wiedział co i jak zrobić, zrobiłbym to natychmiast.

Stała przy nim, panicznie bojąc się następnych słów i jednocześnie czekając, by mówił dalej.

- Oboje utknęliśmy gdzieś pomiędzy. Ja jestem więzieniem własnego ciała a ty... tego tutaj, zupełnie bez ciała. Jesteś bezcielesna i niema... Kiedy wracam do siebie z tym notesem, czytam to wszystko raz po raz i mam wrażenie, że oszalałem.

Chwyliła go za dłoń i nakreśliła ołówkiem nierówną kreskę. Przejęła kontrolę nad jego ręką i napisała:

**CHCESZ ŻEBYM MIAŁA CIAŁO**

- Do tego jestem przyzwyczajony - odparł. - Przepraszam.

Elspeth uniosła się w powietrze i spojrzała na niego spod sufitu, spomiędzy ramion żyrandola. Przesunęła dłonią po kryształkach i Robert popatrzył ku górze. Zupełnie jakbym była chmurą, a on sprawdzał czy zaraz spadnie deszcz, przemknęło jej przez myśl.

- Jeśli chcesz, bym zrezygnował z Valentyny, zrobię to.

Czy tego właśnie chcę? - zastanowiła się. Dlaczego mnie każe o tym decydować? Przytknęła palec do jednej z delikatnych, przypominających kształtem płomyki, żarówek. Drucik się rozżarzył i szkiełko przysło. Robert odwrócił twarz i zasłonił oczy dłońmi. Siedział tak przez długą chwilę w milczeniu.

- Dlaczego to zrobiłaś? - odezwał się wreszcie szeptem. Podniósł ołówek, nieśmiało opuścił dłoń nad notes, uważając, by nie skaleczyć się kawałkami szkła.

**PRZEPRASZAM PRZEPRASZAM PRZEPRASZAM  
NIECHĄCY ZAMYŚLIŁAM SIĘ**

- Jesteś na mnie zła?

ZRANIONA I NIEPEWNA NIE ZŁA

- Zaczekaj, Elspeth. Uprzątnę szkło. Oboje zyskamy chwilę czasu na zastanowienie.

Poszedł do kuchni po zmiotkę i szufelkę. Usunął wszystkie ostre odpryski, wymienił żarówkę i znów usiadł, wpatrzony w kartkę.

Wygląda na załamane, stwierdziła Elspeth. Źle na niego wpływa ta korespondencja z martwą kobietą. Gdyby to była bajka, uratowałyby go jakaś księżniczka. Żeby mu pomóc, muszę go opuścić.

W PORZĄDKU - napisała - JEŚLI JESTEŚ Z NIĄ SZCZĘŚLIWY NIE KRĘPUJ SIĘ

- Elspeth...

NIE ZAPOMNIJ MNIE

- Elspeth, słuchaj...

Ale ona już wyszła i nie wróciła. Ani tego dnia, ani przez wiele następnych.

## CZEŚĆ TRZECIA

## OPOWIEŚCI

Był bardzo wczesny poranek. Valentina, jak niemal zawsze, obudziła się przed Julią. Delikatnie wyłuskała się z ramion śpiącej siostry i usiadła na łóżku. Nie zasłoniły na noc okien; po pokoju rozlewało się blade, rozproszone światło. Wtem coś się poruszyło. Dziewczyna nie obudziła się jeszcze do końca i zauważyła to, tak naprawdę nie patrząc. W pierwszej chwili pomyślała, że widzi kotka, ale zwierzak spał obok na kołdrze. Wytężyła wzrok i po chwili istota ukazała się jej w całej okazałości. Siedziała przy oknie. Valentina zrozum

Przypominało to spoglądanie na kogoś z wielkiej odległości; zjawa była nikła, nie miała wyraźnie zarysowanych kształtów. Wygląda zupełnie jak mama, przemknęło Valentinie przez myśl, choć w sposobie, w jaki duch na nią spoglądał, było coś obcego, nieznanego. Elspeth poruszyła ustami, powiedziała coś bezgłośnie i ruszyła w stronę łóżka. Aż do tej chwili Valentina nie czuła strachu, bać zaczęła się dopiero teraz. Lęk wyzwolił ją z resztek snu: Duch zniknął. Dziewczyna poczuła zimny dotyk na policzku, potem wrażenie ustąpiło. Ześliznęła się z łóżka i wybiegła z mieszkania w samej piżamie, zbiegła po schodach i zdyszana zatrzymała się dopiero przy koszykach na pocztę.

Robert usnął ledwie godzinę temu i nim usłyszał pukanie do drzwi minęła dobra chwila. Z początku pomyślał,

że w budynku wybuchł pożar. Ubrany tylko w bieliznę, podbiegł do drzwi, uchylił je i wyrżał, mrużąc oczy.

- Mogę wejść? - spytała Valentina.

- Ach, to ty, momencik.

Wrócił do sypialni, włożył spodnie i wczorajszą koszulę. Znów pojawił się w przedpokoju i otworzył drzwi szerzej.

- Dzień dobry - przywitał się i przyjrzał dziewczynie uważniej. - Co się stało?

- Widziałam Elspeth - wydukała i rozpłakała się.

- Cii. - Robert objął ją i przytulił. Gdy już się nieco uspokoiła, szepnął w jej włosy: - Próbowałem ją zobaczyć od wielu tygodni. Jak wygląda?

- Jak mama.

- Dlaczego płaczesz?

- Nigdy wcześniej nie widziałam ducha. Wiesz, przecież ona nie żyje.

- Tak. Wiem.

Zaprowadził dziewczynę do kuchni. Usiadła przy stole, a Robert zajął się przygotowaniem herbaty. Valentina wydmuchała nos w papierowy ręcznik.

- Miałaś wrażenie, że ona ukazała ci się rozmyślnie? Jak w ogóle do tego doszło? - spytał.

Pokręciła głową.

- Kiedy ją zobaczyłam, siedziała na parapecie i chyba wyglądała na zewnątrz. Na pewno nie chciała pokazać mi się specjalnie. Ale kiedy zauważyła, że patrzę jej w oczy, podeszła bliżej. Wtedy się złękłam, a ona zniknęła. - Urwała. - Tak naprawdę to wydaje mi się, że po prostu nie zdążyłam się do końca obudzić.

- Ach. - Robert pokiwał głową. - Czyli ona ci się w zasadzie przyśniła?

- Nie, raczej nie. To chyba bardziej jak... wiesz, czasem zdarza się tak, że kiedy próbujemy coś sobie przypomnieć, nie możemy, ale potem, gdy już o tym nie myślimy, samo do nas przychodzi. Wiesz, co mam na myśli?

- T a k .

- Możliwe więc, że zobaczyłam ją, ponieważ zapomniałam, że ona jest niewidzialna.

Robert wybuchnął śmiechem.

- Będę musiał tego spróbować. Choć Elspeth od jakiegoś czasu ze mną nie rozmawia, więc nie spodziewam się, że mi się pokaże. W jakim była nastroju? Była na ciebie zła?

- Zła? Nie. Chciała mi coś powiedzieć, ale na pewno nie była wściekła ani nic takiego.

Woda się zagotowała i Robert napełnił dzbanek.

- Wy z nią nie rozmawiacie? Ty i Julia?

- Czasami. Ale ona nie chce odpowiadać na pytania, na których zależy nam najbardziej.

Uśmiechnął się i przeniósł naczynia na stół.

- Może gdybyście jej pozwoliły pytać, stopniowo dowiedziałibyście się wszystkiego. - Usiadł naprzeciwko Valenty.

- Może. Szkoda, że ty nam nie powiesz.

- Czego wam nie powiem?

- Właśnie tego. Sama nie jestem pewna, ale mam wrażenie, że Elspeth i mama mają jakąś wielką tajemnicę. Między nimi stało się coś złego. Wiesz, były przecież bliźniaczkami, a mimo to nagle przestały się do siebie odzywać. O co poszło?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Nie możesz czy nie chcesz? - rzuciła poirytowana dziewczyna.

- Nie mogę. Nie mam pojęcia dlaczego rozeszły się ich drogi. To wszystko wydarzyło się na długo, zanim poznałem Elspeth, a ona sama bardzo rzadko wspominała twoją matkę. - Sięgnął po dzbanek i nalał herbatę do filiżanek.

Valentina zapatrzyła się na parę unoszącą się nad naczyniem.

- Dlaczego tak bardzo chcecie to wiedzieć? - spytał Robert. - Skoro matka nie chce z wami o tym rozmawiać, a i Elspeth dołożyła wszelkich starań, by nie zostawić po sobie żadnych kłopotliwych śladów. Zresztą, nie mamy nawet pewności, czy jakakolwiek tajemnica istnieje.

- Mama się boi. Boi się, że się tego dowiemy.

- A nie sądzisz, że to właśnie jest doskonały powód, by dać sobie spokój? - odezwał się o wiele ostrzejszym tonem niż zamierzał; Valentina uniosła wzrok. - Słuchaj - dodał już spokojniej - czasem jest tak, że kiedy się czegoś dowiadujemy, dochodzimy do wniosku, że lepiej było nie wiedzieć.

Valentina zmarszczyła czoło.

- Skąd ty możesz o tym wiedzieć? Poza tym, sam jesteś historykiem. Całe życie spędzasz na odkrywaniu cudzych tajemnic.

- Badanie dziejów wiktoriańskiej Anglii to zupełnie co innego niż grzebanie się w rodzinnych sekretach.

Nie odpowiedziała.

- Coś ci opowiem, ku przestrodze. - Robert upił łyk herbaty i poczuł nagłe skrupuły.

Czy ja naprawdę chcę jej o tym mówić? - zastanowił się, ale dziewczyna spoglądała na niego wyczekująco.

- Kiedy miałem piętnaście lat - zaczął - moja mama nieoczekiwanie otrzymała znaczną sumę pieniędzy. „Kto ci dał tyle pieniędzy?” - spytałem. „Och, umarła moja stara

ciotka Pru i dostałam to po niej w spadku" - wyjaśniła. Owszem, w naszej rodzinie ciotek były niezliczone rzesze, ale o tej nie słyszałem nigdy przedtem; dzieje rodu matki sięgały czasów krucjat, ale jego członkowie nigdy nie byli specjalnie zamożnymi ludźmi. Niemniej, taką właśnie wersję wydarzeń mi przedstawiła i nieugięcie się jej trzymała. Potem, jakieś dwa tygodnie później, oglądałem telewizję. Wywiad z nowym ministrem w rządzie - to był mój ojciec. Używał innego nazwiska, ale to był on. „Mamo” - zawołałem - „chodź i zobacz”. Usiedliśmy i obejrzelśmy ten program razem. Ojciec wydał mi się wtedy niesłychanie dostojnym i zarazem nadto przymilnym człowiekiem.

- Czyli te pieniądze pochodziły od niego? - Valentina domyśliła się, do czego zmierza opowieść.

- Tak. Jego kariera rozwinęła się do tego stopnia, że matka była w stanie mu poważnie zaszkodzić. Wystarczyłoby, żeby poszła ze swoją historią do któregoś z tabloidów. Bez wątpienia widział już w wyobraźni te nagłówki „Podwójne życie ministra”. Zapłacił jej więc i nigdy potem już go nie zobaczyłem. Oczywiście, poza telewizją.

Valentina zrozumiała coś, o co bała się dotąd pytać.

- I to dlatego nie masz normalnej pracy?

- T a k - przyznał - choć kiedy wreszcie skończę swój doktorat, chciałbym chyba zostać nauczycielem. - Westchnął. - I oczywiście, gdybym miał wybór, wołałbym dalej nie mieć pieniędzy, ale za to widywać czasem ojca.

- Byłam przekonana, że niespecjalnie go cenisz.

- Wiesz, on po prostu nie lubi dzieci. Nigdy nie lubił, ale teraz jestem już w wieku, w którym mogliśmy się ze sobą bez problemu dogadać. Ech, to wszystko nie ma sensu.

- Hmm... - Valentina poczuła, że powinna powiedzieć coś więcej. - Przykro mi.



Uśmiechnął się.

- Z dnia na dzień robisz się coraz bardziej angielska. Niech ci nie będzie przykro. - W kuchni w mieszkaniu nad nimi usłyszeli kroki Julii. - Chcesz wrócić do siebie?

- Za chwilę.

- Może więc zjesz ze mną śniadanie?

- Pewnie.

Robert wyjął z lodówki jajka, bekon i masło.

- Jakie jajka lubisz?

- Jajecznicę.

Po chwili w powietrzu rozszedł się przyjemny zapach. Robert rozłożył talerze i sztućce, podał dżem i sok; zrobił tosty. Valentina obserwowała go, ciesząc się sprawnością jego ruchów i nowością sytuacji - mężczyzna szykuje dla niej śniadanie, a na dodatek udaje, że nie zauważa, że odwiedziła go ubrana jedynie w piżamę.

Robert postawił na stole talerze i usiadł. Zajął się jedzeniem. Na górze Julia tupnęła w kuchenną podłogę.

- Ktoś nie jest zbyt szczęśliwy - zauważył Robert.

- Nie obchodzi mnie to.

- No cóż...

- Chciałabym móc po prostu pobyc sama - rzuciła.

Przecież dopiero co przysłaś, pomyślał.

- Dlaczego więc nie pójdziesz? - spytał na głos.

Valentina wyczuła w nim... Co takiego? Urazę?

- Źle mnie zrozumiałeś - wyjaśniła pośpiesznie. — Chodziło mi o odejście od Julii. Jej się wydaje, że jestem jej własnością. Zachowuje się wobec mnie jak dyktator.

Robert zastanawiał się przez chwilę.

- Po roku będziecie mogły sprzedać mieszkanie i wtedy zrobisz, co zechcesz - przypomniał.

Valentina pokręciła głową.

- Julia mi nie pozwoli. Nie zgodzi się na nic, co dałoby mi niezależność. Jestem w kropce.

- Możesz pójść do Xaviera Roche i poprosić go, żeby podzielił spadek. W funduszach macie dość pieniędzy, by Julia mogła zatrzymać mieszkanie, a ty wzięłabyś gotówkę - zasugerował Robert.

- Myślisz, że to naprawdę możliwe? - rozpromieniła się dziewczyna.

- Jest nawet taki punkt w testamencie, nie czytałaś go?

- Czytałyśmy - rzuciła Valentina - ale nie skupiałam się zanadto na tych wszystkich paragrafach.

- Elspeth powiedziała mi, że żałuje, że postanowiła zatrzymać was tutaj na cały rok. Martwi się o ciebie.

- Kiedy ci to powiedziała? - zaciekała się.

- W zeszłym tygodniu.

- Za późno.

- Owszem - przyznał Robert. - Mam czasem wrażenie, że obserwowanie tego, jak ty i Julia oddalacie się od siebie, zanadto jej przypomina to, co zaszło między nią i Edie.

Valentina dokończyła jajecznicę i wytarła usta.

- Szkoda, że nie chce nam o tym opowiedzieć.

- Ona chyba chce - zaprotestował Robert. - To raczej wasza matka nie życzyła sobie, byście się dowiedziały.

- A co ty byś zrobił na moim miejscu?

Robert uśmiechnął się i spojrzał znacząco na jej piżamę.

- W tej chwili? Całą masę rzeczy - odrzekł. - Wyliczyć wszystkie?

- Nie, nie. Wiesz, co miałam na myśli. — Zarumieniła się.

- Zaprzyjaźniłbym się z Elspeth. - Westchnął.

- Ale... - Zastanowiła się. - Ja się jej boję.

- Boisz się, bo jest dla ciebie tylko zimnym powiewem i tak dalej. Za życia była cudowną osobą.

- Dlaczego Elspeth przestała z tobą rozmawiać?

- Słucham?

- Sam powiedziałaś...

- Ach, tak. — Wstał i zebrał naczynia. - Zwykłe nieporozumienie. To minie.

- Czy ona... czy ona bardziej przypominała Julię, czy mnie?

Robert pokręcił głową.

- Była po prostu sobą. Była dzielna jak Julia, ale również lekko wycofana jak ty. Była bardzo mądrą kobietą i lubiła sama o wszystkim decydować. Zwykle jednak potrafiła tak wszystkim pokierować, że i mnie bardzo się podobało to, w co akurat mnie pakowała.

- Nie podoba mi się, że ona może nas obserwować, a my nie wiemy nawet gdzie ona jest.

- Może powinniście potraktować to jako powód do poprawy wzajemnych stosunków?

- Co ona ci o nas mówiła? - spytała z niepokojem Valentina.

- Ja też mam oczy. - Popatrzył na nią uważnie.

Dziewczyna zalała się jeszcze bardziej intensywnym rumieńcem niż przed chwilą, ale nie odezwała się słowem.

- Z tego, czego udało mi się dowiedzieć - podjął Robert - Elspeth i Edie ustaliły między sobą, że Elspeth nie będzie się nigdy kontaktować z tobą ani Julią. I według mnie, Elspeth sądziła, że dotrzymała swej części umowy. - Schował sok i masło do lodówki. - Niemniej, odnoszę też wrażenie, że teraz, odkąd przyjechałyście, ma ochotę was lepiej poznać. - Odkręcił kran nad zlewomywakiem. - Jeśli cię to choć trochę pocieszy, to Elspeth

kręci się przy was rzadziej niż podejrzewacie. Zawsze lubiła przebywać sama ze sobą. Jeśli otworzycie kilka książek albo zostawicie jej włączony telewizor, na pewno zostawi was w spokoju.

- Nasz telewizor nie działa - przypomniała Valentina.

- No to może powinniśmy się nim zająć?

Robert stał przy zlewie, tyłem do dziewczyny. Wyrzał za okno i pomyślał o Elspeth. Musisz być znudzona do granic wytrzymałości. Nie masz nic do czytania, nie możesz z nikim porozmawiać. Spróbował sobie wyobrazić, jak się poczuła na widok uciekającej w przestrachu Valentyny.

- Czy miałabyś coś przeciwko, gdybym potem do was zajrzał i spróbował z nią porozmawiać? - zwrócił się do dziewczyny.

Valentina wzruszyła ramionami.

- Pewnie, że nie. Żaden problem. Ale po co w ogóle pytasz. I tak ciągle tam do niej przychodzisz.

- Nie miałem pojęcia, że to takie oczywiste.

- My też mamy oczy. - Uśmiechnęła się.

- Punkt dla ciebie.

Valentina wstała z krzesła i podeszła do Roberta.

- Dziękuję za śniadanie.

Gdy pocałowała go w policzek, trzymał jeszcze ręce w pełnej mydlin wodzie. Wyszło niezręcznie, bo właśnie odwracał się w jej stronę. Zderzyli się twarzami.

- Au. - Syknął. - Zróbmy to jak należy.

Każdy kolejny pocałunek był lekcją. Robert poczuł się dobrze, bardzo dobrze. Zaczął się zastanawiać, czy te nieśmiałe pieszczoty doprowadzą do bardziej zaawansowanych czynności. Dłonie miał wciąż wilgotne, ale nie bacząc na to, wśliznął je pod bluzkę jej pizamy i przeciągnął palcami po nagich piersiach.

- To przyjemne - szepnęła.  
- Mogłoby się zrobić jeszcze bardziej przyjemnie - zaproponował.

- Hmm. Nie... Jeszcze nie. - Zmieszana, cofnęła się o krok.

Robert się uśmiechnął.

- Muszę wracać na górę - powiedziała cicho.

- Okej.

- Porozmawiam z Elspeth.

- To dobrze. - Skinął głową.

- I będę miła dla Julii.

- Jeszcze lepiej.

- Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Gdy Valentina wróciła do swego mieszkania, zastała siostrę już ubraną, przy stole w jadalni. Czytała właśnie gazetę, piła kawę, w rękę trzymała zapalonego papierosa.

- Cześć - przywitała się Valentina.

- Cześć - odpowiedziała Julia, nie podnosząc wzroku.

- Wolałabym, żebyś nie paliła w domu.

- Wolałabym, żebyś nie uciekała na dół, pieprzyć się z Robertem, kiedy ja śpię. Ale to jak grochem o ścianę, prawda? - Julia nie odrywała wzroku od artykułu.

- Ja nie... My nie... Zresztą, to nie twoja sprawa.

Julia spojrzała na siostrę.

- Jak chcesz. Masz mokrą piżamę. Zaciągnęła się dymem i wypuściła go w stronę bliźniaczki.

Valentina poszła pod prysznic. Zanim zdążyła się ubrać, Julia wyszła z domu.

Valentina wzięła kilka kartek papieru, pióra i ołówki. Rozłożyła na stoliku do kawy rozrysowaną przez Roberta tabliczkę ouija i umieściła na jej środku plastikowy krążek.

- Elspeth?! - zawołała. - Jesteś tu?

Wskaźnik zaczął się poruszać, wskazując kolejno litery układające się w słowa „Dzień dobry”. Na oczach dziewczyny, zmaterializował się duch Elspeth, widmo unosiło się nad kartą, w najwyższym skupieniu przesuwał niebieski plastik. Zjawa spojrzała na Valentinę i w jej oczach pojawiły się wesołe ogniki.

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem.

- Opowiedz mi jakąś historię — poprosiła.

**JAKĄ HISTORIĘ**

- O tobie i mamie, coś z waszego dzieciństwa...

Elspeth pochyliła głowę i zamyśliła się na chwilę. Wsunęła palec w krążek i parę razy nim zakręciła. Po kilku minutach przyklęknęła przy stole i z wolna zaczęła literować:  
**DAWNO DAWNO TEMU ŻYŁY SOBIE DWIE SIOSTRY EDIE I ELSPETH...**

## WIZYTA DOMOWA

Martina rozboleł ząb. Ból nadciągał od wielu dni, aż wreszcie rozgościł się w jego ustach na dobre, potężny i nieustępliwy niczym pociąg towarowy, nie pozwalając myśleć o niczym innym. Martin stał przed lustrem w łazience i próbował obejrzeć chore miejsce - odchylił głowę, rozwarł szeroko usta i z całych sił spojrział w dół. Jedynym efektem całej tej procedury było to, że przewrócił się i uderzył piszczelą o wannę. Zrezygnował z obejrzenia opuchlizny i połknął pastylkę kodeiny, którą przyjmowała Marijke, gdy wypadł jej dysk. Poszedł się położyć.

Później tego samego ranka zadzwonił telefon. Aparat miał ze sobą w łóżku, blisko głowy, więc Martin poczuł wibracje aż w zębie - ból był potworny. Po drugiej stronie słuchawki odezwała się właśnie Marijke.

- Hej, żeglarzu, jak tam na morzu? - Jej głos brzmiał dziś wyjątkowo radośnie.

- Słono - odparł. — A co u ciebie? — Usiadł i na oślep poszukał okularów.

- Co się stało? - spytała. - Brzmisz, jakbym cię obudziła.

- Ech... Ząb mnie boli. - Zrobiło mu się wstyd, że chciał, żeby się nad nim litowała.

- To niedobrze.

Marijke siedziała w swoim mieszkaniu. Spędzała leniwe, sobotnie przedpołudnie w wygodnym fotelu, z powieścią kryminalną na kolanach i miską czipsów pod ręką. Do męża zdecydowała się zadzwonić w przypływie wspaniałomyślności i dobrego humoru. A teraz jego ból zęba zaczął dobierać się przez telefon i do niej i głośno domagał się uwagi.

- Zrobiłeś z tym coś? Który to ząb?

- J e d e n z górnych trzonowych. Po prawej. Mam wrażenie, że ktoś mnie kopie w twarz.

Oboje zamilkli, ponieważ żadne nie mogło podać prostego remedium. Nawet gdyby Martin był w stanie udać się do dentysty, nie odwiedziłby żadnego. Nie był zarejestrowany. Dr Prescott rozwiązał kontrakt z publiczną służbą zdrowia i otworzył prywatną praktykę, przez co Martin wypadł z jego listy pacjentów. Co zresztą nie miało w tej chwili najmniejszego znaczenia, ponieważ dr Prescott nigdy nie odwiedzał swych podopiecznych w domu.

- Może powinieneś zadzwonić do Roberta? - zapytała Marijke.

- Po co?

- On mógłby... Nie, nieważne.

Martin przycisnął dłoń do policzka. Ząb pulsował coraz bardziej.

- To bystry chłopak, ale nie sądzę, by znał się na stomatologii.

Wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Coś się zmieniło, choć nie był w stanie stwierdzić, co takiego, nie teraz, gdy rozmawiał z Marijke i próbował jednocześnie znaleźć bu-teleczkę z kodeiną. O, tu jest! Wrzucił do ust dwie pastylki i wrócił do sypialni. Kładąc się, zdał sobie sprawę, że, zupełnie o tym nie myśląc, przeszedł bosy po podłodze. Hmm.



Nie odczuł niepokoju, nie czuł żadnego przymusu. Uciekł myślami do żony.

- No więc, co zamierzasz zrobić? - zapytała.
- Prześpię się?
- Czyli to ja mam zadzwonić do Roberta?
- Jasne, i powiedz mu, żeby przyszedł na górę z wielkimi obcęgami.
- Przestań - syknęła. - Idź spać.

\*\*\*

Nieco później Martin siedział w kuchni. W głowie kłębiła się mu kodeinowa mgła, próbował przełknąć letnią owśiankę. W pewnej chwili usłyszał Roberta, który przedzierał się przez tonący w mroku ciasny korytarz. Sąsiad zawołał go po imieniu.

- Jestem w kuchni - odpowiedział z wysiłkiem Martin.
- Hej - przywitał się cicho Robert - Marijke powiedziała mi, że pogniewałeś się z Wróżką Zębuzską.
- Mhm - przytaknął Martin.
- Słuchaj, znalazłem ci dentystę. Dasz radę wyjść z mieszkania?

Martin pokręcił głową. Bardzo powoli.

- Jesteś pewien?
- Przykro mi...
- No dobra. Nie przejmuj się. Podzwonię jeszcze. Wrócę niedługo. Mam nadzieję.

\*\*\*

Mijał czas, a Robert nie wracał. Martin złożył głowę na stole i zapadł w drzemkę. Gdy znów otworzył oczy, obok

siedziała Julia. Dziewczyna przeglądała wczorajszy numer „Daily Telegraph”. Naczynia były pozmywane.

- Robert mnie przysłał - oznajmiła.

- Która godzina? - spytał.

- Koło czwartej - odpowiedziała. - Zrobić ci coś? Może herbatę?

- Tak, poproszę. - Kiwnął głową.

Julia przyniosła ze sobą woreczek mrożonego groszku. Martin z wdzięcznością przytknął sobie zimny plastik do twarzy. Dziewczyna wstała i zajęła się filiżankami.

\*\*\*

- Robert przyszedł - powiedziała Julia.

Martin wyprostował się w krzesle i przeczesał dłońmi włosy, które nastroszyły się, nadając jego twarzy wyraz zaskoczenia.

- Martin, przyprowadziłem Sebastiana - odezwał się Robert.

W drzwiach kuchni stanął przyjaciel Roberta, Sebastian Morrow, przedsiębiorca pogrzebowy. Martin zawsze uważał go za nieco wyniosłego, teraz jednak mężczyzna wydawał się niepewny i niechętny, choć i tak prezentował się wspaniale w pięknym ciemnoniebieskim garniturze; jego skórzane buty lśniły, a w ręku trzymał złowieszczo wyglądającą torbę.

- Ale mnie jest potrzebny dentysta, nie grabarz - zauważył Martin. - Jeszcze nie pora.

- Zanim Sebastian zajął się organizacją pogrzebów, ukończył podstawowy kurs stomatologii — wyjaśnił Robert.

Julia wstała z miejsca i wycofała się do drugich drzwi. Zaplotła ręce na piersi. Tylko Robert mógł przyprowadzić do bolącego zęba faceta od pochówków, pomyślała.

- Dlaczego nie zająłeś się tym zawodowo? - spytał Martin.

- Umarli nie gryzą - odparł Sebastian i uniósł torbę. - Można?

- Proszę - zgodził się Martin.

Robert rozłożył na stole czysty ręcznik, a Sebastian przygotował swoje przybory: strzykawkę na nowokainę, butelkę alkoholu, kawałeczki waty i gazę. Robert wyjął z kredensu filiżankę i miskę, a jego przyjaciel włożył nieskazitelnie białe fartuch. Umył ręce i naciągnął gumowe rękawiczki.

Czekając na powrót Roberta, Martin był zdecydowany jak najprędzej położyć kres swemu cierpieniu. Teraz jednak, gdy obserwował przygotowania, zdjął go bezmierny lęk.

- Zaraz! - rzucił i złapał Sebastiana za nadgarstek. - Najpierw muszę... coś zrobić.

- Martin - odezwał się Robert - nie możemy całymi godzinami czekać, aż...

- Spokojnie, Martin. - U boku mężczyzny nagle pojawiła się Julia. - Pomogę ci, okej? Zostań tu i po prostu mi powiedz, co mam zrobić, zgoda? - Pochyliła się i przysunęła ucho do jego ust.

Martin zaczął się zastanawiać. Czy ona może to za mnie zrobić? Próbował wsłuchać się w wewnętrzny głos, który zawsze rozstrzygał tego rodzaju sprawy. Wreszcie szepnął coś do dziewczyny. Skinęła głową.

- Na głos? - upewniła się.

- Niekoniecznie, ale stań tak, żebym cię widział.

- No dobrze, posadźmy cię wygodniej - powiedziała Sebastian i przy pomocy Roberta odchylił głowę pacjenta, którą wsparli na stosie nakrytych ręcznikami książek telefonicznych.

Julia stanęła obok z latarką i oświetliła twarz Martina. Zaczęła liczyć, bezgłośnie poruszając ustami. Martin wbił wzrok w jej oblicze i się pomodlił.

- Otwórz, proszę, usta - polecił Sebastian. - O rany! - jęknął.

Czekając na zbawienne działanie nowokainy, Martin mocno ścisnął dłoń Julii; druga jej ręka zadrżała i promień światła się zachybotał. Martina ogarnęło wreszcie błogosławione uczucie odchodzącego bólu.

- Nie ruszaj się, proszę - rzucił Sebastian. - Prawie go mam.

Następne kilka minut upłynęło wraz z krwią. Martin zamknął oczy. Usłyszał tępy trzask, potem coś wniknęło mu w dziąsła.

- No, już po krzyku - odezwał się wreszcie, dość zaskoczonym tonem Sebastian.

Martin poczuł woń goździkowego olejku i alkoholu. Sebastian zatkał wacikiem szczelinę między zębami.

- Zagryź, tylko delikatnie.

Martin otworzył oczy.

- I po wszystkim - powiedział Sebastian.

Martin uniósł głowę. Usunięty ząb leżał w misce, brązowoszary, z zakrwawionym korzeniem, o wiele mniejszy, niż Martin się tego spodziewał. Julia wciąż liczyła; uciszył ją gestem.

- Osiemset dwadzieścia dwa — oznajmiła.

- Tylko tyle? - zapytał, ale znieczulenie zniekształciło mu głos i dziewczyna nie zrozumiała ani słowa. Ból zniknął, pozostawiając po sobie puste miejsce, które miało się wypełnić na nowo, kiedy nowokaina przestanie działać. - Jesteś prawdziwym geniuszem — wybełkotał do Sebastiana.

- Gdzie tam - odparł zagadnięty, choć na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. - Każdy by to potrafił. Ale cieszę się, że wylazł w jednym kawałku. Wygląda na strasznie kruchy.

- Czy gdybyśmy mieli odpowiedni sprzęt, dałoby się ten ząb uratować? - zaciekawiał się Robert.

- Nie... Tyle że dowiedzielibyśmy się o tym przed, a nie po.

Sebastian zaczął myć narzędzia. Pomogła mu Julia. Wreszcie spakował torbę i uściśnął rękę Martina, który spróbował zapłacić mu za usługę.

- Nie, nie trzeba. Cieszę się, że mogłem pomóc. Przez kilka dni nie wolno ci palić. Przykładaj tam lód. No dobrze, muszę już lecieć. Robert oderwał mnie od czegoś.

Robert odprowadził grabarza do drzwi. Gdy wrócił, odezwał się Martin:

- Co on takiego robił, kiedy do niego zadzwoniłeś? - Wyobraził sobie Sebastiana, pochylonego nad nieruchomym, rozciągniętym na metalowym wózku ciałem, z lśniącymi narzędziami w dłoni...

- Był u Wolseleya na herbacie z pewną uroczą kobietą. Operował cię, a ona czekała u mnie w domu. Właśnie dlatego sprowadzenie go zajęło mi tyle czasu. Poza tym mieliśmy kłopot ze zdobyciem nowokainy. A skoro o tym mowa, musimy jeszcze wytrasnąć skądś antybiotyki.

Martin przytknął palce do policzka.

- Dziękuję. Dziękuję wam obojgu. Całej trójce. - Podniósł wzrok na Roberta. — Muszę mu wysłać butelkę whisky. Tobie zresztą też. - Uśmiechnął się krzywo do Julii. - Reflektujesz?

- Nie, dzięki. Whisky smakuje jak lekarstwo - odpowiedziała z uśmiechem.

- Swoją drogą, siostrę przełożoną, czas na moje witaminy - przypomniał sobie Martin.

- Jeszcze nie teraz. - Dziewczyna wyraźnie się zawstydziała.

- Wiem, ale jestem zmęczony i wcześniej się położę. Bądź więc tak dobra...

- Okej - zgodziła się i wyszła po pigułki.

- O co tu chodzi? - zapytał Robert.

- Och, nic takiego - powiedział Martin. - Julia karmi mnie anafranilem. Wmawia mi, że to witaminy, a ja udaję, że jej wierzę.

Robert wybuchnął śmiechem.

- W następnym życiu chcę być ładną dziewczyną. To typowe. Dla Marijke czy dla mnie nigdy byś tego nie zrobił, ale w rękach Julii jesteś modelowym pacjentem. - Nalał wody do elektrycznego czajnika i nacisnął włącznik. - Dasz radę coś zjeść?

- Chyba powinienem. - Martin obserwował sąsiada parzącego herbatę. - A prawdę mówiąc, ja to robię właśnie dla Marijke.

- Naprawdę? Mówiłeś jej?

- Jeszcze nie. Chcę ją zaskoczyć.

Martin znów musnął policzek, obmacał opuchliznę. Podniósł się powoli z krzesła i sięgnął do lodówki po mrożony groszek. Robert odebrał mu woreczek i owinał go ręcznikiem. Martin przycisnął opatrunek do twarzy i pomyślał o żonie. Miał ochotę do niej zadzwonić, ale nie spodobała mu się myśl o rozmowie z Marijke w obecności Roberta. Zmarszczył brwi.

- Czy dobrze pamiętam, że Sebastian zabronił mi palić?

Do kuchni wróciła Julia i rzuciła Robertowi znaczące spojrzenie, wyraźnie pytała: „Jeszcze tu jesteś?”.

- Nie wolno ci palić ani pić przez słomkę. Rana po zębie musi się zabliznić, a ssanie może w tym przeszkodzić.

- Och. - Martin jęknął z takim żalem, że Robert i Julia wybuchnęli śmiechem.

- Co robi Valentina? - zapytał Robert i dziewczyna w odpowiedzi poruszyła dłonią nad nieistniejącą kartką papieru. - Naprawdę? - zdumiał się. - Myślisz, że miałyby coś przeciwko, gdybym tam zajrzał?

- Nie wiem - odparła dziewczyna. - Mnie w każdym razie przy tym raczej nie chciała. Ale proszę bardzo. Ja się zajmę herbatą.

- Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebował - powiedział Robert.

- Już wszystko w porządku. Jeszcze raz wielkie dzięki. To było... cudowne.

- Prawda? - Robert uśmiechnął się i wyszedł, promieniejąc zadowoleniem.

Julia zaparzyła herbatę, po czym przetrząsnęła lodówkę i szafki w poszukiwaniu czegoś na kolację. Uniosła puszkę rosółu z makaronem.

- Poproszę - zgodził się Martin. Burczało mu w brzuchu. - Twoja siostra lubi pisać?

Julia się zawahała. Elspeth prosiła, żeby nikomu nie mówili, i jak dotąd nikt poza zainteresowaną trójką nie miał o duchu pojęcia. Korciło ją, by wyznać Martinowi prawdę, ale coś ją powstrzymywało; bała się, że uzna ją za kłamczuchę.

- Tak - odparła - ale wiesz, tylko mejle. Nie pisze tak naprawdę.

Podawała mu kubek z herbatą i otworzyła puszkę. Martin odłożył groszek na blat i wziął naczynie w dłoń, czekając, by napój ostygł. Działanie nowokainy słabło. Wrażenie

posiadania gumowej szczęki i warg było wyjątkowo nieprzyjemne, ale pojawiający się teraz coraz częściej ból-nie-ból niepokoił go równie mocno.

Julia zagrzała zupę i ziemniaki w kuchence mikrofalowej i nakryła do stołu, krzątała się po kuchni w milczeniu. Myślała o Robercie i Valentinie, siedzących z Elspeth na dole; to znów o smukłych, spowitych lateksowymi rękawiczkami dłoniach Sebastiana, mocno ściskających kleszcze, którymi wrywał chory ząb. Potem przypomniała sobie o panice, jaką zobaczyła na twarzy Martina, kiedy musiał otworzyć usta, i o tym, jak to przerażenie ustępowało, gdy patrzył na jej niemo liczące wargi. Liczby... - zastanowiła się. Dlaczego akurat liczby? Czy liczenie naprawdę może przynosić pociechę? Spojrzała na Martina. Siedział z opuszczonymi ramionami i lekko pochyloną głową, zapatrzony w dal. Jest taki smutny. A może po prostu tak wygląda jego twarz, kiedy nie maluje się na niej nic innego?

Wreszcie podała kolację - nałożyła sobie i jemu. Nie było sensu martwić się tym, czy Valentina czeka na nią z posiłkiem; przecież poszedł do niej Robert. Martin jadł ostrożnie, starając się nie urazić świeżej rany. Kiedy skończyli, Julia podała mu jego pigułki. Połknął je posłusznie i uśmiechnął się półgębkiem do dziewczyny.

- Dziękuję, siostrzo przełożona.

- Proszę bardzo — powiedziała i zaczęła sprzątać ze stołu. Chwilę później rzuciła na niego okiem. Znów miał tę ponurą minę. - Martin, co się stało?

- Och... Wiem, że to głupie, ale martwię się tym, że nie wolno mi palić. Wiem, wiem, i tak powinienem rzucić, ale to chyba nie jest odpowiednia chwila. Po prostu nie planowałem, że rzucę akurat dzisiaj.



Julia się uśmiechnęła.

- Kiedy naszemu tacie usunięto ząb mądrości i nie mógł palić, mama paliła za niego.

- Nie rozumiem, jak to...?

Dziewczyna pstryknęła palcami.

- Gdzie masz papierosy?

- W sypialni.

Wróciła z niebieską paczką i zapalniczką. Przysunęła swoje krzesło bardzo blisko Martina i zapaliła.

- Okej, a teraz tak... - Zaciągnęła się, uważając przy tym, by nie wpuścić dymu do płuc.

Martin otworzył usta i dziewczyna wdmuchnęła w nie niebieską chmurkę.

- Miło? - spytała.

Martin pokiwał głową, kilka siwych pasemek uleciało mu nosem

- Miło.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Zbliżyli się ku sobie. Julia przekreśliła głowę i przytknęła papierosa do warg; czubek rozjarzył się czerwienią. Martin miał przymknięte oczy, lekko rozchylone usta. Dziewczyna nachyliła się bliżej i gdy ich twarze dzieliły już tylko centymetry, bardzo powoli wypuściła dym; dźwięk, jaki Martin wydał, wdychając powietrze, przypominał jej astmatyczne sapanie Valentyny. Wypuścił kolejny kłęb i zachichotał.

- Co? - zdziwiła się Julia.

- Jestem zupełnie bezużyteczny. Nie jestem już w stanie nawet samodzielnie zapalić.

- Nie bądź niemądry. - Dotknęła jego szczęki. — Chomiczy poliku.

Uniósł brwi. Zaciągnęła się znowu. Pochylił się ku niej niecierpliwie.

Gdy Robert zszedł na dół, zauważył, że drzwi do mieszkania bliźniaczek są uchylone. Zapukał i wszedł do środka. Gdzieś musiało być otwarte okno, w korytarzu było czuć chłodny powiew. Valentina siedziała na sofie w salonie, otoczona kartkami papieru. Tabliczka i plastikowy krążek leżały na stoliku do kawy. Wieczorne światło malowało pokój na złoto: pojaśniał każdy fragment różowo-fioletowych aksamitnych obić; bladozielona sukienka dziewczyny rozpościerała się wokół niej niczym liście wodnej lili, a jej naelektryzowane włosy okalały twarz. Ciepły blask stąpił ze sobą wszystko i Robert odniósł wrażenie, że patrzy na obraz, na jedną płaską powierzchnię. Valentina zajęła dalszy kraniec sofy, jedną nogę wsunęła pod siebie. Była zwrócona w bok, jakby ktoś siedział z nią ramię w ramię. Robert stanął w drzwiach i spróbował, zechciał, postarał się, ujrzeć tę drugą osobę. Bez powodzenia.

Valentina uniosła wzrok. Aż do tej pory nie zauważył malującego się na jej obliczu zmęczenia: miała zaczerwienione, podkrążone oczy.

- Widzisz ją? - spytała.

- Nie - odparł. - Powiedz mi... Jak wygląda?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Przebrała się, gdy tylko wszedłeś... - Valentina lekko pochyliła głowę. - Dlaczego miałam mu tego nie mówić? Tak czy inaczej, włożyła niebieską jedwabną sukienkę. Opiętą w talii, z rozszerzającą się w dół spódnicą. Ma krótkie, leciutko kręcone włosy. Dzięki temu jej oczy wydają się naprawdę wielkie. Jest niesłychanie blada, z wyjątkiem dłoni i krawędzi uszu... Usta pociągnęła ciemną szminką... Co jeszcze mam mu powiedzieć?

- Ty ją słyszysz?

- Nie, wskazuje mi kolejne rzeczy palcem.

Robert osunął się i usiadł na podłodze, pośród porozrzuconych kartek. Oparł łokcie na stoliku. Z tego miejsca widział dziwne zniekształcenie powietrza w miejscu, w którym powinna znajdować się Elspeth; przypominało to nieco patrzenie przez doskonale czyste szkło, albo próbę ujrzania muzyki. Pokręcił głową.

- Chcę, ale nie potrafię.

Plastikowy krążek drgnął. Valentina zapisała wiadomość.

**MOŻE NIEDŁUGO**

- Tak. - Skinął głową. Ulżyło mu, gdy pojął, że na powrót zaczęła z nim rozmawiać. Rzucił okiem na papiery. - O czym rozmawiałyście?

- Sprawy rodzinne - powiedziała Valentina. — Elspeth opowiadała mi o dzieciństwie, o tym jak dorastała z mamą w domu na Pilgrim's Lane.

- Matka ci o tym nie opowiadała?

- Niewiele. Więcej mówiła o szkole w Cheltenham. Wiesz, o wszystkich tych dziwacznych relacjach między uczniami, ścisłej hierarchii i mundurkach. Julia zawsze powtarza, że lepiej by zrobiły, gdyby poszły do Hogwartu.

**W CHELTENHAM PODOBAŁO NAM SIĘ BARDZIEJ NIŻ W DOMU**

- Dlaczego, Elspeth? - zaciekała się Valentina, ale duch nie odpowiedział.

Dziewczyna przyglądała się jej, widziała, że Elspeth patrzy na Roberta. Zjawa pochyliła lekko głowę i wyglądało to tak, jakby spoglądali sobie w oczy. Po chwili mężczyzna zwrócił się do Valentyny:

- Twoi dziadkowie byli niesłychanie surowymi rodzicami. Wygląda na to, że w tym internacie dziewczęta poczuły

ulgę; Elspeth opowiadała mi o przedstawieniach, które tam wystawiały, i o dowcipach, jakie robiły koleżankom. Wiesz, takich dowcipach, jakie mogą robić tylko bliźniaczki.

— Czy ty i mama ubierałyście się tak samo? — spytała zjawę Valentina.

W SZKOLE WSZYSTKIE BYŁYŚMY UBRANE IDENTYCZNIE. POZA TYM NIE. SKOŃCZYŁO SIĘ, KIEDY BYŁYŚMY MALUTKIE.

Dziewczynie nie podobało się, że Elspeth tak bardzo koncentruje się na Robercie; odkąd wszedł do pokoju niemal nie odrywała od niego wzroku. Przywykła do własnej niewidzialności, zapomniała, że ją widzę, pomyślała.

Valentina i zjawa siadywały wspólnie i toczyły pełne wzajemnej rezerwy rozmowy już od kilku dni, zaczynały gdy tylko Julia wychodziła z mieszkania. Dziewczyna była zdumiona tym, jak bardzo różniły się opowieści widma od tego, co mówiła im matka. Dzieciństwo Elspeth było pełne mrocznych wydarzeń: piknik nad jeziorem skończył się utonięciem kolegi; razem z Edie próbowały się zaprzyjaźnić z chłopcem z sąsiedztwa, lecz ten trafił do domu dla obłąkanych. We wszystkich tych historiach obie bliźniaczki działały razem; nie pojawiał się ani ślad niezgody, ani jedno przeczucie ziejącej między nimi przepaści; zawsze były ze sobą, we dwie, szybsze i sprytniejsze niż ich przeciwnicy. Słuchając zmarłej ciotki, Valentina zaczęła tęsknić do Julii - nie tej terażniejszej, dławiącej ją, władczej, ale do Julii z dzieciństwa, jej drugiego ja i obrończyni, jej siostry. Napięcie w każdej historyjce Elspeth było potęgowane dodatkowo powolnymi, starannymi ruchami plastikowego krążka. Zjawa skracała z konieczności swoje skrzące się cudem przeszłości wypowiedzi do granic możliwości. Pojawiające się na papierze zdania przypominały nieco niebiesko-białe tabliczki z Postman's Park.

Robert wziął do ręki kilka kartek.

— Mogę?

Valentina rzuciła okiem na Elspeth, która tylko wzruszyła ramionami.

SŁYSZAŁEŚ TO JUŻ - przeliterowała na tabliczce.

Dziewczyna wreszcie dodała do niej znaki przestankowe.

MIAŁYŚMY DZIEWIĘĆ LAT. PEWNEGO DNIA, WRACAJĄC DO DOMU, ZOBACZYŁYŚMY NA SKLEPOWEJ WITRYNIE OGŁOSZENIE „SZCZENIĘTA NA SPRZEDAŻ”. PODEKSCYTOWANE, WESZŁYŚMY DO ŚRODKA I ZAGADNĘŁYŚMY STOJĄCEGO ZA ŁADĄ MĘŻCZYZNĘ. SPRZEDAWAŁ GŁÓWNIĘ WYROBY TYTONIOWE. ZAPROWADZIŁ NAS PRZEZ KANTOREK DO OGRÓDKA ZA BUDYNKIEM, DO SZOPY. ZOBACZYŁYŚMY TAM SZCZENIAKI. BEAGLE'A. BARDZO DŁUGO SIĘ Z NIMI BAWIŁYŚMY. POTEM CHCIAŁYŚMY JUŻ WRACAĆ, ALE OKAZAŁO SIĘ, ŻE STARY NAS W TEJ SZOPIE ZAMKNAŁ. Tekst urywał się wraz z końcem kartki, lecz Robert przypomniał sobie, że wiele lat temu, kiedy spacerowali po Pond Street, Elspeth pokazała mu miejsce, w którym znajdował się ów sklepik. Valentina odszukała kolejną stronę i podała mu. KRZYCZAŁYŚMY, ALE NIKT NIE PRZYSZEDŁ. MATKA PIESKÓW SZCZĘKAŁA. ZROBIŁO SIĘ CIEMNO. WRESZCIE SPRZEDAWCA OTWORZYŁ DRZWI. WYBIEGŁYŚMY, PRZEWRÓCIŁYŚMY GO NA ZIEMIĘ I UCIEKŁYŚMY DO DOMU.

Ta opowieść brzmi jak bajka, stwierdziła w duchu Valentina. Ciekawe czy to wszystko prawda? Dotąd świetnie się bawiła, ale teraz poczuła dziwny, narastający lęk.

Elspeth dobrze pamiętała zimną brzydką szopę, pamiętała niepokój wylęknionych wrzaskami szczeniąt i własny

strach; popatrzyła na siedzącą na sofie dziewczynę. Po co ja jej o tym mówię? - spytała sama siebie. Jest wyczerpana, a ja jej tymi historiami nie pomagam.

TERAZ TY NAM COŚ OPOWIEDZ V - poprosiła na tabliczce i uśmiechnęła się najmilej, jak potrafiła.

- Ja? - Valentina poczuła pustkę w umyśle.

Jestem taka zmęczona. Chciała, by Robert sobie poszedł i żeby znów mogły rozmawiać z Elspeth o prywatnych sprawach. A może raczej chciała zejść na dół z Robertem, pozwolić mu się całować i ukryć się w jego ramionach przed zjawą. A może to ja powinnam stąd uciec i zostawić ich tylko we dwoje?

- Co robi Julia? - spytała Roberta.

- Zapewne opiekuje się Martinem - wyjaśnił i opowiedział im o bólu zęba sąsiada i sprawnie przeprowadzonej przez Sebastiana operacji.

Valentina poczuła ukłucie zazdrości - Julia troszczyła się o kogoś innego. Nie, nie przeszkadza mi to. Zupełnie, napomniała się chwilę potem. Odchyliła się, wsparła ramieniem o zagłówek.

- Jadłaś coś? - zapytał Robert.

- Nie. - Przypominała sobie co prawda śniadanie, ale było to bardzo mgliste, odległe wspomnienie. - Nie byliśmy dziś na zakupach. - Uniosła wzrok. Jej oczy wydawały się bardzo duże, miała ściągniętą twarz.

- Wygląda na to, że powinna coś zjeść - powiedział Robert.

„Właściwie to wyglądasz na zagłodzoną. Jak długo już tu siedzicie?” - zapytał w duchu.

Podniósł się.

- Elspeth - dodał — wydaje mi się, że Valentina zasługuje na kolację.

Wyciągnął ręce. Dziewczyna chwyciła go za dłonie i podciągnął ją na nogi. Zakręciło się jej w głowie.

Zjawa odprowadziła ich wzrokiem. Przy drzwiach Valentina odwróciła się.

- Wrócę do ciebie - powiedziała. - Po prostu muszę coś zjeść.

Zamknęły się za nimi drzwi.

Elsbeth uniosła się nad sofą i przepłynęła do otwartego okna. Czekwała. Po chwili Robert i Valentina pojawili się na ścieżce, zniknęli za bramą. Powinam była o tym pomyśleć. Jest tak przyzwyczajona do życia pod czyjąś opieką. Na zewnątrz pociemniało. Powinam się cieszyć ich szczęściem. Zapatrzyła się w mroczne niebo. Zajaśniały uliczne latarnie. Mimo wszystko to był piękny dzień. Prawie jak za dawnych czasów.

Gdy wróciła Julia, zapadła już noc. Przeszła przez całe mieszkanie, kolejno zapalając światła.

- Myszko?! - nawoływała.

Gdy dotarła do salonu, zapaliła stojącą przy fortepianie lampę i zamknęła okno. Zebrała papiery i przejrzała je, zaczęła czytać. Elspeth przyglądała się jej w zadumie. To zabawne uczucie, kiedy ktoś zapisuje twoje rozmowy, pomyślała. Każdy je może potem podsłuchać. Ale właściwie dlaczego nie? Czemu miałabym mówić to wszystko tylko Valentine, a Julii nie? Nie wolno mi faworyzować żadnej z nich.

Nagle Julia uniosła wzrok, jakby wyczuła badawcze spojrzenie widma.

- Elspeth? Gdzie jest Valentina?

Zjawa pochyliła się nad tabliczką.

KOLACJA Z R. Wskazała kolejne litery.

- Ach... - Dziewczyna usiadła na sofie. Wyglądała jak porzucony pies.

JAK ZĄB MARTINA?

Twarz Julii wyjaśniała.

- Już o wiele lepiej. Chciał się położyć, więc wróciłam.

ŚWIETNIE SIĘ WSZYSTKIMI ZAJMUJESZ.

- Staram się. - Dziewczyna pokręciła głową. - Ale wydaje mi się, że Valentina mnie za to nienawidzi.

OKAZYWANIE WDZIĘCZNOŚCI BYWA DLA WIELU KŁOPOTLIWE.

- Nie sądzę, akurat z jej strony groziła mi wdzięczność. Tak to już po prostu jest. Kiedy choruje, ja się nią opiekuję.

JĘŚLI POZWOLISZ JEJ ODEJŚĆ, POKOCHA CIĘ MOCNIEJ.

- Wiem. Ale nie potrafię.

Elsbeth z zaskoczeniem zauważyła wzbierające w oczach Julii łzy. Siedziały razem w bezruchu i ciszy. Po kilku minutach dziewczyna wyszła z pokoju. Zjawa usłyszała, jak Julia wydmuchuje nos.

- Dlaczego tu jest napisane „uraz głowy”. O czym rozmawiałyście? - zapytała po powrocie.

ZAPYTAŁA MNIE O ŚMIERĆ NASZEGO OJCA.

- Ach. My go nigdy nie poznałyśmy, prawda?

NIE, TYLKO BABCIE.

- Zupełnie jej nie pamiętamy.

ZMARŁA, GDY BYŁYŚCIE MAŁE.

- Jacy oni byli? Mama nigdy ich nie wspomina.

ON BYŁ TRUDNY, ONA POKORNA.

Julia się zamyśliła. Zastanawiając się nad następnym pytaniem, nakreśliła na kartce kilka spiral. Zjawa zauważyła ten odruch. Zadziwiająca! Ciekawe, czy istnieje gen bezmyślnego bazgrolenia?

- Elspeth? Co zaszło między tobą i mamą?

TAJEMNICA.



- No przestań, Elspeth.

PRZEPRASZAM. NIEMOGĘ. DOBRANOC.

- Elspeth?

Widmo zniknęło. Julia wzruszyła ramionami i położyła się do łóżka. Czuła frustrację i była jednocześnie podekscytowana. Gdy Valentina wróciła do domu, jej siostra już spała, śniąc o zębach i liczbach.

\*\*\*

Martin leżał w łóżku, z telefonem przyciśniętym do zdrowego policzka i słuchał w ciemności pulsującego w słuchawce sygnału. Marijke odebrała dokładnie po siódmym dzwonku i natychmiast poczuł się lepiej.

- Martin?

- Cześć, kochana. Chcesz usłyszeć opowieść o zębie?

- Tak się martwiłam. Mówisz jakbyś trzymał w ustach wielką gumę do żucia.

- Nie mam, ale wydaje mi się, że mój policzek jest osiem razy większy niż zwykle. Nie zgadniesz, kogo przyprowadził do mnie Robert...

Marijke oparła się wygodniej na poduszce i słuchała. Tak bardzo musiał się bać, myślała. Powinnam tam być. To ciekawe, że Robert zna grabarza-dentystę... Pławili się w ciepłe swoich głosów. Leżeli razem w ciemności, w odległych miastach, zadumani. I nagle pojawił się w ich myślach wspólny wniosek: tym razem mieliśmy szczęście. Przytknęli słuchawki mocniej do uszu i oboje zastanawiali się, jak długo jeszcze potrwa ich separacja.

# ZAGUBIENIE

Istnieje kilka sposobów, w jakie można zareagować na pozucie zagubienia. Jednym z nich jest panika: zwykle to właśnie ona była pierwszą, instynktowną reakcją Valentyny. Inną metodą jest pozwolić ponieść się zagubieniu, dać mu szansę na zmianę sposobu, w jaki doświadcza się świata. Julia uwielbiała te chwile i zaczęła z nimi flirtować. Londyn okazał się wybornym miejscem do błędzenia. Kręte uliczki zmieniały nazwy co kilka przecznic, łączyły się i rozchodziły, kończyły się ślepyimi zaułkami lub znienacka przechodziły w otwarte place. Dziewczyna polubiła pewną zabawę - wysiadała z metra na stacjach o ciekawie brzmiących nazwach: Tooting Broadway, Ruislip Gardens, Pudding Mill Lane. Zwykle rzeczywistość, którą zastawała na powierzchni, okazywała się rozczarowująca. Nazwy na planie metra wywoływały w jej wyobraźni wizje krajobrazu wyjątego wprost z bajek, w duchu widziała przytulne małe domki. Prawdziwe miasto okazywało się najczęściej ponure: knajpki, w których sprzedawano pieczone kurczaki na wynos, sklepy monopolowe, bukmacherzy - wszystko zatłoczone do granic możliwości.

Wewnętrzna mapa Londynu, jaką rysowała sobie w głowie, jęła się wypełniać przedziwnymi punktami: było i słownie z Albert Memorial; sklepik w Bloomsbury, w którym

sprzedawano wyłącznie miecze i laski; restauracja w krypcie kościoła St Mary-le-Bow. Pewnego razu udała się do Hunterian Museum i spędziła popołudnie, wpatrując się w liczne słoje, w których pływały zakonserwowane w formalinie organy wewnętrzne, obejrzała wystawę poświęconą antyseptykom i podziwiła szkielet ptaka dodo.

Codziennie wracała do domu przepełniona widokami Londynu, strzępkami rozmów, pomysłami na przygody następnego dnia. Wchodząc do mieszkania, nieodmiennie zastała Valentinę siedzącą na sofie pośród zwałów papieru, w napięciu wpatrującą się w kawałek plastiku, poruszający się po tabliczce ouija. Opowiadała wtedy siostrze i Elspeth o tym, jak spędziła dzień, a Valentina dzieliła się z nią niektórymi z opowieści zjawy. Obie były przyjemnie zaskoczone, okazało się bowiem, że spędzanie dni oddzielnie sprawiało, że miały o czym rozmawiać przy kolacji, choć często też pojawiał się Robert i porywał Valentinę - zwykle wtedy, kiedy Julia miała nadzieję na wspólny wieczór z bliźniaczką.

Każdego ranka Julia prosiła siostrę, by pojechała z nią do miasta. Valentina niemal pozwalała się namówić, lecz ostatecznie wynajdowała jakąś wymówkę i zostawała w domu.

- Idź sama - powtarzała. - Nie, nie jestem chora, tylko bardzo zmęczona.

I rzeczywiście - wyglądała na wyczerpaną. Wydawało się, że codziennie wycieka z niej kolejna porcja sił witalnych.

- Potrzeba ci słońca, Myszko - nalegała Julia raz po raz.
- Jutro - odpowiadała niezmiennie Valentina.

\*\*\*

Martin stał przy drzwiach swojego mieszkania. Wyciągnął zabezpieczoną rękawiczką dłoń i położył ją na klamce.

Serce waliło mu jak młotem, znieruchomiał i spróbował się uspokoić. Byłeś na korytarzu niezliczoną ilość razy, myślał. Tam jest bezpiecznie. Nigdy nie przydarzyło ci się nic złego. Nie ma tam nikogo i nic, tylko kilka starych gazet. Odechnął głęboko, wypuścił powoli powietrze i otworzył drzwi.

Było późne popołudnie, klatka schodowa tonęła w słońcu. Lśniące drobinki kurzu unosiły się w nieruchomym powietrzu. Martin zmrugał oczy. Widzisz? Bardzo tu spokojnie. Powiódł wzrokiem po progu, po stosach gazet, po podłodze. Wyobraził sobie, że robi krok naprzód, stawia nogę na dywanie i po raz pierwszy od ponad roku wychodzi ze swego mieszkania.

Rusz się. To tylko korytarz. Robert i Julia stoją tu prawie bez przerwy. Marijke też tu była. Marijke chce, żebyś wyszedł na zewnątrz. Jesteś istotą rozumną; wiesz, że nic ci tu nie grozi. Jeśli uda ci się wyjść, będziesz mógł zobaczyć Marijke.

Przypomniał sobie pierwszy raz, gdy jako chłopiec stanął na wysokiej wieży na basenie. Był wtedy przerażony. Kiedy zawrócił i zszedł po drabinie, reszta chłopaków z klasy zaczęła głośno rechotać. Nikogo tu nie ma, tłumaczył sobie w myślach. Nikt się nie dowie, że ci się nie powiodło. Ale jeśli ci się uda, będziesz mógł powiedzieć o tym Julii. Spróbował sobie wyobrazić twarz dziewczyny, ale pamiętał tylko jej usta - kiedy liczyła bezgłośnie, podczas gdy Sebastian usuwał mu ząb.

Pocił się. Sięgnął po chusteczkę i przetarł czoło. Po prostu przejdź przez próg. Oddychanie przychodziło mu z coraz większym trudem. Martin zamknął oczy. To jakiś idiotyzm. Zaczął się trząść. Cofnął się o krok i ciężko dysząc, zatrzasnął drzwi.

Jutro, jutro spróbuję znowu.

## DZIEWIĘĆ ŻYWOTÓW

Valentina i Elspeth bawiły się z Małym Kotkiem Śmierci. Zasady gry były takie: dziewczyna siedziała na podłodze w przedpokoju, w pobliżu drzwi wejściowych. Miała ze sobą wiaderko pełne piłeczek pingpongowych, które znalazła w spiżarni („Po co ci to, Elspeth?” - zapytała pewnego dnia, a widmo tylko wzruszyło ramionami). Zjawa stała w drugim końcu korytarza. Kotek - jak zwykle - nie miał pojęcia, że towarzyszą mu dwie osoby, więc gdy Valentina turlała piłeczkę po podłodze, zwierzak gnał za nią pewny swego, lecz Elspeth w ostatniej chwili trącała uciekającą zabawkę w nieoczekiwanym kierunku. Po chwili kotka była podniecona do granic i szaleńczo skakała na małe białe kuleczki, które najwyraźniej miały własne plany; ścigała piłeczki, które albo wzbijały się nagle w powietrze, albo po prostu zaczynały toczyć się w przeciwną stronę. Zjawa pozwalała kotkowi przebiegać na wskroś siebie. Podobało się jej wrażenie, jakie dawała jej miękka sierść muskająca widmową skórę i kości. Kładła się na podłodze i piłeczki przelatowały przez nią, a mgnienie potem tą samą trasą przemykał kot. W pewnej chwili Valentina zauważyła, że Elspeth wyciąga ręce ku zbliżającemu się zwierzątkowi. Zapomniała, że jest bezcielesna. Kotka przebiegła przez jej ręce. Zjawa poczuła, jak coś gładkiego i śliskiego czepia się jej małego palca; czuła, że jej

dłonie wypełniają się czymś konkretnym, i zaczęła się z tym szarpać, jakby wyciągała rybę z wody. Dziwna rzecz wiła się i próbowała ugryźć. Elspeth chwyciła kotka na ręce.

Ale w tej samej chwili Valentina zobaczyła, że kotek pada na podłogę i nieruchomieje. Podbiegła natychmiast. Zwierzętko legło martwe.

- Elspeth! - Dziewczyna rzuciła się na podłogę i uściśnęła małe ciało. - Coś ty zrobiła? Oddaj ją!

Elspeth wciąż trzymała szarpiącą się i drapiącą kotkę w uścisku. Valentina nie widziała ducha zwierzaka, ale widziała, że Elspeth się z czymś szamoce.

- Oddaj ją! Natychmiast!

Elspeth opuściła walczącego kotka i wcisnęła go — najstaranniej jak potrafiła - w bezwładne truchło. Przypomniało to próbę nawleczenia jedwabnej pończochy na żywego pstrąga: kot, którego trzymała, był przerażony, rzucał się na wszystkie strony, a kotek w dłoniach dziewczyny był delikatny i bezwładny. Zjawa przestraszyła się, że próbując umieścić zwierzaka na powrót w jego ciele, wyrządzi mu krzywdę. Po chwili dotarło do niej, że zwierzę nie żyje i nie wróci do swego dawnego świata, o ile nie będzie działać zdecydowanie. Postanowiła skupić się najpierw na głowie. Miała wrażenie, że posługuje się starym aparatem fotograficznym z dalmierzem i stara się nałożyć na siebie dwa identyczne obrazy.

Nakazała Valentinie gestem, by złożyła martwego kotka na podłodze. Elspeth czuła, że głowa kotki w jej dłoniach jest konkretna; zwierzątko składało się teraz z tej samej widmowej substancji, było identyczne jak duchowa istota kobiety. Kot był pierwszą rzeczą, jakiej dotknęła od dnia śmierci, pierwszą, która jakby istniała w ten sam sposób co ona, pierwszą, która nie znajdowała się w zupełnie innej

dziejnie. Jestem taka samotna, pomyślała starając się wepchnąć głowę kotki w jej martwy łebek. Chciałabym móc go sobie zatrzymać.

Kot przestał się szarpać, jakby zrozumiał, co zamierza uczynić duch. Elspeth gładziła go lekko palcami, próbując zamknąć, zapieczętować; przypomniała sobie matkę zalepiającą starannie brzegi pierożka. Nagle dusza zwierząka zniknęła, została wchłonięta przez ciało. Białe kocie truchełko zatrzęśło się konwulsyjnie - kotek usiadł, rzucił się w bok i doszedł do siebie. Spojrzał dokoła niczym dziecko przyłapanie na kradzieży cukierka, po czym zaczął się energicznie oblizywać.

Elspeth i Valentina siedziały na podłodze, przyglądając się kotkowi, a potem popatrzyły sobie w oczy. Dziewczyna wyszła z przedpokoju. Wróciła z tabliczką i plastikowym krążkiem.

- Co się stało? - spytała.

ZAŁAPAŁO, ZAHACZYŁO, WYCIĄGNEŁAM JĄ.

- Co załapało?

JEJ DUSZA.

- O co zahaczyła?

Elspeth ugięła mały palec, gestem damy popijającej po południową herbatę.

- Mogłabyś to powtórzyć? - spytała po chwili Valentina.

WOLAŁABYM NIE.

- Jasne, ale gdybyś chciała, myślisz, że mogłabyś to zrobić celowo?

MAM NADZIEJĘ, ŻE NIE.

- T a k , ale, Elspeth...

Zjawa się podniosła - czy raczej nagle pojawiła się w drzwiach korytarza, bez żadnego wyraźnego stadium pośredniego. Gdy Valentina weszła za nią do kuchni, duch

zniknął. Kotek głośno zamiauczał i otarł się o nogę dziewczyny.

- Marnie wyglądasz. Zjesz kolację?

Valentina sięgnęła po miskę, otworzyła puszkę, wrzuciła do niej karmę i postawiła naczynie na zwykłym miejscu. Kotek czekał na poczęstunek, z zapalem członka prymitywnego kultu obserwującego swój ożywający totem, i zaczął pałaszować ze zwykłym entuzjazmem. Dziewczyna przysiadła na podłodze i przyglądała się zwierzęciu.

Elspeth stała na środku kuchni. Niewidzialna, obserwowała Valentine patrzącą na kotkę. O czym myślisz, Valentino?

Valentina myślała o cudzie. Kotek wyglądał najzwyczajniej w świecie, jadł kolację: to właśnie był cud. Nie masz nawet pojęcia, że jeszcze dziesięć minut temu byłeś martwy. Może nawet tego nie zauważyłeś. Czy to bolało, kotku? Czy trudno było wrócić do ciała? Bałeś się?

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Julia wróciła do domu.

- Myszko, gdzie jesteś?

Tylko nie mów Julii, przemknęło Elspeth przez myśl. Było jej wstyd. Nie chciała zabić kotka, nawet na krótką chwilę.

- W kuchni! - zawołała Valentina.

Julia pojawiła się z naręczem siatek z Sainsbury's. Rzuciła je na blat i zaczęła rozpakowywać.

- Co tam? - zagadnęła.

- Nic takiego. A u ciebie?

Julia roztoczyła długą i nudną opowieść o kobiecie z kolejki do kasy w supermarkecie, małej staruszce, która, jak się wydawało, utrzymywała się przy życiu jedynie dzięki herbacie „Lipton” i kruchym ciasteczkom.



- To okropne - oceniła Valentina, jednocześnie starając się sobie przypomnieć, gdzie schowały ciasteczka.

- Ale za to kupiła te z polewą - dodała Julia.

- Och, cóż, może to jednak nie takie straszne. — Wstała z podłogi i pomogła siostrze uporać się z zakupami.

Bliźniaczki krzątały się w na wpół przyjaznym milczeniu. Kotek skończył jeść i odmaszerował. Elspeth stała w rogu, z dala od sióstr, z rękoma splecionymi na piersi. To było nadzwyczajne, myślała. To była wskazówka, sugestia czegoś... tylko czego? Postanowiła, że będzie musiała się nad tym zastanowić. Zostawiła dziewczyny w kuchni i znalazła kotka moszczącego się do drzemki w plamie słonecznego światła na sofie. Czarujący, zwyczajny widok, zupełnie nieprzystający do rozedrganych emocji zjawy. Po chwili przyszła Valentina.

- Elspeth? - szepnęła.

Duch jednak nie odpowiedział ani nie dał znaku istnienia. Dziewczyna zaczęła jej szukać w innych pomieszczeniach, jakby się bawiły w chowanego. Elspeth kroczyła w ślad za nią. Jak cień.

## WIOSENNA GORĄCZKA

Robert siedział przy swoim biurku i próbował zmusić się do pisania. Było śliczne majowe popołudnie. Pracował nad rozdziałem swej rozprawy, który został poświęcony żonie Henry'ego Wooda - Ellen, pisarce. W jego ocenie, pani Wood była wręcz niewiarygodnie nudną osobą. Cudem tylko przebrnął przez „East Lynne”, potem długie godziny śleczął nad szczegółami dotyczącymi jej życia i najzwyczajniej w świecie nie był w stanie się nią zainteresować.

Oprowadzając wycieczki, zawsze omijał grób tej kobiety. Zrzędzeniem losu znajdowała się pomiędzy George'em Wombwellem i Adamem Worthem - nie tylko alfabetycznie, ale i geograficznie - choć wedle Roberta nie była osobą godną tego szczególnego, niemal wykwintnego towarzystwa. Siedział, gryząc pióro i rozważając usunięcie jej z rozprawy. Doszedł jednak do wniosku, że nie może tego zrobić. Mógł co prawda spróbować poświęcić jak najwięcej miejsca opisu śmierci pisarki, ale nawet ona była nieciekawa: kobieta zmarła na zapalenie oskrzeli. Niech ją cholera...

Rozmyślenia przerwała mu Valentina. Poczuł ulgę.

- Chodź na spacer - rzuciła. - Jest wiosna.

Gdy znaleźli się na dworze, nogi poniosły ich w nieunikniony sposób w stronę cmentarza. Idąc przez Swains Lane, usłyszeli muzyka, ćwiczącego na tubie w Waterlow Park.

Kolejne dźwięki melodii brzmiały wręcz jak elegia. Swains Lane, biegnąca w cieniu wyrastających z obu jej stron murów, była przez cały czas skryta w półmroku, nawet mimo że bezchmurne niebo nad głowami przechodniów jaśniało błękitem. Przypominamy dwuosobowy kondukt pogrzebowy, pomyślała Valentina. Ucieszyła się, gdy dotarli wreszcie do bramy cmentarza, i stanęła w pełnym słońcu, czekając, aż ich wpuszczą.

Otworzył Nigel.

- Nie spodziewaliśmy się was dzisiaj.

- Wiem - odrzekł Robert - ale pogoda jest taka piękna.

Pomyśleliśmy, że rozejrzemy się za dzikimi kwiatami.

Z biura wyszła Jessica.

- Skoro już idziecie, weźcie grabie. I nie zabawiajcie się tam zbyt długo, proszę.

- Oczywiście, że nie.

Robert wyposażył siebie i Valentine w krótkofalówki i grabie. Zabrał także wielki worek na śmieci. Przeszli przez dziedziniec i po schodach wkroczyli na teren cmentarza.

- Ech - westchnął Robert, gdy znaleźli się w Alei Dickensa. - Przepraszam. Nie miałem zamiaru zagonić cię do pracy.

- W porządku - powiedziała Valentina. - I tak przez większość czasu jestem zupełnie bezczynna. Nic mi się nie stanie, jeśli sobie trochę pograbię. Skąd się biorą te wszystkie puste butelki?

- Pewnie przechodnie wrzucają je przez mur - podsunął Robert.

Przez jakiś czas pracowali w przyjemnej ciszy, czyścili dróżkę, zebrali też imponującą kolekcję opakowań po hamburgerach i plastikowych kubków. Grabienie bardzo się

Valentinie spodobało. Nigdy przedtem tego nie robiła. Zaczęła się zastanawiać, jakie inne zajęcia mogłaby polubić. Pakowanie zakupów? Telemarketing? Kto wie? Może mogłabym próbować różnych zajęć, w tygodniowych porcjach. Właśnie wyobraziła sobie siebie jako szatniarkę w British Museum, gdy Robert przywołał ją gestem.

- Patrz - szepnął.

Spojrzała i zobaczyła dwa małe zwinięte w kulkę lisy, śpiące na stercie zeschniętych liści. Robert stanął za dziewczyną i objął ją ramieniem. Spięła się. Rozluźnił uścisk. Zostawili zwierzęta w spokoju i wrócili na ścieżkę, do grabi.

- Co Jessica miała na myśli, mówiąc o zabawianiu się?

- A w Stanach tak nie mówicie? Wydawało mi się, że Jessica i James nasiąknęli amerykańskimi sformułowaniami w czasie wojny.

- Ale co to znaczy?

- Cóż, może znaczyć leniuchowanie, wygłupianie się. Może też znaczyć wygłupianie się w tym bardziej cielesnym sensie.

Valentina zalała się rumieńcem.

- Czyli Jessica pomyślała...

- Wiesz, raczej nie wyglądaliśmy na dwójkę ludzi, którzy marzą o spędzeniu popołudnia z grabiami w ręku. - Zerknął do worka. - Chyba już możemy dać sobie spokój. Przejdźmy się. Narzędzia zostawimy tutaj, potem je zabierzemy.

Wziął ją za rękę i poprowadził na łąkę - otwartą, poplamioną słońcem część cmentarza, pełną dobrze utrzymanych grobów.

- Dobrze jest wreszcie wyjść na słońce — zauważyła dziewczyna. - Mam wrażenie, że odkąd przyjechałyśmy, ciągle było szaro.

- Na pewno nie.  
- Nie, to pewnie tylko takie wrażenie. Ale ta tutejsza szarość... jakby wsiąkała w budynki.

- Mhm. - Robert spochmurniał.

Nie uda ci się sprawić, by pokochała Londyn, pomyślał. Siebie też do tego nie zmusiłeś.

Szli dalej. Wiele nagrobków udekorowano świeżo zasadzonymi kwiatami, na każdym rósł niewielki, gęsty ogród.

- Valentina? - zagaił Robert. - Powiedz mi, dlaczego zawsze, kiedy cię dotykam, mam wrażenie, że się denerwujesz?

- Co masz na myśli? - zdziwiła się. - Nie denerwuję się.

- Nie zawsze. Ale teraz, przy lisach...

- Chyba...

Opuścili łąkę i wrócili do alejki.

- Wydało mi się to dziwne... nieodpowiednie.

- Dlatego że jesteśmy na cmentarzu? - spytał. - No, nie wiem. Chciałbym, żeby, kiedy umrę, ludzie regularnie kochali się na moim nagrobku. Będzie mi to przypominać lepsze czasy.

- A sam zrobiłbyś to na czyimś grobie? Na grobie Elspeth?

- Nie. Chyba że byłbym z Elspeth. W jakimkolwiek sensie. Może gdybyśmy oboje już nie żyli.

- Ciekawe czy umarli się kochają.

- Podejrzewam, że to zależy od tego, czy trafiają do nieba, czy do piekła.

Valentina wybuchnęła śmiechem.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Robert uszczypnął ją w pupę. Pisnęła.

- Nudna miłość z „Seksu partnerskiego” w piekle, a wszystkie fajne, wyuzdane numerki w niebie - zaproponował.

- Chyba na odwrót?

- I tak właśnie wyłazi z ciebie jankeski purytyzizm; z jakiego niby powodu niebo miałyby być pozbawione wielkich rozkoszy? Jedzenie, picie, seks, jeśli to wszystko jest złe, to czemu musimy utrzymywać się przy życiu i rozmnażać? Nie, nie. Moim zdaniem w niebie czekają na nas niekończące się bachanalia. Za to w piekle wszyscy zapewne stale są nękani chorobami wenerycznymi i problemami z przedwczesnym wytryskiem. Tak czy inaczej - ciągnął, patrząc z ukosa na spokojny profil Valentyny - jeśli czegoś ze sobą nie zrobisz, trafisz do specjalnego, zamkniętego oddziału dla dziewczyn.

- Ale to będzie w niebie czy w piekle?

- Tego akurat nie jestem pewien. - Pokręcił głową. - Niemniej, lepiej nie ryzykować.

- W takim razie powinnam się pilnie zająć tą sprawą.

- Mam nadzieję. - Zatrzymał się. Znaleźli się nieopodal skrzyżowania w alejkę prowadzącą do grobowca Rosettich.

Valentina przystanęła kilka kroków dalej, dopiero po tym, jak zauważyła, że Robert nie idzie obok niej. Przez chwilę wytrzymała jego spojrzenie, po czym zmieszana spuściła wzrok.

- Nie miałeś chyba na myśli... żebyśmy... tutaj? - Głos dziewczyny był ledwie słyszalny.

- Nie — odpowiedział. - Jak sama wcześniej zauważyłaś, byłoby to nieodpowiednie. Poza tym podejrzewam, że gdyby dowiedziała się o tym Jessica, natychmiast kazałaby mnie aresztować. Boże drogi, ona dostaje białej gorączki nawet kiedy przychodzą tu turyści w szortach.

- Myślę, że raczej by cię po prostu wywaliła.

- Jeszcze gorzej. Co bym wtedy ze sobą zrobił? Musiałbym wreszcie znaleźć jakąś porządną pracę. — Ruszył przed

siebie, dziewczyna dołączyła. — Valentina, podoba ci się, kiedy w ten sposób z tobą rozmawiam?

Nie odpowiedziała.

- Sama wywołujesz takie tematy, a potem się boczysz. Nie jestem... nikt jeszcze ze mną tak nie postępował... a już na pewno nie odkąd skończyłem szóstą klasę. Podejrzewam, że problem wynika z różnicy wieku między nami. - Westchnął. - Choć większość dziewczyn, które wtedy znałem, nie mogła się doczekać, aż je ktoś przeleci. Ech, cudowna epoka.

Valentina pokręciła głową.

- Nie chodzi o pieprzenie. - Urwała i zawahała się, dlatego że użyła niezwykłego dla siebie słowa, a także dlatego że chciała powiedzieć coś więcej. - Chodzi o Julię.

Spojrzenie Roberta wyrażało zdumienie.

- A cóż ona może mieć z tym wspólnego?

- Zawsze dotąd wszystko robiliśmy razem - wyjaśniła dziewczyna. - Wszystko co ważne...

- Ale przecież sama mi ciągle powtarzasz, że chcesz zacząć żyć samodzielnie.

- Przepraszam - rzuciła. — Po prostu się boję.

- Okej. Nic w tym dziwnego.

- Nie, to jednak głupie - mruknęła. - Chciałabym się od niej uwolnić.

- Przecież nie jesteście małżeństwem. Możesz robić co zechcesz.

- Nie rozumiesz.

- Nie, nie rozumiem.

Przez chwilę spacerowali w milczeniu. Ciszę przerwał Robert.

- Czekaj, muszę zabrać te grabie. - Ruszył biegiem z powrotem.

Valentina została sama. Czekwała po nasłonecznionej stronie alejki. Ładnie tu, pomyślała. Na miejscu Elspeth wolałabym utknąć tutaj, a nie w mieszkaniu. Wrócił Robert, w dłoni trzymał narzędzia i worek ze śmieciami. Przyjrzała się mu, kiedy podchodził. Czy ja go kocham? Tak myślę. Więc dlaczego nie...? To jednak było zupełnie wykluczone. Westchnęła. Muszę uciec od Julii. Robert zatrzymał się przy dziewczynie.

- Napijemy się herbaty w biurze?
- Jasne - zgodziła się i razem, pogrążeni we wzajemnym niezrozumieniu, wrócili do budynku kaplicy.

\*\*\*

Pogoda była piękna i Julia miała ochotę trochę podokazywać, ale nie chciała zwiedzać miasta sama, a Valentina wymknęła się dokądś z Robertem. Poszła więc na górę, z mocnym postanowieniem zarażenia swym nastrojem Martina.

- Witaj, moja droga - przywitał się, gdy weszła do jego dusznego, zaciemnionego gabinetu. - Daj mi minutkę. Już prawie skończyłem. Zrobisz nam herbatę?

Julia odmaszerowała do kuchni i zajęła się parzeniem. Zwykle lubiła rozstawiać spodki i filiżanki, gotować wodę, wykonywać wszystkie te kojące gesty, które składały się na herbaciany rytuał, dziś jednak była wyjątkowo niecierpliwa. Rozmieściła naczynia na tacy bez ładu i składu, po czym wróciła do Martina.

- Dziękuję. Postawmy to tutaj, na biurku. Czekaj, przysunę ci krzesło. O, tak będzie wygodniej.

Dziewczyna opadła na siedzenie.

- Nie męczysz się, tak stale przesiadując w ciemności?



- Nie - odparł uprzejmie.  
- Dlaczego zakleiłeś okna gazetami?  
- Jedna z sugestii naszego dekoratora wnętrz. - Uśmiechnął się.

- Tak, jasne.

Martin wziął do ręki dzbanek i rozlał herbatę do filiżanek.

- Panno Poole, wydaje się dziś panna cokolwiek zgaszona.

- Co? Ach, nie... Po prostu Valentina znów wyszła z Robertem.

- A to jakiś problem? - Podał jej naczynie.

- No wiesz, oni ze sobą chodzą.

Martin uniósł brwi.

- Naprawdę? A to ciekawie. Chyba jest dla niej trochę za stary.

- Gdybyś nie miał Marijke, chodziłbyś ze mną? - spytała.

Pytanie przeraziło go tak bardzo, że nie zdobył się na odpowiedź.

- Domyślam się, że milczenie oznacza „nie”?

- Julia...

Odstawiła filiżankę, nachyliła się i pocałowała go. Gdy oderwała usta od jego warg, Martin zeszywniał, całkowicie zdezorientowany.

- Nie powinnaś była tego robić — odezwał się wreszcie. - Jestem żonaty.

Dziewczyna wstała z miejsca i okrążyła jedną z mniejszych stert pudełek.

- Marijke jest w Amsterdamie.

- Niemniej wciąż pozostajemy małżeństwem. — Otarł usta chusteczką.

Julia znów obeszła kartony.

- Ale przecież ona cię zostawiła.

Martin pokazał palcem pudła i zaciemnione okna.

- Nie chciała dłużej tak żyć. Nie mogę jej za to winić.

Skinęła głową. Poczuła, że nie byłoby dobrze, gdyby przytaknęła bardziej wyraziście.

Kolejne słowa wypłynęły z ust Martina bez udziału jego woli:

- Julia, jesteś bardzo atrakcyjną dziewczyną.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Ale ja kocham Marijke - dodał - i nikt mi jej nie zastąpi.

Znów zaczęła lawirować między pudełkami.

- J a k to dokładnie...? Jakie to uczucie?

Nie odpowiedział i musiała sprecyzować pytanie.

- Nigdy nikogo nie kochałam. Nie chłopca.

Martin wstał i przetarł twarz dłońmi. Miał zmęczone oczy i bardzo chciał się ogolić. Tym razem nie z powodu nartretwa, po prostu czuł się niechlujnie, na jego policzkach pojawił się cień popołudniowego zarostu. Rzucił okiem na ekran komputera. Dochodziła szesnasta. Gdyby nadal mieszkał z Marijke, byłaby to pora na jego prysznic. Mógł jednak jeszcze trochę poczekać.

Nie odpowie mi, zrozumiała Julia i odetchnęła z ulgą.

- To tak, jakby część mojej duszy pojechała samowolnie do Amsterdamu i tam na mnie czekała. Wiesz, co to jest ból fantomowy?

Dziewczyna skinęła głową.

- T a m , gdzie była ona, pozostał mi właśnie on. I ten ból nadaje moc innemu cierpieniu, temu które każe mi myć, liczyć i tak dalej. Wychodzi więc na to, że sama nieobecność Marijke uniemożliwia mi jej odnalezienie. Rozumiesz?

- Ale gdybyś tam pojechał i ją odwiedził, poczułbyś się lepiej, prawda?

- Zapewne. Tak. Oczywiście, że byłbym bardzo szczęśliwy. - Spojrzał na Julię z niepokojem, jakby zaczął się obawiać, że dziewczyna siłą wyprowadzi go za drzwi.

- No więc?

- Julia, ty nic nie rozumiesz.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Chciałam się dowiedzieć, jak to jest być zakochanym. A ty mi mówisz o tym, co czujesz po odejściu żony.

Martin wrócił na swoje krzesło. Ona jest taka młoda, pomyślał. Gdy my mieliśmy tyle lat, co ona, wymyślaliśmy świat na nowo. Nie słuchaliśmy niczego, co do nas mówiono.

Julia stała z zaciśniętymi dłońmi, zupełnie jakby szykowała się do wymuszenia na nim wyjaśnień przemocą.

- Zakochanie oznacza... niepokój - powiedział po chwili. - Oznacza pragnienie dawania przyjemności, zamartwianie się o to, że ona zobaczy mnie jaki jestem naprawdę. A z drugiej strony, właśnie do tego się wówczas dąży. Trochę jak... jakbym chciał stanąć przed nią w ciemności, nagi i łkający, wyzuty z wszelkiej godności... Chciałem, żeby mnie rozumiała i kochała, mimo że znała wszystkie moje wady, a ja dobrze znałem ją. Teraz odeszła i moja wiedza o niej stała się niezupełna. Całymi dniami wyobrażam sobie, co ona teraz robi, o czym mówi, z kim rozmawia, jak wygląda. Staram się wyobrażać sobie wszystkie godziny z jej życia, do których nie mam dostępu, a w miarę jak ich przybywa, staje się to coraz trudniejsze. Coraz więcej muszę dopowiadać samodzielnie i chyba już tak naprawdę nie wiem jaka ona jest. - Siedział ze spuszczoną głową, mówił coraz ciszej, niemal na granicy słyszalności.

On czuje do żony dokładnie to samo, co ja do Valentyny, pomyślała Julia. Przeraziła ją ta myśl. Uczucia, które żywiła do siostry, były szalone, niezależne od woli, zepsute. Nagle zaczęła nienawidzić Marijke. Dlaczego ona go porzuciła? Dlaczego zostawiła go siedzącego w tym krześle z rozedrganymi ramionami? Uleciała myślami do taty. Czy on czuje coś podobnego wobec mamy? Nie potrafiła sobie wyobrazić ojca żyjącego samotnie. Podeszła do Martina. Miał zamknięte oczy, patrzył w dół. Stanęła za nim, pochyliła się i objęła go ramionami, tuląc policzek do ciepłego karku mężczyzny. Zamarł, po czym z wolna skrzyżował ręce i położył dłonie na nadgarstkach Julii. Przypomniał sobie Theo i ostatni raz, gdy syn go objął.

- Przepraszam - wyszeptwała.

- Nie, nie - odparł Martin.

Julia wypuściła go z uścisku. Podniósł się i wyszedł z gabinetu. Julia słyszała, jak czyści nos w innym pomieszczeniu. Wrócił do pokoju, przekroczył próg tym swoim dziwnym krokiem w bok i zasiadł ponownie na krześle.

- A wyszedłeś zupełnie jak człowiek. - Uśmiechnęła się.

- Jak to? O rany... - Na moment ogarnęła go konsternacja, ale nieprzyjemne uczucie odeszło.

Powinienem jakoś to naprawić, pomyślał, lecz nie pojawił się w nim żaden przymus.

Julia spojrzała mu w oczy.

- Ostatnio jest ci chyba lepiej. Przestałeś wariować.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nie posunęłabym się może do stwierdzenia, że jesteś normalny, ale nie zabierasz się już co dziesięć sekund do mycia i sprzątania.

- To pewnie dzięki twoim witaminom - zauważył.

- Nigdy nie wiadomo - odparła. W głosie Martina zabrzmiało coś, co dało jej do myślenia.

- Pracuję nad czymś. Próbuję wyjść na piętro - oświadczył.

- Martin! To wspaniale! Pokażesz mi?

- Hmm, nie mogę powiedzieć, by mi się udało. Ale ćwiczę.

- Chyba będziemy musieli zwiększyć dawkę witamin.

- Tak, to chyba dobry pomysł.

Julia usiadła.

- Czyli, kiedy już będziesz w stanie wyjść z domu, pojedziesz do Holandii?

- T a k .

- I wtedy już cię więcej nie zobaczę?

- I wtedy będziesz mogła odwiedzić nas w Amsterdamie.

Zaczął jej opowiadać o mieście Marijke. Julia słuchała. To naprawdę możliwe, myślała. Była jednocześnie podekscytowana i zmartwiona: czy jeśli Martinowi się polepszy, zacznie ją nudzić?

- Pozwolisz mi zdjąć gazety z okien? - przerwała mu.

Martin zastanowił się. Nie zabraniał mu tego żaden wewnętrzny głos, lecz wciąż się wahał.

- Może tylko z kilku? Tak na próbę?

Dziewczyna zerwała się z miejsca i przeskoczyła zagrazdające jej drogę kartony. Zaczęła zrywać papier i taśmę klejącą. Do gabinetu wpłynęło światło. Martin gwałtownie zamrugał, spojrzał na drzewa i niebo. Dobry Boże, to już wiosna, przemknęło mu przez myśl. Julia zaniósła się kaszlem. Sypiący się ze starych gazet kurz podrażnił jej gardło.

- No i? - zapytała, gdy opanowała oddech.

- Bardzo ładnie. - Martin skinął głową.

- Mogę odsłonić więcej okien?

- Jeszcze więcej? - Nie był pewien. - Pozwól mi najpierw przywyknąć do dziennego światła. Może za kilka dni zdejmemy kolejne gazety. - Martin podszedł do rozciągającego się za szybą widoku. - Wspaniała pogoda - zauważył.

Wtem serce zaczęło mu szaleńczo łomotać. Poczł się tak, jakby napierał na niego cały świat. Julia coś mówiła, ale nie usłyszał ani słowa.

- Martin? O Boże!

Julia chwyciła go za ramiona i podprowadziła do krzesła. Cały był zlany potem; ciężko dyszał.

- Martin?

Unosząc rękę, powstrzymał jej dalsze pytania i opadł na siedzenie.

- To tylko atak paniki - wyjaśnił po kilku minutach. Siedział z opuszczonymi powiekami, wydawał się całkowicie wycofany w głąb siebie.

- Co mogę zrobić? - spytała.

- Nic - odpowiedział. - Wystarczy, że tu ze mną posiedzisz.

Siedziała więc i czekała. Po jakimś czasie Martin westchnął.

- Cóż, ekscytujące przeżycie, nieprawdaż? - powiedział i osuszył twarz chusteczką.

- Przepraszam cię. - Miała wrażenie, że dzisiaj nic jej się nie udaje.

- Nie przepraszaj. Czekaj, przesuniemy krzesła i usiądziemy w słońcu.

- No, ale...?

- Nic się nie stanie. Nie będziemy się zbliżać do okien.

Przenieśli siedzenia.

- Często myślę, że cię rozumiem, ale to jednak nieprawda — przyznała Julia.

- Ja sam tego nie rozumiem, więc jak mogłabyś ty? W końcu na tym chyba właśnie polega szaleństwo. Wszystko się rozpada i nic już nie ma sensu. To znaczy ma, ale nie jest to sens dostępny dla innych.

- A przecież już ci się poprawiało - rzuciła, bliska łez.

— Poprawiło się. Uwierz mi.

Martin rozprostował nogi i wystawił je na ciepłe promienie. Niedługo nadejdzie lato - pomyślał o gorącym Amsterdamie, o skąpanych w blasku północnego nieba wąskich kamienicach nad kanałami, wyobraził sobie opaloną i gibką Marijke, śmiejącą się z jego angielskiego akcentu; wszystko to wydarzyło się dawno temu, ale zbliżało się kolejne lato. Wyciągnął rękę i podał ją Julii. Ucisnęła ją i siedzieli obok siebie, przyglądając się z bezpiecznej odległości wiosennemu dniu.

## SZWY PEKAJĄ

Valentina przywiozła do Londynu swoją maszynę do szycia, ale od dnia, w którym rozpakowały bagaże, nie tknęła jej palcem. Urządzenie stało w salonie i gdy tylko rzucała na nie okiem, wydawało jej się, że karci ją urażonym spojrzeniem. Zaczęło nawiedzać jej sny, zaniedbane, porzucone, niczym niekarmiony, zapomniany psiak znudzonego dziecka.

Stanęła przed maszyną i przyjrzała się jej uważnie. Skoro właśnie to chciałabym robić w życiu, pomyślała, powinnam się zabrać do pracy. Przejrzała w Internecie oferty kursów dla projektantów mody - wszędzie od kandydatów wymagano portfolio. Z siostrą o podjęciu dalszej nauki nie rozmawiała od wielu tygodni. Złożyła dokumenty, postanowiła, i jeśli się dostanę, to po prostu zacznę chodzić. W razie czego dostanę pieniądze od taty. Julia nie będzie w stanie mi przeszkodzić. Zdjęła z maszyny pokrowiec. Przyniosła z jadalni krzesło; znalazła walizkę z materiałami i wyrzuciła je na łóżko. Zaczęła brać kolejno do ręki wszystkie tkaniny, rozwijała je, wygładzała i na powrót składała. Pomyślała o Edie. Julia nie miała do szycia wystarczającej cierpliwości i nigdy się tego nie nauczyła. Valentina rozplątała wstążkę i posortowała szpulki nici. Znalazła pudełko z przybarami i swoje ulubione nożyce. Po chwili wszystko leżało



starannie ułożone na materacu, a dziewczyna zastanawiała się, co powinna zrobić.

Znalazła dwie niedokończone bluzki, nad którymi pracowała jeszcze w Chicago. Mogłaby się nimi zająć. Nie. Pokręciła głową. Chcę zrobić coś nowego. I nie dwie sztuki. Dla mnie wystarczy jedna.

W Stanach miała manekina, ale był za duży, by mogła go zabrać do Londynu. Wyciągnęła centymetr i zdjęła z siebie miarę. Dziwne, schudłam, przemknęło jej przez myśl. Ułożyła materiały na oddzielnych kupkach: „tak”, „nie”, „może”. Na stosiku „może” znajdował się pas czarnego aksamitu. Kupiła go jeszcze w ósmej klasie, w trakcie swego przelotnego flirtu z modą gotycką; Julia nie cierpiała czarnych ubrań, więc aksamit został nietknięty. Rozwinęła go teraz. Cztery jardy? Wystarczy mi na sukienkę.

Kiedy pojawiła się Elspeth, dziewczyna właśnie rysowała projekt.

- Och, cześć - przywitała się Valentina.

Mogła chyba zauważyć, że zamknęłam drzwi, i domyślić się, że chcę być sama.

Elspeth poruszyła dłonią, jakby coś pisała, i Valentina otworzyła nową stronę szkicownika.

**BĘDZIESZ COŚ SZYĆ?**

- Tak. - Dziewczyna pokazała zjawie projekt sukienki. - Mała czarna z wszytą woalką.

**ZA DUŻO CZASU SPĘDZASZ Z ROBERTEM.**

Valentina wzruszyła ramionami.

**MOGĘ POPATRZEĆ?**

- Jak chcesz. — Dziewczyna zatarła ręce, by je rozgrzać, i wróciła do rysowania.

Elspeth skuliła się na łóżku i zniknęła.

Mijały godziny Valentina męczyła się ze sporządzeniem wykroju. Między innymi właśnie tego chciała się nauczyć na kursie. Siedziała na podłodze przed rozłożonym papierem. Wiedziała, że coś jest nie tak, ale nie była w stanie wprowadzić poprawek. Jestem taka głupia, myślała. Może powinnam wziąć którąś z sukienek Elspeth i ją rozpruć? Zobaczyłabym co robię źle. Nagle w przedpokoju rozległy się kroki Julii.

- Myszko? - Drzwi stanęły otworem. - Ach, tu jesteś. O! Fajne! Co to będzie?

Julia cały dzień spędziła poza domem, spacerowała po Hackney. Była przemoknięta do suchej nitki. Valentina dopiero teraz zauważyła, że pada deszcz; dotąd zupełnie to do niej nie docierało.

- Dlaczego nie zabrałaś parasolki?

- Zabrałam. Ale ulewa jest tak straszna, że w niczym mi nie pomogła.

Julia zniknęła i wróciła po chwili w pizamie. Włosy owinęła ręcznikiem.

- Co szyjesz?

- To. - Valentina niechętnie podała bliźniacze projekt.

- Z tego czarnego? — Julia przyjrzała się bacznie rysunkowi.

- T a k .

- Cóż, jest... takie inne.

Valentina nie odpowiedziała. Wyciągnęła rękę i siostra zwróciła jej zeszyt.

- Dokąd miałybyśmy w tym pójść? To wygląda jak haloweenowy kostium dla Lolity.

- Eksperymentuję - rzuciła Valentina.

- I tak masz za mało materiału. Może poszukamy sklepu? A gdybyś uszyła taką samą, ale różową? Super by była.

- Na jedną mi wystarczy. A różowy zupełnie nie pasuje do tego kroju. - Dziewczyna udała, że poprawia coś na szkicu. Nie spojrzała na siostrę.

- A jaki jest sens w szyciu tylko jednej?

- Do mojego portfolio? - wyjaśniła cicho Valentina.

- Jakiego znowu portfolio?

- Do szkoły. Na kurs dla projektantów.

- Ale przecież ty nie idziesz na żaden kurs. Wspólnie to postanowiliśmy. - Julia okrążyła wykrój i kucnęła, chcąc pochwyć wzrok siostry. - To znaczy, chodzi mi o to, że po co miałabyś to robić? Mamy pieniądze.

- Niczego nie postanowiliśmy. To ty ciągle mi wma-wiasz, że niby coś takiego powiedziałam. - Zaczęła składać wykrój, chować ołówki i szkicownik.

- A ty bez przerwy robisz coś sama. Już cię prawie nie widuję. Nie chcesz ze mną wychodzić, co wieczór spotykasz się z Robertem. I całymi dniami rozmawiasz z Elspeth. Jak-byś mnie znienawidziła.

Valentina spojrzała wreszcie bliźniaczcze w oczy.

- Tak, nienawidzę cię.

- Nie — zaprotestowała Julia. — Nie możesz.

- Zachowujesz się jak więzienny strażnik. - Dziewczyna wstała. Julia wciąż klęczała na podłodze. - Daj mi spokój. Pod koniec roku poprosimy pana Roche, żeby podzielił spadek. Jeśli chcesz, będziesz mogła nadal tu mieszkać. Ja wezmę tylko trochę pieniędzy. Nie za dużo, tyle, by się utrzymać. Rób co chcesz. Ja będę się uczyć. Pójdę do pracy, albo coś. Nieważne. Chcę coś robić, chcę żyć, dorosnąć.

- Ale nie możesz. - Julia wstała z kolan. Ręcznik, którym owinęła głowę, rozwinął się i opadł jej na twarz. Cisnęła go na podłogę. Oblepiona mokrymi włosami, w dzieciinnie niebieskiej piżamie, wyglądała żałośnie młodo. - Valentina,

ty nie potrafisz zadbać nawet o siebie! Kiedy poważnie zachorujesz, a mnie przy tobie nie będzie i się tobą nie zaopiekuję, po prostu umrzesz.

- I fajnie - syknęła Valentina. - Wolę umrzeć, niż spędzić z tobą resztę życia.

- I fajnie - odgryzła się Julia. Podeszła do drzwi i zatrzymała się przy nich, próbując dobrać słowa. Nie znalazła żadnych. - Jak sobie chcesz - dodała i wyszła, trzaskając drzwiami.

Valentina stała wpatrzona w zamknięte drzwi. I co teraz? Nagle zauważyła, że na łóżku pojawiła się Elspeth. Widmo przyglądało się jej z malującym się na twarzy zdumieniem.

- Idź stąd - powiedziała do zjawy dziewczyna. - Proszę, zostaw mnie samą.

Elspeth posłusznie wstała i przeniknęła przez zamknięte drzwi. Valentina nie ruszyła się z miejsca. Emocje przelatywały przez jej głowę jedna za drugą. Wreszcie podniosła z łóżka rolę czarnego aksamitu. Weszła na środek stosu tkanin i owinęła się nim. Zniknę, pomyślała. Słyszała szum ulewnego deszczu. Długo płakała. Pod osłoną ciemnego materiału było ciepło i bezpiecznie. Zасыpiając, pomyślała: wiem, wiem co robić... I tak, na granicy pomiędzy snem a jawą, jej plan uformował się do reszty.

## PROPOZYCJA

Następnego ranka Valentina przyglądała się czytającej Elspeth. Dziewczyna rozłożyła na dywanie w salonie kilka starych książek w miękkich oprawach. Zjawą czytała otwarte strony i przechodziła do następnej pozycji. Mieszała ulubione tytuły (*Miasteczko Middlemarch*, *Emmę*, *Modlitwę za Owena*) z opowieściami o duchach (*W kleszczach lęku*, i opowiadania M.R. Jamesa i Poe'go) w nadziei na znalezienie dodatkowych wskazówek, informacji o własnym stanie. Efekt tego sposobu oddawania się lekturze był lekko konfundujący. Zapoznawszy się z ostatnią z dostępnych porcji tekstu, Elspeth wracała do pierwszej książki i mozolnie przewracała kartkę. Potem obracała strony następnych. Valentina widziała, jak jej ręce - sweter, który miała na sobie, znikają zaraz poniżej piersi. Unosiła się do góry nogami. Jeśli ukazałaby się cała, wyglądałoby to tak, jakby ktoś zawiesił ją za nogi pod sufitem. Gdyby miała krew, wszystka spłynęłaby jej do głowy. A mimo to, wydawało się, że jest jej bardzo wygodnie.

- Pomóc ci przewracać?

Elspeth uniosła wzrok i pokręciła głową. Napięła biceps, pokazując, że musi ćwiczyć.

Valentina leżała na różowej sofie z podniszczonym wydaniem *Kobiety w bieli*. Nie mogła jednak skupić się na losach

hrabiego Fosco i Marian. Dekoncentrowała ją biedząca się z kolejnymi kartkami zjawa. Odłożyła książkę.

- Gdzie jest Julia?

Elspeth wskazała palcem na sufit.

- A c h - rzuciła dziewczyna, podniosła się i wyszła. Po chwili wróciła z tabliczką ouija i plastikowym krążkiem. Przytknęła palec do ust. Elspeth popatrzyła na nią niepewnie, jakby chciała powiedzieć „Przecież nie musisz mnie uciszać”. Zbliżyła się do Valentyny.

- Wiesz już, co się stało z kotkiem? - spytała dziewczyna.

Elspeth spojrzała w bok. Nie chce o tym rozmawiać. Do Valentyny się jednak nie odezwała. Dziewczyna nie zrezygnowała.

- Mogłabyś to zrobić ze mną? Wyjąć ze mnie duszę, a potem włożyć ją z powrotem?

NIE - odparła zjawa.

- Nie mogłabyś czy nie chcesz?

NIE, NIE, NIE. Siedziała, kręcąc głową. Chciała powiedzieć „Co za durny pomysł”, ale zamiast tego przeliterowała na tabliczce: DLACZEGO PYTASZ?

- Dlatego, a czemu chcesz wiedzieć?

Elspeth zaczęła się zastanawiać, czy właśnie tak wyglądałyby rozmowy z dorastającą córką: nierozsądne żądania i urocza bezmyślność.

A JEŚLI NIE UDA MI SIĘ WŁOŻYĆ CIĘ Z POWROTEM?

- Możesz potrenować na kotku.

SZKODA KOTA.

Valentina zalała się rumieńcem.

- Przecież nic się mu nie stało. I nie ma powodu, dla którego ze mną miałyby się nie udać.

## ŚMIERĆ KOMÓREK MÓZGU. SKĄD MAMY WIEDZIEĆ, ŻE KOT JEST ZUPEŁNIE OK?

- Daj spokój, Elspeth. Przynajmniej się nad tym zastanów. Zjawą popatrzyła na Valentine.

ZAPOMNIJ - napisała i zniknęła.

Valentina siedziała w zadumie. Wiatr tarł kartki leżących na dywanie otwartych książek. Dziewczyna nie była pewna, czy robi to sam, czy pomaga mu duch. Żeby ją rozdrażnić, obróciła wszystkie tomy okładkami do góry. Nie spodziewała się, że Elspeth się zgodzi. Ale przedstawiła pomysł i wiedziała, że w końcu postawi na swoim.

\*\*\*

Julia bardzo się niecierpliwiła. Siedziała na piętrze, oparta plecami o drzwi do mieszkania Martina, jedną nogę wyprostowała, drugą zgięta nad schodkiem. Nastał kolejny deszczowy poranek i światło pokrywało stopnie czymś, co przypominało dodatkową warstwę kurzu. Dziewczyna słyszała Martina mówiącego do siebie w mieszkaniu. Chciała wejść i poprzekadzać mu, ale postanowiła jeszcze chwilę wytrzymać. Zmieniła pozycję. Obie stopy oparła o stopy gazet, które sąsiad przechowywał na korytarzu. Sterty papieru nie były zbyt stabilne. Julia wyobraziła sobie, że spadają i zasypują ją. Zginęłyby. Martin by jej nie odnalazł - nie mógłby otworzyć drzwi. Nie, nie tak. Jego drzwi otwierają się do wewnątrz. Valentina na pewno pomyślałaby, że uciekłam; byłoby jej przykro. Gdybym była duchem, pokochałaby mnie na nowo. Siedziałyby tu całymi dniami z tabliczką i świetnie się bawiła. Potem przyszedłby Robert i spadłaby na niego papierowa lawina. Skręciłby kark i zginął. Julia

pchnęła mocniej jedną ze stert. Opadła na bok, na pozostałe gazety. Niezbyt zadowalający efekt.

Nudzi mi się, stwierdziła. Nie jest miło nudzić się same-  
mu. Rozejrzała się, ale nie znalazła niczego, o co mogłaby  
zaczepić myśl czy choć spojrzenie. Wracać na dół nie było  
sensu. Valentina i tak z nią nie porozmawia.

Martin zaczął śpiewać. Julia już wcześniej wiedziała, że  
sąsiad lubi muzykę. Tej piosenki nie znała. Chyba z jakiejś  
reklamy? Znów kopnęła gazety, ale wciąż nie miały ochoty  
spaść. Może powinienam znaleźć pracę, przemknęło jej przez  
myśl. Nadal bym się nudziła, ale miałabym przynajmniej  
powód, żeby wyjść z domu. Poczula zapach tostów i nagle  
zrobiło jej się smutno. Machnęła nogą raz jeszcze, mocniej  
i tym razem gazety posłuchały. Spadły na nią, pokryły jej  
nogi i brzuch. Przypominało to zabawę na plaży, zakopywa-  
nie się w piachu, choć papier nie był tak miękki; wbijał się  
w jej ciało ostrymi rogami. Siedziała tak przez kilka minut,  
próbując znaleźć cokolwiek przyjemnego w nowej sytuacji.  
Nie, też bez sensu, doszła do wniosku. Wygrzebała się spod  
gazet, przeszła nad nimi i otworzyła drzwi. Poszła za głosem  
Martina do kuchni. Sąsiad szykował sobie właśnie... tak,  
tosty.

\*\*\*

Następnego ranka Valentina i Elspeth usiadły przy tab-  
liczce. Zjawa miała świeże przemyślenia.

NIE ROZUMIEM - przeliterowała.

- Chcę odejść od Julii - oświadczyła Valentina. Ta myśl  
zaprzętała ją ostatnio niemal bez reszty.

WIĘC ODEJDŹ.



- Ona mi na to nie pozwoli.

NONSENS.

- Kiedy ty rozstałaś się z mamą...

NIE MIAŁYŚMY WYBORU.

- Dlaczego nie?

Elspeth przez chwilę obracała niebieskim krążkiem. Wreszcie plastik znieruchomiał.

- Jeśli Julia będzie przekonana, że umarłam, pozwoli mi odejść.

GDYBYŚ UMARŁA, JULIA BYŁABY ZDRUZGOTANA. JACK I EDIETEŻ.

Valentina aż do tej chwili nie pomyślała o rodzicach. Zmarszczyła brwi.

- Słuchaj, Elspeth. Wszystko będzie dobrze. Umrę i Julia będzie musiała nauczyć się żyć beze mnie. Pogodzi się z tym. A potem włożysz mnie do ciała i będę żyć długo i szczęśliwie. Własnym życiem. Będę wolna.

Elspeth siedziała z palcami na krążku i przypatrywała się Valentynie. Dziewczyna wyczuwała bijącą od zjawy irytację, która nagle przerodziła się w zadumę.

POMYŚL O PRAKTYCZNEJ STRONIE - napisała Elspeth. - WIELE DNI SPĘDZIŁABYŚ POZA CIAŁEM - BĘDZIE POGRZEB - ZWŁOKI ZACZNĄ SIĘ ROZKŁADAĆ - NO I ZŁOŻĄ JE NA CMENTARZU - MY STAĆ NIE WYJDZIEMY - CHYBA - A CO, JEŚLI TWÓJ DUCH ZNAJDZIE SIĘ GDZIE INDZIEJ? - JAK POTEM MOGŁABYM CIĘ WŁOŻYĆ - CIAŁO BĘDZIE W STRASZNYM STANIE - W SKRÓCIE, ZWARIOWAŁAŚ.

- Robert nam pomoże.

NIE ZROBITEGO.

- Zrobi, jeśli go poprosisz.

Elsbeth poczuła się głęboko poruszona. Katastrofa, pomyślała, tak to się właśnie nazywa. Wąż, jabłko, kobieta: to cholerne kuszenie. Musi się źle skończyć. Powiedz jej „nie”. Bez ciebie jej się nie uda. Jeśli odmówisz, jakoś dogada się z Julią. Nie, nie, nie. Zjawa zauważyła, że Valentina czeka na jej odpowiedź bardzo cierpliwie. Powiedz jej „nie”.

Duch dotknął krążka.

ZASTANOWIĘ SIĘ - pojawiło się, litera po literze, na tabliczce.

## WYLICZANKA

Valentina siedziała w ogrodzie za domem i popijała herbatę. Był wilgotny, szary majowy poranek. Wstała dziś wcześniej niż zwykle. Kamienna ławka była porośnięta mchem, od którego nasiąkał jej szlafrok - stary, pikowany, dawniej należący do Elspeth. Zsunęła kapcie ze stóp i podciągnęła nogi, brodę wsparła na kolanach.

Zjawa obserwowała dziewczynę z parapetu.

Valentina słyszała dobiegające z cmentarza skrzeczenie nawołujących się srok. Dwie przysiadły na murze i patrzyły na nią. Kołysały się na boki. Dziewczyna odpowiedziała im spojrzeniem i przypomniała sobie wyliczankę, której nauczyła ją Edie.

*Jedna na smutek,*

*Dwie na radość,*

*Trzy na ślub,*

*Cztery na dziecko,*

*Pięć na chorobę,*

*Sześć na śmierć.*

Dwie na radość, pomyślała. Dobry znak. Ledwie jednak zdążyła się do siebie uśmiechnąć, trzy kolejne ptaki wylądowały obok siedzącej już pary, a chwilę potem dołączył do

nich jeszcze jeden. Szczególnie wielka i rozwrzeszczana sroka załopotowała skrzydłami pomiędzy swymi towarzyszkami. Wszystkie zaczęły się niespokojnie przechadzać w tę i z powrotem. Valentina oderwała od nich wzrok i popatrzyła w górę, na okno. Czy to Julia? Za szybą, na tle ciemnego pokoju widniała mroczna postać - wyglądała jak wydarta w rzeczywistości dziura. Dziewczyna wstała z ławki i przesłoniła oczy dłonią, zmrużyła oczy. Elspeth? Nie, nikogo tam nie ma. Wrażenie było bardzo niepokojące... Nie, to nic takiego. Elspeth nie wyglądałaby tak... groźnie.

Valentina dopiła ostatni łyk herbaty, zebrała filiżankę, spodek i łyżeczkę i wróciła do domu.

## EKSPERYMENT

Mały Kotek Śmierci spał na poduszce Valentyny. Było już popołudnie i przez okno sypialni wpadały ukośne promienie, zalewały dywan i bok łóżka, nie dotykając jednak kociej sierści. Zwierzak był tak biały, że niemal zlewał się z jasną pościelą. Wygląda jak niedźwiedź polarny w śnieżnej zamieci, pomyślała Elspeth. Zjawa stała w słońcu, pozwalając ciepłemu blaskowi przelewać się przez siebie, i obserwowała śpiącą kotkę. Chcę cię mieć. Czuła się źle. Nigdy nie uważała się za osobę, która mogłaby zabić we śnie pięknego białego kota. A jednak, najwyraźniej, była właśnie kimś takim. Nie martw się, kotku, za chwilę włożę cię z powrotem. Nieśmiało wyciągnęła ku niemu rękę. Zwierzę ani drgnęło. Zjawa wsunęła palce w miękkie włoski na kocim brzuchu. Jak ja to wtedy zrobiłam? Wcisnęła dłoń do wnętrza. Kot na znak protestu zamiauczał i przekręcił się na bok. Nie obudził się jednak. Widmowa ręka bez trudu przenikała przez wypełnione gorącą krwią żyły, przez organy wewnętrzne, kości, mięśnie. Na oślep poszukiwała tej niewielkiej, niematerialnej rzeczy; wiedziała, że jej palce nieomylnie rozpoznają duszę kotka, składała się przecież z tej samej substancji co Elspeth. Czy dusza zawsze tkwi w ciele w tym samym miejscu? A może się przemieszcza? Ostatnim razem zaczęła mi się o palec. Była śliska jak pestka wydłubwana

z owocu awokado. Kot mruknął i zwinął się w ciaśniejszą kulkę. Przepraszam, kotku, przepraszam. Elspeth uniosła dłoń wyżej, do wnętrza płuc i zwierzę się obudziło.

Zjawa gwałtownie cofnęła dłoń. Przecież cię nie widzi, przemknęło jej przez myśl. Kotek jednak był wyraźnie zaniepokojony, wygiął grzbiet w łuk i rozejrzał się ostrożnie dokoła. Podszedł do krawędzi materaca i zaczął nasłuchiwać. W mieszkaniu panowała cisza; bliźniaczek nie było w domu. Elspeth słyszała szum odkurzacza. Robert sprzątał kuchnię. Kotek obrócił się i ułożył w nogach łóżka, ze skrzyżowanymi przednimi łapkami. Wsparł na nich łebek i zmrużył oczy. Elspeth usiadła obok i czekała.

Kilka minut później powieki zwierzęcia zamknęły się zupełnie. Zjawa obserwowała unoszące się i miarowo opadające boki. Koniuszek ogona lekko podrygiwał. Tylko delikatnie, przykazała sobie. Pogładziła kotka, tak jak to robiła Valentina. Tyle że pieszczotę dziewczyny kot przyjmował chętnie, a teraz zastrzygł niespokojnie uszami.

Mały Kotek Śmierci zasnął. Elspeth przeciągnęła przez jego ciało rozcapierzonymi palcami. Zrobiła to szybko, tak jak wtedy, gdy kot rzucał się na swoje zabawki. Coś chwyciło - kot zapadł się w siebie jak niewyrośnięte ciasto - a zjawa trzymała w dłoniach drapiące wściekle, kąsające zwierzątko.

Ciekawe, czy jeśli mnie zadrapie, ranki się zagoją? Elspeth wyobraziła sobie swą widmową skórę w strzępach i cisnęła kotka na łóżko. Patrzyli sobie w oczy. Kotek głośno zasyczał. Elspeth drgnęła. Skoro ja go słyszę....?

- Nic się nie stało, kotku - odezwała się i wyciągnęła rękę.

Kot cofnął się, wciąż sycząc, po czym odwrócił się, zeskończył na podłogę i zniknął. Elspeth przeleciała przez łóżko

i zdążyła jeszcze zobaczyć białą mgiełkę rozwiewającą się obok nocnego stolika.

I co teraz? Jak go włożę z powrotem? Elspeth pomyślała o Valentinie i ogarnęła ją rozpacz. Skuliła się obok bezwładnego ciała kota. Wróc kocie, ja tylko ćwiczyłam... O rany. Zwierzak wyglądał na bardzo martwego. Miał na wpół otwarte oczy, przesłonięte do połowy trzecią powieką. Wyglądał jak koci kosmita. Mały różowy języczek wystawał z pyszczka; głowa zawisała na łapach pod nienaturalnym kątem. Przepraszam cię, kotku, tak bardzo cię przepraszam.

Gdzie mógł się ukryć? Czy w ogóle jest jeszcze w mieszkaniu? Może uciekł do ogródka za domem, albo stał się chmurką bieli polującą na cmentarzu na duchy wróbli i żab? Może jego duch stanie się kocim upiorem nawiedzającym śmietniki South Grove? Elspeth pogładziła miękkie truchło. Nawet sierść straciła wszelkie pozory życia. Zjawa wsunęła palec w martwy bok i drgnęła. Przemiana była aż nazbyt wyraźna. Natrafiła wewnątrz na życie, ale było to życie istot, które niszczą ciało. Mikroorganizmy żywiące się zwłokami natychmiast rozpoczęły swoją ucztę.

Elspeth cofnęła rękę i usiadła. To się nie uda, Valentino. Nie tak, jak byś chciała. Zanim dojdzie do pogrzebu, znacznie się rozkład. Zgnijesz i umrzesz. Umrzesz na własną śmierć.

Zjawa rozpułnęła się w powietrzu. Było jej wstyd, że zabiła kota na potrzeby tak głupiego eksperymentu. Powinna była pomyśleć wcześniej. Biedne zwierzątko. Elspeth wcisnęła się do szuflady i zwinęła w ciasny kłębek. Czuła się okropnie, jak potwór, łajała się w duchu i zastanawiała, jak inni zareagują na ten przejaw jej okrucieństwa. Odpowiedź brzmiała: nijak, ponieważ poza Valentiną nikt się o niczym nie dowie.

# POGRZEB MAŁEGO KOTKA ŚMIERCI

Ciało znalazła Julia. To była pierwsza śmierć, której doświadczyła; jej myśli były poświęcone Valentinie; modliła się, żeby to okazało się nieprawdą, by kotek w jakiś sposób się obudził, by siostra nie musiała się tego dowiadywać. Valentina jednak

- Och. - To było wszystko co powiedziała na wieść o odejściu pupila.

Julia znalazła w schowku opatrzone zawiasami drewniane pudełko. Dawniej spoczywały w nim sztuce, ale teraz zostały po nich tylko puste wgłębienia w bladezielonym aksamicie. Srebra były prezentem ślubnym dla rodziców Elspeth i Edie. Zniknęły po włamaniu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym. Julia przez moment zastanawiała się, po co ktokolwiek trzyma w domu bezużyteczne pudełko. Przyniosła je do sypialni i położyła obok ciała kotka.

Valentina otworzyła wieko.

- Chyba się nie zmieści — powiedziała.

- Gdyby był w kształcie widelca... Czekaj, to chyba można wyjąć — zauważyła Julia i wyrwała wkładkę.

Stary klej ustąpił bez trudu. W powietrzu uniosła się stara, zatęchła woń. Valentina skrzywiła się i zasłoniła nos bluzką.



- Włożymy do środka kocimiętkę, a kotka owiniemy w coś ładnego.

Julia weszła do garderoby, gdzie znalazła należący dawniej do Elspeth szal z błękitnego jedwabiu. Valentina podniosła ciało i złożyła je na tkaninie. Ucałowała martwy łebek. Truchło było lekko zeszywniałe. Dziewczyna owinęła je dokładnie i włożyła do pudełka. Tutaj zwierzak wydawał się jeszcze bardziej nieżywy niż kiedy leżał na łóżku; zgrubienie pod szalem było koszmarnie nieruchome i żałosne. Valentina zamknęła wieko.

Bliźniaczki zeszyły na dół i bez słowa stanęły przed drzwiami Roberta. Pudełko niosła Valentina. Po chwili sąsiad otworzył.

- Zastanawiałem się i myślę, że powinniśmy go pochować w ogrodzie za domem - powiedział.

- Dlaczego? - spytała Julia. - Za murem mamy cały cmentarz. To głupie, posiadać rodzinny grobowiec i nie móc pochować w nim kota.

Siostry weszły do mieszkania, lecz zatrzymały się w przedpokoju. Zamknął drzwi.

- Jest kilka powodów, dla których to niemożliwe. Po pierwsze, nie macie odpowiedniej do takiego pochówku trumny. Wierźcie mi, w tym pudełku sprawy szybko przybrałyby bardzo nieprzyjemny obrót. Poza tym, na Highgate nie można chować zwierząt. To poświęcona ziemia.

- Chrześcijańskich zwierząt też nie można? - Julia nie rezygnowała.

- Gdybyśmy miały odpowiednią trumnę? - dodała Valentina.

- Pochowamy kotka pod murem. Poproszę George'a, żeby zrobił mu porządną nagrobek. Od cmentarza będą go

dzielić ledwie dwie stopy, a co więcej, będziecie go mogli odwiedzać kiedy tylko zechcecie.

- Okej — przystała Valentina. Czuła otępienie. Bardzo chciała pomówić z Elspeth, ale nigdzie nie mogła jej znaleźć.

Całą trójką wyszli do ogrodu. Robert przyniósł rękawice i łopatę. Po krótkiej konsultacji z Valentiną zaczął kopać. Pudełko nie było duże, ale wykopał grób głęboki na trzy stopy. Gdy dół był wreszcie odpowiednich rozmiarów, Robert pomyślał z uznaniem o pracujących na cmentarzu grabarzach - Thomas i Martin zrobiliby to w dziesięć minut, a ja już mam odciski i cały się spociłem. Ostrożnie opuścił kocią trumienkę na samo dno.

- Czy powinniśmy... coś powiedzieć? - odezwała się Julia.

- Masz na myśli modlitwę? - spytał Robert. Powiodł spojrzeniem po twarzach sióstr.

- Żegnaj... kotku - powiedziała Valentina.

„Kocham cię... tak mi przykro” - dodała w duchu i się rozpląkała. Robert i Julia popatrzyli po sobie niepewnie, każde chciało pozwolić drugiemu pocieszyć dziewczynę. Julia wskazała siostrę dłońmi: „Proszę bardzo”. Robert podszedł do płaczącej, przytulił ją; wciąż łkała. Julia odwróciła się i ruszyła do domu. Weszła po schodach pożarowych. Otwierając drzwi, odwróciła się i zobaczyła Valentinę w objęciach Roberta. Uniósł wzrok. Wygląda jak ktoś, kto dostał niechciany prezent i teraz musi udawać, że mu się podoba, pomyślała i weszła do mieszkania.

\*\*\*

Przez dwa następne dni wszyscy wzajemnie się unikali. Elspeth tkwiła w szufladzie zaprzątnięta własnymi wyrzutami

sumienia; Robert więcej czasu spędzał na cmentarzu, poświęcił się pracy w archiwum; Julia wstawiała wcześniej i wychodziła, nikomu nie mówiąc, dokąd; Valentina snuła się po mieszkaniu i próbowała szyć sukienkę. Nie mogła się skupić i wciąż nie potrafiła poprawić wykroju. Jakiś czas temu Robert pomógł bliźniaczkom zamówić nowy telewizor. Odbiornik dotarł na miejsce dwa dni po pogrzebie kotka. Valentina zarzuciła więc pracę na rzecz „Antiques Roadshow” i filmu dokumentalnego o islamie. Martin nie miał o niczym pojęcia i z przyjemnością oddawał się układowaniu krzyżówek i treningom wychodzenia na korytarz. Udawało mu się już stać za drzwiami przez całe dziesięć minut bez żadnych nieprzyjemnych konsekwencji; zaczął się zastanawiać nad zejściem po schodach.

Kiedy Elspeth wreszcie wychynęła z kryjówki, Valentina jadła właśnie kolację i oglądała kolejny odcinek „East-enders”. Zjawa usiadła kilka stóp od niej, niewidzialna, i zastanawiała się, co powiedzieć. Serial dobiegł końca. Valentina wyła. Elspeth ruszyła za nią do kuchni, a potem do sypialni. Wciąż cierpiała.

- Elspeth? - odezwała się dziewczyna. - Wiem, że tu jesteś.

Elspeth musnęła palcami grzbiet dłoni Valentyny, która wróciła do salonu i usiadła przed tabliczką.

- Elspeth, co się stało?

**STRASZLIWY BŁĄD. PRZEPRASZAM.**

- Nie chciałam, żebyś naprawdę go zabiła, wiesz?

**WIEM. PRÓBOWAŁAM GO WŁOŻYĆ Z POWROTEM, ALE NIE MOGŁAM. UCIEKŁ MI**

- Jest tu teraz?

**NIE WIDZĘ GO.**

- Powiesz mi, jeśli się pokaże?

TO MOŻE POTRWAĆ. NA POCZĄTKU BĘDZIE  
JAK CHMURA.

- Okej.

PRZYKRO MI.

- Mnie też. To moja wina. Nie powinnam była ci tego sugerować.

NAJLEPSZE PLANY MYSZY I LUDZI...

- Tak, chyba masz rację. - Wstała. - Jestem zmęczona, Elspeth. Muszę się położyć.

DOBRANOC.

- Dobranoc.

Valentina wyszła z pokoju. Po chwili zjawa usłyszała, że dziewczyna myje zęby. No i tyle, pomyślała. Może i dobrze.

Następnego ranka Julia znalazła siostrę w ogrodzie za domem. Valentina siedziała w słońcu na ławce, wpatrzona w niewielki kopczyk, pod którym spoczął kotek.

- No cześć - przywitała się Julia.

- Cześć.

- Chcę pójść do Liberty. Idziesz ze mną?

Valentina już miała odmówić, kiedy przypomniała sobie, że jej bliźniaczka nie lubi tego miejsca. Pewnie chce być dla mnie miła, pomyślała i przypomniała sobie o koszach ze ścinkami tkanin na trzecim piętrze domu towarowego Liberty; sama była w stanie bezmyślnie przyglądać się rozmaitym materiałom przez dwie godziny. Zawsze to jakaś odmiana od telewizji.

- Okej - rzuciła. - Jasne.

Po drodze prawie ze sobą nie rozmawiały. Valentina ubrała się cała na czarno; skorzystała z ubrań Elspeth. Julia, nie

mogąc włożyć takiego samego stroju jak siostra, wrzuciła na siebie jasnoróżową bluzę z kapturem, krótką spódniczkę i rajstopy. Róż i czerń dobrze się ze sobą komponują, pomyślała. Będziemy do siebie pasować, nie pasując. W huczącym metrze siedziały ramię w ramię, wyraźnie świadome obecności drugiej, lecz niezdolne do zagajenia rozmowy. Kiedy dotarły do celu, Valentina udała się na górę do działu z materiałami. Julia poszła za siostrą. Trzymała się z tyłu i cały czas zastanawiała nad tym, co powie siostrze, gdy ta zechce już rozmawiać.

W porze lunchu wyszły ze sklepu i trafiły do Pret; zjadły na spójkę kanapkę z bekonem, sałata i pomidorem i frytki. Julia piła colę, Valentina zamówiła herbatę. Posiłek ciągnął się w milczeniu. Julia niepokoiła się coraz bardziej.

- Co chcesz teraz robić? — odezwała się wreszcie.

- Nie wiem. - Valentina wzruszyła ramionami. - Chyba wracać do domu.

- No, daj spokój - zaprotestowała Julia. - Jest tak ładnie. Nie idźmy jeszcze.

- Okej. - Ton Valentyny dawał jasno do zrozumienia, że nie bardzo ją interesowało, dokąd pójdą.

- Chodźmy się po prostu przejść.

- Okej.

Gdy wyszły na ulicę, Julia skrzyła na południe. Teraz poruszała się po mieście już bez pomocy przewodnika. Valentina zauważyła James s Park.

- Popatrzmy na kaczki - poprosiła Valentina. Usiadły więc na ławce i przyglądały się ptakom.

- Dlaczego jesteś na mnie zła? - spytała Julia.

- Sama wiesz dlaczego.

- Nie... Nie rozumiem. Zawsze dotąd byliśmy razem i było nam dobrze. Nigdy przecież nawet o tym nie myślałyśmy. Tak po prostu było i już. Chciałyśmy tego samego i nie miałyśmy zamiaru kiedykolwiek się rozdzielać... pamiętasz?

Valentina pokręciła głową.

- To twoja wersja. Ty nas tak widziałaś. Zawsze robiłyśmy to, czego ty akurat chciałaś. Nawet tego nie zauważyłaś, ale to ja zawsze się dostosowywałam do ciebie. I jakoś tak wychodziło, że nigdy nie robiłyśmy tego, czego chciałam ja. Na przykład szkoła. Mogłyśmy zostać w Cornellu, albo gdzie indziej. Mogłyśmy już skończyć studia. Mogłyśmy mieć prawdziwą pracę. Ale tobie się nie podobało, kiedy robiłam cokolwiek samodzielnie, więc rzucałaś kolejne uczelnie i ciągnęłaś mnie za sobą. Z tego co widzę, ty nie chcesz w życiu nic robić, przez co i mnie tego nie wolno. Więc jaki w tym sens, Julia? Nie możesz całe życie na mnie wisieć.

- Ale my powinnyśmy być razem. Spójrz na mamę i Elspeth. One nie chciały się rozstawać, tylko stało się coś strasznego, co je rozdzieliło. Ale gdyby nie musiały, wcale by tego nie zrobiły. Potem były nieszczęśliwe.

- Przecież mogły do siebie wrócić, a tak się nie stało - zauważyła Valentina. - Robert i Elspeth byli w Stanach na wakacjach i nawet nie odwiedzili Chicago. Elspeth nie chciała. Robert uważa, że to mama kazała Elspeth trzymać się od nas z daleka.

- Najważniejsze jest to, że one nie chciały żyć osobno.

- A jakie to ma znaczenie? - rzuciła Valentina. - Ja chcę się uczyć. Chcę mieć chłopaka. Chcę wyjść za mąż i urodzić dzieci. Chcę zostać projektantką i mieszkać we własnym domu. Chcę sama zjadać całą kanapkę. Niekoniecznie w tej kolejności - dodała.

- Możesz jeść tyle kanapek ile tylko zechcesz — odparła Julia.

To miał być żart, ale Valentina nagle wstała z ławki i odeszła. Julia zawołała ją, a kiedy siostra się nie zatrzymała, ruszyła za nią. Dokąd ona idzie? - zaczęła się zastanawiać. Nie ma planu miasta, zgubi się w dziesięć sekund. Valentina wyszła z parku, zawahała się, po czym skręciła w prawo i poszła wzdłuż The Mall. Julia podbiegła za bliźniaczką. Zauważyła, że Valentina rzuca spojrzenie za siebie i przyspiesza. Dotarła do Trafalgar Square, zatrzymała się i porozmawiała ze sprzedawcą gazet. Mężczyzna wskazał ręką i zapisał dziewczynie coś na kartce. Ona szuka metra, pomyślała Julia i zaczęła, aż siostra sama znajdzie drogę. Dogonię ją pod ziemią. Stamtąd mi nie ucieknie, postanowiła. Valentina rozejrzała się wokół, nie znalazła Julii i poszła w złą stronę. Dlaczego nie idziesz do Charing Cross? - zdziwiła się. Śledziła Valentinę przez Cockspur Street i Haymarket. W tych czarnych ciuchach jest prawie niewidzialna. Julia zmniejszyła dzielącą je odległość, w samą porę, by zobaczyć siostrę znikającą w metrze przy Picadilly Circus. Pobiegła. Widziała, jak Valentina przytyka kartę miejską do bramki, przechodzi i biegnie do schodów. Julia za nią; skorzystała ze schodów ruchomych i dotarła na peron przed bliźniaczką. Valentina minęła ją bez słowa. Julia znów ruszyła kilka kroków z tyłu. Nie rozumiała.

Valentina przeszła na stronę, z której odjeżdżały pociągi na zachód. Do diabła, co ona robi? Julia zatrzymała się kilka stóp od niej.

- Valentina, to zła linia. Pojedziesz na Heathrow.

Siostra nie zwróciła na nią uwagi. Czy ona chce jechać na lotnisko? Przecież nie ma paszportu. I ma przy sobie za

mało pieniędzy. Pociąg wjechał na stację. Valentina wsiadła. Julia za nią.

Kiedy drzwi zaczęły się zamykać, Valentina przecisnęła się między nimi i wyskoczyła z metra. Julia widziała ją na peronie, z zadowoloną miną obserwującą oddalające się wagony.

\*\*\*

Robert wrócił z cmentarza kilka minut po osiemnastej. Nalał sobie drinka i wyszedł do ogrodu za domem, chciał usiąść za cmentarnym murem i się odprężyć. Na kamiennej ławce kuliła się Julia. Płakała.

- Co się stało? - spytał, choć rozsądek podpowiadał mu zupełnie co innego.

- Valentina zaginęła — powiedziała dziewczyna i opowiedziała sąsiadowi wypadki całego dnia.

- No, nie wiem - stwierdził. - To, że ci się urwała, wcale nie znaczy, że zaginęła.

- No to gdzie ona jest? - Julia odwróciła wzrok.

- Nie mam pojęcia, ale na pewno wróci na noc do domu.

Dziewczyna spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Tak, pewnie masz rację.

- Chcesz? - Robert wyciągnął ku niej szklaneczkę.

- Nie, dzięki.

- A mogę w ogóle jakoś ci się przydać?

- Nie, ale dziękuję.

Julia wróciła do mieszkania. Zmartwiony Robert został w ogrodzie.

\*\*\*



O dwudziestej trzeciej Julia zeszła na dół i zapukała do drzwi Roberta.

- Odzywała się? - spytał.

- Nie. - Julia stała w korytarzu. - Co powinniśmy zrobić? Trzeba zadzwonić na policję?

- Nie wiem - odparł. - Nie jestem pewien....

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Robert pobiegł.

- Halo?... Dzięki Bogu, martwiliśmy się... Gdzie jesteś?... West Dulwich? Jak ty się tam dostałaś?... Nieważne, czekaj, sięgnę po plan... Podjadę taksówką, tylko zaczekaj przy wejściu, okej?... Nie, nie w porządku, ale nie odchodź stamtąd. Tak. Nie martw się. Do zobaczenia. — Odwiesił słuchawkę i spojrzał na Julię. - Jest w metrze, w południowej części miasta.

- Mogę z tobą pojechać?

- Chyba będzie lepiej, jeśli zostaniesz - powiedział Robert. Znalazł portfel i klucze i wyszedł na korytarz. - Przepraszam cię. Valentina wydawała się... bardzo spięta.

- W porządku - rzuciła dziewczyna, odwróciła się na pięcie i poszła na górę.

Robert wyszedł szukać taksówki.

\*\*\*

Droga z Highgate do West Dulwich była daleka. Robert miał sporo czasu na myślenie. Może powinienem zadzwonić do ich rodziców? Nie jestem przygotowany do radzenia sobie z takimi historiami. Elspeth w niczym mi nie pomoże. Zadzwoniłbym do Edie i Jacka, poprosił, żeby przyjechali... Ale co wtedy? Postawiliby je do pionu... Nie jestem ich niańką... Zresztą, tu bardziej przydałby się sędzia...

Gdy taksówka zatrzymała się wreszcie przed stacją, Robert wysiadł i stanął na chodniku. Odniosł wrażenie, że Valentina zmaterializowała się prosto z mroku; najpierw zobaczył tylko jej unoszącą się w powietrzu głowę. Dopiero po chwili zrozumiał, że dziewczyna jest ubrana na czarno. Nie odzywali się do siebie. Wsiadła do taksówki, mężczyzna wśliznął się za nią.

Ulice były niemal puste. Kierowca rozmawiał po hindusku przez komórkę. Kilka mil pokonali w niezręcznym milczeniu.

- Wszystko w porządku? - spytał, kiedy jechali mostem przez Tamizę.

- Podjęłam decyzję - powiedziała Valentina. - I będę potrzebować twojej pomocy.

Robert poczuł wyrzuty sumienia. Potem myślał, że powinien był w tej chwili zatrzymać taksówkę, odesłać ją samą do domu, zostawić to wszystko i biec ulicami, dopóki nie stanęłoby mu serce.

- Tak? - rzucił zamiast tego.

Dziewczyna zaczęła opowiadać — bardzo cicho, by nie słyszał jej kierowca - o Elspeth i zmartwychwstaniu kotka. Robert słuchał z rosnącą niecierpliwością.

- Nie rozumiem - przerwał jej wreszcie. - Przecież kot nie żyje.

- To było kiedy indziej. Wtedy Elspeth ćwiczyła. Za drugim razem kotek się spłoszył, uciekł i nie była w stanie włożyć go na powrót do ciała.

- Co, do diabła, ćwiczyła? Po co?

- Właśnie to ci chcę powiedzieć. Mamy plan...

Gdy zaczęła go wtajemniczać w szczegóły ze swym miękkim, amerykańskim akcentem, Roberta zdjęło przerażenie. Odsunął się od Valentyny.

- Zwariowałaś - stwierdził.

Położyła drobną dłoń na jego kolanie.

- Elspeth też tak powiedziała. Na początku. Ale potem zastanowiła się i wymyśliła, jak to wszystko należy przeprowadzić. Powinieneś z nią pomówić.

- T a k , z pewnością sobie z nią porozmawiam. - Od-sunął rękę dziewczyny, po czym zmienił zdanie i uściskał ją. - Hmm, Valentina... nie powinnaś tak... Nie wiem, czy dobrze będzie, jeśli złożysz w rękach Elspeth tak wielką od-powiedzialność.

- Dlaczego nie?

- Ona jest... sprytna. Jej plan może być nieco inny.

- Jest dla mnie bardzo miła.

Robert pokręcił głową.

- Elspeth nie jest miła. Nawet za życia nie była... Była piękna i mądra i fascynująco niepowtarzalna... pod pewny-mi względami, ale teraz, po śmierci... Mam wrażenie, że coś utraciła, coś ludzkiego. Zdolność do empatii i współczucia. Nie powinnaś jej ufać.

- Ale przecież ty jej ufasz.

- Tylko dlatego, że jestem głupcem.

Resztę drogi pokonali w milczeniu.

\*\*\*

Valentina nie chciała wracać na górę, więc Robert zaofe-rował jej własne łóżko. Odczekał, aż zaśnie, po czym wy-szedł i zapukał do mieszkania bliźniaczek. Julia otworzyła natychmiast.

- Wejdz - zaprosiła go.

Stanął w przedpokoju. Nie chciał siadać, ryzykując zbyt długą rozmowę.

- Jest u mnie. Śpi - powiedział.
- Okej.
- Julia... - zapytał z wahaniem. - Czy odniosłaś kiedykolwiek wrażenie, by Valentina myślała o... samobójstwie?
- Ona tego nigdy nie mówi na poważnie - odparła szybko dziewczyna.
- Mam wrażenie, że... Bądź po prostu ostrożna. - Odwrócił się i wyszedł. Kiedy sięgał ręką do klamki, usłyszał, jak Julia zamyka drzwi.

Wszedł do swojego mieszkania i podniósł słuchawkę telefonu. W Lake Forest była prawie dziewiętnasta. Wyobraził sobie Poole'ów zasiadających do kolacji, błogo nieświadomych tego, że ich córka planuje własną śmierć i zmartwychwstanie. Już miał dzwonić, kiedy uświadomił sobie, że nie zna numeru. Czy mogę zapytać Julię? Lepiej nie. Rano poproszę Roche'a.

\*\*\*

Nie spał prawie całą noc, obejrzał z wyłączonym dźwiękiem skróty ostatniej kolejki ligowej i amerykański koncert muzyki folkowej. W pewnym momencie usnął w fotelu. Gdy się obudził, Valentyny już nie było. Poszedł na górę i znalazł siostry jedzące wspólnie śniadanie, najwyraźniej pogodzone. Valentina podała mu kubek kawy.

- Co chcecie dziś robić? - spytał.
- Niewiele - rzuciła Valentina.
- Może wyberzecie się chociaż do supermarketu?
- Mamy dużo jedzenia - odparła Julia.
- Albo coś zwiedzić?
- Chcesz porozmawiać z Elspeth? - zapytała Valentina.
- Skąd wiedziałaś? — Uśmiechnął się słodko.

Dziewczyna się spieszyła, ale nie skomentowała. Po śniadaniu Julia wyszła do Martina, a Valentina poszła z herbatą do ogrodu. Robert stanął w jadalni.

— Elspeth, chodź tu - powiedział.

Poczuł jej zimny dotyk na policzku. Usiadł z ołówkiem w rękę przy stole.

— Elspeth, co ty chcesz zrobić? - spytał.

JAK?

— Ty i Valentina. Opowiedziała mi o waszym planie.

TO JEJ PLAN.

— Valentina nie byłaby w stanie zaplanować nawet ucieczki ze sklepu spożywczego. Elspeth, bardzo dobrze wiesz, że to się nie może udać. Choćby dlatego, że ciała zmarłych poddawane są działaniu całej masy rozmaitych substancji chemicznych.

POPROSISZ SEBASTIANA, ŻEBY JEJ NIE BALSAMOWAŁ.

— Nie, chodziło mi o substancje naturalnego pochodzenia. Węzły chłonne i inne gruczoły wydzielają po śmierci wiele paskudnych związków, które natychmiast zaczynają rozkładać tkanki. Są też gazy i bakterie...

CIAŁO TRZYMAĆ W CHŁODZIE. TUŻ POWYŻEJ ZERA.

— Elspeth, tak czy inaczej, to po prostu wykluczone. Zresztą planujecie zupełnie niepotrzebnie. Za pół roku Valentina będzie żyła. Jeśli nie chce żyć z Julią, nie musi.

A JEŚLI SIĘ PRZEDTEM ZABIJE?

— Nie zabije się. — W jego tonie pobrzmiwało silniejsze przekonanie, niż je w istocie czuł.

WIDZIAŁEŚ JĄ OSTATNIO? ŻYJE JAK W TRANSIE.

— Zadzwoń do jej rodziców. Zabiorą ją do domu.

SUGEROWAŁAM TO V. NIE POJEDZIE.

- Dlaczego nie? Zresztą, czy ona ma tu cokolwiek do gadania? Jeśli zajdzie potrzeba, Edie i Jack umieszczą ją w szpitalu - ja nie mam nad Valentiną takiej władzy.

ANI ONI.

- Elspeth, nie pomogę wam, a beze mnie wam się to nie uda.

JEŚLI TO ZROBIMY, BĘDZIESZ MUSIAŁ POMÓC.  
INACZEJ ONA NIE OŻYJE.

Robert umilkł, zaskoczony. Odłożył ołówek, wstał i zaczął się przechadzać wokół stołu. Zjawa siedziała na blacie i przyglądała się krążącemu mężczyźnie. Nigdy się nie zmienił, pomyślała z uśmiechem. Wreszcie wrócił na miejsce.

- Co ci z tego przyjdzie? - spytał ducha. - Jesteś o nią zazdrosna?

NIE.

- Naprawdę zamierzasz ją zabić?

MOGŁABYM TO ZROBIĆ I TERAZ. BEZ TRUDU.  
NIKT BY SIĘ NIE DOWIEDZIAŁ.

- To prawda. - Robert zdawał sobie sprawę, że powinien zadać jeszcze jedno pytanie, pytanie, które obnażyłoby sprzeczność leżącą u podstaw całego tego niedorzecznego planu, ale nie potrafił go sformułować.

- Elspeth, tak się... tak się po prostu nie robi.

MOŻE, ALE ONA JEST ZDECYDOWANA.

- Valentina się nie zabije.

A JEŚLI TAK?

Pokręcił głową. Krąg jej argumentów był zamknięty. Ale z pewnością można wyjść poza nie i dostrzec inne rozwiązanie.

- Nie róbmy tego - rzucił błagalnie. - Odmów jej. Będzie musiała wszystko jeszcze raz przemyśleć.

A JEŚLI SIĘ JEDNAK ZABIJE?

Nie odpowiedział.

POZWÓL MI PRZYNAJMNIEJ WYJAŚNIĆ, CO  
DOKŁADNIE ZAMIERZAMY.

Robert siedział, zapełniając kartkę starannym charakterem pisma Elspeth. Zdejmowała go rozpacz. Nie zrobię tego, myślał. Ale zaczynało wyglądać na to, że jednak zrobi.

## Z NIM JEST COŚ NIE TAK

W sobotnie popołudnie, po zamknięciu cmentarza, Jessica i Robert siedzieli z Jamesem na tarasie, z którego roztaczał się widok na ogródek Batesów. Kończył się pełen zajęć, gorący dzień - wspaniała czerwcową pogodą sprowadziła tłumy turystów, a większość przewodników wyjechała na wakacje; ponadto Robert i Phil musieli wyrzucić ze wschodniej części Highgate dwóch tłustych, natrętnych filmowców i ich ekipę; pewna rodzina przyjechała aż z Manchesteru, nie mając pojęcia, w której kwaterze może się znajdować grób ich babki. Teraz Batesowie siedzieli z Robertem, relaksując się i popijając whisky.

- Może powinniśmy wywiesić na bramie jeszcze jedną informację? - zasugerował James. - „Osoby niepewne położenia grobów swych bliskich uprasza się o przybywanie podczas godzin urzędowania, kiedy obsługa ma czas zająć się ich problemami”.

- Chcemy im pomagać - podjęła Jessica - ale muszą nas uprzedzać o takich wizytach. Nie cierpię, kiedy zbiegają się przy bramie i domagają, żebyśmy już, zaraz, natychmiast odnaleźli ich groby. To nie do zniesienia.

- Zapewne myślą, że archiwa przechowujemy w komputerze - rzucił Robert.

Jessica wybuchnęła śmiechem.



- Może za dziesięć lat. Evelyn i Paul wprowadzają to wszystko jak najszybciej się da, ale pozycji w bazie jest sto sześćdziesiąt dziewięć tysięcy...

- Wiem.

- Robert i Phil wykazali się dziś niemałym męstwem - poinformowała męża kobieta. - Nie dość, że zwyciężyli w bitwie z nieproszoną ekipą filmową, to jeszcze każdy z nich oprowadził po cztery wycieczki.

- Dobry Boże. A gdzie reszta przewodników?

- Brigitte pojechała w odwiedziny do matki, do Hamburga. Marion i Dean wzięli urlop i wyskoczyli do Rumunii. Sebastian ma nadgodziny w domu pogrzebowym, to przez ten straszliwy wypadek autobusowy w Little Wapping, a Anika zaraziła się od córki grypą.

- Było nas tylko troje. Biedna Molly cały dzień spędziła przy wschodniej bramie. - Robert osuszył szklaneczkę. Jessica napełniła ją ponownie.

- Cóż. To chyba najpoważniejszy problem przy prowadzeniu cmentarza w oparciu o samych wolontariuszy - zauważył James. - Nie można zbyt często pozwalać przewodnikom na wyjazdy, bo zawsze brakuje rąk do pracy.

- To nie tak — sprostowała Jessica. - Choć, z drugiej strony, bardzo bym chciała, żeby cmentarz był dla wszystkich najważniejszy...

- I tak właśnie jest - wtrącił Robert. - Przyjeżdżają tu z całego miasta. Czy słońce, czy deszcz.

- Tak, wiem. Jestem po prostu wyczerpana. To wszystko. Dzisiejszy dzień był stanowczo za długi.

Robert wyprostował nogi.

- Plus jest taki, że gdybym codziennie oprowadzał cztery wycieczki, zgubiłbym brzusek.

- To prawda. Wyglądasz, jakbyś za mało przebywał na powietrzu. - Jessica obrzuciła go baczny spojrzeniem. - Masz niedobór witaminy D. Bez przerwy jesteś zmęczony.
- Może powinienem kupić sobie laptop. Siadałbym na Łące pośród grobów i pisał na słońcu.

*Często go widzieliśmy, gdy u świtu zarania  
Śpiesznymi kroki wśród rosy brodził,  
Po trawiastym wzgórzu idąc na słońca spotkanie.*

- Jak romantycznie. - Jessica się uśmiechnęła. - Byłaby z tego świetna reklama laptopów. Ale, ale, jak ci idzie doktorat?

- W miarę dobrze. Choć ostatnio nie mogłem się mu w pełni poświęcić.

- A nie masz przypadkiem wyznaczonego terminu? Zawsze mi się wydawało, że oni są tam dosyć restrykcyjni pod tym względem - powiedział James.

- Problem sprowadza się do tego, że im bardziej zagłębiam się w temat, tym więcej mam do napisania. Zaczynam podejrzewać, że wyjdzie mi tekst rozmiarów naszego Highgate, grób za grobem, rok po roku, każde źdźbło trawy, każda paproć...

- Ależ, Robercie, absolutnie nie ma takiej potrzeby! - Jessica zachnęła się tak gwałtownie, że aż się przestraszył. - Musisz tylko napisać o tym, co się tu działo i dlaczego jest to tak ważne - nie musisz odtwarzać cmentarza na papierze. Jesteś historykiem, a historycy muszą przebierać w faktach, dokonywać wyborów.

- Wiem. I tak zrobię. Ale trudno się powstrzymać od zbierania materiałów.

Jessica ściągnęła usta i zapatrzyła się w dal.

- Możemy ci jakoś pomóc? - zaproponował James. - Ile już tego napisałeś?

Robert się zawahał.

- Tysiąc czterysta trzydzieści dwie strony.

- Cudownie! - ucieszył się James. - W takim razie teraz musisz już tylko nieco przykroić tekst i gotowe.

- Nie. - Robert pokręcił głową. - Doszedłem dopiero do pierwszej wojny światowej.

- Och - jęknął James.

Robert spojrział na Jessicę. Spoglądała na ogród, próbując się powstrzymać od komentarza.

- Ten cmentarz skupia w sobie wiele różnych historii - podjął Robert - nie tylko jedną. Istnieją aspekty społeczne, religijne i sanitarne. Trzeba też zająć się życiorysami pochowanych tu ludzi, założeniem i końcem Londyńskiej Spółki Cmentarnej. Potem jest jeszcze okres upadku i wandalizmu, powstanie Stowarzyszenia i cała włożona w Highgate praca. To wszystko musi do siebie pasować. No i jeszcze kwestia rzekomych zjawisk nadprzyrodzonych...

- Chyba nie zamierzasz pisać o tych bzdurach? - Jessica wyprostowała się na krześle. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Nie jako o faktach. Niemniej to część współczesnej historii i...

- Bardzo niesmaczna część.

- Niewielka część. Pamiętaj jednak, że te szaleństwa były jednym z motorów powstania Stowarzyszenia. Nie chcę cenzurować wydarzeń tylko dlatego, że nam się nie podobają.

Jessica westchnęła.

- Historię piszą zwycięzcy. A bitwę o Highgate wygrało Stowarzyszenie. Powinniśmy chyba mieć coś do powiedzenia przy tworzeniu dziejów cmentarza.

Robert nie mógł sobie przypomnieć, z kogo cytat przywołała koleżanka. Przez chwilę stawiął na Michela Foucaulta. Nadal coś mu jednak nie pasowało.

- Winston Churchill - odpowiedział uprzejmie James.
- Ach, jasne - rzucił Robert.

Ale ja jestem przecież marksistą, dodał w duchu. Nie chciał o tym mówić, ponieważ stosunek Jessiki do Karola Marksa był nieco dwuznaczny (przynajmniej pod względem obecności jego grobu na Highgate). Nie był też pewien, czy zdołaliby obronić przed atakami małżeństwa współczesne, akademickie prądy marksizmu. Postanowił uciec w zupełnie inny temat.

- Od jakiegoś czasu zastanawiam się nad istotą pamięci o zmarłych. Nad stawianymi im pomnikami...

Batesowie wymienili się spojrzeniami, ale nie skomentowali. Robert zdał sobie sprawę, że chyba niepotrzebnie zaczął ten wątek.

- Cała ta digitalizacja naszego archiwum - podjął po chwili. - Mozolne czyszczenie nagrobków, by można było odczytać inskrypcje. I George, dłubiący nazwiska na nowych pomnikach...

- Do czego zmierzasz? - zaciekał się James.
  - Po co to właściwie robimy? - spytał Robert.
  - Dla rodzin - odrzekła Jessica. - Dla zmarłych, jak sądzę, to żadna różnica.
  - I dla historyków. - Jej mąż się uśmiechnął.
  - A gdyby zmarli mimo wszystko mieli świadomość tych zabiegów? - ciągnął Robert. - Jeśli gdzieś tu z nami są...?
  - Cóż... - powiedziała Jessica.
- Z nim jest coś nie tak, pomyślała. Jest kłębkiem nerwów.
- Robert, dobrze się czujesz? Nie chcę się narzucać, ale martwię się o ciebie.

Robert spuścił wzrok.

- Może nie układa ci się z bliźniaczkami? - zapytał James. - Wybacz nam, jeśli się zbytnio wtrącamy, ale byliśmy przekonani, że się pozbierałeś...

Robert uniósł głowę i napotkał pełne niepokoju spojrzenia obojga Batesów.

- Bliźniaczki przestały się ze sobą dogadywać. O ile dobrze rozumiem, Valentina chce odejść od Julii, a Julia z kolei nalega, by Valentina przestała się ze mną widywać. Ale nie na tym polega mój prawdziwy problem.

Nie palił się, by im powiedzieć; nie chciał, by stracili dobrą opinię na jego temat, a był pewien, że nie uwierzą. Ale jeśli komuś nie powiem, wybuchnie mi głowa. Może jednak zrozumieją, nawet uznając, że zmyślam. Powietrze na tarasie było nieruchome. Z oddali doleciało krakanie samotnej wrony. Po chwili ptak umilkł i całą trójkę ogarnęła niczym niezmacona cisza.

- Uwierzyłem, że po śmierci coś nas czeka... Jakiś rodzaj dalszego istnienia - powiedział wreszcie. - Myślę, że to możliwe, że ludzie tu z nami zostają... albo, by tak rzec, nie mogą stąd odejść... - Zaczerpnął głęboko tchu. - Od jakiegoś czasu rozmawiam z Elspeth. Utknęła w swoim mieszkaniu i nie jest w stanie go opuścić.

- Och, Robert... - Głos Jessiki zabrzmiał niesłychanie smutno.

Robert wiedział, że niepokoi się jego stanem, obawiała się, że postradał zmysły. Na pewno nie zmartwiło jej żalotne położenie Elspeth.

- Bliźniaczki też z nią rozmawiają — dodał.

- Hmm... - mruknął James. - Myślisz, że zechciałyby pomówić też i z nami? W jaki sposób się z nią komunikujecie?

- Za pomocą automatycznego pisania, a kiedy się mężczyźni, korzystamy z tabliczki ouija. Elspeth jest bardzo zimna, więc nie jestem w stanie zbyt długo utrzymać pióra w ręku.

- Widzisz ją?

- Valentina ją widzi. Julia i ja nie. Nie wiem dlaczego.

Wszystko bym dał, żeby ją zobaczyć, dopowiedział w myślach.

- To ci chyba nie służy - zauważyła Jessica. Miała taką minę, jakby chciała powiedzieć o wiele więcej.

- Nie, nie służy.

- Może powinniśmy wysłać cię na wakacje? — zaproponowała. - Zmiana otoczenia na pewno by ci pomogła. I trochę witamin. Cmentarz nie jest chyba w tej chwili najlepszym miejscem dla ciebie.

- Jeszcze szklaneczkę? - podsunął James.

- Tak, poproszę. - Robert zaczął się zastanawiać, czy Batesowie mają tyle whisky, ile potrzebował wypić. Wyciągnął rękę ze szklanką. James nalał szczerze, wody dodał niewiele.

- Ale Elspeth nie ma na cmentarzu. Na Highgate nigdy nie spotkałem się z niczym podobnym. Widuję tylko lisy, turystów i co jakiś czas paru robotników.

- To dobrze - zauważył James. - Nie chciałbym, żeby się okazało, że zmarli muszą tam tkwić nawet w deszcz i słońce. Z drugiej strony, jeśli życie po życiu ma polegać na włączeniu się przez całą wieczność po własnym mieszkaniu, bez celu i zajęcia, to musi być okropnie nudne.

- I tak było na początku. Ale ostatnio Elspeth stała się dość... aktywna. Wczoraj widziałem, jak grają z Valentiną w tryktraka. Elspeth wygrała.

Jessica pokręciła głową.

- Założywszy, że to wszystko jest prawdą — a zrozum proszę, uważam, że to bardzo mało prawdopodobne - co dobrego może z tego wynikać?

Robert wzruszył ramionami.

- Mój drogi, obawiam się, że znalazłeś się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji - powiedział James. - Tego rodzaju historii nigdy nikomu nie przyniosły szczęścia.

Masz na myśli jakiś konkretny precedens? - pomyślał Robert i spojrzał badawczo na rozmówcę.

- Przypomnij sobie literaturę - ciągnął Bates. - I mity. Eurydykę. *Blithe Spirit*, to śliczne opowiadanie Edith Wharton, jak ono się...?

- *Ziarno granatu?* - podpowiedziała Jessica.

- Tak, dziękuję. Więc wszyscy mężowie i kochankowie duchów kończą źle.

- Poprosiłem ją, by mnie zabiła. Żebyśmy mogli być razem. Odmówiła.

- Mam nadzieję! — rzuciła przerażona Jessica.

- Nie, tak rzeczywiście nie można - stwierdził James. - Pomóżemy ci. Zabierzemy cię na wakacje. Pojedziemy razem.

- A kto się zajmie cmentarzem? — zapytał z uśmiechem Robert.

- A jakie to ma znaczenie? - odparła Jessica. Jak on może w takiej sytuacji żartować? - Obowiązkami podziela się Nigel i Edward. Dokąd pojedziemy? Paryż? Kopenhaga? Nigdy nie byliśmy w Rejkiawiku, a podobno jest o tej porze roku cudowny.

- Pojedźmy dokądś, gdzie jest ciepło i słonecznie - zaproponował James.

Wieczne niebo zaczęło się zaciągać chmurami. Robert był zmęczony i każda myśl o podróży dalszej niż przed

własny dom przyprawiała go o ból grzbietu. Wyciągnął rękę z szklaneczką. Jessica nalała alkoholu.

- Do Hiszpanii - rzuciła Jessica i małżonkowie uśmiechnęli się do siebie. - Albo na Wybrzeże Amalfi?

- To chyba niezły pomysł - uznał Robert. - Wszystkie te miejsca brzmią fantastycznie.

Dlaczego nie? Mógłbym to wszystko po prostu zostawić. Niech załatwią to we trzy. Bliźniaczki się pogodzą i będą żyć długo i szczęśliwie razem z Elspeth... Westchnął. Zdawał sobie sprawę, że nie pojedzie na żadną wycieczkę. A jednak wydawało się to takie proste.

- Pogadamy o tym — dodał.

- Powinniśmy coś zjeść - zasugerowała Jessica. - Mam wrażenie, że żołądek przysechł mi do kręgosłupa.

- Zamówię coś w Lighthouse, dobrze? - zaoferował się Robert. - Krewetki? - Wstał chwiejnie i poszedł zadzwonić do restauracji.

Batesowie siedzieli w milczeniu, słyszeli dobiegające z mieszkania kroki przyjaciela, odgłos podnoszonej w przedpokoju słuchawki, ściszoną rozmowę.

- Myślisz, że powinniśmy komuś o tym powiedzieć? - James przerwał wreszcie milczenie. - Moglibyśmy zadzwonić do Anthony'ego...

Jessica przetarła oczy. Jestem taka zmęczona.

- Nie wiem. Co ludzie zwykle robią, kiedy ich młodzi znajomi zostają nawiedzeni przez duchy?

- Odniosłaś może wrażenie, że powiedział nam o tym wszystkim, bo chce, żebyśmy coś w tej sprawie zrobili?

- Na przykład, wysłali go do psychiatrika?

James zastanawiał się przez moment.

- Wspominał przecież o samobójstwie.



- Nie, o ile dobrze pamiętam, to tylko prosił Elspeth, żeby go zabiła. - Prychnęła.

- Bardzo mi się to nie podoba.

- Mnie też nie. Jak sądzisz? Pojedzie z nami?

James westchnął.

- A jesteśmy pewni, że sobie poradzimy, jeśli dostanie przy nas jakiegoś ataku w hotelu?

- Coś jednak musimy zrobić.

Robert wrócił na taras.

- Zejdę na dół i odbiorę kolację. - Jego głos brzmiał radośnie i zupełnie zwyczajnie.

James sięgnął po portfel, ale Robert odmówił i powiedział, że tym razem on stawia. Wyszedł. Wyglądał prawie jak trzeźwy. Paryż, Rzym, Saskatchewan. Gdy wyszedł z budynku i ruszył Archway Road, zaczął cicho nucić. Adelajda, Kair, Pekin. Którekolwiek z tych miejsc wybiorę, ona i tak zostanie w mieszkaniu i będzie planować zmartwychwstanie. Ta myśl sprawiła, że się roześmiał. Świetnie, po prostu świetnie. Idę sobie ulicą i chichocę jak sam Peter Lorre. Poczuję, że musi się zatrzymać. Oparł się o kiosk. Zgięty wpół, nie był w stanie przestać rechotać. Cancun, Buenos Aires, Patagonia. Mógłbym wsiąść do metra i za godzinę znalazłbym się na Heathrow. Nikt by się o niczym nie dowiedział. Wyprostował się, ciężko dysząc. Zamknął oczy. Boże, nie czuję się najlepiej. Nie ruszał się, rękoma trzymał się za brzuch, nie rozchyłał powiek. Dopiero po kilku minutach rozejrzał się dokoła. Świat zakołysał się raz jeszcze i wrócił do normy. Ruszył w dół wzgórza, bardzo powoli. Nie, nie mogę uciec. Muszę przynieść jedzenie. James i Jessica będą się martwić. Mijani ludzie dziwnie mu się przyglądali. Problem w tym... Tak, jestem zbyt odpowiedzialny. Ona wie, że to zrobię, bo gdybym nie... jeśli nie...

O mały włos ominąłby rybną restauracyjkę, ale uratował go nawyk. Udało mu się wejść do środka i zapłacić za zamówione potrawy. Gdy z trudem wracał pod górę, przyszła mu do głowy pewna myśl: powinienem przeczytać dzienniki Elspeth. Sama mi je dała, muszę to wszystko przeczytać.

- Dzienniki, dzienniki - powtarzał raz po raz.

Kiedy dotarł wreszcie do domu Batesów, krewetki dawno już wystygły, a oboje małżonkowie siedzieli w kuchni nad zupą. Jessica położyła go spać w pokoju gościnnym.

Rano wypełzł z łóżka nękany straszny kacem i przeczuciem, że zapomniał o czymś ważnym. Jessica przyrządziła mu paskudną w smaku miksturę, w której skład wchodziły banany, pomidory, wódka, mleko i sos tabasco. Potem usmażyła mu jajka i usiadła z nim dla towarzystwa przy śniadaniu. Jamesa już nie było. Poszedł na cmentarz.

- Rozmawialiśmy zeszłej nocy z Jamesem i doszliśmy do wniosku, że potrzebujesz opieki — oświadczyła Jessica. - Może chciałbyś się do nas sprowadzić? Miejsca jest tu pod dostatkiem. - Uśmiechnęła się przyjaźnie.

Robert rozpromienił się w duchu. Wyjście ratunkowe. Dokładnie takie, jakiego potrzebuję. Już miał się zgodzić, odpowiednie słowa już zamajaczyły na końcu jego języka, gdy zaczął się zastanawiać. Zaraz, jeśli tu zamieszkać, nie będę mógł wychodzić nocami na cmentarz.

- Mogę to sobie przemyśleć? - zapytał.

- Oczywiście. My się stąd nie ruszamy.

Podziękował jej i wyszedł w nastroju rozbitka, który pozwolił ekipie ratunkowej przepłynąć obok swej bezludnej wyspy.

\*\*\*

Postanowienie zapoznania się z pamiętnikami Elspeth przypomniał sobie dopiero następnego ranka. Wyciągnął pudełka na łóżko i z niepokojem zaczął przeglądać ich zawartość.

Możesz udawać, że to w celach naukowych, powtarzał sobie. Przecież te dzienniki cię nie pogryzą. Zapiski zaczynały się w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym: Elspeth i Edie miały wtedy po dwanaście lat. Z ulgą stwierdził, że urywają się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim, na długo zanim pojawił się w jej życiu; nie miałyby ochoty czytać o sobie. Notatki stanowiły zbieraninę szkolnych plotek, komentarzy do czytanych książek, rozważań na tematy męsko-damskie; niektóre fragmenty były spisane jakimś rodzajem szyfru. Autorka wiodła ze sobą długie rozmowy, toczyła wewnętrzne dyskusje; nagle do Roberta dotarło, że Elspeth prowadziła te pamiętniki razem ze swoją bliźniaczką. Tekst był mimo wszystko dziwnie jednolity. Poczł się nieswojo. Na marginesach, obok wpisów z dni świątecznych pojawiały się tajemnicze symbole, które, zdaje się, miały coś wspólnego z rodzicami sióstr; Robert przeczytał o niezrealizowanym planie ucieczki z domu. Ale i wcześniej wiedział, że życie rodzinne Elspeth nie należało do udanych; nie znalazł niczego naprawdę zaskakującego, jedynie złowieszczy smutek, przemieszany ze zwykłymi dziewczynskimi sprawami - treningami siatkówki, szkolnymi przedstawieniami i tak dalej. W późniejszych zeszytach pojawiały się szczegółowe opisy studenckiego życia - imprezy, pierwsze samodzielne mieszkanie bliźniaczek. Wreszcie pojawił się też Jack - z początku jako jeden z przystojnych kandydatów na chłopaka, potem już jako osoba, wokół której obraca się cały świat. Roberta, który był jedynakiem, szczególnie

interesowały wzajemne relacje rodzeństwa. Elspeth i Edie rzadko pisały w pierwszej osobie liczby pojedynczej; niemal w każdym zdaniu pojawiało się „my” - „poszłyśmy do kina”, „zdałyśmy egzamin”. Robert brnął dalej, zastanawiając się, czego tak naprawdę szuka w młodzieńczych latach Elspeth.

Bomba wybuchła, kiedy dotarł do ostatniego zeszytu; Elspeth włożyła między jego kartki kopertę. Widniał na niej napis: „Wielkie, mroczne, straszliwe tajemnice”, a pod spodem niewprawną ręką narysowała czaszkę i piszczele. Trupia główka szczyrzyła się w uśmiechu. Och, Elspeth. Nie chcę tego wiedzieć, przemknęło Robertowi przez myśl. Siedział z kopertą w dłoni i rozważał, czy nie powinien jej spalić. Po chwili otworzył list.

*Drogi Robercie,*

*mam nadzieję, że nie będziesz się gniewać. Miałaś nadzieję, że nie natkniesz się w moich zapiskach na żadne drastyczne tajemnice - obawiam się jednak, że kilku nie mogę Ci oszczędzić. Zresztą „drastyczne” nie jest dobrym słowem, „niezręczne” pasuje o wiele lepiej. Tak czy inaczej, kochanie, to wyłącznie niespodzianki z odległej przeszłości — wszystko to nastąpiło na długo, zanim Cię spotkałam.*

*Nazywam się Edwina Noblin.*

*Zamieniłam się tożsamościami ze swoją bliźniaczką, Elspeth, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim. Stało się to głównie za jej sprawą, a potem nie potrafiłam tego odkręcić, jednocześnie jej nie unieszczęśliwiając. Sama zresztą też nie byłam bez winy.*

*Jak wiesz, Elspeth zaręczyła się z Jackiem Poolem. Wokresie między ich zaręczynami a ślubem Jack zaczął*

*coraz śmielej ze mną flirtować. Elspeth postanowiła go sprawdzić.*

*Opowiadałam Ci mnóstwo historii o sobie i Elspeth, o tym, jak udawałyśmy jedna drugą. Nigdy jednak nie widziałeś nas razem. Byłyśmy tak bardzo do siebie podobne - doskonałe odbicia. W dzieciństwie uważałyśmy się w zasadzie za jedną osobę. Kiedy ona się kaleczyła, ja płakałam.*

*Więc gdy tylko Jack pojawiał się w pobliżu, Elspeth stawała się mną. On oczywiście nie zauważył różnicy i zakochał się w „Edie”. Zerwał zaręczyny i poprosił „Edie”, by z nim uciekła do Ameryki.*

*Co mogła począć? Bolało ją, była wściekła. Ale sama sprowokowała całą tę sytuację. Przyszła z tym do mnie. Postanowiłyśmy, że ona na dobre stanie się Edie, ja zostanę Elspeth i życie potoczy się dalej.*

*Niestety, nie było to takie proste. Przespałam się z Jackiem (jeden, jedyny raz — na imprezie, byliśmy pijani - uwierz mi kochany, to była pomyłka - alkohol plus młodzieńcza bezmyślność) i zaszłam w ciążę. W efekcie to ja pojechałam do Stanów. Mieszkałam z Jackiem niemal przez rok, choć ślub wziął z Elspeth. Urodziłam bliźniaczki, jak wariatka ćwiczyłam, żeby odzyskać figurę sprzed ciąży, gotowałam, prowadziłam dom i prawie zwariowałam z nudy, wściekłości i poczucia uwiecznienia w jakiejś farsie. Kiedy bliźniaczki miały cztery miesiące, zawiozłam je do Londynu, „żeby pokazać je babci”. Do Lake Forest powróciła z dziećmi Elspeth (już Edie). Od tamtej pory nie widziałam ich na oczy. Często mi się śnią. Według Edie są do nas bardzo podobne.*

*Zanim znalazłam się znowu w Londynie, zdążyłam mocno znienawidzić Jacka. Czułam też obrzydzenie na*

*myśl o Elspeth - to dlatego, że nalegała, bym donosiła ciężę (ja chciałam usunąć). Cała ta sytuacja była jednym wielkim szalonym nieporozumieniem. W coś takiego można się wplątać tylko, gdy jest się młodym i głupim. Nie mam pojęcia, co by się stało, gdyby Jack kiedykolwiek dowiedział się o zamianie. Nie wiem też, w jaki sposób udało mu się przeoczyć wszystkie różnice między naszymi ciałami. Nigdy tego nie zrozumieć. Choć może wiedział, ale postanowił milczeć? Zdecydowałyśmy więc nie dopuścić, by kiedykolwiek jeszcze ujrzął nas razem. Wciąż do mnie nie dociera, że nam się upiekło.*

*Elspeth co jakiś czas przysyłała mi listy i zdjęcia bliźniaczek. Aż do zeszłego roku nie odpisałam jej ani razu. Mówiłam Ci o tym. Wydaje mi się, że życie u boku Jacka mocno ją rozczarowało. W jej korespondencji wyczuwałam silną tęsknotę za Londynem, za dawnymi przyjaciółmi, za mną. Jeszcze przed ślubem namawiałam ją, żeby go rzuciła, albo przynajmniej wyznała mu prawdę. To jednak okazało się dla niej zbyt trudne. Jeśli ją kiedyś spotkasz, może zrozumiesz, co mam na myśli.*

*Tak więc wygląda historia mojego przeistoczenia w Elspeth. Nie sądzę jednak, by to miało większy wpływ na moje późniejsze życie. Żałuję tylko, że nigdy nie poznam bliźniaczek. Oddałam je siostrze z wielkim bólem. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym stałam na Heathrow i patrzyłam, jak ona znika za bramką z moimi dziećmi. Płakałam po nich całymi dniami. Przykro mi też, że nie zobaczę już nigdy samej Elspeth. W gruncie rzeczy rozdzieliły nas przecież tylko strach i duma.*

*Robercie, poza tą jedną, nie miałam przed Tobą żadnych tajemnic. Mam nadzieję, że nie osądzisz mnie zbyt surowo. Mam też nadzieję, że kiedy poznasz bliźniaczki,*

*dostrzeżesz w nich jakąś część mnie. Może przypomną Ci szczęśliwe czasy.*

*Kochająca Elspeth (Edie)*

*PS. Naprawdę zapisałabym Ci wszystko, gdybym miała pewność, że tego chcesz. A wiem, że nie chciałeś. Kocham Cię. e.*

List został napisany tydzień przed jej śmiercią. Robert siedział nieruchomo z kopertą w ręku, próbując rozstrzygnąć co się zmieniło. Czyli wszystko było kłamstwem? Nie, na pewno nie. Choć, z drugiej strony, nie znał nawet jej prawdziwego imienia. Kogo ja kochałem?

Włożył zeszyty z powrotem do kartonów i zaniósł je do maleńkiego pokoju na końcu mieszkania. Zatrzasnął drzwi i spróbował wyrzucić z myśli treść listu. Jednakże, bez względu na to, co robił, wracała do niego nieustępliwie. Przez kilka następnych dni Robert nie wychodził z mieszkania i pił.

## PLANY

Dziewczyna i zjawa spędziły wiele godzin, omawiając najdrobniejsze szczegóły planu. Wszystko musiało wydawać się naturalne, zwyczajne. Elspeth wymyśliła sposób, w jaki Valentina mogła podjąć część pieniędzy ze wspólnego z Julią konta; ta suma miała jej wystarczyć na cały następny rok, lub gdyby żyła oszczędnie, nawet na dwa lata. Valentina znalazła w mieszkaniu podręczniki do anatomii i rozłożyła je na podłodze w sypialni. Zmarła ciotka uczyła się z nich pilnie. Rozważanie ewentualnych komplikacji traktowały niemal jak zabawę. Przewidywały. Zastanawiały się, w jaki sposób przekonać Roberta, jak sprawić, by Julia zanadto nie cierpiała. „A co, jeśli...?” - zaczynała jedna z nich i skupiały się nad problemem niczym policjantki, dopóki nie znalazły satysfakcjonującego rozwiązania. Wypracowały przy tym własne dowcipy, sekretny język. Czuły się świetnie, czy raczej czułyby się świetnie, gdyby planowały piknik lub przyjęcie niespodziankę, cokolwiek innego niż śmierć Valentiny. Elspeth ze zdumieniem obserwowowała poświęcenie dziewczyny i jej niesłabnącą, bezmyślną gotowość do sprawienia bliskim tak straszego bólu. Ale ja nie jestem wcale lepsza, myślała. Pomagam jej. Gdyby znała prawdę, wcale by tego nie chciała... A jeśli



się nie uda? A co, jeśli tak? Duch przyglądał się Valentinie i prowadził ze sobą nieustający dialog. Nie wolno nam. To złe. Każdego wieczoru jednak pojawiał się Robert i wyciągał Valentinę na kolację lub spacer. Wracali późną nocą i szeptali do siebie w korytarzu. Elspeth utwardziła swoje serce.

# DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA

Robertowi przyśniła się Wielkanoc na Highgate.

Stał u szczytu kamiennych schodów, opodal miejsca ostatniego spoczynku woźnicy Jamesa Selby'ego. Selby siedział na swym grobie, nie zwracając uwagi na ciężki, łączący ze sobą dwa słupki łańcuch, biegnący na wskroś jego piersi. Ćmił fajkę i nerwowo przytupywał.

W oddali zabrzmiał dźwięk trąb. Robert odwrócił się i zobaczył, że prowadząca w głąb cmentarza ścieżka jest zadana długim baldachimem z czerwonej tkaniny, a ziemię, żwir i błoto przykryto białym jedwabiem. Znów nastała zima i jedwab niemal całkowicie zlewał się barwą z zalegającym na nagrobkach śniegiem. Robert spojrzał między drzewa i zrozumiał, że w czerwień i biel zostały przystrojone wszystkie alejki cmentarza. Ruszył przed siebie. Patrzył pod nogi. Martwiło go, że brudne buty zostawią na jedwabiu ślady, ale nic takiego się nie stało.

Dotarł do Comfort's Corners, gdzie zastał nakryte jak do bankietu stoły. Nie było jednak jedzenia, tylko porcelana i sztućce, puste kieliszki do wina i krzesła. Trąby umilkły i Robert usłyszał szemrzące na wietrze drzewa. Rozległy się ludzkie głosy, ale nie potrafił określić kierunku, z którego dobiegały.

„Usiądź” - powiedział ktoś, choć nie był to prawdziwy głos: raczej myśl, która przedostała się z zewnątrz do jego umysłu. Zajął miejsce z brzegu tłoczących się stołów i czekał.

Duchy przybywały powoli, stawiały kroki niepewnie na bielejącym jedwabiu. Widma otoczyły stoły - przezroczyście, ubrane w swe trumienne stroje, w całuny, w odświętne garnitury. Powietrze zgęstniało od zjaw. Na tym cmentarzu pogrzebano ponad sto sześćdziesiąt dziewięć tysięcy ludzi, przypomniał sobie i zaczął się zastanawiać, czy wszyscy zmieszczą się przy stołach. Przybysze z zaświatów chybotali się w świetle poranka jak płomień świec. Wyglądają jak meduzy.

Przez tłum przebiegł dreszcz niezadowolenia: duchy były głodne, tymczasem nie czekał na nie żaden posiłek.

Robertowi wydało się, że widzi Elizabeth Siddal, i zaczął się podnosić, by z nią pomówić, ale czyjaś ręka opadła mu na ramię i zatrzymała go na krześle.

Stawiło się już całe mrowie zjaw. Zwiększyła się też liczba stołów. Nagle, tuż za nim, rozległ się dobrze znany, wyteśc-niony głos:

- Robert, co ty tutaj robisz? - spytała Elspeth.

- Nie jestem pewien. Szukam cię? - Chciał uciec, ale znów ktoś go powstrzymał.

- Nie. Nie szukaj. Nie chcę... Nie tutaj. - Przywarła do jego pleców.

Poczuł niepokój, wrażenie uwięzienia. Nagle wydało mu się, że stoi za nim jakaś straszliwa, upiorna istota. Sam dotyknąć jej dłoni był odrażający.

Wykrzyknął na głos jej imię, tak głośno, że zbudził śpiące na górze bliźniaczki; tak głośno, że sama Elspeth ułożyła się na podłodze nad jego łóżkiem i długie godziny czekała w szarzącym poranku, by raz jeszcze usłyszeć to wołanie.

## OSTATNI DZWONEK

Zadzwoił telefon. Edie wyciągnęła rękę i przyłożyła słuchawkę do ucha, nie odezwała się jednak od razu. Leżała w łóżku, skulona na boku. Dochodziła dziewiąta rano. Jack pojechał już do pracy.

- Mamo?

Usiadła. Przeczesła włosy palcami, zupełnie jakby córka mogła ją zobaczyć.

- Tak? - odpowiedziała głosem kogoś, kto wstał skoro świt i od dawna jest na nogach. - Valentina?

- Cześć.

- Wszystko w porządku? Gdzie Julia?

- Na górze. U Martina.

Edie poczuła, że poziom adrenaliny zaczyna opadać. Nic się nie stało. Obie są zdrowe.

- Nie zadzwoniłyście do nas w niedzielę. Gdzie byliście?

- A c h , tak... przepraszam. Po prostu... zapomnieliśmy, jaki jest dzień.

- Rozumiem - rzuciła Edie. Poczowała się zaniedbana. - Więc co słyhać?

- Nic... Pomyślałam po prostu, że do ciebie zadzwonię.

- Mhm, to miło z twojej strony. Ale coś przecież musi być słyhać.

- Naprawdę niewiele. Tutaj jest deszczowo i chłodno.

- Masz jakiś smutny głos — zauważyła Edie.

- Nie... nie wiem. Nic mi nie jest. - Valentina siedziała w ogrodzie za domem i drżała w chłodnej mżawce. Nie chciała prowadzić tej rozmowy przy Elspeth, ale jak na czerwiec zrobiło się okropnie zimno. Musiała się wysilać, by nie dzwonić zębami. - A co u ciebie i taty?

- Jak zwykle. Tata dostał awans, więc wczoraj wieczorem mieliśmy małe święto. - Edie usłyszała w słuchawce głosy ptaków. - Gdzie jesteś?

- W ogrodzie.

- Aha. A ty i Julia? Robiłyście ostatnio coś ciekawego?

- Julia poznała już prawie całe miasto. Nawet nie zabiera ze sobą planu.

- T o wspaniale...

Jest coś, czego ona nie chce mi powiedzieć, pomyślała Edie, ale zaraz doszła do wniosku, że to nieuniknione. Odsuwają się i niedługo nic już nie będziesz o nich wiedzieć. Mają swój własny świat, do którego ty nie należysz. Valentina zapytała o coś w związku z szytą przez siebie sukienką; Edie poprosiła córkę, by przysłała mejlem szkic, ale chwilę potem uświadomiła sobie, że bliźniaczki nie mają skanera.

- Tak, cóż. Nieważne - rzuciła Valentina.

- Na pewno wszystko w porządku? - dopytywała się Edie. Ona ma taki dziwny głos...

- Tak. Muszę kończyć. Kocham cię, mamo. - Jeśli ta rozmowa potrwa jeszcze chwilę, to się rozpłaczę, przemknęło jej przez myśl.

- Okej kochanie. Ja też cię kocham.

- Cześć.

- Cześć.

Valentina wybrała numer do biura ojca, ale odpowiedziała jej tylko automatyczna sekretarka. Zadzwoń później, stwierdziła i nie zostawiła wiadomości.

## NA GORAĆCYM UCZYNKU

Zbliżał się świt. Jessica stała w oknie cementarnego archiwum. Spoglądała na dziedziniec i Kolumnadę. W pomieszczeniu panował mrok. Przez całą noc nie zmrużyła oka. Nękały ją myśli o liście, który musiała napisać do jednego z wi-ceprzewodniczących zarządu Highgate. Nie mogąc usnąć, zostawiła Jamesowi kartkę i przyszała do biura, by raz jeszcze poprawić tekst. Niemniej, mimo że w jej głowie pojawiały się coraz to kolejne zdania, które miały przekonać adresata do spełnienia jej prośby, nie była w stanie ułożyć ich w zadowalającą całość. Oparła się o parapet i splotła dłonie na chłodnej powierzchni. Drzewa i grobowce nad Kolumnadą były ciemne, skryte we mgle, niewyraźne w niepewnym jeszcze świetle. Dziedziniec przypominał jej pustą scenę. Tyle pracy, myślała. Nikt nie ma pojęcia, ile wysiłku w to włożyliśmy. Wszystko własnymi rękami...

Nagle cały plac wypełnił się blaskiem reflektorów. Lisy, stwierdziła w duchu i zaczęła się rozglądać za zwierzętami. Uruchomiły automat. Mgnienie oka później zobaczyła jednak idącego mężczyznę. Nie spłoszyło go nagłe zapalenie się lamp, nie przyśpieszył, nie skręcił. Jessica wyciągnęła szyję, by lepiej mu się przyjrzeć. Robert.

Utrapienie z tym chłopakiem. Tyle razy go prosiłam, żeby nie używał tamtych drzwi. Z całych sił zastukała w szybę,

nie zwracając uwagi na reumatyczny ból stawów, który pojawił się natychmiast, gdy dotknęła zimnego szkła. Była zła. Dopiero potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego dłoń jej opuchła i skąd to łupanie w kościach. Robert szedł dalej, nie usłyszał. Jessica złapała klucze i latarkę i zeszła po schodach. Po chwili znalazła się na dziedzińcu. Stała kawałek przed łukowato sklepionymi drzwiami kaplicy i zawołała.

Zatrzymał się. Teraz mu się dostanie, pomyślała i ruszyła śpiesznie w jego stronę.

Upadnie, jeśli będzie tak pędzić, zmartwił się Robert. Nie włączyła nawet latarki i niosła ją jak broń, a nie źródło światła. Robert zebrał się w sobie i wyszedł jej naprzeciw. Spotkali się przy schodach Kolumnady.

- Co ty sobie myślisz? - rzuciła ostro. - Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Rozmawialiśmy już o tym, a jednak tu jesteś. Jak gdyby nigdy nic spacerujesz sobie przed świtem po cmentarzu, do czego nie masz najmniejszego prawa! Zaufałam ci, Robert, a ty mnie zawiodłeś.

Dyszała z wściekłości, patrzyła mu prosto w oczy, z nastrozonymi włosami; miała na sobie ogrodowe ubranie. Robert z przerażeniem zauważył błysk łyzy na policzku Jessiki. To rozłożyło go na łopatki.

- Mamy tu pewne zasady! Ustanowione nie dla czyjegoś widzimisie, tylko z powodów prawnych i dla bezpieczeństwa! - Teraz już krzyczała. - Sam fakt, że masz klucz, nie upoważnia cię do nocnych wypraw na cmentarz. Może cię napaść włamywacz, albo wpadniesz do jakiegoś dołu. Potkniesz się na korzeniu i będziesz miał wstrząs mózgu. Nie wzięłaś nawet krótkofalówki! Wszystko może się zdarzyć, dosłownie wszystko: przygniecie cię jakiś stary nagrobek! Pomyśl, o ile po takim wypadku podnieśliby nam stawki ubezpieczenia! Zastanów się, jak zareagowałyby prasa,

gdybyś został ranny czy zginął! Robert, jesteś po prostu cholernym egoistą!

Mierzyli się spojrzeniami.

— Moglibyśmy porozmawiać w biurze? - zaproponował spokojnym głosem. - Zaraz pobudzisz zmarłych.

Jessica straciła resztki panowania. Dlaczego on nie traktuje mnie poważnie? W głowie jej huczało. Zaraz się przekona, że ja nie żartuję!

— Nie, nie moglibyśmy porozmawiać w biurze! Poproszę o twój klucz. - Wyciągnęła rękę, w której trzymała już własne. - Wyjdiesz stąd główną bramą.

Robert ani drgnął.

- Już!

Wrzucił klucz do wnętrza jej dłoni i odwrócił się ku bramie. Poszła za nim, niczym eskortujący więźnia strażnik. Chwilę potem przekręciła klucz w zamku. Robert odciągnął masywne skrzydło i wyszedł na zewnątrz. Szczęknęło żelazo. Spojrzeli na siebie między prętami.

- I co teraz? - zapytał.

— Idź - odparła cicho.

Pochylił głowę i ruszył przez Swains Lane. Jessica odprowadziła go wzrokiem. I co teraz? Serce biło jej bardzo szybko. Tylko ja go widziałam. Nikt inny nie musi się o tym dowiedzieć. Robert zniknął w oddali. Poczuła potrzebę, by go dogonić i powiedzieć... Ale co właściwie miałabym powiedzieć? Przepraszam? Nie, na pewno nie. Sprowadził na nas ryzyko, bezmyślnie, nieodpowiedzialnie... Stała przy bramie ogarnięta gwałtownymi emocjami, oburzona. Nie była w stanie się opanować. Muszę z nim natychmiast porozmawiać, pomyślała i zaraz dodała: Ale przecież właśnie sama go odprawiłam. Zamknęła bramę na klucz i powolnym krokiem wróciła do biura. Właśnie minęła piąta.



James mógł być już na nogach. Podniosła słuchawkę i zaraz ją odłożyła.

Usiadła na krześle i przyglądała się pomieszczeniu. Miała rację, przekonywała się raz po raz. Miała świętą rację. Kiedy wstał dzień, podniosła się i zrobiła sobie herbatę. Rozkojarzona i zmęczona rozlała mleko. To znak, stwierdziła w duchu. Albo metafora. Pokręciła głową. Co my teraz zrobimy?

## WITAMINY

Praca nie szła dziś Martinowi zbyt dobrze. Całe popołudnie poświęcił układaniu skomplikowanej krzyżówki, mającej uświetnić trzechsetlecie urodzin Karla Linneusza, ale odpowiednie hasła po prostu nie chciały się pojawić w jego głowie. Całość wydawała mu się mało elegancka, tandetna. Wstał i się przeciągnął.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Tak? - Odwrócił się. - Ach, to ty, Julia. Wejdz proszę.

- Nie. - Dziewczyna pokręciła głową. - Nie jestem Julią, nazywam się Valentina. Jestem jej bliźniaczką.

- Och! - Martin był zachwycony. - Nareszcie! Cieszę się, że mogę cię poznać. Miło, że zajrzałaś. Napijesz się może herbaty?

- Nie, ja... Ja nie mogę zostać. Przyszłam ci tylko powiedzieć... Wiesz, te witaminy, którymi Julia cię karmi...

- Tak?

Odetchnęła głęboko.

- T o . . . nie są wcale witaminy. To lek o nazwie anafranil. Twarz Martina rozciągnęła się w łagodnym uśmiechu.

- Wiem, moja droga. Ale dziękuję, że zadałaś sobie trud, by mi o tym powiedzieć.

- Wiedziałaś? - zdziwiła się.

- Nazwa jest wytłoczona na każdej pigułce. Zresztą przyjmowałem anafranil już wcześniej, więc pamiętam jak wygląda.

W oczach Valentyny zatańczyły wesołe ogniki.

- Czy Julia wie, że ty wiesz?

- Nie jestem pewien - odpowiedział pogodnie. — Myślę też, że na wszelki wypadek nie powinniśmy jej o tej rozmowie wspominać.

- Nie miałam takiego zamiaru.

- Więc i ja przemilczę.

Odwróciła się, by wyjść.

- Na pewno nie zostaniesz na trochę? - zapytał.

- Nie. Nie mogę.

- W takim razie wpadnij, kiedy tylko zechcesz.

- Okej. Dziękuję - odpowiedziała.

Jeszcze przez chwilę słyszał jej niknące w labiryncie pudełek kroki. Potem wszystko ucichło.

## PAS DE TROIS

Gdy Robert przypominał sobie potem tę scenę, nieodmiennie kojarzyła mu się z rozgrywającym się na jego oczach i przy jego udziale baletowym spektaklem.

- Jesteś gotowa?

Elspeth nie chciała, usłyszeć od Valentyny „tak”. Chciała zatrzymać się teraz, na chwilę przed... przed tym, co miało się wydarzyć, przed pokusą, przed katastrofą, zanim będzie musiała zrobić to, do czego wcale się nie paliła.

Robert przyglądał się dziewczynie. Tkwiła w zupełnym bezruchu. Zastanowił się, czy nie powinien otworzyć okna; jak na czerwiec wciąż było niesłychanie zimno, ale kto mógł przewidzieć, ile czasu jej ciało będzie musiało czekać na powrót Julii. Zmierzch zapadał szybko; na cmentarzu wrony wołały do siebie skrzekliwymi głosami. Druga siostra jakiś czas temu poszła na górę. Valentina zamknęła oczy. Stała obok łóżka, trzymając się ręką zagłówek. Drugą dłoń na przemian zaciskała i rozluźniała na inhalatorze. Uniosła powieki. Robert wpatrywał się w nią z odległości ledwie kilku stóp. Elspeth przysiadła na szerokim parapecie, z łokciami wspartymi na kolanach, z twarzą w dłoniach, pochylona w pozie wyrażającej głęboki smutek. Valentina spojrzała na zjawę i przeszył ją dreszcz zwątpienia.

Robert zawahał się, lecz podszedł do dziewczyny. Objęła go w pasie i złożyła policzek na jego piersi. Przyszło jej do głowy, że guzik koszuli może się odcisnąć na jej twarzy i zostać tam już po śmierci. Nie pocałował jej. Uznała, że to z powodu obecności widma.

- Jestem gotowa - oświadczyła. Cofnęła się i zatrzymała dokładnie na środku chodnika. Zaciągnęła się inhalatorem.

Ona już teraz wygląda jak duch, pomyślała Elspeth. Jak cień w półmroku.

Robert podszedł do drzwi. Nie był w stanie nazwać ani zrozumieć własnych uczuć: czekał tylko i obserwował rozwój wydarzeń. Wciąż nie wierzył, że do tego dojdzie; nie chciał tego. Elspeth, nie...

Valentina przymknęła na chwilę oczy, zamrugała i spojrzała na Roberta. Mężczyzna wydawał się bardzo odległy; dziewczyna pomyślała o swoich rodzicach, o chwili, gdy patrzyli na bliźniaczki przechodzące przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku, o dniu, w którym opuściły Chicago. Jej ciało przeniknął dojmujący chłód. To Elspeth. Po prostu w nią weszła; Valentinie skojarzyło się to z oglądaniem starych, stereoskopowych zdjęć, z nakładającymi się na siebie dwoma identycznymi obrazami. Umrę z zimna. Poczwała, że coś ją chwyta, obejmuje, odłącza, zabiera.

- O c h !

Chwila pustki. Przerwa, po której uniosła się w powietrzu nad swym leżącym na podłodze ciałem. Ach... Elspeth klęczała obok zwłok i patrzyła jej w oczy.

- Chodź tu, kochana - powiedziała.

Ma głos zupełnie jak mama, stwierdziła Valentina. To takie dziwaczne. Spróbowała podejść do Elspeth, ale nie była w stanie się poruszyć. Druga zjawa zrozumiała i podeszła do niej, wzięła ją do ręki. Dziewczyna przeobraziła

się w coś małego, coś mieszczącego się w dłoniach Elspeth. Małego jak myszka. Jej ostatnią myślą było: to trochę jak zasypianie...

Robert widział, jak Valentina wiotczeje, więdnie. Upadała: kolana przestały podtrzymywać ciało w pionie, głowa się przechyliła. Złożyła się w pół i z głuchym stukotem uderzyła o podłogę. W pokoju było słycać już jedynie jego oddech. Stał w drzwiach i nie podszedł do niej, ponieważ nie miał pojęcia, co się dzieje; nie widział najważniejszych rzeczy i nie wiedział, co teraz zrobić. Zwinięta na dywanie dziewczyna wciąż spoczywała w martwym bezruchu. Zbliżył się wreszcie do zwłok i uklęknął. Nie krwawiła. Nie był pewien, czy się nie połamala przy upadku. Kończyny miała nienaturalnie wygięte, ale nie mógł jej poruszyć; leżała tak bezwładnie, zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu jej nawet tknąć.

Elspeth patrzyła z góry na Roberta. Widziała, jak przygląda się martwej. Sama czuła w dłoni jej duszę - ciężką, przypominającą dym substancję. „Włóż ją z powrotem” - rozległo się w jej bezcielesnej głowie - „włóż ją teraz, kiedy jest jeszcze szansa na uniknięcie nieszczęścia...”. Chciała, by Robert przesunął Valentine, żeby rozprostował jej nogi, ułożył ramiona. Głowa dziewczyny była odgięta do tyłu, zwłoki leżały na prawym boku, z rękoma wyciągniętymi do przodu. Oczy miała skierowane ku górze, w rozchylonych ustach było widać niewielkie zęby. Ta pozycja wydawała się w pewien sposób niewłaściwa, uragająca. Elspeth poczuła ochotę, by ją pogłaskać, ale miała zajęte dłonie. Co teraz? Czy jeśli ją puszcze, po prostu się rozpułynie? Szkoda, że nie mam pudełka... Pomyślała o swojej ulubionej kryjówce. Tak, włożę ją do szuflady. Postanowiła, że sama też się tam schowa. Zaczekają razem.

Robert podniósł się z kłęczek. Wyszedł z pokoju. Pragnął zapomnieć o tym, co właśnie zobaczył. Chciał stracić pamięć, jeszcze zanim dotrze do drzwi. Zatrzymał się z palcami na klamce.

- Elspeth? - odezwał się i natychmiast odpowiedziało mu chłodne muśnięcie na policzku. - Nie wybaczę ci tego.

Cisza. Wyobraził ją sobie tuż za swoimi plecami, oparł się chęci rzucenia okiem przez ramię. Otworzył drzwi i zszedł na dół. Zmierzchało się coraz bardziej, a Robert stał w kuchni i pił whisky. Czekał, aż Julia wróci do domu i znajdzie ciało. Nasłuchiwał jej krzyku.

\*\*\*

Julia przyszła godzinę później. W mieszkaniu nie paliło się ani jedno światło. Przeszła przez wszystkie pokoje, kolejno zapalając lampy.

- Myszko?! - zawołała i pomyślała, że siostra wyszła. - Myszko?

Może jest u Roberta?

Było zimno, pomieszczenia wydawały się dziwnie opustoszałe, jakby ktoś podmienił wszystkie meble na ich bezcielesne fatamorgany. Przechodząc z miejsca na miejsce, przeciągnęła palcami po stole w jadalni, lekko musnęła oparcie sofy i grzbiety książek. Potrzebowała pewności, że są prawdziwe. Gdzie się wszyscy podziali?

- Elspeth?

Weszła do sypialni i zapaliła lampę. Ujrzała leżące na podłodze, skręcone, jakby zastygłe w bolesnym tańcu ciało Valentyny. Podeszła do niego powoli i usiadła obok. Dotknęła warg siostry, jej policzków. Zauważyła zaciśnięty

w nieruchomej dłoni inhalator i sama, odruchowo, przycisnęła dłoń do piersi.

- Myszko?

Wydawało się, że Valentina stara się spojrzeć na coś ponad głową bliźniaczki; miała uniesione ku górze źrenice, głowę odrzuconą, jakby powyżej działało się coś niesłychanie ciekawego.

- Myszko?

Valentina nie odpowiedziała.

Julia jęknęła. Poczowała na twarzy chłód i dziko zamachnęła się ramieniem w stronę, z której dobiegał.

- Pieprz się, Elspeth! Pierdol się! Gdzie ona jest?! Gdzie ona jest?! - Rozpłakała się.

Elspeth usiadła na podłodze przy Julii. Widziała, jak dziewczyna bierze martwą siostrę w ramiona i zanosi się gorzkim szlochem. Nie chciałam tego zrobić, Julio, pomyślała zjawa i przypomniała sobie o własnej bliźniaczce i rozmowie przez telefon, którą ktoś będzie musiał z nią przeprowadzić. Przyglądając się płaczącej, zrozumiała, że nic i nigdy nie będzie już dobrze. To moja wina. To wszystko moja wina. Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

\*\*\*

Elspeth i Valentina ukryły się w szufladzie. Tymczasem przyjechała karetka i ratownicy stwierdzili zgon. Świadcstwo wypisał już lekarz - ten sam, którego dziewczyna odwiedziła kiedyś w szpitalu. Sebastian wyniósł zwłoki z mieszkania. Julia płakała, a Robert zadzwonił do Edie i Jacka. Nastąpiły godziny bezruchu i ciszy, na przemian jasne i ciemne.

Robert odbył długą rozmowę z Sebastianem. Spięli się.



- Rozumiem, że nie chcesz jej balsamować - mówił przedsiębiorca pogrzebowy. - Rozumiem też, że nie chcesz żadnych zabiegów kosmetycznych. Nie ma sprawy. Ale dlaczego, na Boga, chcesz, żebym zrobił jej zastrzyk z heparinu?

- Zmniejsza krzepliwość krwi.

- Wiem o tym, ale przecież nie zamierzasz jej chyba hibernować.

- Niezupełnie, niemniej chciałbym, żebyś wypełnił trumnę lodem.

- Robert?

- Po prostu zrób to dla mnie. I proszę, trzymaj ją w chłodni najdłużej jak tylko możesz.

- Ale po co? Robert... Nie podoba mi się to.

- To nic takiego.

Sebastian popatrzył na kolegę sceptycznie.

- Przykro mi, Robert, ale, albo powiesz mi dokładnie o co tu chodzi, albo znajdź sobie kogoś innego.

- I tak mi nie uwierzysz. To zbyt niedorzeczne. A nawet szalone.

Sebastian nie odpowiedział. Robert zaczerpnął głęboko tchu i spróbował uporządkować myśli.

- Wierzysz w duchy?

- Żebyś wiedział. Wierzę. Miałem w życiu kilka... interesujących doświadczeń. Ale z tego co pamiętam, to ty w nie nie wierzysz.

- Powiedzmy, że okoliczności zmusiły mnie do zmiany zdania.

Robert opowiedział Sebastianowi o Elspeth, nie wspominał jednak o planie; stwierdził jedynie, że Elspeth schwytała duszę Valentyny tuż po śmierci i zamierza ją umieścić na powrót w ciele.

Sebastian miał wiele wątpliwości. („Dlaczego Elspeth nie ożywiła jej od razu?" - było najpoważniejszą z nich i Robert odpowiedział tylko, że nie wie). Wreszcie Sebastian zgodził się nie mówić o niczym rodzinie, na wypadek gdyby dziewczyny nie udało się uratować. Niemniej, kiedy się rozstali, Robert jeszcze przez długi czas zastanawiał się, czy kolega nie zadzwoni natychmiast do Jessiki lub na policję.

Następnego dnia rano Edie i Jack przylecieli do Londynu.

Robert zobaczył oboje ze swojego okna. Przeszli przez ogród i zniknęli w budynku. Usłyszał ich ciężkie kroki na schodach. Ustanowiony przez Elspeth zakaz wchodzenia do jej mieszkania był w tej sytuacji wysoce nie na miejscu i nikt nie miał zamiaru go przestrzegać. Robert zastanowił się, co robi teraz zjawa: miał ochotę upić się do nieprzytomności, na śmierć; wszystko zdawało się mu lepsze od spotkania z rodzicami Valentyny. Mimo to, zgodził się pojechać z nimi do zakładu pogrzebowego.

W taksówce prawie się do siebie nie odzywali. Robert nie był w stanie patrzeć na Edie. Nieznośnie przypominała mu Elspeth; jedyną znaczącą różnicą był jej amerykański akcent. Julia trwała w otępieniu. Siedziała obok ojca z głową wspartą o jego ramię. Edie cicho płakała. Mąż objął ją ramieniem i popatrzył zbolałym wzrokiem na Roberta, który siedział na rozkładanym siedzeniu, naprzeciwko całej trójki. Przez resztę drogi nie oderwał wzroku od butów Jacka.

W zakładzie Sebastian już na nich czekał. Zaprowadził Jacka i Edie do ciała córki. Robert z Julią zostali w biurze.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Fantastycznie - rzuciła, nawet na niego nie patrząc.

Wrócił Sebastian z rodzicami bliźniaczek. Zaczął dołącznie opisywać procedury, możliwości, ceny pochówku

i kremacji, rozmaite potrzebne do tego zaświadczenia i podpisy. Robert przysłuchiwał się rozmowie z miną, która - miał taką nadzieję - nie wyrażała niczego. Zapomniał o tym, że rodzice Valentyny mogą mieć własne życzenia co do pogrzebu córki i że Sebastian jest prawnie zobowiązany zaprezentować im wszystkie dostępne usługi. Serce kołatało mu jak oszalałe. A jeśli postanowią ją skremować?

- Chcemy zabrać córkę do domu - oświadczyła Edie. - Rodzina Jacka ma kwaterę na cmentarzu w Lake Forest. Tuż nad jeziorem Michigan. Tam ją pochowamy.

Sebastian pokiwał głową i zaczął tłumaczyć zasady obowiązujące przy lotniczym transporcie zwłok.

No to po wszystkim, stwierdził w duchu Robert. Próbo- wałem i zawiodłem. Sprawa wymknęła mu się z rąk.

Co ciekawe, katastrofie zapobiegła Julia.

- Nie! - rzuciła ostro. Oczy wszystkich zwróciły się na dziewczynę. - Chcę, żeby została ze mną.

- Ależ Julio... - zaczęła Edie.

- Ta decyzja nie należy do ciebie... - Jack odezwał się jednocześnie z żoną.

Julia pokręciła głową.

- Valentina chciała zostać pochowana na Highgate. - Rzuciła okiem na Roberta. - Tak mi powiedziała. Sama.

- To prawda, mnie też o tym wspominała - poparł ją Robert.

- Proszę. - Dziewczyna nie rezygnowała.

Ustalono, że Valentina - zgodnie z własnym życzeniem - zostanie złożona na wieczny odpoczynek w rodzinnym grobowcu Noblinów.

\*\*\*

W szufladzie Elspeth otuliła Valentine, przywarła do jej bezkształtu, powstrzymywała duszę dziewczyny przed rozproszeniem, trwała blisko przy niej. Tkwimy tu razem, Valentino, myślała, jak kangury w torbie, czekamy na narodziny. Zastanawiała się, co dziewczyna wie, co pamięta. Przypominało to towarzyszenie niemowlakowi, którego wewnątrz pozostaje nieodgadnione, co do którego można mieć nawet wątpliwości, czy cokolwiek się w jego umyśle dzieje. Elspeth nie pamiętała pierwszych dni po własnej śmierci. Wszystko pojawiało się stopniowo; nie było jednego, wyraźnego momentu przebudzenia, nagłego odzyskania świadomości. Tuliła Valentine do siebie, śpiewała jej kołysanki, opowiadała błahe historyjki. Dusza zmarłej przypominała szum, zakłócenia w nieistnieniu, lecz żadne jej myśli ani słowa nie wydostawały się na zewnątrz. Elspeth pomyślała o wczesnym dzieciństwie bliźniaczek. Nigdy nie spały ani nie jadły o tej samej porze; wyssały z niej całą energię i mleko; już wtedy były nierozdzielne choć stanowiły odrębne osobowości. Cóż, Valentino, teraz oderwałeś się od siostry bardzo zdecydowanie. W szufladzie nie działo się nic. Mijały kolejne dni. Wkrótce - czas nie ma dla duchów większego znaczenia - nadeszła pora pogrzebu. Czas najwyższy, by coś wreszcie się wydarzyło.

## DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA

O ósmej rano w dzień pogrzebu Robert stanął przed drzwiami Martina - zewsząd otaczały go sypiące się sterty gazet. Przez chwilę próbował je ułożyć w schludne stosy, ale dał sobie spokój, gdy tylko sąsiad otworzył.

- Wejdz.

Poszli do kuchni. Robert usiadł za stołem, Martin włączył czajnik. Robertowi wydał się odświeżająco zwyczajny i swojski w porównaniu z tym, co działo się na dole. Kiedy Martin wydaje się najnormalniejszą osobą ze wszystkich, wiadomo, że coś jest bardzo nie w porządku, uznał w duchu.

- Pogrzeb jest dziś o pierwszej.

- Tak, wiem.

- Chciałbyś pójść? Wiesz, jeśli nie możesz, to nic się nie stanie, ale jestem przekonany, że Julia poczułaby się podbudowana, gdybyś się pojawił.

- Sam jeszcze nie wiem. Jeśli mi się uda zejść na dół, to przyjdę.

- Mam rozumieć, że to znaczy „nie”?

Martin wzruszył ramionami. Uniósł w dłoniach dwa pudełka z różnymi gatunkami herbaty. Robert wybrał earl greya. Torebki wylądowały w filiżankach.

- Jak się trzyma Julia?

- Przyjechali jej rodzice. Do tej pory znałem ich tylko z opowieści Elspeth i spodziewałem się ujrzeć ziejące ogniem, trzygłowe potwory, ale postawili dziewczynę na nogi i wszyscy troje są, jak by to powiedzieć... przytłumieni. Żadne z nas tak naprawdę jeszcze w to wszystko nie wierzy - Poole'owie kręcą się po mieszkaniu, jakby spodziewali się wpaść w przedpokój na Valentineę. Julia żyje w zasadzie jak w śpiączce.

- Aha... - Martin zalał herbatę wrzątkiem. Robert zapatrzył się na skłębioną parę. - Zatrzymali się w mieszkaniu?

- Nie, w hotelu.

- Czyli Julia jest u siebie sama?

- T a k . Rodzice próbowali ją namówić, by nocowała z nimi, ale postanowiła zostać. Nie wiem dlaczego.

- Nie powinna być teraz sama ze sobą.

- Cóż, właśnie dlatego do ciebie przychodzę. Chciałbym, żebyś zaprosił ją dziś wieczorem do siebie i zatrzymał na noc, przynajmniej dopóki nie uznasz, że można ją wypuścić.

- Dlaczego? - Martin obrzucił sąsiada sceptycznym spojrzeniem.

- Jak sam mówiłeś, Julia nie powinna być sama - odparł Robert, starając się wyglądać przy tym zupełnie niewinnie.

- Nie, nie powinna. Ale z pewnością lepiej by było, gdyby zajęła się nią rodzina.

- Ich też możesz zaprosić, jeśli uznasz, że to konieczne.

- Chyba żartujesz. Miałbym sprowadzić Jacka i Edie tutaj? Widziałeś może ostatnio w jakim stanie jest to mieszkanie?

- Owszem, ale nie miałem pojęcia, że ty to zauważasz. - Robert zmienił taktykę. - Słuchaj Martin, to sprawa życia

i śmierci: musisz mi pomóc wywabić Julię z jej mieszkania. Na kilka godzin. Na jej rodzicach nie mogę polegać.

- Co ty chcesz zrobić?
- Gdybym ci powiedział, i tak byś mi nie uwierzył.
- Spróbuj.
- Chodzi o... seans spirytystyczny. W pewnym sensie.
- Chcesz porozmawiać z Valentiną? A może z Elspeth?
- Mniej więcej.

Martin pokręcił głową, był wyraźnie zniesmaczony, a nawet lekko wstrząśnięty.

- To chyba jednak nieodpowiednia chwila. Jeśli chcesz się bawić w coś takiego, mógłbyś chyba poczekać?

- Z tym nie można czekać.
- A w czym przeszkodzi ci obecność Julii?
- Nie mogę powiedzieć. Ty też o niczym jej nie wspominaj.

- Nie, nie zrobię tego.
- Dlaczego?

Martin nie odpowiedział. Wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po kuchni. Robert natychmiast pożałował, że nie zrobił tego pierwszy, nie mogli spacerować obaj naraz. Wyglądałoby to co najmniej dziwnie.

- Julii nic się nie stanie, jeśli się nie dowie. Słuchaj, proponuję ci wymianę. Jeśli weźmiesz tę dziewczynę do siebie na wieczór, dam ci coś, czego rozpaczliwie pragniesz.

Martin zajął na powrót swoje miejsce.

- Co takiego? - spytał.
- Amsterdamski adres Marijke.

Martin uniósł brwi. Znowu się podniósł i wyszedł. Robert słyszał, jak sąsiad wchodzi do gabinetu. Nie było go przez chwilę. Pojawił się wreszcie z zapalonym papierosem w jednym ręku i planem Amsterdamu w drugim.

- Wydawało mi się, że rzuciłeś? - zauważył Robert.

- Za pół godziny znowu rzucę. - Martin rozłożył plan na stole.

Robert zobaczył na nim mnóstwo znaczków, notatek, wytartych gumką napisów.

- Tutaj. - Martin wskazał palcem małe czerwone kółko w dzielnicy Jordaan.

Robert zmrużył oczy, maleńkie napisy stały się wyraźniejsze.

- Blisko, ale nie gorąco.

Zmierzyli się spojrzeniami. Robert się uśmiechnął.

- Jak to się stało, że wybrałeś to miejsce?

- Znam ją. Jest ostrożna i nie mówi mi zbyt wiele, ale ja wiele pamiętam. Mieszkaliśmy w pobliżu, na Tweede Liedwarsstraat.

- Dorzucę jej adres mejlowy.

- Marijke nie pisze mejli.

- Pisze, od ponad roku.

- Rok? Żartujesz?

- Dostaniesz jej e-mail i zdjęcie mieszkania.

- Przysłała ci zdjęcie mieszkania?

- Nawet kilka. Wiedziałeś, że ma teraz kota?

Martin zrobił smutną minę.

- Naprawdę?

- Mała szara kulka. Wabi się Yvette. Sypia na jej poduszce.

Martin siedział bez słowa, palił papierosa i wpatrywał się w plan.

- No dobrze, zgoda. Co muszę zrobić?

Robert pośpiesznie wyjaśnił. To było naprawdę proste - jedyna prosta rzecz w całym dzisiejszym dniu.

\*\*\*



Gdy Jack się zbudził w hotelowym łóżku, Edie stała w koszuli nocnej przy balkonowym oknie ich niewielkiego pokoju. Patrzyła w niebo błękitniejące ponad pokrytymi dachówką budynkami Covent Garden. Nie poruszył się, nie chciał wyrwać żony z zamyślenia. Wreszcie wstał i poszedł do łazienki. To zdumiewające, że życie toczy się nadal. Oto stoję, sikam, biorę prysznic i golę się jak co dzień, jakbyśmy przyjechali tu na wakacje. Dlaczego nie odwiedziliśmy ich wcześniej? Starł z szyi resztki piany i wrócił do pokoju. Edie wciąż tkwiła przy oknie. Spuściła głowę. Stanął tuż za jej plecami i położył dłonie na jej ramionach. Obróciła się.

- Która godzina? — spytała.

- Ósma piętnaście.

- Możemy już chyba zadzwonić do Julii.

- Na pewno, założę się, że wstała już dawno.

- T a k .

Stali w bezruchu. Edie poczuła, że ręce męża jej ciążyą.

- Ja to zrobię - powiedziała.

Amerykańska komórka w Anglii nie działała, więc przez chwilę zmagąta się z hotelowym telefonem. Żle wybrała numer i wykręciła ponownie.

- Julia?

Po prostu chciałam usłyszeć twój głos, dodała w myślach.

- Cześć.

Boże, mam, nie wiem co ze sobą zrobić... - jęknęła w duchu dziewczyna.

- Może wpadniemy wcześniej?

Nie wytrzymam dłużej w tym pokoju.

- Możecie jak najszybciej?

Jestem sama i nie wiem, co począć.

- Tak, tak. Musimy się tylko ubrać i zamówić taksówkę. Niedługo będziemy.

Edie poczuła przypływ absurdalnego zadowolenia. Jednak jestem jej potrzebna. Odkładając słuchawkę na widełki, uśmiechnęła się. Żwawszym krokiem podeszła do walizki i zaczęła się przebierać do pogrzebu. Jack otworzył szafę i zamarł, patrząc na samotny, ciemny garnitur. Na chwilę zapomniał, zagubił się w czarnej, wiszącej w półmroku wełnie. Potem jednak wszystko sobie przypomniał i sięgnął po ubranie. Czuję się staro, pomyślał. Garnitur był ciężki, jakby podszyty jakimś miękkim metalem. Obserwował krzątającą się Edie, czesała się, zakładała kolczyki.

- No chodź - rzuciła, widząc, że mąż stoi w bezruchu. - Ona na nas czeka.

I właśnie ten zaimek, w liczbie pojedynczej, wypowiedziany tak nagłaco, uświadomił mu z całą mocą, że Valentina nie żyje.

Julia czekała na rodziców na dole, w korytarzu przy głównych drzwiach budynku. Zobaczyła ich przez wąską kolorową szybkę. Zamknęli za sobą bramę i szli ścieżką przez ogród. Był jasny czerwcowy dzień; blask słońca sprawiał, że wyglądali niezwykle wyraziście, jakby nabrali w jego promieniach dodatkowego wymiaru. Widok przypomniał Julii pewien obrazek z dziecięcej książeczki. Mała dziewczynka prowadząca niedźwiedzia. Dziewczyna otworzyła i do środka wdarł się silny powiew wiatru. Poczta Roberta spadła na podłogę. Julia nie podniosła kopert.

Edie uścisnęła córkę.

- Jeszcze się nie ubrałaś?

Julia spojrzała na swój dres.

- Muszę tu zostać.

„Valentina tu jest” - odpowiedziała w duchu. „Musi tu być”.

Jack się pochylił i Julia zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Chodźcie - rzuciła. Ruszyli po schodach za dziewczyną.

Weszli do mieszkania i zatrzymali się niepewnie.

- J a d ł a ś coś? - spytał Jack. Jego samego dręczył potworny głód, ale na myśl o śniadaniu ogarniały go wyrzuty sumienia.

- Nie - odparła z roztargnieniem Julia. - W lodówce powinno coś być. Częstujcie się. Ja się przebiorę.

Edie poszła za córką. Wczoraj, po przyjeździe, cierpiała z rozpaczy i wskutek długiego lotu przez ocean. Wszystkie swoje myśli, całą uwagę poświęciła Julii. Dopiero teraz zaczęła zauważać mieszkanie. Nagle poczuła obecność Elspeth - w meblach, bibelotach, barwie farby na ścianach, w kącie nachylenia, pod którym słońce wpadało przez okno, nawet w powietrzu. Odniosła wrażenie, że znalazła się w muzeum poświęconym ich dzieciństwu. Zadrżała. Stanęła w drzwiach. Julia zdjęła dres, po czym rozłożyła na łóżku fioletową sukienkę, białe pończochy i czarne skórzane buty. Taki sam komplet wybrała na pogrzeb dla Valentiny.

- Nie - rzuciła Edie.

- Co?

- Nie wkładaj takich ubrań jak ona. Nie mogę... Proszę, włóż coś innego.

- Ale...

- Proszę cię, Julio, nie zniosę tego.

Julia przyjrzała się matce i uległa. W samej bieliźnie weszła do garderoby i zaczęła zdejmować z wieszaków kolejne ubrania, rzucała je na łóżko.

Elspeth usłyszała ich rozmowę. Wyszła z szuflady i z wolna popłynęła do sypialni. Valentine wciąż trzymała w dłoniach. Poprzedniego dnia unikała wszystkich. Całą noc spędziła na rozmyślaniach, niepewna, wystraszona: nigdy już jej nie zobaczę. Będzie roztrzęsiona. Nie chcę jej widzieć. To moja wina. Chociaż... Przyjechała tu i powinnam ją zobaczyć. Gdyby wiedziała, nigdy by mi nie wybaczyła. Tchórz, tchórz. Morderczyni.

Miała wrażenie, że Valentina przesiąknęła jej nastrojem i wycofała się w siebie, stała się małą, smutną, trwożliwą chmurką spowitą w mroczne myśli Elspeth. Zmagając się z poczuciem winy, zjawa podkrađła się do sypialni.

Edie i Julia stały po przeciwnych stronach łóżka, przebiebrały wśród sterty ubrań. Ach... tu jesteś. Elspeth zatrzymała się w wejściu i spojrzała na siostrę. Valentina wyraźnie się rozpromieniła, zaczęła pulsować niczym bijące serce. Och, ty. Co się z tobą stało? Jak mogło do tego dojść? Ostatnim razem widziała swoją bliźniaczkę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym, gdy łąkały w objęciach na Heathrow. Dzieci leżały obok w podwójnym wózku. Minęło dwadzieścia jeden lat i oto jesteś... Tak bardzo się zmieniłaś. Jesteś starsza, ale to nie wszystko, zhardziałaś. Dlaczego? Co się stało? Wstrząśnięta Elspeth przyglądała się Edie. Wiem. Nie zaopiekował się tobą, sama musiałaś o siebie zadbać. Nikt nie kochał cię tak bardzo jak ja. Gdybyśmy żyły razem... Och, Elspeth.

Przefrunęła wzdłuż ścian sypialni. Julia obejrzała się gwałtownie w prawo i znieruchomiała. Widzisz mnie, Julio? A może zobaczyłaś Valentine? Zjawa zasiadła na parapecie i spróbowała stać się niewidoczna. Valentina zaczęła się wić i drzeć w jej rękach. Julia podeszła do okna i wyciągnęła dłoń w kierunku miejsca, gdzie unosiła się dusza

siostry. Dotknęła jej. Valentina znieruchomiała. Julia zamknęła oczy.

- Myszko?

- Co ty robisz? - spytała Edie. Dziewczyna wciąż stała z wyprostowaną nad parapetem ręką. - Julia?

- Ona tu jest! - rzuciła Julia i załała się łzami.

- Co? Nie, Julio... No już, chodź tu.

Edie podeszła do córki i przytuliła ją. W drzwiach pojawił się Jack. Elspeth popatrzyła na niego zszokowana; tak bardzo się postarzał, udomowił, zmiękł. Edie spojrzała na męża i pokręciła lekko głową. Wycofał się. Zjawa usłyszała jego kroki w przedpokoju, wyszedł z mieszkania. Poszedł zapalić, stwierdziła w duchu. Obróciła się ku Edie i dziewczynie. Julia przestała płakać. Stały w uścisku, lekko się kołysząc. Elspeth poczuła ukłucie zazdrości. Chwilę potem się zawstydziała. To ona jest teraz ich matką. To nie ma znaczenia. I tak już za późno, by cokolwiek zmienić. Wszystko, co dawniej wydawało się bardzo ważne, okazywało się czymś idiotyzmem. Myślałyśmy, że jesteśmy takie sprytne, a byłyśmy po prostu głupie. Spieprzyłyśmy. Zjawa zaczęła się zastanawiać, czy można jeszcze cokolwiek naprawić. Może gdyby Valentina wróciła; gdyby bliźniaczki pojechały z powrotem do domu? Namówiłaby Valentinę, by pogodziła się z siostrą, poświęciłaby wszystko. Tak wiele smutku na próżno. Podniosła się i wyszła z pokoju. Ogarnęła ją dziwna tęsknota i zdała sobie sprawę, że emocja pochodzi od Valentyny; to ona chciała zostać, chciała być przy Edie i Julii. Przykro mi, nie jestem w stanie dłużej na nie patrzeć. Musisz iść ze mną. Elspeth stanęła przy oknie w gabinecie i wyjrzała przez nie, nie patrząc. Swą wijącą się w dłoniach córkę, przycisnęła mocno do piersi.

Ktoś zastukał do drzwi i Robert otworzył. Spodziewał się ujrzeć Julię. Zamiast niej zobaczył Jacka.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Wygoniły mnie i pomyślałem...

On nie chce być sam, zrozumiał Robert.

- Jasne, oczywiście. Wejść proszę.

Przed chwilą siedział przy biurku i wpatrywał się pustym wzrokiem w olbrzymi wydruk swej pracy doktorskiej. Wszystko jest lepsze od tej samotności. Zaprowadził Jacka do kuchni.

- Napijesz się czegoś? Kawa? Herbata? Whisky?

- T a k . Whisky.

Robert postawił na blacie dwie szklaneczki i butelkę Jamesona.

- W o d y ? Lodu?

- Tak i nie. Dzięki.

Robert napełnił karafkę i postawił ją przed gościem. Usiedli naprzeciwko siebie. Kuchnia wyglądała dziwnie radośnie, rozjaśniona słońcem, była niemal pusta. Jack zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek w tym domu ma choć trochę jedzenia. Robert zauważył rozczerowane spojrzenie Amerykanina i rzucił okiem na szafki.

- Nie miałem apetytu. Ale jeśli jesteś głodny, mogę zrobić tosty.

- Pewnie. Na górze nie ma nic do jedzenia. Julia jest strasznie wychudzona.

Robert nie odpowiedział. Podniósł się i wrzucił pieczywo do opiekacza. Otworzył lodówkę i wyjął z niej słoik dżemu i czekoladowego smarowidła. Usiadł. Jack oparł się wygodnie. Krzesła były niewielkie, metalowo-wynylowe, w stylu

lat pięćdziesiątych. Robertowi przemknęło przez myśl, że mebel może w każdej chwili ustąpić pod ciężarem gościa. Znowu wstał i podał sztućce.

- Mógłbym ci zadać osobiste pytanie? - odezwał się Jack.

Robert mruknął coś wymijająco i wrócił na krzesło.

- Ty i Elspeth... Byłeś jej...? Chłopakiem? Mężczyzną? Jak wy tutaj to nazywacie?

- T a k . Byłem jej...

„»Pupilkiem«, tego słowa szukasz” - dopowiedział w myślach Robert.

Grzanki gwałtownie wystrzeliły do góry, obaj drgnęli. Gospodarz nałożył Jackowi trzy, sobie wziął jedną. Postawił talerze. W milczeniu smarowali pieczywo dżemem. Nie odezwali się, dopóki Amerykanin nie skończył jeść. Robert poczęstował go czwartym, nietkniętym tostem.

Wydaje się zobojętniały, stwierdził Jack.

Chyba się porzygam, pomyślał Robert.

Jack nalał sobie solidną porcję whisky i rozcieńczył ją wodą z karafki.

- Czy Elspeth powiedziała ci kiedykolwiek, co zaszło pomiędzy nią a Edie? - podjął.

Robert pokręcił głową. Nie to spodziewałem się usłyszeć, stary.

- Nie za życia. Ale zostawiła mi wszystkie swoje dokumenty. Między innymi pamiętniki. I list, który wyjaśnił co nieco.

- Ach, domyślam się, że raczej nie zechcesz mi tego listu pokazać?

- Hmm, znasz testament. Ona wyraźnie stwierdziła, że nie chce, żebyście ty lub twoja żona mieli dostęp do takich rzeczy.

- Mhm - Jack zjadł ostatnią grzanekę. Robert przyglądał się mu uważnie. - Tak naprawdę potrzebuję odpowiedzi na tylko jedno pytanie. Wszystko inne wiem.

- Jakie to pytanie?

- Dlaczego one to zrobiły?

Robert milczał.

- Chciałbym zrozumieć, jaki jest sens w tej całej... głupiej grze, w którą gramy od lat. O ile mi wiadomo, nikogo nikomu nie udało się oszukać, ale z jakiegoś powodu wszyscy nadal udajemy, że nikt nic nie wie.

- Nie wie o czym?

- Nie wiesz o zamianie?

- Wiem, ale według Elspeth, to ty nie masz o niej pojęcia.

- Ona wiedziała, że ja wiedziałem. Cięża bardzo zmieniała jej ciało. Może to Edie była jedyną osobą, która nie zdawała sobie sprawy... Może tak naprawdę Elspeth zrobiła to swojej siostrze w ramach dziwnego dowcipu? Słuchaj, wiem, że nie możesz mi niczego powiedzieć - ciągnął Jack. - Ale jeśli to ja ci opowiem jak to wszystko widzę? A ty, wiesz, uniesiesz lekko brew, kiedy usłyszysz cokolwiek sensownego. Możemy się tak umówić?

- Dobrze.

- Okej. - Jack upił łyk alkoholu. - Nie piję o tej porze. Zazwyczaj.

- Ja też nie - odparł Robert.

„Do niedawna” - dopowiedział już w myśli i nalał sobie szklaneczkę. Wydawało mu się, że od samego zapachu zrobi mu się niedobrze, ale nie. Napił się ostrożnie. „Uwielbiam zapach napalmu o poranku”.

- Więc - zaczął Amerykanin. - Jest osiemdziesiąty trzeci. Edie i Elspeth Noblin mieszkają razem w małym



mieszkanek w Hammesmith, pływając się w artystycznym nieładzie na koszt swej matki. Bliźniaczki niedawno skończyły Oksford, a ja pracuję w londyńskim oddziale banku, tego samego co dziś. Jestem zaręczony z kobietą, którą obaj znamy jako Edie, ale która wówczas nazywała się Elspeth. Żeby nie pomieszać, będę używał ich obecnych imion.

- Okej.

- Elspeth - twoja Elspeth - bardzo mnie nie lubiła. Nie okazywała jednak tej wrogości otwarcie. Po prostu zachowywała się... po angielsku, wiesz co mam na myśli, ten szczególny chłód wobec osób, których nie chce się znać. Nie sądzę, by miało to związek z moją osobą, nie przepadała za mną raczej dlatego, że rozumiała, co się święci. Chciałem zabrać jej siostrę-bliźniaczkę do Stanów. Nie wiem, na ile ta sprawa - ich bliźniaczość - wpłynęła na twój związek z Elspeth...

- Niezbyt. Edie nie było. Elspeth bardzo rzadko o niej wspominała. Ale spotkanie z Julią i Valentiną wiele mi uświadomiło. — Robert zaczął się zastanawiać, co Julia opowiedziała rodzicom na temat jego relacji z siostrą.

- No więc, jeśli chodzi o bliźnięta, to trzeba pamiętać o jednym. Nikt i nigdy nie zastąpi takiego brata czy siostry. Rozumiesz, Edie i ja naprawdę kochamy Valentinę, ale Julia... Nie wiem, jak ona teraz... - Jack spojrzał na swoje dłonie. Robertowi zrobiło się duszno. - Tak czy inaczej, bliźniaczki - Edie i Elspeth - w pewnej chwili zaczęły się dziwnie zachowywać. Przestałem widywać je razem. Były do siebie bardzo podobne, ale nie aż tak, jak same sądziły. Kiedy zamieniały się rolami, zawsze można było to wyczuć. Udawanie, grę. Wiesz, żeby być sobą, nie trzeba się starać, nie trzeba robić nic, ale kiedy jedna z nich podszywała się pod drugą, wyczuwało się pewien wysiłek.

- Więc - ciągnął - Edie zaczęła udawać Elspeth. Moja narzeczona zaczęła odgrywać swoją bliźniaczkę. Zaczęła mnie podrywać, uwodzić, czego twoja Elspeth nigdy by nie zrobiła, bo na ten swój brytyjski, niezobowiązujący sposób, naprawdę mnie nie lubiła.

- Dlaczego to robiła?

- Moja żona - Jack pokręcił głową - nigdy nie była pewna siebie. Była tą słabszą, choć w miarę upływu lat przejęła nieco cech swojej siostry. Podejrzewam, że Elspeth po prostu mnie sprawdzała, chciała zobaczyć jak zareaguję.

- I jak zareagowałeś?

- Najpierw się wściekłem. A potem popełniłem wielki błąd. Podjąłem jej grę.

- A c h .

- No właśnie. I wtedy... wszystko się pokomplikowało. Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, że kobietą, która poszła ze mną do ślubu, była Edie. Moja Edie, wiesz o którą mi chodzi. Do podmiany doszło, kiedy wsialaliśmy do samolotu do Chicago.

Robert wyobraził sobie Elspeth siedzącą obok Jacka w kabinie.

- Elspeth panicznie bała się latać.

- Obie się bały. Dlatego nie odwiedziliśmy tu bliźniaczek, choć teraz oboje uważamy to za głupi błąd. Ale nie to było dla mnie wskazówką. - Robert czekał, aż Jack rozwinie myśl, ale Amerykanin powiedział tylko: - Proszę cię, odpowiedź musi się znajdować w dziennikach Elspeth. W przeciwnym wypadku, czemu aż tak bardzo zależało jej na tym, by trzymać nas z dala od tych papierów?

- Wciąż nie rozumiem jednego - zauważył Robert. - Czego ty właściwie chcesz się dowiedzieć? Elspeth zaszła

w ciąży. Z tobą. Wydawało im się oczywiste, na ich egocentryczny sposób, że jeśli się zamienią, wszystko się ułoży.

- Ja nigdy nie spałem z Elspeth - powiedział Jack.

Zaraz oszaleję, przemknęło Robertowi przez myśl.

- Poczekaj tu - rzucił, wstał i poszedł po pudełko z ostatnimi pamiętnikami Elspeth.

Przyniósł je do kuchni. Wyciągnął zeszyt, przekartkował i otworzył na stronie zawierającej wpis zatytułowany „Prima Aprilis, 1983”. Podał go Jackowi.

- Na imprezie w Knightsbridge. Byłeś pijany. Według mnie, to miał być dziwny kawał zrobiony Edie.

Jack odsunął dziennik od oczu i zaczął czytać.

- Nie pojawia się tu moje imię.

- Pisały te pamiętniki razem - wyjaśnił Robert. Pochylił się nad Jackiem i pokazał mu następny wpis. — Spójrz, to odpowiedź Edie. „Cholera, czy ja nie mogę mieć niczego tylko dla siebie?”.

Jack przeczytał. Zmieszany podniósł wzrok.

- Próbowaliśmy wszystko naprawić - podjął Robert. - Nie rozumiemy jednak, co się z tym wiąże. Nie sądzę, by chciały cię skrzywdzić.

- Nie - przytaknął Jack. - Ja im się po prostu nawinałem. Byłem tam przypadkiem. - Odłożył zeszyt na stół, zamknął oczy i ściągnął usta.

Nie wiedział, że naprawdę jest ojcem bliźniaczek, zrozumiał Robert. Mój Boże. Pomyślał o Valentinie i zalała go bezradna wściekłość. Nie był w stanie dobyć z siebie choć słowa. Wreszcie wskazał na pozostałe pamiętniki.

- Proszę, możesz je przejrzeć.

- Nie, dziękuję. - Jack pokręcił głową. - Już wiem wszystko, co chciałem.

Podniósł się z miejsca, zdezorientowany, lekko wstawiony. Spojrzeli sobie w oczy i natychmiast odwrócili się plecami do siebie. Żaden nie miał pojęcia co dalej.

— Do zobaczenia w Lauderdale House — pożegnał się Robert.

- T a k . H m m . . . d z i ę k i .

Jack wyszedł chwiejnie. Robert słyszał jego ciężkie stąpanie na schodach. Odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Robert sięgnął po klucze i portfel. Wyszedł kupić kwiaty.

\*\*\*

Pogrzeb Valentyny zorganizowano w Lauderdale House, siedemnastowiecznej rezydencji, w której mieszkała niegdyś Nell Gwyn i która służyła teraz jako galeria/miejsce organizacji rodzinnych uroczystości/kawiarnia. Wynajęli przestronne pomieszczenie na piętrze, gdzie zwykle odbywały się zajęcia z jogi i malarstwa. Sala była w połowie wyłożona boazerią, w połowie niewykończona, zupełnie jakby stolarze poszli na drugie śniadanie, które przeciągnęło się na ostatnie kilkadziesiąt lat. Trumna stała z przodu, na kozłach. Ginęła pod białymi różami. Resztę przestrzeni zastawiono składanymi krzeselkami. Julia usiadła między rodzicami, w pierwszym rzędzie, patrzyła na świat za szybą. Przypomniała sobie zasłyszaną od kogoś opowieść o Nell Gwyn, która miała wystawić za okno Lauderdale House swoje dziecko. Dziewczyna nie pamiętała dlaczego ani z którego konkretnie okna.

Trumna była biała, z prostymi stalowymi okuciami. Po sali krzątał się Sebastian. Ustawił na pulpicie karafkę z wodą i szklanki. Przed trumną złożył kolejny wieniec.

Julii skojarzył się z kamerdynerem - ten sam nadnaturalny spokój i cicha sprawność działania. Nigdy nie widziałam prawdziwego kamerdynera. Sebastian rzucił na nią okiem, jakby wyczuł, że dziewczyna myśli właśnie o nim. Uśmiechnął się skromnie. Zaraz się rozpłaczę, pomyślała, a jeśli już zacznę, to nie przestanę. Miała ochotę zniknąć. Sebastian przyniósł pudełko chusteczek. Dla niego to praca, robi to codziennie. Julia nigdy nie myślała, że śmierć może dotknąć jej samej lub kogoś z jej bliskich. Zmarli na cmentarzu byli dla niej kamieniami, nazwiskami, datami. Kochająca matka, oddany mąż. Widmo Elspeth uważała w głębi ducha za jarmarczną sztuczkę, martwa ciotka nigdy nie wydawała się jej prawdziwa. W tym pudle leży Valentina. Nie, to niemożliwe.

Chcę, żebyś mnie nawiedziła, powtarzała w duchu. Nawiedz mnie, Myszko. Przyjdź i przytul mnie. Usiądziemy sobie nad tabliczką i będziemy rozmawiać o naszych tajemnicach. A jeśli nie będziesz w stanie tego zrobić, wystarczy że na mnie popatrzysz. Niczego mi więcej nie trzeba. Gdzie jesteś? Nie tutaj. Ale nie czuję też, żebyś zniknęła. Jesteś moją fantomową kończyną, Myszko. Wciąż cię szukam. Zapominam. Czuję się taka głupia, Myszko. Przyjdź, znajdź mnie, wróć stamtąd. Bądź ze mną. Boję się.

Spojrzała na matkę. Edie siedziała sztywno, mocno ścisnęła swą małą torebkę, zbielały jej knykcie. Ona też się boi. Ojciec wcisnął się na zbyt małe dla siebie krzeselko, słodko pachniał tytoniem i alkoholem. Julia oparła się o jego ramię. Jack wziął córkę za rękę.

Pojawiali się ludzie, zajmowali miejsca. Dziewczyna rozejrzała się po sali, ale większość przybyłych była jej zupełnie obca. Pracownicy cmentarza. Jessica i James usiedli za Poole'ami. Jessica poklepała Julię po ramieniu.

- Witaj, moja droga. - Kobieta miała na głowie mały kloszowy kapelusz z upstrzoną drobnymi gwiazdkami woalką.

Myszka oszalałaby na jego punkcie.

Mistrzyni ceremonii - pracownica domu pogrzebowego - stała z przodu pomieszczenia z kartkami w dłoni i obserwowała zasiadających na krzeselkach ludzi. Ramiona miała zakryte czerwonym szalem. Julia zaczęła się zastanawiać, co się teraz wydarzy. Prosilili o świecką uroczystość. Robert załatwił wszystko w Stowarzyszeniu Humanistów. Zapytał też dziewczynę, czy chciałaby coś powiedzieć. W torebce miała złożoną kartkę z przygotowaną, pokreśloną w wielu miejscach mową. Tekst był zły, w jakiś sposób nieprawdziwy. Co prawda, w układaniu go pomagał sam Martin, ale słowa wciąż nie wyrażały tego, co chciała przekazać. Nieważne, Valentina i tak tego nie usłyszy, powtarzała sobie.

Kobieta z czerwonym szalem zabrała głos. Powitała zebranych i powiedziała kilka zdań mających nieść pokrzepienie. Potem zaprosiła na podwyższenie znajomych i krewnych Valentyny. Jako pierwszy podniósł się Robert. Spojrzał na wypełnioną w połowie salę. Poole'owie siedzieli ledwie kilka stóp przed nim, przyglądali się mu stoicko. Wybacz mi, Valentino, pomyślał. Odchrząknął, poprawił okulary. Kiedy już dobył z siebie głos, zaczął mówić zbyt cicho, potem zbyt głośno. Zdecydowanie wolałby być w tej chwili gdzie indziej, robić coś innego.

- To wiersz napisany przez Artura Williama Edgara O'Shaughnessy - powiedział. Wyprostował trzymaną w dłoniach kartkę.

*Ogród stworzyłem całkiem świeży  
dla nowej ukochanej*

*tam róża stara w ziemi leży  
nowa rozkwitła na niej.  
Czemuż me serce ścięła zima?  
czemuż nie kwitnie lato?  
To dawna luba przeszła mimo,  
zagładę niosąc kwiatom.*

*Z uśmiechem lekkim, znanym przecie  
z czasów niedawnych jeszcze  
krążyła chwilę pośród kwiecica,  
wstrząsana mroźnym dreszczem.  
Muśnięcie palców niesie zgubę  
pod wzrokiem wszystko kona.  
Już róża biała płatki gubi,  
Bieleje zaś czerwona. \**

Utwór się na tym nie kończył, ale Robert nie czytał dalej. Patrzył na gości na ich krzesełkach i z początku chciał mówić jeszcze, ale zrezygnował i wrócił na miejsce. W sali zapanowało zmieszanie, poniósł się szmer rozmów.

To nieodpowiednie, pomyślała Jessica. On obwinia o coś Elspeth, a powinien mówić o Valentinie.

Edie i Jack wpatrywali się w białą trumnę. Jack nie miał pojęcia, co Robert chciał przekazać, wybierając akurat ten wiersz.

Julia była wściekła, lecz próbowała nie dać tego po sobie poznać; podeszła do mównicy. Miała wrażenie, że jej ciało jest zdalnie sterowane. Rozłożyła kartkę, po czym zaczęła mówić, nie patrząc na tekst.

\* Wiersz w przekładzie Pauliny Braiter.

- Jesteśmy bardzo daleko od domu... Dziękuję wszystkim za przybycie, tym bardziej, że znamy się przecież od niedawna.

Co jeszcze chciałam powiedzieć?

- Valentina była moją bliźniaczką i żadna z nas nigdy nawet nie pomyślała, że mogłybyśmy kiedyś zostać rozdzielone. Nie byłyśmy na to przygotowane, nie planowałyśmy. Zamierzałyśmy zawsze żyć razem. Gdy byłyśmy małe, mama i tata zabrali nas do ZOO imienia Lincolna. Jeśli nie wiecie, jest to wielki ogród w samym środku Chicago. Oglądając strusie i żyrafy, można podnieść wzrok i ujrzeć drapacze chmur. Zaciekał nas tygrys. Siedział samotny wśród sztucznego krajobrazu - jak sądzę, otoczenie miało przypominać Chiny, czy jakiś inny kraj, z którego pochodziło zwierzę. Valentina zakochała się w nim bez pamięci. Stała przed nim całe wieki, oczarowana i w końcu tygrys do niej podszedł. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym wielki kot jakby uklonił się jej i dostojnie odszedł. Wtedy Valentina powiedziała mi: „Kiedy umrę, stanę się tym tygrysem”. Podejrzewam więc, że tak właśnie się stało, choć mam nadzieję, że nie trafiła do ZOO. Nie cierpiała takich miejsc.

Dziewczyna zaczerpnęła głęboko tchu. Nie, nie rozpłaczę się.

- Z drugiej strony, miałyśmy wtedy ledwie osiem lat, a ostatnio zaczęłyśmy myśleć o życiu i śmierci inaczej.

Och, nie, jęknął w duchu Robert.

- Nie wiem - mówiła dalej Julia - co dokładnie myślała moja siostra. Odkąd się tu sprowadziłyśmy, wydawała się mocno zafascynowana umieraniem. W pewnym sensie. Być może dlatego, że zamieszkałyśmy tuż obok cmentarza



i dlatego że mamy po dwadzieścia jeden lat i żadna z nas nie podejrzewała, że coś takiego może się nam przytrafić. - Dotąd Julia przemawiała do kwiatów ustawionych z tyłu sali, ale w tej chwili spojrzała prosto w oczy matki. - Tak czy inaczej, nie sądzę, że bardzo się tym przejęła. Oczywiście nie chciała umierać, ale uwodziło ją piękno cmentarza i skoro już musiało się to stać, myślę, że byłaby szczęśliwa, że spocznie właśnie tutaj.

Co jeszcze? Kocham cię. Nie wiem, jak bez ciebie żyć, byłaś częścią mnie. Teraz zniknęłaś. Też chcę odejść. A może nie chcę?

- Jeszcze raz dziękuję wam wszystkim, dziękuję że przyszliście.

Julia wróciła na miejsce, goście szemrali. Sebastian pochwycił spojrzenie Roberta, który zrozumiał, że jego kolega uważa przemówienia za nieco dziwaczne. Mistrzyni ceremonii powiedziała kilka słów, poprosiła wszystkich, by przeszli przez Waterlow Park na cmentarz, i raz jeszcze podziękowała za obecność. Wyprowadzono trumnę. Zniknęła. Wszyscy czekali, by Poole'owie poszli za nią. Nie zrobili tego i poniosły się stłumione rozmowy. Wreszcie goście zaczęli wychodzić dwójkami, trójkami. Poole'owie siedzieli w bezruchu, dopóki sala się nie opróżniła. Robert czekał na nich przy schodach. Wreszcie Sebastian podał ramię Edie. Nie miał pewności, czy kobieta wytrzyma drugą część uroczystości.

- Może napije się pani wody?

- Nie, nie. - Jack i Julia podnieśli się z miejsc.

Edie spojrzała w górę, na całą trójkę. Nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca.

- Możesz tu zostać. Poczekam z tobą - szepnęła do ucha matce Julia.

Edie pokręciła głową. Chciała wyłączyć świat. Zatrzymać czas. Wciąż rozmyślała o wierszu, o zwiędłym ogrodzie; wyobraziła sobie siebie w takim miejscu; pośród zeschniętych kwiatów, pod wieczór. Pogrzebano w nim Valentine i Elspeth i przyszło jej do głowy, że jeśli nie będzie się ruszać i wszyscy dadzą jej spokój, usłyszy ich głosy. Zatonęła w tej wizji i nie była w stanie się otrząsnąć. Jack pochylił się i podniósł żonę z krzesła, przytulił ją, objął ramionami, całym sobą. Zaczęła szlochać. Sebastian dołączył do stojącego przy schodach Roberta. Słuchali łkającej kobiety. Julia wyszła z sali, minęła mężczyzn i bez słowa zeszła na dół.

Na Boga, co myśmy zrobili? Łzy Edie zmiękczyły obojętność Roberta, stracił pewność, że jakoś ten dzień przetrzyma, przestał się uważać za przyzwoitego człowieka. Był potworem. Teraz dotarło to do niego z całą mocą. Jedynym, co mógł zrobić, było doprowadzenie planu do końca, lecz ten plan był zły i koszmarny w swym egoizmie.

- Nie - rzucił.
- Przepraszam? — Sebastian spojrzał na niego niepewnie.
- Nie, nic - odparł Robert.

\*\*\*

Jessica doznała wszechogarniającego wrażenia *deja vu*. Znowu zebrali się przy grobowcu Noblinów. Tym razem nie było zimy, kwitło lato. Przy karawanie stał Nigel, grabarze trwali w pogotowiu, oszołomiony Robert czekał obok Phila i Sebastiana. Pastora nie było; kobieta z Towarzystwa Humanistycznego powiedziała kilka słów. Trumnę Valentine złożono w grobowcu na posadzce, skąd miała zostać wsunięta do wnęki pod Elspeth. Poole'owie trzymali się blisko

siebie, Julia z ojcem podtrzymywali Edie, by nie upadła. Sebastian, nie wiadomo skąd, wytrzasnął kilka krzesel. Usiedli na nich, nie odrywając wzroku, od wrót grobowca. Biedacy. Była taka młodziutka - Jessica spojrzała na Roberta, z którym nie rozmawiała od owego świtu na dziedzińcu Highgate.

- On chyba zaraz zemdleje - szepnęła do męża.

Robert był blady jak ściana i mocno się pocił. James skinął głową i chwycił żonę za ramię, jakby to jej groziło zasłabnięcie.

Uroczystość dobiegła końca. Nigel zamknął grobowiec. Goście zaczęli się rozchodzić. W Lauderdale House czekała na nich kawa, poczęstunek i mocniejsze napoje. Jack Poole rozmawiał z Nigelem; Julia i Edie czekały w milczeniu. Robert ruszył samotnie alejką. Zawołała go Jessica.

Obejrzał się i zawahał. Po chwili zawrócił i podszedł do koleżanki.

- Robert, bardzo nam przykro - powiedziała.

- To moja wina. — Pokręcił głową.

- Nie - zaprotestował James. - Ani trochę. Takie rzeczy się po prostu zdarzają. Straszne nieszczęście.

- To moja wina - powtórzył Robert.

- Nie obwiniaj się, mój drogi — poprosiła Jessica.

Poczuła nagły niepokój. W spojrzeniu Roberta dostrzegła coś dziwnego. Dotąd tylko podejrzewałam, że z jego głową jest coś nie w porządku. Teraz to już chyba było pewne. I jeszcze ten wiersz. O mój Boże...

- Powinniśmy już iść - rzuciła.

Poszli powolnym krokiem, minęli Aleję Egipską i skręcili ku Kolumnadzie.

\*\*\*

W Lauderdale House pojawili się i rozmawiali ze sobą przede wszystkim ludzie, którzy Valentine znalazli dość po-bieżnie. Edie i Jack wrócili do Vautravers - kobieta musiała się położyć. Oszołomiona Julia usiadła wśród kilku młodych członków Stowarzyszenia Przyjaciół Highgate; Phil podał dziewczynie herbatę i kanapki; nie oddalił się potem zbyt daleko, czekał w pobliżu, na wypadek gdyby ktoś czegoś potrzebował. Wreszcie pojawił się Robert.

- Mogę cię odprowadzić do domu? - zapytał. — Jeśli wolisz, odwiezie cię Sebastian.

- Okej - rzuciła.

Robert przyjrzał się jej uważniej i stwierdził, że lepiej będzie, jeśli dziewczyna pojedzie samochodem. Julia zupełnie się wyłączyła; toczyła wkoło pustym wzrokiem, miał wrażenie, że wcale nie zrozumiała jego pytania. Wyprowadził ją spomiędzy gości. W milczeniu wyszli na ulicę i zaczęli na Sebastiana, który miał podjechać swoim wozem.

- Ile czasu minęło, zanim Elspeth stała się duchem?  
**spytała** szeptem Julia, nie patrząc na Roberta.

- Myślę, że nastąpiło to od razu. Mówiła mi tylko, że na początku bardziej przypominała lekką mgiełkę niż siebie.

- Dziś rano... Poczułam, że Valentina tam jest. W sypialni. - Julia pokręciła głową. - Po prostu czułam jej obecność.

- Była z nią Elspeth? - zapytał.

- Nie wiem, ja jej nie widzę.

- Ja też nie.

Pojawił się samochód. Na wzgórzu wjechali bez słowa.

Wydawało się, że popołudnie nigdy się nie skończy. Robert siedział przy biurku, nie myślał, nie ruszał się nawet.

Miał ochotę się napić, ale bał się, że pijany wszystko zepsuje. Siedział więc w ciszy i nie robił nic. Edie zasnęła w łóżku bliźniaczek. Jack przycupnął na szerokim parapecie, przy niemal całkowicie zasłoniętym oknie; słuchał pochrapującej cicho żony i czytał pierwsze, amerykańskie wydanie *Starego człowieka i morza*. Julia nie była w stanie wytrzymać w czterech ścianach i wyszła do ogródka za domem. Usiadła na ławce, brodę wsparła na kolanach. Martin ćwiczył stanie w oknie. Zauważył dziewczynę, zawahał się, po czym zastukał w szybę i skinął na nią dłonią. Podskoczyła gwałtownie i pobiegła do schodów pożarowych. Usłyszała dudnienie jej kroków i otworzył. Julia weszła bez słowa i usiadła na krześle w kuchni.

- Jadłaś coś? - zapytał.

Pokręciła głową. Martin położył na kromce chleba plasterki żółtego sera. Nalał do szklanki mleko i postawił ją przed dziewczyną. Włączył piekarnik i włożył do niego kanapkę.

- Używasz kuchenki? - zdziwiła się.

- Pomyślałem, że spróbuję. Zadzwoiłem do gazowni i podłączyli.

- To świetnie. - Uśmiechnęła się. - Naprawdę ci się polepsza.

- Dzięki witaminom. - Wsunął dłoń do kieszeni, znalazł zapalniczkę i papierosy. Wyciągnął jednego z paczki i zapalił. Usiadł na krześle obok. - Jak się czujesz? Przepraszam, że nie przyszedłem na pogrzeb.

- Nie spodziewałam się, że będziesz w stanie.

- Robert mnie prosił. Wyszedłem nawet na piętro, ale tam się zatrzymałem. Nie potrafiłem zrobić nic więcej.

- Mhm. Nic się nie stało. - Julia wyobraziła sobie Martina, stojącego samotnie w otoczeniu stert gazet, próbującego zejść po schodach, jego niepowodzenie.

Martin przez cały dzień zastanawiał się, w jaki sposób może zatrzymać ją wieczorem u siebie. Układał w głowie rozmaite zdania, ale teraz zdołał tylko wydukać:

- Co robisz wieczorem?

Julia wzruszyła ramionami.

- Pewnie pójdziemy z rodzicami na kolację do Café Rouge. A potem nie wiem. Oni chyba wrócą do hotelu.

- Nie powinnaś spędzić tej nocy z nimi?

Zdecydowanie pokręciła głową. Nie jestem dzieckiem, pomyślała.

- Może przyjdiesz do mnie? Nie chciałbym, żebyś była dziś sama.

Julia pomyślała o kryjącej się w mroku mieszkania Elspeth.

- Chętnie. - Napiła się mleka.

Dopóki nie rozległ się dzwonek minutnika kuchenki, siedzieli w milczeniu. Martin ostrożnie wyjął zapiekankę, położył ją na talerzu i podał dziewczynie, która popatrzyła na poczęstunek i stwierdziła, że to bardzo dziwne, że dla odmiany ktoś opiekuje się nią. Martin zgasił papierosa, nie chciał, żeby dym przeszkadzał jej przy jedzeniu. Kiedy skończyła, sprzątnął naczynia.

- Zagramy w scrabble? - zaproponował.

- Z tobą? Nie jestem gotowa na takie upokorzenie.

- W takim razie w karty?

Zawahała się.

- To chyba dziwne... Grać w cokolwiek, kiedy ona... Wiesz, mam po prostu wrażenie, że nie powinnam.

Martin poczęstował dziewczynę papierosem. Sięgnęła po jednego, przypalił jej.

- Według mnie zabawa została wymyślona po to, byśmy nie oszaleli. Ale mam inny pomysł: nie było mnie na

pogrzebie, więc urządzmy dla Valentyny coś podobnego. Tylko we dwoje. Może mi o niej opowiesz?

W pierwszej chwili Julia wcale nie chciała mówić. Zagapiła się na rozjarzoną końcówkę papierosa, zmarszczyła czoło. Potem jednak zaczęła, rwanymi zdaniem. Martin wyciągał z niej kolejne historie, aż słowa stworzyły Valentine, taką, jaka miała teraz zamieszkać w pamięci siostry. Julia opowiadała o bliźniacze godzinami, popołudnie osunęło się w wieczór, a Martin poczuł żal z powodu śmierci dziewczyny, którą widział tylko raz, przelotnie, ledwie kilka dni temu.

\*\*\*

Klucz do cmentarnej furtki zabrała Jessica, Robert poszukał więc tego, który należał dawniej do Elspeth. Odkąd sięgał pamięcią, wisiał nieużywany w schowku. Klucz do grobowca Noblinów zabrał z biurka Elspeth już tydzień temu. Teraz oba spoczęły w kieszeni jego płaszcza wraz z kluczami do mieszkania bliźniaczek. Stał w oknie i wyjrzał przed dom; czekał, aż zapadnie noc.

Na ścieżce pojawiła się Julia z rodzicami, zamierzali zjeść kolację na mieście. Teraz, stwierdził w duchu. Jeśli nie zrobię tego teraz, nie zrobię już nigdy.

Wyszedł tylnymi drzwiami, nie zamknął ich. Co prawda, okna Martina były zaklejone, ale gdy znalazł się w ogródku, i tak odruchowo spojrzał w górę. Dziwne, część gazet zniknęła, przemknęło mu przez myśl. W gabinecie sąsiada paliło się światło; pozostałe pomieszczenia tonęły w mroku. Robert wymknął się przez furtkę na cmentarz, zostawił ją uchyloną.

Najkrótsza droga do grobowca Noblinów prowadziła przez Krąg Libański i Aleję Egipską. Żeby iść szybciej,

zapalił latarkę. Na niebie świecił półksiężyc, ale ocieniające alejkę drzewa sprawiały, że wokół było całkowicie ciemno. Wyłączył latarkę i zaczął nasłuchiwać. Nie bał się. Ogarnęła go radość ze znalezienia się na cmentarzu. Dolatywały go jedynie zwykłe dźwięki: kilka samochodów przejeżdżających po wzgórzu, sporadyczne głosy owadów, wszystko stłumione chłodem nocy. U krańca ścieżki skręcił i ruszył pod górę, do grobowca.

Zamek działał opornie. Powiniennem był go naoliwić. Po chwili jednak udało mu się przekręcić klucz i otworzył ciężkie drzwi. Wszedł do środka, naciągnął na dłonie gumowe, chirurgiczne rękawiczki i na wypadek, gdyby ktoś przyszedł, zamknął za sobą niemal do końca. Choć pewnie inni bardziej przestraszyliby się mnie, niż ja ich. Uklęknął przy trumnie Valentyny. W tej ciasnej przestrzeni czuł się ogromny, nieproszony, zupełnie jak Alicja z ramieniem w kominie domu Białego Królika. Z trudem wyciągnął skrzynię z wnęki, musiał mieć dostatecznie dużo miejsca. Nie ma możliwości, żebym zrobił to z szacunkiem, pomyślał i wyciągnął z kieszeni śrubokręt. Zaczął odkręcać wieko. Miał wrażenie, że trwa to całe wieki. Zanim zdołał otworzyć trumnę, był już cały spocony. Kiedy podniósł pokrywę, rozległo się ciche sapnięcie, jakby napoczął olbrzymi słoik kiszonych ogórków.

Ciało Valentyny spoczywało oblane białym jedwabiem. Chyba jest jej wygodnie. Sięgnął oburącz i wydobył zwłoki dziewczyny; prawie nie poczuł jej wagi. Jej skóra lekko zwilgotniała od plastikowych worków z lodem, które ukrył pod nią Sebastian. Wciąż była giętka, choć bardzo zimna. Sebastian dotrzymał obietnicy: na zwłokach nie było znać żadnych śladów rozkładu. Nie był pewien, gdzie je położyć. Stał niezręcznie, obracał się przez moment



dokoła, aż wreszcie opuścił Valentinę na posadzkę. Wyjął łód z trumny i cisnął go w krzaki, po czym umieścił śruby na miejscach i zamknął wieko. Wsunął pustą trumnę na powrót w głąb wnęki. Zabrał latarkę i śrubokręt. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nie zostawił po sobie żadnych śladów. Nie zauważył niczego. Zdjął płaszcz i rozłożył go na ziemi. Owinął nim Valentinę. Ukrył.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że w kieszeni zostały klucze, wyciągnął je więc spod ciała i schował w kieszonce koszuli. Podniósł martwą dziewczynę. Chwytał ją mocno; głowa zmarłej spoczęła mu na ramieniu. Otwierając drzwi, podtrzymał ją jedną ręką. Ostrożnie wyszedł z grobowca, wciąż uważając, by nie wypuścić ciężaru z dłoni. Zamknął drzwi, zgasił latarkę i ruszył z powrotem przez noc.

Poszło dziwnie łatwo. Zawsze wydawało mi się, że wykradanie ciał to o wiele bardziej skomplikowane zajęcie. Oczywiście nie musiałem kopać. Poza tym, dawniej rabusie grobów musieli ze sobą nosić przyciemniane latarnie, łopaty i tak dalej. Zebrało mu się na chichot. Miał ochotę zagwizdać. Nie jest ze mną dobrze. W domu zrobię sobie drinka. Zwłoki Valenty podskakiwały lekko przy każdym kroku. Było ciemno. Zwolnił i przytulił ją mocniej.

Dotarł do Kręgu i wszedł po schodach. U szczytu wydało mu się, że słyszy czyjś oddech. Zamarł, znieruchomiał; cisza.

Wreszcie znalazł się przy Katakumbach. Odszukał zieloną furtkę i lekko ją pchnął. W ogródku nie było nikogo. Za oknem gabinetu Martina wciąż paliło się światło. Zupełnie, jakby czas stanął w miejscu, jakby nic się nie wydarzyło. Jasno było też w sypialni bliźniaczek; zasłony były zaciągnięte. Robert wszedł do ogrodu, zamknął furtkę i pobiegł po mchu. Chwilę później był już u siebie. Ociekał potem.

Co ja, na Boga, robię? Ułożył Valentynę na kuchennym stole, otworzył lodówkę i wyciągnął z niej butelkę wódki. Najpierw chciał się napić prosto z niej, ale zrezygnował, sięgnął do kredensu po szklanę, nalał sobie i wypił, przyglądając się własnemu odbiciu w oknie. Za sobą widział owinięty płaszczem kształt ciała Valentyny - leżała jak wystawiona w muzeum mumia. Nalał sobie jeszcze alkoholu, przełknął pół porcji. Zamknął drzwi pożarowe.

No to chodź, kochanie.

Ułożył zwłoki delikatnie na łóżku. Prostopadle do niego, tak że stopy wystawały za materac. Odwinał ją z płaszcza, który cisnął na krzesło. Małe czarne buciki dziewczyny jakby kwitowały nad podłogą, niczym niepodtrzymywane. Zmarszczył czoło. Nie, tak niedobrze. Wziął ją na ręce i znów położył, tym razem jednak w normalnej pozycji. Wyglądała teraz na śpiącą. Wygładził jej sukienkę, rozprostował ramiona wygodnie wzdłuż boków, rozmasował palce. Głowa Valentyny przechyliła się na poduszce, jakby w szyi nie było już żadnych kręgow. Robert wziął w dłonie jej twarz i przekręcił. Opuszkami palców wyrównał jej brwi.

W pokoju było zimno — tego czerwca wszystkie noce były chłodne. Dziś rano ustawił w sypialni kwiaty. W kwiatarni długo się wahał: lilie czy róże? Ostatecznie wybrał różowe róże - od ich zapachu zawsze kręciło mu się w głowie, a Valentina wspomniała kiedyś, że się jej podobają. Pyszniły się teraz w wazonach, w starych puszkach, w naczyniach dawno temu pożyczonych od Elspeth. Kwiaty otaczały łóżko z obu stron, kołysały się na parapecie, na obudowie kaloryfera. Miały kolor bucików baletnicy, szlafroków starych dam. W zimnie sypialni wydawało się, że drżą, nie rozwinęły się, nie roztaczały woni. Na straganie w Hackney kupił całą siatkę świec. Na każdej widniał portret świętego.

Sprzedawczyni wyjaśniła mu, że należy spalić całą świecę i wtedy spełni się modlitwa. Robert miał nadzieję, że nie kłamała. Świece zapłonęły między różami.

Usiadł na łóżku obok Valentyny, popatrzył na nią. Zdumiała go jej doskonałość. Próbował sobie przypomnieć wszystko, co opowiadała o zmartwychwstaniu kotka. Pod oczami miała ciemne obwódki. Jej skóra przybrała miejscami niebieskawy odcień, gdzie indziej była lekko zaczerwieniona. Dziewczyna nie przypominała zdjęć, które oglądał w podręcznikach medycznych ani w kronikach policyjnych, nie puchła, nie wilgła ani nie odbarwiła się i nie cuchnęła. Zwykle zwłoki z kostnic prowadziły bardzo aktywne życie; jak najszybciej próbowały przeobrazić się w nierozpoznawalne przedmioty, których nikt już nie mógł wziąć za ludzi. Valentina jednak wciąż pozostawała sobą i Robert czuł z tego powodu ogromną ulgę.

Zastanowił się, czy nie powinien z nią porozmawiać. Wydało mu się to nienaturalne: przebywać z nią w pokoju i nie odezwać się nawet jednym słowem. Miała splątane włosy. Żeby się czymś zająć, Robert zaczął je rozczesywać. Bardzo delikatnie, by nie urazić skóry głowy, likwidował kołtuny. Błade kosmyki przypominały nić dentystyczną, wymykające się z dłoni cienkie pasemka bieli. Grzebień zanurzał się w nich, rozdzielał, wygładzał. Na początku trzęsły się mu ręce, potem jednak powtarzalność ruchów i piękno lśniących włosów pochłonęły go bez reszty. Niemal niczego więcej mi nie trzeba. Mógłbym siedzieć tu tak przez wieczność i czesać. Delikatny opór pod jego dłonią był słaby jak oddech, podświadomie zaczął poruszać ręką do rytmu własnych wdechów i wydechów, zupełnie jakby mógł przekazać swoje powietrze jej włosom, jakby to jasne pasemka były w stanie przejąć rolę płuc dziewczyny.

Wreszcie zmusił się, by przestać. Była doskonale uczesana i każdy kolejny ruch mógł wszystko popsuć. Robert siedział nieruchomo i nasłuchiwał. Za oknem wzręgał się wiatr. Gdzieś nieopodal zaszczekał pies. Valentina wciąż jednak milczała. Spojrzał na zegarek. Dopiero dwudziesta trzecia dwadzieścia dwie.

Rozległ się dzwonek telefonu, pojedynczy.

\*\*\*

Julia była wycieńczona. Przy kolacji Edie i Jack rozmawiali o pogrzebie; o Londynie, jaki pamiętali sprzed dwudziestu dwóch lat; zaproponowali też, że zostaną tu z Julią, a potem zabiorą ją do domu, do Lake Forest. Powiedzieli, że rozumieją, że nie jest w stanie podjąć decyzji w tej chwili, potem zaczęli się w nią wpatrywać, tak natarczywie, jakby się obawiali, że ich córka lada chwila rozpułynie się w powietrzu, jeszcze zanim dokończy swój stek z frytkami. Nieśmiało wspominali Valentine – mówienie o niej w czasie przeszłym wszystkim przychodziło z trudem, używali więc ogólników, starając się pomijać jej imię. Gdy wreszcie dziewczyna odprowadziła rodziców do taksówki i wróciła do Vautravers, była tak wyczerpana, że miała ochotę wspiać się po schodach na czworakach. Ale przecież zaprosił mnie Martin.

Kiedy weszła do jego gabinetu, sąsiad siedział przy komputerze. Ekran był jednak wygaszony; mężczyzna trwał w bezruchu, z pochyloną głową i splecionymi palcami, jakby odmawiał pacierz.

- Martin?

Drgnął.

- O, jesteś. Zacząłem przysypiać.

- Ja też jestem śpiąca. Przyszłam tylko powiedzieć dobranoc. Położę się.

- Nie, nie idź jeszcze. - Martin wyciągnął rękę. Podeszła do niego. - Myślałem o tym, żeby... jutro wyjechać.

- Wyjechać? - Nie rozumiała. - Jak możesz wyjechać? Chciałabym... Nie mógłbyś jeszcze zaczekać? Choć trochę? Westchnął.

- Nie wiem. Nie jestem pewien, czy mi się uda, jeśli się jeszcze wstrzymam. Ale może jutro to rzeczywiście za szybko. Nie chcę cię martwić.

Julia pochyliła się i objęła go za szyję. Zrobiła to pod wpływem impulsu i mężczyzna zareagował tak samo, jak to często czynił, gdy Theo był mały: wciągnął Julię na kolana. Złożyła głowę na jego ramieniu. Siedzieli tak przez długi czas. Był pewien, że usnęła.

- Będzie mi ciebie brakowało - odezwała się.

- Ja też będę tęsknić - odpowiedział. Pogłaskał ją po włosach. - Ale nie dramatyzujmy. Jestem przekonany, że nie zabawię tam długo. Zresztą, możesz mnie odwiedzić.

- To nie to samo. Teraz już wszystko będzie inaczej - zauważyła.

- Co chcesz robić?

- Nie wiem. Co robią ludzie, kiedy są sami?

- Pojedź ze mną - zaproponował.

Julia się uśmiechnęła.

- To głupie. Przecież jedziesz tam do Marijke. Nie jestem ci potrzebna.

- N i e ?

Uniosła głowę i pocałował ją. Pocałunek trwał przez chwilę. Wreszcie Martin odsunął głowę. Oddychał ciężko. Zdjął jej dłoń z kłamry swojego paska.

- Nie, tak nie — rzucił.

- Przepraszam.  
- Nie, nie rozumiesz. Gdybym mógł... Julia... Anafra-  
nil... Jednym z efektów ubocznych jest...

- Ach...

- To dlatego nigdy nie chciałem go brać.

- Zupełnie jakbyś nosił pas cnoty. - Zachichotała.

- Kokietka.

- Myślę, że Marijke nie musi się mnie obawiać.

- W szerszym sensie nie - odpowiedział zupełnie poważ-  
nie. - Julio, nie powinnaś wiązać się z takim starcem jak ja.  
Twój kochanek powinien być kimś, kim byłem trzydzieści  
lat temu.

- Ale, Martin...

- Przekonasz się - powiedział.

Poruszył się, jakby chciał wstać. Dziewczyna zsunęła się  
z jego kolan.

- Tymczasem chodź, zaśpiewam ci kołysankę - ujął ją  
za rękę i zaprowadził do sypialni. - Ach, czekaj, muszę coś  
sprawdzić.

Wyjął komórkę, nacisnął klawisz „2”, odczekał jeden  
sygnał i rozłączył się. Była dwudziesta trzecia dwadzieścia  
dwie.

Przyjrzała się mu ciekawie.

- Co robisz?

- To na szczęście - odparł. - Chodź.

Robert upewnił się, że klucze wciąż spoczywają w jego  
kieszeni. Dwa odłożył na szafkę, zatrzymał tylko ten do  
mieszkania bliźniaczek. Pochylił się nad Valentiną i podniósł  
ją z łóżka. Zauważył odbicie w lustrze - kadr jak z horroru:

migocące od dołu światło świec, cienie kładące się na jego twarzy, odrzucona głowa dziewczyny, jej odsłonięta szyja, kołyszące się ręce i nogi. Jestem potworem. Z całą mocą dotarła do niego absurdalność sytuacji i po chwili zalał go głęboki, niewystłowiony wstyd.

Szedł najciszej, jak potrafił. W pewnej chwili stopa Valentyny uderzyła o ścianę; Robert skrzywił się i zaczął zastanawiać, czy dziewczyna poczuje to, kiedy już znajdzie się na powrót we własnym ciele. Uchylił drzwi o cal i nasłuchiwał. Samochody, uderzający w szyby wiatr. Wysunął zwłoki na zewnątrz, wyszedł i zaniósł je na górę. Kiedy zatrzymał się przed mieszkaniem bliźniaczek, musiał zmienić chwyt. Zarzucił Valentynę na ramię jak odebrany z pralni garnitur. Szarpał się z kluczem. Wsunął go do zamka i nie mógł przekręcić. Dopiero po chwili dotarło do niego, że drzwi nie zostały zamknięte.

Wniósł zwłoki do tonącego w mroku salonu. Po chwili wzrok przyzwyczał mu się do ciemności i Robert delikatnie złożył dziewczynę na sofie.

— Elspeth? Valentina? - zapytał szeptem.

Żadnej odpowiedzi. Usiadł i czekał. Przyglądał się ciału zalanemu słabym światłem jego zegarka i blaskiem księżyca.

Elsbeth była tuż obok. Czuła duszę Valentyny, szaleńczo szarpiącą się w jej dłoniach. Czy ona próbuje uciec? Zjawa bała się rozewrzeć ręce, nie była pewna, czy delikatna mgiełka się nie rozwieje, albo czy nie zacznie walczyć, opierać się. Nie ruszaj się, kochana. Pozwól mi pomyśleć. Wiedziała, że nie wolno jej zwlekać z podjęciem decyzji ani chwili dłużej.

Robert patrzył na pierś Valentyny. Czekał, aż dziewczyna zacznie oddychać.

Elsbeth uklękła przy zwłokach. Były zimne, zatopione w bezruchu, urzekające. Wyraźnie wyczuła, że dusza dziewczyny się uspokaja. Odbierała też emocje siedzącego tak blisko Roberta - był nieszczęśliwy, przerażony. Spojrzała na ciało - bezwładne, oczekujące. Zdecydowała wreszcie i rozplotła dłonie.

Wokół zwłok Valentyny wezbrała biała mgła. Elspeth widziała ją wyraźnie. Nie była pewna, co się wydarzy teraz. Robert nie zauważył niczego, przeszył go jednak nagły chłód. Wiedział, że duchy są tuż-tuż. Oddychaj, Valentino.

Nie stało się nic.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że w ciele dziewczyny zaszła pewna zmiana. Coś się w nim uobecniło. Rozległy się przytłumione dźwięki, bulgocące, płynne; wydało mu się, że zbliża się coś bardzo dotąd odległego.

Leżąca na sofie Valentina otworzyła usta i zaczerpnęła rwanym, astmatycznym oddechem. Zatrzymała powietrze w płucach bardzo długo, wypuściła je, po czym zaczęła łapczywie poruszać ustami, z przeraźliwym charkotem. Drgnęła, obróciła się i Robert zrozumiał. To były konwulsje, zwłoki przestały oddychać. A jednak, po krótkiej chwili rozległ się jeszcze jeden, pełen cierpienia szmer. Przycisnął dłonie dziewczyny do sofy. Klęczał obok, otaczał ją swym ciałem. Mebel był śliiski i Robert nie chciał, by zsunęła się na podłogę. Valentine przeszło coś przypominającego prąd elektryczny, kończyny drgnęły, poruszyła się głowa — raz — w przód i tył.

- Ach, ach... - krzyknęła.

- Cii - szepnął uspokajająco, jak do dziecka.

Mgnienie oka później zadrzała i otworzyła oczy. Robert aż cofnął się na widok ziejącej w nich pustki. Jej spojrzenie nie było nawet zwierzęce; w jej źrenicach było widać takie



samo cierpienie, jakie znać u osób z uszkodzonym mózgiem; wbijała wzrok w nicłość, na wskroś niego. Przyłożyła dłoń do jej piersi; serce biło.

Przestraszył się.

- Elspeth? - wyszeptał w pustkę pokoju. Nie otrzymał odpowiedzi. - Czy mogę ją już zabrać?

Wciąż nic.

Jakiś schrypnięty głos wyszeptał w ciemności jego imię.

- Jestem tu, Valentino. - Dziewczyna nie zareagowała. Pogłaskała ją po głowie. - Zabiorę cię na dół.

Nie otwierając oczu, pokiwała głową, niczym dziecko zbyt senne, by rozmawiać. Wziął ją na ręce; spróbowała chwycić go za szyję, bez powodzenia. Wyniósł ją na korytarz. Czuł teraz w ramionach żywą, gęstą, poruszającą się, ciężką istotę.

Wrócił do siebie i położył Valentine na łóżku. Westchnęła i rozwarła powieki, spojrzała na niego. Robert czekał. Wydawała się niemal zupełnie normalna: wyczerpana, przywędnięta. Zmieniło się jednak coś w jej twarzy. Nie był w stanie owej różnicy nazwać. Wyciągnęła rękę, dłonią ku górze. Zadrżała z wysiłku. Chwycił ją. Miała lodowatą skórę. Pociągnęła go za palce: „Połóż się obok”.

- Zaczekaj chwilę, Valentina.

Sięgnął po komórkę i wybrał numer Martina. Odczekał jeden sygnał i rozłączył się. Odłożył aparat i okulary na nocny stolik. Zdjął buty i usiadł obok dziewczyny. Spojrzała na niego i nieśmiało się uśmiechnęła. Krzywo. Uśmiechem, który z różną intensywnością zajmował różne części jej twarzy. Jakże zwyczajna wydawała się w tej chwili: fioletowa sukienka, białe pończochy. W niektórych miejscach jej skóra nabiegła krwią i dotąd była ciemnoczerwona, teraz te plamy przybierały zdrowszy bladoróżowy odcień,

niebiesko-białe fragmenty również ciemniały, wracały do zwykłej barwy. Przytknął dłoń do jej policzka. Był miękki, elastyczny.

- Co czułaś?

Samotność, chłód, doprowadzającą do obłądu frustrację.

- Ja... Tęskniłam za tobą. - Głos jej się załamał; mówiła tonem brzuchomowcy, niewprawnie, zbyt wysoko i chrapliwie.

- Ja też za tobą tęskniłem.

Znów wyciągnęła ku niemu rękę. Położył się obok dziewczyny. Odwróciła do niego głowę. Robert ją objął. Po chwili zdał sobie sprawę, że Valentina płacze. Zupełnie zwyczajny dźwięk, łkająca w jego ramionach kobieta była tak doskonale namacalna, realna, że łatwo było zapomnieć o przyczynie jej szlochu, naturalnym odruchem było pocieszenie jej. Przestał myśleć i pocałował ją w ucho. Płakała bardzo długo. Dostała czkawki; podał jej chusteczkę. Wyczyściła nos, otarła oczy. Wreszcie rzuciła zmiętą chustkę na materac.

- W porządku?

- Mhm.

Spróbowała rozpiąć guziki jego koszuli, ale palce nie chciały jej słuchać. Zamknął jej dłoń w swojej.

- Jesteś pewna?

Kiwnęła głową.

- Powinniśmy zaczekać...

- Proszę...

- Valentina...?

Wydała z siebie cichy, miauczający jęk.

Rozpiął koszulę. Potem rozebrał dziewczynę. Chciała mu pomóc, lecz okazała się na to zbyt słaba; pozwoliła więc Robertowi rozpiąć zamek i zsunąć z siebie fioletową sukienkę, potem bieliznę i - ostrożnie - koronkowy biustonosz.

Na jej ciele, w miejscach uciskanych przez rozmaite części garderoby, widniały wyraźne odgniecenia. Leżała z półprzy-  
mkniętymi oczyma, czekała, a Robert zdejmował jej ubra-  
nie. Jedna ze świec zamigotała i zgasła.

- Zimno ci?

- Mhm.

Delikatnie wysunął spod niej koce i prześcieradła, po  
czym nakrył nimi oboje.

- Mmm - mruknęła. - Ciepło.

Przerazał go chłód jej ciała. Przeciągnął rękoma po na-  
gich udach dziewczyny; w dotyku przypominały mrożone  
mięso, chwilę temu wyjęte z chłodni w supermarkecie.

Robert nie był pewien, czy zdoła się zmusić, by poca-  
łować ją w usta. Jej oddech pachniał zepsutym jedzeniem,  
zupełnie tak samo jak jeź, którego znalazł kiedyś martwego  
w biurze cmentarza. Musnął więc ustami jej piersi. Nie-  
które miejsca wydawały się bardziej żywe od innych, jakby  
jej dusza nie rozpułyła się jeszcze po całym ciele. Piersi  
wyglądały na bardziej obecne, mniej oddzielone od niej  
samej, prawdziwsze niż dłonie - dłonie, które działały ni-  
czym uszkodzone roboty. Roztarł je swoimi, w nadziei że je  
ogrzeje, że przywróci im życie. Nie pomogło.

Coś jest nie tak, pomyślał. Przytulił dziewczynę. Była  
taka mała i delikatna, że natychmiast przypomniał sobie  
Elspeth w ostatnich dniach jej choroby; prawie jej nie było,  
wydawała się gotowa w każdej chwili powrócić do miejsca,  
z którego dopiero co ją odebrał.

- Jak się czujesz? - spróbował raz jeszcze.

- Bardzo mi zimno - odpowiedziała. — Jestem zmę-  
czona.

- Chcesz spać?

- Nie...

- Posiedzę i popatrzę na ciebie. Upewnię się, że nic ci nie jest. - Pogładził jej szyję, twarz.

Spojrzała mu pytająco w oczy.

Coś się zmieniło. Jej głos. Jej wzrok, pomyślał. Poddała się i skinęła głową. Robert wstał z łóżka, zdmuchnął kolejno wszystkie świece. Tak właśnie spełniają się modlitwy, skwitował w duchu z goryczą. Zapalił światło w przedpokoju, drzwi zostawił uchylone na tyle, by ją widzieć. Potem się położył. Dziewczyna drżała. Przywarł do niej, wpatrzony w dym ze zgaszonych świec, rozplływający się w wąskim paśmie wpadającego z zewnątrz żółtego blasku.

- Kocham cię, Robert - wyszeptła.

W korytarzach jego pamięci wiele drzwi stanęło naraz otworem, zrozumiał niemal wszystko...

- Ja też cię kocham... - powiedziała.

Nie odrywając od niego oczu, uniosła swą nieporadną dłoń do jego twarzy; wyprostowała palec wskazujący i z wielkim skupieniem, niezwykle łagodnie przytknęła koniuszek do wgłębienia tuż nad nosem Roberta. Zjechała nim powoli w dół, ku jego ustom, na podbródek.

- ...Elsbeth.

Uśmiechnęła się, odprężyła, zamknęła oczy.

Robert leżał z nią w ciemności i czuł, jak na myśl o tym, co zrobili, zdejmuje go niewyobrażalna groza.

\*\*\*

Martin siedział oparty plecami o poduszki, palił. Julia leżała wtulona w niego.

- Zaśpiewaj - poprosiła.

Zgniótł niedopałek w stojącej na nocnym stoliku popielniczce.

- *Slaap kindje, slaap* - zanucił. - *Daar buiten loopt een schaap; Een shaap met witte voetjes; Die drinkt zijn melk zo zoetjes; Slaap kindje slaap.*

- Co to znaczy? - zapytała.

- Śpij dziecino, śpij. Na zewnątrz spaceruje mała owieczka z małymi białymi kopytkami. Pije słodkie mleko.

- To ładne - mruknęła i zapadła w sen.

## POŻEGNANIA

Julia ocknęła się przed świtem. Martin spał skulony, odwrócony do niej plecami. Podniosła się cicho, poszła do łazienki, ubrała się. Wyszła ukradkiem z mieszkania i wróciła do siebie, zdjęłaienne ubranie i włożyła szlafrok. Położyła się we własnym łóżku i zapatrzyła w sufit. Po jakimś czasie wstała i wzięła prysznic.

\*\*\*

Rankiem Elspeth zbudziła się w łóżku Roberta. Wyciągnęła rękę, ale mężczyzny nie było; znalazła tylko kartkę: „Poszedłem po śniadanie. Niedługo wrócę. R”.

Leżała, rozkoszując się dotykiem gładkiej pościeli, zapachem Roberta na poduszce, zmieszonym z wonią świec i róż, szczebiotem ptaków, z jej własną cielesnością.

Wszystko ją bolało, ale postanowiła się tym nie przejmować. Czuła rwanie w stawach; krew w jej żyłach płynęła ospale. Samo oddychanie stanowiło poważny wysiłek, jakby jej płuca wypełniał na wpół zastygły budyń. „Co z tego? Przecież żyję!”. Z trudem usiadła; zaplątała się w koc. Wiedziała, jak powinny się poruszać jej członki, ale wciąż nie reagowały zgodnie z jej życzeniem. Elspeth roześmiała się ostrym, dobiegającym jak spod wody śmiechem. Umilkła.

Udało się jej wstać i zrobić kilka kroków, przytrzymując się łóżka. Dotarła do końca materaca, zatrzymała się chwiejnie i spojrzała na własne odbicie w lustrze. Och... Och... Ujrzała Valentine. A czego się spodziewałaś? Pomyślała o pozostawionej w mieszkaniu na górze Valentine, samotnej, zziębniętej duszy. Przepraszam, przepraszam...

Nie była pewna własnych uczuć. Ogarnęła ją niemożliwa do opisanego mieszanka tryumfu i wyrzutów sumienia. Patrzyła na odbicie, które nie należało do niej; widziała skończenie doskonały kostium, przebranie, które odtąd miało stać się nią samą. Nowe ciało było młode, ale jego poza i ruchy należały do kobiety starej, zgarbionej, ostrożnej, przywiedniętej. Czy potrafię tak żyć? Dotknęła ręką miejsca, gdzie powinno znajdować się serce, potem przypomniała sobie i przesunęła dłoń na prawo, biło powolnym rytmem. Och, Valentino...

Elsbeth dokuśtykała do łazienki, chciała się wykąpać. Na miejscu opadła z wolna na podłogę, sięgnęła do kranów i przekręciła je z wysiłkiem. To zupełnie jak wtedy, kiedy obudziłam się jako duch. Nabiorę sił. Muszę po prostu ćwiczyć. Woda wpływała do wanny silnym strumieniem. Elspeth nie była w stanie dosięgnąć zatyczki, więc strugi zniknęły w odpływie. Zrezygnowana, zakręciła krany i usiadła na chłodnych kafelkach, czekała na powrót Roberta.

\*\*\*

Martin spakował walizkę zaraz po śniadaniu. Nie zabrał zbyt wielu rzeczy; podejrzewał, że albo Marijke go odtrąci i niedługo wróci, albo wcale nie uda mu się dotrzeć do Amsterdamu. Nie chciał się niepotrzebnie obciążać zbędnymi ubraniami. Może żona pozwoli mu zostać i żadne z nich już

tu nie wróci? A może znalazła kogoś innego? Wiedział, że gdyby tak było, wolałby rzucić się w nurt Prinsengracht, byle nie wracać samotnie do domu. Spakował niewiele rzeczy.

Przeszedł kolejno przez wszystkie pokoje, wyłączył światła, komputer. Wszystko wokół wydawało mu się dziwne; odniósł wrażenie, że nie widział tych pomieszczeń od lat, jakby je sobie wyśnił, jakby ten zaginiony bliźniak jego mieszkania przyszedł do niego w nocy, wraz z klonami wszystkich jego rzeczy. Przez okna, z których Julia usunęła gazety, wpadały promienie słońca, tworząc na podłodze ciepłe plamy. Martin podsunął pod nie dłonie, załało je światło.

Kiedy nadszedł czas, by wyjść, stanął przy drzwiach i chwycił klamkę. W drugiej ręce ścisnął walizkę. Wszystko jest w najlepszym porządku. To tylko klatka schodowa. Byłeś tam już. Nigdy nie spotkało cię na niej nic strasznego. Nie ma potrzeby liczyć. Pomyślał jednak, że nie zaszkodzi, jeśli zabierze ze sobą kilka par chirurgicznych rękawiczek. Znalazł paczuszkę i wsunął do kieszeni marynarki. Potem otworzył drzwi i wyszedł na piętro.

No, proszę. Wyszedłem z mieszkania. Oceniał własny stan. Poczował w piersi lekki, ale niegroźny ucisk. Zamknął drzwi na klucz. Wciąż nie dzieje się nic złego. Ruszył powoli po schodach. Gdy znalazł się na pierwszym piętrze, zatrzymał się, ucałował palce i dotknął nimi drzwi, tuż nad kartką z nazwiskiem Elspeth. Poszedł dalej.

Na parterze zapukał do Roberta. Usłyszał kroki i oddech sąsiada.

— To ja — rzucił cicho Martin.

Drzwi uchyliły się o cal. Martin zobaczył wpatrzone w niego oko Roberta. Poczował falę zdenerwowania. Chwilę później mieszkanie stanęło otworem. Sąsiad zaprosił go



gestem do środka. Wszedł, ciągnąc za sobą walizkę. Robert zamknął drzwi.

Wygląd przyjaciela mocno zaniepokoił Martina. Zmiana była nieokreślona, ale poważna, zupełnie jakby Robert przez długie miesiące chorował: miał podkrążone oczy, widniały pod nimi ciemne półksiężycy; stał przygarbiony, zbolały.

- Wszystko w porządku? - spytał Martin.

- T a k - odparł Robert i uśmiechnął się. Grymas wyszedł groteskowo. Odchrząknął. - W ciągu kilku ostatnich dni widziałem niejednego cud, ale ten jest chyba najbardziej wstrząsający. Dokąd się wybierasz?

- Do Amsterdamu - odparł Martin. - Na pewno nic ci nie jest?

- Wszystko pod kontrolą. Czy Marijke wie, że przyjeżdżasz?

- Nie. Ale jak się nad tym zastanowić, sama mnie zaprosiła.

- Chciałbym zobaczyć jej minę, kiedy zrozumie, że pokonałeś dla niej wszystkie taksówki, pociągi i autobusy. Rozpłynie się z zachwytem. — Robert znów się uśmiechnął.

Martin poczuł nagłą potrzebę, by wyjść. Najpierw jednak musiał o coś zapytać.

- Robert, czy znasz jakikolwiek powód, bym tam niejechał? Czy ona...? Ma...?

- Nie - odpowiedział Robert z naciskiem. - Nie sądzę, by miała.

- Cóż... Zatem...

- To poważna wyprawa.

Martin wyciągnął rękę. Robert ją uściśnął i zaraz zrozumiał swój błąd. Martin cofnął się gwałtownie.

- Jej adres? - zażądał.

- Tak, oczywiście. Przepraszam. Masz. - Podał przyjacielowi dużą kopertę.

Martin otworzył ją, przeczytał.

- Byłem blisko, prawda?

- Pomyliłeś się tylko o dwie ulice. To zdumiewające.

Martin odniósł wrażenie, że Robert nie może się doczekać jego wyjścia.

- Lepiej już pójdę, ale... Dziękuję.

- Nie ma za co.

Martin odwrócił się ku drzwiom.

- Udało się? - spytał jeszcze.

- Co miało się udać?

- Twój seans. Sprawa życia i śmierci. - Martin stał z dłonią tuż nad klamką. Myślał o Julii.

- Nie do końca zgodnie z przewidywaniami, ale skutki są... ciekawe - odpowiedział Robert. - Tak przy okazji, w jaki sposób udało ci się zatrzymać Julię u siebie?

- Taśma klejąca i urok osobisty. - Martin otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

- Zadzwoń do nas czasem - rzucił Robert. - No i koniecznie powiedz, jak ci poszło. - Zamykając, uśmiechnął się bardziej naturalnie.

Martin zerknął na zegarek; powinien się śpieszyć. Ta myśl sprawiła, że resztę korytarza i ogród pokonał bez zbyteń wahań. W pół drogi do bramy zatrzymał się i odwrócił. Z okna patrzyła za nim Julia. Pomachała; odmachała. Opuścił wzrok piętro niżej i ujrzał czyjąś postać - Julia? - siedzącą w zaciemnionym pokoju. Nie, to przecież nie może być Julia. Dziwne. Pokręcił głową, znów spojrzął w okno bliźniaczek i się uśmiechnął. Wciąż patrzyła, kiedy odwrócił się i lekkim krokiem wyszedł z walizką na ulicę.

Co on tam zobaczył? - zastanowiła się dziewczyna stojąca w oknie.

Elsbeth także śledziła wzrokiem znikającego Martina. „Zegnaj, przyjacielu”. Usłyszała kroki wchodzącego do pokoju Roberta. Stał za jej plecami.

- I pojechał — powiedział cicho.

- To wielki wyczyn. Musi być przerażony.

- Wydawał się dość spokojny. Od jakiegoś czasu Julia faszerowała go lekami.

- Ach. Mam więc nadzieję, że nie przestaną działać, zanim stanie u drzwi Marijke.

- Był na twoim pogrzebie.

- Naprawdę? To miło. Na pewno wymagało to od niego niemałej odwagi.

- Bardzo wielkiej.

- Robert, dlaczego tylko „ciekawe”? - spytała.

- Słucham?

- Powiedziałaś Martinowi, że skutki są ciekawe. Wolałbyś, żeby zamiast mnie była tu Valentina?

- Nie jestem w stanie znaleźć dla nas żadnego usprawiedliwienia. Zabiliśmy ją w zamian za ciebie.

Elsbeth odwróciła się do niego z niejakim wysiłkiem.

- Jak myślisz? Co dokładnie zaszło tej nocy? - rzuciła.

Stał obok, ale nie dotykał jej. Spojrzał na nią z góry. Zastanowił się.

- Nie widziałem nic, dopóki nie weszłaś do... ciała Valentiny. Wiem tylko, że ty tu jesteś, a jej nie ma. Co mam myśleć?

- Nie była w stanie tego zrobić. Nie była dość silna. Mogłam ją włożyć z powrotem kilka chwil po śmierci, albo dopiero, gdy stałaby się silnym duchem, takim jakim byłam

ja sama. Mnie całe miesiące zajęło nabranie tylu sił, by poruszyć szczoteczkę do zębów. A ciało jest o wiele cięższe. - Przyłożyła dłoń do piersi. - Na początku trzeba wszystkim poruszać samemu i bardzo chcieć. Trzeba oddychać płucami, które tego nie umieją. Trzeba samodzielnie napędzać krew. Trzeba się zamknąć w ciele i nim stać. A Valentina była tylko mgiełką. Zawisała nad ciałem, a potem... rozwiąła się. Pomyślałam więc, że... skorzystam z okazji.

- Myślisz, że wiedziała? Że rozmyślnie postanowiła nie wracać?

- Tego nie wiem. Nie pamiętam zbyt dobrze tak wczesnej fazy.

- Niemniej to wszystko było oszustwem. Od początku wiedziałas, że ona nie będzie w stanie wrócić. Dlaczego jej nie powiedziałaś?

- Skąd niby miałam wiedzieć? Nie jesteśmy naukowcami. Brnęliśmy po omacku. A ona zabiłaby się tak czy inaczej.

- Nie... Mogła przecież uciec. Chciała tylko odejść od Julii... Nie pragnęła śmierci.

- Kochała cię - rzuciła Elspeth. - Chciała stać się twoim ideałem, a ty kochałeś zjawę. Teraz twoja zjawa ożyła, a Valentina jest du

- Nie wiem. Nie mogę... Elspeth, w tej chwili nie czuję nic poza pogardą dla siebie. Nienawidzę się za to, że wziąłem w tym udział.

- Zostawisz mnie dla swojego nowego ducha?

Odwrocił się od niej. Rozmawiali bardzo cicho, nie chcieli, by Julia usłyszała ich głosy, i z jakiegoś powodu to jeszcze bardziej pogłębiało strach Roberta przed Elspeth; szeptała dyskusja w ciemnym salonie nagle wydała mu się boleśnie absurdalna.

- Mówiłeś, że chciałbyś, bym mogła wrócić... Chciałeś, żebym wróciła...

Nie potrafił odpowiedzieć.

\*\*\*

Julia stanęła pod drzwiami Roberta. Wiem, że tam jesteś. W mieszkaniu panowała cisza. Nie zapukała. Patrzyła na kartkę z nazwiskiem FANSHAW. Na co spojrział Martin? Próbowwała wymyślić jakieś wiarygodne wytłumaczenie dla swojej wizyty. Nic nie przyszło jej do głowy. Wreszcie zastukała.

Elsbeth i Robert zamilkli, nasłuchiwali. Wreszcie Elspeth spojrzała na mężczyznę. Pochylił się i szepnęła mu do ucha:

- Wymknę się tylnym wyjściem. Zobacz, czego ona chce.

Pomógł jej zdjąć buty i dojść do drzwi pożarowych. Usiadła na nich z pantoflami w dłoniach, oddychała z widocznym trudem.

Robert poszedł bardzo powoli. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę, aż wreszcie otworzył je i uchylił. Na korytarzu stała Julia. Wyglądała na zmęczoną i zrozpaczoną. Źle zapięta sukienka wisiała na niej krzywo. Dłonie spłótła przed sobą, jak do modlitwy.

- Cześć, Julia.

„Przepraszam Julio, zabiłem twoją siostrę” - dodał w myślach.

- Hej.

„Robert, wyglądasz strasznie” — dopowiedziała w duchu.

- Wszystko w porządku?

„Nie chciałem jej zabić. Ale nalegała”.

- Mogę wejść?

„Co ty przede mną ukrywasz?”.

- Hmm, tak, jasne.

„Po prostu nie wszystko poszło tak, jak chciała”.

Dziewczyna stanęła w przedpokoju. Zrobiła kilka kroków naprzód i wróciła.

- Mogę się rozejrzeć?

- Po co?

Nie odpowiedziała, tylko pobiegła do salonu. Zatrzymała się, pomknęła do drugiego pokoju, do jadalni, przez korytarz, prosto do sypialni. Zdyszana, stanęła, patrząc na świece i róże, spalone zapałki, pościel w nieładzie. Weszła do łazienki i wyszła z grzebieniem w rękę. Między zębami kołysały się srebrzyste pasemka, niczym opalizujące rzęski jakiegoś morskiego stworzenia.

- To włosy Valentyny.

- T a k .

- Gdzie ona jest?

- Julia...

- Wiem, ale... coś jest nie tak. - Wodziła wzrokiem dookoła, starając się zobaczyć coś, co wyjaśniłoby jej wszystko. - Nie czuję, by ona umarła.

- Wiem. - Pokiwał głową.

- Ona tu jest.

- Nie - odparł. - Julia, wiem, że wciąż nie możesz w to uwierzyć, ale ona odeszła.

- Nie, nie - zaprotestowała. Znów ruszyła po całym mieszkaniu. Robert nie odstępował jej na krok.

- Zjesz coś? - zaproponował. - Mam jajka i sok pomarańczowy.

Zignorowała go, krążąc po pomieszczeniach, jakby po śpiech mógł w czymkolwiek pomóc. W jadalni odwróciła się na pięcie i spojrzała mu w oczy.

- To twoja wina. Zabiłeś ją.

Jej słowa tak doskonale oddawały własne uczucia Roberta, że nie zdobył się na odpowiedź. Stał z opuszczonymi rękoma, gotów na przyjęcie wyroku.

- Ty... A jeśli nie ty... Zabiłeś Elspeth, a potem zabiłeś Valentine.

Zrozumiał, że dziewczyna chce zadać mu ból.

- Elspeth zmarła na białaczkę. Valentina miała astmę.

Jakże język pozwala obchodzić dokoła sedno sprawy. Jakże te słowa są pozbawione znaczenia.

- Ale... Nie rozumiem. Dlaczego ona umarła?

- Nie wiem, Julio.

Patrzyła na niego i miał wrażenie że dziewczyna czeka, by powiedział coś więcej. Nagle wypadła z pokoju. Robert usłyszał trzaśnięcie drzwi, wbiegła po schodach na górę.

To nie do zniesienia, pomyślał. Miał ochotę pójść na cmentarz, chodzić tak długo, aż zrzuci z siebie dręczące poczucie zbytnej realności rzeczy, ich niewłaściwości. Ale na schodach pożarowych zostawił przecież Elspeth. Poszedł po nią. Kiedy otworzył drzwi siedziała skulona na schodku. Wyglądała żałośnie i dziwnie giętko, jakby była z gumy. Podniósł ją i bez słowa wniósł do mieszkania. Ułożył dziewczynę na łóżku, przysiadł obok, odwrócony plecami.

- Musimy stąd wyjechać - powiedział.

- Oczywiście - odparła Elspeth z wyraźną ulgą w głosie. - Pojedziemy dokądkolwiek zechcesz.

Wyszedł z pokoju. Usłyszała, że wybiera jakiś numer. Dokąd pojedziemy?

- James? Mógłbym wpaść? Przyjdę z kimś... Wytłumaczę wam na miejscu... Nie, sytuacja jest dość niecodzienna... Tak, dzięki, już idziemy.

Martin wyobrażał sobie tę podróż niezliczoną ilość razy. Poszczególne jej etapy miał w głowie zobrazowane wyraźnie, niemal namacalnie, inne z kolei pozostały mgliste. Lot samolotem nie wchodził w grę. Wiedział, że nie zniesie poczucia uwięzienia w pasach dziesięć kilometrów nad ziemią; jego serce na pewno by tego nie wytrzymało. Postanowił więc pojechać pociągiem.

Najpierw jednak musiał się zmusić do wejścia do taksówki. Kierowca z początku czekał cierpliwie, potem otworzył drzwi Martinowi, który kilka razy wsiadał i wysiadał, zanim pozwolił zamknąć drzwi. Przez chwilę siedział z zamkniętymi oczyma, aż wreszcie poczuł się na tyle bezpiecznie, by wyjrzeć przez okno. Oto świat, pomyślał. Spójrz tylko na te wszystkie nowe budynki i samochody. Tak wiele nieznanymi modeli. Widział już te wozy wcześniej, w telewizyjnych reklamach, teraz spotkał się z nimi na ulicy. Taksówkę wyprzedziła, wymuszając pierwszeństwo, czarna toyota prius, na następnych światłach kierowcy zamienili kilka nieprzyjaznych słów. Martin znów zamknął oczy.

Stojąc na dworcu Waterloo, poczuł się przytłoczony. Odkąd był tu ostatnio, stacja została przebudowana. Przybył na miejsce godzinę za wcześnie. Ruszył bardzo powoli przez przestronną halę, wpatrzony prosto przed siebie, licząc kroki. Wokół Martina przepływała rzeka ludzi. Gdzieś pośród dręczącego niepokoju zdołał odnaleźć rdzeń ekscytacji, przyjemności z odkrywania świata na nowo. Pomyślał o Marijke, o tym co na jego widok powie. „Popatrz, kochanie, przyjechałem do ciebie”. Martin zdrzął w chłodzie dworca. Nieświadomie zamknął oczy i pochylił głowę,



jakby się spodziewał pocałunku. Kilkoro przechodniów obrzuciło go zaciekawionymi spojrzeniami. Trwał nieruchomo przed tablicą, na której ogłaszano przyjazdy i odjazdy, wyobrażając sobie objęcia żony.

Kupił bilet pierwszej klasy w pociągu Eurostaru, tylko w jedną stronę, żeby nie zapeszyć. Stał w poczekalni, z dala od pozostałych pasażerów. Wreszcie udało mu się wsiąść do wagonu i podejść do siedzenia na końcu. Pociąg okazał się bardziej czysty i cichy niż te, które pamiętał. Pochylił głowę, splótł dłonie i zaczął liczyć. Podróż miała zająć pięć godzin. Cieszył się, że nie musi płynąć promem. Pociąg będzie jechał prosto przed siebie, po szynach. Nie uniesie się w powietrzu, nie zakołysze na falach. Wystarczy, że Martin będzie siedział nieruchomo, przesiądzie się w Brukseli do innego pociągu, potem jeszcze tylko jedna podróż taksówką. Da się zrobić.

\*\*\*

Jessica otworzyła drzwi. Na progu stał Robert, trzymając w objęciach osobę, która w pierwszej chwili wydała się kobiecie chorym dzieckiem; podtrzymywał je pod pachą, jakby lada chwila miało osunąć się na ziemię. Nie było zimno, ale towarzyszka Roberta miała głowę obwiązaną chustką. Robert powoli oderwał wzrok od niewielkiej postaci, uniół głowę i spojrzał na Jessicę. W oczach miał głęboki smutek.

- Robert? Co się stało? Kto to...?

- Przepraszam, Jessica. Nie miałem dokąd pójść. Pomyślałem, że moglibyście nam pomóc.

Nieznajoma u boku mężczyzny obróciła twarz; Jessica zauważyła jej rysy. Julia? Nie.

- Edie?

- Jessica... - zaczęła dziewczyna, próbując się wyprostować, stanąć o własnych siłach.

W jej ruchach było coś, co sprawiło, że Jessica pomyślała o nowo narodzonym źrebięciu, jeszcze niepewnym, lecz już gotowym do ucieczki.

- Jessica, to jest Elspeth - powiedział Robert.

Jessica wyciągnęła rękę i oparła się o framugę. Doświadczyla jednego z tych rzadkich momentów, w których nasze dotychczasowe rozumienie świata nagle się odmienia i dopuszczamy - może nawet nie rozumiejąc - istnienie czegoś, co dawniej uznawaliśmy za niemożliwe.

- Robert! - zawołała. - Coś ty zrobił?

- Jessica, wszystko w porządku? - Z głębi domu dobiegł głos Jamesa.

- Tak - odpowiedziała po krótkiej chwili wahania. Wpatrywała się w gości, niepewna, złękciona.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pójdziemy - stwierdził Robert. - Przepraszam, nie powinien był...

- Jak to możliwe?

- Nie wiem - przyznał i zdał sobie sprawę z ogromu własnej pomyłki. — Jessica, przepraszam. Pójdę już i zobaczymy się, kiedy przemyślę to wszystko bardziej dokładnie. Tylko... Nie wspominaj o tym Julii ani jej rodzicom. Sądzę, że woleliby nie wiedzieć. - Chwycił mocniej Elspeth i odwrócił się.

- Robert... czekaj - rzuciła za nim, ale za późno.

Elspeth szła uwieszona na jego ramieniu. Gdy dotarli do chodnika i skryli się za żywoplotem, u drzwi pojawił się James.

- Co się stało? - zapytał.

- Chodź do domu - odparła Jessica. - Muszę ci coś powiedzieć.

\*\*\*

Martin siedział w pociągu, świat przepływał obok. Wszystko wciąż jest na miejscu, myślał. Dachy, kominy, graffiti, biurowce i rowerzyści; niedługo pojawią się owce i to ogromne niebo, którego nigdy nie pokazują w miastach... Dawniej sądziłem, że istnieją dwie rzeczywistości - wewnętrzna i zewnętrzna - ale to raczej wątpliwa teoria. Nie jestem do końca tym samym człowiekiem, którym byłem zeszłej nocy, a gdy dotrę do Marijke, nie będę tym, kogo poślubiła, ani nawet tym, od kogo odeszła... Czy po wszystkim, co zaszło, będziemy w stanie się poznać? W jaki sposób połączymy na powrót nasze rzeczywistości, skoro one uciekają przed nami tym prędej, im szybciej się do nich zbliżamy?

Martin zacisnął palce na fiolce z witaminami, które Julia wsunęła mu do kieszeni. Wszystko jest tak kruche i tak wspaniałe. Zamknął oczy. Zbliża się... Nadchodzi przyszłość... Już tu jest...

Na dworcu kolejowym w Brukseli kupił sobie kanapkę z szynką i okulary przeciwsłoneczne; wciąż się denerwował i ta dodatkowa ochrona nieco go uspokoiła. Przejrzał się w witrynie sklepu. „Bond... James Bond”. W pociągu linii Thalys pasażerów było więcej niż w Eurostarze, ale obok Martina nie usiadł nikt. Jeszcze trzy godziny. Odpakował kanapkę.

\*\*\*

Taksówka wypluła go pod drzwiami Marijke.

Stanął w wąskiej, krętej uliczce i spróbował sobie przypomnieć, czy był tu kiedykolwiek przedtem. Uznał, że nie. Podszedł bliżej i nacisnął przycisk dzwonka.

Marijke nie było w domu.

Ogarnęła go panika. Przed wyprawą zupełnie się nie zastanawiał, co będzie, jeśli żona mu nie otworzy. Wyobrażał sobie tę scenę dokładnie tak, jak musiała się wydarzyć; nie dopuszczał możliwości, że spędzi pod jej drzwiami więcej czasu niż to absolutnie konieczne. Nacisnął klamkę. Serce zaczęło mu łomotać. Nie. Nie bądź głupi... oddychaj, nakazał sobie.

Usiadł na walizce i oddychał.

Marijke skręciła rowerem w swoją uliczkę. Była głęboko zamyślona. Zeskoczyła z siodła, zaczęła szukać kluczy. W pierwszej chwili nie zauważyła dyszącego na jej progu mężczyzny. Podeszła bliżej. Wtedy wstał.

- Marijke - powiedział.

— Martin - *oh goh* — *je bent hier!* — Unieruchomiona przez rower musiał najpierw oprzeć go o ścianę, dopiero potem się odwróciła. - Przyjechałeś do mnie.

— Tak. — Pokiwał głową i wyciągnął ku niej ramiona. - Tak.

Pocałowali się. W słońcu, na oczach wszystkich, którzy akurat przechodzili obok, Martin tulił Marijke i lata znikają. Znowu ją odnalazł.

- Chodź do środka - zaprosiła.

- Oczywiście — rzucił Martin — ale potem pójdziemy się przejść, dobrze?

— Tak — odpowiedziała rozpromieniona. — Oczywiście.

## KONIEC PAMIĘTNIKÓW

Edie i Jack zostali w Londynie przez dwa tygodnie. Codziennie przed śniadaniem pojawiali się w Vautravers i zabierali Julię w odwiedziny do starych znajomych lub by popatrzeć na miasto przez pryzmat dzieciństwa Edie, początków bankowej pracy Jacka, ich zalotów. Julia była im wdzięczna za wypełnienie czasu, choć wszystko robili nienaturalnie szybko, a dziewczyna często zauważała momenty, gdy tata patrzył na mamę w zmieszaniu, jakby opowiedane przez nią historie nie do końca zgadzały się z jego własnymi wspomnieniami.

Pewnego ranka, gdy Jack i Edie stawili się przed domem, Robert wyszedł do nich, do ogrodu.

- Edie - zaczął. - Muszę z tobą porozmawiać. To zajmie tylko sekundę.

- To ja pójdę już na górę - powiedział Jack.

Edie ruszyła za Robertem do jego mieszkania. Wydawało się w dziwny sposób opuszczone; mebli było niewiele i choć w pokojach panował porządek, nie można było nie zauważyć, że wiele przedmiotów zostało niedawno wyniesionych.

- Wyprowadzasz się? — spytała.

- Tak, po kawałku - odpowiedział. - Nie potrafię mieszkać tu sam.

Poprowadził ją do niewielkiej sypialni. Poza kilkoma kartonami pełnymi zeszytów, zdjęć i innych dokumentów była prawie pusta.

- Elspeth mi to zostawiła - wyjaśnił. - Chciałabyś je zabrać?

Edie stała nieruchomo, z rękoma obronnie splecionymi na piersi, wpatrywała się w pudełka.

- Czytałeś je?

- Niektóre - przyznał. — Pomyślałem, że dla ciebie znaczą więcej.

- Nie chcę ich - rzuciła i spojrzała Robertowi w oczy. - Spalisz je dla mnie?

- Mam je spalić?

- Gdyby to zależało ode mnie, urządziłabym wielkie ognisko i rzuciła to wszystko w ogień. Meble też. Elspeth zatrzymała nawet łóżko z naszego dzieciństwa. Kiedy weszłam do jej sypialni i je zobaczyłam, nie mogłam uwierzyć.

- To ładne łóżko - zauważył Robert. — Zawsze je lubiłem.

- Spalisz je dla mnie? - powtórzyła Edie.

- T a k .

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. Robert nie widział jeszcze jej uśmiechu; boleśnie przypominała rozradowaną Elspeth. Odwróciła się i odprowadził ją do drzwi.

- Julia tu zostanie? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała Edie. - Proponowaliśmy, że zabierzemy ją do domu, ale nie chciała. Ma chyba wrażenie, że gdy tylko wychodzi z mieszkania, w pewnym sensie opuszcza Valentine. — Kobieta zmarszczyła czoło. — Zrobiła się przesądna.

- To zrozumiałe - skwitował Robert.

- Jeszcze raz dziękuję. - Edie się zatrzymała. - Byłeś dla nas bardzo uprzejmy. Rozumiem, dlaczego Valentinie i Elspeth tak bardzo na tobie zależało.

- Przykro mi. - Pokręcił głową.

- W porządku - odparła Edie. - Wszystko się jakoś ułoży.

Potem, kiedy Poole'owie już wyszli, Robert wyciągnął kartony do ogródka za domem i, przedmiot po przedmiocie, spalił wszystko, co się w nich znajdowało. Następnego ranka Edie zauważyła wypalony w trawie krąg i uśmiechnęła się, zadowolona.

Pochmurnego dnia, w połowie lipca, Jack i Edie usiedli w kabinie samolotu do Chicago i czekali na start. Pani Poole wypijała przed podróżą dwa drinki, bez większego rezultatu. Pot ciekł jej po plecach, zbierał się pod pachami, zalewał czoło. Jack podał jej dłoń. Uścisnęła ją mocno.

- Spokojnie - powiedział.

- Jestem taka durna. - Pokręciła głową.

Jack podjął wyrachowane ryzyko.

- Nie jesteś, kochana Elspeth.

Samolot drgnął. Dźwięk własnego imienia tak bardzo ją zaskoczył, że mogła tylko patrzeć z szeroko otwartymi ustami. Kiedy wzbili się pod niebo i Londyn zniknął pod nimi, niemal zapomniała o strachu.

- Od jak dawna wiedziałeś? - spytała, gdy samolot wyrównał lot.

- Od lat - odparł.

- Byłam przekonana, że mnie zostawisz...

- Nigdy bym cię nie zostawił.

- Przepraszam - rzuciła. - Tak bardzo cię przepraszam.

Rozpłakała się, targał nią bezładny, nieopanowany, pełen czkawki szloch, na jaki nigdy dotąd sobie nie pozwalała. Łkała nad całym swoim życiem. Jack przypatrywał się żonie i zastanawiał się, co z tego wszystkiego wyniknie. Stewardesa pośpieszyła ku nim z paczką chusteczek.

- Boże, zrobiłam z siebie przedstawienie - odezwała się wreszcie Edie.

- Nic się nie stało — stwierdził Jack. - W tym samolocie są prawie sami Amerykanie. Nikt nie zauważył. Wszyscy oglądają filmy. - Podniósł rozdzielające ich dotąd oparcie i wtuliła się w niego. Czuła się pusta i dziwnie zadowolona.



## NOWA WERSJA

Julia obudziła się późno. Była rozkojarzona po nocy wypełnionej koszmarami. Edie i Jack dwa dni temu wrócili niechętnie do Lake Forest. Dziewczyna z początku czuła ulgę na myśl o ich wyjeździe, ale teraz wszystko stało się zbyt ciche; miała wrażenie, że jest jedyną pozostałą w Vautravers osobą. Była niedziela, narzuciła więc na siebie wczorajsze ubranie (które było również ubraniem z przedwczoraj i przed-przedwczoraj) i wybrała się do sklepiku koło przystanku autobusowego, po nowy numer „Observera”. Kiedy wróciła, ścieżkę do Vautravers blokował wielki motocykl. Julia wymięła go poirytowana. Nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowana, dotarła do bramy i weszła do domu.

Zrobiła sobie herbatę i otworzyła paczkę czekoladowych herbatników. Dolała do filiżanki mleko i ustawiła wszystko na tacy, także swoje papierosy. Zniosła poczęstunek do jadalni. Duch kotka leżał skulony na gazecie, łypał jednym okiem, drugie miał przymknięte. Julia ustawiła tacę na stole, po czym sięgnęła na wskroś widmowego ciała zwierzęcia, wzięła gazetę i zaczęła oddzielać od siebie dodatki. Kotek popatrzył na nią z wyrzutem, podniósł łapę i zaczął czyścić swoje intymne obszary. W tej pozycji przypominał nieco

wiolonczelistkę, ale Julia go nie widziała, więc nie skomentowała.

Otworzyła gazetę i zjadła ciastko. Zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Elspeth i co robi; zjawa od wielu tygodni nie dawała znaku istnienia, może poza zdarzającym się co jakiś czas zbyt chłodnym powiewem i migotaniem żarówek. Po przeczytaniu kolejnych części dziennika nie kłopotą się ponownym ich składaniem. Myszki nie było; nie zechce czytać i nie oburzy się na egoizm Julii. Zapaliła papierosa. Kotek zrobił dziwną minę i zeskoczył ze stołu.

Jakiś czas potem Julia skończyła przeglądać „Observera”. Gdy usłyszała dziwne dźwięki, paliła właśnie czwartego papierosa. Hałas tak bardzo przypominał kroki, że odchyliła głowę i spojrzała w sufit, skąd dolatywały odgłosy. Martin? Czyżby wrócił? Utopiła niedopałek w fusach po herbacie, wybiegła z jadalni na korytarz i niewiele myśląc, popędziła po schodach.

Drzwi do mieszkania Martina były uchylone. Serce zabiło jej szybciej. Weszła do środka.

Stała nieruchomo, nasłuchując. Cisza. Słyszała rozśpiewane na zewnątrz ptaki. Pudełka i plastikowe pojemniki wciąż pokrywał kurz. Julia zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna zawołać, lecz przyszło jej do głowy, że to może wcale nie być Martin. Trwając w niezdecydowaniu, przypomniała sobie pierwszą noc, kiedy to Martin obudził je potopem i zastała go szorującego podłogę w sypialni. To było tak dawno temu; panowała wtedy zima. Teraz trwało już lato. Julia po cichu, z wolna ruszyła przez mieszkanie. Wszędzie panował bezruch. Większość okien wciąż była przesłonięta gazetami. Przez inne jednak wpadało światło słońca; zerwane z szyb gazety leżały tam, gdzie je rzuciła.

Przeszła przez salon i jadalnię. W kuchni ktoś zostawił na blacie kapsel po piwie i otwieracz. Julia nie pamiętała, by Martin pijał przed południem, ale z drugiej strony nie była w stanie ocenić, czy dwunasta już nie minęła. Obudziła się przecież tak późno.

Dotarła do gabinetu. Przy biurku stał wysoki, kościsty mężczyzna. Czytał coś z uniesionej do światła kartki. Obraz skojarzył się dziewczynie z malowidłami Vermeera. Nieznajomy stał odwrócony do niej plecami. Był ubrany w dżinsy, czarny T-shirt i buty do jazdy na motocyklu. Włosy miał długie, ciemne. Czytając, westchnął i przeciągnął palcami wśród kosmyków na głowie. Gdyby Julia kiedykolwiek przedtem spotkała Marijke, to westchnienie i ruch ręki natychmiast powiedziałyby jej, na kogo patrzy. Nie miała jednak pojęcia, dopóki się nie obrócił, ukazując jej swą twarz.

- Och! - zawołała.

Młodzieniec drgnął. Przez chwilę wpatrywali się sobie w oczy.

- Przepraszam. - Julia przerwała milczenie.

- Kim jesteś? - odezwał się nieznajomy jednocześnie z nią.

- Nazywam się Julia Poole. Mieszkam na dole. Usłyszałam kroki...

Przypatrywał się jej z zaciekawieniem. Dotarło do niej, co on widzi: nieumytą, nadto chudą dziewczynę z przetłuszczonymi włosami, w wymiętym ubraniu.

- A ty?

- Theo Wells. Jestem synem Marijke i Martina. Ojciec nie odzywał się do mnie od ponad dwóch tygodni. Matka też nie. A zwykłe są tacy... rozmowni. Nie odbierają nawet telefonów. Przyjechałem, a jego nie ma w mieszkaniu. Masz pojęcie jakie to niezwykłe? Nie mogę... Nie rozumiem tego.

Julia się uśmiechnęła.

- Pojechał do Amsterdamu, odnaleźć swoją mamę.  
- Wyszedł stąd z własnej woli? - Theo pokręcił głową. -  
Wsiadł do autobusu? Do pociągu? Nie wierzę. Ostatnim razem, kiedy go widziałem, miał kłopoty z opuszczeniem łazienki.

- Polepszyło mu się. Brał lekarstwa i stopniowo wydobrzał. Pojechał poszukać Marijke.

Theo usiadł przy biurku. Julia nie była w stanie dojść do siebie, chłopak był tak bardzo podobny do ojca: młodszy, mniej zgarbiony, żwawszy, ale twarz i dłonie miał Martina. Geny to dziwna rzecz, pomyślała już nie pierwszy raz. Zaczęła się zastanawiać, czy Theo przypomina ojca również pod innymi, mniej powierzchownymi względami.

- Nie cierpiał przyjmować antydepresantów. Bał się skutków ubocznych. Namawialiśmy go, ale zawsze odmawiał.

Przeciagnął dłońmi po twarzy i Julia zastanowiła się, czy ona i Valentina również w ten sposób działały na ludzi. Czy kiedy ktoś widział jedną z nich, zawsze myślał też o drugiej? Właśnie tego Myszka nienawidziła tak bardzo, stwierdziła w duchu. Naszego wzajemnego nakładania się, przeplatania. Tego, że inni patrzyli na nią i widzieli mnie. Julia patrzyła na Theo i widziała Martina. Poczowała ekscytację.

- Nie wiedział o tym. Zrobiłam to podstępem. - Nie miała pewności, czy jej przewrotność zyskała sobie uznanie Theo, czy wręcz przeciwnie. Wydawał się zatopiony w myślach. — To twój motocykl?

- Hmm? Co? A, tak.

- Mogę się przejechać?

- A ile masz lat? - Theo się uśmiechnął.

- Wystarczająco dużo. - Policzki Julii zalał rumieniec. On pewnie myśli, że jestem jakąś dwunastolatką. - Jestem w twoim wieku.

Chłopak uniósł brwi w niedowierzaniu.

- Naprawdę! - dodała pośpiesznie.

- To udowodnij.

- Poczekaj - rzuciła. — Tylko nie wychodź beze mnie.

- Spokojnie. I tak muszę stąd zabrać kilka rzeczy. O ile uda mi się je znaleźć. - Rzucił okiem na sterty pudełek.

Julia pobiegła na dół. Rozebrała się i wzięła prysznic, po czym weszła do garderoby Elspeth i stanęła niepewnie. Co włożyłaby Valentina? Nie, nie mogą tak myśleć. W co ja się mam ubrać? Wybrała dzinsy, należące dawniej do Elspeth buty na obcasie z czekoladowego aksamitu i różowy T-shirt. Pomalowała usta, wysuszyła włosy i wróciła do mieszkania Martina.

Theo klęczał przy stosie kartonów.

- To bez sensu - stwierdził.

- Pewnie tak - przytaknęła dziewczyna.

Chłopak obrzucił ją spojrzeniem.

- Więc jak? - zapytał. - Chcesz się przejechać na motorze? Mam zapasowy kask.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała. - Chętnie.

## ODWIEDZINY

Z początku Valentina była niemal niczym i prawie nic nie wiedziała. Czuła zimno. Poruszała się bez celu po mieszkaniu. Czekwała, sama nie wiedząc na co.

W czterech ścianach czas płynął bardzo powoli. Najpierw nie przywiązywała do tego wagi, ale w miarę jak mijały kolejne miesiące, zrozumiała, że umarła, że Elspeth dokądś odeszła, a ona utknęła tu na zawsze z Julią; gdy zaczęło do niej docierać, co mogło się stać, czas zwolnił i w końcu miała wrażenie, że wypełniające pomieszczenia powietrze zmieniło się w szkło.

Towarzystwa dotrzymywał jej kotek. Spędzali dni, śledząc plamy słonecznego światła, polegając na dywanach; wieczorami oglądali z Julią telewizję, a nocami, kiedy dziewczyna kładła się spać, siadywali na szerokim parapecie i patrzyli na zalany księżycową poświatą cmentarz.

To wszystko przypomina sen bez końca, koszmar, w którym nic się nie dzieje, choć można latać. Valentina wyczuwała, że siostra na nią czeka; czasami Julia wypowiadała niepewnie imię siostry lub spoglądała w jej kierunku. Wtedy Valentina przenosiła się do innego pokoju; nie chciała, by bliźniaczka odkryła jej obecność. Wstydziała się.

Lato dobiegło końca, nadeszła jesień. Pewnego zimnego, deszczowego wieczoru Valentina zauważyła przed domem

Roberta. W ogrodzie pojawiła się tabliczka „Na sprzedaż” - Martin i Marijke zamierzali pozbyć się mieszkania. Julia była akurat na górze, pomagała Theo rozpakowywać pudeł-ka i przygotować wszystko do przeprowadzki.

Robert stanął u drzwi. Wypisana na maszynie wizytów-ka z nazwiskiem Elspeth wciąż wisiała na swoim miejscu. Poczł ukłucie smutku. Ubłoczone buty zdjął już na dole i bezszelestnie przeszedł do salonu. Zapalił lampę przy for-tepianie i rozejrzał się.

- Valentina?

Stała przy oknie. Czekwała na jego ruch.

- Valentina... przepraszam cię. Nie miałem pojęcia.

Tęskniła za nim od długich miesięcy. Teraz nagle się po-jawił, a zjawa poczuła się rozczarowana.

Robert trwał na środku pokoju, pochylił głowę, jakby nasłuchiwał. Nic się nie poruszało. Nie pojawiła się żadna zimna istota, tylko pustka.

- Valentina?

Zacęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek ją kochał.

Robert czekał. Wreszcie, nie widząc najmniejszego pro-myka nadziei, odwrócił się i wyszedł powoli z mieszkania. Zjawa wyrzała za okno i odprowadziła go wzrokiem przez ogród, za bramę. Robert? Dokąd idziesz? Kto na ciebie czeka?

## SPOTKANIA, UNIKI I ODKRYCIA

Julia spacerowała po Long Acre i oglądała wystawy. Był słoneczny, styczniowy dzień, sobota. Dziś rano obudziła się i poczuła, że ma ochotę pójść dokąds, gdzie będą ludzie; wybrała się więc na zakupy - pomyślała, że znajdzie coś dla Theo, albo jakiś ładny ciuszek, który włożyłaby na weekendową wizytę u chłopaka. W tej chwili była ubrana we wczorajsze džinsy i bluzę, na które narzuciła jeden z płaszczy Elspeth. Miała wrażenie, że jest niebywale chuda, jakby jej ciało nie zajmowało prawie przestrzeni wewnątrz ubrań. Poruszała się niczym astronautka, na nogach miała zimowe puchate buty. Weszła do maleńkiego sklepiku w Neal's Yard, gdzie sprzedawano masę różowych strojów: trampki, pierzaste boa, winylowe minispódniczki. Myszka by się w tym wszystkim zakochała, przemknęło jej przez myśl. Wyobraziła sobie siostrę w kudłatych swetrach z angory i soczyście zielonych kabaretkach. Stanęła przed lustrem i przyłożyła sobie sweter do piersi. Zbrzydziło ją własne odbicie; osoba ze zwierciadła wyglądała jak chora na grypę Valentina. Julia odwróciła się i odłożyła ubranie na stos, nie przymierzając.

Wyszła i zatrzymała się na chodniku. Spróbowała sobie przypomnieć, z której strony przyszła. Wyminęła ją jakaś dziewczyna. Było w niej coś — może zapach, składający się



z woni lawendowego mydła, potu i pudru — co przykuło uwagę Julii. Nieznajoma szła szybko, unikając turystów. Poruszała się bez wahania, pewnie okrążała kioski i stragany ulicznych artystów. Miała ciemnokasztanowe włosy, których pukle podskakiwały w rytm kroków. Całości dopełniała jasnoczerwona sukienka i futrzana pelerynka. Julia ruszyła w ślad za nią.

Ciemnowłosa wydawała się coraz bardziej poruszona. Sherlock Holmes powiedział, że nie można włożyć przebrania na plecy, pomyślała dziewczyna. A może to był Peter Wimsey? Tak czy inaczej, jej plecy wyglądają dokładnie jak plecy Myszki. Tyle że Valentina inaczej chodziła. Nigdy nie umiała stawiać tak zamaszystych kroków, nie w takim tłumie. Nieznajoma weszła do Stanfords, do sklepu z mapami. Julia za nią.

- Dzień dobry, szukam mapy wschodniej części Sussex - mówiła pięknym altem, z nieomylnym akcentem wykształconej osoby.

- To ma być mapa samochodowa czy fizyczna? - spytał sprzedawca.

- Raczej fizyczna.

Julia wsunęła się za stół, na którym leżały sterty książek o Australii, a nieznajoma zeszła za sprzedawcą na dół. Kilka minut później pojawiła się ponownie, z reklamówką w ręku, i dziewczyna mogła dobrze przyjrzeć się jej twarzy.

Wyglądała dokładnie jak Valentina i jednocześnie zupełnie inaczej. Podobieństwo było zarazem niebywałe i żadne rysy Valentyny zupełnie nie układały się w znajome miny. Pomalowała się bardzo ostro, ciemna szminka, mocna konturówka. Miała piwne oczy, spoglądające na świat tak pewnie, jak nigdy nie patrzyła Valentina. Wręcz tryskała siłą charakteru.

Nieznajoma położyła dłoń na klamce, wymykała się, a Julia wiedziała, że nie może jej wypuścić.

- Przepraszam - odezwała się.

Dziewczyna zamarła i obejrzała się, gdy zrozumiała, że to do niej zwraca się Julia. Była w ciąży. Spotkały się spojrzemieniami: czy była zaskoczona? Przestraszona? A może po prostu zdumiona tym, że ktoś obcy chwycił ją za ramię?

- Przepraszam? - powiedziała.

Julia wpatrywała się w nią tak intensywnie, jakby chciała pożreć wzrokiem jej twarz. Miała ochotę zdrapać makijaż, rozebrać ją i sprawdzić, czy nieznajoma ma na ciele wszystkie znajome pieprzyki i znamiona.

- To boli - dodała głośno. Głos nie należał do Valenty.

Wszyscy dokoła zamarli. Julia usłyszała za plecami kroki. Puściła dziewczynę, która **śpiesznie** otworzyła drzwi, wyszła ze sklepu i ruszyła przed siebie. Julia poszła za nią, po czym zatrzymała się i odprowadziła wzrokiem znikającą w tłumie postać.

Elsbeth zmuszała się, by nie biec. Oddychała ciężko, starała się zwolnić. Nie oglądała się za siebie. Zauważyła Starbucks; weszła do środka i usiadła. Gdy jej serce nieco się uspokoiło, znalazła toaletę i obmyła twarz, poprawiła makijaż. Przyjrzała się bacznie własnemu odbiciu. Nie zdała egzaminu. Zmieniła się, ale najwyraźniej niewystarczająco. Julia mimo wszystko rozpoznała w niej swoją bliźniaczkę. Czy na pewno? Jeśli nie miała wątpliwości, to czemu za nią nie pobiegła? Dlaczego patrzyła tak niepewnie? Elspeth przywołała w pamięci twarz dziewczyny: była taka szczupła, taka zmęczona. Pochyliła się nad umywalkę, objęła ją ramionami i zwiesiła głowę. Dotknęła piersi podbródkiem. Brzuch puchł między jej rękami niczym czerwony balon.

Elsbeth zaczęła płakać, a kiedy łzy już popłynęły, nie chciały przestać. Futrzana pelerynka zwilgotniała.

Gdy wreszcie wyszła z toalety, w kolejce stały trzy kobiety, wszystkie rzuciły jej niechętnie spojrzenie. Elspeth postanowiła, że skończy już na dziś zakupy. Zeszła do metra i dwadzieścia minut później wysiadła na Kings Cross St Pancras. Stała na progu swojego maleńkiego mieszkania i drżącymi rękoma zaczęła szukać kluczy. Drzwi otworzył Robert.

- Gdzie byłeś? - spytał. - Zaczynałem się martwić.

- Robert, musimy wyjechać z Londynu. Widziałam Julię.

- Ona ciebie też?

- Nie była chyba pewna - odpowiedziała Elspeth. - Ale zaczęła coś podejrzewać. Przestraszyłam się. Musimy się przenieść.

Siedzieli w ciasnej, zagraconej kuchni. Elspeth oparła łokcie na stole, głowę podtrzymała rękoma. Robert krążył dokoła. Pomieszczenie było tak małe, że w jedną stronę mógł zrobić tylko kilka kroków. Sposób, w jaki się przechadzał, zaczął ją denerwować. Za bardzo przywodził na myśl Julię.

- Przestań, proszę.

- Dokąd możemy pojechać? - Robert usiadł.

- Ameryka, Australia, Paryż.

- Elspeth, nie masz nawet paszportu. Nie wypuszczą cię za granicę.

- Wschodnie Sussex.

- Dlaczego akurat Sussex?

- Ładnie tam. Moglibyśmy zamieszkać w Lewes i co niedziela spacerować po Downs. Dlaczego nie?

- Nikogo tam nie znamy.

- Właśnie.

Robert podniósł się z miejsca i zapomniawszy o prośbie Elspeth, znów zaczął krążyć.

- Może powinniśmy się jej przyznać. Potem zamieszkali-  
byśmy u mnie i z czasem wszystko wróciłoby do normy.

Elspeth rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Albo i nie - dodał po chwili.

Jesteś na mnie wściekły, pomyślała.

- Kupilibyśmy niewielki domek. Dokończyłbyś pracę  
doktorską.

- Jak mam ją, do diabła, skończyć, skoro nie mogę się  
pokazać na cmentarzu?! - wrzasnął.

- Dlaczego nie możesz? - spytała cicho Elspeth. Poczwała  
kopnięcie dziecka.

- Jessica cię widziała - rzucił. - Co mam jej powie-  
dzieć?

Elspeth zmarszczyła brwi.

- Tak dużo prawdy, jak to możliwe. Reszty niech się  
domyśla sama. Nie ma potrzeby kłamać, wystarczy kilka  
spraw pominąć.

Robert zatrzymał się i spojrzał w jej uniesioną twarz,  
w jej pożyczone oblicze. Właśnie tak to robisz, rozumiał.  
Nigdy przedtem tego nie zauważyłem.

- Od jak dawna planujesz przeprowadzkę do Sussex? -  
zapytał.

- Och, odkąd byliśmy małże. Nasi rodzice zabierali nas  
często do Glyndebourne. Pamiętam, że wysiadaliśmy z po-  
ciągu w Lewes, razem z innymi elegancko ubranymi pasa-  
żerami. Od zawsze marzyłam o tym, by zamieszkać na wsi.  
Choć tak naprawdę wolałabym w operze, ale to raczej mało  
realne.

- No, nie wiem - syknął poirytowany Robert. - Skoro udało ci się wrócić zza grobu, to na pewno możesz zamieszkać, gdzie tylko zechcesz.

- Wiesz, do twojego mieszkania nie możemy się wprowadzić - przypomniała Elspeth.

- N i e .

- No dobrze - podjęła. - Rozumiem. Ale może chociaż moglibyśmy się do tego Sussex wybrać i rozejrzeć? Z jakimś fachowcem od nieruchomości?

- Świetnie - mruknął Robert. Zabrał ze stołu klucze i sięgnął po kurtkę.

- Dokąd idziesz?

- Wychodzę. - Ubierając się, spojrzał na Elspeth; miała nieco wylężniony, skarcony wyraz twarzy, jakiego nie pamiętał. — Do biblioteki - dodał. - Zamówiłem kilka książek.

- Do zobaczenia? - powiedziała niepewnym tonem.

- Do zobaczenia.

Jakiś czas potem szedł przez zalaną słońcem Euston Road. Muszę pomówić z Jessicą, pomyślał. Wszedł do budynku biblioteki. Nie wyobrażam sobie życia poza Londynem. Schował swoje rzeczy w szafce i poszedł na górę. Co ja mam zrobić? Siedział i czekał, aż zapali się lampka sygnalizująca dostarczenie książek. Właśnie wtedy przyszła do niego odpowiedź. Była tak oczywista, że roześmiał się w głos.

\*\*\*

Robert i Jessica siedzieli w jej biurze. Cmentarz był już zamknięty i wszyscy pracownicy rozeszli się do domów. Opowiedział wszystko, najdokładniej jak umiał. Nie oszczędzał się, przedstawił jej wszelkie dostępne sobie dowody. Jessica słuchała nieporuszona w słabnącym świetle

dnia, z palcami złożonymi w piramidkę, lekko pochylona, wpatrzona w niego. Wreszcie umilkł. Jessica sięgnęła do sznureczka lampki na biurku i na blacie powstała niewielka kałuża żółtego światła, które nie sięgnęło ani jej, ani Roberta. Czekał na jej słowa.

- Biedny Robert — odezwała się po chwili. — Wydarzenia potoczyły się bardzo niefortunnie, ale, jak sądzę, dostałeś to, czego chciałeś.

- I to właśnie jest dla mnie największą karą - odpowiedział. - Gdybym mógł, cofnąłbym to wszystko.

- Rozumiem, ale nie możesz.

- Nie, nie mogę. - Westchnął. - Lepiej już pójdę. Jutro wyjeżdżamy. Trzeba się spakować.

Wstali z miejsc.

- Wrócisz? - spytała.

- Mam nadzieję. - Zapalił światło i zszedł za Jessicą po schodach.

- Żegnaj, Robert - powiedziała, kiedy zatrzymali się przy bramie cmentarza.

Pocałował ją w oba policzki i wyszedł za ogrodzenie. Odszedł.

Już po nim, pomyślała Jessica. Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął. Potem zamknęła bramę i stanęła na ciemnym dziedzińcu, słuchając wiatru i myśląc o ludzkim szaleństwie.

# KONIEC

Nastał pierwszy dzień wiosny Valentina siedziała w oknie i spoglądała na Highgate. Ukośne promienie porannego słońca przesywały ją i niepowstrzymane spadały na wytarty niebieski dywan. Nad drzewami krążyły ptaki. Gałęzie pstrzyły się młodymi liśćmi; jakiś samochód przejechał po wysypanym żwirem parkingu kościoła Świętego Michała. Cały świat był dziś promienny, czysty i głośny. Zjawa grzała się w słońcu. Kotek wskoczył jej na kolana; pogładziła go po głowie i spojrzała na parę gołębi, budujących gniazdo na wierzchołku grobowca Juliusa Beera.

Julia jeszcze się nie obudziła. Sypiała teraz z rozrzuconymi rękami i nogami, jakby próbując zagarnąć tak wielką część łóżka jak tylko mogła. Miała rozchyłone wargi. Valentina wstała, nie wypuszczając kotka. Podeszła do łóżka. Spojrzała na twarz śpiącej. Wsunęła jej palec do ust. Siostra się nie obudziła. Valentina wróciła na parapet i znowu usiadła.

Godzinę później Julia wreszcie się ocknęła. Valentyny nie było. Julia wzięła prysznic, ubrała się i samotnie wypijała kawę. Panująca w budynku cisza bardzo ją męczyła. Robert się wyprowadził; mieszkanie na górze nie znalazło jeszcze kupca (być może dlatego, że wciąż do połowy tonęło w pudełkach). Może powinnam kupić sobie psa? Gdzie się je kupuje w Londynie? Anglicy mają szalone pomysły

co do zwierząt. Możliwe więc, że nie można tak po prostu wybrać sobie szczeniaka i go kupić. Może ktoś musi wydać zgodę? Wyobraziła sobie, co pomyśleliby urzędnicy, gdyby się dowiedzieli, że przyszła psia mama mieszka w pojedynkę, niczym sierota w wielkim, pustym Vautravers. Może powinnam zacząć żyć jak jedna z tych kobiet, które otaczają się setkami kotów? Mogłyby po mnie chodzić. Wpuszczałabym je do mieszkania Martina. Tam jest prawdziwy koci Disneyland. Oszalałyby z radości.

Julia siedziała z kubkiem w ręku przy stole w jadalni. Cały blat był usłany notatkami i długopisami; kartki były pokryte odręcznym pismem Valentyny. Na ten widok urzędnicy od razu uznaliby, że jestem wariatką. Zaczęła zbierać papiery. Poszła do kuchni i wrzuciła je do kosza. Gdy wróciła, Valentina stała przy oknie z kotkiem na ramieniu. Julia westchnęła.

- Nie mogę tego trzymać tak otwarcie - powiedziała. — Dziwnie wygląda.

Valentina zignorowała uwagę siostry i wykonała gest, którym dawniej przyzywały kelnerów: udała, że pisze coś palcem na otwartej dłoni.

- Dobrze - rzuciła Julia. - Okej.

Upiła łyk wystygłej kawy, po to tylko, by pokazać Mysze, że nie będzie od razu robić wszystkiego, co ta jej każe. Zjawa stała cierpliwie przy krześle. Jej bliźniaczka usiadła z nową kartką. Sięgnęła po długopis i uniosła rękę nad papierem.

- Proszę.

Valentina pochyliła się. Kotek zeskoczył jej z ramienia i stanął na kartce. Widmo go odgoniło i włożyło swoją rękę w rękę Julii.

JUŻ WIEM.



- Co już wiesz?

JAK SIĘ WYDOSTAĆ.

- Och... - Julia obdarzyła siostrę zrezygnowanym spojrzeniem. - No dobrze, jak?

POTRZEBUJĘ CIAŁA. OTWÓRZ USTA, WYJDŹ NA ZEWNĄTRZ.

- Mam otworzyć usta i wyjść?

Valentina pokręciła głową.

OTWÓRZ USTA, ZAMKNIJ JE, POTEW WYJDŹ.

Julia otworzyła usta, jakby siedziała w dentystycznym fotelu, zamknęła je i zacisnęła wargi. Potem wskazała okno.

- Dobrze?

Valentina pokiwała głową.

- Teraz?

Jeszcze jedno skinienie.

- Tylko włożę buty.

Valentina podniosła Małego Kotka Śmierci i zaczęła na siostrę w przedpokoju. Przez moment zdawało się jej, że widzi w lustrze swoje odbicie, ale nie miała pewności.

Pojawiła się Julia. Była ubrana w jeden z ulubionych swetrów Elspeth - niebieski, kaszmirowy, z guzikami z macicy perłowej. Zjawa przyglądała się jej długo, po czym pochyliła się i pocałowała siostrę. Pieszczota wydała się Julii duchem, widmem wszystkich dawnych pocałunków Myszk. Uśmiechnęła się; łzy napłynęły jej do oczu.

- Teraz? — powtórzyła.

Valentina skinęła głową.

Julia otworzyła szeroko usta i zamknęła oczy. Poczwała, że wypełnia ją coś przypominającego gęsty dym; uniosła powieki i spróbowała się nie zadławić. Jak mam oddychać? Dym w jej ustach zaczął nabierać konkretnych kształtów. Poczwała go w gardle, kaszlnęła i zachłysnęła się. Po chwili

odniosła wrażenie, że trzyma w ustach kłęb włosów. Zamknęła je. Z trudem złapała oddech, lecz nagle przedmiot w jej policzkach zmniejszył się, nabrał wagi, ułożył się pomiędzy językiem a podniebieniem. Smakował metalicznie i nieznacznie się poruszał. Bez przerwy. Niczym niecierpliwie dziecko, któremu kazano spokojnie siedzieć. Julia rozejrzała się. Valentina i kotek zniknęli.

No dobra, chodźmy. Przekroczyła próg i znalazła się na piętrze. Wciąż niosła ich w ustach. Zbiegła po schodach i wypadła z budynku; dziwny ciężar na jej języku zadrżał. Pomknęła pod murem, do ogródka za domem. Dotarła do furtki w murze i zaczęła się zмагаć z kluczem. Otworzyła zielone drzwi, znalazła się na cmentarzu i rozchyliła wargi.

Valentina wypłynęła na świat. Przez moment wisiała w powietrzu, rozciągnięta na porannym wietrze niczym tęcza w kropkach ogrodowego węża. Mały Kotek Śmierci był z nią przez chwilę, zmieszany; na oczach Julii oba duchy zaczęły się rozdzielać i rozpraszać.

Valentina poczuła, jak unosi ją wietrzyk, rozciąga, odrywa od kotka. Z początku nie wiedziała i nie słyszała, lecz mgnienie oka potem już tak. Julia stała z rękoma przy piersi i dziwnym uśmieszkiem na twarzy. Patrzyła na nią.

- Żegnaj, Valentino - powiedziała. Łzy pociekły po jej policzkach. - Żegnaj, kotku.

Żegnaj. Żegnaj, Julio. Kotek wyrwał się z ramion Valentyny, zeskoczył z dachu Katakumb i pomknął między nagrobki. Valentina obróciła się i poszła za zwierzakiem.

Zmysły miała otwarte jak drzwi lub okna. Wszystko do niej mówiło, śpiewało: trawa, drzewa, kamienie, owady, króliki; wszystko zamarło, przyglądając się przelatującemu duchowi; wszystko zaczęło radośnie wołać, jakby na widok kogoś, kto od dawna nie odwiedził rodzinnego domu,

a teraz wracał na czele parady zwycięstwa. Frunęła przez nagrobki i krzewy, radując się ich chłodem i gęstością. Kotek czekał na nią pod cedrem libańskim. Razem przelecieli nad Aleją Egipską i dotarli do głównej ścieżki. Jeśli nawet mieszkają tu inne duchy, Valentina ich nie widziała; witała ją tylko przyroda; anioły na grobach okazały się zwykłymi kamieniami. Zjawa mogła patrzeć na wskroś rzeczy i zaglądać do ich wnętrza. Ujrzała głębokie doły z ułożonymi w nich jedna na drugiej trumnami; widziała złożone w nich ciała w ich tęsknych, błagalnych pozach, zobaczyła ludzi od dawna przeobrażonych w kości i proch. Poczowała głód, niemal ekstatyczne, instynktowne pragnienie odszukania własnego ciała. Lecieli teraz szybciej; kamienie i rośliny rozmyły się dokoła, aż wreszcie - niewielki szary azyl z wypisanym nazwiskiem Noblin, żelazne drzwi nie stawily najmniejszego oporu, milcząca przestrzeń, trumna Elspeth, jej ciało, zwłoki i trumny rodziców i dziadków Elspeth. Zobaczyła własną trumnę i bez dotykania zrozumiała, że jest pusta. A więc to prawda. Mały Kotek Śmierci zaczął zapalczywie pocierać pyszczkiem o białą skrzynię. Valentina złożyła dłonie na gładkim drewnie trumny Elspeth, tak samo, jak zrobił to kiedyś Robert. Co teraz? Wzięła kotka na ręce i wyszła na zewnątrz. Niepewna, zatrzymała się w alejce.

Nadeszła mała dziewczynka. Nuciała pod nosem, kołysała w rytm kroków trzymanym w dłoniach czepkiem. Miała na sobie lawendową sukieneczkę w stylu z końca dziewiętnastego wieku.

- Dzień dobry - przywitała się z Valentiną. - Idziesz?
- Dokąd?
- Zwołują wrony - wyjaśniła dziewczynka. - Będziemy latać.

- Po co wam wrony? - spytała Valentina. - Nie możecie latać sami?

- To co innego. Nie robiłaś tego jeszcze?

- Jestem tu nowa.

- Ach. - Dziewczynka ruszyła dalej. Valentina poszła za nią. - Zapewne jesteś Amerykanką? A skąd masz kotka? Nikt tu takiego nie ma. Za życia miałam kotkę. Nazywała się Maisie, ale nie przyszła tu ze mną...

Valentina poszła za małą do części cmentarza przeznaczony dla Odstępców. Zauważyła wiele duchów, stały grupkami, rozmawiały ze sobą. W tej okolicy drzewa zostały niedawno przycięte i widać było niebo. Pomiędzy grobami stały świeże pniaki. Zjawy rzucały na nią przelotne spojrzenia i odwracały się. Nie wiedziała, czy powinna się im przedstawiać. Mała dziewczynka odeszła. Wróciła po chwili, ciągnąc za sobą niezwykle tłustego mężczyznę, ubranego tak, jakby wybierał się zapolować na lisy.

- To mój papa - wyjaśniła.

- Cała przyjemność po mojej stronie - przywitał się mężczyzna. - Zechcesz do nas dołączyć?

Valentina się zawahała, nie lubiła wysokości. Ale dlaczego nie? - zastanowiła się. Już i tak nie żyję. Nic mi się nie stanie. Mogę robić, co zechcę.

- T a k - odpowiedziała. - Bardzo chętnie.

- Wspaniale - ucieszył się. Uniósł rękę i tuż przed nimi wylądowała wielka wrona. Krakąta i przechadzała się.

Jakby zamówił taksówkę, pomyślała Valentina. Wkrótce zleciały się setki ptaków. Wszystkie duchy zaczęły maleć, dopóki nie osiągnęły odpowiednich dla wierzchowców rozmiarów. Zjawy wsiadały na pierzaste grzbiety. Valentina poszła w ich ślady. Objęła swym widmowym ramieniem ptasi kark, drugą ręką przytrzymała kotka.

Olbrzymie stado wron wzbiło się ponad Highgate, unosząc ze sobą widmowych pasażerów. Czarne sukienki i fraki załopotały na wietrze niby skrzydła. Przelecieli nad Waterlow Park, zawrócili nad Heath i dalej, i dalej, aż znaleźli się nad Tamizą, gdzie zawrócili na wschód, wzdłuż rzeki, nad Parlamentem i Mostem Westminsterkim, nad Embankment, nad Mostem Londyńskim, nad Tower i dalej, i dalej. Valentina mocno trzymała się wrony. Kotek mruczał jej cicho do ucha. Jestem taka szczęśliwa, pomyślała zaskoczona. Promienie słońca, nie słabnąc, przenikały przez duchy. Wrony rzucały cień na rzekę.

Gdy Valentina zniknęła jej z oczu, Julia stała jeszcze przez chwilę w otwartej furtce i słuchała ptaków. Potem zamknęła zielone drzwi. Wróciła do siebie i zrobiła sobie kolejną kawę. Usiadła na parapecie i spojrzała na rozkołysane drzewa cmentarza. Kamienie nagrobków blado przeświecały pomiędzy liśćmi. Dziewczyna zasłuchiwała się w ciszę budynku, w pomruk lodówki, szmer zmieniających się cyfr na starym radiu. Tak, muszę kupić sobie psa, pomyślała. Popołudnie spędziła na sprzątaniu. Po kolacji zadzwoniła do Theo. Spać położyła się samotna i zadowolona. Nie przyśniło się jej nic.

\*\*\*

Dzień był pełen życia: pola wokół tchnęły zielenią, a niebo nad Sussex promieniało błękitem tak intensywnym, że aż rażącym oczy. Elspeth wybrała się na wieczorny spacer z dzieckiem. Chłopiec miał skłonności do kolki,

a przechadzki pomagały mu niekiedy bardziej niż jakiegokolwiek lekarstwa. Teraz oddychał cicho, w niewielkim nosidełku, tuż przy jej piersi. Elspeth dotarła do długiego podjazdu, prowadzącego do ich maleńkiego domu. Zapadł już mrok, ale wzeszedł księżyc, niemal w pełni. Szła prowadzona przez własny cień. Zewsząd otaczały ją piosenki owadów, rozmigotany chór spowijający pola niczym ciepły koc.

Od tygodni obserwowała Roberta. Po przeprowadzce nie układało się między nimi zbyt dobrze. Nie potrafił przywyknąć do otwartych przestrzeni, do ciszy. Tęsknił za cmentarzem i, wynajdując sobie najbliższe preteksty, jeździł do Londynu. Rzadko z nią rozmawiał — jakby zamieszkał we własnym, niewidzialnym mieście i nie chciał jej tam zabierać. Potem przyszło na świat dziecko i Elspeth zanurzyła się w czysto fizycznym świecie: sen okazał się ulotną nagrodą, a karmienie piersią przeżyciem o wiele trudniejszym, niż to pamiętała. Płakało dziecko, płakała i ona. A jednak to wszystko obudziło Roberta, wreszcie ją zauważył. Narodzinami potomka wydawał się niemal zaskoczony. Czyżby myślał, że żartowała, mówiąc, że jest w ciąży? Ku zdumieniu Elspeth, to wydarzenie dokonało czegoś, czego ona sama nie była w stanie: Robert wrócił do pisania.

Pracował od kilku miesięcy, skupiając się pośród dziecięcego chaosu. Krążyła wokół niego na palcach, bojąc się złamać czar, mimo że raz po raz powtarzał jej, że nie trzeba. Twierdził wręcz, że rozgardiasz mu o dziwo pomaga.

- Mam wrażenie, że tekst sam chce się skończyć - mówił i drukarka jęczała co noc, wypluwając kolejne, pokryte rzędami słów strony.

Dziś wyczuła dziwną chwilę zatrzymania, zawieszenie: świat nabierał nowych kształtów. Coś miało się wydarzyć; rozprawa była niemal skończona. Elspeth szła radośnie ze

swym dzieckiem, otoczona słodkimi woniami pól. Jestem tu, żyję. Dotknęła chłopca, chłodne palce kobiety spoczęły na jego główce. Raz jeszcze poczuła odwieczny żal, pomyślała o Valentinie, leżącej na podłodze w tej dziwnej, niewygodnej pozycji. Nie potrafiła temu wspomnieniu odpowiedzieć, ani się przed nim obronić. Zajaśniało w jej pamięci wyraźnie, po czym zbladło. Szła dalej, nie zatrzymując się.

Dom wyglądał, jak wydrążona na Halloween dynia; okna lśniły pomarańczowym blaskiem. Paliły się wszystkie światła. Elspeth weszła od kuchni, tylnymi drzwiami. Pieśń owadów przycichła. Wokół panował bezruch.

- Robert?! - zawołała, uważając, by nie odezwać się zbyt głośno.

W salonie nie zastała nikogo. Pusto. Na biurku Roberta pysznił się stos kartek. *Historia cmentarza Highgate*. Pliki w komputerze i notatki zniknęły. Wszystko wydawało się... ostateczne.

- Robert? - Uśmiechnęła się.

Nie było go w domu. Tej nocy nie wrócił. Tak samo minęły kolejne dni i po jakimś czasie zrozumiała, że nie zobaczy go już nigdy więcej.